

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**



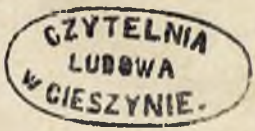
BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1873.

Tom czwarty.



WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1873.

Дозволено Цензурою

*Варшава, 15 Сентября 1873 года.*

# POEZYJE WINCENTEGO POLA.

PRZEZ

A. Tyszyńskiego.

Rok już blisko, jak jeden z najznakomitszych poetów naszych, jeden ze spółspiewaków ostatniej a prześwietnej epoki w naszej poezyi, twórca w niej szkoły oddzielnej, *Wincenty Pol*, zakończył swój piśmienny zawód i życie. Nie takim był początek zawodu tego poety jak zakończenie. Powitany niegdyś od pierwszych kroków spółczuciem, głośnym poklaskiem, w ostatnich latach słabe już tylko spotykał ich echa, nieraz owszem obojętność, ironię,—w najlepszych razach uwagę że się już przeżył. Ale poeta już skonał, pieśni jego nie do trumny z nim weszły ale do dziejów, a świat dziejów nie zna co to jest starość i co to jest młodość: przed okiem dziejów wszystko jest zawsze stare i zawsze młode. Wynieśmy się więc, o ile to jest podobnym, z warunków czasu, i w przybliżoną rocznicę śmierci poety spójrzmy i przypomnijmy: jaki też miały rzeczywisty charakter jego utwory? Co w nich było (jeśli było) żywotnym? co było (jeśli było) ujemnym? jaką się cechą odznaczył? i z jaką ostatecznie istnieć będzie (jeżeli będzie) w historii pieśni.

Wincenty Pol był wprawdzie nie tylko śpiewakiem ale też przyjacielem i mężem poważnej pracy. Ulubione mu były między innymi studia nad geologią, nad (uważanemi postępnie) jeografią i etnografią, miały nawet w przedmiotach tych liczne rękopisma po nim pozostać. Umysł to był z pewnej strony w rodzaju Göthego. Jeżeli jednak i każdy utwór prozy który ogłaszał nie był bez zalet, i licznych, żaden przecież nie miał tego znaczenia w gałęzi swojej, jak każda jego pieśń pośród swojej. Przedewszystkiem i głównie był on poetą i o tej też tylko części prac jego, jako określającej głównie jego osobistość, mówić tu mamy.



Wincenty Pol (urodzony 1806, † 1872 r.) miał lat dwadzieścia kilka kiedy się dał poznać z pierwszych swych śpiewów, a od tego czasu do ostatnich dni życia śpiewać nie przestał. Utworów poetycznych stosunkowo nie zostawił zbyt wiele i o każdym z główniejszych rzec tu szczegółowiej możemy. Ostrzedz jednak musimy, iż nie mamy zamiaru pisać tu obszernych studyów nad ich zawarciem. Pisząc o danym przedmiocie, lepiej jest zdaniem naszym pisać o tym przedmiocie niżli o sobie. Historje wrażeń i historje wniosków z tych wrażeń chowamy dla siebie, dla ukształcenia poznania swego, do innego przedmiotu pism, dla czytelnika zaś jest korzystniejszém sądzimy poznać same te wnioski, poznawać praktyczniej przedmiot o który idzie.

Całą naszą spekulacją tu będzie, że przystępując do wyrażania sądu, wspomnimy tu o tych głównych zasadach, z których za obowiązek mamy wychodzić w sądach. Napisałismy o tém osobną książkę, a tu je powtórzymy w dwóch słowach <sup>1)</sup>: Zasadą naszą jest, iż wierzymy w istnienie harmonii w świecie ludzkości, równie w świecie wewnętrznym czyli rozwiciu myśli, jak i w świecie zewnętrznym czyli w rozwiciu dziejów; oraz iż treścią i celem harmonii téj jest: rozwinięcie się kiedyś bytu w lepszą erę ludzkości w obu kierunkach. Jakie mianowicie będą szczegóły ery téj przyszléj? nie pozwala nam tego wiedzieć sam *stan* naszej wiedzy dzisiejszój, który jest dopiéro *drogą* a nie jój końcem, a przeto możemy tylko znać jój ideał. Szczyt rozwinięcia myśli to szczyt *poznania*, szczyt udoskonalenia uczynków jestto szczyt *cnót*, ideałem więc owéj ery musi być z jednéj strony wiedza powszechna, wiedza w jój szczycie;—zaś w kolei drugiej cnota powszechna, cnota w odcieniach jój. Sądzić o daném piśmie, danym utworze, jestto więc rozglądać i wnosić: czy mają się one dodatnio czy téż ujemnie do ery nowéj? czy zbliżają czyli téż oddalają okres pragniony? O ile w drodze do *idealów*, i przewodnikami w tym sądzie muszą nam w części być ideały? Dźwignią w kolei pierwszój, to jest w kolei myśli musi być stopień w niej *prawdy*, dźwignią w kolei drugiej to jest w kolei uczynków, stopień *miłości*. Prawda i miłość to więc dwa ideały drugie, dwa kriterja żywotności lub ujemności pism danych. Naszym kodeksem krytycznym, czyli (gdy mówimy o poezyi) poetyką naszą, jedném więc

<sup>1)</sup> Nie zdziwiło nas wcale napotkanie przed czasem niedawnym, w jedném z pism, nie w języku naszym wychodzącém, zdania: iż krytyka literacka polska nie doszła jeszcze do wyrobienia jakichkolwiek u siebie zasad; zastanowiło nas jednak, iż w jedném z najlepszych kompendyów dziejów literatury naszej świeżo wydaném, znaleźliśmy uwagę, iż zdania nasze o pismaach wyrażone w trzech tomach *Rozbiorów i krytyk* (1854) są „aforystyczne“ to jest jakoby niepołączone z sobą. Zdania o pismaach od lat już dawnych umieszczamy najczęściej w Bibliotece Warszawskiej, dlatego sądzimy iż winni jesteśmy czytelnikom Biblioteki powyższe objaśnienie. *Autor.*

słowem jest: *pamięć na przyszłość*, a wiara, nadzieja, miłość są to trzy słowa, które są napisami trzech rozdziałów w poetyce tej <sup>1)</sup>.

Mając pisać o danym pisarzu, piśmie, staramy się jednak *jakby* zapomnieć i na te cele i na ten nasz kodeks; gdy bowiem dzieło, pismo, są to już przedmioty nie z *nazwiska* tylko nam znane, jak ideały, lecz dotykalnie, gdy każde z nich idzie nadto pod prawa swojej gałęzi, tedy staramy się owszem z całą wyłączością możliwą przejść w sferę praktyki.

Wincenty Pol, powiedzieliśmy, był przedewszystkiēm poetą, jakoż istnienie we wszystkich jego utworach wierszem pisanych była i nowość fantazyi i nowość słowa, czyli *poezya*. Jakiż, powiedzmy teraz, był najogólniejszy charakter tej jego poezyi? jaki *treści*? i jaki jej *formy*?

Jeżeli przypomnimy w zbliżeniu na treść ogólną wszystkich utworów poetycznych Pola, tedy najprzód będziemy musieli to uznać, iż tą treścią nie był nigdy egotyzm. W całym zbiorze poezyi Pola nie znajdziemy utworu, w którymby poeta zajmował się spowiedzią albo kreśleniem swych dziejów, swych uczuć serca, jakichś doznanych radości, albo boleści, skarg lub przechwałek; gdy zaś źródłem poezyi jego nie było zajęcie się sobą, więc tēm samēm musiało niēm być zajęcie się czemciē innēm, miłość czegoś innego. Jakoż widzimy istotnie, iż źródłem natchnień poety w jego utworach głównych była zawsze ta miłość, miłość tego wszystkiego co nas otacza, co nas najbliżej dotyka;—więc miłość bliskiej natury, więc bliskich ludzi, a nieodłącznie z tēm zawsze i miłość ich Stwórcy. Ztąd tēż poszło: że dwa są mianowicie pierwiastki które i stały się źródłem natchnień i odznaczały stale charakter treści wszystkich utworów poetycznych Pola: *krajowość* i *religijność*.

Ta krajowość i religijność byłyto wprawdzie pierwiastki które należały do cech i wszystkich innych poetów naszych Polowi spóczesnych, sposób jednak wyrażania się ich w utworach tego poety miał swoje odrębność.

Krajowość w poezyi Pola od pierwiastku tego u jego spółspiewaków różniła się tēm, iż wychodziła jakby z miłości *skali pośredniej*. Nie wyrażała się ona w treści jego utworów ze zwężoną jakoby skalą tego uczucia, to jest z odnoszeniem go np. głównie do swēj prowincyi, zaścianka, jak to określało charakter poezyi spóczesnego Polowi Kondratowicza; ale tēż nie była to krajowość z miłością uobszernionėj skali, to jest z odnoszeniem jēj do spółludzkości, do wieków, jak było

<sup>1)</sup> W tēm co tu powiedzieliśmy o celu drogi ludzkiej i jēj wypadku, nie powiedzieliśmy właściwie nic bardzo nowego. Oddawna np. wyraziły to i nader dobitniej i jeszcze króćj znane słowa jednej z Ewangelij, gdy rzekły: „I poznacie *prawdę*, a *prawda* was *wyswobodzi*“. Wyswobodzi od czego? naturalnie od tego wszystkiego co w najróżniejszych rodzajach i kierunkach jest klęską śród ludzi, jest *złem*.

to np. u śpiewaków *Przedświtu i Króla Ducha*. Żywioł miłości u Pola odnosił się wprawdzie do wszelkich okolic kraju, do wszelkich stanów, do wszystkich klas, ale go nie opiewał poeta w odniesieniu do tego co jest za krajem, do lepszej ery; w opiewaniu go mało się zwracał do społeczności, nic do przyszłości, zaś głównie i prawie wyłącznie do ery przeszłości.

Jak krajowość, tak też w sposób odmienny od innych wyrażała się w poezjach Pola i religijność. Religijność w utworach tego poety nie była tak jak w poezjach Mickiewicza (to jest we wszystkich utworach Mickiewicza wierszem pisanych) lub Zaleskiego w zupełnym oddzieleniu od krajowości, lecz była jak u trzech poetów dopiero wspomnianych łączną z nią zawsze: w połączeniu tém jednak nie odnosiła się ona tylko do zewnętrzności (kreślenia obrządków, kościółków i t. p., jak to było u Syrokomli) lub tylko do krajowych losów przeszłych i przyszłych, jak u dwóch drugih poetów; ale połączenie się tych pierwiastków w poezji Pola wyrażało się najprzód w tym skutku, iż religijność jego była zawsze ściśle krajowa, to jest nietylko chrześcijańska ale katolicko-chrześcijańska i powtóre iż się objawiała w zwrocie praktycznym, to jest w kreśleniu figur krajowych, ich charakterów, obyczajów, słów i t. p.

Te były dwa najogólniejsze pierwiastki charakteru poezji Pola a pierwiastki te nie są to wcale nie żywotne ziarna dla kłosów fantazyi.

Miłość kraju to miłość ziemi krajowej, jój widoków, okolic, natury całej; miłość kraju to miłość mieszkańców kraju, ich domów, ich losów, ich dziejów, sfery zatem pełnej i obrazów i życia.

Chrześcijaństwo a zwłaszcza katolickie-chrześcijaństwo, to także nie jałowa droga i gleba śród sfery poezji. W żadnej owszem chrześcijańskiej drodze jako w tej nie była tak silną wiarą, z siłą wiary tak podniesiona miłość i nie stawały się przeto tak obfitem i żywotnym źródłem dla lotów i bujań fantazyi, jużto w sposobach uczczenia pamiątek dziejowych chrześcijańskich, już w sposobach wznoszenia i rozdrabniania uczuć chrześcijańskich; ztąd też wszelkie gałęzie poezji czyli sztuk pięknych: architektura, rzeźba, malarstwo, muzyka, w żadnym kościele chrześcijańskim tak nie wybujały i nie zyskały tyle genialnych mistrzów jak w katolickim; ztąd też i we właściwej poezji, poezji słowa, pierwiastek ten jest jednym z najżywotniejszych. Jakoż dosyć tu będzie wspomnieć, iż nawet np. w poezji protestanckich Niemiec, wszyscy prawie główni przedstawcy szkoły ich romantycznej, głównie szukali natchnień w świecie katolickim i zakończyli nawet sami przejściem na katolicyzm (*Tieck, Nowalis, Werner, Fryder, Schlegel* i inni), z tego świata czerpał i Szyller, a dwie główne bohaterki dramatów jego: *Johanna d'Arc* i *Marya Stuart* jemu winny swe podniesienie do ideałów. Jemu winien i *Wallensztejn*. Pierwiastki które stanowiły treść natchnień Pola nie były więc wcale ujemne, nie były martwe; w jakiejże teraz mianowicie formie wyrażały się te natchnienia?

Forma w jakiej się objawiały praktycznie natchnienia Pola, nie było to ani oderwane wnoszenie myśli i uczuć czyli *liryka*, ani szczególnie zagłębianie się w myślach czyli *spekulacya*, ani moralizowanie czyli *dydaktyka*, ani wreszcie kreślenie świata czynów w starciu się codzienném jednostek czyli *dramatyka*; ztąd téż te rodzaje poezyi w których swe natchnienia wyrażał nie były to ani owe które tak były w modzie przy początku naszego wieku kiedy poeta wzrastał, to jest ody, elegie, sielanki, satyry, bajki, epepe i t. p.; ani te które tak były w modzie gdy zaczął śpiewać, jako ballady, sonety, legendy, dramata i t. p. Przyjaciel przedewszystkiém ogólnych zwrotów praktycznych, więc plastyki, polubił nadewszystko Pol *opisowość*; przyjaciel swobody w lotach i swobody w zwrotach nie krępował się żadną znaną formą rodzajową. Miłując kraj i pragnąc opiewać treść jego, jego treść zewnątrzna: naturę, i jego treść wewnątrzna: obyczaje, charaktery, dzieje mieszkańców, autor użył i używał następnie stale dwóch form sobie właściwych, to jest *pieśni opisowój* i opowiadań a tym ostatnim dawał nazwisko jużto tradycyji szlacheckich, jużto gawęd <sup>1)</sup>.

Jak w pomysłach i formie, tak téż równie, dodajmy w końcu, niezawisłym był Pol w użyciu słowa. Był on mistrzem w tej drodze. I owszem, wszystkim jego poetycznym utworom najwięcej może dodało poezyi, słowo jego poezyi.

Takie są w najogólniejszym wyrazie treść i forma utworów poezyi Pola; powiedzmyż teraz o treści i o bliższej barwie każdego z głównych.

Główne utwory Pola jak właśnie rzekliśmy, nosiły albo nazwisko *pieśni* albo nazwisko *gawęd*.

Do pieśni odznaczonych najwięcej rozmiarem i charakterem należą mianowicie: tak nazwane *Pieśni Janusza*, pieśń *O ziemi* i pieśń *O domu naszym*. Do drugich, to jest rodzaju gawęd: *Przygody Benedykta Winnickiego*, *Senatorska zgoda*, *Sejmik w sądownej Wiśni*, *Mohort*, *Wit-Stwosz*, *Stryjanka*, *Pachole hetmańskie* i wreszcie poemat pośmiertny *Starosta Kiślarski*.

*Pieśni Janusza*. Pieśni Janusza był to zbiorek drobnych poezyi, któremi poeta poraz pierwszy dał się poznać swojej literaturze, i w którym jakby w ziarnie złożone już były i przebijały się te wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne cechy, któremi następnie odznaczyć się miała głównie jego poezya.

Pieśni te były to pieśni, które autor ich (Galicyjczyнин) zaśpiewał przy początku 4-go dziesiątka naszego wieku dla licznych spółziomków swych, znalezionych naówczas w stolicy Francyi <sup>2)</sup>. Szczegółowa ich

<sup>1)</sup> Nazwisko to jako gatunkowe, poraz pierwszy było u nas użyte przy wydaniu opowiadań prozą przez Wójciokiego, a mianowicie w publikacyi jego z roku 1840: *Stare gawędy i obrazy*. Autor.

<sup>2)</sup> 1838. Dalszych wydań tego zbioru nie znamy.



treść była szczerem odbiciem społecznych wypadków i uczuć, (nader mało tradycyi) a lekkość i nowość słowa, żywość uczucia, odrazu zyskały autorowi serca wszystkich.

Nie podzielamy bynajmniej dla tego zbiorku tego przesadnego uwielbienia, jakie wyrazili niektórzy z wielbicieli talentu poety z owego czasu; nie powtórzylibyśmy np. z jednym z nich: „Pieśni Janusza należą do tych ksiąg na jakie wieki czekają, drobne przy nich Iliada, Pan Tadeusz <sup>1)</sup>“<sup>4</sup>. Piosnki które złożyły ten zbiorek, były to prawie wyłącznie piosnki drobne, a niektóre z nich nawet mierne pod poetycznym względem. Wszakże, lubo niektóre z objawionych tu zasad autor zmienił następnie, wszystkie owe najogólniejsze cechy jego poezyi o jakich mówiliśmy, jakoto: krajowość, religijność, miłość, w stronie wewnętrznej; lekkość, poezya, gracia, w stronie zewnętrznej, wyraziły się już dobitnie w swoim zbliżeniu. Widne one np. już zaraz w najpierwszej strofoc *Piosnki wstępnej*, w której autor witał słuchaczy tradycyjnym słowem krajowem:

Śpiewak wita wasze strony:  
Niechaj będzie pochwalony!...

(Ja chcę do was zaśpiewać *o was*, i to co zaśpiewam o was będzie wierne, a moje osobiste żale dla samego siebie zachowam).

Moja skarga was nie znudzi,  
Ja pieśń z *ludu* mam *dla ludzi*:  
Żale toną w głąb.

Mego serca pieśni *własnej*  
Słucha tylko miesiąc jasny  
I stuletni dąb.

Ten charakter, to słowo, to cechy większości piosnek Janusza. W następnych poematach Pola zniknął tylko należący także do charakterystyki tego zbiorku ciągły szcęk broni; a ów wyrażony tu w jednej z piosnek ultrademokratyczny wykrzyk:

Znowuż nam piwa nawarzą panowie!  
*A jeszcze w panów wierzy szlachta ciemna.*

był nawet kontrastem z kolorem późniejszych lekcji Pola w jego poezjach.

<sup>1)</sup> U *Rychara* 11, 184. Autor ten w swój Historii liter. przytaczając zdania obce o pisarzach i pismach nie kładzie cudzysłowów, nie wiemy więc czyje jest właściwie zdanie powyższe.

*Pieśń o ziemi.* Po zaśpiewaniu krajowi o jego stronie wewnętrznej, młody autor zwrócił był następnie swą miłość ku jego stronie zewnętrznej. Uderzony w tym czasie treścią zjawioną i uprawianą nauki nową nazwaną *Jeografią porównawczą* (*Humboldt, Ritter*) i pragnąc tej uprawie dopomóc, Pol zwrócił się do poznania bliższego własnej ziemi, nie tylko pod względem samych jeograficznych jej rysów ale też jej fauny, jej geologii, i zaczął od najbogatszego geologicznie jej kąta to jest Karpat. Zajęcia się te, z jednej strony zjednały mu wysokie protekcyje w prowincyi, co wpłynęło na szczegóły dalszego zawodu poety, i były źródłem kilku jego prac naukowych; te jednak prace (jak: *Karta Galicyi, Opis Dniestru, Północne stoki Karpat, Północny wschód Europy* pod względem natury, *Granice dyalektów czyli Historyczny obszar* etc). Autor dopiero w następnym czasie (od roku 1847—1869) ogłaszał; ale najbliższém następstwem poznawania różnych stron kraju było odbicie się wrażeń śród gry fantazyi, i młody geolog-poeta zaśpiewał krajowi pieśń nową, którą nazwał tylko po prostu *Pieśnią o ziemi*. Pieśń ta miała wprawdzie na celu zajęcie się nietylko samą ziemią ale i jej mieszkańcami, nietylko bliższymi autora ale i dalszemi a pokrewnymi, jak zapowiadał to wyraźnie w zaczęciu „(A czy znasz ty bracie młody, te pokrewne swoje rody?);“ jakoż istotnie w pieśni tej o ziemi są wzmiankowane i opiewane i różne rysy wewnętrzne: wszakże to co przemagającym jest głównie w poemacie tym, są to obrazy fizyczne, tak właśnie jak w następnej pieśni o Domu naszym, obrazy okolic są dodatkiem a przeciwnie treścią główną jest dom krajowy; sam też autor dalszemi słowy zaczęcia objaśniać się zdaje, iż główne jego zadanie tą razą było jeograficzne.

A czy znasz ty, bracie młody,  
Twoje ziemie, twoje wody;  
Z czego słyń, kędy giną,  
W jakim kraju i ruczaju?

Zamierzwszy w ten sposób opiewać ziemie i wody, autor przęsi się po kolei z prowincyi do prowincyi, z okolicy do okolicy, i określa właściwość każdej już obrazem zewnętrznych jej rysów, już w dodatku i obyczajów mieszkańców. Pieśń ta jestto jedno z arcydzieł autora. Jestto szereg obrazków malarskich śpiewanych tą nutą lekką i strojną, śpiewną i wdzięczną, która była wynalazkiem autora i która następnie w kraju nieskończonych naśladowców wydała. Wszystkie te rody które autor zowie pokrewne, przechodzą nam w tym szeregu obrazków przed oko jakby w kalejdoskopie, a to co im daje piękność i łączność, jest głównie poezya słowa. Przyjaciół prawdy autor zmuszony był nieraz w obrazach niekoniecznie kreślić obrazy piękna, i czyni to bez wybiegów, a jednak cecha piękna i w tych obrazach, uważać można, z pieśni nie znika. Po wyśpiewaniu naprzykład, Żmudzi

i Litwy, (Pińszczyzny), autor z całą naturalnością wyraża jój upośledzenie:

Droga pójdzie ci przez błota,  
Po nich długi pomost spłynie:  
W oczeretach oko zginie,  
A kraj *nudny* niby słota.

Ani ruchu, ani ducha,  
Woda stoi, wiatr nie wieje.

Obrazek nie ponętny, a jednak, jak widzimy, dla słowa samego i to kamyk nie do wyrzucenia z kalejdoskopu.

Nie będziemy tu przytaczać tych charakterystyk ziem i okolic które pieśń po kolei rozwija, i dosyć jest tylko dodać, iż te kreślone w niej rysy, jakkolwiek nieraz jakby pochwytywane przygodnio, zawsze są i kreślone dobitnie i wybierane trafnie. Gdy zaś główném odznaczeniem téj pieśni jest słowo, przeto dla zapoznania bliżej z nutą, czyli stylem jój kreśleń, przytoczymy tu tylko po parę obrazków zdjętych z kontrastów. Bierzemy je z tego co autor mówi o innéj ziemi ruskiej: *Podolu*, i z tego co o *Krakowskiém*.

Nad okolice podolskie, zdaniem poety, nic nie istnieje piękniejszego na ziemi całej.

Jak zaległy ziemie Boże  
Przebież kraje, przerzuc role,  
Zjedź świat cały, przepłyn morze:  
Niemasz kraju nad Podole.

ale nie tacy tu jednak ludzie jak ziemia, szlachcic ukraiński nie jest wprawdzie tak niegrzeczny iżby cię nie przyjął, i owszem—ale

Na to tylko w dom cię prosi,  
By cię dumą upokorzył,  
Bo łaskawie ledwo znosi  
Że i ciebie Pan Bóg stworzył.

Wprost przeciwne wrażenie daje *Krakowskie*: malowne są Tatry, ale sama ziemia krakowska to nie Podole, obraz ziemi jednak ożywia gościnność i pobożność ludu.

Po kościołach chwała Boska,  
Na odpusty naród płynie,  
I cudowna Częstochowska,  
Jak szeroka ziemia słyńie.

Rej na godach družba wiedzie  
A z weselem kulik jedzie;

Tam-to druchny, śpiew miluchny,  
 I gospodarz gościom rady;  
 A gosposie takie wdzięczne,  
 Takie lube i urocze,  
 I w przyjęciu takie zręczne,  
 Iż gdy która cię powita,  
 Z mazowiecka zaszczebiocze,  
 I ugości i opyta:  
 To aż serce żalność chwyta.

W jednym z licznych tegorocznych wspomnień o Polu, wynoszącym to tylko w utworach tego poety co było młode, taką między innymi napotkaliśmy charakterystykę pieśni o ziemi: „Poemat ten jest istnym brylantem, arcydziełem natchnienia i artyzmu, w którym poeta *wyłężywszy wzrok swój wieszczy* w dal czasów przyszłych, potraça najgłębsze struny jój przeznaczeń“. Że poemat ten jest brylantem jestto prawda, że parę razy jest w nim jakieś przygodnie słowo o przeszłości, prawda jest także; ale wzmianki te nie łączą się wcale ani z treścią pomysłu, ani z treścią obrazów i głównych szczegółów poematu. Treścią główną tój pieśni była tylko szczerza *obecność*, obrazy malarskie, a nicią która obrazy te łączy jest tu tylko, powtórzmy, zewnątrznie: ozdobność słowa, wewnątrznie: miłość.

*Pieśń o domu naszym.* Po wyśpiewaniu *pieśni o ziemi* (1843) autor jój oddał się był głównie śpiewaniu tradycyj szlacheckich czyli kreśleniu charakterów krajowych wierszem poważnym i w lat dopiéro 30, na lat kilka przed śmiercią, wrócił do tój nuty młodości i jakby w dalszym ciągu pieśni o ziemi, wydał w r. 1866 *pieśń o domu naszym*. W pieśni tój, oprócz tego szczegółu, iż autor jój nie stawał się już wynalazcą i twórcą nowój formy, ale stawał się naśladowcą samego siebie, rozważa najbardziej chcąc być stronną, nie umiałaby dostrzedz ani upadku fantazyi, ani upadku myśli pomimo wieku. W szczegółach myśli wprawdzie jest tu wyraźnie odbicie i ślad niestraczonego umysłowo przez lata poprzednie czasu; wszakże jak w owój pieśni z lat młodych, tak i w tój z późnych, spekulacye i wnioski wyrażały się także nie przez rozumowania i wywody, lecz przez *obrazy*.

Pieśń o domu możnaby wnieść z przedmiotu, iż powinna być zupełnie odmienną w przewodzie, niż pieśń o ziemi; pieśń o ziemi miała być bowiem kreśleniem różnych okolic, prowincyj, zaś *pieśń o domu*— kreśleniem jednego domu, to jest tego spólnego domu, który wydała wewnątrznie owa zewnętrzna różność; ale proces autora jak mówimy jest obrazowy, i ogólny wypadkowy swój obraz, kreśli przez rozrzucone obrazki.

Zaczynając swą pieśń autor mówi:

Puśćmy synu się po kraju,  
 Na te sioła i dziedziny

I poczynamy oględziny,  
W jakim żyją obyczajaju.

W przebiegu tym autor kreśli różne zajęcia, obchody, zwyczaje i obyczaje, które pozostały z lat dawnych, i które złożyły się były na wydanie takiej nie innej całości, takiego a nie innego domu krajowego. Charakterem tego domu według autora to było, iż go odznaczała zewnętrznie pobożność chrześcijańska, wewnątrznie sumienie chrześcijańskie; ztąd zaś były wynikiły: miłość rodzinna, miłość stosunków bratnich i wydanie takich społecznych, które po świecie dopiero teraz są uważane za nowość.

Przejrzenie rodzin i domów i spotkanie obyczajów dawnych i wiary dawniej ucieszyło zrazu autora, bo to co istnieje w sumieniu, to może być trwałem.

Czego woda nie zabierze,  
Czego ogień wam nie spali;  
Co nie odciąć ostrzem stali:  
To ten dom wasz w Panu strzeże.

Ale ukazywanie się dziś w pokoleniach młodych i kierunków przeciwnych, wskrzeszanie teoryj i zasad przy końcu zeszłego wieku słynnych gdzieindziej, a dziś i do domu naszego dochodzących, straszą poetę; autor uważa nadto, iż spotykane zawody, dotykalne klęski, mogą zawahać w sumieniach wiare w byt rządu świata, w prawdę cnót i stosownie do wiary własnej radzi ucieczkę w głąb siebie.

Póki jeszcze cię nie zgnębi  
Płacz poranny, grób wiosenny;

Póki jeszcze świata hydry (namiętnościę)  
I na udry i na wydry  
W tan nie pójdą grzeszny z tobą:  
Módl się bracie...

a ratunku szukaj nie w materyalnym świecie, lecz wewnątrz siebie:

Na dno życia! na dno duchem!  
W głębi prawda, niby w grobie;  
Czego nie wziąć okiem, uchem,  
To odszukasz tylko w sobie!

Na dno życia! kto wypłynąć  
Chce wraz z ludem z tej powodzi,  
Ten jak w grobie musi zginąć,  
Nim się w duchu nie odrodzi.

Te wszakże rozumowania, uwagi, wnioski, dodać należy, są tu tylko nader krótkie w poemacie, jakby epizody przygodnie; główną zaś treść stanowią owe szczegółowie kreślone różne zwyczaje i obyczaje, które tak jeszcze niedawno charakteryzowały dom nasz wiejski; owe np. gospodarskie i świąteczne obchody: dożynki, wigilie, święta, zebrania sąsiedzkie, zajęcia myśliwskie i t. p. Szczegóły tego poematu zauważyć tu można, spotykają się z wielu względów ze szczegółami jednego z poematów Kondratowicza, o którym tu wspominaliśmy w roku zeszłym, a który napis ma: *Dni doroczne*; tą razą jednak już chyba Pol był naśladowcą swego naśladowcy, *pieśń* bowiem o *Domu*, ukazała się była dopiero w lat 10 po śmierci Kondratowicza.

*Pieśń* Pola jak wskazuje już sam jój napis, tak pod względem zewnętrznym czyli ram poematu jak i pod względem wewnętrznym, miała być z zadania o stopień wyższą od dni dorocznych. Jakoż istotnie obrazki u Syrokomli są może malowniejsze i żywsze, lecz u Pola odznacza je i pogląd psychiczny; opisy i wizerunki u Pola nie są oderwane tylko i przedmiotowe, jak w *Dniach dorocznych*, ale stosownie do napisu pieśni i celu, służą poecie jakby do wyszukiwania, zbliżania i oceniania pierwiastków, z których był powstał charakter domu, charakter kraju. Ta też jest właśnie i różnica wewnętrzna pieśni o domu od pieśni o ziemi; z kądnad bowiem i w tój pieśni, jak wyżej rzekliśmy, czytelnik znajdzie wszędzie, toż igranie fantazyi, toż żywe słowo, śród prostoty obrazów malowność barw i t. p. jak i w pieśni pierwszej. Weźmy np. z ustępu o *Domu* w zimie, opis przejażdżki sannój:

Konie zaszły, siadaj w sanie;  
Sanna dobra, toć i miło  
Się przejechać na zaranie,  
Gdy się mrozem wyiskrzyło:  
Konie niby złotem rypią,  
I śnieg skrzypi, sanie skrzypią:  
Świat bielutki gdzieś bez końca.

*Pieśń o ziemi i Pieśń o domu*, były to dwa najobszerniejsze poemata Pola z rodzaju *pieśni*: przechodzimy teraz do *Gawęd*.

Do wydania tego rodzaju i do rozpoczęcia tój drogi, w ramach których miał nam Pol najwięcej dać kompozycyi, najwięcej jak się zdaje, przyczyniły się były (mówiąc praktycznie) przykład społeczny i zbieg osobistych stosunków poety. Jednocześnie z wystąpieniem Pola, uwag i upodobanie miłośników poezyi, zwróciły się były w kraju do kreślonych obrazków figur krajowych niedawnój daty, jużto wierszem, jak Pan Tadeusz Soplica przez Mickiewicza, już prozą jak pamiątki Soplicy przez Rzewuskiego; w opowiadaniach tego ostatniego, główną grał rolę ks. Karol Radziwiłł, zwany Panie Kochanku, przypadek zaś zrządził, że jedna z osób, z któremi poeta był związany i przyjaznym szacunkiem, i dawnym stosunkiem (p. Benedykt Winnicki), był kiedyś także czas

jakiś na dworze tego magnata i dopowiadał mu żywém słowem o tój postaci. To słowo żywe i owe śpiewy żywe, wpłynęły łącznie na ruch wyobraźni poety i owocem ich było opowiadanie, któremu dał napis autor *Przygody J. P. Benedykta Winnickiego* i wydał pod nazwiskiem *Gawędy*.

Rodzaj gawęd składa jak już wspominaliśmy największą liczbę utworów Pola; gawęda ta jednak *Przygody JP Winnickiego*, jak co do czasu, tak i pod wielą innemi poetycznemi względami pozostała do końca pierwszą; następne miawały już więcej treści, rozmaitości i myśli, ale żywość uczucia, świeżość fantazyi i nowość słowa—tój pierwszej, nie były w nich doścignionemi.—Treść tego opowiadania jest bardzo prosta. Pan Benedykt Winnicki po ukończeniu nauk u księży Pijarów, bawiąc na dworze wojewody Cetnera, był posłany od niego z listem do Nieświeża do księcia Karola Radziwiłła; nie był to jeszcze wcale czas telegrafów i pan Benedykt nim doczekał się odpowiedzi od księcia, przebawił na jego dworze lat trzy; wracając konno, zboczył był najprzód z listami do domu rodzicielskiego, a ujrawszy rodzica śród pola, skoczył był prosto ku niemu dla powitania; lecz od ojca (śnać już zamysłonego o dumie syna wracającego z dworu księcia) zamiast podziękowania i uściśnienia, otrzymał tegoż jeszcze wieczora pamiątkę cielesną za to, iż najprzód nie uszanował ojca najechawszy go koniem, iż nie zdjął czapki przed nim i przed figurą; iż stratował otawę, zbyt kował w stroju i jadł w dzień postny i t. p. Opowiadanie to całe jest ze szczególném życiém, werwą a zkadinań prostotą słowa prowadzone. Począwszy od pierwszych wierszy określających jasno ogólną treść powieści:

Nie dziś to się działo, ot kiedyś był młody  
Posłał mię mój ojciec na dwór wojewody,

do przygód na dworze księcia, i owój katastrofy w której ojciec „puścił go w kolój!” wołając:

„A drelich! a olój! a drelich, a olój!”

w opowiadaniu tém całym, mówimy, prócz charakterystycznie dobranych samych ram, każdy rys, każdy wyraz tak ściśle były wzięte z danego wieku, i przez to samo że stare i dziś już martwe stawały się nowe i żywe, iż gawędka ta ze szczególném współczuciem przez słuchaczy przyjęta i przykłaśnięta, szereg naśladowców wydała. Sam też autor uczył to, iż była to najprzychylniejsza szata dla rodzaju jego talentu i wszystkie prawie większych rozmiarów kompozycye, które odtąd dawał, były to *Gawędy*.

Przedmiotem ogólnym tych wszystkich gawęd, jak już wzmiankowaliśmy, było kréslenie charakterów i przygód mieszkańców kraju, a źródłem tego kréslenia była miłość; zaszła jednak była w tym czasie znaczna zmiana w umyśle poety co do szczegółów zwrotu tój miłości.

Ukochawszy on od lat pierwszych całość danego narodu, zwrócił ją był zrazu z przewagą do téj jego klasy, która będąc poniżona i uciskana, głównie wymagała moralnej opieki i podniesienia, to jest do klasy wiejskiej; widzieliśmy już jak w „Pieśniach Janusza“ łajał téj „szlachcie ciemnej co jeszcze wierzy w panów,“ a kończąc pieśń „O ziemi“ wzdychał do tego czasu, w którymby „znarowiona szlachta“ posiadała wreszcie rozum naszego kmiotka.

(A téj szlachcie znarowionej,  
Gdyby Bóg dał rozum kmiecy:  
Co za szczęście pełne cudu!... etc.).

Ale wkrótce owe nader tragiczne w roku 1846 wypadki galicyjskie, w pośród których poeta przyjaciel kmiotków, poczuł był na sobie tak bezwinnie ich dłoń (w Jasielskim), zbyt dobitnie przekonały poetę o przesadzie jego idealnej teoryi; wywołany nadto współcześnie (a między innymi i przez niego samego) prąd demokracji, zbyt się już był przyjął, i inne już klasy kraju zaczęły wymagać opieki: wysilano się w określeniach nadużyć, szkarady, wszelkich ujemnych stron dawniej szlachty, z której jednak jakkolwiek wypłynęło było istotnie wszystko złe w kraju, to jednak i to wszelkie dobro jakie bywało. Poeta kraj miłujący to uczuł, i aby nie zaginęły do szczytu szacunek i miłość ojców, zaczął podnosić i na oko stawieć strony ich dodatnie. W drodze téj być może iż wpadł był nawet poeta w pewien optymizm. W obrazach swoich przeszłości kreślił on tysiące charakterów, tysiące zwyczajów, a wszystkie te zwyczaje, te charaktery pod jego piórem, były to ideały; każdy zwyczaj o którym wspominał był to szczyt dobra, każdy charakter szczyt piękna, każdy np. w jego opowiadaniach syn, to najlepszy syn; córka najlepszą córką, żony anioły, każdy sługa to najwierniejszy sługa, każdy pan to najlepszy pan, każdy artysta geniusz, każdy duchowny święty i t. p. <sup>1)</sup>). Na usprawiedliwienie jednak poety rzec to można, iż przesada w napaści wymagała i w obronie niejakiój przesady. Obrazy, nadto które autor kreślił, właściwie nie były to fałszy, tylko że nieraz może ich otoczenia ujemne były usuwane. W sąsiedniej nam literaturze niemieckiej w roku zeszłym jeden z filozofów-krytyków (*Ed. Hartmann w Aphorismen über das Drama*) powstając na wymaganie moralów w układzie dramatów i zarazem na tych dramatyków, którzy kreśląc nasz świat pełen nieszczęść i złości, kreślą obrazy moralne, wyrzcił między innymi: „głupstwem jest czynić pochlebstwa Bogu i sprawy Jego w swych kompozycjach poprawiać“ trafnie jednak, zdaniem naszym odpowiedział mu na to drugi niemiecki krytyk i także krytyk-filozof (*Carriere* autor

<sup>1)</sup> Czytelnik, przypuszczamy, nie weźmie zupełnie literalnie tych twierdzeń; mowa tu tylko o charakterze silnie przemagającym.



*Loiki*) iż „poeta nie ulepsza sądów i rządów Bożych, ale umie obszerniej w nie wnikać; poeta jest to prorok, który w ułamku opiewa całość!“ Ostatnia ta uwaga odnieść się właśnie w pewien sposób może i do obrazów Pola, ich optymizmu. W chrześcijaństwie jest zbrodni wiele, nie chrześcijaństwo jednak temu jest winne, ale chrześcianie. Jestto pewnym, że rzetelna nauka chrześcijańska wykonywana ściśle, zdolną jest przynieść pokój, pociechę, szczęście; poeta znał zapewne nie jedną jednostkę, nie jedną rodzinę chrześcijańską, w życiu których oglądał te właśnie skutki i usiłował je z tego ułamku przenosić na całość.

To jest ogólna barwa tradycyjnych opowiadań poety;—treść ich w szczegółach odznacza zakładną dziejową wierność. Charakter kreślonej szlachty, to rzeczywisty charakter dawniej krajowej szlachty; widna tu w każdym np. pobożność i gorliwa pobożność, rycerskość, miłość bratnia, duch sejmikowy; w domu rola, łowiectwo i t. p.; cechy te wspólne niegdyś mniej więcej całemu rycerstwu, wspólne też mniej więcej w ogóle i każddej z gawęd poety; każdą jednak nadto odznacza i pewna właściwość, pewien przymiot głównie uosobiony w jej bohaterach: tak jedna z nich np. kreśli nam głównie w uosobieniu zawód *rycerza*, inna *artysty*, inna *gwar polityczny*, inna życie domowe, życie myśliwskie i t. p. Nazwiska tych opowiadań, czyli tych gawęd, które nam dał poeta są mianowicie: *Mohort*, *Wit-Stwosz*, *Senatorska zgoda*, *Sejmik w Wiśni Sądowej*, *Stryjanka*, *Pachole Helmańskie* i wreszcie pośmiertnie wydany *Starosta Książski*; powiemy tu w krótkich słowach o każddej z nich w kolei chronologicznej.

*Senatorska zgoda*. Chociaż gawęda „Senatorska zgoda“ wydana była dopiero w roku 1854, ukończoną już jednak była w roku 1851<sup>1)</sup>, i dla tego uważać się musi za pierwszy chronologicznie utwór autora (*Mohort* napisany był w r. 1852) z odcieniem wewnętrznym nowym. Właściwą powieść poprzedza tu zaczynający Gawędy prolog, a w prologu tym rozwinięty jest mianowicie, właśnie, ów optymistyczny pogląd autora na przeszłość krajową. Autor kreśli tu błogi jakoby stan w kraju dawniej społeczności szlacheckiej, i wyraża zarazem odpowiedź na niektóre czynione w karykaturze sądy społeczne; między innymi mówi tu:

Śmiech mnie bierze gdy słyszę dziś o nas mówiących,  
Lub co gorzej gdy czytam ciemięgow piszących:  
Że możne domy stały tylko starostwami,  
A szlachta dworską służbą za panów plecami.

i odpowiada:

O! co tak długo stało, to stało *posadą*.

<sup>1)</sup> Przesyłaną była w tym roku do umieszczenia w Bibl. Warsz.

Za jedną z cech téj posady kładzie autor gorliwie wyznawane chrześcijaństwo i z chrześcijaństwa wypływające braterstwo, wspomaganie się wzajemne, mianowicie zaś wspomaganie sierot i wdów i t. p. Klótnie i swary bywały, ale te były tylko zwykłe o drobnostki i na istotny ich walor przedsięwziął był właśnie wskazać w obecnym obrazku.

Rzecz się dzieje przy końcu zeszłego wieku w Sanockiem. W czasie tym w liczbie mieszkańców téj strony znajdowali się między innemi starosta *Mniszech* arystokrata, i *Mniszek* drobny szlachetka. Zdarzyło się iż sąsiad starosty pan podkomorzy *Bal* miał wadę w mowie i wspominając o panu staroście, zamiast nazwać go *Mniszchem*, nazwał *Mniszkiem*. Obelga była jawną. Pan *Mniszech* miał przyjaciół swoich a pan *Bal* swoich i wkrótce całe sanockie podzieliło się na dwa nieprzyjazne obozy. Skutki tych zająć dałyby się mianowicie dobitnie uczuć na nadchodzącym sejmiku, ale szczęściem dla odwiedzenia miejsca rodzinnego w tym czasie (a może to było w części i z inicjatywy króla) przybył w Sanockie jeden z senatorów Królestwa, biskup warmiński *Krasicki*, słynny poeta. Następowaly uczty po ucztach, a po ucztach wyprawianych dla siebie, wyprawił wreszcie *Pasterz* jedną u siebie, na którą zaprosił między innymi i głównych reprezentantów obu stronnictw. Przy uczcie opowiadano różne anegdotki a każda z nich wysmiewała jakiś z pierwiastków obecnej klótni, to śmieszność z drażliwości o drobiazg, to fałsz chępliwości ze swego rodu i t. p.; mianowicie zaś obudziła powszechną wesołość anegdotka opowiedziana w tym ostatnim duchu przez samego gospodarza, jak dwaj zagonowi szlachcice *Leszczyński* i *Popiel*, skłóciwszy się o swych królewskich przodków, weszli dla zgody do karczmy, tu zawołali zrazu wina! nie było; miodu! nie było

... a więc proces krótki:  
„*Salvis juribus familiae* daj nam żydzie wódki!“

Korzystając z wesołości ogólnej, z dobrego usposobienia, gospodarz wniósł kielich zgody; przyjęto go z oklaskiem, strony a nawet sam pan starosta *Mniszech* i pan podkomorzy *Bal* osobiście pojednali się,

I wróciła do ziemi znowu zgoda stara!

Nastąpiła tu zgoda i senatorów i szlachty; dlaczego jednak autor zgodę tę nazwał tylko senatorską? tego nie objaśnił, chyba dlatego, że z inicjatywy senatorskiej wypłynęła.

Poeta w poemacie tym zastosował i nutę swego opowiadania, czyli rodzaj wiersza do stylu sławionego poety. Wiersz jest w tém opowiadaniu poważny, gładki, dowcipny, mniej poetyczny.

*Sejmik w Sądowej Wiśni*. Podobną nutę i charakter jak *Senatorska zgoda* miała gawęda w roku 1853 napisana a w roku 1856 wydana p. n.: *Sejmik-generał województwa ruskiego, odprawiony w roku 1766 w Sądowej Wiśni, Sejmikowa szlachecka tradycja*.

Gawęda ta jest to skreślenie tysiąca rysów, anegdot, obrazków w prowincyi gotującej się do odbycia generalnego sejmiku (sejmiki generalne w województwie ruskiem odbywały się zwykle w Sądowej Wiśni) dla obioru posłów na sejm zwołany przez świeżo obranego króla (Stanisława Augusta) do Warszawy w roku 1766. Ze wszystkich poematów Pola, Gawęda ta najmniej powodzenia miała. Było to może dla tego, iż była ona w istocie gawędą więcej prozaiczną niż poetyczną, może dlatego, iż jako wierny tradycyjny obraz, była szeregiem smutnych po większej części i niemiłych obrazków: kłótni, kabały, zajęć; najwięcej zaś sądzimy dlatego, iż była to całość bez oznaczenia ram, zawiazku i celu. Śród różnych intryg czytelnik nie widzi tu nici, nie wie co myśleć o różnych ucierających się stronach, o ich bodźcach, o celach; której życzyć zwycięstwa i t. p. Rozmaitość obrazków z téj tylko chyba strony może budzić i budzi interes, iż jak zapewnia autor, wszystkie one były powtórzeniem żywych jeszcze tradycyj. Żywić nad inne skreśloną i dla tego o stopień więcej nad innych zajmującą jest postać jednego z kandydatów, który zdawał się prześcigać innych i fortuną i głową, ale był najmniej lubionym. Był to książę Adam (późniejszy feldmarszałek wojsk austryackich). „Książęta na Klewaniu i Starym Żukowie“ mówi autor, byli stronnikami reform, a stronnictwo to w owym czasie jak najmniej jeszcze miało sympaty i nawet rzeczywiste cele jego jasno znane nie były.

Więc ciężki mieli żywot mężowie téj drogi,  
I chociaż postawili nie jedno na nogi,  
Co ich czasy przetrwało i dzisiaj się krzewi; (oświata)  
To o ich wiernój służbie bractwo i dziś nie wie:  
Cóż dopióro za życia?

jeszcze o księciu Auguście i księciu Michale kraj wiedział, iż nie było większych nad nich statystów.

Lecz z księciem generałem była inna sprawa:  
Choć mu drogę utarła stara domu sława,  
Książę w niewielkim mirze u szlachty zostawał,  
Bo drwił lubił ze szlachty a lichu jeść dawał.

Po różnych jednak figlach, zajściach, swarach i bójkach, ostateczny wypadek sejmików stanął zgodny, a między innemi i książę Adam wyszedł posłem z ziemi Żydaczewskiej. I wniosek zapisuje autor podobny jak w gawędzie poprzedniej:

Niemozna temu przeczyć, było złego wiele;  
Ale miał każdy tydzień przecież swą niedzielę!  
A dziś—pokaż mi czleka co poczci przymierze!

*Mohort.* Po Senatorskiej zgodzie i Sejmiku w Wiśni sądowej ukaż się *Mohort*, opowiadanie, które ma treść odrębną, które najwięcej znalazło wzięcia i które rzeczywiście jest jedną z najznakomitszych kompozycji poety. Opowiadaniu temu dał autor nazwanie *Rapsod rycerski* a z tego względu któryś z krytyków u nas lubując oczywiście w superlatywach, rzekł: „Nie jest to Rapsod ale Epopea, nie jest to poemat miejscowy, lecz są to wielkie słowa o wielkim bohaterze“<sup>1)</sup>. Charakterystyka ta nie jest właściwą; słowa w tej gawędzie istotnie mogą się nazwać wielkie, lecz nie dlatego wielkie iż są o bohaterze wielkim (porucznik Mohort stał całe życie na kresach, kiedy wtargnienia nie odbywały się już na większą skalę; w formalnej batalii raz tylko znalazł się gdy był już w wieku i w tej poległ), ale są wielkie iż są właśnie jakby nie o rycerzu jednostce, ale ogólnym krajowym. Wiadomo iż nasze rycerstwo dawne miało swój oddzielny charakter, który się i wybitnie odznaczył i przez wieki przeciągał; każdy z takich rycerzy oprócz przymiotu odwagi (który to przymiot za czasów kiedy odwaga była głównym warunkiem zwycięstw, wysoko był podniósł kraj), bywał to zarazem i rycerz-chrześcianin i rycerz-rolnik; takiego to właśnie typu skreśleniem i przechowaniem jest *Mohort*, a skreślenie to jako wierne, dobitne, a poetyczne dało nam rzeczywiście pomnikowy utworek w dziale poezji.

Czas z którego jest powieść *Mohort*, był to czas panowania Augusta III i ostatniego obieralnego króla, czyli czas długiego pokoju, wśród którego życie obozowe wrzało tylko jeszcze na kresach. Czas ten a zarazem i czynność wśród niego bohatera powieści, tak autor w początku poematu tego kreśli:

Przeszedł czas długi saskiego pokoju,  
 Rozpił się naród i odwykł od boju;  
 Po nim nastąpił wiek innego kroju.  
 Stanisław August i uczył i stroił,  
 Lecz nie douczył ani téż dozbroił.  
 A mój pan Mohort przez te wszystkie czasy,  
 Gdy inni tylko popuszczali pasy,  
 Jak słup graniczny na granicy siedział.

Oddany jedynie obowiązkom służby, nabożeństwu, hetmanowi, krajowi, lubo nie zajaśniał żadnym wyjątkowym czynem, jednak przez sam bieg czasu, przez wytrwałność w swój barwie, nieposzlakowaność w jej cechach, urosł i w odznaczoną w swoim zawodzie postać, która nie tylko hetmanom ale i całemu krajowi stawała się znaną.

(Bo) że najstarszy był służbą i wiekiem,  
 Ze rzecz nie stała rangą lecz człowiekiem,

<sup>1)</sup> U *Rogals.* 457. Kto jest właściwie autorem powyższego zdania, nie wiemy.

Że wiecznie siedział na miejscu i łęku,  
Ztąd wszystkie końce jeden trzymał w ręku.  
Przeszli hetmani i regimentarze,  
A to się działo co pan Mohort każe.

I gdy król pytał: a co się tam dzieje?  
Jakiż od Dniepra duch tam teraz wieje?  
To zawsze wyszedł z party ukraińskiej  
Na wierzech pan Mohort i pan Madaliński.

A opinia ta podniosła go tak, iż lubo nie wyszedł nigdy na bohatera znanego w Europie, stał się jednak w dalszym zawodzie mistrzem jednego z bohaterów głośnej w następnym wieku po świecie całym wielkiej armii. Ten ostatni był też rzecz można i bohaterem drugim obecnej gawędy, tak właśnie jak w następnym kompozycyji p. n. *Pacholę hetmańskie*, drugim bohaterem w opowiadaniu tém był hetman Tarnowski. Pol lubił opiewać i przypominać sławnych hetmanów, ale demokratyczny umysł poety lubił zarazem podnosić na bohaterów pierwszego rzędu w utworach swoich postacie z ludu, a bohaterów *de facto* stawiać przy nich jako bohaterów drugiego rzędu. O tym więc bohaterze drugim *Mohorta*, tak autor pisze:

A pod te czasy przybył do Warszawy  
Był książę Józef co się z Kińskiej rodził,  
I za granicą długo do szkół chodził,  
I nabył nawet już wojskowej wprawy,  
Bo regimentem cesarskim dowodził.  
Ale że z rodu był wpółcudzoziemiec,  
Że nie znał kraju i nie miał zacięcia,  
Ztąd nie miał w wojsku ni w narodzie wzięcia  
I pospolicie był zwau: „Książę Niemiec.”

Na mistrza młodzieńcowi wezwanym więc był Mohort. Ks. Józef ochotnie mu się poddał, z nim był codzień na koniu, codzień na mustrze,

A piękne panie poczęły się żalić:  
„Co to za trudy na takie paniątko,  
Z takim rębaczem zdziczeje książątko!”

lecz zdatny uczeń umiał się wkrótce przejąć nie tylko obyczajem, zacięciem, ale i duchem i braterstwem miejscowóm i jak zrazu pozyskał był u dam, tak następnie i u ogółu kraju przychylnę glosy. Król chciał wynagrodzić Mohorta, ale ten rycerz-chrześcianin i rycerz-rolnik nie przyjął ani krzyża, gdyż mówił iż jeszcze na chrzcie wyrzekł się czarta,—ani starostwa, gdyż mówił że i ten kawał ziemi który ma, to mu za wiele po śmierci,—ale przyjął wdzięcznie ugoszczenie u króla i konia z rzędem, którego mu w imieniu króla ofiarował książę Józef.

Stosunki te uczyniły głośnym w kraju Mohorta, ale dni jego (których zkadinał był już syty) miały wkrótce być policzone. Wykonawca (w r. 1792) rozkazów księcia, pod dowództwem którego był oboźnym, bronić miał Boryszkowskiej grobli i padając na moście dał ostatnią lekcję swemu dowódcy;

Jak dąb się powalił,  
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił.

mówił p. Benedykt Winnicki, z którego słów autor spisał obecną powieść a który niegdyś po zakosztowaniu służby dworskiej chciał spróbować i wojskowej i był posłanym na kresy uczyć się jój u p. Mohorta.

Takie są najogólniejsze ramy Rapsodu *Mohort*. Dla bliższego poznania tak charakteru tego bohatera jak dykcji poematu, przytoczymy tu kilka krótkich ustępów.

*Postać Mohorta.* Winnicki po przybyciu na kresy, w izbie pustej mieszczącej tylko ławy i stół, ujrzał go po raz pierwszy śpiącego a raczój i we śnie czuwającego i tak ten widok określa:

Jak gdyby z grobu powstał hetman który,  
Taki mnie widok ugodził potężny;  
Taki mąż siedział przedemną orężny,  
Sędziwy, dzielny, groźny i ponury.  
Na koźle z drzewa uciosanym siedział,  
Niby na koniu, a choć sobie drzymał,  
Czuwał jak żóraw i o sobie wiedział,  
Bo śpiąc pistolet w prawej ręce trzymał.  
Biały włos lekko osrebrzał mu głowę,  
A rysy były tak pięknie surowe,  
Że więcój prawie podobien z daleka  
Był do posągu niżli do człowieka.  
Był to pan Mohort.

*Miłość Mohorta.* Mohort w wigilią śmierci wspominając przed towarzyszami o dziejach lat swych młodych, wspominał i o swój pierwszój i ostatniej miłości; pierwszy téż to podobno i ostatni ustęp w utworach Pola o tém uczuciu i dlatego tu wzmiankujemy o nim. Mohort odwołując ciało poległego towarzysza broni do jego wdowy (Różańskiej) poznał i ukochał tam jój córkę, ale gdy zaręczony odjechał i wrócił na ślub, znalazł ją na katafalku, bo nie przeżyła była rozpuszczonej fałszywie wieści o śmierci jego.

Sześć niedziel zbiegło mi na wdowim chlebie,  
Jak gdyby jedna godzina gdzieś w niebie.

O, biada sercu! i tój głowie biada!  
Bo panna Anna była mi tak droga,  
Że się tak kochać godzi tylko Boga!

I możem w życiu za to pokutował,  
 Żem taką miłość do niewiasty chował,  
 Jakaż człek wierny tylko niebu wierzy...

*Mohort-rolnik.* Porucznik Mohort miał futor, który wolnym cząsem sam uprawiał, i miał piwnicę dla siebie i braci. Kiedy ks. Józef przybył do niego odwiedzić go w jego futorze i znalazł go przy pługu, Mohort rzekł:

Z czego człek powstał, o tём myśleć trzeba,  
 Ani hetmanom bez Boga i chleba.

zaś dalej:

..... Ha! wprawdzie pospołu  
 Nie zjadłem z księciem jeszcze beczki soli,  
 Lecz jeśli łaska zjemy razem wołu,  
 I beczkę miodu wypijem powoli.

*Mohort-chrześcianin.* Połączenie tych dwóch tak przeciwnych z celu i zasady żywiołów i chrześcijaństwa i rycerstwa, t. j. miłości pokoju i miłości krwi, jakkolwiek napozór niemożliwe, było jednak faktem u całego rycerstwa wieków średnich (wojny krzyżowe) i do ostatnich czasów rycerstwa u nas; było więc ono jedną z cech stałych naszego krajowego rycerza. Mohort punktualny służbista za domem i w domu, jak był ścisłym w pełnieniu służby wojskowej, tak i w pełnieniu chrześcijańskiej. Prócz futoru miał on i celę w klasztorze, do której mianowicie zjeżdżał co rok w wielkim tygodniu dla odbycia spowiedzi i rekolekcyi:

A kiedy Mękę Pańską zakonnicy  
 Rozpamiętywać w końcu poczynali,  
 Klęczał i Mohort tam gdzie się kapnicy  
 Zakrywszy głowę w skrusze biczowali.  
 Aż w Wielki czwartek znów był mundur wzięty,  
 Gdy przystępował do spowiedzi świętój.

A po wieczery starym obyczajem  
 Na koń i do dom, komendę odebrał  
 Przed rezurekcyą i do ust nic nie brał,  
 Póki się z nami nie podzielił jajem.

W ogólności całe to opowiadanie o Mohorcie tak jest we wszystkich szczegółach charakterystyczne, dobitne a wierne, zwrócone jest tak przeważnie do jednéj górnującej jednostki i kreśląc ją głównie nie przez jój słowa, myśli, ale czyny, iż rzec można że daje nam nietylko obraz poetyczny lecz rzeźbę.

Sam zaś autor najogólniejszy zarys i znaczenie tego swego bohatera, temi kilku słowy trafnie odznaczył:

Był to ostatni rycerz z pod szyszaku,  
Dusza hartowna, wielka i pobożna.

Dodać tu wreszcie można następną uwagę. Każdemu który zna dzieje powszechne i dzieje kraju Mohorta, wiadomém jest: iż stopniowe szerzenie się plemienia Mongołów w Europie, powstrzymaném dopiero stanowczo zostało w XIII wieku na Szlaku polskim (pod Lignicą) a plemienia Turków pod Chocimem i Wiedniem (Chodkiewicz, Jan III); że przeto upoetyzowanie takiego *rycerza na kresach* było téżto zarazem jakby upoetyzowanie w miniaturze znaczenia kraju jego w dziejach powszechnych.

*Wit Stwosz.* Po Mohorcie napisanym był przez autora *Wit Stwosz.* Jeżeli w pierwszym z tych poematów znalazł był swe uosobienie *rycerz* chrześcijański, tedy znowu w tym drugim *artysta chrześcijański.* Któż to był ów Wit Stwosz?

Wieki średnie były to rzecz można wieki *młodości* kościoła chrześcijańskiego. Jeżeli epokę pierwszą dzieciństwa jako dzieciństwa odznaczył był głównie w kościele przymiot *pamięci* (tradycja, wiara), wiek młodości odznaczonym był przez główny przymiot młodości t. j. *fantazyę*; skutkiem doby było więc rozwinięcie się sztuki chrześcijańskiej. Rozwinięcie zaczęło się od architektury i rzeźby, a w téj ostatniej najgłośniejszém stało się było w Europie z owych czasów zaczęcia, imię Stwosza. Śród walki w rozwijaniu się sztuki dwóch stylów gotyckiego i arabskiego, Stwosz był przyczynił się świetnie do rozwinięcia się gotycyzmu. „Nie tylko u nas ale w całym ówczesnym świecie, uważa autor, jest on członkiem epoki, tym pamiętniejszym w dziejach sztuki, że się z nim ta epoka kończy.“ Mnóstwo jest dzieł w Polsce i Niemczech przypisywanych dłutowi Stwosza, ale najpewniejszém i najwięcej z nich słynném jest budowa ołtarza wielkiego w kościele Panny Maryi w Krakowie, na którym wyrte są szczegóły żywota Jezusa Chrystusa i Najświętszej Panny.

Wit Stwosz urodził się w Krakowie w r. 1447 i tu był starszym cechu, w r. 1488 odwiedził Norymbergę będąc wezwanym dla wykonania grobowca św. Sebalda, zaś w r. 1500 przeniósł się tam na stałe zamieszkanie. Oskarżony wkrótce podstępnie o fałszertwo, był piętnowany, zestarzawszy ociemniał i umarł w r. 1534.

Tego to Stwosza żywot wziął Pol za kanwę poematu i odcienia téj duszy artystyczno-chrześcijańskiej, której treść tak umiał rozumieć, w nim wyśpiewał. Naznaczony wskutek kłamliwego doniesienia za zdrasnych piętnem hańby, żyjący w osamotnieniu i ociemniały, artysta opowiada wnuczce swą przeszłość, swe szczęśliwe czasy młodości i pierwszój sławy w mieście rodzinném (Krakowie), do którego nacechowany piętnem wrócić już nie śmiał, a w opowiadaniu tém swe artystyczne uczucie i zapał nacechowane religijnością, łączy téż z religijném podaniem się obecnemu losowi, który poczytuje za karę dwóch występków:



uczuwania dumy z talentu i wyższości nad innych i opuszczenie kraju rodzinnego dla próżnej sławy.

W opowiadaniu *tém* z uczuciem kreśli artysta wnucze szczegóły ówczesnego Krakowa, pierwsze lata młodości, pierwsze natchnienia, pierwsze dzieła, które zjednały mu sławę, a mianowicie dzieje pomysłu, wykonania i pierwszego odsłonięcia tego dzieła, które tę sławę najwyżej mu było wzniosło t. j. wielkiego ołtarza w kościele Maryackim. Jedną z oryginalności w kreśleniach tych jest łączenie nie tylko ze szczegółami pomysłów, ale też i ze szczegółami zewnętrznych cech sztuki, nauk i uczuć chrześcijańskich. Wit który był nie tylko rzeźbiarzem ale i malarzem (koloryzatorem), przystępując do opisanego dnia owego pierwszego odsłonięcia ołtarza, w czasie którego zjawione słońce podniosło było efekt kolorów rzeźby, tak np. między innymi mówi:

Kiedy mistrz niegdyś wyzwał mnie w cechu,  
Rzekł po przysiedze: do wszelakich wzorów  
Jak sakramentów jest *siedm kolorów*,  
A jako piękność tęczy jest bez grzechu,  
Tak masz szafaryć tą skarbnicą tęczy.

I miałem siedm kolorów pod ręką,  
I nieraz z wielką nawet duszy męką  
Prosiłem Boga aby było żywe  
To, co w żywotach takie miłościwe.

Do wspomnień artystycznych łączy też artysta w opowiadaniu i wspomnienia historyczne społeczne, o mieście i ludziach, a szczegóły te *tóm* więcej przyodziejają je w koloryt czasu i jego interes wznoszą; wchodzi np. w tę powieść liczne wzmianki o Grzegorzcu z Sanoka, Długoszu, lutniście Berdyszu i t. p. Ten ostatni był przyjacielem od serca Stwosza i kiedy ten w r. 1500 po stracie żony i dzieci zamierzył był na mieszkanie przenieść się do Norymbergi, t. j. tam gdzie prace jego więcej były poszukiwane, rzekł mu proroczco:

..... obys nie zaszlochał,  
Żeś więcej sławę, jak ojczyznę kochał.

Ze wszystkich gawęd Pola jest to jedyna, w której autor ten nie tylko był wiernie przedmiotowym, ale też może w części i subiektywnym w kreśleniu uczuć swego bohatera. Z uczuciem np. szczegółom kreśli tu oburzenie i boleść tego bohatera na napaści niesłuszne, i rzecz można proroczco czas osamotnienia posunięty do utraty widoku świata. Uczucie chrześcijańskie poety zamiast sarkania lub zapierania się wiary w istnienie Opatrzności, kazalo tu raczej zapisywać jakby ten wniosek, że im więcej otrzymał kto darów, *tém* więcej staje się odpowiedzialnym, *tém* więcej musi być wymaganem od niego. Wit mówi kończąc:

Boską jest iskra która z nieba spadnie,  
*Lecz krzyżem temu na kogo upadła!*  
 I kto téj drogi w Bogu nie odgadnie,  
 Temu nie zajrzyć do prawdy zwierciadła.  
 I bięda światu gdy w złości niweczy,  
 To co w geniuszu po Panu jest święte,  
 A geniuszowi biada jeśli przeczy  
 Temu co dane i ođ Boga wzięte!

To jest morał tego poematu, który z wielu względów jest jednym z najpiękniejszych Pola.

*Stryjanka*. W kilka lat po *Mohorcie* i *Stwoszu* ukazała się nowa a obszerna gawęda autora ich, pod napisem *Stryjanka*. Obok podzielenia ogólnych cech wspólnych wszystkim, właściwością téj gawędy miało być to, iż autor zamierzył w niej uosobnić jedną z cech, która także zdaniem jego należała niejednokrotnie do właściwości charakterów naszej szlachty dawnéj, t. j. *jowialność*. Mimo zapowiedzenie jawne tego celu, same ramy powieści brzinią jednak raczej grobowo i smutnie aniżeli jowialnie, kreślą bowiem losy rodziny, nad którą przez trzy wieki ciążyła kłątwa.

Rzecz się dzieje na Podgórzu karpackim. Był tu zamek Bączala a nad dziedzicami wsi Bączalskimi, podwójna nawet, rzec można, ciążyła kłątwa: jedna fantastyczna, druga przygodna. Któraś z Bączalskich (było to jeszcze w XVI wieku) rozgniewana na synów za pośmiech z jój pacierza wyrzekła niebacznie: „Bodaj się po jednemu tacy już rodzili!“ t. j. bodaj żaden Bączalski nie miał nigdy więcej synów jak jednego i przekleństwo to spełniało się literalnie przez lat 300 na pojedynczych dziedzicach Bączali. Jeden z nich *rotmistrz* z czasów króla Jana zostawiwszy Bączalę jedynakowi, a córkę wydawszy za mąż za sąsiada Skalskiego zostawił nadto w papierach wzmiankę, iż w murach Bączali zamurował skarb przywieziony z pod Wiednia, który jednak naruszony być może tylko w razie zupełnego upadku rodziny, a wtedy będzie mógł być użyty i na korzyść dziedziców po kądzieli. Pretensye Skalskich i natarczywość o wyszukanie skarbu były odtąd drugim przekleństwem dla familii Bączalskich. Mimo jednak to podwójne przekleństwo Bączalscy bywali zwykle jowialni, bo przodek ich był jednym z członków sławnej Rzeczypospolitéj Babińskiej. Jakoż i Stanisław Bączalski bohater główny powiastki, wszystkie swoje troski i biedy kończył zawsze zagraniem wesołego ludowego tańca *stryjanka*. Spór ostatnich Bączalskich ze Skalskim koniec miał ten, iż zgodzono się wreszcie na odszukanie skarbu i podzielenie się skarbem tym, jednak po długim i troskliwym szukaniu wynalezionym okazał się tylko: *złoty morał*, iż nie należy przez cheiwość naruszać pokoju prochów.

Powiastka ta nie zyskała powodzenia i powód był prosty: samo jój założenie, skreślenie jednéj z rzeczywistych cech dawnych charakterów krajowych, wesołości, nie było zapewne naganném, owszem przyczynić

się mogło do przedstawienia w rozmaitszej pełni obrazów prawdy; ale chybioném było wykonanie. Jowialność i komizm nie należały do cech talentu poety i można wątpić, czyli któremu z czytelników przy odczycaniu téj powiastki od początku do końca, zdarzyło się chociaż raz uśmiechnąć; cała téż wreszcie jowialność bohatera Stanisława Bączalskiego, zależała głównie na tém, że każde zdarzone nieszczęście i każdą troskę kończył na zaśpiewaniu wesołej piosnki (stryjanki), ale same powtarzane wyrazy téj piosnki:

Wezmę ja skrzypki  
Z zielonej lipki,  
I zagram sobie.

oddychały raczej rezygnacją i melancholią, niż jowialnością. Oryginalne przekleństwo antecesorki Bączalskich i testament Rotmistrza, przekazyjący jako złoto morał, były zapewne z treści jowialne, ale towarzyszące im: nuta kłatwy i ironia z biednych następców, którzy istotnie z ostatniej nędzy, mogli się uciec do opieki przodka, zbyt mają coś sprzecznego z wesołością.

*Pacholę hetmańskie.* Ostatnim wreszcie ogłoszonym przez autora poematem historycznym, było opowiadanie o życiu jednego z dworzan hetmana Tarnowskiego Walentego *Różanki* <sup>1)</sup>, wydane p. n. *Pacholę hetmańskie* (1862 r. tom 2). Poemat ten, dzielący się nie na pieśni, ale na ksiąg pięć jest to napozór niepoemat, mający jedność artystyczną, ale zbiór tylko różnych obrazków jako obrazków. Jednością jest tu jednak właśnie całość żywota. Życie bohatera poematu, nie jest to wprawdzie życie jakiegoś rzeczywistego bohatera, jakiegoś wyjątkowej jednostki, ale powszedniój, wszakże właśnie dlatego samego staje się typem. Jak Mohort ogólnego rycerza, tak Pacholę hetmańskie jest typem ogólnego żywota naszych jednostek krajowych w wieku XVI-ym.

Poezyą dla czytelnika staje się tu już sama dawność barwy i sposób odbicia jęj. Staje tu bowiem przed nim kreślony obraz życia owęj dawnęj jednostki w jęj jakkolwiek naturalnych, lecz nader różnych przejściach, z całém bogactwem odcieni w każdém z tym przejść, z całym ich charakterem dziś znikłym i mimo to z całym wdziękiem słowa nam spółczesnego. W życiu tego bohatera powieści, najwyższym szczeblem znaczenia i odróżnienia to było, iż będąc młodym, przebywał na dworze hetmana Jana Tarnowskiego i dlatego zapewne dał autor powieści téj napis: *Pacholę hetmańskie*. Obrazki, które składają kolejno tło téj powieści, to jest owego życia jęj bohatera, są tu mianowicie:

Dworek szlachcica Różanki. Wyprawianie syna Walentego na dwór hetmana. Obraz dworu hetmana, ćwiczenia, karyera dworska, wyjazd na akademią, powrót i nowe zajęcia, wyprawy z hetmanem, śmierć

<sup>1)</sup> Wal. *Różanka* miał podobno rzeczywiście zostawić pamiętnik swego życia, z którego poeta korzystał.

hetmana, śmierć hetmanowej. Powrót do domu rodzica, śmierć rodzica. Pielgrzymka do Ziemi Ś. Niewola czyli jassyr pogański, wybawienie z niewoli, powrót do domu, asystowanie ślubowi przyjaciela i towarzysza niewoli, oddanie mu majątku, kątek zawarowany. Obrazy te i obrazki, ożywiane są nadto wtrąceniem, określeniem i historycznych współczesnych, jakimi między innymi są:

Pogrzeb Zygmunta I, Sejm piotrkowski, sprawa o królowę, sprawa Orzechowskiego, młodość hetmana (w opowiadaniu wdowy), Melchior Mościcki i jego kazania i t. p. Obrazy te i obrazki wszystkie, a zwłaszcza odnoszące się bliżej do samego bohatera są historycznie wierne, we wszelkich odcieniach rysów, odcieniach uczuć i poemat ten daje nam w ten sposób całość, od początku do końca prawdziwie oryginalną i obfitującą nad inne w piękności malarskie.

Iż całość taka, nie będąc epopeją bohaterką, może mieć jednak (i ma) rysy i cechy, które pozwalają jej nie ustępować takiej kompozycji, wskazaliśmy na to niedawno w oddzielnym artykule <sup>1)</sup>. Tu dla dania niejakiego wyobrażenia o dykcji poematu i tym religino-rodzinnym kolorycie, który tak był właściwy określanemu wiekowi, i który cechuje wszędzie i słowa i charakter samego bohatera, przytoczymy tu kilka wierszy z ostatnich kart poematu. Wybieramy tu ustęp już nie krajowo-rycerski, krajowo-polityczny, albo krajowo-artystyczny, ale krajowo-patniczny, a mianowicie z opisu odbytej pielgrzymki na Wschód.

Jest coś w człowieku, czego nie odeprze,  
I chociaż nie wie na czém stanie w końcu,  
Czyto na gorsze, czy może na lepsze;  
Lecz jak słońceznik zwraca się ku słońcu.  
Do Ziemi Ś. parło mię gwałtownie.

Okręt wenecki na brzeg mię wysadził  
W oném podgórzu sławnego Libanu  
I tam z pielgrzymy już pospołum radził,  
Jak w Ziemi ś. dalej służyć Panu.  
Pełni miłości, wiary i nadziei,  
Krocym z Libanu w ziemię Galilei,  
Po której stopy niegdyś Chrystusowe  
Znaczyły ślady na przymierze nowe.

I byłem potem w onym Nazarecie  
I w Betlejemskiej ubogiej stajence.

A cóż dopiero kiedym na Golgocie  
Rozpamiętywał zbawienia miłości,  
Tom się tak bardzo wzmocnił i ukoił,  
Że siłą ona, którą Bóg uzbroił,

<sup>1)</sup> Stefan Czarniecki i *Pacholę Hetmańskie*. Kłoso NN. 414 i 415.

Stoję aż dotąd na nic niedbający,  
 Mężny w cierpieniu, a w Panu gorący.  
 I daj mi Boże w téj chwili skonania,  
 Kiedy się przyjdzie mieć precz z tego dwora,  
 Czekać w téj sile wielkiego spotkania  
 Hetmana mego i księdza Melchiora,  
 Pana Maruszkę i mego Rodzica.

*Starosta Kiślarski.* Pacholę hetmańskie było ostatnim wydanym przez autora poematem historycznym, lecz nie ostatnim podobno jego pióra; otrzymaliśmy bowiem właśnie nową już po śmierci jego wydaną gawędę obyczajową p. n. *Starosta Kiślarski*. Gawęda ta, jak uprzedza w części sam autor, miała na celu przechować w pamięci i szczegółach jedno z najulubieńszych zajęć naszych przodków. Treść jej jest to rzecz można jakoby annex do pieśni o *domu*; grają tu główną rolę szczególnie pielęgnowania, żywienia, użytkowania u nas zwierząt domowych, a zwłaszcza posługujących do owęj najulubieńszej rozrywki wiejskiej łowiectwa. Głównym bohaterem gawędy, jest nawet nie tyle sam starosta, jak ulubiony chart jego *sokol*, który obity przez pana, uprowadził całą psiarnią w pole i nie wrócił aż na zawołanie córki starosty Hanny, która karmiła psiarnią. Rytm tu ma więcej koloru i werwy, niż nie w jednej gawędzie z lat młodszych Pola, jak n. p. w *senatorskiej zgodzie* albo w *sejmiku w Wiśni* <sup>1)</sup> jest nawet na miarę najpierwszą z jego gawęd (Przygody Winnickiego).

*Gawędy i pieśni opisowe*, o których tu powiedzieliśmy, są to najgłówniejsze poetyczne utwory u Pola, nie są to jednak już wszystkie. Do tych, które znamy, należą jeszcze liczne jego poezye drobne, a nadto z kompozycji większych malarsko-historyczny dramat, który ma napis *Powódź*. Dramat ten jako dramat, jest to utwór zdaniem naszym chybiony, ale talent poety i tu być nie przestał talentem. Mimo wady układu i ciężkość ruchów, odznacza go od początku do końca prawda charakterów i piękny rytm i o tym przeto utworze rzecz wypada szczegółowiej słów parę.

Miejszem dramatu jest owa w pieśni o ziemi najsmutniej przedstawiona okolica, ziemia *Pińska*. Co smutne być może i romantyczne. Jedną z cech ziemi Pińskiej według objaśnienia autora jest to, iż ją co rok w pewnej porze roku okrywa *powódź*; w miejsce pól, łąk i wiosek widać wtedy tylko morze i wyspy, ludność cała przenosi się wtedy na łodzie

<sup>1)</sup> Poeta, jak się zdaje i sam był zagorzałym miłośnikiem myślistwa, i w ostatnich latach dał nam szczególnego zawarcia publikację p. n. *Rok myśliwca*. Jest to opisanie szczegółowe każdego miesiąca roku pod względem *astronomicznym* (wierszom) i pod względem zoologicznym, a zwłaszcza *myśliwskim* (prozą). Opisy te ozdobione i objaśniane tu są nadto i przez drzeworyty.

(dziubasy); czas taki wywołuje nowe warunki życia; dla czasu tego był nawet naznaczonym dawniej nowy urzędnik, honorowy dygnitarz, który przedsiębrał stosowne do czasu środki i godził sprawy, a który miał tytuł *Mostowniczy*. Akcja dramatu *Powódź* jest z połowy wieku zeszłego, odnosi się więc do czasu, w którym istniał jeszcze właśnie ów urząd, a część ludności miejscowej składali Cyganie z swoim królem szlachcicem, i dla których powódź, dająca zręczność do dopuszczania się bezkarnie różnych sprawek, była czasem świętecznym.

(Dokończenie nastąpi).

---

## O DZISIEJSZYM KIERUNKU W NAUCE EKONOMII POLITYCZNEJ.

NAPISAL

*Dr Karol Strasburger.*

Ekonomia polityczna zajmuje się badaniem gospodarstwa społecznego, zwraca się więc do codziennego życia, rozważa działalność gospodarczą pojedynczego człowieka lub całego społeczeństwa, stara się ująć to, co stałe w objawach téj działalności, powiązać niezmiennie po sobie następujące fakta, jako przyczyny i skutki ustalić w ten sposób prawa ekonomiczne.

Zjawiska więc najprostszej natury, zjawiska powtarzające się codzień, stanowią sferę poszukiwań i punkt wyjścia ekonomii politycznej. Nauka ta, jako pewna organiczna całość, zawdzięcza swe powstanie Adamowi Smith. Poddał on badaniu ówczesne życie gospodarcze, tak jak je zastał i na jego objawach oparł swój system.

W wieku XVIII, w którym żył i działał Adam Smith, rozwijać się zaczął przemysł oparty na kupnie i sprzedaży, wzmagać się zaczęło bogactwo. W wiekach średnich sfera gospodarstwa każdej jednostki była po większej części ściśle odgraniczoną i odosobnioną od sfer innych jednostek. Każdy starał się wyprodukować u siebie w domu wszystko, co mu było potrzebném do zaspokojenia swych potrzeb. Moźniejsi zapewniali słabszym spokój i bezpieczeństwo, naturalnie bezpieczeństwo względne, o ile to w czasie panowania prawa pięściewego było możliwém; słabsi zobowiązywali się za to nawzajem do pewnych

usług osobistych lub do danin; z zamkniętej sfery ich gospodarstwa, wydostawała się więc tylko ta część wytworzonych produktów, która w naturze, jako podatek, przechodziła w posiadanie stojącego przez urodzenie wyżej w hierarchii społecznej. Miasta stanowiły niejako wyjątek; ale i tu wymiana odbywała się na małą skalę, po większej części tylko w obrębie murów miejskich. Skomplikowane objawy dzisiejszego rozdziału bogactw, zupełnie jeszcze nie były znane. Rozdział, o ile miał miejsce, opierał się na zwyczaju, tradycji, a te na przywileju, który zapewniało urodzenie i siła fizyczna.

Powoli ten stan rzeczy zmieniać się zaczął; potęga rycerstwa złamaną zostaje, drogi stają się pewniejsze, zawiązują się stosunki między odleglejszemi stronami, wzmagają się wymiana produktów, w której pośredniczy pieniądz. Składanie danin w naturze ustaje, zamieniają się one na czynsze i podatki pieniężne. Nastaje epoka gospodarstwa pieniężnego, stosunki ekonomiczne upraszczają się i rozszerzają. Przybywa też coraz więcej podmiotów do produkowania bogactw. Prawo karze gwałty, każdy czuje obecnie nad sobą opiekę państwa, nabywa pewności, że to, co pracą własną sobie zarobi, pozostanie jego własnością, że nikt mu tego siłą nie zabierze, pracuje też usilniej niż dawniej. Z drugiej znów strony potrzeby się wzmagają; ten, który poprzednio nie dbał o wygody, gdy widział, że wszyscy na około niego równie skromnie żyli, teraz przekonywa się, że kto się dorobił mienia, nie jedną przyjemność sobie zapewnić może; czuje więc brak tego, za czém dawniej nie tęsknił i stara się o środki potrzebne do postąpienia w ślady bogatszych od siebie. A o zarobek teraz łatwiej niż dawniej; nietylko ziemia go zapewnia tak jak to było poprzednio, gdy przemysł był uspiony; ludzie uczą się korzystać z innych jeszcze sił przyrody, nietylko z zamkniętych w roli, zaprzęgają je do pracy, spożytkowują je, używając kapitał t. j. maszyny za pośrednika, wytwarzają bogactwa dla siebie, gdyż pracy sił przyrody, nie oddają drugim za darmo; niemający kapitału, nie potrafi nagiąć tych sił do swego użytku, ten więc, dla kogo pracują, oddaje rezultat ich zużycia tylko za inne wartości. Dla posiadających kapitał, otwiera się zatem nowe źródło bogactwa, prawie nieznanie dawniej. Ale kierować siłami przyrody, naginać je do produkcji bogactw może tylko człowiek posiadający kapitał, każe się w pracy zużytkowania tegoż najczęściej zastępować przez innych; zjawia się skomplikowany stosunek właściciela fabryki i robotnika. Jaka część wytworzonej wartości ma przypaść dla kapitalisty, a jaka dla robotnika? Znaczenie bogactwa się wzmagają, powstają nowe stosunki gospodarczej natury, ludzie myślący zaczynają się zastanawiać nad pytaniami należącymi do tej sfery, zjawiają się traktaty naukowe, odnoszące się do materij ekonomicznych, wreszcie występuje skończony systemat ekonomii politycznej. Cóż przedewszystkiem myślicieli tych uderzyć musiało przy badaniu ówczesnych stosunków? Rozdział bogactw opierał się w dawniejszych czasach na przywileju. Tak się działo, gdy szło o to, jaka część plo-

nów, które wydała ziemia, miała być oddaną panu lennemu, a jaka pozostać dla tego, kto je wyprodukował; powtarzało się to samo, gdy majster cechowy nie wyzwał swego czeladnika na równego sobie, aż póki ten nie wysłużył u niego pewnej liczby lat i nie pokonał rozmaitych przeszkód, które stawiali chcącym pracować na własną rękę zazdrośni o swe przywileje majstrzy cechowi; jednakże powoli władza w państwie koncentrować się zaczyna w rękę monarchy, przechodzi do niego od stanów; znaczenie stanów słabnie, przywileje ich znikają. Panujący przy pomocy swych urzędników, rządzić zaczyna państwem wyłącznie, kruszy przywileje stanów, przenosi je na siebie. Zaczyna się epoka absolutyzmu monarchicznego. Dawne daniny zamieniają się na uciążliwe podatki, wszelkie stosunki ekonomiczne, które porządkowały się na podstawie tradycji, zaczyna regulować państwo. Państwo ogłasza taksy na żywność, państwo oznacza, jak robotnika płacić należy. Wskazaliśmy powyżej, jak sfera stosunków ekonomicznych, coraz się rozszerza, ramy w których się mają zamknąć, nie wystarczają im; państwo skruszyło wprawdzie pęta przywilejów średniowiecznych, ale nałożyło za to pęta nowe, bardziej kępujące swobodę jednostek gospodarujących, niż dawne więzy; tamte dawały się nieco rozluźnić, tradycje dawne mogły być częściowo zmienione, gdy tego niezbędna zachodziła potrzeba; stosunki były bardziej bezpośrednie, węzeł patryarchalny łączył strony ze sobą; w czasie zaś absolutyzmu między państwem a jednostkami pracującymi leży przepaść niezgłębiona, państwo stoi po za społeczeństwem, głosy uciemiężonych nie dochodzą tam, gdzie o ich losach wyrokuje.

To kępowanie działalności gospodarczej społeczeństwa przez państwo, to niedowierzanie społeczeństwu, że ono samo gospodarstwo swe urządzić potrafi i obejdzie się bez tysiącznych przepisów państwowych, które i tak wyczerpującymi być nie mogły, to było najwyższą klęską społeczną w większej części krajów europejskich w chwili, gdy Adam Smith badał ich stosunki ekonomiczne.

Praktyka wykazywała nadto, że całe to sztuczne porządkowanie gospodarstwa społecznego, nie prowadziło do celu. Rozporządzenia pozostawały nieraz martwą literą; istniały taksy na ceny żywności, ale się do nich nie stosowano; zabronione było pobieranie wyższych procentów nad prawem przepisane, a lichwa coraz bardziej się krzewiła.

Wystąpić przeciw temu regulowaniu działalności gospodarczej jednostki przez państwo, to musiało być zadaniem człowieka zdrowo patrzącego na ówczesne stosunki. Tak też uczynił A. Smith. Widział on, że złe złąd pochodzi, iż jednostka nie ma zostawionej sobie wolnej woli do działania swobodnego, do gospodarowania tak, jak tego jej interes osobisty wymaga. Wszakże społeczeństwo nie z samych dzieci się składa; pozwólcie każdemu myśleć o sobie, starać się o swoją własną korzyść, a całe społeczeństwo bogacić się będzie—to było myślą podstawową Adama Smitha.



„Każdy myśli przedewszystkiém o tém, ażeby użyć jak najkorzystniej swego kapitału. Tylko swój interes, a nie dobro społeczeństwa ma na oku; ale to zwracanie uwagi na swoją korzyść, prowadzi go w naturalny a raczćj konieczny sposób do tego, że kapitału swego używa zarazem z największym pożytkiem dla całego społeczeństwa“ (ks. IV rozdz. 2).

„Jeżeli każdy działa tylko w swoim interesie, to popiera interes społeczeństwa daleko skuteczniej, aniżeli gdyby miał rzeczywiście zamiar działać tylko dla dobra tegoż społeczeństwa“ (tamże).

To powołanie się na egoizm, leżało zupełnie w kierunku ówczesnej filozofii angielskiej i francuzkiej. Niektórzy przyznawali, że oprócz egoizmu istnieje jeszcze pierwiastek sympatyj dla drugich, ale w każdym razie ten popęd miał się objawiać w innych sferach, a nie w działalności gospodarczej człowieka. Inni zaprzeczali wprost, ażeby prócz egoizmu istniały w człowieku inne popędy. Mandeville w swój znanój bajce o pszczołach z 1714 <sup>1)</sup> wypowiada np. zdanie, że cnota szkodzi ogólnej pomyślności, że niech każdy, jak pszczoły, myśli tylko o tém, ażeby jemu było dobrze, a wszyscy najlepiej na tém wyjdą. Smith buduje tćż cały swój system ekonomiczny na zasadzie egoizmu. Oto w kilku słowach jego teoria rozdziału bogactw:

W krajach cywilizowanych cena towarów rozpada się na trzy części: na zarobek dla robotnika, na dochód od kapitału i na rentę gruntową. Robotnik, musi oddać część ceny właścicielowi ziemi za dostarczenie materiału surowego i część kapitaliście za dostawienie maszyn lub narzędzi. Wysokość zarobku zawisła od ceny środków niezbędnych do utrzymania życia, ale głównie od stosunku ilości rąk, szukających zajęcia, do ilości rąk żądanych przez kapitalistów. Od tego stosunku zależy tćż wysokość dochodu od kapitału, tylko im wyższy zarobek, tćm niższy dochód od kapitału i odwrotnie. Renta gruntowa czyli część ceny przypadająca dla właściciela ziemi, jest przewyżką wartości tego, co ziemia rodzi nad koszta uprawy ziemi i nad procent zwykle w kraju płacony od kapitału, jaki został włożony w ziemię; wysokość renty zależy jużto od ilości, jużto od ceny produktów ziemi.

Zarówno robotnik jak tćż kapitalista i właściciel ziemi starają się o zagarnięcie dla siebie jak największej części ceny gotowego towaru. Interes osobisty każdego z nich ściera się z interesem osobistym przeciwników: te siły oddziałują na siebie wzajemnie, częściowo się znoszą i w ten sposób regulują. Takie jest znaczenie prawa ilości zaoferowanych i żądanych, czyli jak je nazwano u nas niezbyt jeszcze utartym wyrazem prawo podaży i popytu <sup>2)</sup>. Egoizm naprze-

<sup>1)</sup> Fable of the bees, or private vice public benefit.

<sup>2)</sup> Z powodu nie rozpowszechnienia tego wyrazu, nie używam go w pracach popularnych, dla niezaciemniania rzeczy wyrażeniami technicznymi.

ciw siebie stojących klas, rozstrzyga o wysokości zaofiarowania i żądania. Rozporządzenie państwowe nie jest w stanie zmienić ani zaofiarowania, ani żądania, gdyż nie powiększy ani nie zmniejszy ilości robotników szukających zajęcia, lub kapitałów w kraju się znajdujących, lub wreszcie obszaru gruntu uprawnego. Państwo nie jest więc w stanie zmienić przyczyn, od których zależy rozdział ceny; jeżeli przyczyny nie zostaną zmienione, to skutek ten sam niezbędnie nastąpić musi; dlatego to rozporządzenia państwa, że zarobek ma być tak a tak wysokim, lub że nie wolno pobierać innego procentu jak w wysokości przez prawo oznaczonej, muszą pozostać bezsilne, czepiają się skutków nie zmieniając przyczyn. Państwo nie powinno się wcale mieszać do stosunków ekonomicznych, społeczeństwo gospodarujące może państwu powtórzyć prośbę Dyogenesa, żądającego od Aleksandra ażeby mu słońca nie zasłaniał: „Usuń wszystkie twe rozporządzenia, nie mieszaj się do moich spraw, oto wszystko co dla mnie zrobić możesz.“

Wkrótce sto lat upływa jak zasady te przez Adama Smitha wypowiedziane zostały <sup>1)</sup> i prawie przez sto lat, przez wszystkich mniej więcej ekonomistów powtarzane były. Stały się one dogmatem, interpretowano je rozmaicie, ale w bezwzględną ich prawdę wierzone. Interpretacja jak to zwykle bywa coraz bardziej krańcowo wypadała. Nieubłagalność praw ekonomicznych Smith'a z całą jaskrawością przez Malthus'a została przedstawiona. Kraje cywilizowane dążą do przeludnienia, mówi on, a przeludnienie znaczy zbyt wysokie zaofiarowanie ze strony ludzi szukających pracy; następstwem tego niski zarobek, a w ślad za tém idą epidemia i śmierć: „tak sama przyroda nakazuje niepotrzebnym na tym świecie się oddalić i nie zwleka z przeprowadzeniem swego rozkazu.“

Carey i szkoła francuzka główny znów nacisk położyli na harmonią, do jakiej ma bezwzględne panowanie egoizmu doprowadzić.

W zwiększaniu się ludności, powiada Carey, niema żadnego niebezpieczeństwa. Zaofiarowanie rąk do pracy wprawdzie się przez to wzmaga, ale jeszcze więcej przybywa środków do utrzymania, gdyż podział pracy coraz się zwiększa, a wskutek tego każdy przy mniejszem natężeniu sił produkuje więcej; zresztą konsument zbliża się do producenta, oszczędzają się więc koszty przewozu. Obawa przeludnienia, obawa zbyt niskiego zarobku jest płonna, stosunki ekonomiczne same harmonijnie się porządkują.

Niema sposobu do zmienienia naturalnego rozdziału ceny gotowego towaru, mówi Bastiat. Rozporządzenia na niekorzyść kapitału przestraszą go, wpływają na usunięcie się tegoż z rynku, a właśnie w interesie robotników leży, ażeby kapitału obiegało jak najwięcej;

<sup>1)</sup> Jogo systemat ekonomii politycznej „an inquiry into the nature and causes of the wealth of nations“ wyszedł w 1776 r.

więcej kapitału na rynku znaczy więcej żądanej pracy, znaczy więc wyższy zarobek: „kapitał odstraszać od użytku produkcyjnego, znaczy wkładać kajdany społeczeństwu gospodarującemu.“ Wytworzenie się instytucji zarobku zdjęło wszelkie ryzyko z pracujących, wkładając je na kapitalistów.

Tak starano się wykazać, że chociaż prawa ekonomiczne urzeczywistniają się w świecie z równą nieubłagalnością jak prawa przyrodzone, to przecież z natury swój nie są niebezpieczne dla człowieka. Ślepa siła wiatru wzburza morze i niesie śmierć człowiekowi, który potężnemu żywiołowi oprzeć się nie potrafi. Z podobną niezbędnością działająca siła egoizmu podnosi fale na morzu stosunków ekonomicznych, ale niema się stać straszną dla człowieka.

Tak twierdzą optymiści ekonomiczni w rodzaju Carey'a i Bastiat'a. Ale klasy interesowane nic o tym optymizmie wiedzieć nie chciały. Ludność robocza dochodzi do przekonania, że zbyt nisko jest wynagradzana, nie słucha przestróg ekonomistów twierdzących, że zarobek podlega prawom naturalnym, które bezkarnie naruszać się nie dają; rozpoczyna walkę z kapitałem i rzecz dziwna wbrew przepowiedniom na prawach Adama Smith'a opartym, zarobek wyższy sobie zdobywa.

Ludzie bezstronni, życie ekonomiczne badać zaczynają z podwojoną usilnością. Spostrzegają, że zmieniło się ono wielce w porównaniu z czasem, w którym żył A. Smith. Poznikały taksy rządowe na ceny żywności na wysokość zarobku, poznikały zakazy pobierania wyższych procentów, poznoszone zostały przeszkody dla szukającego zajęcia w przenoszeniu się z miejsca na miejsca, państwo nie stara się wpłynąć na popchnięcie przemysłu na te lub owe tory; panuje więc swoboda ekonomiczna, ale o harmonii jaką to puszczenie samopas egoizmu jednostek, sprowadzić miało, mowy niema.

Wprowadzenie instytucji zarobku usuwa podług Bastiat'a wszelkie ryzyko dla robotnika. Cóż znaczą jednakże przesilenia przemysłowe? Wszakże tych nie sprowadza mieszanie się państwa do gospodarstwa społecznego. Posłuchajmy czy życie robotnika jest tak wolnym od wszelkiej troski o jutro, jakby sądzić można, opierając swoją znajomość świata na opowiadaniach Bastiat'a.

Oto kilka przykładów:

Antoni Bemer, 67-letni starzec, robotnik tkacki, zamieszkały w Schönberg na Szlązku, opowiadał autorowi sumiennie napisanej książki, z której te przykłady czerpiemy <sup>1)</sup>, podczas strasznego przesilenia przemysłowego między tkaczami na Szlązku w 1844 r., że łzami radości w oczach, że miał szczęście podczas gdy zajęcia znaleźć nie mógł, odkryć dwa padłe konie w bliskości; ich mięsem żył przez pewien czas on, jego żona i troje dzieci.

<sup>1)</sup> Aleksander Schneer „Ueber die Noth der Leinen-Arbeiter in Schlesien“ 1844.

Bogumił Hubrich tkacz w Ober-Laugenöls, ojciec czworga dzieci, służył w wojnach przeciw Napoleonowi I; tam stracił nogę; zarabiał wraz z żoną swoją, która miała złamaną rękę i sztywny palec, ale mimo to przędła i z piętnastoletnią córką, której wzrost 4 stóp nie dochodził, 1 srg. i 6 fenigów. Z tego płacił on tygodniowo 3 srg. komornego. Reszta zarobku nie zawsze wystarczała na chleb na ich rodzinę z sześciu osób złożoną, najczęściej zaledwie na kartofle.

Czy nie opadnie nas pewna niechęć, jeżeli mając na pamięci te przykłady, otworzymy książkę Dunoyer'a „o wolności pracy“ i przeczytamy tam następujący ustęp:

„Słuszném jest, że w społeczeństwie istnieją niższe szczeble, na które spadają, co się źle prowadzi; wejście na wyższe jest nagrodą za poprawę. Tam nisko panuje nędza; sam fakt, że ona istnieje jest postrachem dla ludzi nierozsądnych, rozrzutnych, hołdujących zmysłom. Jeżeli się odstraszyć nie dadzą, wpadają w tę okropną otchłań.“

Czy to nie wygląda na ironią? Zdaje nam się, że słyszymy ten sam głos, którym społeczeństwo przemawia u Heinego nad trupami dwojga kochanków, zmarłych z niedostatku i zimna, zalecając w podobnych razach zaopatrzenie się przeciw mrozowi za pomocą ciepłych kołder i pomyślenie o zdrowym pokarmie.

Spółczeństwo zazwyczaj nie chce nic wiedzieć o wypadkach podobnych do powyżej cytowanych, czyni jak towarzysze Odysseusza, którzy przepływając koło wyspy przez syreny zamieszkałej, woskiem zatkali sobie uszy, ażeby nie słyszeć niebezpiecznego dla siebie śpiewu. Ale nie usuniemy przez to nędzy, że głosu jej nie będziemy chcieli słuchać. Poznać ją trzeba z blizka, wejrzeć w jej przyczyny i myśleć o ratunku, gdy się sądzi, że pomoc jest możliwą, lub trzeba mieć odwagę, być konsekwentnym i razem z Malthusem wyznać, że w społeczeństwie każdem leży dążność do gotowania sobie nędzy.

Tak w obec rzeczywistości upadła myśl o harmonii, do jakiej ma prowadzić bezwzględne panowanie egoizmu jednostek gospodarujących, gdy tylko zostawionym mu będzie pole do swobodnego rozwinięcia się.

Ale, pytać się zaczęto dalej, czy jest téż prawdą, że jednostka gospodarująca powoduje się wyłącznie egoizmem? czy jest prawdą, że prawa ekonomiczne wszędzie i zawsze znajdują bezwzględne zastosowanie? czy koniecznie więc pchani jesteśmy do Malthus'a pesymistycznego zapatrywania się na świat? Już w 1848 r. odpowiada na to Hildebrand <sup>1)</sup>: „Szkoła Adama Smith'a zapomina zupełnie o tém, że człowiek żyjąc w społeczeństwie, jest zawsze dzieckiem cywilizacji i wytworem historii, że jego potrzeby, jego wykształcenie, jego stosunek do świata otaczającego i do innych ludzi zmieniają się bezustannie w miarę tego, gdzie i kiedy żyje, że postęp ludzkości wpływa na postęp pojęć każdej jednostki.“

<sup>1)</sup> National ökonomie der Gegenwart und Zukunft.

W tym samym roku w Anglii J. Stuart Mill wystawił prawa wynalezione przez A. Smith'a w innym świetle, aniżeli to do owéj chwili czyniono. Oparcie praw ekonomicznych wyłącznie na egoizmie jednolitej gospodarującej nie znaczy, ażeby w praktyce egoizm był jedynym motorem czynności gospodarczych. Ale jak mechanika i fizyka prawa swe wynajdują dla ciał w próżni, a stosują je później do przestrzeni napełnionych powietrzem, pamiętając, że to sprowadzić musi pewną różnicę w rezultatach, tak samo podług Mill'a ekonomia przez abstrakcyę tworzy sobie świat, w którym panuje tylko egoizm, ażeby wynaleźć prawa pewne, nie zaciemnione wpływami innych sił, a potem przy stosowaniu praktycznym o wpływach tych dokładnie pamięta. Mill twierdzi, że sam A. Smith tak tylko prawa swe rozumiał, to samo mówi téż Buckle w swojej historii cywilizacji.

Nie tu miejsce rozbiierać o ile to jest prawdziwém odnośnie do Smith'a, to jednakże jest pewnym, że szkoła jego bynajmniej praw tych tak nie rozumiała, a i sam Mill, kiedy oznacza stanowisko państwa w obec stosunków ekonomicznych, o téj hypotetyczności zapomina.

Na te inne wpływy neutralizujące działanie praw ekonomicznych na egoizmie opartych, z biegiem czasu coraz więcej uwagi szczególnież téż w Niemczech zwracano. Coraz częściej powtarzać zaczęto, że zasady głoszone przez A. Smith'a pojmować należy odnośnie do stosunków, wśród których on żył, że powołanie się na egoizm było reakcją przeciw opiece jaką państwo nękało na każdym kroku swych obywateli, że życie ekonomiczne w coraz nowych formach się zjawia, że ekonomia to życie badać powinna, że nie może się zasklepiać w abstrakcyach o egoizmie, którym praktyka bezustannie kłamał zadawać będzie, ale że zadaniem jéj uwzględnić wszystkie czynniki na unormowanie stosunków ekonomicznych wpływające.

Niezadowolnienie klass roboczych, ciągłe zajęcia między właścicielami fabryk a ich robotnikami, wzrastanie proletaryatu, były powodem, że przedewszystkiém w ostatnich czasach kwestyą zarobku i pobliżkami jéj się zajęto. Teoretyczne roztrząsanie kwestyi robotniczej, czyli jak ją nazwano, kwestyi socyalnej, weszło na porządek dzienny. Cała wybitna różnica zapatrywań dawnéj i nowéj szkoły na tém téż polu się objawia.

Wysokość zarobku zależy od stosunku zaofiarowania do żądania pracy, reguluje się on w sposób naturalny, konieczny; ani państwo, ani żadna ze stron interesowanych stosunku tego zmienić nie mogą, uczy szkoła dawna.

Stosunek zaofiarowania do żądania pracy ma wpływ na wysokość zarobku, ale stanowczo o niéj nie rozstrzyga. Podniesienie poczucia godności osobistej w człowieku pracującym wpłynie na to, że zacznie on wyżej cenić swą niezależność, swą pracę, wartość jéj w porównaniu do kapitału się podniesie, płaconą będzie wyżej, chociaż stosunek zaofiarowania do żądania się nie zmieni. A zresztą to, że zaofiarowanie

kapitału przeznaczanego na zapłatę pracy jest takie a nie inne, zależy od tysiącznych przyczyn. Wszakże nie cały kapitał istniejący w kraju służy na zakup pracy, głębiej więc szukać należy przyczyn, dlaczego stosunek zaoferowania do żądania jest taki a nie inny. Nie potrafimy rozwiązać tego pytania, jeżeli nie zwrócimy uwagi na czynniki czysto moralnej natury, na rozwój historyczny i położenie geograficzne pewnego kraju. Tak uczy szkoła nowa, a zasady, które rozwija w nauce o zarobku, stara się stosować w całym zakresie ekonomii politycznej. Chce, ażeby stosunki ekonomiczne każdego kraju badano tylko w związku z jego historią, stanem rozwoju pod względem cywilizacji, w związku z prawodawstwem i t. d. Wprowadzenie elementu moralnego do nauki ekonomii, zwrócenie większej uwagi na osoby gospodarujące w miejsce traktowania ich jako obiektów ekonomicznych, jako maszyn pracujących; to charakteryzuje kierunek nowy w porównaniu z dawnym. Jedni nazwą to postępowaniem, drudzy sentymentalizmem; jedni uznają w tém ujmowaniu się za słabymi akt sprawiedliwości, drudzy nazwą je podniecaniem klas, które przeznaczone są do służenia drugim. Będzie to zależeć od całego sposobu myślenia, na rezultat ocenienia wpłynie też nieraz zainteresowanie w tej walce w ten lub inny sposób. Przez ten ostatni wzgląd tłumaczy się też całe roznamiętnienie w walce starzej i nowszej szkoły. Zwolennicy nowego kierunku oskarżani są jako wichrzyciele porządku publicznego, jako socjaliści, utarła się nawet dla nich w Niemczech nazwa „professorskich socjalistów“ (Katheder-Socialisten); w dziennikach odzywają się głosy żądające, ażeby ludziom tym nie oddawać w ręce wychowania młodzieży. I nowa szkoła da się czasem porwać uniesieniu, dawno już nie czytano tak zjadliwego osobistego paszkwilu jak ten, który profesor berlińskiego uniwersytetu Wagner wymierzył w roku zeszłym przeciw dziennikarzowi Oppenheim, od którego wyszła nazwa professorskich socjalistów. Walka wrze bezustannie. Przed kilku miesiącami wystąpił w obronie dawniej szkoły znany członek parlamentu niemieckiego, Ludwik Bamberger, nie szczędząc ironii i lekceważenia dla sentymentalnych ekonomistów. W każdym jednak razie nowa szkoła skupia pod swemi chorągwiami coraz więcej zwolenników i na zjeździe urządzonym przez siebie w roku zeszłym w Eisenach, była w stanie zgromadzić najpierwsze naukowe znakomitości Niemiec.

Z powyższych zasad nowszej szkoły, tak jak je wkrótkości naszkicowaliśmy, wypływają naturalnie odmienne od poglądów zwolenników Adama Smith'a rozumienie roli, jaką państwu w obec stosunków ekonomicznych przypada w udziale, a także i na znaczenie państwa w ogóle.

Pojęcia Adama Smith'a o państwie, miały znaczenie jako reakcyje przeciw absolutyzmowi, ale w dzisiejszej teorii prawa państwowego zdobyło sobie zupełnie inne podstawy do oznaczenia poślannictwa państwa.

Za czasów Smith'a pojedyncze grupy społeczne stały obok siebie w pozornej harmonii, dając się prowadzić na pasku dobrze wyćwiczonym urzędnikom. Idea państwa pochłonęła zupełnie ideę społeczeństwa. Ze społeczeństwo dopominało się o usunięcie tej uciążliwej opieki, było naturalnem. „Nie chciano się spokojnie poddać nadużywaniu sił jednostek przez państwo, nie chciano dłużej znosić absolutyzmu porzodkującego za pomocą swych urzędników wszystkie stosunki społeczne, przepisującego, jakimi torami miało iść rolnictwo, przemysł, handel, dążącego do uszczęśliwienia ludów. To opiekowanie się stawało się tém uciążliwszém, im bardziej klasa urzędników ze zwiększaniem się podziału pracy od sfer życiowych ludu się oddalała. W niechęci przeciwko porządkowaniu wszystkich stosunków przez państwo, zapominano o tém, że państwo nie jest tylko instytucją prawnego ubezpieczenia, zapominano, że państwo, kiedy pozostawało pod zwierzchnią władzą kościoła, od przeszło tysiąca lat, dążyło do moralnego i duchowego podniesienia społeczeństw; że teraz po rozdzieleniu kościoła na kościoły różnych wyznań, te cele umoralniania ludzkości, o ile one dadzą się osiągnąć przez jednolitą władzę, na państwo w dzisiejszej jego postaci przeszły.“

Tak mówi o znaczeniu państwa Gneist w swoim najnowszym dziele <sup>1)</sup>.

W obec tego, Smith'a pojęcia o państwie, pojęcia wyznawane zresztą przez wszystkich teoretyków XVIII wieku, ostać się nie mogą. Miały one znaczenie dla epoki, w której powstały: dziś należą już tylko do historii. Tymczasem zasady nowej szkoły ekonomicznej i nowej szkoły w nauce filozofii państwa, mają ze sobą wiele powinowactwa. Nowsza ekonomia wciąga w zakres swego badania czynniki moralnej natury, o ile one w gospodarstwie się objawiają. Państwo, tak jak je rozumie nowsza teoria prawa państwowego, ma być jednym ze środków do popierania ludzkości na drodze postępu moralnego, nie obojętną więc dla niego jest kwestya, by w zakresie gospodarstwa czynniki moralne mogły dojść do znaczenia, by egoizm nie rozciągał tam wyłącznego swego panowania, by jedne klasy nie uciemniały drugich, nie wtrącały je w przepaść nędzy i upadku moralnego. Stosunki ekonomiczne nie kształtują się z niezbednością taką, jak objawy wywołane przez ślepe siły przyrody, czy szkoła nowsza; a więc państwo nie musi pozostawać w nieczynności, tak jak tego żądali od niego zwolennicy A. Smith'a: przeciwnie, obowiązkiem jego, jako organu stojącego po nad interesami klasowemi, udzielać pomocy słabszym.

Daleko mniej jasności spotykamy, gdy w tych teoretycznych poszukiwaniach śledzić będziemy za tém, czego właściwie żąda nowsza szkoła od państwa. Zresztą ta chwiejność łatwą jest do zrozumienia: w rzeczach polityki państwowej rzadko inicjatywa wycho-

<sup>1)</sup> Dor Rechtsstaat.

dzi od teoryi; zazwyczaj praktyka środki odpowiednie sobie wynajduje: teoria swoje zrobiła, jeżeli wskazała na potrzebę działania i szersze koło objaśniła z tém, co już w téj mierze gdzieindziej zrobiono.

Pod tym ostatnim względem w Niemczech nowa szkoła poszczycić się może bardzo sumiennymi pracami. Na czele ich stoi w roku zeszłym ukończone dzieło profesora Wrocławskiego Uniwersytetu Lujo Brentano: „Historja angielskich stowarzyszeń robotniczych.“ To, co tam znajdujemy o angielskich izbach do godzenia sporów między właścicielami fabryk i ich robotnikami, może obudzić w nas nadzieję, że interwencja państwa w sprawie robotniczej jest możliwą, nie tylko przez podnoszenie poziomu moralnego pomiędzy ludem, ale wprost bezpośrednio przez wpłynięcie na wysokość zarobku. Dowiadujemy się, że w pewnych okolicach zarobek oznaczony przez izbę t. j. przez równą ilość właścicieli fabryk i robotników, ma moc obowiązującą dla całej ludności roboczej pewnego rzemiosła: tak np. w okolicach miasta Nottingham przeszło 100,000 ludzi słucha rozporządzeń izby. Dziś początkowe poddanie się wszystkim mogącym zapaść postanowieniom izby, zależy od dobrej woli stron interesowanych, ale w przyszłości nastąpiłoby mogło, żeby państwo uznało te izby za swoje organa, i zyskało przez to pośrednictwo bezstronnej instytucji wpływ na oznaczenie zarobku. Czy państwo ujrzy się kiedy w konieczności chwycenia się tego środka, teoria rozstrzygać nie może; dla niej dość, że na podstawie tego, co się w praktyce dzieje, możliwość tę rozważyła. Rozumie się, że każde wspomnienie o interwencji państwowej, ściąga na nową szkołę ze strony jej przeciwników zarzuty dążeń socjalistycznych i komunistycznych. Że żądanie interwencji państwa w pewnych granicach, nie jest jeszcze hołdowaniem socjalizmowi lub komunizmowi, jest jasnym dla każdego, kto z dążeniami tych dwóch kierunków choćby powierzchownie tylko jest obeznanym. Socjalizm żąda rozdziału bogactw w stosunku do pracy, komunizm bezwzględnie równego rozdziału. Każdy bezstronny przyznać musi, że nowszy kierunek ekonomiczny o możliwości przeprowadzenia tego rodzaju utopii nie myśli. W celu żeby się oczyścić ze złośliwie rozsiewanych podejrzeń i obeznać szersze koło publiczności z dążeniami nowszej szkoły ekonomicznej, przedstawiciele jej zwołali wspomniony już powyżej zjazd w Eisenach. Program jej został wypowiedziany przez profesora strasburskiego Schmollera. Na zakończenie przytoczymy téż z mowy téj główniejszy ustęp: „Pojęcie nasze o państwie również jest dalekiem od datującego się z czasów prawa natury postawienia na pierwszym planie jednostki i jej samowoli, jak od absolutystycznej nauki o władzy państwowej pochłaniającej wszystko. Państwo, staramy się zrozumieć w związku z rozwojem historycznym i przyznajemy, że zadania, jakie sobie stawiać powinno są stosownie do stopnia kultury jużto ciałniejsze jużto szersze; nigdy jednak nie pojmujemy



go razem z systemem prawa natury i szkołą Manchesterską, jako złe konieczne, które o ile możliwości ograniczyć należy: państwo jest dla nas zawsze najgłówniejszą moralną instytucją, wychowującą ludzkość. Szczerze przywiązani do konstytucyjnego systemu nie życzymy sobie jednak zmieniającego się panowania walczących ze sobą, na polu gospodarczym klas; przemawiamy za silną władzą państwową, któraby stojąc ponad egoistycznymi interesami klasowymi, stanowiła prawa, kierowała zarządem, powodując się wyłącznie sprawiedliwością, broniła słabych, podnosiła klasy niższe.

W oceniu naszych gospodarczych stosunków nie myślimy przeczyć, że technika, sposób produkcji, stosunki handlowe, postąpiły w czasach naszych naprzód niezwykle szybkim krokiem; ale nie zamykamy oczów na ciemne strony tego rozwoju, na wzrastającą nierówność dochodu i rozdziału bogactw, na nierzetelność, na upadającą sumiennosc w niektórych sferach świata handlowego, na wyzwanie okazujące się w coraz wyższym stopniu w pewnej części niższych klas, które jest tylko następstwem ogólnych przyczyn. Główną z nich jest, że w ostatnich czasach przy całym postępie podziału pracy, przy nowych sposobach produkcji, uorganizowania zakładów przemysłowych, urządzaniu umów właścicieli fabryk i robotników, jako też przy rozstrzyganiu prawodawczym tych kwestyi, zawsze na jeden tylko wzgląd baczono, czy to korzystnie oddziała na podniesienie produkcji, a zapominano o drugim, równie ważnym, jak to na ludzi oddziała? Zapominano rozważyć pytania, czy nowe te urządzenia przyczynią się do wytworzenia czynników moralnych, bez których społeczeństwo istnieć nie może? Czy one wpłyną na podwyższenie u dorosłych robotników pilności, oszczędności, rzetelności; czy rozwiną życie familijne, tak żeby i tu, postępu obok korzyści ekonomicznych spodziewać się można? Jesteśmy przekonani, że nie uwzględnienie tego psychologicznego związku pomiędzy rodzajem organizacyi gospodarstwa społecznego i całym moralnym stanem narodu, jest źródłem złego, że też reforma od uznania tego związku zacząć powinna.

Nasz pogląd na kwestyę robotniczą opiera się na powyższych zasadach. Przyznajemy, że robotnicy obecnie nieco lepiej się ubierają i żywią niż dawniej, że nie tyle tysięcy powolną głodową śmiercią umiera jak w poprzednich wiekach. Ale na tém poprzestać nie chcemy. Pytamy przedewszystkiem, czy warunki, wśród których większa część robotników dziś żyje, upoważniają do nadziei, że postąpią oni pod względem moralnym i gospodarczym, i na pytanie to odnośnie do znacznej części klasy roboczej dać musimy przeczącą odpowiedź. Nadto widzimy, że klasa robocza coraz bardziej się oddala od klas zamożnych i wykształconych, i niebezpieczniejszym nam się wydaje ten przedział w umoralnieniu, wykształceniu, poglądach i ideałach, niż różnica w położeniu gospodarczym. Pamiętamy, że wysoka cywilizacya Greków, Rzymian i innych narodów runęła, gdyż nie potra-

fiła do harmonii doprowadzić walk klasowych, nie potrafiła pogodzić wyższych i niższych klas. Obawiamy się, czy w dalekiej przyszłości naszemu rozwojowi nie zagrażają podobne niebezpieczeństwa, jeżeli nie potrafimy na podstawie równości w obec prawa, na podstawie obowiązku ogólnego uczęszczania do szkoły i służenia pod bronią, na podstawie reform, nad przeprowadzeniem których wiek nasz pracuje, podnieść klasy niższe, wykształcić je tak, ażeby w organizacyjne naszych społeczeństw i państw spokojnie miejsce dla nich przeznaczono zajęły.

Ideałem naszym nie jest zniwelowanie społeczeństwa w duchu socjalizmu; za najnormalniejsze i najzdrowsze uważamy społeczeństwo, w którym istnieje stopniowanie, ale w którym szczeble pojedyncze nie są zbyt od siebie oddalone; w naszym społeczeństwie grozi niebezpieczeństwo, że środkowe szczeble coraz bardziej znikać będą, a pozostaną tylko najwyższe i najniższe.

Niezadowolnieni z istniejących społecznych stosunków, przekonani o niezbędności reformy, nie chcemy jednak przewrotu w nauce, zburzenia istniejących instytucji: protestujemy przeciw wszelkim doświadczeniom socjalistycznym. Wiemy, że postęp w historii jest tylko rezultatem pracy wiekowej, wiemy że to co dawne, stawia nowym reformom opór prawie nie do pokonania, gdyż istniejące żyły się z przekonaniami i przywyknieniami mass. Uznajemy to, co zastajemy: dzisiejsze prawodawstwo w sferze gospodarczej, dzisiejsze formy produkcji, dzisiejszy stan wykształcenia i psychologiczne stosunki pojedynczych klas społeczeństwa, ale tylko jako podstawę reformy, jako punkt wyjścia naszej działalności: nie zrzekamy się reformy, walki o poprawę tych stosunków. Nie chcemy zniesienia wolności rzemiosł, nie chcemy zniesienia instytucji zarobku; ale nie chcemy dla hołdowania zasadzie, zezwolić na wzrost ciemnych stron naszych stosunków ekonomicznych. Żądamy umiarkowanego lecz energicznie przeprowadzonego prawodawstwa fabrycznego; żądamy, aby tak zwana swobodna umowa, nie prowadziła w rzeczywistości do wyszukiwania robotnika; żądamy aby robotnik miał wpływ na warunki umowy o jego pracę, gdyby nawet żądania jego miały mieć pozorną analogiją z dawnymi urządzeniami cechowymi. Żądamy, aby swoboda kontrolowana była wszędzie przez jawność, i ażeby tam, gdzie téj jawności nie ma, państwo wystąpiło i ogłosiło rezultat swych poszukiwań, nie mieszając się do przedsiębiorstwa samego. Żądamy więc inspektoratu fabrycznego, urzędu czuwającego nad bankami i towarzystwami ubezpieczeń: żądamy przede wszystkim urzędowych poszukiwań odnośnie do kwestyi socjalnej. Nie chcemy, ażeby państwo dawało niższym klasom pieniędzy do robienia doświadczeń nieprowadzących do celu, ale domagamy się, ażeby zupełnie inaczej niż dotąd zajęło się ich wychowaniem i wykształceniem, ażeby mu nie było obojętnem, że dzisiejsze warunki mieszkań i umów o wynajęcie pracy, klasę robotczą niżej jeszcze strącić muszą.

Sądzimy, że zbyteczna nierówność podziału majątków i dochodu, że zbyt zacięta walka klasowa z czasem zniszczy wszelkie swobodne państwowe instytucje i doprowadzi nas znów do poddania się absolutyzmowi. Dlatego już sądzimy, że państwo nie powinno obojętnie patrzeć na taki rozwój rzeczy.

Żądamy od państwa, jako też od całego społeczeństwa i każdego, komu nie są obojętne kwestyje jego czasu, ażeby do jednego wielkiego ideału dążyli. A ideałem tym ma być, dać możność coraz większej części ludności korzystanie ze wszystkich dobrodziejstw cywilizacyi, wykształcenia i dobrobytu. To powinno być wielkiem, w wyższem znaczeniu tego wyrazu demokratycznem zadaniem naszego rozwoju, tak jak to w ogóle jest celem historyi świata.“

Z dłuższego tego ustępu każdy się przekona, z jakich zasad wychodzi nowa szkoła ekonomiczna. Gdy idzie o cele praktyczne, nietrudno w téj mowie odkryć, że postawienie ich daleko mniej jest jasnym. Jaki tego powód, już powyżej staraliśmy się wskazać.

# HRABINA KOSEL.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

*J. I. Kraszewskiego.*

Tom II.

---

IV.

Między innemi wiadomościami, które Zaklika mógł zaciągnąć była i ta, że nazajutrz znowu maskarada wenecka na starym rynku miała się odbywać. Nie było dnia bez koncertu, bez opery, baletu, tańców i wieczerzy i jakiegoś widowiska... Ponieważ pani Denhoffowa i hetmanowa Pocijowa i matka ich marszałkowa Bielińska, wszystkie bardzo lubiły muzykę i śpiewały arye włoskie... opera najczęściej je do pół wieczora zajmowała. Sprowadzani z Włoch muzycy, śpiewacy, kompozytorowie dobrani byli tak, że kosztowny ten teatr był może jednym z najdoskonalszych w Europie. Muzykę pisał Lotti, koncerta grywał Tartini, Santa Stella występowała jako prima donna, Durastanti zwała się hrabiną sopranistek, Senesino, Berselli ściągnięci byli pańską zapłatą do Drezna. Aldrovandini malował dekoracye, Bach dyrygował muzyką.

Z równem staraniem urządzony był balet, a potem kome-  
dyja francuzka.

Nie zbywało więc na rozrywkach. Sam król wśród tych maskarad i redut, często zamaskowany i przebrany występował, lubiąc niespodziane przygody i znosząc nawet chętnie ich nieprzyjemności dla zabawy, jaką mu nastęrczały. Na dzień następny naznaczoną była wenecka maskarada z jarmarkiem... Denhoffowa miała być jedną z gospodyń, marszałkowa i pani Pocijowa także... Król rozesłał rozkazy, aby mu się kto żyw stawiał, i żeby na placu było tłumno. W nocy już zaczęto przygotowania, gdyż nic wówczas nie kosztowało spędzić ty-  
siące ludzi ze wsi pobliskich i przerwać im najpilniejsze prace dla kaprysu pańskiego, któremu wszystko służyć musiało.

Przybywszy o mroku do Pillnitz i uwiązawszy czólno na swém miejscu, Zaklika znalazł jeszcze cały dwór uspionym i niepostrzeżony wkradł się do swój izby, oczekując w niej, iżby się pani obudziła...

Nie było chwili do stracenia: zaledwie się okna otwarły, przeszedł się przed niemi razy kilka, ażeby hrabinę z domu wywołać, rozmowa bowiem w pokojach była niebezpieczną. Hrabina zobaczywszy go, wyszła zaraz i znalazła się u brze-  
gu Elby.

Zaklika zdał jój szczegółową sprawę ze wszystkiego, a najpierwój ze swój rozmowy z Lehmannem. Zdawało mu się i niemożnością i niebezpieczeństwem zabierać z sobą klejnoty i pieniądze, chciał więc je o białym dniu, coby najmniej obudzało podejrzeń, jako rzeczy przeznaczone dla dzieci hrabinęj zawieźć do Drezna tak, aby mógł wcześniej nazad powrócić. Ciężkie kufierki i szkatuły, w innym razie byłyby wymagały kilku ludzi do dźwigania, siła nadzwyczajna Zakliki pozwalała mu podołać im samemu, nie obudzając podejrzeń.

Hrabina godziła się na wszystko... Konie przez Zaklikę zgodzone, miały na nią czekać w lesie u brzegu Elby o mroku. W domu urządzić chciał Zaklika tak, ażeby się jak najdłużej odjazdu hrabinęj nie domyślano. Przepręgi na pocztach miały być pozamawiane i była nadzieja, że nim do Drezna dojdzie o ucieczce wiadomość, nim pogoń się puści, Cosel będzie już na ziemi pruskiej, gdzie jój, jak się spodziewała, ścigać nie zechcą.

Z wielką przytomnością umysłu, zabezpieczone wszelkie drogi do ucieczki, zdawały się zapewniać, iż hrabina dogonioną nie będzie. Zaklika się już cieszył, gdy Cosel oświadczyła mu, że przejeżdżając przez Drezno, na maskaradowy plac wstąpić musi...

Słyszając to oniemiał Zaklika i pobladł.

— To być nie może—zawołał—to dobrowolne rzucenie się w paszczę! Pani będziesz poznaną... a wówczas...

Cosel potrząsała głową.

— Chcę—rzekła—i tak być musi. Znasz mnie waćpan, że mam wolę żelazną, że jestem upartą, że nie odstępuję od tego, co raz postanowiłam. Muszę go widzieć, muszą ją widzieć; to nie fantazyja, to potrzeba: to lekarstwo. Chcę spojrzeć na nich, aby stracić tęsknotę, a nabrać obrzydzenia do tego człowieka, którego kochałam i Kocham.

— Lecz pani narażasz się.

— Doskonale wiem na co się narażam—przerwała Cosel... Mogą mnie pochwyć i zawieźć do Königsteinu, czy do jakiego tam zamczyska; mogą mnie zabić... ale ja muszę tam być. Na obronę życia mieć będę oręż przy sobie... resztę zostawcie mnie...

Zaklika zbladł, załamał ręce; lecz znając Cosel, nie odezwał się więcej.

Hrabina szybko weszła do domu, ażeby go zaraz do Drezna odprawić z tém, co najdroższego miała... On poszedł natychmiast przez Gottlieba nakazać zaprządz do bryki, dla odwiezienia podarków i rzeczy przeznaczonych dla dzieci. Nie obudziło to szczęściem żadnego podejrzenia. Parobczak, który miał powozić, dobrany był taki, co nie znał miasta i nie wiele miał w gębie języka. Zaklika zamierzał go jeszcze w drodze podpoić dla bezpieczeństwa. Sam przynosił szkatuły, okrywwszy je bielizną i sukniemi, tak aby ich widać nie było... siadł na wóz i nie żałując koni ruszać kazał. Wyprawa ta dobrze się powiodła, chłopak upił się nim dojechali do miasta, tak że ani ulicy, ani domu, do których się skierowali, wskazaćby był nie mógł. U furtki ogrodowej Lehmana, którą sam otworzył, poskładawszy szkatułki i zamknąwszy ją od uliczki, bezpiecznie poprzemienił je niepostrzeżony do izby bankiera. Żywa dusza

nie widziała go tu... Ścisnąwszy dłoń ucziwego izraelity, wymknął się nazad, a że chłopca znalazł śpiącego na sianie, sam ujął konie i popędził, nie popasając do Pillnitz.

Tymczasem Cosel zegnała to spokojne ustronie, gromadziła papiery, paliła listy i musiała to wszystko dopełnić tak, aby żadna ze służek nie zobaczyła nic nadzwyczajnego, i przedwcześnie wydać jej nie mogła. O zwykłej godzinie podano obiad, gdy niespodzianie zjawili się nań z Drezna, hr. Friesen i Lagnasco, zapewne z poleceniem zajrzenia co się tam działo.

Hrabina miała tyle mocy nad sobą, iż ich prawie wesołą twarzą przyjęła, i usiłowała nie wydać się z tém co nosiła na duszy. Owszem udawała zrezygnowaną, zajętą ogrodem i domem, przywiązującą najwyższą cenę do tego spokojnego ustroja, a zobojętniałą na to co się w stolicy dziać mogło.

Rolę tę przeplatając żalem do króla i wyrazami czułości dlań, czyniła ją tak prawdopodobną, że przybyli wcale się nie domyślali udania.

Hr. Friesen miał interes, prosił o pożyczanie dość znacznej sumy. Cosel go lubiła, gdyż dał jej nieraz dowody przyjaźni: uśmiechając się odmówiła mu.

— Mój hrabio—rzekła—jestem uboższą niż ci się zdaje. Król zwykle odbiera co raz dał; każdej chwili mogę resztę utracić; nie mogę ci służyć: daruj.

Friesen przyjął to bez gniewu.

Goście opowiadając o nowych zabawach, o królu, o pani Denhoff, o dworskich przygodach i wróżbach przyszłości, zagadali się do wieczora. Szczęściem musieli wracać na maskaradę obowiązkową, bo król nie przebaczyłby jej opuszczenia i pożegnali wkońcu gospodynię.

Zaczynało zmierzchać, hrabina Cosel skarżyła się przed swoim dworem na ból głowy ze zmęczenia rozmową pochodzący i oświadczyła że tego dnia wcześnięj się spać położy. Nakazano ciche sprawowanie się we dworze, Zaklika sam obszedł wszystkie kąty zalecając zachowanie się spokojne. Cosel wcześnięj niż zazwyczaj zamknęła się w swoim pokoju.

Gdy gęstszy mrok padł, Zaklika który w płaszczu i przy pistoletach koło domu stróżował, obrawszy chwilę zapukał do małych drzwiczek wychodzących ku ogrodowi. Wysunęła się

czarna, zakwefiona postać i niepostrzeżona chwyciwszy rękę Zakliki zbiegła ku brzegowi Elby. Tu czółno czekało i cicho odbiło od brzegu nie potrzebując wiosła, bo płynęło z wodą. Gęste trzciny i łoży zakrywałyby je przed oczyma ludzi nawet we dnie, teraz zaś nie było nikogo coby je mógł dostrzedz. O kwandrans może drogi ztąd niedaleko od brzegu, na który w pustém zupełnie miejscu wysiedli, znaleźli wedle obietnicy powóz nie pozorny, ze czterema końmi i woźnicą. W owych czasach dworskich przygód i awantur miłosnych nikogo dziwić nie mogło, że w nocy wymykała się kobieta.

Zaklika do powozu wsadziwszy Cosel, która najmniejszój nie okazywała obawy, sam siadł z woźnicą i ruszyli tak do Drezna. Tu miała już umówiony dom i gospodę u brzegu Elby, gdzie wysiąść mogli i później znaleźć mieli powóz inny i konie do pospieszniejszój nocą dalszój podróży.

Parę mil do Drezna przebieżono bardzo prędko. Tu Zaklika spróbował jeszcze hrabinę skłonić ażeby się wyrzekła niebezpiecznej wycieczki na rynek: odpowiedziała mu ruchem ręki i jedném słowem. Zaklika w domino ubrany, w masce, miał jój towarzyszyć nie oddalając się na krok...

Powóz porzuciwszy u mostu, szli dalej piechotą.

Dnia tego osób było więcej jeszcze, wrzawa i wesołość wzmogły się, lud drezdeński który z tych zbytków korzystał, chętnie się bawił niemi. Domy w zamkowej ulicy postrojone były i oświecone lampami, ulica nabita powozami, ludźmi, końmi i lektykami tak, że przecisnąć się było trudno.

Hałas ten, śmiechy, pisk, od których Cosel była odwykła, a których nigdy bardzo nie lubiła, z początku przykre na nią uczyniły wrażenie; kilka razy jakby zwątpiwszy o swych siłach przycisnęła się do muru nie mogąc iść dalej, to znowu jakby pchnięta myślą jakąś czy uczuciem podbiegła żywo. Zaklika osłaniał ją i czuwał nad nią.

Godzina była właśnie gdy największy tłum na rynku się zgromadził. Na galeryi ratuszowój muzyka w dziwnych strojach odegrywała fanfary, dołem roiło się maskami najosobliwszemi.

Dokoła rynku stały w kwiaty poubierane stragany, budy, ławki, sklepiki, przy których postrojone panie, we wschodnich



ubiorach sprzedawały drobne fraszki, napoje i łakocie. Koło kilku z tych bud pokaźniejszych największym ściskiem otoczonych rozlegały się śmiechy. Illuminacya rześista otaczających domów rzucała blaski jasne różnych barw, na jaskrawy tłum masek i dominów.

Wśród nich arlekiny i poliszynele na wystawionym umyślnie teatrzyku odegrywali improwizowane farsy. Tu także widzowie stali gęstą cizbą bijąc w dłonie i śmiechem jednym, wielkim napełniając chwilami rynek, głuszac muzykę.

Śpięwy, kapela, dzwonki, krzyki, śmiechy, wołania, wszystko razem tworzyło gwar straszny, w którym ucho nie rozemnać prawie nie mogło. Zwało się to wesołością, a było kipieniem chaosu. Dla oka widok tego rynku równie był przykrym, ze swą ruchawą powierzchnią falujących głów, podnoszonych rąk, skaczących postaci, okrytych łachmanami i świecidłami w najkrzykliwszą zlanemi pstrociznę.

Czasami na tle jaskrawém wybitniej wypłynęła na chwilę figurka wdzięczna lub widmo poczarwane i wnet zasłaniały je pokrzyżowane, połamane okruchy ludzi zbitych w jedną nieraz plataną masę.

Z okien kamienic wyglądały to strojne popiersia kobiet, to szare i ciemne jakieś postacie ludzi smutnych, zmuszonych z wierzchołka nędzy patrzeć i przysłuchiwać się szaleństwu. Niekiedy trzaskały zamknięte jak piorunem drzwi kamienicy, czasem z okna wyleciał improwizowany fajerwerk, z innych sypano na wyciągnięte dłonie cukierki, owdzie piasek i kamyki.

Cosel w końcu ulicy zamkowej stanęła, jakby jej serca zabrakło znowu iść dalej. Zawahała się.

Zaklika skorzystał z tej chwili i szepnął raz jeszcze prośbę: pani, wróćmy się. Zamiast odpowiedzi, jakby popchnięta jego słowem Cosel posunęła się żywiej ku rynkowi oglądając wzrokiem ciekawym...

Na kilkanaście kroków przed nią stał jeden z tych *nobles venitiens*, w kapeluszu z piórem czarném, w aksamitnej sukni, ze złotym na piersiach łańcuchem, w czarnéj maseczce. Stał wiawszy się w bok, w postawie tak malowniczej, tak zręczny i piękny, iżby malarzowi za wzór mógł służyć. Około niego

roiły się maseczki, u boku jego dwóch podobnie ubranych stało nieco się cofnawszy.

Cosel na pierwszy rzut oka poznała Augusta. Herkules Apollo nie miał równego sobie w kraju, w którym o pięknych mężczyzn nie było naówczas trudno. Zawahała się nieco... lecz wprędce nabrawszy mężstwa podstąpiła ku niemu.

Chociaż ciemny strój dosyć ją okrywał, Cosel też mogło wprawne poznać oko. Do zgonu zachowała ona majestat piękności, szlachetne ruchy, wdzięk kształtów niezrównany. Król spojrzawszy na nią zadrżał widocznie, lecz zdawał się oczom nie wierzyć.

Nie zaczepiając go, Cosel przeszła przed nim parę razy obojętna. August posunął się ku niej. Zdawało się, że ją zaczepi: wstrzymał się z jakąś obawą. Maseczka spojrziała nań, jakby go wyzywała: August podszedł.

Dwór cały mówił po francuzku i w tym języku rozpoczęła się rozmowa. Hrabina zmieniła swój głos, który drżał mimowolnie. August nie zadawał sobie tej pracy.

Co się działo w biédnym sercu kobiety, któż wyrazić potrafi.

Z blizka przypatrywać się jój król zaczął.

— Na honor—zawołał—piękna maseczko... pochlebiam sobie, że znam tu was wszystkie... a jednak.

— Mnie nie...

— A wy znacie kto jestem?

— Ja was znam.

— Któż taki?

Zadrżał głos, potem nagle wyrwało się słowo i pobiegło wprost do ucha:

— Kat—

Król się wyprostował dumnie.

— Zły żart...

— Najsmutniejsza prawda.

August popatrzał na nią.

— Jeśli mnie znacie,—rzekł—a śmiecie rzucić mi tém słowem w oczy... powiedziałbym i ja, że was znam, a jednak—nie, to nie może być.

— Nie znacie mnie—śmiejąc się powtórzyła Cosel.

— W istocie i ja tak sędzę. Nie możecie być tą, której się domyślam, bo ta nie miałaby odwagi i przyjść tutaj, ani pozwolenia.

— Kobiéta?—zapytała maska—kobiéta nie miałaby odwagi? kobiéta pytałaby o pozwolenie?

I rozśmiała się.

Król drgnął, jakby w tym śmiechu coś go uderzyło; chwycił jój rękę: wyrwała mu ją z pośpiechem.

— Intrygujesz mnie piękna maseczko—odezwał się— a mówisz że nie znasz.

— Nie znam...—odpowiedziała Cosel—nie. Niegdyś znałam kogoś, co był podobnym do ciebie, ale tamten miał serce królewskie, szlachetność pańską, duszę bohatera... a ty...

Król jak zwykł był, gdy nim owładnął gniew, zaczerwiecił się mocno i natychmiast pobladł.

— Maseczko—zawołał—to przechodzi coś granicę swobody karnawałowej...

— Swoboda jest nieograniczoną...

— Więc dokończ—rzekł król—a ja?

— A wy?

Znowu Cosel głosu zabrakło.—Jeśli nie jesteś katem, toś igraszką w rękę oprawców.

— Cosel!—zawołał nagle August—chwytając ją za rękę.

— Nie, nie!—wyrywając ją krzyknęła ze śmiechem sztyderskim maska.

Jakżeby ona tu być mogła i tak spokojnie znieść widok stypy na swoim pogrzebie; widziałam ją niegdyś: znam kobietę, której wyrzekłeś imię. Między mną a nią nie ma nic wspólnego. Tamtę źli ludzie zabili i pogrzebali: ja żyję.

Król słuchał milczący i pomieszany. Nagle Cosel zbliżyła mu się do ucha, rzuciła w nie kilka słów, których tylko śmiech suchy zaszeleścił w powietrzu, i nim August się opamiętał znikła.

Król rzucił się za nią, lecz zręczna Cosel wmięszała się w tłum i poza osłaniającym ją Zakliką, wbiegła za stojące stragany. Tu płaszcz swój cały czarny miała czas zerwać z ramion z pomocą Rajmunda i czerwoną jego podszewką osło-

nić ramiona, tak że gdy drugą stroną wybiegła na rynek, nikt w niej już pierwszego nie mógł poznać zjawiska.

Zaklika napróżno ją wstrzymywać usiłował, znała dobrze z lat dawnych tego rodzaju maskaradowe jarmarki i ich obyczaje, biegła więc wprost tam, gdzie Denhoffową znaleźć się spodziewała. W trzech straganach naprzeciwko ratusza ustawionych, z których średni przystrojony był na wzór neapolitańskich *Aqua fresca*, w wieńce z cytryn i pomarańcz, siedziały pani Pocijowa, przy której służbę odprawiał z gitarą na wstążce, stojący przy niej hr. Friesen, p. marszałkowa Bielińska, ubrana za Wenecyankę, przy której stał na straży Montargon i pani Denhoff w neapolitańskich kobiet stroju, cała okryta klejnotami.

Była to maleńka kobiecinka, młodziuchna z twarzą wielce zmęczoną, na której miejsce rumieńca, zastępowały róż i bielidło, z melancholicznym wyrazem, źle ukrywającym figlarność i pustotę. Budkę jej otaczała młodzież, a najbliższy kręcił się Besenval francuzki poseł, który ją dowcipami do śmiechu tłumionego pobudzał.

Cosel udało się stanąć tak z boku, że się jej dobrze mogła przypatrzeć, a z pod maski pogardliwe widać było i gniębne razem oczy. Jakby czując ten wzrok na siebie zwrócony, Denhoffowa wstrząsnęła się i pochyliła nieśmiało w tę stronę.

Cosel wyciągnęła rękę cudnych arystokratycznych kształtów po szklanekę limonady, którą Denhoffowa częstowała.

— Piękna gosposiu—rzekła głosem, w którym drgało wzruszenie—zlitujże się nad spragnioną... nie proszę o jałmużnę, wiem że sobie za wszystko płacić każesz.

Pokazała w palcach sztukę złota.

Denhoffowa jakby przeczuwając jakąś groźbę, drżącą ręką, rozlewającą się podała szklanekę.

— Słówko jeszcze—rzekła Cosel, przysuwając się jej do ucha. Spójrz na mnie.

To mówiąc odjęła tak maskę, że tylko Denhoffowej mogły być na chwilę widoczne rysy jej twarzy.

— Spójrz na mnie, wraź sobie te rysy w pamięci: jest to twarz nieprzyjaciółki, której przekleństwo ścigać cię będzie płochą zalotnicę aż na łożu śmierci. Przypatrz się mi: jest to ta, której się lękałaś, którą chciałaś osadzić w więzieniu, którą

pozbawiłaś serca króla, która cię dzień i noc przeklina. Pamiętaj! że ciebie gorszy los czeka: ja odchodzę czysta, zdradzoną, niewinna; ty wyjdiesz ztąd zbrukana i sponiewierana bez czci, jak ostatnia z ostatnich. Chciałam cię widzieć i powiedzieć ci to słowo, choćbym je życiem miała przypłacić i rzucam ci w twarz niém: jesteś nikczemna! jesteś podła!

Denhoffowa przełęczniona pochyliła się i zaczęła mdléć; około straganu zrobiła się wrzawa i ścisk; król nadbiegał, Cosel wysliznęła się zręcznie i wraz z Zakliką rzuciła w małą boczną uliczkę.

Poza sobą słyszeli zmieszane głosy, tłumnie cisnące się fale ludu, i krzyki i nawoływania żołnierzy... Zaklika ścisnął w rękę pistolet który pod płaszczem trzymał, Cosel biegła przed nim żywo. Coraz mniej wyraźna ściagała ich wrzawa, która się zmieniła w jakieś mruczenie i szum głuchy... Na sąsiednich większych ulicach przebiegały konne patrole, powozy i jeźdźcy przelatywali je żywo, znając jednak najmniejszy zakąt miasta i Zaklika mógł bezpiecznie przeprowadzić Cosel do bramy miasta.

Na nieszczęście nim do niej dojść mogli, przyszedł rozkaz z zamku ażeby wrota wszystkie pozamykać i żadnej nie wypuszczać kobiety... Na drodze już usłyszeli o tém rozmawiające panie, które wyjechać chciały, a którym nie dozwolono z miasta się ruszyć do jutra. Zaklika zasłyszawszy to pobiegł do nich i spytał czy ten rozkaz stosował się także do mężczyzn.

— A! nie—zawołała jakaś rezolutna pani śmiejąc się—królowi tancerok pewnie zabrakło, więc nas tu chcą gwałtem na noc zatrzymać.

Cosel zmienivszy płaszcz swój znowu czarną stroną, dotąd dosyć się szczęśliwie w cieniu domów potrafiła przesuwac; dalej jednak niesposób było w tym stroju iść, gdyż kobiet niepuszczano, a twarz i postawa Cosel nazbyt znane były: każdy oficer mógł się jéj domyslić.

Zaklika któremu każda chwila wydawała się wiekiem, pociągnął za sobą Cosel do Lehmana. Zabawa w zamku ręczyła za to iż tam teraz pusto było, w istocie stary bankier sam siedział ze swą rodziną, gdy weszli pocichu i Zaklika zażądał co najprędzej jakiegokolwiek ubioru męskiego dla Cosel.

Lehmann pochwycił co miał pod ręką: płaszcz czarny i trójgraniasty kapelusz nie pierwszej mody. Z mimowolnym pełnym boleści uśmiechem jakimś, hrabina narzuciła na siebie te suknie... Lehmann błady wypuścił ich tylnymi drzwiami... U wrót które zdala już widać było parą latarni oświetlone, stało mnóstwo żołnierstwa, trabantów kilku na koniach, oficerowie posiadawszy z nich przechadzali się wzdłuż drogi. Zaklika wziął pod rękę hrabinę i środkiem ulicy ją poprowadził, Cosel miała spuszczoną głowę i kołnierzem zakrytą twarz.

Gdy podchodzili ku grupie żołnierzy, niektórzy z nich zwrócili się ku nim i zdawali patrzeć z uwagą, ale nikt nie zatrzymywał.

Słychać było urywaną rozmowę oficerów, śmiejących się głośno.

— Cóż znowu? czy najdroższy klejnot wykradł kto z miasta?

— Cha! cha... Szukają owszem Cosel, która swoim zwyczajem pono się na królu publicznie w rynku pomścić miała.

— Cosel! ale téj już na świecie niéma!

— Ho! ho! wróci ona, bo się jój jeszcze boją.

— Gdy Teschen upadła, nikt o niéj nie myślał; ta jeszcze panią, bo drżą usłyszawszy jój imię.

Drudzy się śmieli.

Wśród tego gwaru przeszli tłum bez przeszkody, wsunęli się pod ciemne sklepienie, a gdy minęli most na fossie, Cosel lżej westchnęła: była już napół wolną.

W godzinę potem ciemną nocą toczył się szybko jój powóz gościńcem ku Prusom, a Zaklika z pistoletami w rękach przy woźnicy, przysłuchiwał się niespokojnie, czy pogoni za sobą nie chwyci uchem.

Cosel szukano jeszcze w Dreźnie i Pillnitz.

## V.

Berlin w pierwszej ćwierci XVIII wieku był zaledwie słabym zarysem téj stolicy, jaką został od niedawna. Wzniósł się on i zabudował właśnie w téj porze i był niemal nowym;

a miał już charakter właściwy miasta, koszar, wojska, klasztornego porządku i ciszy... Tu nic już naówczas nie szło jak samo chciało, ale jak z góry rozporządzono; wzrost, upiększenie, handel były nakazane, zaprowadzone i wzięte w kluby odrazu. Nic smutniej nie mogło po Dreźnie wyglądać nad ową nad-Sprejską stolicę. W ulicach widać było więcej żołnierzy niż ludu, a bębny i piszczałki głośniej się słyszeć dawały niż dzwony, i koszar więcej było niż kościołów. Po większych ulicach sterczały regularnie ustawione domy, które tam stanęły nie że chciały, ale że musiały... Pusto było dosyć... Jednakże Berlin już miał pięć kwartałów i przedmieścia rozsypane szeroko a nędzne, dokoła... Gdzieniedzie wśród domków i domów, pałace familii królewskiej odznaczały się wymuszonym wdziękiem, który wydawał się z kąd inąd zapożyczony. Na Spandawskim przedmieściu świecił tak Montbijou królów, na Stralauskiem belweder króla...

Wszystko tu było nowe, jak samo państwo: najstarsze gmachy liczyły wiek swój na lat dziesiątki. Parę posągów nudziło się w tój pustyni, para szerokich placów czekała życia i mieszkańców. Tak na Moleke-markt stał już Fryderyk I, przeznaczony pierwotnie do arsenału.

Jeden most na Sprei był już murowany, a zwano go mostem nowym, i zamiast Henryka IV wstawiono nań elektora Fryderyka-Wilhelma.

Pałac królewski z początkiem wieku budować zaczęto... gasił inne wspaniałością... a Schluter tak go obwieszał wieńcami, iż z pod nich ścian widać nie było; że zaś po nim dwóch innych go kończyło, każdy swym smakiem, trzy smaki zrodziły rzecz niesmaczną. Berlin miał już naówczas nasiona wszystkiego co wielkie miasta stanowi, brakło mu tylko życia i ludzi. Teatr, galerya, bibliotekę, muzea zakładano spieszenie, napełniano jak było można; jednakże tu, jak w Dreźnie bywało, nie poświęcano wojska porcelanie, ale zato na wagę złota kupowano żołnierzy. I to co Berlin w istocie miał najciekawszego, a w czém spoczywała przyszłość jego i monarchii, to było wojsko wymustrowane jak machina, regularne jak zegarek, poruszające się jak jeden człowiek.

Tu stał ów sławny pierwszy batalion grenadyerów największych na świecie, złożony z ludzi z całego świata zbieranych, mogący być wzorem tego co z człowieka zrobić można w tym rodzaju, i do jakiej doskonałości dochodzi mechanizm militarny. Grenadyerów tych olbrzymów płacono olbrzymio, choć na inne rzeczy wielka była oszczędność. Niektórzy z nich mieli domy własne i oprócz mustry zajmowali się handlami. Najdorodniejszy z olbrzymów tych, Jonasz Norwegczyk, którego przywieziono zgarbionym i krzywym, tu się dopiero wyprostował i stał owym ideałem żołnierza, jakim później słynął.

Berlin po Dreźnie był to klasztor po teatrze. Gdy powóz zapyłony i zbłocony pani Cosel wtoczył się szczęśliwie w ulice tej stolicy, a piękna hrabina wyjrzała oknem w te piaszczyste puste aleje.. na te jakby wymarłe domy, ścisnęło się jój serce; ale tu spodziewała się bezpieczeństwa, spokoju, opieki: tu chciała czekać aż się może w losie jój coś odmienić.

Z Frankfurtu już wysłany przodem sługa, najął jój przy jednej z większych ulic mieszkanie, które po pałacach jakie nie dawno zajmowała wydało jój się nędzném i biedném, choć było tylko zimném, niezamieszkaném i pustém.

Ale dla niój była to tylko gospoda... Zaklika siadł drugiego dnia na straży, urządzono co było potrzeba do życia. Cosel zajęła ciemny ką, w którymby o niedoli swojej marzyć mogła i nowe gospodarstwo się rozpoczęło. Smutne dni długie a jednostajne.

W Berlinie wszakże incognito nikomu pozostać nie było wolno. Trzeciego dnia Cosel oznajmiono odwiedziny marszałka Wartesleben gubernatora Berlina, a drugi marszałek Natzmer dowódca żandarmów często przejeżdżając się ulicą domowi się przypatrywał.

Wszyscy byli bardzo grzeczni.

Z wysokich sfer doleciała wiadomość że tam przybycie hrabinój, a nadewszystko przekazu na znaczne sumy do Liebmana bankiera, widziano okiem bardzo przyjaźném. Z Drezną pomimo ścisłych stosunków trzech Fryderyków, nie zdawało się grozić nic, i Cosel spodziewać się nie mogła, aby ją tu jeszcze prześladować chciano.



Tu dopiero wśród téj samotności milczącej, w pośród tego miasta głuchego, które zasypiało o mroku, wśród téj ciszy złowrogiéj, cały ogrom nieszczęścia stanął przed oczyma téj, która nań była skazaną.

Goryczą zapłynęło serce. Całe dnie siadywała nieruchoma, nie mówiąc słowa z oczyma czarnemi wlepionemi w ścianę, lub na ulicę, duchem i sercem uciekając w czasy ubiegłe.

Serce jéj zadawało sobie pytanie, czy tak łatwo przestać kochać, czy tak łatwo można zapomnieć, czy za szczęście doznane tak prędko można niewdzięcznością płacić?

Charakter króla wydawał się jéj poczwarną zagadką! Przypominała sobie czułość jego, dowody przywiązania, nie dawne jeszcze tryumfy swoje a jego przysięgi, i nie mogła pojąć upadku.

Nie zwątpiła o królu, wątpiła o człowieku. Mężczyzna cały jak go Bóg stworzył zdawał się jéj dzikiém szyderstwem. Nie rozumiała życia, nie pojmowała przysięgi, naigrwania się ze świętości, oplwania przeszłości i zadania jéj kłamu. Świat wydawał jéj się czémś nie rozumiałém. Pytała własnego życia i szukała w niém winy czując karę: nie mogła znaleźć tak wielkiego grzechu jak była boleść.

W kilka dni kazała sobie przynieść Biblią.

W kilka dni także wszedł około południa Zaklika, który przychodził zwykle tylko gdy był zawołany, lub gdy musiał coś oznajmić. Stanął w progu ze spuszczonei rękami: Cosel podniosła głowę ku niemu.

Milczał długo.

— Co powiesz panie Zakliko? coś nie dobrego?

— A gdzież na świecie dobre!—rzekł—chodzą już koło domu szpiegi, pytają; chciałem tylko powiedzieć abyś się pani ich strzegła. Nie myślę się, prędjéj czy późniéj zjawi się tu pewnie ktoś z oświadczeniami przyjaźni: zamknij pani usta.

Hrabina się zmarszczyła.

— Musisz mnie już znać—rzekła—że ja i milczeniem kłamać nie umiem. Miałam odwagę jemu i jéj rzucić obelgą w oczy, będę mieć męstwo powtórzenia to każdemu co słuchać zechce.

— Pani—odważył się dodać Zaklika, choć spuszczeniem głowy dała mu znak że rozmowa ma być skończoną—pani, na cóż ich jątrzyć i zemstę wywoływać? I tak kłamać będą.

Nie odpowiedziała już nic uparta Cosel, z oczów spuszczonech potoczyły się dwie łzy gorzkie. Zaklika wyszedł.

We trzy dni potem młody, ładny mężczyzna kazał się zameldować do hrabiniej.

Był to van Tinen.

Hrabina знаła go z tego, iż raz już był do niej wysyłany dla układów, do których chciał przyjść jak Watzdorf niewczesnymi oświadczeniami gorącej miłości. Te obelżywe oświadczenia musiała ona znosić cierpliwie, choć ją obrzydzeniem dla nikczemników napełniały.

Przyjęto van Tineną.

Oświadczył najprzód iż się niezmiernie zdziwił, gdy będąc w Berlinie dowiedział się o pobycie jej tutaj, o którym jakoby wcale nie wiedział wprzód.

Cosel spojrzała mu w oczy z szyderstwem.

— A gdzież pan był gdym opuszczała Saksonią?

— Ja?—rzekł van Tinen—byłem w Dreźnie nawet tego wieczora, gdyż pani pono o mdłości przyprawiła nieszczęśliwą Denhoffową, ale gdy się to raz uciszyło, nie dowiadywałem się dokąd się pani udać podobało.

— Tak więc się bardzo cieszę—odpowiedziała Cosel—iż mogliście o mnie zapomnieć: nic więcj teraz nad to nie życzę.

— Ja sędzę—odparł van Tinen—że i tam radziby być pewni, iż pani wyrządzonych sobie krzywd zapomniałaś także.

Milczeli chwilę, van Tinen szepnął:

— Mógłbym pani wiele ciekawych opowiedzieć rzeczy...

Zakrawało to na chęć wkradania się w łaski u Cosel, na zyskanie zaufania.

— Jam nie ciekawa—smutnie rozśmiała się Cosel—myślisz pan że mnie cokolwiek dziś jeszcze obchodzić to może? Wierzyłam dawniej w tych szafów szczerłość, myśląc że z serca się rodzą: dziś wiem że je tworzy pycha i pustota...

— Bawimy się nadzwyczajnie — rzekł jakby nierozumiejąc van Tinen.. Nie są to rzeczy nowe dla pani, która w tylu świetniejszych zabawach byłaś królową; jednakże..

Znać chciał wyznania, Cosel milczała; van Tinen śmiejąc się po dobrej woli opowiadać zaczął:

— Miejsca te dobrze pani znane, bo niegdyś w Laubegast pono...

— Mieszkałam tam szczęśliwsza—szepnęła Cosel—a! to prawda.

— Flemming na równinie pod Laubegast prawie na przeciwko Pillnitz, dawał wielką fetę dla króla i Denhoffowej.

— A! a!—zawołała Cosel.

— Sześć najprzód pułków wyszło w pole—mówił przybyły—cała królewska lejbgwardya konna użyta była. Na wyżynach ustawiono działa i wojska tak rozporządzono, ażeby dwór miał widowisko prawdziwej wojny. Jakoż udało się wszystko przepysalnie. Rozdzielone pułki postępowały dając ognia, nacierając, a choć oprócz kilku wywróconych i podeptanych, nikomu się nie stało, można było przysiąc zdala, że bitwa była najzaciętsza i przelów krwi okrutny.

Król przypatrywał się temu igrzysku, z jednej strony mając przy sobie Denhoffową, z drugiej hetmanową Pocięją, obie konno jako amazonki. Otaczał go cały dwór na pysznych rumakach... Reszta dam w poszóstnych powozach patrzyła nie wysiadając z nich, a był cały świat niewieści.

Cosel uśmiechnęła się szydersko.

— Teraz mu dwie towarzyszy — rzekła—widoczny postęp, a w odwodzie ta arier-garda w powozach. O! rzeczywiście, to wspaniale i po królewsku.

Van Tinen zniżył głos.

— W istocie te dwie—dodał—nie są wcale o siebie ani o nikogo zazdrosne.

Ale wracam do mojego opisu—począł znowu:—nieopodal rozbite były wspaniałe namioty. Pod jednym z nich król obiadował, mając przy sobie: Denhoffową, Pocięją, Bielińską i co najprzedniejsze osoby z towarzystwa.

— I pan tam byłeś?—spytała szydersko Cosel.

Van Tinen się zarumienił.

— Nie, jam był w drugim namiocie, ale widziałem doskonale wszystko. W czasie obiadu muzyki nam przygrywały, a na vivat były działa i tak na przemiany grzmot armat i trąby towarzyszyły wesołym okrzykom.

— Prześlicznie — rzekła Cosel — i koniec?

— Nie, to dopiero początek. Po obiedzie nastąpiła zabawa, ze stołów nie zbierano, Flemming chciał resztkami nakarmić żołnierzy; ale że chleba brakło, w każdy kawałek chleba wetknięto po guldenie i użyto ich przeszło tysiąc. Zatrąbiono wtedy do szturm... Żołnierze stojący w bojowym porządku posunęli się mężnie ku półmiskom, ale ci co ich dochwycili się pierwsi, pod naciskiem drugich zostali złamani; padli: trzeci szereg pchał drugi. Stoły się wywracały, ludzie dusili, kupy żołnierza wiły się po ziemi; widowisko było przepyszne: pękaliśmy od śmiechu! Trwało to póty, póki resztek potraw stało i nie zatrąbiono do odwrotu. Król zdala odpoczywał na pagórkach z damami...

Gdy wieczór nadszedł, w królewskim namiocie rozciągnięto kobierce; stanęły muzyki, zaczęły się tańce i trwały ochoczo do siódmej wieczorem.

Flemming przez cały czas chodził z kielichem od gościa do gościa; zaklinał, całował, prosił, lał, przepijał i sam pono się najpierwszy upił. Król także zdawał się w nadto dobrym humorze, ale majestat pański umiał utrzymać, tak że nikt tego nie poznał. Przypatrywałem się z politowaniem służbowemu szambelanowi J. K. Mości, który stał za nim godzinę, trzymając na tacy szklanekę wody, a że wprzód sam coś innego znać pił, niedobrze się mógł na nogach utrzymać, i gdyby go kto wówczas palcem trącił, byłby się niechybnie wyrócił.

Nigdym Flemminga w takim nie widział humorze.

— Nie dziw — rzekła Cosel — obchodził swoje tryumfy, a mój upadek.

— Nareszcie król się zabierał wychodzić — kończył van Tinen — gdy pijany Flemming rzucił mu się na szyję z poufałością braterską, nie zważając że tyle oczów na nich patrzyło i ozwał się głośno, tak żeśmy to wszyscy słyszeć mogli: „Bracie! kochany bracie, kwita z przyjaźni naszej, jeżeli mnie opuścisz 1).“

Pani Denhoff, która króla na krok nie opuszcza, zaczęła hamować Flemminga, ale to przychodziło z trudnością; Flem-

1) Bruder, ich sage dir die Freundschaft auf, wenn du weggohst.  
Pam. von Loen'a.

ming był tak szczęśliwie pijany, iż nic już nie widział przed sobą, oprócz ludzi równie jak on napiętych. Gdy go Denhoffowa za rękę chwyciła, on ją o mało nie przycisnął oburącz. Wydała mu się ładną i powiedział jój to tak wyraziście, że aż krzyknęła z oburzenia i gniewu; ale w téjże chwili zaczęła się do rozpuku śmiać.

Pomimo tych zaklęć, król i Denhoffowa dostali się na konie i pojechali. Szczęściem że zręczny laufer ścigał króla krok za krokiem, inaczej już leciał z konia. Chciano go koniecznie do powozu posadzić... rozgniewał się; koniuszego Backnitza, który cokolwiek za ostro się brał, król pchnął precz, a na Denhoffową krzyknął: „Dajże mi pani pokój, znam się z moim koniem: proszę się o mnie nie troszczyć“. Jakoż w galop się puścił, co koń wyskoczy, a kawalergardy, dwór i co żyło za nim. Hrabina spadła z konia, ale ją otaczający kawalerowie podchwycili... to ją jakoś opamiętało i choć konno jeździ śmiało, zajęła miejsce w powozie.

— Powinni jój byli pozwolić kark skręcić—odezwała się Cosel.

— Najzabawniejszy był Flemming—dodał van Tinen—bo po odjeździe dam i króla, jeszcze mu nie dosyć było. Okrutną miał do tańca ochotę, więc brał pozostałe służące i kręcił się z nimi raźnie, aż póki nadchodzący ranek nie przerwał téj pięknej zabawy.

I Flemmingowi nic nie było.

— Przecież—odezwała się hrabina—nie pierwszy to raz w ten sposób się z królem obchodził. Sam król mi opowiadał, jak po pijanemu nadokazywawszy, nazajutrz do niego na zamek przyszedł i rzekł: „Słyszę, że Flemming wczoraj trochę się niedorzeczy znajdował, ale W. Kr. M. tego mu za złe nie weźmiesz. „Król do czasu śmieje się i przepuszcza—dodała—lecz któż ręczy, że się nie dostanie kiedyś do Königsteinu, gdy mu się jego przyjaciele, tak jak on mnie przysłużą.

Król łagodnym jest jak baranek—rzekła śmiejąc się szydersko—nieprawdaż panie szambelanie, a wiecie dlaczego? dlatego że gniewając się, popsułby sobie zabawę? Potém gdy mu się znuży człowiek, skinie i każe, aby go więcej nie widział. Na tém komedya skończona!!

Cosel zaczęła się przechadzać, van Tinen zmilkł przestraszony wyrzeczonymi przez nią wyrazami.

— Nie dziwię się tej goryczy, jaka płynie z ust pani— rzekł jednakże.

— Tak, masz słusność...—przerwała—gdybym i ja nie miała serca, nie miała czucia, nie bolała na krzywdę, a targowała się tylko o jej zapłatę, mogłabym mówić inaczej. Mogłabym powiedzieć, że August ma najlepsze serce, że nie on winien ale okoliczności; pierwsza zmarszczka na mej twarzy, znudzenie po tylu latach pożycia, moje gniewy i gwałtowności tak bezprzeczne!! Boć powinnam była śmiać się z Duval, cieszyć gdy Dupare przyjechała i nie wiele więcej warta Denhoffową wziąć za przyjaciółkę?

Nieprawdaż kochany szambelanie. Nie korzystałam z dobrych przykładów, jakie mi dawały pani Haugwitz, Aurora, Esterle i Teschen, chodzące z sobą pod rękę na lipskim jarmarku!! w takiej zgodzie serdecznój!!

Śmiała się spazmatycznie.

— Ja widocznie stworzoną nie byłam do tak dobrego towarzystwa...—dodała—nie umiałam się znaleźć, nie rozumiałam świata ani ludzi: winnam sama sobie. Sądziłam, że w piersiach są serca, że w duszy są sumienia, że miłość nie jest rozpustą, że przyrzeczenia są święte, i że królowie słowa dotrzymują. Wszystko to były złudzenia moje, winy moje i grzechy. Dlatego gdy tamte szczęśliwe... ja umieram z upokorzenia, z tęsknoty, ze wstydu.

Van Tinen słuchając tych wyrzekań, które z ust cudnie pięknej kobiety wychodząc, wrażenie na nim czyniły mimowolne, przejmujące, uczuł się poruszonym, zmieszanym, zawstydzonym. Spojrzała nań Cosel z politowaniem.

— Słuchaj—rzekła zbliżając się do niego—wiem, czuję, żeś ty tu nie przybył przez litość dla mnie, przez ciekawość dla siebie, ale z rozkazu.

— Pani!

— Nie przerywaj mi: słuchaj! Ja ci to przebaczam—kończyła—wam wszystkim idzie o to więcej, abyście zrobili karierę, niż byście ludźmi byli. Powtórz im to coś słyszał,

odemnie, niech znają głęb mojej duszy: między niemi a mną wszystko zerwane. A jeśli chcesz się zasłużyć, dodaj żeś sły-  
szął odemnie, z żywych ust hrabinęj Anny Cosel, iż tak jak  
niegdyś zapowiedziała królowi, że mu niewierność i zdradę  
zapłaci śmiercią, tak jeszcze dziś powtarza. Za rok, za dwa,  
za dziesięć, pierwszy raz gdy napotkam Augusta, w łeb mu  
strzelę. Noszę pistolet przy sobie, nie rzucę go nigdy, aż na-  
bój dla niego przeznaczony wyleci.

Powiedz im i to panie van Tinen...

Van Tinen pობładł śmiertelnie.

— Pani hrabino—zawołał—jest to wistocie zmuszać uczi-  
wego człowieka do zdrady. Posądzasz mnie pani niesłusznie,  
ale ja zostaję w służbie króla polskiego, jestem jego szambela-  
nem, przysięgłem mu na wierność. Tego, co słyżę z ust pani,  
nie mogę już nie powtórzyć! Muszę! pani to powtórzysz sama innym,  
pochwalisz się tém, żeś mi także w oczy rzuciła tę groźbę.

To nie dworactwo już, ale obowiązek każe wyznać.

— Alboż ja ci bronię?—zapytała Cosel—ja cię o to proszę.  
Nie będzie to rzeczą nową, August to pamięta.

— Ale to posłuży nieprzyjaciołom, na których pani nie  
zbywa do nowego spiknięcia się na jój zgubę, to da im oręż  
w ręce!

— Alboż im na orężach zbywa—przerwała—jeden mnieź,  
jeden więćj, nic nie znaczy. Kłamstwo, potwarz, zdrada, im  
wszystko dobre. Czyż, gdybym nawet była pokorną, uszłabym  
prześladowania? Podli czują we mnie istotę, co ich podłości  
nie znosi, niktzemni mają we mnie wroga... moja uczciwość  
jest dla nich wiecznym wyrzutem ich podłości. Jakże mogą  
przebaczyć kobiecie, co się tak jak oni skalać i zbezczęścić nie  
chciała?

Śmiech spazmatyczny towarzyszył tym wyrazom, van Ti-  
nen stał jak na mękach.

— Widzisz, dodała, taką jestem dziś, jaką byłam w szczęściu.  
Nie zmieniła mnie niedola, roztworzyła tylko duszę skrwawioną,  
nie więćj.

W czasie rozmowy, oczy jój piękne to szkliły się łzami,  
to osychały od ognia, co się w nich palił; van Tinen patrzył  
w końcu, zapomniawszy swój roli, jakby na niezrównaną artystkę,  
ze starożytnęj tragedyi greckiej. Miała w sobie Cosel wszystko,

co stanowi Medeę, co ideał święty wcielić może w rzeczywistość. Współcześni ze zdumieniem, jak van Tinen nieraz wychodzili poruszeni jej wymową i pięknnością promieniejącą.

Gdy zamilkła, szambelan długo nie mógł się także oderwać z wlepionemi w nią oczyma, zdawał się walczyć z sobą.

— Nie mogłaś mnie pani boleśniej upokorzyć niczém nad to wyznanie—rzekł—wystawiłaś mnie na próbę. Nacóż mam to kryć przed nią: jestem królewskim sługą, gdy powrócę z Berlina spytany będę; na pytanie kłamstwem odpowiedzieć nie mogę: rzecz jest zbyt wielkiej wagi. Słowa moje pochwycone zostaną i w sumieniu mém będę cierpiał, żem się do jej nieszczęść przyłożył.

Van Tinen w téj chwili był szczerym.

— Nikt w świecie do mojego nieszczęścia nie może już nic dodać—odezwała się Cosel. Myślisz że boleję nad utratą pałaców, znaczenia i łaski? nie!! nie! mnie boli to, że w żadne serce ludzkie uwierzyć już nie mogę, że widzę podłość wszędzie, że sama sobą się brzydzę i sobie nie wierzę sama! Daj mi jego serce—napowrót... rzekę się korony świata. Jam go kochała! całe życie moje w nim było... on mi był bohaterem, on mi był bogiem na ziemi: bohater stał się polyszynellem, bóstwo zmażało się kałem... a więc plugawy świat! i życie ohydne.

Szambelan starał się ją pohamować: płakała.

— O moje sny złote! o moje marzenia dziewicze, gdzieście się rozwiały!! nie ma was... nie ma!

— Racz się pani uspokoić—przerwał coraz mocniej wzruszony i pomieszany posłaniec—nie uwierzysz pani, jak mnie boli, żem był powodem rozżalenia jej; że moje przybycie...

— Nicsię nie winien—odparła Cosel—pokazałam ci rany, ale dawno je noszę, a każdy dzień je powiększa. Jeśli cię pytać będą, nie szczędź téj niepocziwej Cosel.

Van Tinen nie mógł powstrzymać się dłużej, litość wzięła nad nim górę.

— Zaklinam panią—odezwał się—uchodź ztąd... więcej powiedzieć nie mogę.

— Jaktó?—spytała Cosel—czy i tu mi jeszcze co zagraża? czy król Fryderyk pruski wydałby tak kobietę na męczarnią,



jak król polski Patkula? Powinien przecież pamiętać, że jemu odmówiono Böttigera, gdy się o niego domagał?

Van Tinen stał milczący: zacięte usta świadczyły, że więcej powiedzieć nie mógł.

— Dokąd uciekać? szepnęła sama do siebie: ziemi braknie... ja daleko żyćbym nie potrafiła, tam mnie jeszcze serce ciągnie... niech zresztą zrobią już ze mną co zechcą. Życie mi zbrzydło. Odebrali mi dzieci... nie mam nic prócz zółci, którą się karmię.

Szambelan chcąc zakończyć tę scenę, której nie przewidywał, pochwyił za kapelusz.

— Żal mi pani szczerze—rzekł—lecz zdaje się, że dopóki trwać będziesz w tych usposobieniach... nikt w świecie ani uratować, ani na los jej wpłynąć nie może: wszyscy przyjaciele hrabinéj.

To wyrażenie ją rozśmieszyło.

— Moi przyjaciele? a policzże mi ich kochany panie van Tinen—odezwała się żartobliwie.

— Masz ich pani więcej niż sądzisz—rzekł gość—ja pierwszy!

— A! pan pierwszy! prawda—dodała—takich, jak pan, wielubym naliczyć mogła. Przynajmniej trzech czy czterech, co mi się ofiarowali pocieszać nieszczęśliwą wdowę, aby z nią podzielić owe ogromne łupy, z których mi wkrótce nic nie pozostanie. A! takich! takich!!—rzekła wzgardliwie.

Van Tinen był tak zmięszany, iż nie umiając nic odpowiedzieć już, ukłonił się z lekka i ścigany czarnymi oczyma Cosel, wyszedł powoli z pokoju.

## VI.

W Dreźnie dawnym obyczajem szło życie u dworu, zabawy były jego ostatecznym celem. Poważne strony życia dostarczały tylko do nich powodów i zręczności, materiału i żywiołów.

Król starzał a wiek podeszlejszy, który wiele wyczerpał i zużył, stokroć jest do zabawienia trudniejszym. W młodości bawi tożnawet co smutnémby być powinno, później rozrywka staje się posępną, wszystko czczém i pustém. To w czém

dawniej człowiek widział ziarno, przemienia się w pustą łupinę. August też był do rozbawienia trudniejszym. W pierwszych jego płochych amorach było coś choć chwilowo przypominającego serce, w ostatnich bawiły się zmysły. Czcza galanterya francuzka okrywała to swą jedwabną, złotem naszywaną sukienką.

Zabawy następowały coraz wytworniejsze jedne po drugich, a po nich król ziewał i znajdował, że teraz nic nie miało smaku, siły, barwy ani woni. Gniéwało go, cokolwiek błogi ten spokój szeregu bezmyślnych rozrywek przerywało, co mu przeszkadzało śmiać się gdy brytany brały zrozpaczonego niedźwiedzia, lub patrzéć jak biedny jeleni miotał się w przedśmiertnych męczarniach.

Były to także ulubione rozrywki, w które już młodziuchnego syna zaprawiał, a zdawało mu się to rycerską zabawą. Widok krwi dodawał smaku innym widowiskom, stanowił kontrast z obrazem słodkim uśmiecików niewieścich, skoków baletnicznych i pieszczącą ucho włoską muzyką. Aby się napawać melodyą, dobrze było wprzód w dziki ryk zwierzęcia się wsłuchać.

Nieprzyjaciele Cosel pracowali około króla pilnie. Unikał on o niej wspomnienia, dawał do zrozumienia że niechętnie o niej słyszy: nic to nie pomagało. Zawziętość ubierała się różnie, najczęściej w pozorną obawę o króla, o jego bezpieczeństwo, o drogi spokój pański. Malowano kobietę nieszczęśliwą, jako niebezpieczną.

Oddalona, swobodna, mająca w ręku środki potężne, bo wiadano że znaczne z sobą summy uwiozła, mogła się stać groźną.

Flemming, Löwendahl, Watzdorf, Lagnasco, Vitzthum, niepytając króla nawet ślali szpiegów i kreślili plany, jakby ją pochwyć, a korzystając z tego, owe skarby, jak po Beichlingu, rozszarpać.

Jednemi zemsta, drugimi kierowała chciwość. W czasie swojego panowania Cosel nie zaszkodziła z nich nikomu, wielu z nich jój byli winni wyniesienie się swoje i swobodę. Jój zawdzięczał kanclerz Beichling że mógł resztę życia na wsi, w marzeniach, projektach i alchemicznych doświadczeniach

przepędzić; Löwendahl przez nią był polecony królowi. Z pochlebców bez liku, nie pozostało ani jednego przyjaciela. Jeden Haxthausen miał odwagę, nawet przeciwko radom Flemminga do końca dotrwać wiernym i nie zdradzić nieszczęśliwej; jeden Friesen nie wziął jęj za złe odmowy posiłków i zachowywał się neutralnie: reszta, pomimo że czas już sam winien był te uczucia ostudzić, nie miała pokoju ażby ją zgubiła.

Jątrzone więc króla codziennie, nieustannie.

Gdy van Tinen powrócił z Berlina, pod wrażeniem pięknych oczów Cosel zrazu walczył z sobą. Żal mu jęj było. Nie pokazał się zaraz na dworze, ale go Löwendahl wyszpiewował i zawezwał do siebie.

— Jakżeś ją znalazł, mów—zawołał—zdaje się nam wszystkim, iż król zachował dla nięj dotąd pewną słabość. To jest rzecz niebezpieczna... Nam daleko z Denhoffową i Pocięjową jest lepiej. Te ani się do rządów mieszają, ani mu ludzi stręczą, ani chcą panować. Prawda że ogromnie króla kosztują i on sam mówi że nigdy tyle Cosel nie wymagała, ale koniec końcem, nam z tém lepiej. Cóż Cosel? Ma jeszcze nadzieję powrotu? mówi dotąd o przyrzeczeniu ożenienia? odgraża się że strzeli..?

Van Tinen smutnie na to odpowiedział:

— To pewna, że nieszczęśliwa kobięta.

— Nieszczęśliwa! sama sobie winna! Trafiły się jęj najlepsze partye, najwierniejsi sprzymierzeńcy, oszalała na tém przyrzeczeniu ożenienia, sądzi się ciągle królewską żoną, niemal królową? czy i dotąd?

— Tak się zdaje, bo w niczém mi się nie zdaje zmienioną —rzekł van Tinen.

— Ale mówże wyraźniej, opisz coś widział? —nalegał Löwendahl.

— Przyznaję się wam, iż to com widział i słyssał serce mi zakrwawiło. Zawzięta jest, gniewna, nie przebaczy nigdy; ale w nieszczęściu swém wzbudza uszanowanie: jest doprawdy cudowną, jest wielką.

— Więc tém niebezpieczniejszą—dodał śmiejąc się Löwendahl—ale zbrzydnać musiała?

— Zbrzydnać? —podechwycił piérwszy—piękniejszą jest niż kiedykolwiek była, ani śladu łez, ani bolu na tój marmuro-

wój twarzy. Od lat ośmiu najmniejszej zmiany w świeżości, najłżejszego zmarszczka: promienieje młodością.

— Tém gorzej! — powtórzył Löwendahl — tém gorzej; król mógłby ją zobaczyć, a po zwiędłej zawczasu twarzyczce Denhoffowej, znowuby na nim mogła zrobić wrażenie.

— Niewątpliwie — potwierdził van Tinen — bo je czyni na każdym.

— Mówiłeś z nią?

— Tak jest, a raczej ona mi się wylała z całą goryczą.

Powoli dał z siebie wyciągnąć szambelan, co marszałkowi wiedzieć potrzeba było i donieść zwiększając Denhoffowej. Jakkolwiek płocha i lekkomyślna, jakkolwiek złośliwa, bojaźliwa o siebie i bronić się pragnąca na wszelki sposób, Marynia Denhoffowa tak bardzo złą nie była, żeby kobietę nieznaną, biędną, której największą krzywdę już wyrządziła, chciała pozbawić ostatka swobody... Przykrzyło jój się to naleganie nieustanne i postrachy, byłaby się opierała może, gdyby nie pani Bielińska, która zmuszała ją być ze wszystkimi dobrze i nie sprzeciwiać się faworytom króla, aby swe panowanie przedłużyć.

Löwendahl tegoż dnia stawił się u pani Denhoffowej, wybrał godzinę gdy sama była z siostrą i począł od pochlebstw które obie lubiły. Z wielką zręcznością, niby nieumyślnie przeszedł do porównania obecnego czasu z dawnym; mówił wiele o Cosel i zakończył tém, że miano o niej wiadomość.

Denhoffowa zapytała:—A cóż się z nią dzieje?

— Siedzi w Berlinie, pod opieką króla pruskiego i używa dawniej sobie swobody, żeby nas, króla, dwór i wszystko co się tu działo i dzieje w najszkaradniejszych malować kolorach. Jestto niewdzięczność czarna, aleśmy do niej nawykli.

— Zresztą — dodał Löwendahl — mniejszaby o to, gdyby zawsze nie powtarzała swego, że przy pierwszym spotkaniu królowi w łeb strzeli!

Denhoffowa porwała się z krzykiem z kanapki na której siedziała, zakrywając oczy..., pani hetmanowa ruszyła ramionami tylko.

— Ktoby się tam tego lękał, albo na to uważał—zawołała—to są brawady bezsilne.

— Takby się zdawać mogło, gdybyśmy pani hrabinę nie znali—przerwał Löwendahl—szczególniej ja, który mam nawet zaszczyt być jej krewnym. Jestto kobieta, która nigdy nie próżno nie mówi.

— Szczęściem niema żadnego podobieństwa ażeby kiedykolwiek z królem spotkać się mogła—dodała Pocijowa.

— Jakto? czyż pani sądzi że ona czekać będzie sposobności a nie szukać jej? Wszak tak samo jak potrafiła raz wkraść się na maskaradę, może się dostać przebrana do Dreżna, czekać na króla choćby w ulicy.

— A! tak! tak!—poczęła gorąco Denhoffowa—ja przeczuwam niebezpieczeństwo... Król jest nieuważny, tę kobietę należy... ja nie wiem? cóż z nią zrobić?

Loewendahl ruszył ramionami.

— Kto woli swój używać nie umie, temu ją odebrać należy i uczynić niewolnikiem: rozumie pani.

Obie kobiety zamilkły, obu przyszło na myśl, że to co teraz spotkać miało Cosel, mogło później być Maryni udziałem. Marszałek Loewendahl zdał się tego domyślać i dodał:

— N. Pan nigdy dla osób które chociaż krótko kochał nie był surowym, świadkiem te panie, jakieście tu spotkać mogły; ale są wypadki...

Na tę naradę nadeszła najrzęczniejsza z nich, matka, pani marszałkowa Bielińska; pomimo wieku już dobrze dojrzałego ubrana z wielką pretensją, przeglądająca się we wszystkich zwierciadłach, poprawiająca coś około fryzury nieustannie i piękne białe ręce, okryte pierścieniami wystawująca chętnie na uwielbienie. Powitała Loewendahla z uprzejmością poufałą, z uśmiechem i popatrzwszy po córkach, wpadła z jednego schwyconego słówka na tok rozmowy.

Denhoffowa wtajemniczyła ją w te obawy, które przyniosł z sobą przyjaciel domu; tam gdzie szło o córki, dla marszałkowej nikły wszelkie względy: litościwa w innych razach, stawała się mściwą i gniewną. Córki tutaj były całym jej mieniem i przyszłością: co im zagrażało, doprowadzało ją do szaleństwa.

Wysłuchawszy opowiadania uniosła się.

— Ale, bo téż szczególne zachowują względy dla prawdziwie szalonej kobiety! Król jest nadto dobry! wyzywa goł urąga się, sama winna będzie jeśli sobie ciężki los zgotuje. Temu raz koniec położyć należy.

Marynia miała króla przestrzedz... złożono to na nią; lecz po namyśle marszałkowa znalazła iż ona tego dobrze nie potrafi uczynić.

Postanowiono więc aby ona tylko zagaiła, a marszałkowa sama wymownie dokonała reszty.

Loewendahl w tak dobre ręce powierzywszy sprawę swęj zemsty, odszedł.

Wieczorem zabawa była w ogrodzie Hesperyd. Tak się naówczas zwał podwórzec Zwingru, świeżo, wspaniale i z przepychem królewskim dokończonego. Była to mała cząsteczka jakaś olbrzymiego pałacu królów, który miał doń przytykać. Ogród urządony był obyczajem i smakiem wieku, w kwatery kwiatów poobsadzae bukszpanem, z wodotryskami, grotami i bogatą mytologicznych figur ozdobą. Wieczorem rozsypane lampy i kolorowe latarnie czyniły go piękniejszym jeszcze niż we dnie. Z drzew poustawiane gaje pomarańczowe, w których przygotowano siedzenia, dozwalały parom przechadzającym się używać spoczynku w cieniu i ukryciu. Na balkonach galeryi otaczających dokoła Zwinger, grały muzyki, a melodye ich rozchodziły się daleko z lekkim wiatrem wieczora. W pośrodku ogrodu rozbity namiot jaśniejący cały illuminacją, stanowił salę improwizowaną, w której po wieczerzy miały się odbywać tańce.

Król przybył ubrany cały w niebieskie jedwabie ze srebrem i białe koronki, a wyglądał młodo i chciał sobie znać młodsze jeszcze pierwszych swych podróży po Europie przypomnieć lata. Denhoffowa także tego wieczora była w sukni błado niebieskiej i w bieli i było jęj wcale do twarzy. Zmuszając się do wesołości powitała króla, którego każdy bawić musiał, pod karą niełaski i zaczęła od pustych żarcików. Część wieczora upłynęła na śmieszkach, do których Pocijowa dobrze pomagać umiała.

Pani Hetmanowa i siostra jęj były w jak najlepszej przyjaźni, a choć jedna o drugą mogłaby była być zazdrosną, nigdy

tego uczucia oznaki najmniejszej nikt w nich nie dostrzegł. Hetmanowa mała, delikatna, jeszcze napozór wężsja od siostry, daleko była wytrzymalszą od niej. Polska i Saksonia naówczas zdumiewała się owęj sławnęj konnej podróży jęj z Frielinem z Warszawy do Gdańska i napowrót odbytej z takim pośpiechem, iżby poczytłiona znużyła. Pocięjowa ani dnia po nięj nie potrzebowała spoczywać. Ona Denhoffowęj w ciężkich razach pomagała przy królu w rozmowie, w naprowadzeniu jęj na co było potrzeba i tego dnia podjęła się wreszcie z rozkazu matki, wtrącić coś o Cosel.

August był zmęczonej i chmurny.

Hetmanowa wtrąciła coś, że dawnięj za czasów hrabinęj bawił się ławięj i z większą ochotą, że może tamtęj żałował.

Pełen grzeczności król odpowiedział żywo, iż w towarzystwie tak miłych i pięknych dam, nic żałować i o niczém pamiętać nie było podobna.

Denhoffowa pochwytiła tę zręczność by ujawnszy go pod rękę, zacząć coś prawić o Cosel; lecz jak zwykle wywiązała się z tego wcale nie szczęśliwie, gdy w pomoc jęj czatująca nadeszła matka: naówczas obie poczęły lament z tematu hrabinęj.

Królowi się to widocznie nie podobało: spuścił głowę i nie odpowiadał. Chwila była, w której obie kobiety strwożyły się; wyszedł jednak z tego zamyślenia i odezwał się żywo:

— Kochana hrabino, chcięj być o mnie spokojną; czuwa nademną wielu proszonych i nie proszonych stróżów i nic mi uczynić złęgo nie dadzą. Nie rad mówię o tém: chodźmy i wmięszajmy się do tańca.

Zamiar przypuszczenia szturm do Augusta spełzył tedy na niczém. Flemming i Loewendahl powtórzyli po wieczery przy kielichach, to co te panie zaczęły niezręcznie w ogrodzie Hesperyd. Tu swobodniejszy król, dał im mówić i słucał.

Jednakże olympijska brew zmarszczyła się kilkakroć.

— Słuchaj Loewendahl — rzekł szydersko — dajesz mi wprawdzie dowód wielki przywiązania do mojęj osoby, ostrzegając przeciw hrabinie, która jest twą kuzynką i której winieś to czém cię zrobiłem; powinienym ci być wdzięczen, a jednak powiem szczerze, stajesz się dla mnie dziwnym.

Staranie o moje bezpieczeństwo zostawcie mnie, proszę.

Loewendahl umilkł, podstawił tegóż wieczora wprawdzie van Tinena, z opowiadaniem o Berlinie, ale król i tego słuchał z roztargnieniem, bo go nie lubił.

Rzecz obrachowana na wielkie skutki skończyła się na niczém.

Intryganci spostrzegli, iż należało innych użyć dróg i środków.

Jakkolwiek Cosel ustronne pragnęła prowadzić życie w Berlinie, zbyt była głośną jój piękność, jój sława, zbyt ciekawą osobą, zbyt głoszony dowcip, żeby wkrótce nie zaczęto się ubiegać o jój znajomość.

Większa część osób otaczających dwór Fryderyka, znaną jój była z pobytu kilkokrotnego w Dreźnie. Nudzono się tak bardzo jednostajnymi paradami wojskowemi, które król codziennie odbywał i wieczorami u N. Pana lub królowej, iż każdy spragnionym był jakiegóś rozrywki.

Król sam częściej bawił w Potsdamie lub Wusterhausen niż w stolicy, nie chybił nigdy zaciągu warty o dziesiątej godzinie, dawał potém posłuchanie ministrom lub szedł na przechadzkę; o południu przyjmował wojskowych i cudzoziemców, potém zasiadał do skromnego stołu z królową i rodziną, pracował po południu w gabinecie i nie ukazywał się na pokojach aż wieczorem. Tu przybywała królowa, kilka dam, kilkunastu oficerów, czasem zaproszony ktoś obcy, grywano w pikietę, lombra i tryktrak i palono tytuń... tak schodził czas w dosyć poufałym ale téż i nudnym kółku do jedenastej: o téj godzinie wszystko się kończyło zwykle urzędowie. W niebytności króla przyjmowała co wieczora królowa o siódmój u siebie i zapraszała czasem kilka osób na wieczerzę. Nie urozmaicało nic tego toku życia, chyba nader skromny wieczorek w mieście u któregoś dygnitarzy. Wcale to było niepodobne do szumnego Dreznia, z którego się téż tu śmiano pocichu, a nadewszystko z rycerskich i wojskowych zabaw Augusta, których nikt tu nie brał na seryo. Wojsko saskie przyodziane w złoto, galony, lamy i pióra, nie mogło się ani porównać z pruskim, w jednakowych niebieskich mundurach zaszytém, mało strojném, w którym czerwony mundur huzarski i trochę galona stanowiły całą ozdobę; oficerowie nawet od żołnierzy mało się różnili ubiorem. Za-



miast wymyślnych chorągwi, powiewała tu wszędzie jedna, biała, z dumnym nad lecącym orłem godłem: *Nec soli cedit!* Należała dżewiza wydawała się nieco zuchwałą, przyszłość ją wszakże usprawiedliwiła.

Nie było na świecie dwóch charakterów mniej do siebie podobnych, sprzeczniejszych i mających większe prawo wstępu wzajemnego do siebie nad Fryderyka pruskiego i Fryderyka Augusta polskiego. Od czasu jak pewien wybryk nieprzyzwoity panna von Pannewitz wypłaciła królowi — policzkiem, nie spojrział pono nigdy na kobietę i był najwierniejszym z małżonków, a rodzinę swą trzymał w tak ciasnych karchach i życie wiodł tak oszczędnie, iż od jego stołu wstawało się zwykle nitylko trzeźwo, ale głodno.

Porządek w państwie, w mieście, w domu, w wojsku ponisnięty był do pedantyzmu; srogość i surowość niekiedy do bezlitości: obyczaje musiały być spartańskie, bo tu wszystko szło, jak z góry przykazano. Szlachta probowała wprawdzie nieco się opodatkowaniu opierać; ale Fryderyk zapowiedział jój z góry, że jego władza, jak skała z bronzu nie da się pożyć niczēm.

Przed jędzeniem odmawiano modlitwy, stół był mieszczkański, a o balach na dworze nikt nie myślał. Jadano na glinie, a gdy obcych trzeba było przyjmować, dobywano srebra ciężkie, które nazad szły do skrzyń nazajutrz.

Miewał król fantazyje, lecz wcale innego, niż August rodzaju. Po odejściu królowej od stołu, po chudej wieczery, zbierali się poufali do Tabacznego kollegium, to jest do izby, w której król fajkami częstował. Przy fajkach wiele było wolno, a najpierw zabawiać się, biorąc którego nieszczęśliwego na zęby. Padał ktoś zawsze ofiarą. Po środku sali stał prosty stół, który obsiadali w wielkich mundurach ministrowie, jenerałowie i czasem obcy goście. Dawano wszystkim holenderskie fajki, czy kto chciał palić czy nie i stawiono przed każdym kufel duksztyńskiego piwa. To było całe przyjęcie, bo na kosztowne wina nie myślał się król rujnować. Upoić piwem i tytuniem, było wielką dla króla pociechą. Wyśmiewać uczonych, arystokrację, urzędników... główną zabawką. Żarty po piwie czasem przebierały miarę, gdy się w Wusterhausen mię-

szwały do nich niedźwiedzie, a podszczuci zapaśnicy kufkami bić się zaczęli; lecz zawsze to jeszcze nie dochodziło do ostateczności: odchorowywało wielu, rzadko kto umierał.

Na wielkie święta urządzano dysputy w tabaczném kolegium i zadawano jako temat, że uczeni są głupcami. Morgenstern stawał na katedrze w niebieskiej aksamitnej sukni z czerwonymi obszegami, haftowanej w zające, w czerwonej kamizelce, w peruce omal niespadającej do kolan i ogonem lisim u boku zamiast szpady. Godzinę prawił i to króla bawiło niezmiernie.

To były jedyne dworu pruskiego zabawy. W Dreźnie wyśmiewano się z Berlina, w Berlinie Drezno miano za coś sąsiadującego z piekłem, bo Fryderyk polski nie wierzył w nic, a pruski po swojemu był pobożny.

Raz gdy przy wieczerzy nowo-przyjęty kamerdyner z obowiązku czytał modlitewkę i przyszedł do wyrazów: „Niech cię Bóg błogosławi“ zdało mu się przyzwoitszém obróconemu do króla, przeczytać: „Niech Was Bóg błogosławi. Nie podobąło się to królowi:—Huncwocie, czytaj jak napisano, zawołał—przed obliczem Bożém ja taki jestem huncwot jak i ty.“

Po zabawach w tabaczném kolegium, po chudych dworskich obiadkach, których własna córka króla opis nam zostawiła, nie jeden zapragnął innego towarzystwa, trafniejszych żartów, rozmowy wytworniejszój. Znajomi hrabinój Cosel, zaczęli czasem do niój przybywać; znudzona kobieta otworzyła drzwi dla garstki tój gości i pocichu wieczorami zbierało się czasem z dworu osób kilka... cichutko, skromnie, bo w Berlinie hałasu robić nikomu nie było wolno.

Król Fryderyk, choć pewnie o tém był uwiadomiony, bo wiedział dobrze o wszystkiém, co się u niego w stolicy działo, nie mówił nic. Ośmieliło to kilku młodych dworaków, kilku wojskowych do odwiedzania hrabinój. Zwykle przychodzili przed wieczerzą, a że ona sypiać nie mogła i do pierwszej siadywała, gawędzono dobrze za północ. Drzwi potem otwierały się pocichu i goście rozchodzili się do domów. Nie mogła Cosel posądzać króla, pod którego schroniła się opiekę o wielką miłość dla Augusta; zbyt wielkie były ich życia i cha-

rakterów różnice; nie wystrzegano się więc wcale w rozmowach mówić o Dreźnie, co niechęć ku niemu dyktowała.

Przynoszono tu plotki, które ztamtąd dolatywały, a hrabina nie kryła niechęci swojej dla płochego Augusta. Nie jedna wiadomość ciekawa dostała się ztąd przez młodych, idąc do starych, aż do tabacznego kolegium, gdzie ją królowi w kłębach dymu przy piwie do ucha podano. Naówczas uśmiechał się król Fryderyk, ale głową dziwnie potrząsał i zdawał dziwić, że Cosel była tak śmiałą, bo napozór wielką miłość i szacunek wyznawał dla wspaniałego sąsiada.

Jednego wieczoru, gdy się zwykle młodszy goście zebrali u Cosel, niespodziewanie przywłókł się i stary generał, należący do tabacznego kolegium. Ostudziło to w młodszych zapał do swobodnej rozmowy, ale nie powstrzymało Cosel od powieści zwykłych i wymyślań na króla.

Stary generał głową potrząsał i słuchał, i dziwić się zdawał, i nie dowierzać. Dosiedział tak do północy i dłużej, a gdy się inni wynosili, pozostał nieco. Zdziwiło to nieco Cosel.

Stary, który mówił mało, zbliżył się do niej, żegnając ją z wielkiem uszanowaniem:

— Pozwoli mi hrabina uczynić jedną małą uwagę—rzekł ochryplym głosem—bardzo się u niej przyjemnie czas przepędza, ale choć drzwi zamknięte i okna, dużo ztąd wychodzi na ulicę. Lada wiatr to zanieśie nad Elbę; zmarszczy się najjaśniejszy nasz sąsiad na naszego króla, że tu pod jego bokiem takie się rzeczy prawić mogą na jego dobrego sąsiada i sprzymierzeńca. Królowiby to było markotno...

Cosel się zmarszczyła.

— Jakto?—spytała—więc u was w domu własnym między czterem a ścianami niewolno mówić, co kto ma na sercu?

— Mówić wolno—rzekł generał—ale powiedziawszy można gdzie pojechać, choćby się nie życzyło.

— Jakto i ja?

— Kochana hrabino—rzekł wzdychając stary generał—n awet wamby się to mogło przytrafić. U nas tu rygor wojskowy we wszystkiem... kraj to taki i porządek... A jabym wam radził grać w tryktrak lub pikietę, bo to rzecz zabawna a za to nie ma biedy.

Cosel spuściła główkę smutnie.

— Myślicie że ja to mówię jako stary gdéra, któremu się coś przywiduje. A! nie, wierzcie mi, że może mi kto szepnął abyście byli ostrzeżeni.

To mówiąc wyszedł generał powoli, a hrabina padła na kanapę, szydersko uśmiechając się sama do siebie.

Nie usłuchała jednak przestrogi, a gdy poufałe zebrało się towarzystwo, mówiła wiele, głośno, jakby wyzywając do téj surowości, której się nie spodziewała.

Jednego poranku zjawił się u drzwi domu generał-gubernator miasta Berlina, Wartesleben. Grzecznie pokłonił się hrabinie, uśmiechnął, pokręcił wąsa a potem zapytał:—czyby to prawdą było, że hrabina życzyła sobie zmienić rezydencję i w spokojniejszym kątku w Halli zamieszkać?

— Ja w Halli?—zdumiona przerwała Cosel—a cóżbym ja robiła w Halli?

— Wié pani, powietrze tam jest bardzo zdrowe, widoki piękne, spokój wielki, wygody wszelkie. Nic przyjemniejszego nad pobyt w Halli.

Cosel nie wiedziała co ma odpowiedzieć zrazu; słuchała tych pochwał coraz bardziej zdziwioną się niemi okazując.

— Ale ja nigdy w życiu nie miałam myśli jechać do Halli.

— Rzecz to jest dziwna—odpowiedział Wartesleben—Najjaśniejszemu Panu ktoś o tém oznajmił i król wydał rozkazy ażeby tam pani wszelka opieka była daną. Rozporządzenie króla to rzecz nieodwołalna, więc najlepiej już, pojechać do Halli.

Nie mogła długo słowa przemówić Cosel, patrzyła milcząca; łzy popłynęły z oczów: załamała dłonie...

— To więc jest rozkaz—odezwała się w końcu—to wygnanie nowe... za co?

— Król sądzi że tam pani będzie lepiej. Hrabina wié, tu w ulicach Berlina łatwo się echo rozchodzi. Każde słowo odbrzmiewa, sięga daleko... tam... w Halli nikt nie usłyszy i większa panuje swoboda. To mówiąc powstał.

— Hrabina może nie jutro, ale nawet pojutrze wyjeżdżać rano—dodał:—Czas jest piękny a podróż można odbywać po-

woli. Lecz że drogi nie zawsze bezpieczne, król JM. ofiaruje jój kilku ludzi eskorty, którzy aż na miejsce odprowadzą. Jest to z jego strony galanterya bezprzykładna... Za to powinna mu być pani wdzięczną.

Generał Wartesleben skłonił się bardzo grzecznie, raz i drugi i wyszedł zostawiając hrabinę osłupiałą.

Raz który ją tu dosięgnął, nie myliła się, ręka z Drezna wymierzyła. Chciano ją zmusić do milczenia, do poddania się losowi, do ulegania niedoli; oburzał się w niej duch nieugięty, a każdy pocisk taki nową w niej energią pobudzał.

Tegoż dnia hrabina kazała pakować powozy, najmować konie i wierny Zaklika z nawieszoną brwią, wzdychając, pracował znowu nie śmiejąc rzec słowa.

Gdy Cosel siadać miała do powozu, kupka ludzi zbiegła się pod jój dom, a widząc tę piękną w czerni kobietę z podniesioną głową, majestatycznym postępującą krokiem do powozu ostawionego konnemi; ludzie strwożeni rozeszli się pocichu i zdało im się że spojrzeli na ofiarę, którą wieziono na rusztowanie.

## VII.

W ciasnej uliczce miasta Halli, w niepokąznym mieszczańskim domu, nieopodal od gmachu w którym sobie niewiele wymagający kupcy tutejsi i obywatele wydawali bale; w oknach pierwszego piętra, od niejakiego czasu dziwne zjawisko zwracało oczy przechodniów.

Była to kobiéta. Całe dnie siedziała w tém oknie i patrzała w niebo oczyma, które nic nie widziały, a postawa jój, rysy, wyraz twarzy, piękność anielska, smutek co się na nią malował, zwabiały tłumy ciekawych.

Nikt w Halli nie znał téj kobiety i odniedawna zjawiała się tak w tém oknie smętna, zadumana, nieporuszona, obudzając litość i zdumienie. Całej historii nieszczęścia jakiegoś poza tą chwilą domyślać się było można.

Siedziała dziwnie zamyślona, nieprzytomna; wzrok jój nie spadł nigdy w ulicę na przechodniów, nie zbłąkał się na twarz ludzką: patrzała gdzieś w przeszłość czy w przyszłość. Cza-

sem tylko gdy tłum się zebrał, gdy zaszemrał, gdy młodzież szeptać zaczęła głośno, uciekała od okna strwożona.

Drzwi tego domu stały zawsze zamknięte, nie miała znajomych, nie odwiedzał jej nikt; służa przynosiła jej z sąsiedniej garkuchni jedzenie, niekiedy tylko młody, pięknie ubrany mężczyzna pukał do drzwi, targował się o wnijscie: puszczano go na krótko i smutny nazad odchodził. Studenci zwali go kochankiem pięknej nieznajomej, ale on nań nie wyglądał.

Nie było naówczas w Halli mowy o czém inném, prócz o tém cudnym zjawisku. Tak była piękną ta kobieta, taki wyraz smutku głębokiego miały jej oczy, taką zagadką była ta wielka pani ukryta w ubogim domku. Każdy bowiem domyślał się w niej pani; pańskością tchnęła twarz, a gdy przestraszona odskakiwała od okna, ruchy jej zdradzały nawykłą być i pokazywać się piękną kobietą. Z królewską powagą rzucała się szpiegowana w głąb pokoju i długo potem niewidać było nic, oprócz białej firanki.

Gospodarz domu pytany ostrożnie, gospodyni natarczywie badana przez sąsiadki, sługi nawet na które nalegano datkami, miały usta zamknięte. Spytani oglądali się ostrożnie, bojaźliwie i mruzcili ruszając ramionami, że nic a nic nie wiedzą, że to była zdaleka, chora, obca jakaś niewiasta. Oprócz tych ciekawych jednak, przechadzał się czasami ulicą to jakby przypadkowo zbłąkany żołnierz, spoglądając ku oknom, to jakiś człowiek nieznajomy, który tak wyglądał jakby niedawno mundur jakiś z siebie zrzucił. Niekiedy nawet wieczorami pod przeciwległym murem zasiadali żołnierze i niepotrzebnie w ciasnej uliczce spoczywali, jakby z przypadku, choć im tam pewnie bardzo wygodnie nie było. Tą piękną nieznajomą o której najrozmaitsze krążyły domysły, była hrabina Cosel; lecz jakżeż teraz zmieniona.

Ostatnia podróż złamała mężstwo kobiety, duszę jej napełniła trwoga, odjęła nadzieję. Smutną była do szalu, rozpaczającą do obłąkania, łzawą i nad wyraz biędną. Zemsta co ją ścigała, była tak długą, niezbląganą, nienasyconą, że po niej już się wszystkiego spodziewać mogła, nawet śmierci.

Z Berlina jeszcze mogła w początkach swobodna ratować się ucieczką: w Halli była już niewolnicą. Zaklika który jej

aż tu towarzyszyk, doniósł nazajutrz po przybyciu, iż wszystkie wyjścia z domu były strzeżone, że Halla stała się więzieniem. On chodził jeszcze wolny, ona już krokiem ruszyć nie mogła. Chciała do kościoła w niedzielę, widziała jak ją krok w krok ścigano: wróciła. Gospodarz domu i gospodyni byli uniżeni i grzeczni, ale im wcale ufać nie było podobna. Dom ten usłużny urząd pruski wskazał i znać się upewnił, iż w nim niewolnica będzie bezpieczną. Mieszczanin miał lisią twarz i kose wejrzenie, żona jego chodziła niema i blada, obawiając się słowa rozmowy.

Zaklika próbował się do nich zbliżyć, cofnęli się jak od zapowietrzonego. Drugiego czy trzeciego dnia, oznajmiono szambelana van Tinen. Cosel ze wstrętem i oburzeniem kazała mu drzwi otworzyć. Wszedł nader skromny, smutny, zmieszany, jakby nie wiedział co powie.

— Mów pan z czém przybyłeś—odezwała się Cosel—bo wiem że go tu nie litość sprowadziła, ale czyjeś rozkazy.

— Mylisz się pani—rzekł van Tinen—jedno i drugie. Wolałem ja przybyć tu, niżby miano wysłać kogo innego, któryby mniej miał na jój nieszczęście względów.

— Nie miéj pan względów—odpowiedziała Cosel—mów otwarcie; cierpię wiele, ale męztwo w sobie wyrabiam: na wszystko jestem gotową.

— A! gdybyś pani gotową tylko była na jedno—odezwał się van Tinen—na trochę rezygnacyi i łagodności. Wszystko jeszcze dało się naprawić. Któż wie?

— Czegoż chcesz odemnie?

Van Tinen westchnął.

— Jam posłaniec, z czém mi kazano, przychodzę: król wymaga od pani tego pisma które jój dał niegdyś... przyrzeczenia...

— I sądzi że mu je oddam, abym z żony spadła na popolitą zalotnicę, którą mu odpędzić wolno, gdy się nią znuży? Kochany van Tinen—dodała spokojnie—jeśli po to tylko przychodzisz, jedź nazad i powiedz że Cosel nigdy a nigdy nie sprzeda swego honoru!

— Pani, na miłość Boga—począł przysyłany—nie zarzekaj się! Możesz uporem swym sprowadzić największe nieszczę-

ście, tak jak zwrotem tego kawałka papieru odzyskać możesz wolność... wszystko...

— Serce Augusta—szepnęła Cosel—a! nie! nie; nie wierzę w nie: niema go tam w tej piersi brylantami obsypanej, złotem opasanej, jak brylanty i złoto ostygłej. Nie odzyskam nic, bom na wieki co najdroższe straciła! nie wierzę w niego i w ludzi!

Powtórzyła mu tylko to co mówiła ciągle. Van Tinen nie poprzestał na tej próbie, siedział parę godzin nie mogąc nic z niej dobyć więcej, ale litując się pozostał dni kilka, dając czas do namysłu.

Każdego tak dnia przybywał, rzeczywiście litując się niedoli hrabiniej; powtarzał pytanie, prośbę, nakłaniał, błagał, a ona z coraz większym odpowiadała mu chłodem.

— Tego papieru nie oddam, w nim honor mój, obrona moja i dzieci moich, które mi wydarto; cześć leży: umrę, ale on go mieć nie będzie.

Drugiego dnia już po przybyciu van Tinena, hrabina zawołała Zaklikę, który wyglądał teraz prawdziwie jak z krzyża zdjęty. Był to skielec człowieka: żółty, blady, obciążony skórą sfałdowaną, straszny, a niemy. Gdy spojrzął na ludzi, od tego wzroku nienawiści pełnego, cofali się jak od groźby, czuć w nim było boleść co szuka tylko pozoru aby się stała wścieklizną.

Straszno było mówić w tym domu, niebezpiecznie dłuższą prowadzić rozmowę, by w niej zmowy nie posądzono. Zaklika przychodził i wychodził niby coś posługując około sprzętów, coś wynosząc i z czémś wracając, i tak zrywana, rozbita toczyła się rozmowa.

Cosel powiedziała mu krótko:—nieprawda, wszak już jestem uwięzioną?

— Strzegą nas dokoła.

— A ciebie?

— Mnie dotąd nie.

— Trzeba byś mnie porzucił i był wolnym. Zaklika stanął i drżąc pocałował całą.

— Ja? Was, panią? porzucił? a cóż ja zrobię z sobą? a gdzież się ja podzieję? a do czegoż życie przywiążę? więc chyba iść i w studnię... i umrzeć.



— Nie—odparła Cosel—to nie koniec mojej niewoli; ja go znam: to początek. Potrzeba żebyś ty był wolnym, dlatego ażebyś może mnie uwolnił.

Rajmund się zadumał.

— Potrzeba? mów pani.

— Będiesz wiedział gdzie się znajduję. Ufam ci, obmyślisz środki, postarasz się mnie uwolnić... kilka tysięcy zostało, które Lehman zachować potrafił; dam kartkę do niego, potrzeba ażebyś je miał.

— Ale ja—oburzył się Zaklika.

— Nie dla siebie, dla mnie trzeba, byś ty je miał.

Spojrzała nań: skłonił głowę posłuszny.

— Najprzód idź, spróbuj, pytaj, czy cię puszczą; zdradź mnie: mów że mi służyć nie chcesz, aby ci dali wiarę. Zrób co chcesz. Na piersiach nosisz mój skarb i poniesiesz go: ja ci go powierzam. Rozumiesz mnie Zakliko?

Podawała mu rękę drżącą.

— Jednemu tobie wierzę! w tobie jednym ludzka dusza mieszkała. Nie zdradź mnie ty ostatni!

— Ja?—oburzył się Zaklika—i oczy tak mu dziko błysnęły, że się Cosel cofnęła. Ja?—powtórzył i strząśł się.

— Umrzec mogę, ale zdradzić?

— Więc trzeba żebyś ty był wolnym, bez podejrzenia wolnym... Idź.

Nie można było mówić długo, Rajmund wyszedł: nazajutrz go pół dnia nie było. Powrócił wieczorem, prowadził z sobą najętego sługę i dziękował za służbę.

Cosel miała się odegrać scenę gniewu i wyrzutów, bo gospodarz i gospodyni słuchali podedrzwiami.

Odprawę odłożono do rana, Zaklika poszedł na miasto. Wielka miłość dla tej pani której życie był oddał, uczyła go tego co najmniej umiał: chytrości. Poszedł do urzędu wzywając rady i pomocy, mówił że chciał się uwolnić, że się urodził polskim szlachcicem i nikt go wstrzymywać niema prawa.

Na to rozśmiał się pruski urzędnik, który wiedział ile szlachty polskiej pochwytanęj na granicach chodziło pod karabinami pruskiemi, ale mu nie powiedział nic. Może gdyby nie blada twarz i schudzenie, byłby mu dla wzrostu i siły zaciąg

do olbrzymów zwiastował; lecz Zaklika nędznie wyglądał, a odkarmić człowieka zbyt było może kosztowném.

Puścić go więc się nie wahano i Zaklika konia kupował na targu. Wrócił jeszcze raz do Cosel, ale już go nie podsłuchiowano wiedząc że się kłóci ze swoją panią i że ją opuszcza.

— Jedź do Drezna—powiedziała Cosel—głoś wszędzie żeś mnie porzucił i czekaj. Lehmann da ci pieniądze, trzymaj je w złocie, miej w pogotowiu. Usłyszysz co się ze mną stanie. Jeśli będę wolną przybądź do mnie, jeśli będę uwięzioną, ratuj. Jeślibyś ściągnął podejrzenie, a pochwycić cię miano, papier który masz przy sobie zedrzyj, połknij, ale go nie daj nikomu. Nie niszczyć go póty, póki iskierkę będziesz miał nadziei że siebie ocalić i skarb mój ocalić możesz. W ostatniej godzinie — dodała brwi marszcząc chmurno — zniszcz, niech zginie! jak ja ginę; ale niech oni nie wiedzą o tém, niech jak groźba i postrach wisi nad niemi, niech się lękają odkrycia: niech...

Słów i tchu jej zabrakło, podała mu rękę, którą Zaklika przyklęknawszy całował długo i płakał, ale nie wyrzekł i słowa.

Gdy dłoń tę od łez jego mokrą wyrwała Cosel, załamała ręce i zawołała:

— Są jeszcze ludzie i serca...

Zaklika jak pijany, jak nieprzytomny wytoczył się z tego domu, którego drzwi się za nim zamknęły.

Nazajurz przybywający van Tinen znalazł ją weselszą, spokojniejszą, więcej zrezygnowaną.

Zdawało mu się że namyśliwszy się może zwróci to przyrzeczenie i że się sama zlituje nad sobą; ale wprędce postrzegł że się mylił tłumacząc tak jej uspokojenie. Cosel powiedziała mu gdy wchodził:

— Mój panie van Tinen, jakże mi ciebie żal: nie będziesz w łaskach u króla, nie pokocha cię poczciwy mój kuzyn Loewendahl, nie upoi Flemming i nie dostaniesz ani tysiąca talarów! Ja jestem taka uparta, bezrozumna, szalona! nie prawdaż?

— Więc wszystkie moje starania daremne?

— Tak mój kochany panie van Tinen—dodała pierścień z palca zdejmując—żał mi cię niefortunny bogów posłańcze; chciałabym żebyś choć méj dobrej woli miał pamiątkę: przyjm

ten pierścień. Świecił on tym szmaragdem lepszym życia mojego godzinom, nie zdał mi się dziś na nic! Przestał być pamiątką miłą, bolał mnie jak rana na ręku. Weźmij go, proszę.

Van Tinen przyjął pierścień w milczeniu. Jeszcze próbował ją skłonić, jeszcze chciał mówić, Cosel się rozśmiała dziko.

— Oszczędźże sobie pracy a mnie nudy, mój kochany van Tinen; wiem co do słowa co mi powiedzić możesz, ale słowa te odbite od mojego uporu próżne się toczą po ziemi. A! dosyć tego już, dosyć, kiedy się spełni przeznaczenie.

Jeszcze raz na wyjeźdném przyszedł ów poseł z dosyć smutną twarzą, ale już ani nagłąc ani namawiając. Cosel zdziwioną była jego powrotem.

— Żal mi pani—rzekł—tak serdecznie mi żal pani; nie mogę przewidzieć jaki los ją spotka: lecz...

— Wiem że zawsze być musi smutnym dla mnie—odezwała się Cosel—ale to bynajmniej mojego postanowienia nie zmienia. Królewskiej ręki przyrzeczenia danego mi nie zwrócę. Wolno mu było dać to uroczyste poręczenie lub nie, lecz je cofnąć, królowi? słowo? dane kobiecie!! oszukać ją! Ja tego nawet przypuścić nie mogę. Nie, taki Flemming lub podły Löwendahl może bez wiedzy króla chcieć je wyzyskać aby mu je rzucić pod nogi i kazać sobie zapłacić za nie; król tego żądać odemnie nie może. To nie jego wola! Odwróciła się i wyszła. Tegoż dnia van Tinen odjechał.

Dziwne uczucie wiózł z sobą: pierwszy raz wysłany spełniał swój obowiązek z zimną krwią i obojętnością dyplomaty, powoli stałość téj kobiety, mężstwo, wytrwanie, charakter jój robiły na nim wrażenie coraz większe, tak że zachwiał się, zawstydzik roli którą grał; litość, wstyd ogarnęły nim: czuł się upokorzonym.

Wracał gniewając się więcej na tych co go posłali, niż na tę nieszczęśliwą, co go odprawiła z takim niezachwianém mężstwem w obronie honoru.

Przybywszy do Drezna, van Tinen czas miał spocząć; dwór cały gotował się znowu na wielką uroczystość, która się miała nazajutrz odbyć w Moritzburgu: nie wezwano go więc aby się stawił, bo wszyscy czém inném byli zajęci, a on sam wcale się z raportem z podróży nie spieszył. Rad był że

w ten sposób przedłuży przynajmniej niepewność co do losu Cosel, który przewidywał gorszym jeszcze niż był obecny.

Moritzburg właśnie od niedawna, wśród lasów opodal otaczających Drezno, na wspaniałym stawie wzniesiony był dla spoczynku po łowach. Prześlicznie wśród głuchych ostępów i gęstych ścian starodrzewu wydawał się ten zameczek ze swemi wieżyczkami. Całe ówczesne towarzystwo przy królu bawiące zaproszone było na tę gospodę narodów czterech części świata. Mnóstwo cudzoziemców, a z dawnych króla przyjaciółek ks. Teschen, hrabina Königsmarck, obok Denhoffowej i Pocięjowej.

Placem zabawy był rodzaj wału usypanego umyślnie nad wielkim stawem, na którym wzniesiono naprędce sale i gabinety połączone z sobą galeryami i całe strojne w gałęzie i wieńce zielone. Wśród stawu miały się odbywać wyścigi wodne, regaty na gondolach sprowadzonych z Wenecyi i czółnach hollenderskich, dokoła zaś napędzony zwierz dostarczał dla myśliwców zabawy, bo go ścigano, pędzono, szczuto i strzelano aż na stawie.

Tyle się osób zebrało na tę uroczystość, że wszystkie pokoje zamku, zabudowania, namioty rozbito nad stawem; dwa rzędy baraków wystawionych naprędce, nie starczyły na pomieszczenie i powozy służyć musiały za gospody na nocleg, a inni spali pod gołym niebem wśród drzew... i nazajutrz rano, że nie każdy się kładł bardzo trzeźwym, peruk, szpad i trzewików, po lesie i krzakach szukać musiano.

Van Tinen wniósł się w tłum, błędził od budy do budy; jakoś ta cała zabawa i wesołość dzięką mu się wydała. Król który tu sam gospodarzył, niezwyčajnością widoku zadowolony był i wesoły. Nigdy dla dymisjonowanych swych amatorów nie był bardziej uprzejmym i czułym. Denhoffowa płonąła z zazdrości gdy mówił z ks. Teschen, Königsmarck pogardliwem okiem rzucała na Denhoffową, gdy król jęj czynił honory jarmarku.

August cały był zajęty swém dziełem, illuminacją, wspaniałością fety którą wydał, i nie spoczął aż gdy skończywszy po północy wykonanie programu, siadł z dobremi przyjaciółmi do puharów i toastów.

Tu językom puszczono wodze, a Flemming, Vitzthum, Friesen mogli mówić dowoli, nawet o tych paniach, dla których August przed chwilą okazywał największe uwielbienie.

Przebrano wszystkie intrygi dworskie i skandaliczne historyjki, o których król lepiej wiedział od innych.

Löwendahl siedział także w końcu stołu.

— Zdaje mi się żem tego głodysza van Tinena dziś tu widział—rzekł król z przekąsem.

— Wrócił z Halli—odparł marszałek kwaśno, spoglądając na króla, który wstał i poszedł z nim w pusty kąt sali.

— Van Tinen był wysłany do Cosel? cóż przywiózł?

— Co zwykle od niej wszyscy—zamruczał Löwendahl—nikomu jój nie żal tyle co mnie, lecz z uporem tym niema ratunku.

— Trzeba było w zamian za to pismo ofiarować jój swobodę i, coby chciała!

— Powiada że go za nic nie sprzeda.

August się zmarszczył.

— Przecież raz skończyć to potrzeba—dodał Löwendahl.

— Tak, jutro list wystosować do króla JMości pruskiego, prosząc o wydanie hrabinój—dokończył król—co dalej ma się zrobić, zobaczymy.

— A tymczasowo dokąd się jój N. Pan udać każe?

— Niech ją zawiozą na zamek Nossen... namyśli się tam może. Nie mogę ścierpieć téj zuchwale wypowiedzianej mi wojny. Dosyć już tego. Głowę mi nią obija Denhoffowa: wiecznie o tém słyszę.

Dać mi z tém pokój raz przecie!!

Te słowa królewskie wyrzeczone w zniecierpliwieniu i pod wrażeniem rozkołysanej zabawami wyobraźni, podchwyczone, i nazajutrz zaraz były wypotrzebowane. Przypomniał je Flemming Augustowi.

W liście do króla pruskiego żądając wydania hrabinój, położono za powód nietylko jój śmiałe przeciw Augustowi mowy, ale oskarżenie o spisek na jego życie.

Odgróźki publiczne, mogły to poniekąd usprawiedliwić.

List wyprawiono przez kuryera do Berlina.

Król Fryderyk ani chwilę się nie wahał; przywołano z jego rozkazu porucznika Ducharmoi z pułku księcia Anhalt-Dessau.

— Udasz się waćpan do Halli—odezwał się król do niego—znajdziesz tam hrabinę Cosel. Weźmiesz ją pod straż, na swą odpowiedzialność i odprowadzisz do granicy Saskiej... tam oddasz ją w ręce oficera, który waćpana pokwituje.

Ducharmoi młody człowiek, ale nawykły do karności wojskowej, choć mu ta rola wydała się nader przykrą, natychmiast udał się do Halli. Stanąwszy tu bardzo rano, przez uczucie delikatności, nie spieszył tak bardzo z pochwyceniem pani Cosel. Przeszedł się parę razy pod jej oknami dla upewnienia, że mu nie uszła; zobaczył ją i tém się uczuł skłonniejszym do postępowania z jak największą delikatnością. Około południa wszedł do domn, który Cosel zajmowała i kazał się jej oznajmić.

Jakkolwiek hrabina przygotowaną była do takiego końca, widok wojskowego okrył twarz jej bladością. Ducharmoi skłoniwszy się oświadczył, że ma rozkaz króla towarzyszenia jej do granicy, gdzie zostanie oddaną władzom saskim.

Jak piorunem rażona stała hrabina przez chwilę.

— Co za niesprawiedliwość! co za barbarzyństwo! — zawołała i strumień łez puścił się jej z oczów.

Od téj chwili nie wyrzekła już ani słowa.

Kazano zaprzęgać powozy, zniesiono rzeczy; Ducharmoi podał jej rękę: zesłała machinalnie, posłusznie, nie patrząc na nic i na nikogo, rzuciła się w głąb powozu. Ruszyły konie, oddział jazdy pruskiej towarzyszył z porucznikiem na czele. Przez cały czas podróży do saméj granicy, nie dała znaku życia. Powóz się wreszcie zatrzymał; Hrabina drgnęła: przez okna jego zobaczyła znane sobie mundury saskie i oddział, któremu wydaną być miała. W téj chwili przywołała do siebie pana Ducharmoi, który się zbliżył do karety.

Gorączkowo zaczęła szukać po kieszeniach i dobywać, co miała kosztowniejszego przy sobie. Znalazła złote pudłeczko i piękny kameryzowany zegarek: oboje podała oficerowi.

— Weź to pan na pamiątkę odemnic.

Ducharmoi się wzdragał.

— Proszę pana, błagam, weź—dodała—niech to się nie stanie łupem tych obrzydłych sasów.

Wypróżniła woreczek z pieniędzmi, przeznaczając je dla pruskich żołnierzy. Potem znowu rzuciła się w głąb' powozu, zapuściła franki i nie spytała nawet ani dokąd ją wieźć, ani co z nią uczynić miano.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

# STUDYUM

## nad wierzeniami i wyobrażeniami

L U Ź D U .

PRZEZ

Wł. Nowickiego, *Mag. Nauk hist.-filol.*

- I. Drogi, jakimi lud dochodzi do pewnych wierzeń, wyobrażeń, pojęć, opowiadań. Zmysłowe formy poczuć i prawd ducha realnego nabierają znaczenia. Początek wierzeń (zabobonów, przesądów, gusł, czarów). Początek klechd. W zapatrywaniu się na naturę, lud jest *pandzeista*. Człowiek zawsze otaczał się tłumem bogów i duchów. Twórczość ludu;—fantazyjne postacie ludowe.*
- II. Zamknięty, skończony świat ducha ludu,—raj w opowiadaniach ludu.*
- III. Tylko utwory na ludowych podaniach osnute dochoǳą wielkiego znaczenia. Siła romantyzmu. Pandzeizm poezyi.*

Człowiek, party wewnątrzniemi popędami, dochodził zawsze do pewnych pojęć, wyobrażeń, wierzeń, sądów, ideałów;—budował sobie królestwo piękna, dobra i prawdy; na kształtowanie się téj budowy. wpływało dotykalne otoczenie człowieka: ludzie i natura.

Zjawiska przyrody wyciskają na duszy każdego człowieka silne piętna, silniejsze na duszy człowieka, na łonie natury żyjącego, silniejsze jeszcze na duszy człowieka pierwotnego, żyjącego pod wschodniem niebem, w klimacie potężnie na mieszkańców działającym. Lud żyje na łonie natury. Aryowie, praszczep Europy, żyli pod majestatycznym, wschodniem niebem.

Ziemia dla oka przykryta jest zawsze sklepieniem niebieskiem jak kloszem; w około człowiek widzi horyzont, gdzie to sklepienie odznacza koło na ziemi, czyniąc człowieka panem tego koła, bo stawiając go w samym środku zawsze; w którąkolwiek stronę człowiek się zwrócił, zawsze a zawsze widział się w środku tego koła <sup>1)</sup>; jeżeli wstępował na góry, horyzont rozszerzający się coraz bardziej, ciągnął w dal wzrok jego; wspaniałość widoku uderzała go, obłoki płynęły pod jego stopami, czuł widomą potęgę, — chciał się modlić <sup>2)</sup>.

Tak różnorodne, tak harmonijne, tak niewzruszone w swęj konsekwencyi, tak dobroczynne lub złowrogie, tak wspaniałe lub groźne zjawiska przyrody, nieodłączne od natury człowieka i zawsze, i koniecznie w nim się objawiające poczucia religijności i moralności; wreszcie przyrodzona każdemu człowiekowi konieczność szukania przyczyn, bo niewiadomość była zawsze torturą moralną: te wszystkie przyczyny i tyle innych, zmusiły człowieka, na jakimbykolwiek się stopniu rozwoju umysłowego znajdował, do stworzenia koniecznie jakiegoś świata pojęć i wyobrażeń kosmologicznych, moralnych, mitologicznych <sup>3)</sup>.

Ale człowiek zawsze był *w środku* koła, wszystko się koło niego systematycznie grupowało, czuł się w centrum całego otoczenia. Ztąd we wszelkich dochodzeniach dręczących go tajemnic promieniował zawsze z siebie; gdziekolwiek uczucie jego, wyobraźnia lub myśl szukająca przyczyn sięgała, wszędzie ludzkie motywa, wszędzie antropomorfizm, wszędzie życie zaniosła. We wszelkich zjawiskach materialnych lub moralnych, ludzie lub istoty bardzo podobne do ludzi występują i wokoło nich się wszystko obraca. A jak człowiek zamknięty był przestrzenią niewielką ziemi i sklepienia niebieskiego, które kładło granicę jego wzrokowi; jak nie mógł sięgnąć myślami poza tę granicę, jak całe to otoczenie było półkulą skończoną, zamkniętą: tak i we wszystkich dochodzeniach przestraszających go zjawisk lub dręczących go tajemnic, dochodził do pewnych wierzeń, wyobrażeń i pojęć skończonych, zamkniętych, zaokrąglonych; wszystkie dochodzenia, dążenia i tęsknoty jego ducha, stawiały sobie budowania skończone

<sup>1)</sup> Ztąd, sądźmy, owa czarowna siła *koła*, w środku którego człowiek jest bezpieczny od wszelkiej nieczystej, demonicznej siły. Afanasiew (w trzecim tomie Poetycznych Poglądów Słowian na przyrodę) inaczej wyprowadza znaczenie zakłętogo koła.

<sup>2)</sup> Ztąd owo wielkie znaczenie gór, tych „stopni nieba” we względzie religijnym.

<sup>3)</sup> Jeden z poważnych badaczy, Emilo *Burnouf* w dzieło p. t. *Science des religions* (Deuxième édition. Paris 1872) mówi: Le mouvement, la vie, la pensée voilà les trois phénomènes universels dont nos ancêtres ont cherché l'explication. str 279.



i obszerne w miarę tego, jak te dążenia i tęsknoty z większą lub mniejszą siłą występowały; w każdym atoli razie *wszystkie* one znajdowały w tém badaniu miejsce, żadna nie potrzebowała iść szukać sobie siedziby w nieskończoności.

Nie jest wcale zadaniem niniejszej pracy rozstrzygać kwestyj, dotyczących pierwszych kroków ducha pierwotnego człowieka; w dochodzeniu na tém polu wiele powag naukowych już się odznaczyło, a przecież wiele jest jeszcze zdań, jeżeli nie całkowicie, to przynajmniej w główniejszych punktach z sobą sprzecznych. Z rozmaitych punktów uczeni rzeczy te widzą i rozmaite sobie zakresy i kierunki badań nakreślają. Podług naszego zdania, jednym z ważniejszych błędów tych uczonych, a może właściwiej ich adeptów i interpretatorów bądź tych, co chcą przez etymologią wszystko tłumaczyć, bądź tych, co do sił materyalnych natury wszystko chcą sprowadzić, bądź tych, co do systemu mitologicznego wszystko chcą odnosić, jest, że konsekwencyom, z jednostronnego badania wyciągniętym, wszechstronniejsze chcą nadać znaczenie. Jeśli chcemy np. decydować o literaturze ludu, potrzeba wszechstronne badanie poprowadzić; do hipotez o pierwotnym człowieku dołączyć rezultaty z obserwacji nad ludem współczesnym, do mitologicznego lub etymologicznego kierunku badania dodać rezultaty z obserwacji fizyognomii moralnej i materyalnej tego ludu. Przedmiot ten nieustalony długo jeszcze zajmować będzie uczonych, a wywody w tym kierunku, jak nateraz mniej mogą być dla naszej publiczności konieczne. Ogólne myśli, któreśmy powyżej skreślili, są tylko jakby odwzorowaniem wrażeń człowieka na wsi żyjącego.

Człowiek prosty do dziś dnia, widzi się jako centrum całego otoczenia, promieniuje z *siebie*, wszystko, cokolwiek się znajduje około niego i nad nim sprowadza do systemu swego otoczenia; wszystko kształtuje i postaciuje z *siebie*; prościej mówiąc, człowiek wszystko podług siebie sądzi, wszystko na swój łokieć mierzy.

## I.

Lud żyje, wszystko więc około niego żyć musi; lud wszystko ożywia, lud jest *pandzeistą* <sup>1)</sup>. Lud pojmuje życie w postaci człowieka, czasem w postaci zwierzęcia; innego życia nie pojmuje; te dwie więc tylko formy przypisuje wszystkiemu. Pandzeizm przeto ludu przybiera formę *antropomorfizmu* <sup>2)</sup>, czasem *zoomorfizmu* <sup>3)</sup>. Ludy

1) Pandzeizm, wszystko-życie. Πᾶσ, πᾶσα, παν każdy, wszystek; ζᾶω (ζῶ), ζῆν żyje, żyć.

2) Ἄνθρωπος, ὁ człowiek; μορφή, ἡ postać, kształt.

3) Ζῷον, τὸ ζῷον istota żyjąca, zwiercz.

młodzieńcze miryadami bóstw (o ludzkich kształtach lub mieszaninie tychże ze zwierzęcemi) zaludniały ziemię, wody, powietrze, niebo;— filozofowie tworzą teorye panteizmu, *pananemizmu* <sup>1)</sup>. Dziewczynka bawi się lalką, z którą rozmawia, chłopczyk ustawia szeregi żołnierzy, którym rozkazuje.

Człowiek widział ciągle ruch i przemiany na około siebie, powodować to musiała, podług niego, koniecznie także przyczyna, jaka powodowała jego własny ruch i przemiany; powodować to musiała *życie*, ale życie w takiej tylko formie, w jakiej on sam je posiadał, ze wszystkiemi jego dążnościami i rachubami, ze wszystkiemi tęsknotami i namiętnościami. Jakiemi sami jesteśmy, takie jest i nasze poznanie, mówi jeden filozof, a proste przysłowie mówi: organista widzi organy na księżycu. Pod bezpośrednim wpływem pierwotnych zapatrywań się na siły przyrody, zapatrywań, które długo skrupowane były dźwiękami i wyrażeniami języka <sup>2)</sup> i w nich miały źródło niewyczerpane, wyrobił się system moralnych dążeń człowieka. Cały świat wewnętrzny człowieka, występował nie jako swobodne przejawy jego woli, ale jako świat całkiem niezawisły od niego, obcy mu, pochodzący z zewnątrz, powodowany działaniami przyjaznemi mu lub nieprzyjaznemi. Wszelkie poczucie bojaźni lub trwogi, wszelka namiętność uważały się w młodzieńczym narodzie za coś nasłanego, *zadanego*, co i do dziś między ludem się utrzymuje <sup>3)</sup>.

Wszystkie wyrazy w mowie ludzkiej spotykane, miały pierwotnie *zmysłowe* znaczenie, t. j. odnosiły się do rzeczy lub fenomenów pod zmysły podpadających. Świat zmysłowy nie zmienia się, przejawy i ich sposoby z matematyczną ścisłością w nim się powtarzają;— natomiast duch ludzki w ciągłym rozwoju się zmienia, wzrasta, potężnieje, ciągle swobodnie i wszechstronnie się wyrabiając. Ale formy na wyrażenie się tworzyć musi z istniejącego już języka, stąd przenośnie, metafory, obrazowość w stylu, w pomysłach. Jeżeli przeto pierwotne, ograniczone pojęcia, łatwiej się wyrażały w formach zmysłowych, w wyrazach konkretnego pochodzenia, to z czasem, z rozwojem ducha młodzieńczego narodu, większa część wyrazów na nazwania z dziedziny intelektualnej i moralnej opierać się musiała na śmiałych przenośniach; ale z czasem rwały się nici, po których możnaby dojść tego pierwotnego związku, przenośnie traciły znaczenie pierwotne, poetyczne, przechodząc w proste już nieprzenośne nazwania.

<sup>1)</sup> Pananemizm, wszystko-duch. Zob. Badania filozoficzne tajemnicy życia p. Jul. Niemirycza. War. 1870 T. 3.

<sup>2)</sup> Na tym gruncie stoi w badaniach swoich głosny Max. Müller.

<sup>3)</sup> Afanasiew: Poeticzeskija Wozzrienija Sławian na Prirodu T. 1 str. 453 (Moskwa 1866-1869, tomów trzy).

Pod wpływem pierwotnego języka *grzmot* (wiosenny) upodobniano słowom bożym <sup>1)</sup>, *gniewowi Boga* <sup>2)</sup>, *głosowi dzwonu* <sup>3)</sup>, *muzyce* <sup>4)</sup> na *skrzypcach* <sup>5)</sup>, *piszczałce* <sup>6)</sup>, *gęślach samograjach* <sup>7)</sup>; graniu rogów niebieskich <sup>8)</sup>, *uderzeniu młotów* <sup>9)</sup> szczękowi broni <sup>10)</sup>, turkotowi wozu <sup>11)</sup>, tętentowi i rzeniu koni <sup>12)</sup>, ryczeniu bydła <sup>13)</sup>, syczeniu gadzin <sup>14)</sup>, jękowi i krzykom olbrzymów i karłów <sup>15)</sup>, śmiechowi głośnemu <sup>16)</sup>, odgłosowi pocałunku <sup>17)</sup>, warczeniu motowidła <sup>18)</sup>.

*Wianie wiatrów* upodobniano oddychaniu bogów, dymaniu miechów, pędowi strzał, *polotowi zwierząt skrzydlatych i ptaków drapieżnych, biegowi koni*, <sup>19)</sup> jeleni, psów, *wilków* <sup>20)</sup>; a świst wiatru upodobniano płaczowi dziecięcia, syczeniu węzów, *śpiewowi słowika*, graniu wojennych i myśliwskich rogów, *śpiewowi i muzyce*; wicher upodobniano *tańcowi* <sup>21)</sup>.

1) Afanasiew, Poetioz. Wozzrion. I, 284—7.

2) Nowosielski, Lud Ukraiński T. II str. 165; w czasie grzmotu mówią dzieciom, że Bozia się gniewa.

3) Afanasiew. Poet. Woz. T. I str. 297—301.

4) Czarodziejskie znaczenie muzyki. Orfeusz. W poematach Bulgarów na głos świrki Orfona, (t. j. grzmotu wiosennego, Orfen jest synom słońca) wszystko się porusza, tańczy całe miasto i królowy przez całe trzy tygodnie aż do omdlenia. Cudowna ta muzyka wszystko zwycięża. „Gra Orfen, płaczą góry, płaczą twarde skały“ (doszcz wiosenny z chmur po grzmocie). Listy z Paryża w N-rach 4, 5, 14, 15, 82 i 83 Gazety Polskiej z r. b. p. t. Najnowsze wykopaliska z podań staro-słowiańskich. Zobacz List 2-gi ustęp II i III.

5) Znaczenie muzyki na skrzypcach np. w Baśni o żelaznym wilku.

6) Porów. w dziele *Aberglauben aus Masuren mit einem Anhangenthaltend: masurische Sagen und Märchen*. Von Dr. M. Toeppen (Danzig 1867 str. 168). Klechda p. t. Das wunderbare Pfeifchen str. 147 i 8.

7) Bajarz Głińskiego. Porów. ruskie podanie o Sadku, na dźwięk gęśli, którego całe podwodne państwo i król i królowa w taniec poszli. Ztąd takie znaczenie dzwonów u naszego ludu, który słyszy ich głos w podziemiach zapadniętych miast i kościołów. Wszelka nieczysta, demoniczna siła znika przed jego głosem.

8) Afanasiew I, 762.

9) Tamże I, 276—7. Ztąd takie znaczenie kuźni w Mitologiach i podaniach ludów. Baba Jędza np. w klechdzie idzie do kowala, żeby jój język i gardło przekuł. Głiński II, 165—6; także porówn. Lud ukraiński I 268 i następ. <sup>10)</sup> Afanasiew Poet. Wozzrenia Słow. I 269, 470. <sup>11)</sup> Ib. I 250, 265. <sup>12)</sup> Ib. I 618, 620. <sup>13)</sup> Ib. 656, 661. <sup>14)</sup> Ib. II 511, 526. <sup>15)</sup> Ib. II 653, 654. <sup>16)</sup> Ib. I 778 II 838 III 788. <sup>17)</sup> Ib. II 435, 436. <sup>18)</sup> Ib. II 182.

<sup>19)</sup> W mitologiach, w klechdach wielkie znaczenie mają konie. W naszych klechdach nadzwyczaj często występują wieszacy siwek—złotogrzywek. Porówn. także o skrzydlatym koniu. Bajarz Głińskiego T. III, 55 i następ.

<sup>20)</sup> O wilku wiatrołowie Głiński I 15 i nast. O żelaznym wilku.

<sup>21)</sup> Wójcioki, Klechdy I 146—150; tegoż: Histor. liter. pols. I, 196.

W objawach *burzy* upatrywano bitwę, prędką, wojowniczy pochód wojska, dzikie łowy, zabawy bohaterów, kopanie i kucie metalów, *polów ryb* <sup>1)</sup>, uprawę i zasiew roli, mielenie, warzenie piwa i innych napojów, *dojenie krów*, rój i brzęczenie pszczół, związek małżeński, zabawę i taniec <sup>2)</sup>, pożar całego świata i potop.

*Deszcz* nazywano *łzami* <sup>3)</sup>, krwią <sup>4)</sup>, posoką smoka, *mlékciem* <sup>5)</sup>, *żywą wodą*, miodem, winem, *piwem*, nektarem, ambrozyą (wodą odmładzającą), sokiem ze złotych jabłek, ukropem, *nasieniem*, *perlami*.

*Gwiazdy* nazywano *oczami*, okienkami, ognikami, drogiemi kamieniami, gwoźdźmi, *zlotemi jabłkami*, grochem, orzechami, ziarnkami zboża, pszczołami, stadem kóz albo owiec, lub *tabunem koni*.

*Zorzę* nazywano uśmiechem nieba, pasterzem stad niebieskich, tkanką różową, suknią purpurową, różami, rumieńcem.

*Księżycę* nazywano okiem, skarbem, kamieniem drogocennym, kołem, trzód pasterzem; światło księżycy upodobniano *mléku*, srebru.

*Błyskawicę* nazywano okiem uroczém <sup>6)</sup>, ręką <sup>7)</sup>, palcem, *chromą nogą*, świdrem, wrzecionem, zębem, zębem myszy <sup>8)</sup>, szczura, wilka; zębem smoka, rogiem, językiem, kleszczami, strzałą, kopiją.

<sup>1)</sup> Rybacy i przewoźnicy mają w Kleohdach znaczenie. Gliński III, 5—37; 62—72. Tooppen. Aberggl. aus Masur. 156.

<sup>2)</sup> *Taniec* charakteryzuje wszystkie kreacje obłocznego pochodzenia. Tańczą elfy, wily, rusalki, tańczą czarownice na Łysych górach z dyabłami. Porówn. Powieści i podania ludowe Chociszewskiego (Chełmno 1869) „Leśna panna“ str. 79—86, tudzież „Szlachcic Zawalnia“ Barszczow. T. I, 89—90; T. II, 42—43 i w in. Afan. T. III, 148 i w wielu innych miejscach.

<sup>3)</sup> Niżej o tém. <sup>4)</sup> Tu początek upiorów. <sup>5)</sup> Czarownice mléko odbierają krowom.

<sup>6)</sup> Lud nasz silnie wierzy w uroczne („niedobre“) oczy. Dzieciom zawiązują czerwony płatek na szyi, żeby ich kto nie uroczył; jeżeli chwali np. cielę lub prosięta, które pierwszy raz widzi, to spluwa i mówi: „na psa urok.“ Jeżeli kto zachoruje, to pewnie ktoś go uroczył; pierwszym więc lekarstwem jest „odezwanie uroku:“ kładą dziewięć węgli na wodę i dają się trzy razy napić choremu tej wody. Porówn. Gołębiowski. *Lud polski* (r. 1830) na s. 152. (Gdzie tylko miałem sposobność zetknięcia się z ludem, wszędzie to spotykałem, w Księstwie łowickim, w powiecie Grójeckim, między Łomżą a Ostrołęką). Żeby te oczy miały być *zabójcze*, jak Wójcickiego Kleohda opowiada (T. I, str. 55—72, tudzież 141; także Afanasiew I, 170—174), to wiary tej zdaje się już niema w ludzie: takie oczy tylko „szkodzą.“

<sup>7)</sup> Bajarz Gliń. T. III, str. 37—62, głównie na str. 56 „O królewiczu ze złotą pięścią.“

<sup>8)</sup> Tu początek podania o naszym Popielu, przez myszy zjedzonym.

toporem, mieczem, szabelką <sup>1)</sup>, nożem <sup>2)</sup>, *kołem osinowém* <sup>3)</sup>, *biczem* <sup>4)</sup>, *młotem*, buławą <sup>5)</sup>, smokiem, językiem smoka, tudzież wieloma *ptakami* i *czworonożnemi*.

*Ogień* upodobniano *złotu*, *srebru*, zębowi, językowi, *ptakowi*, (zwłaszcza *kogutowi*), lisowi, bykowi, *koniowi* i w. podobnym.

*Tęczę* nazywano łukiem, sierpiem, pasem, przepaską głowy, mostem, tronem.

*Słońce* nazywano ogniem, okiem, lustrem, kołem, tarczą, *złotem* <sup>6)</sup>, drogim kamieniem, *królem*, *dziewicą*, *palacem*, tronem.

*Chmury* nazywano kądzielą, runem, skórą, włosami, brwiami, *brodą*, *obruszem* <sup>7)</sup>, *okrętem*, *łódką* (czótenkiem) <sup>8)</sup>, workiem, *poduszka* <sup>9)</sup>, źródłem, studnią, kotłem, *beczką* <sup>10)</sup>, *skalą*, *kamieniem*, *podziemią*, *pieczarą* <sup>11)</sup>, *miastem* <sup>12)</sup>, *zamkiem* <sup>13)</sup>, *drzewem* <sup>14)</sup>, *izbą na kurzych nóżkach*, *rybą* <sup>15)</sup>, ptakiem i wieloma innymi zwierzętami.

Te zbyt hurtowne może przytoczenia mogą nam najwyraźniej wskazać jaka jest swoboda i śmiałość przenośni w języku młodzieńszych ludów; zarazem możemy się przekonać, że ludzie *siebie* i przedmioty ich otaczające zanieśli wszędzie i wszędzie siebie i te przedmioty widzieli, bo w epoce przedhistorycznej nie tylko zjawiska przyrody i ich przyczyny i przemiany, ale wszelkie nawet oderwane, duchowe pojęcie mogło się wyrażać tylko przez materialne, dotykalne, ob-

1) *Lud. Pieśni, podania, baśnie, zwyczaje i przesady ludu z Mazowsza Czerskiego*, zebrał Kor. Kozłowski (War. 1868), str. 338 i 340.

2) Ząd znaczenie noża we wszystkich czarach.

3) Upiorowi sroce przebijają kołem osinowém, żeby nie wstał po śmierci.

4) Różga samoohłostka, kij samobj w Klechdach.

5) Bajarz Glińskiego, w wielu miejscach.

6) *Słońce i w ogóle światło* nazywano złotem, ząd tyle podań o skarbach w górach (t. j. w chmurach).

7) Ząd obrus samokarm, dywan samolot. Czapka niewidka także od chmury własność swą bierze. Obrus samokarm w zupełności odpowiada starożytnemu rogowi obfitości.

8) Królowny morskie, które pływają w srebrnym okręcie zowsząd zamkniętym i okratowanym, albo na czótenku srebrnym. Zob. Bajarz Glińskiego II, 35—46, także IV, 44 i następn. Lud ukraiński I, 327—338.

9) *Poduszka królowny* w baśni: O żelaznym wilku.

10) Bajarz Glińskiego II, 52—53, Afanas. II, 167.

11) 12) 13) Skarby w pieczarach, w górach. Miasta, zamki, kościoły zapadłe.

14) Tyle drzew ze złotymi jabłkami, które chodzą czasem; dąb złotożędnny—Gliń. Baj. III, 72 i następn. Wój. Klechdy II, 52 i następn. Gliń. Baj. III, 135 i następn.

15) Ząd tak wielkie znaczenie ryby w klechdach, zwłaszcza złotój rybki.

jęte odrazu przez człowieka upodobanie <sup>1)</sup>. Wszystko to około człowieka i jego świata się grupowało. Kiedy skutkiem naturalnego następstwa rzeczy zapomniano o tych upodobnieniach, to otwarta już droga do przesądów, zabobonów; chciano bowiem w tych właśnie materialnych upodobnieniach dopatrywać jakichś *wyższych sił, wyższych pojęć*, bo w przyrodzonych prawdach natury ludzkiej zapisane, że tego człowiekowi nigdy wyrzekać się nie wolno; kiedy postacie obłoczne zastępowały na ziemię, (dyabły, czarownice, upiory, smoki, rusałki, wilkołaki i t. p.) to przybył wielki kontyngens do fantastycznych postaci ludowych <sup>2)</sup>.

Postąpmy dalej konsekwentnie: wszystko co się działo w duszy człowieka i naokoło niego i nad nim zwłaszcza, musiało mieć pewną przyczynę, musiało być czémś spowodowane, bo człowiek wszystko sobie wytłumaczyć musi, rozumie się tłumaczy po swojemu. Trudno mu jest na razie odnosić wszystko do jednej przyczyny, więc ile zjawisk widzi, tyle odrębnych przyczyn upatruje i tu mamy początki kosmogonij; ale nam teraz nie o to chodzi: chcemy tylko po prostu powiedzieć, że zjawiska przyrody, przemiany żywiołów i różne przewroty w naturze, zawsze miały w oczach jego czysto *ludzkie* przyczyny, bo inaczej nie umiał motywować. Jeżeli bowiem nie było osobnych wyrazów na oznaczenie zjawisk fizycznych, intelektualnych i moralnych, to tém więcej nie było pojęć na wyjaśnienie związku pomiędzy temi zjawiskami i ich znaczenia. Wszystko to ludzie wcielać musieli w formy i pojęcia, jakie mieli już gotowe pomiędzy sobą; nowe bowiem bardzo powoli wickami się wyrabiają, a ciekawość młodzieńczego ludu

<sup>1)</sup> Porówn. Afanas. T. III, str. 4. Duch zrosztą zawsze potrzebował formy dotykalszej, inaczej będzie nieujęty, nieokreślony. Sztuki piękne są tego dowodem: to symbolizm ducha. Jak ułożenie po sobie sztuk pięknych w znanym porządku przedstawia stopniowe wywijanie się ducha z materialności, tak to samo stopniowanie moglibyśmy w każdój historyi upatrzeć; tak właśnie chcemy to samo widzieć w historyi literatury, gdzie pierwszym krokiem ku temu wywijaniu się ducha z materialności, pod pewnym względem może być literatura ludu, szczytem zaś, arcydzieła geniuszów zaszczyt przynoszące ludzkości.

<sup>2)</sup> Nadmienimy, że studjum nad fantastycznymi postaciami ludowymi i ich monografie byłyby piękną i wdzięczną pracą, w której odnośnie do podobnych postaci u innych ludów, możnaby wykazać najwyraźniej porywy twórczości ludu, fizyognomią jego moralną i całą jej swobodę i bogactwo. *Wiły* serbskie, *rusałki* i *dziwożony* nasze, ondiny litewskie, jakież to poetyczne postaci! Ileż swobody, różnaitości, humoru i narodowego kolorytu otacza dyabła polskiego, lub wreszcie czarownicę. W *upiorach* ileż ciekawych wskazówek do poszukiwania dróg ducha słowiańskiego.

nie zna granicy <sup>1)</sup>). Człowiek małą skalą swoją wszystko zmierzyć usiłuje. Tu odnieśliśmy kosmogoniczny klechd początek i mytyczne ich pochodzenie. Nasi uczeni z wyjątkiem A. Nowosielskiego i profesora Mierzyńskiego, nie widzą tego kosmogonicznego początku, a czego w klechdach nie mogą porachować na karb zdania, że „ludowi najwięcej się podobają nieprawdopodobieństwa i niedorzeczności zaprawione dowcipem,“ to odnoszą co najdalej w epokę przedchrześcijańskiej słowiańszczyzny, lub średniowiekowych wpływów. Nie sądzimy tu prztydem za zbytczne przytoczyć zdanie Mickiewicza: „Fenomena przyrodzenia zadziwiająca, lecz słabemu jeszcze pojęciu niedostępne, tłumaczone więc potwornie; na wyliczanie ich pomyślano siły tajemne, duchy, mianowicie pod *ludzką i zwierzęcą postacią*; uczucia także i namiętności uosobione i częstokroć w akcyi wystawione, *zdarzenie nawet prawdziwe zmysłem zdobione*: oto jest poczęści co stanowi świat bajeczny, wszystkim może narodom *wspólny*. Tworzy go młoda, ognista, lecz nieukształcona imaginacya; pomaga w tém język zwyczajnie z początku gruby, zmysłowy, wyobrażenia oderwane pod postacią rzeczy zmysłom malujące“ <sup>2)</sup>).

Weźmy pod uwagę, że nic się nigdzie a tém mniej w narodzie nie dzieje za dotknięciem róższczyki czarodziejskiej, ale wszystko w długiej czasu kolei się formuje i przekształca. W narodzie przychodzą nowe pojęcia, ale stare nie nikną, tylko inną pozycyą zajmują; stają po lewój stronie (strzygi, upiory, wiedźmy, czarownice, duchy pokutnicze, strachy, z czasem dopiero nabrały tak nieprzyjaznego dla ludzi i odstrasającego charakteru). Przy ofiarach i obrzędach, prośbach religijnych były pewne obrzędy i znaki. Z czasem nastają inne wyobrażenia religijne, doskonalsze, więcćj rozwinięte; ztąd kult się doskonali, przekształca, również obrzędy i modlitwy. Ale *dawne* znaki i obrzędy jakżeż mogą zaginać, kiedy one przez czas długi były mową

<sup>1)</sup> W klechdach charakterystyczne mamy tego ślady. Przygody bohaterów ztąd pochodzą, że przestąpili wyższy zakaz gwoli ciekawości (weszli np. do ostatniego tajemniczego pokoju w pałacu). Wiele przykładów na to jest w naszych i obcych klechdach. (Zob. Grimm. Kinder und Hausmärchen Nr. 2, str. 7; (strony cytujemy podług 18-go wydania). Berlin 1873. Nr. 5, str 30; Nr. 7, str. 45). Dziecko co ohwila pyta się o co innego: na co to, dlaczego to; chce gwiazdki z nioba i szybki z okna; pyta się kto zapalił tę lampę, co przez cały dzień tam wysoko świeci?

<sup>2)</sup> „O poezyi romantycznej“ pod tym tytułem przedrukowywany artykuł stanowił pierwotnie przedmowę do pierwszego wydania poezyi Mickiewicza. Wilno, II tomiki in 32-o, 1822 r.

do bogów, były znakami i wyrazami świętymi; nie mogą przeto odrazu stracić swojej siły, przechodzą więc na lewą stronę do przeciwnego obozu <sup>1)</sup> i tam mają swoją siłę i swoje znaczenie: tu właśnie mamy początek czarów, zabobonów, zaklęć i guseł i tylu wierzeń tak jeszcze rozkrzewionych między naszym ludem <sup>2)</sup>. Tu się nastęrcza ważny materyał dla psychologa. Niéma narodu, któryby w czary, zabobony, przesady, zaklęcia, wróżby, nie wierzył; niéma człowieka starego zwłaszcza, któryby nie miał pewnego kółka swoich sądów, przekonań, wierzeń, zwyczajów, niepodobnych napozór do wyższych zjawisk, ale z pewnością jedne mających z nimi źródło. Ile chorób ludu uleczą „zażegnywanie,“ ilu ludzi oświeceńszych uleczyła *wiara* w doktora i w lekarstwo! Ale bo gdzież niéma czarodziejstwa, guseł, zaklęć, wróżb, zabobonów. Szamanowie Czukczów władają burzą, księżycem, wstrzymują wiatry, gwiazdy zdejmują; mogą ożywić umarłego, o śmierć przyprawić chorego <sup>3)</sup>.

Berwiński w „Studyach o gusłach, czarach, zabobonach i przesądach“ dowodzi, że dotychczasowi badacze literatury ludu są na drodze, na której nigdy cel osiągnąć się nie da: wykryć trzeba pomyłkę. „Zabobony, gusła i czary (mówi) stają się jedyną prawie pomocą do objaśnienia ogólnej literatury ludowej i do jej naukowego wyrozumowania. Zabobony bowiem i gusła, skoro są mytami ludu, równie więc jak i religia prawowita służą za podścielisko, a raczej są dużą większej części (jeżeli nie wszystkich) artystycznych lub estetycznych kreacyj ludu <sup>4)</sup>. Po ich tle przesuwa się cówka jego wyobraźni

<sup>1)</sup> W każdym pojęciach kosmogonicznych, w każdej mitologii, w każdej religii *dwa są obozy* (niebo i piekło). Ciekawe są w tym względzie zarzuty czynione heretykom przez kościół katolicki, o tém traktuje obszernie Berwiński w „Studyach o gusłach, czarach i t. d.“ bo historia czarodziejstwa ściśle się łączy z historią sekciarstwa; „czary to cuda *nielegalne*“ jak się wyraża autor.

<sup>2)</sup> Porówn. Afanasiew. II, 58, 59, 60.

<sup>3)</sup> Bajkał. Szamanizm p. Ag. Gillera Bibliot. Warsz. 1859. Wrzoś. str. 572. Szamaniki także praktykują czarodziejstwo, wchodzą w dotykálną walkę z duchami. Porówn. Zapiski Argentowa (drukowane w zapiskach sybirskiego oddziału K. IV. Petersburg 1858, na co się Gillor powołuje w Bibli. Warsz. wrzesień, 1859.

<sup>4)</sup> Czarowny istotnie świat ducha ludu wprawia w kłopot uczonych ruchliwością i swobodą swoich kreacyj i atmosfory; szukają różnych sposobów wytłumaczenia sobie tego. Jedni chcą dać podstawę temu światu w mitologii słowiańskiej; drudzy widzą w nim łachmany wyobrażeń i pojęć wszystkich ludów pobratymczych i nie pobratymczych, sąsiednich i niesąsiednich ze Słowianami. Inni narazcie, jak właśnie Berwiński, chcą świat ten wyprowadzić z pow-nych zabobonów i przesądów naniesionych do Polski w epoce chrześcijaństwa,



jak po postawie przędzy surowej i najdziwaczniejsze dzierzga desenie. Dopiero historyczne ich wyrozumienie posłużyć może do rozgmatwania tej fantastycznej tkaniny, do oddzielenia żywiołów ludowo-narodowych i własno-krajowych od obcych naleciałości; posłużyć może do wysnucia nici przewodniczej, z którą śmieliej zapuścić się będzie można w podziemny labirynt literatury ludowej, którą nasz wieszcz nazwał *kopalną*. Gusła i zabobony są kluczem do jej arkanów. Bez niego próżno pukać będziemy do bram tego świata „czarami zatrzaśniętych“<sup>1)</sup>. To bardzo słusznie, ale przecie nie cały świat literatury ludu czarami zatrzaśnięty. Wyłącza się od tego cała prawie poezya i więksha połowa prozy, bo czary, zabobony, gusła oderwały się zupełnie od smoków, żmijów, latawców, jędz i zaklętych królewien i zamków w klechdach kosmogonicznego początku; pozostaje więc mała tylko cząstka Berwińskiego, a zdanie jego i wnioski co do tej właśnie cząstki mogą być poniekąd słuszne i konsekwentne<sup>2)</sup>.

W następnym ciągu chcielibyśmy przytoczyć kilka szczegółów dla większego uzasadnienia tego, cośmy dotąd ogólnie powiedzieli i dla wyrazistszego scharakteryzowania ducha ludu. Szczegółów takich bardzo wiele się znajduje, ograniczamy się na charakterystyczniejszych lub mniej znanych.

a głównie w XVII i XVIII wieku. Praca Berwińskiego chooby dlatego, że pierwsza w swym rodzaju, nie jest bez pewnego znaczenia; ale Berwiński o zabobonach ludu z ksiąg starych rozprawia, a z małej cząstki rzeczy ludowych chce decydować o całej literaturze ludu i dlatego dojsć musiał w rezultacie do zaprzeczenia.

<sup>1)</sup> Studya o gusłach, czarach i t. d. T. I, str. 121—122.

<sup>2)</sup> Berwiński wykazał, że świat demonicznych istot i czarów ma ojca w klasycznej starożytności, ale pozostaje jeszcze wykazać, że ten świat ma ojca w siedzibie Aryów i w przyrodzonych prawach duszy człowieka, a przez porównanie dwóch tych światów, dopiero się wykaże rodzima twórczość naszego ludu, obok naśladownictwa.

Kiedy nasi badacze rzeczy ludowych to, czego sobie u ludu wytłumaczyć nie umieją, liczą hurtem na karb stosunków sąsiedzko-historycznych Słowian z innymi narodami, lub odnoszą ogólnie w epokę przedhistorycznej Słowiańszczyzny, bo to najłatwiej i najwygodniej, a Berwiński zajrzał trochę do Grecyi i Rzymu i wykazał o ile herezya, czarnoksiężtwa, czary przesławowane przez kościół, są z sobą w związku i początkiem swym dalej sięgają, to Nowosielski, (Marcinkowski) otworzył szeroką już drogę badaniu, dopatrując w zwyczajach, obrzędach, wierzeniach i opowieściach ludu „*prastaręj, wspólnęj, mitycznej myśli, nacechowanej tradycyą* wszystkich ludów“ i kładąc za warunek *sine qua*

Do dziś dnia lud nie może sobie wystawić nic w oderwaniu, ale wszystko w materyalny kształt, nie tylko upodobnić, ale przyodziać musi; przenośni w języku nie rozumie wcale, albo bardzo mało: ale przywiązuje się literalnie do znaczenia wyrazu i wszystko przerabia po swojemu, na swoje koło wodę naprowadza <sup>1)</sup>.

Wiemy, że u wszystkich ludów dusza po śmierci przedstawiała się w formie koniecznie dotykanej, żywiołowej; jeżeli nie *ogniem* <sup>2)</sup>,

*non porównawczy* sposób badania. I rzeczywiście, jak z jednej strony prastara mityczna tradycja, tak z drugiej wewnętrzna prawidłowość ducha człowieka, która wszędzie podobny świat ducha buduje, stawiają badacza w konieczności jedynie metodą porównawczą rzeczy tych traktowania.

Dwutomowe dzieło Nowosielskiego p. t. *Lud ukraiński*, Wilno 1857, jest właściwie sumienną, wyczerpującą monografią ludu ukraińskiego, poprzedzoną obszerną rozprawą p. t. *Mysteryozofia słowiańska*, w której autor biorąc obrzędy, zwyczaje, obyczaje ludowe, jakimi one są, rozbiiera je i tłumaczy w odniesieniu do Indów, Skandynawów, Germanów, korzystając z prac europejskich uczonych i posiłkując się także wywodami etymologicznymi. Mimo to przecież pracy tej, acz pełnej erudycji, brak ścisłości naukowej. Winą zresztą jestto po części przedmiot samego, który dziś jeszcze, mimo tylu dzielnych przedstawicieli w nauce (weźmy pod uwagę, że dobiega 20 lat czasu od ukazania się powyższej pracy, a to także ma swoje znaczenie) tak trudnym jest do ujęcia w karby naukowe. W każdym razie pracę tę w obec dzisiejszej nauki policzyć wypadła do kategorii rozgłoszonych w swoim czasie: Mitologii słowiańskiej Hanusza i rozprawy Dankowskiego.

Jeżeli prace jak powyższe, z postępem nauki dla historii tylko danej nauki mają znaczenie, to prace zasadzające się na obserwacji, wykopywaniu faktów, szczegółów, nigdy nie tracą swego znaczenia i zawsze będą źródłami dla uczonych; takie właśnie znaczenie posiada druga połowa pierwszego tomu i cały tom drugi dzieła Nowosielskiego, gdzie się znajdują podania, klechdy, zabobony, przysłowia i w ogóle wszelkie szczegóły, do miejscowego ludu się odnoszące i są pracowicie zebrane. Nie mamy tak wszechstronnie opisaną żadną prowincję i dlatego wartość drugiej połowy dzieła Nowosielskiego jest nie zaprzeczona i nie zestarzeje się podobnie jak „Lud” Kolberga.

<sup>1)</sup> Miarę ku temu wziąć możemy z tego, jak lud przekształca pojedynczo wyrazy, których nie rozumie; to samo naturalnie dzieło się musi i z pojęciami. Jeżeli np. przysłuchamy się jak nazwiska zwłaszcza cudzoziemskie lud przekształca, to wyniesiemy przekonanie, że lud nie wymówi wyrazu, któregooby po swojemu nie zrozumiał. Miałom sposobność słyszeć, jak nazwisko Kokiela lud przekształcił na Kukiela (bulka), Guteit na Butel, von Robert na Wątrobor, Łazowski na Łopatowski, arcybiskup na warcy (waroczy) buskup, artysta na a-trzysta i t. p.

<sup>2)</sup> Afanasiew. Poetycz. Wozzr. III. 197.

to gwiazdą<sup>1)</sup>; jeżeli nie *dymem* lub *parą*<sup>2)</sup> to czemciś do wiatru dmącego podobnym<sup>3)</sup>; jeżeli nie *ptakiem*, robaczkiem, gąsienicą, muchą<sup>4)</sup>, pszczołą<sup>5)</sup>, to wogóle jakimś jestestwem latającym, skrzydlatym<sup>6)</sup>, zwierzęciem, owcą.

I rzeczywiście, pomimo, że lud ciągle słyszy w kościele definicyą duszy, to jednak nie może jęj jeszcze pojąć w zupełnej abstrakcyi.

Rozpowszechnione są bardzo u ludu naszego, zwłaszcza od strony Rosyji i w Rosyji obrzędy dotyczące umarłych, gdzie tym ostatnim noszą na cmentarz pokarmy<sup>7)</sup>. Również u Bretonów<sup>8)</sup>. Niemieckie gospodynie dla duchów domowych zostawiają na noc pokarmy i wodę<sup>9)</sup>.

Moskiewski lud utrzymuje, że duszę dobrego człowieka wyciągają z ciała pawiem piórem biali aniołowie i niosą do nieba; duszę zaś człowieka złego aniołowie czarni dzidą wyciągając z żebra, kładą ją na brzoń i do piekła niosą<sup>10)</sup>. U Juraków zakopują w ziemię cztery słupy, na nich zawieszają skórę rena, umyślnie na ten cel zabitego i na skórze składają trupa, na której nieboszczyk uda się do nieba a przy nim wszystkie rzeczy, jakich używał za życia i kawał mięsa reniego<sup>11)</sup>. To mięso renie przypomina nam zwyczaj w niektórych miejscach u naszego ludu do dziś dnia się podobno jeszcze utrzymujący, chowania umarłych z pieniędzmi.

<sup>1)</sup> Afanasiew, Poet. Wozzr. III, str. 206.

<sup>2)</sup> Tamże str. 209.

<sup>3)</sup> Tamże str. 210.

<sup>4)</sup> Toepen. Aberglaub. aus Masur. str. 148 (dopisek).

<sup>5)</sup> Afanasiew. Poet. Woz. III 214.

<sup>6)</sup> Tamże 218.

<sup>7)</sup> Na Polesiu i w innych okolicach. Na tém osnuta II-ga część Dziadów Mickiewicza. W dziełach odnośnych obszernie rzecz ta się traktuje. Mazurzy pruscy w wieczór Sylwestra palą w piecu, aby umarli mogli się ogrzać. Toepen Abergl. aus Masur str. 63.—Porów. Afanasiew. Tom I str. 120—5; 732—3; Tom II str. 74—87, 99; 102 i w in. Byłom świadkiem (w księstwie Łowickim), kiedy mówiono o niedawno umarłym, że dusza z niego wyszła, a chłopiec dopytywał się jakim sposobem wyjść mogła, kiedy on patrząc na umierającego nie widział tego; matka mu wytłumaczyła; że on tego widzieć nie mógł, bo dusza to jest *para*.

<sup>8)</sup> „Mała Bretonia“ w Bibl. Warsz. 1868 r. Wrzes. i Paździer.

<sup>9)</sup> Grimm. Deutsche Mythologie (cyt. u Afanasiowa) Afan. tom II 105, tamże 67—119 i w in.

<sup>10)</sup> Afanasiew tom III 55, Maciejowski „Pierwotne dzieje Pol. i Litw.“ str. 448. Grajnerf „Studia nad podaniami ludu naszego“ Bibl. Warsz. 1859, maj, str. 504.

<sup>11)</sup> Ag. Giller. Bajkał. Szamanizm, wyjątek z opisanja zabajkalskiej krainy. Bibl. Warsz. 1859 r. Wrzes. str. 576.

Są opowiadania, że matki, które umarłszy zostawiły małe dzieci, przychodziły w nocy i karmiły je piersiami <sup>1)</sup>. Litwini opowiadają o bogini Łaumie, która przez kilka miesięcy, po trzy razy dziennie zstępowała z nieba na ziemię karmić swego syna <sup>2)</sup>.

W jednej klechdzie niemieckiej opowiada się o matce płaczącej dniami i nocami po śmierci siedmioletniego dziecka; aż raz zjawił się jój synek w koszuli i powiedział: „matko, przestań płakać, koszula moja nie wysycha od łez twoich; nie mam w mogile spokoju.“

Czytamy opowiadanie z gubernii Mińskiej <sup>3)</sup> następującej treści: Umarło jedyne dziecko a matka w strasznej rozpacz zapragnęła je zobaczyć. Długim szlakiem szły duchy po nad siołem, a wśród nich poznała matka swoje dziecko ukochane i porwała je na ręce. Dziecię zostało. Błede jak chusta siedziało nieruchome na ławie. Ilekroć matka ciepły chleb rozłamała, ono parę chwyla w usta i tēm żyło. Aż po roku w Dzień zaduszny szły duchy zmarłych i zabrały dziecko.

Następujące przytoczenie może służyć za dowód, jak lud po swemu, dotykalnie rozumie abstrakcyjne pojęcie Boskiej sprawiedliwości. W gubernii Pskowskiej nad rzeką Sudomą są dwie niewielkie góry lub pagórki: na jednej są ślady zamku Wyszogrodu, na drugiej nic niema, ale lud taką legendę do niej przywiązuje: Kiedy na Rusi nie było jeszcze sądów, a żyli wszyscy w obfitości i sprawiedliwości, nie krzywdząc jedni drugich, sam Bóg sądził na tój górze: z nieba spuszczał się łańcuch, a każdy z pozywających winien go brać w rękę; winny nie mógł osiągnąć łańcucha, bo ten się zaraz w górę podnosił <sup>4)</sup>. Aż kiedy dwóch ludzi przyszło za sprawą o pieniądze, których dłużnik nie chciał oddać wpierając że odda, wierzyciel dostał łańcucha, i dłużnik dostał łańcucha, bo dał wierzycielowi łaskę wydrążoną do trzymania, w którą wsunięte były pieniądze. Za takie podejście bóstwo przestało łańcuch spuszczać z nieba. Lud dotychczas przechodząc mimo, czapkę zdejmuje i żegna się <sup>5)</sup>.

<sup>1)</sup> W klechdach mitologicznego pochodzenia, często pomysł ten występuje. Bajarz Glińskiego. Grimmo, Kinder-und Hausmärchen Nr. 9 (str. 60) Nr. 10 (str. 70).

<sup>2)</sup> Litwa pod względem starożytnych zabytków, obyczajów i zwyczajów, p. Ludwika z Pokiewa (Wilno 1846) str. 20.

<sup>3)</sup> Jeszcze słów kilka o zwyczajach i pieśniach ludu w gubernii Mińskiej p. Waoławę. Tygodnik Illustrowany 1869 r. Nr. 84.

<sup>4)</sup> To nam przypomina złote owoce w klechdach, które usuwając się nie dadzą się zerwać z drzewa nikomu, tylko osobie (sierociu najczęściej), dla której wyrosły.

<sup>5)</sup> A Nowosielski: Lud ukraiński I, 80 w dopisku, poczerpnął to z Moskwićianina 1851, Cz. V str. 56—7. Porówn. Afan. III 380—1.

Prawdy ducha, poczucia moralne koniecznie zmysłową formę mieć muszą w wierzeniach ludu. Jest np. podanie, że na Jozefata dolinie, na sądzie ostatecznym zobaczą się wszyscy, ale znajomi, krewni, zwłaszcza bliższa rodzina tylko przez *żelazną kratę*, bo inaczej matka dziecko, siostra brata *zjadłaby z radości* <sup>1)</sup>.

Następne wierzenie ciekawém jest co do swego pochodzenia, tu towarzysko-moralne poczucie przybrało formę zmysłową. Lud wierzy i opowiada, że nie można się najeść, jeżeli kto głodny patrzy na nas; co więcej jeszcze, jeżeli jemy a pies się patrzy, to nie najemy się nigdy, gdybyśmy choć odrobiny psu nie dali <sup>2)</sup>.

Często bardzo dadzą się słyszeć pomiędzy ludem opowiadania o doraźnej sprawiedliwości Boskiej, wymierzonej przez Pana Jezusa na złodzieju, którego znaleziono rano w kościele za jeden włoszek trzymanego. Jest opowiadanie o jednym biednym grajku, dla którego statua Pana Jezusa w kościele złoty trzewik z nogi zrzuciła.

Człowiek najwięcej obawiał się sieroctwa; roje bogów i duchów zawsze się nim opiekowały, czuwały nad jego losem i przeznaczeniem, brały udział we wszystkich jego radościach, walkach i cierpieniach; nie życia jego przędyły. Gdziekolwiekbądź się udamy, czy do narodów klasycznej starożytności, czy téż do narodów pół-dzikich współczesnych, czy wreszcie do społeczności ucywilizowanej, przemysłowo-wytwórczej XIX wieku, wszędzie i zawsze znajdziemy to samo. Nie było i nie ma narodu, któryby wyrzekł się opieki i towarzystwa bóstw i duchów. Pomijając Wschód przepętniony milionami bogów i duchów (Buddyzm); niemniej w Helladzie widzimy nieprzeliczoną masę kreacji fantazyjnych.

Narodom i bohaterom walczącym, zawsze bogowie lub duchy pomagały. Bogowie Homera walczą w obronie śmiertelników pod Troją, a Jowisz waży losy. Narody widzą duchy na pomoc przybywające w chwilach stanowczych, jak np. Grecy, w chwili owej sławnej, o całej Grecji decydującej, bitwy morskiej z Persami pod Salaminą <sup>3)</sup>. Po bitwie na polach katalaunickich, trzy dni jeszcze duchy walczyły w powiotrze.

Szamani wierzą w mnóstwo złych i dobrych duchów, napełniających świat cały; wszystkie żywyoty, wszystkie zjawiska, wszystkie twory poruszane są przez tajemnicze duchy <sup>4)</sup>. Szamanizm jakucki utworzył siedm niebios. U Buryatów Łusunkano jest królem smoków,

<sup>1)</sup> Z ustnych podań w Łowiczu.

<sup>2)</sup> Z ustnych opowiadań w księztwie Łowickim.

<sup>3)</sup> Plutarch. Życiorys Tomistoklesa XV, 1—2.

<sup>4)</sup> Giller. Bibl. Warsz. 1859, wrzes. str. 569—70, 575.

smoki są to latające, cudownie żmije; według jednej legendy na górze Hindrakucie otacza Buddę Szakjamuniego 28,000, według innych 100,000 smoków <sup>1)</sup>).

Pojedyńcze indywidua miały swoich geniuszów, pojedyncze rodziny miały swoich Larów i Penatów. Żaden dom nie obszedł się bez „bogów domowych.“ Wiara w duchy domowe była kiedyś silnie rozwiniętą <sup>2)</sup>; dziś po większej części inny już ona charakter przybrała. Cała siedziba człowieka była i jest jeszcze w niektórych stroinach zaludniona duchami; pod progiem, w piecu, za piecem, w stajni, w chlewie są duchy które opiekują się ludźmi, pomagają im czasem pracować, przysparzają dobytku <sup>3)</sup>, czasem nawet ze szkodą sąsiada, karmią inwentarz i zwierzęta domowe <sup>4)</sup>).

Lasy, łąki a głównie *wody*, jeziora, rzeki są zaludnione nieprzebraną masą duchów i postaci przeróżnych, całymi gniazdami dyabłów <sup>5)</sup>).

Opowiadanie o dyable iskrzyckim <sup>6)</sup> z pewnością jest w związku z duchami ogniska domowego (sama zresztą jego nazwa od *iskra* to pokazuje). Lary domowe do dziś dnia istnieją, tylko w inną postaci. Lud a nawet ludzie trochę oświeceni wierzą w strachy i w duchy pokutujące po domach zamieszkałych; wiara ta bardzo jest rozpowszechniona; te strachy i duchy pokutujące są to dawne duchy domowe, duchy opiekuńcze ogniska domowego, którym z postępem czasu inny dostał się charakter. Jest tysiące podań, opowiadań i opisów o rodzajach doznających opieki a częściej prześladowania lub smutnej wróby od duchów, które bezwątpienia są następcami duchów domowych.

Rodzina Poniatowskich miała ducha opiekuńczego, którego nazywano *białą niewiastą*. Ta pojawiła się trzykroć członkom tej fa-

1) Gillor. Bibl. Warsz. 1861, marzec str. 543.

2) Często, kiedy dziecko boi się samo zostać w pokoju, mówią: zje się Dydko (дѣдко) na słomianych nogach; ślad ducha domowego.

3) Mazurzy pruscy wierzą w ducha domowego *Kołbuka v. Chobolda*, który znosi różno rzeczy, zwłaszcza zboże do domu. Toeppen. Abergl. aus Masuren str. 16—20

4) Obszornie o tém Afanasiew II 67—119 i w wielu innych miejscach.

5) Barszozewski. Szlachcic zawalnia ózyli Białorus w fantastycznych opowiadaniach (t. 4-ry) Petersb. 1844 i następ. Tam w artystycznej formie opowiadań są wiernie przejawiono wierzenia ludu; tam wyraźnie występuje wiara ludu, głównie co do czarów, zabobonów, nieczystej siły. Niezliczona jest masa złych duchów, szczególnie w jeziorach zamieszkałych. Ciekawo jest opowiadanie „Rybak Roćka“ t. II-gi, szczególnie na str. 27 i 29.

6) Dziennik podróży do Tatrów przez autora Sobótki. Peters. 1854. Klochdy Wójcickiego Warszawa. 1837 T. I str. 198. Podania i legendy Siemińskiego. Poznań 1845 str. 148—9. Afanasiew II, 69.

milii: 1<sup>o</sup> ojeu Stanisława Augusta pod Połtawą; 2<sup>o</sup> Stanisławowi Augustowi 4 listopada 1794 r.; 3<sup>o</sup> księciu Józefowi Poniatowskiemu w przeddzień pierwszej bitwy pod Lipskiem <sup>1)</sup>. Duch Eleonory Lubomirskiej opiekował się Józefem Jordanem <sup>2)</sup>.

*Biała Dama* uważa się za matkę Hohenzolernów i pokazuje się przed każdym ważniejszym wydarzeniem w tej rodzinie <sup>3)</sup>. Jak w Berlinie o Damie białej, tak w Dreźnie jest podanie o złe zwiastującym ukazywaniu się Mnicha drezdeńskiego (Dresdner Mönch) <sup>4)</sup>.

Przed niedawnym czasem połowa Ameryki i Europy rozmawiała z duchami za pośrednictwem nóg stołów i ekierok. Miliony duchów nas otaczają podług spirytyzmu tak rozszerzonego przed niedawnym czasem.

Kościół podaje świętych obcowanie, przyznaje bytność Anioła Stróża przy każdym człowieku, świadczą o tém różne miejsca Biblii i zdania Ojców kościoła <sup>5)</sup>, przyznaje niemniej istnienie złych duchów <sup>6)</sup>.

Nasi uczeni badając zapatrywania się ludu na przyrodę, i chcąc sobie wytłumaczyć to zjawisko, że u ludu wszelkie stworzenie, wszelkie twory, kamienie i drzewa żyją i mówią, — każą tam pokutować duszkom umarłych <sup>7)</sup>. Obawiamy się, aby to nie było zbyt jednostronne widzenie rzeczy; ten bowiem pandzeizm ludu, dla czegożby koniecznie tylko duszami umarłych miał się tłumaczyć? Zresztą ta hipoteza nie wyprowadzi nas jeszcze z kłopotu; bo jak sobie naprzykład wytłumaczyć uosabianie przez naród żywiołów, natury, wiatru, zawiera-

<sup>1)</sup> K. Wł. Wójcicki. *Kłasy* 1866 Nr. 35. *Świat duchów* (Warszawa, 1869) Serya I str. 38.

<sup>2)</sup> *Świat duchów* (Warz. 1769). Serya I str. 65.

<sup>3)</sup> *Czas. Dodat. miesięcz.* Kraków 1857 t. VIII. *Świat Duchów* Serya I str. 270.

<sup>4)</sup> *Listy Kraszewskiego.* *Kłasy* 1869 Nr. 225.

<sup>5)</sup> *Porówn. Świat duchów,* serya I 128—130.

<sup>6)</sup> *Porówn. artykuł X. M. Nowodworskiego.* *Pamiętnik Religijno-moralny* 1861, luty str. 151.

<sup>7)</sup> „Dusze po śmierci przechodziły w twory natury, przybierając różne postacie istot lub tworów ziemskich“. Grajnert, *Studia nad podaniami, Bibl. Warsz.* 1859, maj str. 487, 511. „W odległych bardzo czasach wszystkie twory na świecie gadały, przedstawiając ukryte w sobie dusze zmarłych“. Tamże str. 498. Że dusze u Słowian zostawały na ziemi, że żywiołowy charakter przybierały, że łączyły się głównie z duchami domowymi i wodnymi, o to niema sporu, bo gdzież się zrosztą podziąć miały; ale żeby wszystko temi duszami ożywiać, żeby wmawiać „ideę przomian ludzi“ (Grajnert, tamże str. 514, maj) to sądzimy dowolnym i zbytecznym.

chy, słyty, śmierci <sup>1)</sup>, zarazy, chorób, powietrza <sup>2)</sup>, *cholery*, ospy, fe-bry, pór roku, miesięcy, starego i nowego roku, świąt, dni <sup>3)</sup>). Nie-dziela albo piątek (piatnycia) niekiedy zjawiają się w postawie *dziewio niesłychanie pięknych*; ale to tylko wtedy, gdy kto we dni im poświęcone, pracą się zajmuje. Wówczas niedziela prządkom powiada, że one nie len przędą jak się im zdaje, lecz przędą *jej włosy* i wskazuje na swój *warkocz potargany*; młóćącym zaś na natoku odśłania *białe ciało, mnóstwem odkryte sińców* i powiada im, że *to oni cepami, tak jej ciało kaleczą* <sup>4)</sup>). Doprawdy! podobne uosobienia nie dadzą się w żaden sposób „przechodzeniem dusz“ wytłumaczyć. Trzeba szukać przyczyny w najgłębszych prawach ducha ludzkiego, i podziwiać taką śmiałość poetyczną ludu, tworzącego personifikacye z tak nieujętych pojęć, jak jest np. pojęcie dnia i nadającego im wyraźne i dotykalne kształty, stawiające je przytém na stopniu takiej z nami sympatyj! W tym względzie nie można odmówić ludowi twórczości. Dla przekonania się jak np. wygląda pochod *dżumy* w wyobraźni ludu, przytaczamy opis Wójcickiego p. t.: *Homen* <sup>5)</sup>): „Rusin jeden straciwszy żonę i dzieci przez *dżumę*, uciekł w lasy, tam zrobił budę, rozpałił ognisko i usnął. Zbudzony po północy słyca: *słyszysz pieśni, głos bębenków i piszczałek*. Odgłos zbliżał się coraz, i wystraszony Podolak, ujrzał szeroką drogą ciągnącą się *homen*. Był to *orszak mar* dziwacznych, co otaczał wóz w około; wóz był czarny i wyniosły, a na nim siedziała *dżuma*. Za każdym krokiem *zwiększała się coraz straszliwa drużyna*; bo po drodze wszystko niemal *przerzucało się* w widma. Słabo tłało jego ognisko; głównia spora dymiła jeszcze nieco: zaledwo zbliżył się *homen*,

1) Śmierć bywa zamknięta przez powien czas, oo naprowadza na żywiołowe znaczenie śmierci pierwotnie w czasie zimowego peryodu natury. Gliń. Bajarz, t. II str. 157 i 8. Afanasiew t. III 50, 51, 52.

2) Wójcioki, Klechdy, T. I „Powietrze“.

3) A. Nowosiolski: Lud ukraiński t. I str. 241 opowiada, że jakiś narodowy artysta na murze kijowskiego klasztoru wymalował postacie dwóch postnyoh potraw ukraińskich: *Żuru* (w postaci kozaka) i *Kwaszy* (w postaci starej zasmolonej baby).

4) Opis powiatu Wasylkowskiego skroślił Edw. Rulikowski. Warsz. 1853, zob. str. 168. Jeżoli kto Bajkał nazwie jeziozem, nie morzem; za tę obrazę Bajkał mści się falowaniam a czasem zatopieniem. Widok wzburzonego jeziora wzbudza w duszy Buryata przostach i poszanowanie; „Bajkał się gniewa“, mówi Buryat, i odmawia magasz (modlitwę). Gillor. Bibl. Warsz. 1859. Wrzesień str. 554, 555.

5) Klechdy, staroż. podania i powieści ludu, Wójcioki. 1837 t. I str. 130, 3; oo takżo przytacza Siemiński, Podania i legendy Nr. 140; a to znowu cytuje Afanasiew T. III str. 111; porów. tamżo str. 106.



głównia stanęła na nogach, wyciągnęła dwa ramiona, a zarzewie zajaśniało dwoma błyszczącymi oczyma, i łącznie śpiewać z innymi zaczęła. Ostupiał wieśniak: w niemym przestrichu porywa siekiere, i najbliższą chce uderzyć marg; ale siekiere z rąk mu ulata, przerzuca się w wyniosłą niewiastę z kruczym warkoczem, śpiewając, powiała mu przed oczyma. Homen szedł dalej; a Podolak widział jak drzewa, krzaki i sowy i puchacze, wysokie przybierając postacię zwiększyły ten orszak, straszny zwiastun straszliwój śmierci.“

Takim jest lud w opowiadaniach, skoro go nie kępują formy, mieszczące w sobie dawniej treść kosmogonicznego znaczenia. „Istoty nadprzyrodzone napełniają świat, do którego lud swoją wiarę przywiązał. Przy ognisku domowém, wśród długich wieczorów zimowych, lud przywołuje ten świat na pamięć w powieściach swoich. Tutaj mór przybiera postać wyniosłej niewiasty: obwinęta białą płachtą, każe się nosić ludziom, po wsiach i miastach a gdzie powonie płachtą, tysiące pada martwych: to powiewa czerwoną chustą przez okna <sup>1)</sup>; gdzie rękę swoją ukaże, wymiera całe domostwo; tam pędzi pieszo, przez psów goniona, to znowu na wozie, otoczona marami i widmami jedzie. Inny jest mór na dzieci, zowie się *Dziewczyzna Cicha*, niedorostek w białej szacie, ma twarz śniadą, oczy wylupiate; spojrzenie chłodne uroczę; czarne włosy wianek polnego maku zdoi, krwawa chusta warkocz obwija. W rękę trzyma pręt czarny, a które nim dotknie dziecię, pada martwe, jak pisklę uduszone. Piękniejsza jest *Kania*, dziewica urodna, pływa w obłoku, wabi dziecię do siebie, porywa i znika <sup>2)</sup>. Dwa widma straszne stąpają swobodnie po ziemi naszej: *Bieda* <sup>3)</sup>, wybladła i żółkła, a za nią *Nędza* przezroczystej skóry i do policzenia kości. Gdziekolwiek bięda zajrzy, tam wnosi niedolę; ucieka dostatek i skromna chudoba, głód i ubóstwo zajmuje

1) W bielźnie, z wiankiem ognistym na skroniach,  
Czołem przenosi białowiejskie drzewa,  
A w rękę chustą skrwawioną powiowa.  
Dziewica stąpa kroki złowieszczemi  
Na sioła, zamki i bogato miasta;  
A ile razy krwawą chustą skinio,  
Tyle pałaców zmienia się w pustynie:  
Gdzie nogą stąpi, świeży grob wyrasta.

Mickiewicz.

2) Porówn. Wójciokiego Zarysy domowe (Warsz. 1842) „Kania i Cicha“ t. II str. 20—26.

3) Rozpowszechnione jest bardzo opowiadanie, które zamieścił Baliński. Powieści ludu. Warszawa 1842 p. t. „Bięda“ pod Nr. II oraz „Blada panna“ Nr. XXII. Jeżeli na kominie zapiszczy w ogniu, to bięda tak piszczy, albo dusza umarłego (z ustnych opowiadań w księztwie Łowickim i w gubernii Łomżyńskiej). Afanasiew t. III str. 199 podaje, że to dusza skąpogo człowieka.

ich miejsce, dopóki jej nie spędzi w całej nagości Nędzal Na wiosnę po lasach i dąbrowach hukają i wabią *majki i dziwożony*, zwabionych łaskotaniem zabijają. W rzekach, jeziorach i stawach kryją się *topielnice* srebrnego włosa i straszni *topielcy*; w lasach wyją *wilkolaki*, ludzie przez czary zamienieni w wilków; w moczarach i błotach pełzają węże, czczone dotąd, które zakląć można potęgą słowa, że szkodzić nie będą<sup>1)</sup>.

„Nie tylko ziemię zaludniały nadzwyczajne istoty, powietrze nawet jest ich pełne. Dotąd w postaci lśniącej gwiazdy młoda dziewczyna widzi kochanka, ku niemu wzdycha i wyciąga dłonie. Świetliki nocne są dusze pokutujące; wiatr gwałtowny porusza zły duch jedynie, równie jak zamieszkuje piec stary rozwalonej chaty i starą spróchniałą wierzbę. Nidosyć, w postaci sowy<sup>2)</sup> śmierć przepowiada, tumani i obłądza wędrowca<sup>3)</sup>. W wodzie, w lesie, w gajach, w tataraku, w trzcinie, w wysokiej trawie łąki, w zbożach, szczególnież w życie, pod podłogą mieszkania; wszędzie a wszędzie obok dyabłów i złych duchów roją się poetyczne, ulotne, dziewczęce postacie, śpiewające, *tańczące i kołyszące* się na gałęziach. Upiory<sup>4)</sup>, strzygi, zmary,

<sup>1)</sup> K. Wł. Wójcicki. *Historia literatury polskiej w zarysie* (wydanie 2-gie, Warsz. 1859) t. I-szy str. 31, 32.

<sup>2)</sup> W głosie ptaków i zwierząt niektórych, lud słyszy przepowiednie wyrazy.

Ptaszek Bogowola wymawia:

Bogu woła,  
Chłopu rola;  
Panu czynasz  
A księdzu meszne.

(Zob. Tworzimir. Wyjaśnienie początku niektórych przysłów. Bibl. Warsz. 1864, luty, str. 263). Przepiórka woła: pójźcio-żąc, pójźcio-żąc. Kura kiedy krzeczorze, to mowi: bięda-mnie, bięda-mnie. Cielę kiedy beczy, to mowi: najgorzój-mnie!

<sup>3)</sup> Wójcicki, *Hist. liter. pols.* (wyd. 2-gie) T. I str. 196.

<sup>4)</sup> Jest powszechnie mniemanie, że *upiór* jest czysto słowiańską kreaoyą; nawet Berwiński, który nie rodzimego ludowi naszemu nie rad był zostawić, mówi, że wiara w upiory jest zabobnem czysto-słowiańskim, najpóźniejszym. Mimo to jednak niowatpliwą jest rzeczą, że upiór, tak dobrze jak i smok, czarownica, rusalka lub każda inna podobna kreaoya pochodzi z obłocznych postaci. Nięma wątpliwości, że upiór mógł w słowiańszczyźnie przybrać właściwy sobie charakter, że u innych ludów mógł się w innych postaciach, podobnych sobie pierwotnie, utopić. Upiór jest obłocznego, demonicznego pochodzenia, przypomina on nam smoki, zmije-latawce, baby-jagi (późniejsi zbójcy), które to postacie ludzkim mięsem się żywią (chmury pożerają); przyleciawszy do domu mówią „ludzką duszę ozuó“. Upiór ma podobieństwo duże z wieszczycami (czarownicami) serbakiemi; może także z miewkami (majkami), które „krwią załaskotanęj ofiary karmią się“.

latawce, przyłożniki (incuby, succuby), przypołudnice, przywieczornice, rusałki ziemne i wodne, ondiny (wandiny, wodnice)<sup>1)</sup>, topielcy, topielice, boginie wodne<sup>2)</sup>, wodzianiki<sup>3)</sup>, goplanki, świtezianki, bogunki (bogińki), hałki (gaiłki)<sup>4)</sup>, didki-lełeki<sup>5)</sup>, dobrochocze<sup>6)</sup>, leśniki<sup>7)</sup>, złydnie<sup>8)</sup>, krasnoludki<sup>9)</sup> (niziołki), duchy domowe, strachy. Wszystkie te postacie i wiele innych, chociaż do kilku głównych typów sprowadzić się dają, jednakowoż różne są od siebie; w każdej bowiem okolicy inne właściwości przybierają.

W święto Kupały, jak na całej Rusi dotąd powtarzają, cała natura się o północy weseli; *drzewa przenoszą się z miejsca na miejsce, zwierzęta rozmawiają jak ludzie*. Stołce się kąpie, *igra* światłem i kolorami. W nocy Kupały pełno nadzwyczajnych zdarzeń; całe przyrodzenie się weseli. Kto znalazł *kwiat paproci* widział nie tylko skarby w ziemi ukryte, ale i dziwy nadzwyczajne w naturze, słyszał rozmowę drzew, które się z różnych stron poschodziły<sup>10)</sup>. Do dziś dnia przechowała się pamiątka téj ważnej kosmogonicznej uroczystości. Jest bardzo rozpowszechnione zdanie, że kąpać się nie można, aż święty Jan wodę ochrzci, to już żaden robak nie ugryzie w wodzie.

W wigilią Bożego Narodzenia o samej północy woda przemienia się w wino<sup>11)</sup>. Zwierzęta rozmawiają<sup>12)</sup>. Przy wieczerzy choć trochę odkładają każdą potrawę i to potem, z opłatkiem wkruszonym zanoszą bydło, bo „*bydlę także wielkie święto rozumie*” i choć raz do roku powinno ludzkiej strawy pokosztować<sup>13)</sup>. W dzień Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny (dnia 25 marca), wszystkie zwierzęta,

<sup>1)</sup> Siemioński, Podania i legendy Nr. 129. Litwa. Ludw. z Pokiowa, stronnica 32.

<sup>2)</sup> Podania ludu z nad Sanu, Bibliot. Warszaw. 1867, maj str. 302 i następne.

<sup>3)</sup> Barszczewski, Szlachcio Zawalnia T. II str. 17.

<sup>4)</sup> Grajnert, Studya nad podaniami, Bibl. Warsz. 1859, maj str. 509.

<sup>5)</sup> Siemioński, Podania i legendy Nr. 124.

<sup>6)</sup> Tamże Nr. 127, Lud Pol. Gołębiowski str. 166 i 167.

<sup>7)</sup> Barszczew. Szlach. Zawal. T. I str. 52.

<sup>8)</sup> Gliński, Bazar IV, 189. Nowosielski, Lud ukraiński T. II str. 160; także 213. Afanasiew, T. III str. 404.

<sup>9)</sup> Toepen. Aberglaub. aus Masur. str. 22 i 24.

<sup>10)</sup> Barszczew. Szlach. Zawal. t. I str. 10 i 11. Nowosielski, w Ludzie ukraińskim szeroko się rozwdzi nad kosmogonicznym znaczeniem Kolady i Kupały T. I str. 99—121.

<sup>11)</sup> Z ustnych opowiadań w księztwie Łowickim.

<sup>12)</sup> Rozpowszechniona bardzo wiara. Porównaj Baliński. Powieść ludu „Rozmowa bydła” str. 32—34. Ta sama wiara jest u Bretonów. Bibl. Warsz. 1860, wrzesień str. 660.

<sup>13)</sup> Widziałem to w księztwie Łowickim.

co były przez zimę w głębi ziemi ukryte i te co na wierzchu były, wchodzą na drzewa i tak słuchają całego nabożeństwa; potem każde rozchodzi się w swoją stronę: które mają na lato zostać na ziemi, to zostają, a które w ziemi, to do niej powracają <sup>1)</sup>.

Przekonać się możemy, że lud pod wpływem odległych bardzo pamiątek kosmogonicznego pochodzenia ożywia całą naturę; każdej zresztą wiosny, widzi budzące się wszędzie życie po długim zastoju. Budzenie się natury, zmartwychwstanie ziemi, było wielką uroczystością u wszystkich ludów obchodzone.

Z drugiej znowu strony, pamięć zimy przechowała się w wierzeniu w kamienie i zapadanie pod ziemię ludzi, zwierząt, tworów natury, miast i królestw całych <sup>2)</sup>. Przesady o skamienieniu wspólne są wszystkim narodom. Nie ma prawie okolicy u nas, w którejby nie pokazywano dużego kamienia, mającego być człowiekiem, lub zwierzęciem skamieniałym. Możemy to sobie tłumaczyć, z jednej strony zażytkiem kosmogonicznych wyobrażeń, gdzie na zimę wszystko kamieniało, a z drugiej tak łatwą zdolnością człowieka do ożywiania, atropomorfizowania całego otoczenia, *pandzeizmem*.

Zwierzęta, pola, rośliny, całe królestwa zasypiają, zapadają się pod ziemię lub kamienieją na skinienie woli Kościeja, groźne czarowne zaklęcie lub machnięcie prątką czarodziejskiego. W klechdach mamy tego liczne przykłady. W każdej okolicy lud opowiada o zaklętych miastach, zamkach, kościołach <sup>3)</sup>. Ileżto jest jezior i pagórków kryjących w sobie miasta lub kościoły, a dzwony z miejsc takich, nieraz się stłumionym głosem odzywają.

## II.

Powiedzieliśmy wyżej, że człowiek zamknięty był przestrzenią niewielką ziemi i sklepienia niebieskiego, które kładło granicę jego wzrokowi. Jak nie mógł poza tę granicę zmysłami sięgnąć, jak całe to otoczenie było półkulą skończoną, zamkniętą, tak i we wszystkich dochodzeniach dręczących go tajemnic, dochodził do pewnych wierzeń i wyobrażeń skończonych, zamkniętych, zaokrąglonych. Wszystkie dążenia i tęsknoty jego ducha, stawiały sobie budowania skończone i obszerne, w miarę tego, jak te dążenia i tęsknoty z większą lub mniejszą siłą występowały; w każdym jednak razie wszystkie one

<sup>1)</sup> Z ustnych opowiadań w księstwie Łowickim, również w powiecie Grojeckim.

<sup>2)</sup> Machnięcie prątkiem żmii (Baby-Jagi, czarownicy) zamienia ludzi i zwierzęta w kamienie. Lud ukraiń. I, 321, 322, 324.

<sup>3)</sup> Zob. Toeppen. Aberglaub. aus Masuren str. 161—162.

znajdowały w tém budowaniu miejsce, żadna nie potrzebowała szukać sobie siedziby w nieskończoności. Zdanie to przedewszystkiém do charakteru Słowian się stosuje, którzy nie mieli objawienia, nie uwielbiali rzeczy nieznanych, (zład nie było podstawy u praktycznych Słowian dla hierarchii, kapłanów, królów, magnatów<sup>1)</sup>). Dopiero Chrześcianizm przyniósł pojęcie tej nieskończoności, którą myśliciele Wschodu mogli sobie tylko jako nicosć wystawić (Nirwana); dopiero Chrześcianizm oderwał człowieka od ziemi, skierował wzrok jego w dal nieskończoną.

Ale Chrześcianizm nie przesiąkł jeszcze do krwi i kości ludu, a podobno i nas wszystkich.

Obok nauki kościoła o raju, w którym wszelkie wymagania i porywy naszej duszy zaspokojenie znajdują, lud posiada drugi raj jeszcze nie tak odległy jak piérwszy, praktyczniejszy, że tak powiem zaspakajający wymagania i porywy jego duszy; więcjéj nawet: w tym raju są drzewa wiadomości złego i dobrego dostępne, wybranym wprawdzie tylko, ale zawsze dostępne.

Jakie teraz czasy, a ludzie się coraz psują i karłowacieją, teraz i drzewo inaczej rośnie i kamienie zmartwiały. Dawniej byli inni ludzie; podpierali się sosną całą. Olbrzym w wielkim palcu rękawicy, wyprawik córce swojej wesele. Coraz się gorzej teraz dzieje, a po nas będą jeszcze tacy mali ludzie, co w piecach, w których my teraz chléb pieczemy, zboże młócić będą<sup>2)</sup>. Ale najlepij było za czasów Pana Jezusa. Kiedy Pan Jezus, Św. Piotr i Matka Boska chodzili po ziemi<sup>3)</sup>, to wtenczas szczęśliwe były czasy. Człowiek wiedział o swój przyszłości, pracował lekko bardzo; zniwiarze siedzący pracowali, zboże samo się do nich przysuwało<sup>4)</sup>, a miało ziarno do samego dołu.

Przed laty to tak było, że co tylko człowiek wymówił, to zaraz się stało<sup>5)</sup>. Zwierzęta rozmawiały tak, że można było ich mowę rozumieć.

Człowiek może sobie u Boga uprosić, że będzie wiedział kiedy umrze<sup>6)</sup>. Skoro się „niebo otworzy“, jak się błyska, to można widzieć Matkę Boską, Pana Jezusa i innych świętych<sup>7)</sup>.

<sup>1)</sup> Porówn. początkowe odczyty Mickiewicza o Literaturze słowiańskiej.

<sup>2)</sup> Z ustnych opowiadań, powiat Rawski.

<sup>3)</sup> Wiara ta jest u wszystkich ludów rozpowszechniona. U Grimmów klechda Nr. 84 tak się zaczyna: Vor alten Zeiten, als der liebe Gott noch selber auf Erden unter Menschen wandelte i t. d. O Matce Boskiej porówn. u Grimmów klechdę Nr. 2.

<sup>4)</sup> Z ustnych opowiadań.

<sup>5)</sup> Z ustnych opowiadań. Kozłowski Lud. str. 309.

<sup>6)</sup> <sup>7)</sup> Z ustnych opowiadań, powiat Rawski.

Każdy człowiek ma swoją gwiazdę na niebie, jak gwiazda spadnie, to człowiek umiera; podobnież człowiek umiera, jeżeli rachując gwiazdy, natrafi na swoją <sup>1)</sup>).

Jest szczęśliwa minuta w ciągu dnia, w której to wszystko się stanie, co sobie życzymy <sup>2)</sup>). Lud stara się unikać wszelkiego przeklinania i boi się szczególnież „lata mających“ ludzi przekleństwa, „bo można w nieszczęśliwą godzinę wymówić“ i spełnią się wszystkie przekleństwa.

Jeżeli zdążymy sobie co pomyśleć wtenczas, kiedy gwiazda spada, to się spełni <sup>3)</sup>).

Kto był w letargu, w zachwyceniu, to dusza jego przez ten czas była i widziała wszystko w niebie, czyscu i w piekle <sup>4)</sup>).

Gdy kto długo pisze i czyta, to się „*dopisze i doczyta*“ gdzie się jakie skarby znajdują, jaka jego przyszłość będzie, i jaką śmiercią umrze <sup>5)</sup>).

Można się wyuczyć ptaków języka i poznać do czego która roślina służy.

Zywa woda wskrzesza już tylko co prawda bohaterów w klechdach, ale robaczek daje czasem listek lub 3 listki, z których jeden położony na ustach umarłego znika, a umarły wstaje <sup>6)</sup>).

W późniejszych klechdach bohaterowie chodzą do nieba i do piekła.

Ktoby miał *kwiat paproci*, będzie wiedział o wszystkich skarbach; wszystkie najsilniejsze zamknięcia za dotknięciem tego ziółka rozstępują się; ziemia staje się, jak kryształ przezroczysta; będzie słyszał co rośliny, drzewa, co ptaki mówią: każde ziele mu powie na co jest przydatne, i jakie słabości leczy <sup>7)</sup>).

Są niemylnie sposoby na zjednanie sobie lub pozbycie się miłości <sup>8)</sup>). Nadzwyczaj rozpowszechniona jest wiara, że kochanka skarżąc się lub kochankę skarżącemu się, czarownica, choćby z najodleglejszej strony, powietrzem, nad lasami sprowadzi. Kochanek na prośby i narzekania kochanki z grobu powstaje i przyjeżdża ją zabrać <sup>9)</sup>).

1) Z ustnych opowiadań.

2) Lud ukraiński II 88, 108; III, 325, Litwa. Ludw. z Pokiewa str. 159.

3) Z ustnych opowiadań.

4) „Zachwycenie“ Lenartowicza, na tém widzeniu osnute.

5) Z ustnych opowiadań.

6) Z ustn. opow. porówn. Afanas. II, 567.

7) Na każdym kroku spotykamy się z temi wierzeniami.

8) Wójciński, Klechdy I, 93 i w wielu innych.

9) Sławna ballada Bürgera p. t. Leonora. Zob. *Zamarski*. Podania i baśni. Wrocław. 1852 „Ucioczka“ str. 121—132; także ballada Mickiewicza pod tymże tytułem.

*Pieralot-trawa* czyli ziółko latające, posiada władzę przenoszenia się z miejsca na miejsce; kto ten kwiat zerwie, nie dozna przeciwności w życiu: wszystkie jego żądania będą natychmiast spełnione <sup>1)</sup>.

*Rozryw-trawa* rozrywa zamki i kruszy kajdany <sup>2)</sup>.

*Żabier-trawa* rośnie w głębinach wody, zabezpiecza od pożarów, uczy zgadywać przyszłość <sup>3)</sup>.

*Sen-trawa* usypia każdego.

Jednym słowem w drzewach, roślinach i „*trawach*” mieści się wiadomość złego i dobrego, wszelka moc, wszelka wiedza, wszelka siła. Za ich pomocą można wszystko posiadać, o wszystkim wiedzieć, przeciw wszystkiemu się zabezpieczyć, wszystkiego dokonać. Ale osiąść te trawy trudno; sposoby ku temu wiedzą tylko znachory i czarownice.

Chorobę każdą można *zażegnać* „*określić*“ <sup>4)</sup>. Każda czarownica, każdy owczarz może „*oo zadać*“.

W zamówieniach zwłaszcza są sposoby na wszystko, na odpędzenie wszystkich chorób zwłaszcza i niepowodzeń człowieka i jego dobytku. Wiara ta do dziś dnia jest upowszechniona pomiędzy ludem. Wiele bardzo odnośnych szczegółów zebrał Toeppen, Aberglauben aus Masuren, zwłaszcza w rozdziale: Die Zauberei und die Versegnungen (str. 35—61. Porówn. także „o Mazurach“ p. Kętrzyńskiego. Poznań 1872 na str. 27).

Człowiek może stać się panem natury, osiąść wszelką władzę i wiedzę wszystkiego (może być Twardowskim lub Faustem w swoim rodzaju) za pomocą *ziół i słów* (zaklęć).

Zaklęcia mają moc wielką: *potęgą słowa* flisy doznają burzy; *potęgą słowa* rozhukane bałwany uciszone zostają; *słowem* czarodzieje sprowadzają deszcz, grad i pioruny; zjadliwe zwierzę pozbawiają jadu, leczą choroby, uzdrawiają konających, stają się niewidzialnymi. *Potęgą słowa* przemienia człowieka w gad, w zwierzę, w ptaka, w kamień, w drzewo; a nawet po śmierci zmuszą, aby duch błędził, czy w gruzach zamku, czy w wyszarach i topielach. Nieobecnego nawet z daleka w każdej chwili na skrzydłach wiatru sprowadzić mogą! I taż *potęgą słowa*, zaklęciem, otworzyć warowne bramy, uspić strażę, oniemić psy wrzaskliwe i czujnego koguta <sup>5)</sup>.

<sup>1)</sup> Barszczew. Szlach. Zawal. I, Nr. 12.

<sup>2)</sup> Tamże Afan. II, 275

<sup>3)</sup> Barszczew. szlach. Zawal. III str. 79, 88.

<sup>4)</sup> Byłem tego nieraz naocznym świadkiem. W każdej wsi niemal jest kobieta, która „umie zażegnawać”; do niej się schodzą i zjeżdżają chorzy, ona niema nio wspólnego z czarownicą. „Określanie często sam chorey robi drobną monetą lub szmatką i rzucając to gdzie na drodze, jest przekonany, że do tego ochoroba przyjdzie, kto tę monetę lub szmatkę podniesie. Porówn. także u Gołębiowskiego *Lud* str. 152.

<sup>5)</sup> Z *Histor. liter. pol.*, Wójcicki (1859) I, str. 196, 197.

## III.

Grecy stworzyli poezyą, która wypiastrawszy starożytność, legła w długim spokoju, aby za kilkanaście wieków zmartwychwstać, ośniewać świat młodzieńczo, zachwycać pięknem, odradzać w duchu żywotnością. Wzniosłe zadanie przypadło jej w udziale. Zadanie takie mogła spełniać tylko poezya grecka, t. j. taka, która się z ludowych wierzeń i wyobrażeń wysnuła.

Historya literatury przekonywa, że utwory poetyczne, osnute na podaniach i wierzeniach, dochodzą do znaczenia arcydzieł, nabierają żywotności i siły niespożytej czasem. Takimi są utwory wszystkich wielkich poetów świata. Takim jest młody, żywotny, silny romantycyzm. Ale nasi poeci nie znają jeszcze tak podań ludu, jak znał Homer podania i wierzenia Greków, jak znali Dante, Szekspir, Walter-skot podania współczesne. Dlaczego nowi poeci wybiegają fantazyą na stopy, łątają się orientalizmem, stwarzają chorobliwe światy, ubiegają się za realizmem, z którym najłatwiej się przerachować w poezyi? Jest jedna wdzięczność droga dla poetów, aby zamiast zbaczania z ludowego kierunku, na którym obudzony romantyzm z początkiem bieżącego stolecia wielkich wydał poetów i pienia ich godne, aby, zamiast zbaczania z tego kierunku, szli nim dalej pewni, że zrozumianymi będą przez massy, co właśnie najważniejszym jest zadaniem poezyi. Nastąpić to może wtedy tylko, skoro się poeta odezwie językiem znanym tłumowi. Właśnie tylko wierzenia, wyobrażenia, zabobony ludu, które dziś już nie mieszczą w sobie treści odpowiedniej, mogą dać ten zrozumiany język, jako formy ludowi znane, a zakłecio w te formy ideałów, zachwyków ducha, całej skali myśli jego i uczuć, całego majestatu poezyj rzeczą jest poety. Utwory podobne mamy w literaturze, zwłaszcza z czasów Mickiewiczowskich.

Czcość lub szalone rzucania się poetów współczesnych, narzekania na brak treści do poezyi, rzadko szczęśliwy zwrot do realizmu i wiele podobnych symptomatów, świadczących, że poezya nasza się nie rozwija ale upada; wszystko to są skutki zdaniem naszym tego, że poeci nasi nie poszli dalej drogą, na której młodzi romantycy tak wspaniała chorągiew rozwinęli. Poznanie form ludu ducha i użycie ich na formy poezyi współczesnej wrychle może stworzyć poetów, na brak których obecnie słusznie narzekamy. Treści do poezyi nigdy nie zabraknie na obszerniej arenie ludzkości, w głębi czującego i kochającego ducha poety; trzeba tylko poszukać dla niej takiej szaty, którą jako znajoma, zatrzymała na sobie oczy wszystkich. Szekspir umiał genialnie posługiwać się duchami i czarownicami, Andersen umiał na tematach klechdowych osnuwać swoje powiastki, Lenartowicz umiał napisać Zachwycenie i Błogosławioną.

Tą myślą powodowani i przekonani, że bardzo łatwo i bardzo pożytecznie jest, skoro się podniosłe ideje wcielają w formy znane,



a poezya mówi obrazami i porównaniami wszystkim znanemi, chcielibyśmy przy końcu niniejszej pracy, wykazać tożsamość w zasadzie wierzeń i wyobrażeń ludu a symbolizmu poetów.

Poezya, ta mowa *do uczucia, serca i wyobraźni* naszej zwrócona, wyraża się tylko w obrazach z materyalnego, dotykającego świata wziętych. Poeta mówi do nas figurycznie, w symbolach i przenośniach, w obrazach i porównaniach. W te dopiero formy, z materyalnego świata wzięte, całą swoją boską potęgę wciela.

Poeeci oddychają oddechem natury, rozumieją śpiew ptaków, brzęczenie owadów, szmer strumyka, rozumieją szum drzew i roślin i życie kwiatów, słyszą co mówią góry i głązy mchem poroste. Współ z całą naturą żyją, z nią czują, z nią dzielą się wszelkimi uczuciami duszy. Rozumieją mruganie gwiazdek, pośpność księżycy, głęboką ciszę nocy.

Wewnętrzne uczucia, wzniosłe porywy lub namiętności poety, stają jako zastępy postaci oko w oko poecie. Miliony kreacji i duchów wstają, aby z poetami rozmawiać, cieszyć się lub płakać.

To też każdy poeta jest i musi być pandzeistą.

## KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dzielo p. Gerard: *Les Artistes de l'Alsace pendant le moyen age.*—Herrada z Landsbergu.—Dzielo Grillparzera w dziesięciu tomach.—Dramat, Żydówka z Toledo.—Pieśni liryczne.—Rozprawa Leo Quesnel o Danii.—Poeta Ibsen.—Konferencya profesora Fischera ze Sztuttgardu: wojna w stosunku do sztuk pięknych.—Dzielo p. Ludwika Loger: *Le monde Slave.*

Kto nie zna ślicznych wierszy Adama:

Ile nam drogą jesteś, ten tylko się dowie,  
Kto cię stracił! Dziś piękność twą w całej ozdobie  
Czuję i opisuję, bo tęsknię po tobie!

Słowa te nasuwają nam się mimowoli na pamięć patrząc na ową gorącą miłość, jaką Francya okazuje utraconej Alzacy!

Widzimy pojawiające się bezustanku, to monografie miast, to pomniki i dokumenta, to zbiory pieśni i podań, słowem wszystko co wyswietla przeszłość tej nieodżałowanej części kraju.

Do najciekawszych publikacyj w tym kierunku należy pierwszy tom dzieła pana Karola Gérard p. t. *Les artiste de l'Alsace pendant le moyen âge*. Smutne wypadki ostatnich lat w dwójnasób podniosły znaczenie tych znakomitych badań.

Autor wykonał swoją pracę archeologiczną na konkurs ogłoszony w roku 1870, przez „Towarzystwo Opieki pomników historycznych w Alzacyi.“ Sąd przysięgłych miał przepatrzeć nadesłane dzieła i najznakomitszemu z nich przysądzić nagrodę. W końcu maja złożył pan Gérard swój rękopism rektorowi strasburskiego Uniwersytetu. Już go sędziowie rozpatrzyli w ciągu czerwca. Wojna wybuchnęła tymczasem: armia niemiecka po zwycięstwie pod Fröschwiller, okrążyła Strasburg. Bomby sypały się na ratusz, gdzie był złożony ów rękopism: Gérard nie mając dokładnego odpisu, przekonany był, że praca jego stracona. Przygnębiony nieszczęściem Francyi nie śmiał nawet ubolewać nad własną stratą. W kilka dopiero miesięcy po kapitulacyi, kiedy począł już zbierać rozpierzchłe notaty, odbiera wiadomość że pan Brucker archiwista pogorzałego miasta ocalił historią artystów alzackich. Sąd konkursowy, rozpierzołty skutkiem wypadków, nie mógł ogłosić wyroku, uwiadomił jednak w urzędowy sposób pana Gérard, że praca jego otrzymała jednogłośne uznanie.

Uczony archeolog kreśli z głęboką erudycją rozwój sztuki od VII-go wieku, nikt przed nim nie sięgnął tak daleko w przeszłość. „Książka ta—słusznie mówi autor— pierwszą jest próbą tego rodzaju na niwie historycznej alzackiej literatury. Starąłem się zebrać i uporządkować rozrzucone żywioły, nieznane prawie dotąd, świadczące o potędze intelektualnej tej części kraju; chciałem wykazać jakie bogactwa wniosła Alzacya do skarbu ogólnej cywilizacyi chrześcijańskiego świata. Przeglądałem drukowane księgi, rękopisma i archiwa, badałem pomniki i tradycye, słowem wszystko, co mogło rzucić jakiegokolwiek światło na mój przedmiot. Praca to była mozolna, pełna przykrych nieraz zawodów; droga twarda, najeżona zaporami. Uży plon odpowie trudom oracza, niestety wątpię bardzo. Żaden plóg nie powstał dotąd na tych pustych odłogach, pierwsze żniwo nie mogło być oblite. Za lat kilka ludzie dobrej woli pójdą w moje ślady i uzupełnią to czego ja nie dokonał. Niechże wspomną niekiedy cichego karczownika, którego cała zasługa leży w tém, że wskazał innym drogę.“

W ciągu dzieła znajdujemy nadzwyczaj ciekawy opis pysznej katedry strasburskiej. Autor popiera mocnemi dowodami twierdzenie dawniejszych starożytników, jak Violet le Duc i inni, że styl łukowaty zwany gotyckim zrodził się pierwotnie we Francyi. Przed końcem XIII wieku architektura łukowata wydała sławne katedry

w Reims, Chalons, Troyes, Auxerre, Tours, Nevers, Bourges, Rouen, Amiens, Cambrai, Arras, Séz, Coutances, Bayeux i Lyonie. Głównym ogniskiem z kąd wyszli sławni budownicy tych gmachów, była prowincja Ile de France. Tu w samém sercu kraju francuzkiego ów styl przyszedł do najwyższego rozkwitu i udoskonalenia, tu bowiem istniała już podówczas katedra *Notre dame* w Paryżu, kościoły w Chartres, Laonie, Goissons, Meaux, Beauvais i wiele innych.

W Niemczech tymczasem aż do wieku XIV styl architektury gotyckiej zwano *stylem francuzkim* „opus francigenum”. Piękne kościoły alzackie w Kolmar, Schlestadt i Brizach zbudowane były przez mistrza francuzkiego Humberta. Później dopiero sztuka gotycka zakwitła nad brzegami Renu.

Ztądto pan Gérard przychodzi do wniosku, że twórca katedry strasburskiej Erwin z Steinbach musiał być Francuzem nie zaś Niemcem. Opiéra się w tém na twierdzeniu p. Violet le Duc i innych francuzkich starożytników, a co ważniejsza na znakomitych archeologach niemieckich jak Nagler <sup>1)</sup> i Kugler <sup>2)</sup>, którzy utrzymują, że w frontonie katedry widoczny wpływ stylu francuzkiego.

Kamienne posągi Clowisa i Dagoberta pomieszczone na frontonie, w chorze zaś herby Ludwika św. i Blanki z Kastylii wymownie potwierdzają ten wniosek.

Poczet wielkich artystów alzackich rozpoczyna autor imieniem kobiety Herrady z Landsberg, ksiuui z Hohenburgu. Główna jej księga: *Hortus deliciarum* (ogród rozkoszy) była niedawno jeszcze główną ozdobą biblioteki strasburskiej, dziś nie zostało z niej śladu. Pan Gérard poświęca długi ustęp tej genialnej kobiecie: ustęp to niesłychanie ważny z każdego względu, wykazuje bowiem wychowanie i stanowisko kobiety w owych średnich wiekach, tak często pomawianych o barbarzyństwo.

Herrada zrodzona w roku 1125 z rodziny Landsberg, której starożytne gniazdo istnieje dotąd wsparte o krawędź góry świętej Otylii, Herrada dzieckiem prawie wstąpiła do klasztoru w Hohenburg, gdzie była księżką Relinda z Bergen. W trzydzieści lat później otrzymała godność ksiuui po Relindzie. Wówczas to opactwo przyszło do prawdziwego rozkwitu. Pod czujnym okiem tej nadzwyczajnej kobiety zasłynęła szkoła na górze świętej. Uczono w tej szkole: sztuk pięknych, kaligrafii, rysunku, malarstwa, haftu na jedwabnych tkaninach, muzyki, teologii, geografii, astronomii i t. p. Biskupi wysoko szanowali księżkę i zwali ją żywą krynica, mądrości chrześcijańskiej, papieże pisywali do niej listy; Fryderyk Barbarosa w Ustawie mieni ją roztropną i wierną rektorką Hohenburga.

<sup>1)</sup> Künstler Lexic. XVIII, 261.

<sup>2)</sup> Handbuch der Kunst, p. 564.

Pan Gérard ukazuje nam uczoną Herradę jako filozofkę i poetkę, szczególnie zaś jako rysowniczkę i malarzkę; opisuje sławną jej księgę w najdrobniejszych szczegółach. Księga ta przetrwała rozmaite koleje: długo przebiegała z rąk do rąk, po kilkakroć wyrwana ją z płomieni, aż naostatek w końcu zeszedł wieku spoczęła na półkach biblioteki strasburskiej. Obejmowała 324 kart, czyli 648 str. pergaminowych rozmaitej wielkości, pisanych dwoma kolumnami, ścisłym gotyckim charakterem. Była to encyklopedia dla użytku kobiet. Tekst składał się z historii świętej i świeckiej, z mitologii, kosmografii, astronomii, muzyki, gramatyki, lingwistyki, wyciągów z Ojców i Doktorów kościoła, poezji lirycznej, kanticzek, historii naturalnej, agronomii, gospodarstwa domowego, z opisów zwyczajów i obyczajów: cała wiedza teoretyczna i praktyczna średnich wieków była w niej dokładnie streszczoną. Słowem był to podręcznik nauk obmyślany i wykonany dla świetnej szkoły szlacheckich panien XII wieku. Jeżeli inne dzieła mogły sprostać tej sławnej księdze wartością literacką, żadna inna nie dorównała jej pod względem artystycznym. Żadna biblioteka nie posiada rękopismu ozdobionego tak licznymi i tak pięknymi malowidłami, jakie podziwiano w *Hortus deliciarum*.

Herrada pracowała dwadzieścia pięć lat nad arcydziełem swoim. Zobaczmy jak pan Gérard ocenia ten wspaniały pomnik średnio-wiecznej sztuki chrześcijańskiej. „Widzimy tu prawdę w całej szorstkości obok idealnych marzeń: obrazy surowe, pełne dramatu, obok dowcipnej satyry, śmiałą fantazją czysto ziemską, obok przerażających mytów Apokalipsy: wszystko to wykonane biegłą ręką w sposób oryginalny. Przerzucając karty *Hortus deliciarum*, korzemy czoło przed tym twórczym geniuszem, który umiał ożywić świat widzialny i świat ideału, świat przyrody i ducha, historią i wiarę, wprowadzając w ruch tysiące postaci rzeczywistych i zmyślonych, zaprawiając to wszystko nieporównaną werwą.“

Liczba malowideł wynosiła 636, liczba figurek różnej wielkości dochodziła 9,000: niektóre z nich zajmowały całą stronicę długości półmetrowej. Oudowna to prawdziwie galerya. Pierwsze obrazki przedstawiały Boga i przyrodę, dalsze wyobrażały świat fizyczny, zodiak i t. p. Z kolei następowały po sobie: dzieło stworzenia, sceny biblijne z czasów starożytności patryarchalnej, niewola żydów w Egipcie, posłannictwo Mojżesza, wędrówka Izraelitów po pustyni, powrót do Ziemi obiecanej, historia Jozuego, Samsona, Dawida, cały bohaterski okres dziejów pokolenia Judy, prorocy, epopea narodzenia, dziecinnych lat i życia Chrystusa Pana, parabolę, męka, śmierć krzyżowa, historia apostołów, alegorye religijne, legenda o antychryście, ostateczny sąd, raj, piekło, Babilon grzeszny, Jeruzalem niebieska i tryumf Kościoła. Po tym długim egzodzie myśli religijnej, ogarniającej przeszłość i przyszłość społeczeństwa chrześcijańskiego, nowy szereg obrazków przedstawiał założenie monasteru, a nakoniec wize-

runki sześćdziesięciu siostr, które przebywały w klasztorze pod zwierzchnictwem Herrady.

Pan Gérard opisuje szczegółowo niektóre z tych obrazków, wydobywa na jaw myśl przybraną w fantastyczne i alegoryczne zasłony. Zobaczmy na przykład grupę, w której Herrada przedstawia filozofią i siedm nauk wyzwolonych. W obrębie wielkiego koła nakreślone arkady bizantyjskie w liczbie siedmiu, pod każdą stoi niewiasta przyodziana wspaniale. Gramatyka w szacie purpurowej trzyma w rękę różgę i książkę; Retoryka ubrana w лазur, ma sztylet i tabliczki do pisania; Dialektyka w zieleni położyła lewą rękę na głowie psa szczekającego; Muzyka strojna w barwy karminowe, przy niej harfa i lira; Arytmetyka w jasno błękitnej szacie trzyma sznur do liczenia; Geometria w sukni czerwonej uzbrojona kompasem i linią; Astronomia ciemno zielona ukazuje ręką firmament. W środku zakreślone drugie koło. Tu na wielkiem krześle siedzi Filozofia w szacie fiołkowej i purpurowym płaszczu, głowę jej wienczy dyadem bizantyjski (stemma), z którego wychodzą trzy postacie: Btyka, Logika i Fizyka. W rękę Filozofii długa wstęga z napisami, z obu stron jej piersi wytryskują źródła siedmiu nauk wyzwolonych. Poniżej w obrębie koła siedzą na drewnianej ławie dwaj mędrcy: Sokrates i Platon przed rozłożoną księgą. U spodu zaś stronnicy, poza obrębem koła na czterech stołkach bogato pokrytych pomieszczone cztery poważne postacie z długimi brodami w tunikach i chlamidach, każdy z nich ma na ramieniu czarnego ptaka szepczącego mu coś do ucha. Są to czterej wielcy poeci czyli magowie. Herrada wykluczyła ich z grona dobroczyńców ludzkości, gdyż opiewali bóstwa pogańskie.

Inny obrazek, *Drabina stworzenia*, daje poznać talent Herrady z innej strony. Ogromna drabina oparta o ziemię, wierzchołkiem sięga nieba. Kto dojdzie do szczytu, otrzyma koronę, którą trzyma w rękę Przedwieczny, otoczony wkoło obłokiem. Mężczyźni i niewiasty wspinają się po szczeblach, nikt jednak nie może dojść na wierzchołek; ohydne dyabły rzucają na wszystkich gradem strzał, a smok piekielny z paszczą rozwartą czycha na spadających u stóp drabiny. Naprzódo aniołowie uzbrojeni w miecze, usiłują odeprzeć szatanów i otulić śmiertelników skrzydły swemi. Piekiło przemaga, grzesznicy spadają w straszną przepaść. Tu leci stoletni pustelnik, który dla miłości ogródka przepomniał o modlitwie i rozmyślanii; tam zakonnik, który umiłowal wygody życia zakazane ścisłą regułą; niżej inny mnich niewolnik mamony światowej obciążony workami złota; jeszcze rycerz w pióropuszu i niewiasta strojna w złotogłów, hołdownicy pychy, zbytków i uciech. Zamki, wieżycy, rumaki, puklerze, symbolizują namiętności oddalające od nieba. Herrada chłoszcze w tym obrazie przestępstwa swjej epoki, a szczególniej rozpręczenie zakonów. Kto szuka korony ziemskiej, nie zdobędzie korony w niebie. Wszyscy spadają odrzuoeni. Herrada walczy bronią szyderstwa, uderza bez litości. W górze drabiny stawia zideali-

zowaną *onole*, stawia ją wysoko w sferach prawie niedoścignionych. Z niesłychaną siłą uwydatnia skazenie natury ludzkiej, ale łagodzi sąd ten sentencyą nakreśloną z boku drabiny, że pokuta podnosi z najniższego nawet upadku.

Te dwie kompozycye pokazują dostatecznie twórczy geniusz tej nadzwyczajnej kobiety. Wszystkie jej obrazki odznaczały się prawdą, prostotą, naiwnym wdziękiem i niesłychaną żywotnością; brakło im tylko właściwych proporcyj. Głowy wszędzie za wielkie, nogi za małe, stan za długi w stosunku do ogólnych rozmiarów. Wady to właściwe artystom tej epoki. Odzież zato wykonana z wielkim staraniem, draperye rzucone lekko i śmiało. Rysunek w krajobrazach zupełnie zaniedbany; świat fizyczny niegodzien był figurować w malarstwie religijném; zwierzęta i rośliny ledwie naszkicowane. Architektura starannie oddana, ale fantastyczna; Herrada wprowadza wszędzie styl byzantyjski. Ubiory, sprzęty, oręż i t. p. wykonane z wielką ścisłością według wzorów XII wieku, nieocenionym były skarbem dla archeologii. Co do perspektywy, prawa jej całkiem wówczas nieznaną; wszystko pomieszczano na jednym planie; ztąd zamęt w grupowaniu osób. Koloryt za to znakomity, połączenie tonów prawdziwie harmonijne. Arcydzieło Herrady spalone przez wojska niemieckie w roku 1870, przepałoś dla świata naukowego. Był to prawdziwy klejnot średniowiecznej sztuki alzackiej.

Pozostały częściowe reprodukcyje sławnego *Hortus deliciarum* w archeologiczném dziele pana Violet le Duc: *Dictionnaire du mobilier français*, jak niemniej w pięknej publikacyi pana Bastard: *Peintures et ornemens des manuscrits*, nakoniec w pracy Maurycego Engelharda o Herradzie z Landsbergu.

Piękna postać Herrady wychyla się przed nami z pomroku średnich wieków, jako żywe i niezbite świadectwo prawdziwej wolności, do której w tych nawet czasach mogła wzbic się kobieta, jeśli znalazła w sobie odpowiednie siły. Nie wszystkie niewiasty ówczesne trawiły dnie wełzach patrząc przez zakratowane okienko wieży, rychło je oswobodzi błędny rycerz; nie wszystkie drzemały w zaklętym lesie, czekając aż je czarodziej rozbudzi ze snu wiekowego. Wolność nie daje się, ale bierze; tak było dziesięć wieków temu, tak samo jest i dzisiaj; potrzeba nam tylko dobrze pojąć znaczenie prawdziwej wolności. Braknież to szerokich przestrzeni w dziedzinie ideału? Tam kto ma w piersi iskrę świętą, może rozpostrzeć skrzydła i wzbic się w niezmiernie wyżyny, jak to czyniła Herrada z Landsbergu.

Wyszły w dziesięciu tomach w Wiedniu, poetyczne utwory zmarłego przed rokiem Grillpartzera. Mówiliśmy już o tym wielkim dramaturgu w chwili, kiedy odbierał hołdy całych Niemiec w osmdziesięcioletnią rocznicę swych urodzin, hołdy, które wkrótce powtórzyć się miały nad grobem zmarłego poety.

Grillpartzer, jak mówiliśmy, zerwał oddawna z teatrem, obrażony chłodem publiczności wiedeńskiej, która nie zdołała go pojąć. Znaleziono jednak w rękopismach jego, oprócz pojedynczych scen trzy wykonane dramata: *Libuszę*, *Spór braci na Habsburgu* i *Żydówkę z Toledo*. Ostatnia z tych sztuk odegrana była w Wiedniu po śmierci autora. Treść do niej wzięta z hiszpańskiego dramatu Lope de Vega: *Las parres de los reyes*. Młody król ma żonę, z którą połączono go dla widoków politycznych. Zaślubiony bez miłości, poznaje młodą żydówkę, cud urody, żywą, śmiałą, zalotną: kocha ją gwałtownym uczuciem. Miłość ta oburza królową i korteżów. Dziewczyna staje się ofiarą ich nienawiści. Król na wieść o zbrodni wpada w szalony gniew, nagle spostrzega trupa dziewczyny. Widok ten wyprowadza go z obłędu, urok znika; wytrzeźwiony z miłości nie myśli już o zemście, postanawia oddać się wyłącznie obowiązkowi monarchy: pośpiesza na wojnę przeciw Maurom.

W *Sporach braci na Habsburgu* intryga nadzwyczaj skomplikowana. Dramat jednak lubo trudny do przedstawienia, ma ustępy prawdziwie mistrzowskie.

W tomie ostatnim, mieści się autobiografia autora. Znaleziono ją w pozostałych papierach z ogólnym podziwem, gdyż skromny poeta nie lubił zajmować sobą drugich. Jak się pokazuje z tekstu, owa autobiografia skreśloną była dla Akademii. Przepis wymagał, aby każdy z członków napisał rys życia swego z przedstawieniem własnych prac literackich. Grillpartzer jako jeden z fundatorów uczonego grona zadość uczynił prawu, ale tylko w połowie. Nakreślił memoryał i schował go do biórka nie pokazawszy nikomu. Za dopełnienie tej autobiografii, mogą służyć zapiski z podróży po Grecyi, Rzymie i t. d. Sąd poety o sztukach pięknych zasługuje na szczególną uwagę. Życie jego nie przedstawia żadnych gwałtownych wstrząśnień: cisza to pozorna; nie potrzeba być wielkim psychologiem, aby doszukać się pod tą ciełą napozór wodą burzliwych, szalonych nawet wirów. Lepiej niż wszystkie życiorysy malują poetę wyśpiewane przezeń pieśni: całość ich tworzy bogaty obraz jego duchownego żywota.

Wiersze te przeważnie liryczne obejmują dwa pierwsze tomy dzieł Grillpartzera. Część ich zaledwie była różnemi laty drukowaną po czasopismach, większą część znaleziono na setkach lirycznych kartek pisanych ręką poety. Uporządkowaniem ich zajął się Józef Weilen, gorący wielbiciel i ulubieniec Grillpartzera, znany autor *Rozamundy*. Pozostałe świstki nie opatrzone były datą, z treści ich doszedł jednak Weilen, do jakich czasów mniej więcej odnosić je wypada. Nie pilnując chronologicznego porządku, ułożył je w cztery osobne działy według przedmiotów: 1. Życie i miłość; 2. Poezya i muzyka; 3. Ojczyzna i obczyzna; 4. Pomniejsze urywki.

Większą część lirycznych pieśni wyśpiewał Grillpartzer pomiędzy 1812 a 1835 rokiem, w tych czasach właśnie, kiedy tworzył ge-

nialne swoje dramata. Od roku 1836 do 1847 pisał tylko wiersze okolicznościowe, niekiedy wyrzucał z serca gorzką skargę: wszystkie w ogólności utwory poetyczne z tego peryodu noszą cechę niezadowolenia i ukrytej boleści. Rok 1848 położył niejako pieczęć na ustach poety. Milczał uporczywie przez lat cztery. Od roku dopiero 1852, kiedy go starość przyciskać zaczynała, kiedy nie wiele mógł czytywać dla osłabionego wzroku, a unikał towarzystwa z powodu głuchoty, pochwyił znów za pióro i kreślił małe epigramata. Obfitość tego do nich wątku dostarczało mu życie polityczne i literackie tak Austrii jak i Niemiec. Kilkaset takich świstków znalazł Weilen w pozostałych papierach: bogaty to materiał do historii tych czasów.

Oto ostatni czterowiersz napisany na czternaście dni przed skonem:

Byłem niegdyś mistrzem słowa,  
Przeszły chwile wieszczę;  
Dziś na karku ledwie głowa  
Moją zwie się jeszcze.

Dajemy w przekładzie kilka pieśni Grillpartzera.

#### *Rybak.*

Zasiadłem zoicha, tam na łące  
Miły powiewa chłód;  
Patrzę na rybki płasające  
W głębi przezczystych wód.

Fala je ciągnie, znów odpycha—  
Raduję niemi wzrok;  
Lecz gdy zarzucę wędkę zcicha,  
Pomkną daleko w skoki!

Lepiejby zmaćció wody łoże,  
Pewniejszy byłby łów;  
Wolę zatopić wzrok w jeziorze,  
Ściągać ich płasy znów!

#### *Chatka.*

Cheesz bym zbudował chatkę własną,  
Cheesz abym osiadł w niej?  
Spójrz tam w błękitu przestrzeń jasną,  
Wysoko słońce szklni!

Nim do zachodu zbieży z nieba,  
Nim spocznie w cichym śnie;  
Twardą mi drogę przebyć trzeba;  
Powinność woła mnie!



Lecz gdy o zmroku wracać będę,  
 Jeśli zaczekać chcesz;  
 Skoro sam siebie znow posiędę:  
 Oddam się tobie téż.

*Do muchy jesiennój.*

(wiersz pisany po chorobie).

Zkąd ta niemoc, takie chwanie?  
 Mdły skrzydełek twoich lot!  
 Ledwie pełzasz po tój ścianie,  
 Zapomniałaś dawnych psot.  
 Letnie słońko już nie błyska:  
 Biedna mucho, zima bliska!

Patrz na blade me oblicze:  
 Oko zgasłe, pierś bez tohu;  
 Skrzydło śmierci tajemnicze  
 Smutneż wieśoi niesie tn?  
 Jesień groził mi zatrata,  
 Zaczém przeszło moje lato?

*Wiersz po powrocie do zdrowia.*

Wraca zdrowie, zbiegła trwoga,  
 Wznoszę w niebo wzrok przymglony:  
 Tyś chorobą darem Boga:  
 Niech On będzie pochwalony!

Boleść młotem ciało kruszy,  
 Siłaż wola przetrwać zdolna;  
 Aż cierpienie z wnętrza duszy,  
 W ból wewnętrzny przejdzie zwolna.

Ty poprawiasz ludzkie plemię,  
 Niezwalczoną swoją siłą:  
 Byłem szorstkim, wnet twe brzemię  
 Umysł hardy złagodziło!

Więzisz marzeń pęd daleki,  
 Bliższe chęciom stawiasz cele:  
 Niech sen padnie na powieki:  
 Noc spokojna—to już wiele!

Wprzegasz usta w twarde karby,  
 Z nich się skarga nie dobędzie;  
 Skorom posiadł zdrowia skarby,  
 Ani pytam co już będzie.

Wyobraźnia wrażeń chciwa,  
Po cierpienia paśmie długiemi,  
Znów się budzi, jak ta niwa  
Rozorana ciężkim pługiemi.

I otwiera ciche łono,  
I uśmiecha tak radośnie;  
Wdziewa barwę znów zieloną:  
Wdzięczna słońcu, rada wiośnie.

Z głębokiego duszy wnętrza  
Tryska życia potok świeży,  
I ogarnia ją myśl świętsza:  
Lepiej kocha, mocniej wierzy!

Co przeczytam—duszą chłonę,  
Co posłyszę— to nie marno:  
Co wyrzeknę—z ust rzucone  
Wschodzi czynem słowa—ziarno!

W zgodzie z światem, myślą prostą  
Składam dzięki Panu w niebie,  
Że boleści twardą chłostą  
Dał mi lepiej poznać siebie!

Wraca radość, zbiega trwoga,  
Głos się z piersi rwie natchnionój,  
I choroba darem Boga:  
Niech On będzie pochwalony.

*C z a s.*

Czas tak szybko naprzód bieży,  
A ja zcicha w miejscu śnieg;  
Prąd się toczy coraz szerzej:  
On nie porwał przecież mnie!

Huk szalony wkoło słyszę,  
Czoła dębów wichur gnie;  
Walczą moi towarzysze:  
Głos ich próżno wzywa mnie!

Ja przeczekam gromy burzy,  
Niech z powodzi ziemia schnie;  
Gdy czas w locie skrzydła znuży,  
Snadniej mety dobiedziesz mnie!

Niechaj przebrzmia, czeze tartasy,  
 Rozum ludzki w błędach brnie;  
*Czas* ma skrzydła, ale *czasy*  
 Te nie mają skrzydeł, nie!

*Pociecha.*

Gdy twe szczęście nagle znika,  
 Strzeż się gorzkich skargi słów;  
 O! pamiętaj: ty z dłużnika  
 Wierzyicielem jesteś znów!

Tak w jesienne dnie zamieci,  
 Liść z konarów dębu zwian;  
 W wir szalony z wiatrem leci:  
 Kościotrupów istny tan!

Lecz gry wietrzyk ciepły wionie,  
 Gdy wypłynie słońce z chmur,  
 W świeżej błysnie dąb koronie,  
 Znów zaszumi pieśnią bór!

Wtedy wiosna szczodra dłońią  
 Powetuje dawnych strat,  
 Łąka nową buchnie wonią;  
 Lecz nie wróci zwiędły kwiat!

*Idę sam.*

Struna mój liry, jak słodko brzmi,  
 Z nią naprzód idę sam;  
 Mało do życia potrzeba mi,  
 Gdy mojem to co mam!

Miłość czatuje w gaiku róż,  
 Uśmiechem wabi tam;  
 Baw się ty z dziećmi, znam ja cię już!  
 Niech zcicha przejdę sam.

Szczęście mi z pełnych dobywa skrzyń  
 Cały klejnotów kram;  
 Tylu cię wzywa, na tamtych skiń;  
 Leć ty: ja pojedę sam!

Sława cudowny roztacza blask,  
 Z przyszłości jasnych bram,  
 Niech drudzy czerpią z źródła twych łask,  
 Ja im przyklasnę sam!

Tych złud ponętnych potrzebaż mi?  
 Dość gdy sam siebie mam!  
 Dopóki struna méj lutni brzmi,  
 Z nią naprzód idę sam!

*Apellacya do rzeczywistości.*

Aleksander król przy sobie  
 Miał lekarza wielkiej sławy,  
 W każdej wzywa go chorobie,  
 Sypie dary pan łaskawy;  
 To w lekarzu pychę budzi,  
 Lekceważy wszystkich ludzi,  
 Tak wysoko ceni siebie:  
 Że się równa z Bogiem w niebie.

Otóż kazał król wieczorem  
 Porozstawiać wielkie stoły,  
 Siadł do uczy z całym dworem,  
 Jé i pije król wesoły.  
 Biesiaduje dworskie grono,  
 Radość w każdym świeci oku,  
 Lekarzowi tylko z boku  
 Mały stolik zastawiono;  
 Mis nie dojrząc na tym stole,  
 Tylko piewców drgają liry:  
 Tylko sypie tam pacholę  
 W kadzielnicę wonne miry.  
 Biedny lekarz! głód go bodzie,  
 W upojeniu pychy błogiém,  
 Syty chwały poczuł w głodzie,  
 Że człowiekiem jest nie Bogiem!

I wy ze mną tak czynicie,  
 Jak z lekarzem król przed laty;  
 By utrzymać w człoku życie,  
 Starcząż wonne aromaty?  
 Ja nie jestem Bogiem wcale,  
 Jam przesycon dymy czczemi;  
 Dość w niebiańskiej żyłem chwale:  
 Chcę do stołu się z drugimi...

*Pożegnanie z Gasteinem.*

Bije godzina, odjazd niedaleki,  
 Miły Gasteinie, ach! bądźże mi zdrów!  
 Ty co tak szczerze niesiesz chorym leki,  
 Krzepkie mi siły przywróciłeś znów.

To co Bóg w głębi mojej zaklął duszy,  
 Co krew żywotną wysysa mi z żył;  
 Nieznane drugim źródło mej katuszy,  
 Tyś, acz na krótko, przed mém okiem zemił.

Jak dąb, gdy piorun zdruzgoce mu czoło,  
 Połyskiem nocny rozpromienia mrok,  
 I tłum z podziwem okrąża go wkoło,  
 I wrażeń chciwy śle ku niemu wzrok;  
 A on gdy pożar z jego wnętrza błyska,  
 Zatraca w łonie swém żywotny rdzeń,  
 Im wyżej płomień wybucha z ogniska:  
 Tém niżej pada powalony pień!

Jak drogocenne perły w mórz głębinie,  
 Co świat tumanią rojem sennych złud;  
 Radują nurka niesmętną dawczynię,  
 Potulną muszlę na dnie cichém wód!  
 Bo długa boleść dobywa z niej tylko  
 On klejnot godzien czarodziejki rąk;  
 To co zachwyca was ponęty chwilką,  
 Zrodzone było wśród śmiertelnych mąk!

Jak on wodospad, co z szalonym hukiem  
 Zaściela przestrzeń nieprzedartą mgłą;  
 Owiany tęczy barwistym poślukiem  
 Zdobi w brylanty modre fali tło;  
 Onby rad płynął, jak bratnie potoki,  
 Cichą doliną w pośród wonnych ziół:  
 Pięknym go czyni twardy złom opoki,  
 Lecz mu głąb serca bez litości spruł.

Tak i poeta! jak złudnie was mami,  
 Ten grzmot poklasków i czeźej sławy dym;  
 On owym dębem strzaskanym gromami,  
 Tą chorą muszlą, wodospadem tym!  
 Czém pieśń lirnika? to skarga sieroty  
 Zasłana rzewnie w bezradośny świat;  
 One płomienie, perły i klejnoty,  
 Ach! to pod skwarem zwiędły życia kwiat!

---

Leo Quesnel autor etnograficznego zarysu Holandyi, o którym mówiliśmy w jednej z dawniejszych kronik, nakreślił niemniej żywotny obraz duńskiego ludu; obraz o tyle ciekawszy, o ile energiczny Duńczyk sympatyczniejszy dla nas, od cichego i zimnego Holendra.

Autor zaczyna od porównania tych dwóch narodowości, które acz z jednego pochodzą szczepu, acz zbliżone do siebie językiem; lubo jedną w polityce europejskiej odgrywają rolę i na jednakię narażone dziś niebezpieczeństwo, różnią się przecieź od siebie w najradykałniejszy sposób. Holandia nie ma legendy; jęj historia zrodzona w epoce chłodnego racjonalizmu, nie połyskuje najdrobniejszym promyczkiem poezyi. Zawarty w sobie Holender, odgrodził się od świata nieprzedartym murem pychy i przesądu; progi jego zamknięte niegościnnie dla obcego przybysza, serce zamknięte dla drugich; zimna rachuba zabiła w nim wszelkie porywy: zgasiła do ostatniej iskiereki wyobraźnię.

Jakże odmiennie przedstawia się Duńczyk oczom naszym! Wykołysany pieśnią Ossyana, wzrosły wzór poetycznych marzeń, chętnie przebiega myślą złotą nić tradycyi wplecioną w wątek jego dziejowego żywota. Ma on jak Grek mistyczną kolebkę i niebiański początek: w jego piersi kipi poezya; krew olbrzymów rozsadza jego żyły. To nieodrodny syn owych starych Wikingów, co opłynęli wszystkie morza, zwiedzili wszystkie brzegi, co przebiegali wzdłuż i wszerz Europę, istnie jak ona burza, która niszczy i odradza zarazem.

Autor stawia nam przed oczy odwieczne zamki panów duńskich, rozrzucone tu i owdzie po kraju. Dania liczy dwieście takich feudalnych gniazd, spadających dotąd z ojca na syna prawem majoratu. Z czoła każdego zamku powiewa chorągiew, ozdobiona rodzimym herbem; na najwyższej baszcie zegar wybija spokojnie godziny, którym odpowiada stara pieśń:

Czy słyszycie nocni strażę,  
Już dziesiąta na zegarze!  
Niech się każdy o tém dowie,  
Czeladź słudzy i panowie:  
Czas odpocząć, czas!  
Zegar woła nas!  
Dalej żywo do pacierza,  
Bo dziesiąta już uderza;  
Zgasić ognie zwyczaj każe:  
Już dziesiąta na zegarze! i t. d.

Tylko patrzeć, a zegar ten wybije ostatnią godzinę odwiecznego porządku. Duńczycy mimo całego zamilowania w tradycjach, czują, że czas przyłożyć topór do feudalnego drzewa i obalić starożytne majoraty. Już silne głosy wnoszą na sejm konieczność takiego przewrotu, już biegli prawnicy obmyślają, w jakiby sposób doprowadzić do skutku przemianę, bez wstrząśnienia posad społecznych.

Dania, jak wszystkie kraje blizkie bieguna przedstawia się w dwojakiej postaci. Sześć miesięcy od maja do listopada są tu

prawdziwym tryumfem promieni słonecznych i przepysznej wegetacji. Szmaragdowa zieloność pokrywa lasy, łąki i pola, morze odbija w sobie wszystkie barwy tęczy, mgła różowo-błękitna przysłania brzegi wysp uroczą i przejrzystą zasłoną. Te wyspy rozesłane niby aksamitny kobierzec na spokojnych falach, całe pokryte pasąciami się trzodami. Po wzgórzach zarosłych buczyną, po zielonych dąbrowach płasają tabuny dzikich zrebców. Jutlandya, ten tajemniczy Chersones cymbryjski, Fionia, królestwo Odina, Seelandya, którą Szekspir uczynił dziedziną Hamletową, przystrojone jakby na święto. Wieśniacy sieją ziarno pełni otuchy i skrętnie przykładają rękę do żniwa. Praca pod gołym niebem daje im krzepkie siły. Krótka noc letnia oświecona niegasnącą zorzą, usposabia myśl do zadumy. W téjto porze roku Duńczyk zbiera w duszę bogaty zasób poczuy, która mu wystarczy na długie wieczory zimowe.

Niema rzek w Danii, jeziora tylko: gdzie rzuc okiem, jeziora. Czyste ich wody odbijają w sobie to błękit nieba, to purpurowy odbłask zorzy, to złoty promień słońca południowego. Jelenie i łosie przybiegają stadami pić wodę u wybrzeży; poważne bociany zasiedają gniazda na dachach: wszystko to tobnie ciszą i spokojem. „Dodajmy do tego dobry byt, światło i poczucie godności człowieka, mówi autor, a zobaczymy iż wieśniak duński najbliższy ideału szczęścia, jaki pojmujemy na ziemi“.

Zimą inaczej kraj wygląda, ale zato zima stref północnych wyrabia krzepkie siły, tworzy wielkich myślicieli i wielkich zapasników. Człowiek skupia się w duchu, żyje życiem wewnętrznym, uprawia cnoty rodzinne przy domowym ognisku, słowem „szuka się, poznaje i zdobywa sam siebie i wybiega myślą, coraz wyżej a wyżej“. Północ—to, przypomina autor, wydała największych olbrzymów myśli: Szekspira i Bakona, Newtona i Ticho Brahego; czemuż niestety zapomniał o Koperniku?!

Ciekawy ustęp poświęca autor Torwaldsenowi. Jakkolwiek widzimy w nim pierwszego z rzeźbiarzy nowoczesnych, nie przypuszcza jednak, aby Dania sama bez współdziałania Rzymu mogła utworzyć podobny geniusz. Rozwój sztuki plastycznej według niego potrzebuje słońca i estetycznych wzorów, a tych niedostaje Skandynawii. „Torwaldsen, mówi Quesnel, jako artysta należy do Danii, ale wyniańczyły go Włochy. Urodzony w Kopenhadze roku 1770 był synem prostego snycerza. Ojciec strugał figury z drzewa, jedynego materiału, jaki ma pod ręką artysta na północy. W Danii wszystko z drzewa, i chaty i dworce i kościoły. Podróżując tu, czujemy się nie w kamiennym, ani żelaznym, ale w drewnianym wieku. Wnijdźmy tylko do muzeum, a znajdziemy wypisane rzeźbą na drzewie historią narodu i sztuki. Mały Torwaldsen strugał z ojcem ozdoby do okrętów, sprzęty i ławy kościelne. W jedynastym roku wszedł do szkoły sztuk pięknych w Kopenhadze, odtąd myślą i duszą cały wyrwał się do Rzymu. Pospieszył tam w lat kilka i w póź-

nym dopiero wieku powrócił do ojczyzny, aby złożyć kości między swymi.

W Rzymie zastał Kanowę promieniającego blaskiem klasycyznej chwały. Młody Duńczyk pochwylił dłuto śmiałą ręką, wykonał Jasona. Utwór ten sprawił ogólne wrażenie. Widzieliście Jasona? pytali jedni drugich: Kanowa pochwalił dzieło, zapowiedział artyście świetną przyszłość. A jednak mimo tryumfu Torwaldsen umierał w Rzymie z głodu i nędzy! Zrospaczony umyślił porzucić wiekowe arcydzieła sztuki, z którymi zaledwie się poznał, powrócić do Danii i strugać jak dawniej kłocce drewna dla opędzenia głodu. Już wsiadał na statek, który miał z biegiem Tybru pchnąć go na pełne morze, kiedy spostrzeżono jakąś niedokładność paszportową. Rad nie rad musiał odłożyć podróż, powrócił do pracowni. Ledwie że wszedł, kołacze we drzwi bogaty Anglik, Tomasz Hope; zasypuje stół złotem, nabywa Jasona. Młody rzeźbiarz pozostał w Rzymie. Tu utworzył swoją Wenus, najcudniejsze wcielenie piękności od czasów greckich, wyższą od Wenery Kanowy. Wykonał niemniej trzy gracje: Adonisa, Miłość tryumfującą i owego Merkurego, arcydzieło godne mistrzów starożytnych, nie ustępujące prawie florenckiemu Perseuszowi. Z grodu wiekiustego Torwaldsen przyświecał długo jak słońce nad Danią, tam zbierał wieńce i złoto, ztamąd przy schyłku dni wrócił dopiero do ojczystego gniazda. Uczeń starożytnych, gorący ich wielbiciel, pozostał jednakże Duńczykiem. Twórcza siła stanowi główną cechę tego geniuszu, to prawdziwy olbrzym plastycznej sztuki. Wydał przeszło sześćset dzieł pierwszorzędnych, którymi zapełnił muzeum zbudowane na cześć jego w Kopenhadze.

Obok tego sławnego muzeum, autor wspomina drugie jeszcze, kościół *Frauentirche*, zbudowany według planu Torwaldsena, mieszczący jego pyszne arcydzieło Chrystusa pomiędzy apostołami. Tu wielki mistrz okazał się prawdziwie narodowym. Ten Chrystus wyciągający ramiona do ludu z miłością i surową powagą, uosabia w sobie zarazem, mówi Quesnel, mądrość Odina i siłę Thorna. Apostołowie to stare olbrzymy opiewane w sagach skandynawskich.

Cała nowa szkoła duńska tak rzeźby jak malarstwa, przedstawia charakter czysto narodowy. Młodzi artyści szczególnym zbiegiem, są w większej części synami rybaków, majtków lub prostych kmieci; ztąd ściśle zbratani z przyrodą kraju swego.

Z równą siłą narodowy geniusz skandynawski objawia się w literaturze. Główni jego przedstawiciele w poezyi są dwaj znakomici pisarze: Biornsen i Ibsen. O pierwszym z nich mówiliśmy obszernie przed trzema laty. Obaj zrodzili się na ostatnich krańcach północy w Norwegii, ale o ile Biornsen przyrósł do rodzinnego gniazda, o tyle Ibsen ukochał Danią, całym sercem i uważa ją za prawdziwą ojczyznę. Duńczycy też chlubią się nim jako swym pierwszorzędnym poetą, najwyższym wyrazem narodowego ducha swego. Cokolwiek Ibsen utworzy, drukuje w Kopenhadze. Kiedy ma wyjść



nowy jego poemat, dzienniki kopenhadzkie zapowiadają wielki wypadek całej Skandynawii. Wówczas Szweoya zapomocą dziennikarskich organów zaprasza poetę do Sztokholmu, Chrystyania piorunuje na wyrodnego syna, że opuścił własne gniazdo. Ibsen tymczasem niemogąc uczynić zadość wszystkim wymaganiom, przebywa spokojnie w Dreźnie i zdaleka zasila Skandynawią coraz nowemi płodami swego pióra.

Henryk Ibsen różni się zupełnie rodzajem talentu od wielkiego norweskiego poety Biornsen, zwanego tytanem skandynawskim. Biornsen wyraża stronę burzliwą, kipiącą, potężną, szorstką i naiwną geniuszu starych Normandów. Ibsen to człowiek nowożytny, to nowy Hamlet w rozpaczliwej pogoni za prawdą, ohwiejący się pomiędzy wiarą a zwątpieniem. Wszystkie utwory jego zaprawne solą satyry. Najznakomitsze z nich: *Komedya miłości*, *Brandt* i *Peer Gynt*, tworzą wielką trylogią. Są w niej gromy Ezechiela i pociski Juwenalisa i zagadki Szekspira: słowem jest wszystko co pali, co drażni, co podnieca stepione zmysły czytelników.

Poemat *Komedya miłości* ciągłą jest ironią, humorystyka w nim oryginalna, ale dziwaczna i chorobliwa.

*Brandt* więcej przemawia do duszy. Bohatér poematu, to pastor norwesk, oddany szczerze Bogu, pełen prostoty i wiary, nieprzyjaciel kłamstwa. Człowiek umierający powołuje go do siebie; musi przebyć morze wśród najokropniejszej burzy: żaden przewoźnik narazić się nie chce na niechybne niebezpieczeństwo. Brandt odczepia łódkę, gotów płynąć sam, ufny w Boga. W chwili gdy łódka odbija od brzegu rzuca się w nią młoda panienka; płyną oboje pełni szczerzej otuchy. Agnieszka zostaje żoną Brandta. Przychodzi na świat dziecię; lekarze oświadczają, że w tej bagnistej i zimnej okolicy dziecię wyżyć nie zdoła, ale Brandt poślubił wiarę parafii, on jej nie opuści za nic w świecie. Słabe dziecko umiera, matka idzie za nim do grobu. Osierocony Brandt oddaje wszystko co ma na budowę świątyni, sam żyje w największym ubóstwie. Tu poeta wprowadza rozmaite postacie: pana wioski, nauczyciela, wójta i t. p. Chłoczsze w nich bez litości społeczeństwo. Najognistsze gromy, najjadowitsze pociski zostawił poeta na ostatek i sygnął je przez usta pastora; kiedy stojąc w progu wybudowanej przez siebie świątyni, z pękiem kluczy w ręku, jął rzucać w oczy parafianom ich lenistwo, obojętność, samolubstwo i pychę. Obszerny ten poemat uważany przez Skandynawów za prawdziwe arcydzieło.

Bohatérem trzeciego poematu jest opryszek z lasów norweskich Peer Gynt. Ścigany przez sprawiedliwość zbiega z gór, wsia-da na statek, odpływa za morza do Kalifornii. Znajdujemy go później nad brzegiem morza Śródziemnego. Spauoszony przyplynał pięknym jachtem z godną siebie drużyną. Wylądował i biesiaduje rozkosznie w wielkiem mieście; kiedy zasnął pijany, towarzysze porzucają go odartego na obcej ziemi, sami odpływają jachtem za-

brawszy złoto i skarby. Peer Gynt przebiega piechotą Afrykę, dostaje się do koczowiska Arabów, którzy witają w nim zesłańca Mahometa i oddają mu boskie hołdy. Kończy się na tém, że rozbójnik zakosztowawszy na ziemi wszystkiego, powraca do kraju bez szeląga, bez przyjaciela, stary, złamany, z obciążonem sumieniem. Solweig żona, a raczej anioł, przyjmuje go do chaty, pielęgnuje w chorobie i kołysze konającego słodką piosnką, jaką matki kołyszą do snu niemowlęta.

Ibsen zasłynął niemniej na polu dramatycznem. Historyczny jego dramat *Pretendenci do korony*, przełożony obecnie na język niemiecki, wysokie ma znaczenie. Poeta przedstawia dwóch równie potężnych średniowiecznych współzapaśników, wydzierających sobie z rąk koronę Norwegii. Jeden z nich Hakon, król z rodu i wyboru, przedstawiony w świetle idealnem. Czysty on i jasny jak one śniegi rozpostarte na szczytach gór norweskich; wierzy w własną siłę i własne prawa, nfa w przyszłość narodu, wie że odwieczne walki między mieszkańcami Norwegii muszą kiedyś ustąpić; że na północy i południu, na pobrzeżach i w górach, mieszkać musi lud jeden, złączony ściśle, szczęśliwy pokojem i zgodą. Urzeczywistnienie tej myśli, oto główny cel jego dążeń: przeciwnik jego Skule działa bez wiary, bez zapału popychany przewrotną radą zauszników. Hakon upada pod morderczem żelazem, ale posiane przezeń ziarno prędkiej czy później wybujać musi w złote plony, idea jego odniesie w końcu tryumf. Obok Hakona poeta umieścił grono niewiast, wśród których świeci promieniem gwiazdy żona jego Małgorzata. Zajmująca też postać barda, z którego ust wypadają złote słowa mądrości.

Przełożono także na niemiecki język komedya Ibsena: *Der Bund der Jugend*, przedmiot wzięty z życia tegoczesnej młodzieży.

Podczas kiedy szkoła pozytywistów silnie dziś występuje przeciwko wojnie i stara się wykazać całą jej nedorzeczność; podczas kiedy oblicza korzyści wiecznego pokoju, jak gdyby *status quo* miał zadowalniać świat cały: idealisci niemieccy przeciwnie i w książkach i w konferencyach podnoszą znaczenie wojny, wykazując już nietylko materialne korzyści, jakie przynosi, ale poetyczną i estetyczną jej stronę.

Mamy oto przed sobą ciekawą konferencyę profesora Frydryka Fischera ze Stuttgardu o wojnie i sztukach pięknych. Mówca zrywa na niwie przeszłości mnogie kwiaty wzrosłe w kolei wieków; wije z nich długi wieniec i otacza nim posąg Bellony, owę bogini, której zwycięzcy dzisiejsi składają w ofiarę rzeki krwi i całe kurhany trupów, ale na której cześć niedano im było uszczknąć nowej gałązki bluszczu; owę bogini, której posąg *postępowi* pozytywiści radziby

strącić z piedestału, zdeptać, skruszyć w proch wraz z posągami dzie-  
wiciu muz i Apolina, widząc w tém wszystkiém anachronizm nie-  
godny cywilizacji XIX wieku.

Zobaczmy w jaki sposób professor niemiecki apoteozuje wojnę:  
ciekawe to bardzo studyum.

Wojna acz dzika i okropna, przedstawia jednak stronę este-  
tyczną, groza bowiem ma swój urok i swoją piękność. Trzeba  
zapewne, aby jęj przyświecał ideał; nie powinna być sama dla siebie  
celem, ale raczej środkiem wiodącym do wysokiego celu. Alboż  
odtrącamy z pogardą Homera, gdy czytamy obrazy krwawych ran,  
które on opiewa tak chętnie; gdy widzimy jak włócznia wymierzona  
w pierś wychodzi przez łopatkę, lub téż od skroni wnika w głę-  
b gardzieli i podcina język u korzenia: „jęknał i upadł, a cień śmierci  
ogarnął go w około. Powalił się ciężko, gryząc piasek zębami  
i nigdy już droga małżonka nie mogła go zobaczyć, ani dziecię beł-  
kocące jeszcze przytulić się do jego kolan!” Alboż nie idziemy  
na Kapitol podziwiać posąg konającego gladyatora, widziéć jak pada  
na ziemię z szeroką w piersi raną, jak po raz ostatni dźwiga w górę  
olbrzymi kadłub; głowa jego już pochylona, wzrok zachodzi mgłą,  
włos jerzy się w śmiertelném wysileniu, chwila jeszcze a skona.

Jest to zapewne—dodaje mówca—częstka tylko estetycznego  
wzruszenia, jakie czujemy: obraz samej grozy nie zdoła go obudzić.  
Potrzeba, aby artysta po obrazie zniszczenia, stawił nam przed oczy  
obraz siły niszczącej. W wojnie to, mówi poeta, siła rozkwita i pro-  
mienije. Kiedy Achilles rzuca się na nieprzyjaciela, jako pożar  
chłonący lasy, kiedy peha niedobitki w fale Skamandru; kiedy na  
brzegu Lykaon, syn Priamowy, ścisła jego kolana i błaga o życie,  
nieprześlągany bohater zdjęty okrutną litością, daje mu tę smutną  
pociechę: „Nie widzisz-li piękności mego oblicza i olbrzymiego  
wzrostu mego? Matka bogini zrodziła mnie, najszlachetniejszy ze  
śmiertelników był mi ojcem, a przecież ugodzi mnie śmierć nie-  
prześlągana.“ I kiedy Pelid przeszywa go mieczem, gdy chwytą  
go za nogi i porzuca w rzekę na pastwę rydom, litość jaką czujemy  
dla ofiary, jest tylko uczuciem dodatkowém. Natomiast postać  
Achillesa, bohatera dzikiego, pięknego strasznyu urokiem występu-  
je przed nami w całej grozie. Tak samo w scenie, kiedy Achilles  
wleczé Hektorowego trupa w około murów Troi, dwoiste wrażenie  
przenika serce nasze. Na tle boleści i żaloby, uwydatnia się pysznie  
postać bohatera, żywe wcielenie siły i odwagi!

Wojna sprowadza wiele klęsk, a jednak cierpienia, jakie rodzi,  
nie ubliżają w niczém jęj piękności. Z wojny wypływa boleść po-  
żegnania, z téjto pobudki Homer wysnuł nieśmiertelną scenę rozłą-  
czenia Hektora z Andromachą i małym Astyanaksem. Małżonka  
podaje dziecię mężowi, chłopczyzna trwoży się ojcowskiego hełmu,  
matka uśmieża się z poza łez; Hektor usuwa groźny hełm przy-  
czynę trwogi, bierze synka na ręce i wyraża pragnienie, by został

równym ojcu bohaterem. Nieczuły na łzy i prośby żony, lituje się jednak, że zostawia ją samą, pociesza ją i pieści. Odchodzi, co chwila obraca ku niej głowę, zalewając się łzami. Obrazy to prawdziwe, pełne życia. Zobaczmy jeszcze ustęp, kiedy Pryam pospiesza do Achillesa, błaga o wydanie zwłok synowskich, kiedy podejmuje i przyciska z zapałem do ust ową rękę, która wydarła mu dziecię; kiedy litość ogarnia Achillesa na widok siwych jego włosów, kiedy młody bohater, zwracając myśl do własnego ojca, który w dalekim kraju tęskni za nieobecnym synem, łączy rzewne łzy ze łzami starca i zadosyć czyni jego prośbie. Wspaniała to scena wytrysła z nieprzebranego potoku poezji, jaki wojna od wieków wyrzuca z łona swego.

Mówca przebiega kolejno wszystkie rodzaje sztuki, które czerpały natchnienie w owym bogatym źródle. Zaczyna od rzeźby. Ta najdzielniej wyrażała wojnę, dopóki jednostki występowały do zapasów. W starożytnych walkach uwydatniały się kształty ciała. Każdy ruch, każde drgnienie muszkułu, było dla dłuta wzorem piękna i siły. Zapasy Centaurów i Lapithów, wojna trojańska, walki Amazonek i Persów, dostarczyły przedmiotów do pysznych ozdób plastycznych na świątyniach Eginy, Aten i tylu innych miast Grecyi. Nigdy też sztuka nie przepominała w obrazie wojny, o szlachetnym towarzyszu człowieka, koniu. Dzieło pierwotnej poezji, księga Hioba, daje nam piękną próbkę. „Nozdrza jego wzdymają się, bije w ziemię kopytem, wesoło objawia siłę swoją. Nie wie co trwoga. Niechaj świszczą strzały puszczzone z łuków, niech miecze i włócznie połyskują na słońcu, on niczém niespłoszony. Staje dębem, uderza w ziemię nogą, nie może wytrwać na huk trąbki bojowej. Rzy, śnać czuje z daleka bitwę i bojowe okrzyki wodzów.“

Dlaczego—pyta mówca—obraz walki tak silnie działa na wyobraźnię naszą? Oto dlatego, że widzimy w niej tryumfującą wolę spotęgowaną do najwyższego ideału, wolę, która tak opanowała siebie, iż nie drgnie w obec śmierci. Ten charakter uderza nas już w chwilach zapasu, a porusza tém silniej w obec bohaterńskiego skonu, kiedy dusza odlatując z ciała, świadczy ostatniem tchnieniem, że zna dobro cenniejsze dla niej nad życie. Śmierć bohatera wielką jest i piękną, tém piękniejszą, kiedy w chwili ostatniej dochodzą go wieści o zwycięstwie. „Połóżcie mnie—woła—na słońcu; zwróćcie mnie obliczem do słońca!“

W architekturze widzimy niemniej silne odbicie wojny. Z jednej strony sieje wojna zniszczenie, z drugiej daje pochoch do budowy nowych pomników sztuki. Świątynia Pallady, Erechteum na Akropolis ateńskiej i mnóstwo innych, padło pod taranami Persów, ale wkrótce potem łup zdobyty na nieprzyjacielu podźwignął z gruzów te przybytki, a obok nich wznosił Propilee, cudnie piękną świątynią

zwycięstwa. Usuńmy wojnę—dodaje mówca—wyobraźmy sobie historią pozbawioną tych gwałtownych wstrząśnień; ileżto pysznych arcydzieł zniknie z przed oczu naszych? Gdzież będą owe łuki tryumfalne, owe kolumny pokryte płaskorzeźbą, owe pomnikowe portyki i posągi na placach starożytnych i nowoczesnych grodów?

Przejdźmy do malarstwa. Pędzel w obrazowaniu wojny ma tę przewagę nad dłutem, że za pomocą kolorytu i perspektywy, ogarnia szerszy zakres i odtwarza już nie pojedynczych zapasników, ale walczące masy. Z pomiędzy wielu dzieł pierwszorzędnych, professor Fischer wybiera kilka nieśmiertelnych arcydzieł, które naj-silniej porywają wyobraźnię.

Zaden obraz bitwy według autora nie przewyższa pysznej mozaiki odkrytej w Pompejanum, przedstawiającej bitwę pod Issus. Na lewo Aleksander uderza na czele jazdy; o dwa kroki przed wozem Daryuszowym przebija Persa, który wije się jak robak pod ostrzem jego włóczni. Wychylony z wozu Daryusz, wlepia wzrok osłupiały w ofiarę i bohatera; już zręczną ręką zawraca wóz, aby ujsć przed pogonią zwycięzcy; już wierny sługa przyprowadza rączego bieguna, aby ratował się ucieczką. Grecya i Persya, Azya i Europa, siła i zniechęcałość, stoją tu naprzeciw siebie oko w oko, uosobione w wiewnych przedstawicielach swoich.

Rafaël, jak utrzymuje Fischer, z równą potęgą oddał bitwę Konstantyna. Sam cesarz z podniesioną włócznią prowadzi armię do zwycięstwa. Jego legiony ścigają nieprzyjaciela do brzegów Tybru. Już Maksencyusz rzucił się w pław i walczy potężnie z falami; na ostatnim planie pogoń pędzi tłumnie na karku niedobitków. To ostatnie zapasy chrześcijaństwa ze światem pogańskim; w około krew i trupy. Rafaël szlachetnością form i harmonijnem ugrupowaniem osób, odbiera tej scenie jej straszliwy charakter.

Ale w obrazach wojen tegoczesnych rzecz zmienia się zupełnie. Działa uderzają z daleka w wielkie masy, jednostka zaciera się corażto bardziej, mundur przyczynia się do tego. Ztąd malarz musi być realistą, a obrazy bitw przybierają charakter rodzajowy. Fischer przebiega długi szereg tych obrazów, zaczawszy od Wouwermana i Salwatora Rozy, do Horacego Werneta i dzisiejszych mistrzów. Kończy na obrazie Rettela: Przeprawie Annibala przez Alpy.

Nakoniec uczony professor przechodzi do poezyi słowa, którą zwie najidealniejszą. Przytaczamy ten ustęp, jako bliżej nas obchodzący.

„Nieraz—mówi Fischer—poezya cierpiała wiele w skutek bezładu i rozprzężenia, jakie wojna pociąga za sobą. Często-kroć przy huku dział bełkotała słabo i lekliwie, a literatura niemiecka wie dobrze, o ile barbarzyństwo wylęgte z długich wojen smutno oddziaływa na poezyę; ale mamy niemniej i przeciwne dowody. W epoce Napoleona I poezya nasza bladła i karłowaciała pod wpływem zbyt-niego wyrafinowania i pretensjonalności. Wojny o wyswoho-

dzenie wróciły jej zdrowie i krzepkość, zbudziły w niej gasnące życie.

„Epopea prawdziwa, epopea pierwotna, spoczywa na legendzie bohaterskiej. Ta legenda odbija w sobie przedhistoryczną młodość ludów. Otóż pierwszą namiętnością rodzących się ludów była wojna, pierwszą ich cnotą, odwaga! Wszelka pierwotna epopea, musi być koniecznie wojenną; poeta przyczepia swój wątek do jakiegoś wielkiego czynu; wkoło kilku bohaterów grupuje obraz cywilizacji danego ludu i całej ludzkości. Zawdzięczamy epopeę Homera sławnej wyprawie, która pociągnęła greckie plemiona ku wybrzeżom Azji. Taktyka nadzwyczaj tu prosta, a tém samém poetyczniejsza. Walka dwóch zapasników, stojących na wozach lub na ziemi, uzbrojonych mieczem lub oszczepem, zdobycie miasta nieprzyjacielskiego za pomocą dziecinnego podstępu, na przykład drewnianego konia—oto jej główny przedmiot. Bohaterowie jej to istne dzieci; uczyty i libacye równie miłe tym bohaterom, jak pocie samemu! Ale jakież to dzieci! Najszlachetniejsi synowie Grecyi, promieniste typy charakteru narodowego! Dzicy, zapalczywi, niepohamowani w czasie walki, mają serca pełne szlachetnych uczuć. Są to wzory delikatności, prawdziwej wzniosłości i rozwagi. Jedni bogowie opiekują się nimi, inni ich prześladują. Najsłynniejszy z nich Achilles jest synem bogini, ale przed niemi jeszcze podnosi głowę w całej traicznej piękności nieprześląganego przeznaczenia.

„A i nasza poetyczna literatura od pierwszych jej początków aż do zupełnego rozkwitu, od Nibelungów do poematu Goetego Herman i Dorotea, nie jestże bezustannym prądem poezyi wojennej? Czyż nasza epopea nie czerpie pełną dłonią w tém świeżem źródle natchnienia i zapалу?

„Poezja liryczna, poezja wzruszeń i uczuć osobistych, nie przestaje na uoczeniu wojny, kiedy ta już skończoną. Ona prowadzi walecznych na zapasy; nie o niejto powiedziéby można, iż muzy milkną w obec szczęku oręża. Odkąd wojna przestała być walką zwierzęcą, każdy lud miał rymy bojowe, a Tyrteusz, który zapalał pieśnią odwagę w Spartańczykach, Symonid, którego wiersz wyryto na pomniku Termopyłów, nie byli już pierwszymi bardami, co natchnioném słowem uczcili czyny ludzkie. Starzy Germani szli na bój, śpiewając pochwały bohaterów, przed zastępem Normandów w Hastings cwałował na koniu Taillefer, powtarzając pieśń o Rolandzie. W wiekach przewrotów moralnych i zartkiego postępu, dzwoni pobudkę odrodzona pieśń rycerska. Marsylianka gorąca, patetyczna, popycha Francuzów na przód i lotnemi skrzydły niesie ich w odmet rewolucyjnych wojen. Ale kiedy rzuciwszy posiew wolności, Francuzi roznoszą podboje wzdłuż i wazerz Europy, inne dźwięki rodzą się w sercu ludu niemieckiego, budzą go z uśpienia i dają wymowną odpowiedź Marsyliance francuzkiej. Temi dźwiękami są rzewne i namiętne pieśni Kenera, młodego poety, który miał

poledz wkrótce bohaterskim skonem; temi, wiersze Schenkendorfa, Arndta, Rajcherta, Uhlanda; w tym pięknym chórze brzmi jakoby dźwięk trąbki bojowej *Pieśń Rycerza*, Szyllerowskie arcydzieło.

„W czasach wojen narodowych zdarza się zwykle, że pieśni stworzone przez uczonych poetów, przechodzą w massy ludu; co więcej, z mass wychodzą pieśni pełne wyższego natchnienia: prosty żołnierz nieświadomy sztuki, śpiewa niekiedy jak poeta. Z walki o swobodę i prawo zrodziły się pieśni Dietmara; Hans Guter opiewał bitwę pod Sempach, w której brał czynny udział; Veit Weber bitwę pod Murten. W tej literaturze ludowej posiadamy drogocenne perły, jak na przykład: pieśni o bitwie pod Fawią, która przenosi nas na pole najkrwawszych zapasów; są niemniej liczne pieśni z czasu wojen religijnych i walk przeciwko Turkom.

„Co do dramatu, któż nie wie, że w Grecyi rozkwit tej formy poetycznej, najwznioślejszej ze wszystkich, był następstwem medycznych wojen? Ale tylko w miarze ograniczonej, wojna może dostarczać przedmiotów do dramatów. Akcja może mimochodem potrącać o walkę rycerską, duszą jednakże tragedyi są wewnętrzne zapasy serc ludzkich. Walka między siłą a prawem, i odpowiedzialność jaką zaciąga winowajca w obec nieśmiertelnego przeznaczenia; oto główny problemat dramatyczny. Bohaterstwo, niezłomny opór, nie mogą być dostatecznymi działaczami; teatr ma zatem słuszność, usuwając na bok sceny bojowe. Wielki czyn rycerski może być przedmiotem epopei, ale nigdy dramatu.

„Kiedy twórca tragedyi greckiej, żołnierz z pod Maratonu, Salaminy i Platei, kiedy Eschyles utworzył swoich *Persów*, dzieło tragiczne, które miało wysławiać tryumf, stało się w jego ręku tragedją, walką winy z nieprześląganą Nemezis. Nie dopatrzyć tu szyderstwa wobec pokonanych nieprzyjaciół; Grecy pełni smaku estetycznego, nie pozwalali sobie okrzyków radośnych w chwilach zwyciężkiego tryumfu. Już u Homera, Euryklea, okazująca zhyt żywą radość na widok powalonych zalotników swęj pani, ściąga na siebie łagodną wymówkę Ulissesa. Raduj się matko w sercu twojem—rzecze bohater—lecz nie wesel się nazbyt głośno. W obec pokonanych nieprzyjaciół okrzyki radości są przestępstwem!

„Elegie *Persów* nad własną klęską, oto jedyna pieśń tryumfu w dramacie Eschyleasa. Ukaranie pychy przez bogów, stanowi religijne tło tego poważnego poematu. W początku pojawia się chór smętny, ponury i żłowrogi. Sen okropny rzucił trwoję w serce Atossy, matki Kserksesa. Nagle przybywa goniec, zwiastuje klęskę pod Salaminą. „Biada wam, biada! wybrzeża Salaminy usłane trupem...“ W pędzynie obrazie ukazuje flotę grecką, jak z rozwiniętymi żaglami pędzi na nieprzyjaciela. Opowiada bitwę i klęskę, ukazuje Kserksesa, jak z wierzchołka góry patrzy na zgubę własną; jak wydaje krzyk boleści i rozdziera połę szaty na dwoje. „Azya cała jęczy—woła chór—albowiem zmieniono ją w pustynię!“ Na błaga-

nia starców i Atosy cień zmarłego króla Daryusza wychyla się ze mgły Styksowej, zapowiada Persom nową klęskę pod Plateą i dobywa niejako surową prawdę z tragedyi. Tak to sprawiedliwi bogowie karzą zuchalców, którzy chcieli ujarzmić Helespont i zburzyli świątynie greckie; góry trupów opowiadać będą późnym pokoleniom ową straszną karę i głosić będą światu, że serce człowieka nie ma się wzdymać szaloną pychą, że żniwo łez rodzi się z zuchwałości!

„W końcu występuje sam Kserkses otoczony garstką niedobitków; płaszcz jego królewski zszarpany na szmaty, kędziory roztargane. W rozpaczliwym dyalogu z chórem wypowiada najwyższe prawa moralne.“

Autor potrąca z kolei o Szekspira, którego zowie nowożytnym Eschylesem; przechodzi naostatek do Szyllera: widzi w nim najwyższy wyraz poezyi wojennej. Za młodu już Szyller objawia tę właściwość geniuszu swego w odzie *Die Schlacht*; widać tu, że jest synem żołnierza, iż wzrósł wśród zgiełku obozowego, przy szczęku broni, grzmocie bębnow i trąb bojowych; ale—mówi Fischer—ma on jeszcze inny miecz u boku i wzrok jego połyska pysnie, gdy go dobywa z pochwy. To miecz prawdy i wolności! Nigdy przecież poeta nie ma tak jaskrawych barw na paletrze, jak kiedy obrazuje ten dziki i straszny okres, zwany trzydziestoletnią wojną. Woń prochu bije ze wszystkich scen Szyllerowskiego Wallensteina; dramat ten na wskroś przeziąkł duchem niemieckich dziejów. Opis obozu Wallensteina, to arcydzieło w miniaturze. Nigdzie poeta nie szkicował postaci swoich z taką prawdą, nie nadał im kształtów tak silnych i tak plastycznych. Jakim sposobem Szyller uczynił ponętnym dla widza najemne żołdactwo, zdziczałe w długich wojnach, ciężące ludom, dla których miało być tarczą? Oto ukazuje nam te bandy, jak z naiwną prostotą wygłaszają swoje teorye, jak twierdzą, że państwo istnieje tylko dla nich, że rolnik stworzony na to, aby je żywił. Każdy śmieje się z tej ślepoty, ale śmiech odgania odrazę i czyni sceny prawdziwie komicznymi. Zwolna poeta podnosi się do wzniosłego stylu, właściwego obrazom historycznym: przemawia o honorze przez usta kirasyera, otacza tę postać promieniem ideału; tchnie w nią świadomość wielkiego posłannictwa. Obóz Wallensteina, pomimo ozywającej go strony humorystycznej, poważnym jest i wielkim, bo powiewa nad nim duch wielkiego wodza, bo chmury zebrane groźno na widnokręgu, pokrywają przyszłe losy Niemiec, bo z tej burzy wybiegnie rychło grom oświaty. Owa szalona burza stanowi główną treść dramatu, sceny humorystyczne służą do niej za prolog. Z jakąż to wytworną sztuką poeta grupuje swe postacie według broni, narodowości i opinij politycznych.

„Arcydziełem Getego: Herman i Dorotea, sielanka podniesiona do epepei; arcydziełem Szyllera to ów obóz Wallensteina, mały obrazek rodzajowy, w którym komika łączy się z tragedją i sprowadza niezrównane efekta. Duch Szyllera podnosi się wraz z przedmiotem;



tym przedmiotem w Wallensteinie, to wojna prowadzona bez ładu tak dalece, że idea, która ją zapaliła, gaśnie przywalona samolubstwem i pychą jednostek. Myśl poety, owiana zrazu tchnieniem kosmopolitycznym, w miarę jak wnika w przedmiot, rozszerza się, zapala i podnosi do najwyższego ideału, kiedy w usta dziewicy składa cudowne słowa powtarzane tylokrotnie: „Nikczemny lud, który nie umie poświęcić z pełną radością wszelkich sił, jakie w nim spoczywają, ku obronie czci znieważonej!”

Wyszła niedawno z druku książka pana Ludwika Leger pod tytułem: *Le Monde Slave*. Rzucałiśmy się na nią skwapliwie, bo przecież to nasz świat, lubo autor zdaje się, jakby nas chciał wyłączyć z owęj powszechności słowiańskiej, wcale bowiem o nas nie mówi. To zaniechanie wyraźne wyrzuca mu Przegląd dwóch światów, ujmując się za Polską w imię jej bogatej literatury.

Inne ludy szczepu słowiańskiego pobieżnie także traktowane, ztąd dzieło nie odpowiada tytułowi. Czeohy nawet, których pieśni narodowe tłumaczył niegdyś autor, zostawione dziś prawie na uboczu. Pan Leger opisuje wprawdzie podróż z Paryża do Pragi, lecz zatrzymuje się u bram nadweltawskiego grodu, jak gdyby Praga nie należała do świata słowiańskiego. Ozemu autor nie przekroczył tych bram w opisie, bo wiemy że je często przekraczał w rzeczywistości, nie wchodzimy w powody; ale dziwimy się bardzo, dlaczego potępia Bassompiera posła Henryka IV, przy dworze cesarskim, że opisując w sławnych pamiętnikach pobyt swój w Pradze, mówi o pojedynkach, ucztach i przygodach miłosnych, a nie wspomina wcale o pięknościach artystycznych lub malowniczych kraju czeskiego. Przebaczamy to Bassompierowi, gdyż dzieło jego miało skromny tytuł *Pamiętników*, a nie zwało się pompatycznie *Słowiańskim światem*; gdybyż pan Leger tyle przynajmniej napisał o Pradze, ile mówi o niej dyplomata XVII wieku!

Podróż z Paryża do Pragi szczegółowo za to opisana, lubo nie wiodła wcale przez świat słowiański, ale niemiecki, do którego autor objawia wyraźny wstręt, w części jako Francuz pokrzywdzony przez Niemców, w większej części jako gorący sławista, a tém samém zacięty Germanofob. Wstręt to jak widać zobopólny, oddany wet za wet autorowi przez uczniów wszechuicy hejdelberskiej w bardzo niemiły sposób, czego łatwo domyślić się z zaprawnego żółcią obrazu tój burszowskiej gawiedzi. Oto kilka zarysów:

„Aby poznać charakter bojowniczy (*batailleur*) niektórych uczniów niemieckich, dosyć jest spotkać na ulicy jakąś bandę tych wielkich bydląt (imbéciles) w różno kolorowych kaszkieciach, przybranych w pstrokate wstęgi, oznaczające grupę, do której należą: Frankonią, Rhenanią, Westfalią i t. p. Ci panicze wyglądają jak gdyby

szukali zawsze czyjś nosa do obcięcia, lub zęba do wybicia. Pysznią się ze szram jakie noszą na twarzy; zaszczytne to znamiona walczności w sprawach honorowych, które możnaby łatwiej zakończyć kułakiem. Mało na świecie istot wstrętniejszych z pierwszego rzutu oka, jak ci bursze. Pilnują kaszkietu jak paw swego ogona i nie raczą zdjąć go z głowy wchodząc do miejsca, gdzie są zebrani *Filistyni* czyli mieszczuchy.“

Z równą nienawiścią autor maluje buldogi i terreneuwy panów akademików.

„Pies, to nieodstępny towarzysz bursza. Włóczy go wszędzie z sobą z wyjątkiem auli uniwersyteckiej. Piękny to zwierz zazwyczaj! nie powiem tego o jego właścicielu; pies przewyższa go pod wieloma względami. Najprzód nie nosi czapki na publicznych zebraniach, niema na nosie złotych okularów i nie szuka pojedynkowych przygód. Moda trzymania psów zachowała się już tylko po małych miastach. Sławnym pozostał w uniwersyteckiej tradycji pies pana Bismarka, z czasów kiedy dzisiejszy minister uczył się na wszechnicy w Bonn. Razu jednego będąc zaproszony na wielki wieczór, poszedł z buldogiem swoim do szewca zamówić lakierowane buciki na dzień następny. Poczciwy rzemieślnik miał jak widać pilną robotę, oświadczył zatem wręcz, iż nie może zadowolnić klienta w terminie oznaczonym.

— Widzisz tego psa?—rzecze spokojnie pan Bismark—jeśli nie powiesz stanowczo że robota będzie skończoną, dam znak a on rozedrze cię na sztuki.

Szewe zrozumiał, że niema co żartować: buty były gotowe.

Z powodu zapewne tych psów i tych straszniejszych burszów, pan Leger pominął progisławnej wszechnicy niemieckiej; wołał raczej dumać na ruinach starego zamku, zburzonego przez Francuzów za czasów Ludwika XIV, niż ocierać się o tę niesforną gawiedź. „Uniwersytet, mówi on, mógłby nas długo zatrzymać, lecz mało on obchodzi prostego podróżnika, a na stu turystów—mówię tu o Francuzach—zaden nie przekroczył jego progów. Autor Świata słowiańskiego maż się liczyć do zwykłych turystów? zbyteczna to skromność doprawdy!

Z niesłowiańskiego Heidelbergu autor prowadzi czytelników po innych zarówno niesłowiańskich *bergach* i *burgach*. Zatrzymuje się długo w Norymbergu, opisuje sławny zegar, na którym odbywało niegdyś defiladę siedmiu elektorów świętego państwa, pochylając czoło przed cesarzem; opisuje dom Hansa Saksa i gotycki ratusz i obrazy Dürera i sławne kościoły i grobowce; słowem wszystko o czém wszyscy oddawna wiedzą, a o czém piszą wszystkie *Bädekery* i *Joanny*. To zaś o czém nie piszą i pan Leger pozostawia w cieniu. Godziłoż się naprzykład autorowi Świata słowiańskiego, wspominając mimochodem Veita Stossa nie wiedzieć, że ten mistrz dłuta to Słowianin ze krwi i kości, to Krakowianin Wit Stwos, któremu piętno

narodowości niemieckiej Norymberczycy wycisnęli na twarzy rozpaloném żelazem. My wszyscy wiemy o tém, dzięki naszym archeologom i wielkiemu poecie naszemu, ależ Świat słowiański pisany nie dla nas, lecz dla Francuzów. Byłaby to zresztą wyborna łątka do przypięcia nienawistnym Germanom. Autor tymczasem pisząc o Słowiańszczyźnie nie raczył zajrzeć do kronik tego szczepu, który według niego owiany od kolébki germanizmem, przeniewierzył się idei plemiennój i osobne wyrobił sobie drogi. Takie zdanie czytaliśmy w jednej z dawniejszych prac pana Leger, w ostatniém dziełku i tego nawet autor nie powtarza, woli raczej zbywać ten szczep pogardliwém milczeniem.

Otóż i ziemia czeska. Autor zatrzymuje się w Pilsen, kosztuje wybornego piwa, którego sto tysięcy beczek rozechodzi się rok w rok po świecie. Ale są tu, jak mówi, inne rzeczy nie równie więcej zajmujące niż piwo. Nie wiemy co, doprawdy... Byłaby to historia Pilzna, nie sympatyczna autorowi, gdyż ten warowny gród przeniewierzył się także idei słowiańskiej, zrywając otwarcie z Husytami w czasach pamiętnych wojen, za co pozyskał szczególną opiekę cesarstwa i bazylejskiego soboru. Tym zajmującym w Pilźnie przedmiotem były prędkiej dziewczęta miejskie, w króciuchnych krochmalnych spódniczkach do kolan, którym autor niemniejszy poświęca ustęp, jak piwu i historii.

Z pomiędzy pomników na ziemi czeskiej, jeden tylko zajmuje dłużej uwagę pana Leger. Jest nim zamek Karlstein, po nowemu Karlu-Tyn, zbudowany w XIV wieku przez Karola IV. Mówimy po nowemu, gdyż za czasów fundatora i później, nie nazywał się pewnie inaczej jak Karlsteinem. Król Luksemburczyk odpowiada myśli autora, zwolennik bowiem Francuzów wychowany w Paryżu, cywilizował Czechy na francuzki sposób. Onto założył w Pradze Uniwersytet na wzór paryżkiej Sorbony, on sprowadził z Burgundyi do Czech wyborne szczepy winne, których sok tak mu przypadł do smaku, że jak mówi Szajnocha, dzban jeden wychylony nad miarę, wyrwawszy z ust królewskich, słowo ubliżające czci królowej Elżbiety, siostry Kazimierza Wielkiego, o mało nie roztlął pożaru wojny w całej ówczesnej Europie.

Pan Leger nie wspomina o tój burzy zażegnanój mądrością Kazimierza, ani o godach krakowskich z Pomorzanką, ani o uczcie Wierzyńkowej, z tych zapewne powodów, z których nie mówi o Wicie Stwoszu. Przegląda za to stare freski na ścianach kaplicy zamkowej, rozpoznaje w nich z bizantyjskich nimb zabytki starsłowiańskiej szkoły malarstwa. Ciekaweby to było odkrycie, gdyby można przypuścić, że ta szkoła kiedykolwiek istniała. Prawda że Karol IV, jak przypominają pan Leger, ufundował bractwo malarzy pragskich, że mu nadał patent i przywileje spisane w języku czeskim, że Ustawa nakazywała wykluczać Niemców z tego cechu, że to prawo zobowiązywało do czasów trzydziestoletniej wojny. Nie idzie przecie za tém,

żeby Czesi stanowiący ową korporacją, mieli utworzyć własną słowiańską szkołę.

Przypuszczamy zresztą, że trzech mistrze, którzy malowali ściany karlsteńskiego zamku: Dietrich z Pragi, Kunz i Wurmser, byli, mimo niemieckich nazwisk, rodowitymi Czechami, nie zaś kolonią malarzy niemieckich, zabłąkaną chwilowo w Czechach, jak to dziś Niemcy utrzymują; nie świadczy i to za istnieniem szkoły słowiańskiej. Wprawdzie pan Leger twierdzi, że niema dowodu, aby w XIV wieku miała istnieć w Niemczech jakas szkoła niemiecka, z którejby Czesi mogli przyswajać sobie artystów. Niech odpowiedzą na to pytanie wszystkie europejskie muzea, a między niemi sławna galerja Luwru, którą autor ma przecież pod bokiem; chlubiąca się starożytnymi zabytkami owę nibyto nie istniejącą szkołę.

Autor opiera się głównie na świadectwie czeskiego starożytnika pana Visek, który obliczył do czterechset przechowanych w Czechach obrazów i fresków dawniejszych od epoki Van Dyka, jak niemiej do osmdziesięciu iluminowanych rękopisów, rozrzuconych po różnych księgozbiorach. Rzecz dziwna, że pan Leger w licznych przejazdach swoich do Pragi nie poznał tych arcydzieł i opisem ich nie zbogacił swojego „Świata słowiańskiego.“ Zapewnienia jego oparte na świadectwach, które nazywa wiarogodnemi, a których nie cytuje jakoby w XII wieku kościoły pragskie i okoliczne ozdobione były malowidłami „z których dziś śladu nie zostało“ nie przekonywają nas także o istnieniu szkoły słowiańskiej.

Mówiysz to jako nieprzychylni wyrobowi geniuszu słowiańskiego? Bynajmniej! jeśli walczymy silni przeciw pobieżnym sądom w pytaniach tak żywotnych, jakie podnosi pan Leger, to właśnie dlatego, że niektóre jego prace miały cechę poważnych naukowych dążeń; ztąd nie jeden z czytelników mógłby przypuścić, że i wszystkie zdania autora w ostatniem jego dziełku nacechowane takimże charakterem. Jesteśmy przekonani, że właśnie największą szkodę przynoszą postępowemu rozwojowi Słowiańszczyzny tacy rzecznicy jak pan Leger.

Różnostronniój zajmuje autora Kroacya, tu przynajmniej zwiędził stołeczny Zagrzeb, tu potrąca o literatów społecznych, o lingwistykę, etnografię, stan polityczny kraju i t. p. Bo téż Zagrzeb był głównym celem jego podróży, spieszył tu, jak mówi, zaproszony na otwarcie akademii jugo-słowiańskiej. Dziwne to były zaprosiny: panowie akademicy mylnie oznaczyli dzień uroczystości. W Weronie dopiero gdy miał siadać na pociąg do Wenecyi, pan Leger wyczytał przypadkiem w *Diritto* florenckim, że ceremonia odbędzie się w dniu 29 lipca. Pośpiesza więc do celu, zatrzymuje się w Gorycyi, z sercem rozradowaném, słyszy mowę Słowenów, mowę, którą zowie *narzeczem języka jugo-słowiańskiego*. „Tego języka używa w mowie i piśmie dwanaście milionów ludzi“ są to własne wyrazy autora. Zkądże to ów język jugo-słowiański. Szafarzyk, aui żaden z poważnych

lingwistów wcale o nim nie wiedział. Potrzebaż było francuzkiego turysty, aby zrobił tak ważne odkrycie? Nie wiemy co bardziej podziwiać: czy bujną wyobraźnią autora, który przyjmuje urojenia własne jako prawdę; czy wielką śmiałość, z jaką narzuca drugim wyroby własnej fantazyi, przy całym przeświadczeniu, że rozszerza najbliższe teorye.

Szafarzyk wyraźnie uczy, że każdy z ludów południowo-słowiańskich mówi osobnym językiem, udowodnił to obszernie w swoim Słowiańskim Narodopisie. Pan Leger odpowie zapewne, że ten lub ów pisarz, stawia w teorii potrzebę utworzenia jednego języka jugo-słowiańskiego. Czegóżby nie stawiano w teoryach? Niemaszże takich, którzy prawią o potrzebie zlania w jedność dziewięciu języków słowiańskich? Niemaszże i tych, którzyby chcieli z języków francuzkiego, hiszpańskiego, prowancckiego i rumuńskiego utworzyć jeden język dla całej gałęzi ludów przezwanycy łacińskimi? Niemaszże nakoniec germanofilów, którzy pracują z zapałem nad wyrobieniem języka pangermańskiego? Inni dalej jeszcze posuwają swoje pragnienia. Właśnie gdy to piszemy, w Akademii Nauk Moralnych i Politycznych w Paryżu, czytano rozprawę o stosunkach między Leibnitzem a Piotrem Wielkim. Słynny filozof mawiał często o potrzebie i możności utworzenia jednego języka dla uczonych świata całego. Są to żądania godne zapewne uwagi lingwistów i filozofów, ale któż z ludzi uczonych uważa te *pia desideria* za istniejącą rzeczywistość.

Pan Leger wykładał w Paryżu jako amator kurs języka ludów jugo-słowiańskich; teraz dopiero wyjaśnił publiczności, że uczył języka, który nie istnieje.

Równą pogardę jak dla nauk lingwistycznych, okazuje pan Leger i dla statystyki. Liczbę Słoweńców naprzykład, określa dziś tą samą cyfrą, jaką określił ją Szafarzyk przed laty trzydziestu! Liczbę zaś Bułgarów zwiększa w dwójnasób, podnosząc ją do dziesięciu milionów. W obliczeniu innych szczepli też same spostrzegamy błędy.

To co dotąd powiedzieliśmy, czyż nie udowadnia słuszności skargi naszej, że nieszczęściem dla Słowian, ci którzy się mają za ich reprezentantów w obco Europy, i których oni sami czczą jako rzeczników swoich, zbywają sprawę z tak niesłychaną lekkomyślnością?

Sam autor najlepiej określił w przedmowie, jak on pojmuje świat słowiański. Przytaczamy cały ten ustęp zostawiając sąd o nim czytelnikom.

„Nie można porównać lepiej—mówi autor—tego, kto chce zgłębić nauki słowiańskie, jak do wędrowca zapuszczającego się w jeden z dziewiczych lasów Ameryki, gdzie jeryzyny i powoje, a częstokroć i jadowite gady, cisną się pod stopy zuchwałego podróżnika, oślepiają mu oczy i zmuszają go mimowoli do odwrotu po nadare-

mnych wysileniach. Przypomnijcie sobie piękny wiersz Danta zaczynający piekło:

Mi ritrovai per una selva oscura

Questa selva salvagia, ed aspra, ed forte  
Che nel pensier rinnova la paura.

„Ten las ciemny, dziki i twardy, którego wspomnienie samo budzi postrach, wyobraża dość wiernie świat słowiański. A szczególnie to objaw, z którego nie potrzeba wyciągać na przyszłość żadnych wniosków, że pierwsi, którzy u nas zapuścili się w te głębiny, zatracili w nich rozum. Mickiewicz wielki poeta polski, największy może z wieszczów XIX wieku, po trzyletnim a niezrównanie świetnym wykładzie *literatury słowiańskiej*, której utworzenie czynić będzie na wieki zaszczyt panu Cousin, Mickiewicz, który stanowił z panami Michelet i Quinet długo pamiętny tryumwirat, zabłąkał się w mistycznych i chorobliwych szaleństwach mesyanizmu.

„Nie smutniejszego nad dwa ostatnie tomy jego kursu o Słowianach; widzimy tu ową szlachetną i piękną inteligencją gasnącą pomału, zanurzającą się coraz to głębiej w sferę marzeń i halucynacji. Rząd francuzki zmuszony był zawiesić w roku 1845 owe lekcye wprowadzające w obłąd słuchaczy. Szczęściem znalazł się wówczas Francuz, który przedsięwziął pierwszy, mimo niedostatecznej znajomości rozmaitych narzeczy zbadać całość zagadnień słowiańskich. Był nim Cypryan Robert, autor wyborowego dzieła o Słowianach w Turcyi, i dobrych artykułów drukowanych w Przeglądzie dwóch światów.

„Spodziewano się chwilę, że Cypryan Robert upowszechni między nami te nauki jeszcze tak nowe. Nie miał on blasku Mickiewicza, ale miał gruntowność i światło właściwe umysłowi francuzkiemu. Nadeszła rewolucya roku 1848. Cypryan Robert wpadł nie wiem już w jaką doktrynę, podobno w Kabetyzm i jednego pięknego poranku, znikł z Paryża bez wieści. Nikt nie wie odtąd, co się z nim stało: ani dyrektor Przeglądów dwóch światów, ani czeigodny professor, który po nim nastąpił. Zapewniano mnie, że popłynął do Ameryki w poszukiwaniu Ikaryi. Katedra przynosiła nieszczeście do z dwóch pierwszych professorów, jeden utonął w teoriach mesyanicznych. „Ja sędzę, mówił Sganavelle Moliera, że ta suknia ..... (que cot habit est purgatif), i że samo noszenie jęj zastępuje lekarstwo.” Nie ręczyłbym, czy kto nie przypisał katedrze *literatury słowiańskiej* szkodliwego wpływu na rozum ludzki, i czy lekarze obłąkanych nie wzięli jęj za przedmiot patologicznych i psychologicznych badań. Zdrowy rozsądek i skromna erudyoya (la modeste érudition!) profesora, co ją dziś zajmuje, pana Aleksandra Chodźko, o którym powiedziałbym więcej jeszcze dobrego, gdyby

nie to, że był pierwszym mistrzem moim, pogodziły z nią podejrzliwe umysły."

Erudycya profesora Aleksandra Chodźki, nie potrzebuje obrony naszej. Pierwszy prawodawca języka perskiego, jako autor dzieła: *Grammaire Persane*, Paris 1852, znany jest w całym świecie naukowym. W wydziale zaś lingwistyki słowiańskiej i prawodawstwa słowiańskiego, zasłużył się znakomicie wyjaśnieniem mnóstwa wyrazów, znajdujących się w średniowiecznej ruskiej literaturze, dzięki głębokiej znajomości języków wschodnich. Nie wiemy co po latach długich prac zostawi światu pan Leger; to, co dotąd napisał, nie upoważnia go wcale do lekceważenia wielkich zasług swojego, jak mówi mistrza, gdyby nawet nie miał dla niego obowiązku wdzięczności. O uczucie wdzięczności trudno upominać się u dzisiejszego pokolenia, ale czyż sama przyzwoitość nie zabraniała panu Leger użyć wyrażenia *modeste érudition*, kiedy mowa o jednym z najznakomitszych współczesnych orientalistów.

Pan Leger, jak łatwo się domyślić z kierunku jego prac, marzy o zdobyciu kiedyś owej słowiańskiej katedry. *Le Monde slave*, wyznajemy otwarcie, smutną jest do niej rekomendacją. Autor ledwie rozpoczął drogę, a już zabląkał się w gęstej puszczy Dantowskiego piekła Słowiańszczyzny. Jeszcze nie przywdział sukni Sganavela, a już doświadcza złowrogiów jej następstw.

---

# LISTY Z AMERYKI DO PRZYJACIÓŁ W EUROPIE.

PRZEZ

*J. Horaina.*

(Dalszy ciąg patrz zeszyt za maj r. b.).

## II.

Wiadomość o nieodwołalnym już postanowieniu opuszczenia Europy, damy moje przyjęły prawie ze łzami, dzieci z radością. Ja sam byłem w gorączkowym usposobieniu: gniewały mię zarówno, smutek moich kobiet jak i radość dzieci. Poraz może setny musiałem przekładać jednym powody, zmuszające nas poniekąd do tego kroku, a hamować radość drugich.

— Czegóż się tak cieszyacie—mówiłem—czy z tego że opuszczacie najpiękniejszą, najdawniejszą, najbardziej cywilizowaną część świata, którą przodkowie nasi przez tysiące lat zamieszkiwali? Tu są groby ojców naszych, których może już nigdy nie zobaczycie. Tu pozostają nasi krewni, przyjaciele, znajomi, którzy nas rychło zapomną, a prawdopodobnie że i wy o nich zapomnicie. Że pojedziemy do kraju zupełnie nam nieznanego ani z obyczajów, ani nawet z języka, wśród obcych ludzi, gdzie na suchy kawałek chleba, wszyscy będziemy musieli ciężko pracować? A jak nam starszym sił zabraknie, co rychło nastąpi, na was przyjdzie kolej pracować na wszystkich, a Bóg S-ty wie czy podołacie?

— To i będziemy pracowały—odpowiedziały dziatki.

— A wiecież wy co to jest praca na chleb powszedni?

— Wiemy, ojczy: trzeba wstać rano, może nawet przed ósmą, zmówić pacierz, nakryć do kawy, nauczyć się dobrze lekcyi, zjeść obiad, pobiegać i poswawolić; potem znów lekcyja, samowar, wieczerja, albo czytanie czegoś bardzo pięknego i ciekawego, pacierz i luli, jak powiada siostrzyczka Mania.

— Wszystko to dobrze; ale zkąd weźmiemy: kawę, obiad, herbatę, wieczerkę, dom, pod którego dachem spoczniemy?



— Teraz rodzice zapracują, a za lat parę, jak podrośnięm, my na was pracować będziemy.

— W jaki sposób? nakrywając do obiadu? nastawiając samowar?

— E, nie! Do tego najmiem Murzynów; jak to śmiesznie, czarni jak węgiel, a tylko zęby jakoby białe. Już my o tém nieraz gadali, my inaczej będziemy pracować: Tadzio zostanie ogrodnikiem, on bardzo lubi kwiaty; codzień ojciec i matka, a nawet babunia, będą mieć bukiet z świeżych kwiatów. Julcia będzie professorką, bo ona zawsze umie lekcyę; proszę się zapytać u pani Mouton lub u pani hrabinę?

— A ty urwisie?

— Ja będę furmanem: to już zdecydowano; lubię bardzo konie, umiem powozić, żeby tylko dał Pan Bóg na bicz zarobić. Michaś, taki poważny i co zawsze prawdę mówi, będzie sędzią. A Władzio.

— Cóż Władzio?

— On... On się bogato ożeni, weźmie milion, kupi pałac i karetę dla mamy, a dużo książek i tancerkę dla ojczulka.

— A to zkąd? — zawołałem z nieukontentowaniem na myśl o tój *polskiej spekulacji*, o której radbym aby dzieci moje nie wiedziały, a jeśli już wiedzą, to zapomniały.

— Widzisz ojcie, Władzio ma wielkie szczęście do kobiet: każda bierze go na kolana i całuje jego murzyńskie oczki. Z Mani będzie doskonała gospodyni: zawsze coś szyje dla lalki i sama pierze jój bieliznę.

— A Pawełek? (miał wówczas trzy miesiące).

— Nie wiemy jeszcze co zrobim z Pawełkiem. Trzeba pomyśleć. Ja wnoszę że Pawełek będzie wielkim poetą; bo tylko śpisie i płacze.

Jako tako zadowolony przyszłością dzieci, zapytałem co zaszło w czasie mojej kilkodniowej niebytności? Podano mi kilka listów: jeden był ze Szczecina od jakiegoś ajenta dla przewozu emigrantów. Gdy nazwisko piszącego było polskie, list zaś pisany po niemiecku; nie zadałem sobie fatygi aby takowy przeczytać. Drugi list był z Krakowa, od mojego przyjaciela Mikołaja Kołkowskiego; zaklinał mnie na wszelkie świętości, abym przyjechał z nim się pożegnać, prawdopodobnie na wieki; proponował mi nawet nieśmiało ponieść koszta podróży; a w ostatnim razie, gdybym nie mógł przybyć, to sam pomimo że więcej odemnie cierpiący, zgadzał się przyjechać do Drezna, dla widzenia się ze mną.

Jakem już powiedział, byłem, a zdaje się że i teraz jestem, w gorączkowym usposobieniu: potrzebowałem roztargnienia dla smutnych myśli które się tłumnie cisnęły do głowy; lękałem się a nawet i teraz się lękam, abym do reszty nie zwaryował. Wycieczka do

starego grodu Jagiellonów wydała mi się jako prezerwatywa, a przytem myśl pożegnania się z jednym z najlepszych moich przyjaciół, i skąpania, że tak się wyrażę, w narodowości, zdecydowały mnie do tej podróży. Telegrafowałem że za dni kilka przyjadę.

Te kilka dni zajęło nam pakowanie rzeczy już za ocean, wysłanie kilku ciężkich kufrow z książkami, niestety!, do Bremy. Przytem chodziłem do tak zwanego Cercle-Polonais, czytać polskie gazety, sądząc że w Ameryce takowych nie znaję; i parę razy wieczorami, *mea culpa*, pożegnać się na wieki wieków... z preferansem i wistem. Wszakże bądźcie spokojni o mnie kochani przyjaciele: człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi: gazet polskich mam tu tyle, że i przeczytać nie jestem w stanie; a onegdaj, bo czemuż prawdy nie powieździeć przed przyjaciółmi, całutką Bożą nockę grałem w Brooklynie w preferka! Wszakże jako przykładowy małżonek, zatelegrafowałem do jójmości, że z powodu pilnego zajęcia, nie mogę powrócić na noc do domu. Kiedym nazajutrz powrócił i przyznał się z największą skruchą i pokorą, jakie było to pilne zajęcie; pocziwa moja Marynia była jeszcze rada żem nie gorzej noc przepędził.

Któregoś dnia zaszedłem do Kraszewskiego; zastałem tam hr. Al. Przędzieckiego: wybierali się oba na kongres archeologiczny do Bolonii. Kraszewski, jak i znaczna część moich znajomych odradzał mi podróż do Ameryki, proponując Włochy lub Szwajcaryą, dawał nawet powody poniekąd słuszne. Ale co poradzisz z upartym Litwinem? Pleban swoje, a ja swoje. Uważałem nawet że czcigodny autor Witoloraudy i tylu a tylu innych dzieł i arcydzieł był ze mnie nie kontent.

Po kilku dniach, zabrawszy z sobą jednego syna pojechałem do Krakowa. Spotkany na banhofie przez Kołkowskiego, z nim prawie cały czas przepędzałem: chodziliśmy do kawiarni Dyktarskiego dla czytania gazet, wieczorami do teatru jeśli w nim grano; w inne dni znalazł się jakiś wieczorek przyjacielski, a często po całych nocach szczerą gawędką z przyjacielem o przeszłości i przyszłości.

Któregoś dnia zaszedłem pożegnać się z Wincentym Polem, którego poznałem był osobiście przed kilką laty. Sędziwy wieszcz przyjął mnie serdecznie.

Pożegnawszy się z Krakowem i przyjaciółmi, 23 września 1871 roku byłem w Dreźnie. Tu już nie było czasu do stracenia, bo 4-go października miał odpłynąć okręt Baltimore, na którym zamówiliśmy miejsca. Rzeczy były popakowane i wypadało zabierać się do wyjazdu; ale zaszła jeszcze jedna przeszkoda: Mania, trzyletnia córeczka nasza, było dziecko wątłe i słabowite; strach było brać ją w tak daleką podróż. Zauważała to hrabina Szadurska i zrobiła nam pierwszą propozycyą, abyśmy Manię zostawili u niej na lat kilka, a przesłiczna hrabianka Stasia, wówczas także dziecko, obowiązała się być opiekunką i przewodniczką Mani. Po długiej na-

radzie z żoną, zgodziliśmy się na to, mając przedewszystkiém na względzie dobro i bezpieczeństwo dziecka. Mani tam jak w raj, z fotografii którą w tym roku Stasia nam przysłała, widzimy że urosła i zmężniała; lękamy się tylko aby jój tam nie rozpieścili, nie wychowali na wielką panią, nie przyzwyczaili do zbytków i wygod, których po powrocie do rodziców nie znajdzie.

Przepraszam was czytelnicy że się rozpisuję o moich osobistych uczuciach i przygodach; uniewinnia mnie wszakże myśl, że to są listy do przyjaciół, nie zaś do obcych. Pisząc zaś do przyjaciół, jak to nie rozpisać się o najszczerzym i najżyczliwszym z nich, chociaż częstokroć złym doradczy: o sobie samym.

Dokompletowawszy: obuwie, bieliznę, ubrania, tak aby nam wystarczyło na lat pięć; zaopatrzeni przez hrabinę Katarzynę w kaptany flanelowe, szale, bardzo potrzebne dla udających się przed zimą do Ameryki, o czém dopiero przekonaliśmy się na miejscu; a przez dawną moją znajomą baronową Harting (z domu księżniczka Lubecka) w wiktuwały, konserwy, aż do kilku puszek mléka skoncentrowanego; przeprowadzeni do banhofu i pożegnani przez przyjaciół i znajomych, udaliśmy się do Lipska. Powiadam do Lipska, bo tam trzeba było przeczekać kilka godzin, przeniesieć rzeczy z jednego banhofu na drugi i wziąć nowe bilety, bo dopiero ztamtąd kompania kolei, robi ustępstwo dla emigrantów o  $\frac{1}{3}$  czy  $\frac{1}{4}$ , doprawdy nie pamiętam, z ceny przewozu osób i bagaży. Późnym wieczorem udaliśmy się dalej; ale i tu mieliśmy niemało przykrości z powodu dwukrotnej zmiany wagonów w Magdeburgu i Hanowerze. Bez przygody jednak dojechaliliśmy nazajutrz przed południem do Bremy. Tu już czekał na nas agent zajazdu Stadt-Cincinnati, zaprowadził do siebie, wyznaczono nam trzy pokoiki i dano znośny jak dla zgłodniałych obiad. Spoczynku głównie nam było potrzeba.

Nazajutrz, zameldowawszy się u Claus-Kühl'a, o którym tak się rozpisałem w poprzednim liście (patrz zeszyt za maj r. b.), poszedłem zdawać skrzynie, tłomoki etc. Na kolejach ważono, ale na okręt trzeba było mierzyć; więc jakiś przysięgły urzędnik północno-niemieckiego Lloyd'u zaczął wymierzać w zdłuż, w szerz, na wysokość, na głębokość: zapisywał to wszystko w pugilaresie, liczył... i oświadczył nam, żeśmy zajeli 73 stóp kubicznych. Mieliśmy prawo do 110 stóp, co więcj wypadałoby nam zapłacić po talarze od stopy. Ale to były jeszcze nie wszystkie nasze rupiecie, wypadało odszukać rzeczy wysłane przed dwoma tygodniami. Pomógł mi w tém syn gospodarza Stadt-Cincinnati i zaczął natarczywie namawiać, abym pozostałe kufry przesłał do Ameryki przez jakiś dom handlowy, który obowiązywał się mi wskazać. Dowodził, że to będzie taniej i dogodniej. Ale ja nie w ciemię bity, nie zgodziłem się na to; zresztą chciałem wszelkie moje rupiecie mieć z sobą, abym mógł jak ów filozof rzymski powiedzié: „*omnia mea etc.*“

Okazało się wkrótce, że to była mała spekulacyjka pana radcy, która mu się ze mną nie udała.

Wszystkie 19 naszych skrzyń, kufrow, waliz, paków, tłumoków, zajęły 111 stóp, i przyszło mi dopłacić jednego talarą. Gdybym był uległ radom i namowom owego jegomości, musiałbym zapłacić kilkanaście talarów za przesyłkę rzeczy i tyleż prawie na komorze celnéj amerykańskiej; co wszystko wyniosłoby z kilkadziesiąt talarów, z czego rozumie się jakaś część dostałaby się stręczycielowi. Wymieniam ten fakt dla przestrogi, jakto trzeba być ostrożnym w przyjmowaniu rad, wszelkiego rodzaju agentów. Każda ich rada ma osobisty zysk na celu, aby zarobić jakiego talara, nie wahają się narazić biédnego emigranta na stratę kilkudziesięciu.

Ułatwiwszy się z oddaniem bagażów literackich i innych, udałem się do Claus-Kühl'a dla ostatecznego z nim rozliczenia i dla wzięcia biletów na parostatek i kolój. Odszukałem kwity wydane mi w jego biurze na opłatę pierwszej połowy należności. Przyszłam się wam szczerze, że kiedy mi wręczał przed kilkunastu dniami owe kwity, przez właściwą mi niedbałość, spojrziałem tylko na cyfrę pieniędzy, a na resztę wpisów niezwracałem uwagi. Teraz dopiero spojrzawszy uważnie, postrzegłem... o horrendum! że oprócz cyfry, osobistości nasze były najfałszywiej oznaczone.

Chwała się Niemcy że znają doskonale jeografią kuli ziemskiej: ogólnie wzięwszy, może i mają słusność. Na tym padole płaczu, niéma kraju, prowincyi, parafii, błota, któreby nie miało swojego Niemca; ale po szczególnie, to niech mi wybaczą. Klerk hera Claus, biorący na rok 800 talarów kurant pensyi, co tam u was w Europie uważa się za znaczną, i sam Kühl robiący na rok interesów za pół miliona; do owego czasu jeografi swoich północnych sąsiadów nie znali; nie wiedzieli nawet że egzystuje na świecie gubernia Mińska! Nazwę zaś téj gubernii (prawie prowincyi) poczytali za moje osobiste nazwisko! Gubernia Mińska! Toż przestrzenią przewyższa o wiele Alzacją i tę część Lotaryngii, którą Niemcy raczyli aneksować; toż obszerniejsza od ich królestw, że nie wspomnę o wielkich i małych księstwach, pojedynczo wziętych.

Zaraz wam tego obskurantyzmu niemieckiego dowiodę, jak również, że *nie wszystko złoto, co się świeci*.

Kiedym przed trzema tygodniami płacił Clausowi połowę należności za przewóz do Ameryki, dla wydania kwitu, zapytano mię o nazwisko, o lata synów, a nawet grubianie! o lata żony i córek? Aby nie wdawać się w długie gawędy, a głównie, co do ostatniego względu, nie brać na siebie osobistój odpowiedzialności, podałem mój pasport, gdzie w części niemieckiej było wyraźnie wydrukowano i napisano: „*Verzeiger dieses Reisepasses der Edelmann Minskirehen Gouvernements Julian Adamow Horain mit der Frau etc.*” Wyobraźciez sobie moje zdziwienie, a nawet przerażenie, kiedy spostrze-

głem że na wydaném mi pokwitowaniu, nazywam się *Julius von Minskirchen!* Pięćdziesiąt lat przeżyłem, nosząc moje pocziwe litewskie nazwisko, przywiązałem się do niego, byłem zadowolony, a nawet dumny; a tu naraz ni z tego, ni z owego, Niemcy przechrzcili na von Minskirchen!

Toż doprawdy można oszaleć.

Przywołałem całą moją rodzinę na miting familijny, który zaigłem w ten sposób:

Od czasów przedhistorycznych, najprawdopodobniej od epoki Sylurskiej, a przynajmniej Dewońskiej (audytorium moje tego nie rozumiało; Bogiem a prawdą powiedziawszy, ja sam nie rozumiem; ale uczona cytacya, wielki wpływ na umysły słuchaczy wywarła); nosiliśmy nasze rodowe nazwisko. Myślałem, że otrzymawszy je nieskalane od przodków i wam również nieskalane zostawię. Co mówię? Marzyłem, że wieńce wawrzynów zdobyte przez przodków na polach bitw Europy i Afryki, otoczą aureolą chwały szubrawskoliterackiej. „Marzyłem cudnie, srodze mię zbudzono.” Pójdźcie i patrzcie, co Niemcy z nami zrobili? Nie dość że nasze grody, sioła, nawet ulice przechrzcili na swój barbarzyński *manir*, nie dość że chcą sobie przywłaszczyć naszego wiekopomnego Kopernika i t. d., ale jeszcze targnęli się na nasze szlacheckie nazwisko. Wiecież czcigodni słuchacze, jak nas Niemcy przezwali?

— Jak, jak?—krzyknęły w jeden głos dzieci.

— Ciszej błaznoto! Oto, aż wstyd mi powiedzieć: nazywamy się w tej chwili von Minskirchen. Ja v. Minskirchen; mama v. Minskirchen; wy wszyscy razem i każdy z osobna Minskirchen, nawet babunia Minskirchen!

Byłem w wenie oratorskiej, ale scena, którą wymowa moja wywołała, nie dozwoliła mi kończyć. Dzieci w płacz. Ludek zaczął grozić Niemcom zapewne kułakiem; Władzio rzucił się do kolan matki, mówiąc z płaczem: „Ja nie chcę być Minskilchen, ja Holain.” Nawet matka mojej żony, kiedym jój to wytłumaczył po francuzku, niemniej oburzona zawołała: *Mais c'est infame!* i radziła, abym wytoczył proces Kühlowi.

Tylko moja pani, z innego stanowiska na te rzeczy patrząca, wzięła mię na stronę i powiedziała:

— Mój kochany, w chwili tak ważnej i uroczystej, zajmujesz się fraszkami; jeśli cię to istotnie tak obchodzi, jak udajesz, to pójdz do swojego ajenta, wytłumacz mu pomyłkę i poproś, aby poprawili. Czasu nam nie zabieraj, bo przecież jutro mamy wsiąść na okręt.

Poszedłem, tym razem, za radą mojej żony; chociaż nie myślicie kochani przyjaciele, abym ja nie miał mojego zdania, nie był panem w domu, albo, co najokropniej, był pod pantoflem magnifiki, jak to się dzieje z wami, a nawet i z tobą miły czytelniku, jeśli cię

Stwórca małżonką obdarzył. Ze mną to był wypadek wyjątkowy, zdarzający się ledwie kilka razy na dzień.

Płacąc Clausowi resztę pieniędzy, niestety razem 505 talarów, wytłumaczyłem mu pomyłkę, co do mojego nazwiska i prosiłem o zmianę kwitu. Wyobraźcież więc moje zdziwienie, kiedy odmówił, utrzymując że blanki na kwity, dane mu są pod likiem. Zgodził się tylko, przekreśliwszy *minskirchen* napisać moje prawdziwe nazwisko. Kazał mi przytém wieczorem przyjść po bilety na parostatek i na kolej żelazną do Bremerhafen. Przyszedłem i jeszcze raz zostałem zdziwiony, kiedy przed wręczeniem biletów, przedstawił mi do zapłacenia następny rachunek:

1<sup>o</sup> Za bilety na przejazd do Bremerhafen, tam i nazad, przed trzema tygodniami z nim razem odbyty, (o czém wspomniałem w poprzednim liście) tal. 3 i 20 silb. gr.

2<sup>o</sup> Za wino w bremeńskiej piwnicy pod ratuszem, tal. 1.

3-io Za beefsteck i herbatę w Bremenhafen 22½ silb. gro.

4-to Za cygara hawańskie, któremi mię traktował w czasie dwukrotnej mojej bytności w Bremen, tal. 1 i 5 gr.

Kazał mi jeszcze zauważać, że swojej osobistój fatygi nie liczy, bo sam miał interesa w Bremerhafen.

—Ależ panie Claus—zrobiłem uwagę—za beefsteck i herbatę zapłacił Kurlandczyk, mój prawie rodak, zatem te 22 gr. i ½ zapewnoś umieścić przez pomyłkę?

—Ja się nie myślę w rachunkach, szkoda że nie mogę was przekonać, bo ów oficer okrętowy, dawno już na oceanie.

Nie było rady: on miał moje 505 talarów, a ja jeszcze nie miałem moich biletów na okręt; musiałem więc, przeklinając w duszy wino, cygara i gościnność niemiecką, dopłacić owe kilka talarów.

Przewidując że ciężko nam będzie przyzwyczaić się do *strawy* pasażerów podpokładowych, kupiłem kilka funtów séra holenderskiego, szynkę i parę puszek sardynek. Chciałem także zrobić zapas z kilku półbutelek porteru, wina; ale gdy według prawideł okrętowych, nie wolno ani załodze, ani pasażerom posiadać spirytualiów, musiałem się tego wyrzec. Zresztą na tych parostatkach można dostać wino, porter i t. p. za cenę umiarkowaną.

Z przepisów, które mi wręczono, dowiedziałem się że pasażerowie podpokładowi powinni mieć materace do spania i naczynia blaszane do brania wody, kawy, herbaty, jadła obiadowego etc. Wszystko to dostarczył mi gospodarz zajazdu Stadt Cincinnati za 7 talarów.

Na materacach zaś, właściwie podwójnych siennikach, wymalował moje nazwisko. Za trzy doby pobytu z wiktem zapłaciłem 14 talarów, co wydało mi się słuszném, bo nas było, licząc z dziećmi 9 osób, i zajmowaliśmy trzy pokoje.

Nazajutrz 4 października, wypadało być o ósmój rano na banhofie, zkąd nas miano przewieźć do Bremerhafen, czyli do okrętu.

Dzieci wcześniej się pokładły i posnęły; ale dla mnie i dla żony, snu nie było. Ponieważ już wszystko było przygotowane do podróży, zasiadłszy przy stole zaczęliśmy rozpamiętywać przeszłość i marzyć o przyszłości.

Litanijnym sposobem wyliczaliśmy naszych przyjaciół, krewnych, znajomych, każdego żegnaliśmy słowami: niech mu Pan Bóg dopomóż.

Około północy usłyszeliśmy z drugiego pokoiku głos dziecka. Był to nasz starszy chłopczyk Tadzio; mówił przez sen: „Schowaj się tu Bolutku... trzymaj się dobrze... ja pójdę tam.” Biędne dziecko! jemu się śniło że się bawi w *schowanego* z towarzyszem i przyjacielem swoim.

Prosiłem żonę, aby choć parę godzin przespała, bo jutro miała być fatygująca: odmówiła.

I znowu zaczęła się litania, litania częstokroć łzami przelewana, przy wspomnieniu o której rodzinie przyjaciół lub o miejscu, gdzieśmy sami lata przebyli lub ich zostawili. A wielu było takich, których i ślady zaginęły!

Niech nikt jednak nie przypuszcza, żeśmy chętnie albo lekko-myślnie opuszczali Stary Świat dla przeniesienia się do Nowego? Mielśmy pięciu synów... ani włóki ziemi, ani sposobu nabycia takowej tam, gdziebyśmy żyć i umierać pragnęli.

Aby odpędzić nazbyt smutne myśli, wspominałem kilka osób, którym niegdyś za dobrych czasów, lubiłem przypinać *łatki*; ale w owę chwilę a nawet i dotąd, (?) przedstawiają mi się tylko same zalety i dodatnie przymioty owych indywiduów, a ułomności i śmieszności znikły. Napróżno się silił wywołać uśmiech na usta żony.

Podróżny nasz zegar wydzwonił czwartą ranną. Nie czekając na kawę hotelową, zajęliśmy się przyrządzeniem swojej na maszynie spirytusowej: gorąca kawa nas pokrzepiła.

Rozedniało, wybiła szósta. Trzeba było rozbudzić dzieci. Nie ociagały się niebożęta, bo już poniekąd były przyzwyczajone do rannego wstawania i niewygód. Umyły się, ubrały prędko, i kiedy przyniesiono kawę hotelową, już były gotowe.

O 7 ój procesjonalnie udaliśmy się do banhofu. Ja w parze z kijem, na którym się podpierałem, rozpoczynałem pochód; za mną w dwóch szeregach szło czworo starszych dzieci: w trzecim szeregu matka prowadziła za rączkę Władzia.

Zamykała pochód moja teściowa, niosąc, jako najsilniejsza, Pawełka. Każdy z nas przytém, dźwigał mniejsze lub większe tłumoki, worki i t. p.; a deszcz rześisty, który nie wiedzieliśmy jak uważać, za dobrą czy za złą wróżbę, moczył nas niemilosiernie. Wszystko to było śmiesznie i smutno zarazem.

Kiedyśmy weszli na plac, ujrzeliśmy także procesyą emigrantów, tylko daleko liczniejszą od naszej, bo złożoną z kilkuset osób, dążącą w tę, co i my stronę.

Skoro przyszło wsiadać do wagonów, wypadło się rozdzielić: moje damy, jako kajutowe, miały bilety na 1-szą klasę; my zaś, podpokładowi, na 3-cią. Moja żona prosiła, jako o łaskę, aby nam wszystkim pozwolono pomieścić się w klasie 2-ój; ale formalność niemiecka nie chciała na to przystać. Szczęściem nadarzył się Claus-Kühl i dopiero za jego wstawieniem, pozwolono nam wszystkim pomieścić się w klasie 2-ój. Byłem przekonany, że każą za tę względność dopłacić? Wszakże nie. Uczynność ta, która kompanię Północno-niemieckiego Lloydu, nie kosztowała i dla nas była darmo.

W parę godzin pociąg przywiózł nas pod sam okręt *Baltimore*. Tu tłok zrobił się niesłychany. Było z 800 osób, a każdy starał się dostać, jak najprędzej na parostatek. My stanęliśmy z boku i na dżdżu, z rozpiętymi parasolami, czekaliśmy aż wszyscy wsiądą. Musieliśmy mieć bardzo zbiędnioną minę, bo kiedy wszyscy już wsiadli, podeszło do nas kilku majtków, wzięli na ręce nasze młodsze dziatki, pobrali tłumoki i nam pomogli wleźć po drabinie na parostatek. Tak więc opuściliśmy stały ląd europejski.

Raz na okręcie, odprowadziwszy moje damy do sali kajutowej, zkąd im za okazaniem biletu, wskazano kajutę; sam z chłopcami starszemi udałem się dla odszukania materaców. Była tego cała góra. Każdy przychodził, rozrzucał i znalazłszy swój, unosił o parę piętér w dół pod pomost. Udało się moim malcom wynaleść materace z naszymi nazwiskami; odłożyliśmy je na stronę, posadziwszy dwóch młodszych dla pilnowania. Ponieważ w tym czasie spuszczało, za pomocą windy w otchłań okrętową skrzynie, kufty pasażerskie i t. p.; chciałem zatrzymać w przelocie moją litewską walizę, w której mieściły się nasze poduszki, kołdry, prześcieradła. Na szczęście, a bodaj na nieszczęście, postrzegłem moją pożądaną walizę, prosiłem aby mi ją zostawiono; odpowiedziano mi zapewne przez żart, że znajdzie na dole, i waliza razem z tysiącem innych znikła w otchłani. Poszedłem więc z dwoma starszemi synami, dla wybrania legowiska podpokładowego, bo łóżem skrzyni zbitój z kilku desek, niczém nieprzykrytych nazwać niepodobna. Udało nam się wynaleźć jedno niezajęte, dlatego że innym wydało się niedogodném, a dla nas właśnie było pożądaném, dlatego że będąc uwiecznione przy wejściu, wpadało do niego z góry trochę światła i trochę świeżego powietrza. Jako dowód *okupacyi*, posadziłem na nim Lutka, a z Tadzią udałem się na pokład, dla zabrania i przyniesienia materaców.

Wyobraźciez sobie moje nie ledwo przerażenie, kiedy znalazłem chłopczyków płaczących, a materaców ani śladu.

— Gdzie materace? — zapytałem.

— Jakiś Niemiec zabrał — odpowiedział łkając Michaś.

— Dlaczego pozwolił?



— Ja nie dawał; mówiłem że to nasze, ale on mię odepchnął i zabrał. Potém przyszedł jakiś drugi, krzyknął na Władzię bardzo strasznie i zabrał i drugi materac.

W tym czasie nawinął się jakiś oficer okrętowy; wytłumaczyliśmy mu naszą krzywdę.

— Trzeba było lepiej pilnować; teraz nie ma rady, chyba wskażecie winnego, co was okradł, to odbierzem i ukarzem.

Wskazać winnego, który nas okradał! Nie od dziś dnia wskazujem i napróżno.

Poskładawszy więc na owém łożu, raczej skrzyni, nasze manatki i posadziwszy na nich czterech malców, wylazłem na pokład.

Chociaż było zapowiedziano że pasażerowie podpokładowi nie mają prawa wchodzić do sali kajutowej, ani nawet na tylną część okrętu przeznaczoną dla arystokracji, dzięki jednak mojemu wspinałemu palto i nowemu cylindrowi (kapeluszu) udało mi się dostać do sali. Zastałem moje damy siedzące przy stole, na którym zastawione było śniadanie, ale tak obfite i wytworne, że ledwo u nas dawniej w niedziele u marszałka, i to chyba u gubernialnego, coś podobnego zobaczyć było można: na okręcie zaś była tylko środa! Obok moich dam były miejsca nie zajęte. Chciałem był wprzód poskarżyć się przed żoną na moją krzywdę, ale pomyślałem: na co ją biedną martwić? więc kiedy zapytała, czyśmy się rozmieścili i czy nam dobrze będzie? odpowiedziałem że wybornie!

W téj chwili posługujący garson, sądząc zapewne że należą do kajutowych, podał mi krzesło i półmisek, na którym wdzęczył się pasztet na zimno. *Mea culpa!* skusilem się... przyjaciele! zmówcie pacierz na odpuszczenie mojego grzechu... wziąłem nie śmiało kawał pasztetu i nawet parę łyżek sosu. Po chwili zmieniono talerz i podano jakąś potrawę z drobiu (*sauce piquante*). Nabrałem tego śmielęj. Potém—dalibóg nie kłamię—postrzegłem na stole: *węgorz po talarSKU...* aż mi ły zakręciły się w oczach, bo to mi przypomniało Warszawę i Stępkowskiego! A że pierwszy krok najtrudniejszy, już był zrobiony, zuchwałą więc ręką przysunąłem półmisek i porwałem ogromne dzwono węgorza. Podjadłszy, dopiéro postrzegłem się że nie legalnie postąpił, zatem z deseru wziąłem tylko jedno spore grono winogron. *Post pisces, vinum misces*, powiadał ś. p. mój rodzic, częstując postnym obiadem proboszcza lub innych bogobojnych gości; więc i ja, już legalnie, kazałem podać butelkę lafitu i zapisać a conto mojej żony.

Zdaje mi się że każdy z nas, *podjadłszy*, skłonniejszym jest do uczuć rodzinnych niż na czczo; zatem i ja przypominałem swoje głodne dziatki pod pokładem. Nie jestem pewny, ale zdaje mi się że moja magnifika, jakieś słówko w tym względzie dorzuciła, zabrawszy więc z kajuty moich dam worek z wiktuałami, zaniosłem malcom.

Na Baltimorze już się jakoś wszystko uporządkowało i parostatek zaczął odbijać od brzegu. Dészcz ustał. Wielu pasażerów

wyległo na pokład, ja zaś w tym czasie zabrałem z kajuty moich dam palt, szale, worki podróżne na poduszki, aby jakkolwiek usłać legowisko dla dzieci.

Koło piątój, parostatek już na morzu, zaczął się lekko kołysać i zmierzch zapadł. Jakoś złożyła się muzyka amatorska z dwóch czy z trzech harmonik, i niemki zaczęły kręcić się walca. Dziwnie przykrą wydawała mi się wesołość tych istot w chwili opuszczania rodzinnego kraju, którego prawdopodobnie już nigdy nie zobaczą. Poszedłem na tył okrętu patrzeć bezmyślnie na bruzdę, na fale niemieckiego morza i jakoś mimowolnie zacząłem mruzczyć prześliczną piosnkę Moniuszki o jaskółce:

Dokądże to z ranną gwiazdką,  
Jaskółteczka smutna leci:  
Czy zły człowiek popsuł gniazdko,  
Czy ci jastrząb pobił dzieci?...

Przemruczawszy całą piosnkę, aż dostów: „I nie wprzódy z dziećmi wrócę, aż znów na mszę wezwą dzwony“; postrzegłem że nie słusznie miałem żal do tancerzy: kiedy mój smutek wyraził się piosnką, ich mógł się wyrazić tańcem.

Zajrzałem przez okno wychodzące na pokład: w sali kajutowej jedli obiad, widziałem moją teścię i córkę smaczno zjadające... żony nie było. Dopiero po skończeniu obiadu wyszła na pokład. Usiedliśmy na ławce.

— Dlaczego nie jadłaś obiadu?—zapytałem.

— Nie miałam apetytu.

— Czy tylko dlatego?

Zawahała się z odpowiedzią. Nie pytałem dalej. Znosząc już od lat czternastu bez ósmiu dni jarzmo małżeńskie, domyśliłem się że moja pocziwa Marynia dlatego nie jadła należącego jój obiadu, że ja zjadł nie należne mi śniadanie. Proszę tu co poradzić z taką dobrodziką?!

Znużony przeszłą bezsenną nocą, poszedłem pod pokład do naszego gniazdko. Dzieci już spały, wszakże niebożęta nie zapomniały o mnie; położyły mi *sac de voyage* pod głowę, zastały mańtuki prześcieradełko, a Michaś ofiarował swoją kołderkę. Nakryłem pocziwe dziecko, a sam jak byłem ubrany, rzuciłem się do skrzyni.

Przyznam się wam szczerze kochani przyjaciele i czytelnicy tych listów, że w mojem trochę awanturniczém życiu było się i na wozie i pod wozem: spało się w młodości na klepisku na sianie, na bilardzie, a nawet w omnibusie żydowskim; ale teraz na starość spać na gołych deskach, wydało się dziwnie nieprzyjemném. Wszakże wiele ten czyni co musi. Zmówiwszy więc Anioł Pański za dusze Prokusta i Madeja, których łoża były podobno jeszcze mniej wygodne, usnąłem. Nie na długo jednak. Daleko jeszcze przededniem

rozbudził mnie zaduch do niewytrzymania. Pojęcie o tém może mieć tylko ten, komu los dozwolił przepędzać noce po stepach. Do tego dołączyć jeszcze wypada chorobę morską, której już niektórzy pasażerowie ulegli, a ztąd wymioty, czkawki, jęki, klątwy... Nie mogąc dłużej wytrzymać wylazłem na pokład, tam już zastałem kilkanaście osób z téj co i ja kategorii. Była godzina druga ranna, a więc do dnia daleko. Szczęściem miałem na sobie modny płaszczyk, który chociaż bez rękawów, zabezpieczał mię trochę od chłodu. Usiadłem na ławce i pograżyłem się w dumania.

Z nastaniem dnia, pokład się bardziej ożywił, ja poszedłem zobaczyć dzieci: już się rozbudziły, a rzeczy były w całości.

Okolo 8-ój każdy z pasażerów podpokładowych udał się z naczyniem blaszaném, po ranną kawę, którą rozdawano w kuchni. Udałem się i ja tam z synami. Nalano nam pełną blaszankę kawy, nawet zabielonéj dano kawał białego bardzo, nie złego chleba i masła. Przyznam się że przed kilku jeszcze tygodniami, kawę podobną odsunąłbym ze wstrętem, ale na okręcie wychyliłem poządliwie: napród była gorąca a ja przeziębły, powtóre miała przyprawy, o których wspomina jakiś autor łaciński czy grecki. Ej tylko czy nie Cornelius Nepos? „Fames, sitis, cursus: his enim rebus epulae Lacedemoniorum condiuntur.“ (Głód, pragnienie, bieganie: te bowiem przyprawy wchodzą do potraw Spartanów).

Teraz wypadało starać się o materace. Prosiłem jakiegoś majtka aby mi moje wyszukał. Odpowiedział: że to niepodobna, ale jeśli mu dam parę talarów, to mi pożyczę swojego na cały czas podróży. Przystałem chętnie na to: jakoż mi wraz przyniósł, ale było to coś tak brudnego, że doprawdy za lepszych czasów (bo dobrych nam nie sądzono zaznać) mój kundel spał na czystsiejm.

Morze było spokojne, czas pogodny i ciepły, brzegów nie widać, ale okręta spotykaliśmy co chwila; *Baltimore* ślizgała się prędko po powierzchni wód, choroba morska ustała, chociaż dotąd nikt z naszej rodziny takowój nie uległ. Dzieci nasze były uszczęśliwione: wszystko je bawiło, zajmowało; wszystko im trzeba było objaśniać, tłumaczyć. Ujrzałem moje damy na pokładzie na stronie kajutowój. Nie zważając na zakaz poszedłem do nich: przepędziły noc wygodnie, były zdrowe; jedno i drugie śniadanie zjadły z apetytem i przygotowały się do obiadu. W ciągu gawędki moja pani zapytała mnie: po co tyle łodzi, a było ich ośm, przyczepiono nad pokładem? Musiałem odpowiedziéć, że to w razie nieszczęśliwego wypadku jedyny ratunek dla pasażerów i załogi okrętu.

— Wiele osób może się na każdój z nich pomieścić?

— Okolo dwudziestu.

— Więc 160, a nas jest 1063, i pokazała mi listę drukowaną pasażerów, którą rozdano po kajutach. Cóż się stanie z dziećmi?

— Jeżeli rozbicie nastąpi przy brzegach, to łodzie mogą zwrócić się po kilka razy.

— A jeżeli na pełnym morzu?

— Ha! naowczas jak pan Bóg da.

Zamyśliłiśmy się oboje. Po chwili jednak zrobiliśmy stałe postanowienie: jeżeli wypadek jaki spotka parostatek nie przy brzegach, okrętu nie opuszczać i zginąć z nim razem. Co do dzieci, *dotąd* nie mogę zgodzić się na jedno; są racje za i przeciw. Jeżeli ja jestem za powrzcucaniem do łodzi lub morza, żona chce zatrzymać na okręcie; jeżeli w razie pożaru proponuję zatrzymanie przy sobie na płonącym statku, żona upiera się aby powrzucać do morza. Widzicie więc czytelnicy, jak to w tych małżonkach zawsze się gnieździ duch sprzeciwieństwa, zawsze *nie golono a strzyżono*. A jednak, powiem wam pod sekretem, że moja podobno nie jest najgorsza! Sprzeczką dotąd nie jest skończona: kiedyśmy wczoraj zapytali o opinię strony najbardziej interesowane, to jest pozostałe nam dzieci, oświadczyły jednomyślnie, że chcą być tam gdzie mama.

Zadzwoniono na obiad dla nas chudeuszów, rozumie się na okręcie Baltimore 5-go października 1871 roku. Sam nie poszedłem, ale posłałem synów z blaszankami: przynieśli zupę, mięso i chleb. Wszakże zupa tak była przepelniona cebulą, że ja mając wrodzony wstręt do tego specyału, anim się dotknąłem. Nawet dzieci jeść tego nie chciały. Za to tém chętniej zajrzeliśmy do naszego worka, raczej króbkki z wiktuałami, gdzie wśród sérów, wędlin, butek znaleźliśmy dostateczną pociechę. Z herbatą było toż samo: ani ja, ani nawet moje chłopańki nie mogliśmy przełknąć tego w kotle ugotowanego i zabielenego napoju.

Wieczorem służąca z kajut przyszła do nas i z polecenia mojej żony zabrała dwóch młodszych chłopaczków, z tém, że tam i przenocują.

— A cóż kapitan na to?—zapytałem.

— Kapitan wie, sam mnie tu przysłał. Pozwolić nie może, ale oświadczył że nie będzie widzieć.

Widzicie więc że wszędzie *est modus in rebus*. Niezmiernie byłem i jestem wdzięczny kapitanowi za tę prawdziwie łaskę nam czynioną. Jakkolwiek nie należę do czułych ojców, serce mi się jednak krajało na widok tego maleństwa, znoszącego bez skargi wszelkie niewygody życia, których dotąd nie doświadczało. Mniejsza zresztą o pokarm, ale spać na takim barłogu, w brudach, oddychać po całych nocach najszkaradniejszym powietrzem, to i dorosłemu mogłoby zaszkodzić, a cóż dopiero małym dziatkom?

Na pokładzie dowiedziałem się że za kilka godzin, to jest o drugiej po północy, będziemy przepływać cieśninę Kaletańską, a jutro o południu przybijem do angielskiego portu Southampton.

Jakkolwiek byłem bardzo znużony po dwóch prawie bezsen-nych nocach, postanowiłem czuwać i trzecią. A nuż uda mi się raz

jeszcze w życiu ujrzeć szlachetną ziemię Franków? Zabezpieczywszy się więc od chłodu, z zapasem cygar, ulokowałem się na pokładzie na całonocne czuwanie. Długi czas byłem samotny, rozumie się nie licząc straży okrętowej i kapitana, który w chwilach zbliżenia się do lądu powinien być na pokładzie. Pałem cygaro, dumałem i liczyłem godziny, które zegar wydzwaniał a straż okrzykiwała.

Po północy ze wschodów prowadzących do kajut wyszły dwie kobiety otulone w szale i usiadły nie daleko odemnie z lewej strony okrętu, to jest od strony Francji. A one tu po co, pomyślałem, czy im źle w kajutach? I rozgniewany... doprawdy nie pojmuję dlaczego? przeniosłem się na prawą stronę okrętu, na stronę Anglii. Kobiety pocichu rozmawiały z sobą, wydawały się bardzo smutne: ja dumałem.

Nie wiem jak długo tego było; naraz podszedł do kobiet kapitan i wskazując ręką w dal na lewo zawołał: „*France!*“ Zerwały się obie z miejsca i pobięły aż pod samą balustradę okrętu. Poszedłem i ja w tamtą stronę. Istotnie w oddali migało światło: była to latarnia elektryczna na wybrzeżach Francji.

— *Ah! maman*—mówiła jedna z kobiet—*vois-tu cette lumière, c'est la lumière de France! Ce vent vient de France! respirent le parfum de notre patrie.*

I obie zaczęły płakać.

Był to głos i płacz mojej żony. Biędne kobiety! od trzynastu lat opuściły swoją szczęśliwą wówczas ojczyznę, teraz przepływały może o kilka tysięcy, może o kilkaset kroków od niej i nie mogły ją widzieć! Przepędziły jednak noc bezsenną na pokładzie, aby obaczyć choć światło, odetchnąć powietrzem ojczystym.

Musiąłem pocieszać teścię, utulać płaczącą żonę... a i mnie samemu na łzy się zabierało, bo i ja kocham ten szlachetny i nieszczęśliwy kraj. Tu przebyłem najszczęśliwszy rok mojego życia. Tu znalazłem anioła opiekuńczego, wierną towarzyszkę doli i niedoli, która mnie nie opuściła w ciężkiej i długiej chorobie i teraz niby siostra miłosierdzia płynie ze mną do obcych światów. Tu ojciec mojej żony i czterech innych stryjów moich znaleźli tymczasowy lub wieczny przytułek. Tu... ale doszedł nas z kajut płacz Pawełka i moja Marynia, sama nieutulona, pobięła utulać synka. Poszła za nią i matka. Ja zostałem na pokładzie. Na plebejuszowskiej połowie okrętu było także kilka osób. Jakaś staruszka również zanosila się od płaczu: była to, jak się później dowiedziałem, także Francuzka; towarzyszyła swojemu synowi (komuniście) do Ameryki.

Na pokładzie znalazła się cała załoga okrętowa: majtkowie, oficerowie, kapitan. Przepłył nocny cieśniny Kaletańskiej może był najniebezpieczniejszą chwilą naszej podróży, raz z powodu mnóstwa snujących się okrętów, z którymi łatwo się uderzyć (co też nastąpiło w następnym roku, w miesiącu marcu, z naszym poczciwym parostatkim Baltimore); powtóre, z powodu bliskości brzegów. Ztąd też czuj-

ność była nadzwyczajna. Wszystkie latarnie na okręcie były zapalone, dawano sygnały, puszczano rakiety.

Żona moja, uspokoiwszy dziecko, znowu przyszła na pokład. Wpatrywaliśmy się na lewo, gdzie dawało się postrzegać coraz więcej świateł i to dość blisko, ale z powodu ciemnej choć pogodnej nocy, ani brzegów, ani drzew, ani domów widać nie było. Los pozazdrościł moim kobietom i tój pociechy.

Kapitan podszedł do nas znowu i wskazując na lewo, powiedział: „Calais” na prawo: „Douvres”. I od strony angielskiej ujrzeliśmy światła w oddali.

Chcąc oderwać żonę od smutnych myśli, zacząłem przypominać chwile z dziejów obu krajów.

— Oto—mówilem niby bohater z zapomnianej już komedyi „*Wszystkowiedz*”—może z tego brzegu, którego chociaż nie widzimy, ale powinien być bardzo nie daleko, wypłynął przed ośmiuset pięćdziesiąt laty zapewne bez kilku tygodni, a może i miesięcy, Wilhelm zdobywca na podbicie Anglii i pod Hastings...

— Ah! *c'est la Bretagne*—zawołała jeszcze bardziej łkając moja biedna żona—*c'est ma patrie, c'est mon pays natal!*

Musiąłem dać święty pokój (*donner la sainte chambre*) mojej niewczesnej erudycji.

Tymczasem światła z obu stron zaczęły się oddalać, wkrótce zostały za nami, potem znikły. To znaczyło żeśmy przebyli ciasną i wąską i wpłynęli w daleko szerszy kanał *La Manche*. Rozeszliśmy się: żona do kajuty, ja pod pokład na madejowe łożo.

Nazajutrz około dziesiątej, w cudny dzień jesienny, przesunęliśmy się mimo prześlicznej wyspy Wight. Ta strona którąśmy z bliżka i dokładnie widzieli, pokryta parkami, willami, pałacami! a wszędzie tak pięknie, schludno, bogato!

Doprawdy, ta Europa, choć stara, tak jest piękna, ludzie na nią mogliby być tak szczęśliwi, gdyby mieli choć trochę rozumu i odrobiny serca.

W parę godzin wpłynęliśmy do portu Southampton i wpośród tysiąca innych, olbrzymiej i miniaturowej wielkości okrętów, zatrzymaliśmy się w miejscu dla statków bremeńskich przeznaczonem.

Zatrzymajcież się wy drodzy przyjaciele na kilka tygodni z czytaniem dalszego ciągu mojej odysei.

Ulisses, a był to podobno mądry człowiek, przynajmniej miał taką opinię w sąsiedztwie: przez dziesięć lat pładrował po rozmaitych morzach (takież tam i morza!) nim nareszcie, dobrze podstawiając się, dotarł do własnej żony, która również musiała zestarzeć. Ja nie będę się ociągał i daleko dłuższą podróż przez Ocean odbędę w znacznie krótszym czasie, może dlatego że wspólnie z własną magnifiką. Cała zaś moja odyseja przez Ocean ledwo na sporą broszurę wystarczy. Nie łkajcie się więc długich opisów... i do zobaczenia.

# PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

*Chrobacya, Rozbiór Starożytności Słowiańskich.* Napisał Tadeusz Wojciechowski D-r. Fil. Tom I. Kraków 1873.

Dochodząc prawdy jakiego wypadku, dwa mieć możemy źródła wiadomości o nim.

Każdy wypadek pociąga za sobą pewne następstwa, pozostawia po sobie pewne ślady. Z tych następstw rodzą się znowu inne następstwa; pierwsze z nich są bezpośrednim skutkiem wypadku, drugie tylko pośrednim. Pierwsze doprowadzają nas przy badaniu wprost do samego wypadku, drugie tylko do bezpośrednich lub pośrednich następstw wypadku.

Drugim źródłem wiadomości o wypadkach, jest dla nas świadectwo ludzkie. Świadectwo ludzi, równie jak świadectwo rzeczy, może się ściągać albo do samego wypadku, albo do następstw i śladów wypadku.

Obadwa te źródła wiadomości o wypadkach, mogą doprowadzić nas do zupełnej pewności, czasami téż obadwa mogą się okazać zawodne.

Świadectwa ludzi tém większą dają nam rękojmię zbadania prawdy, im więcej są wiarogodne, stanowcze i z sobą zgodne. Stanowcze są wówczas, gdy się odnoszą do samego wypadku; mniej stanowcze, gdy dotyczą tylko następstw i śladów wypadku.

Na pierwszy rzut oka, świadectwu rzeczy, t. j. następstwom i śladom wypadku, bylibyśmy skłonni w dochodzeniu prawdy przyznać pierwszeństwo przed świadectwem ludzkim; pierwsze zdaje się nie ulegać omyłności nieodłącznej od natury ludzkiej, nie jest odbiciem się wypadku w zwierciadle umysłu, przechowanym w obrazie nie zawsze wiernej pamięci; ale jak już powiedzieliśmy, doprowadza nas za przewodem koniecznego związku skutków z przyczyną, wprost lub pośrednio do samego wypadku.

Nie należy wszakże spuszczać z uwagi, że jeżeli związek skutku z przyczyną jest koniecznym, to znajomość nasza tego związku, nie

zawsze jest dokładną. Nie zawsze wykryć zdołamy, z jakich przyczyn powstały pewne skutki. Zależy tu wiele od przenikliwości badacza, od znajomości jego praw rządzących wypadkami i ich następstwem. Jest więc i tu jak przy świadectwie ludzkim, obszerne pole dla omylności. Rzeczy są nieme, lub przynajmniej mówią do nas językiem, którego uczyć się potrzebujemy, abyśmy go zrozumieć zdołali; musimy dopiero tłumaczyć ich świadectwo, a tłumaczenie to, nie zawsze bywa wierne. Zadanie badacza przy tém tłumaczeniu, trudniejsze jest od zadania świadka, który opowiada to tylko, co widział; ztąd łatwość omyłki, przy równych zkądinąd warunkach osobistych i rzeczowych, jest nawet większą dla badacza, niż dla świadka.

Obadwa więc źródła wiadomości naszej o wypadkach, świadectwo ludzi i świadectwo rzeczy, równoważą się z sobą. Powinniśmy, ile możliwości, starać się łączyć je razem; nie mamy prawa przyznawać bezwarunkowo pierwszeństwa jednemu przed drugim. W użyciu tych źródeł badania prawdy, winniśmy zachować równą oględność. Na którym z nich w danym razie głównie polegać nam przyjdzie, zawisło od okoliczności wypadku. Są wypadki tak dostatecznie stwierdzone świadectwem ludzkim, że prawie zbytecznym wydaje się poszukiwać co do nich świadectwa rzeczy. Są znowu ślady wypadków tak widoczne, tak wyraźne, że bez cienia prawie wątpliwości, bez głębokiego rozmysłu, możemy wyprowadzić z nich wnioski o samym wypadku.

I na odwrót: zachodzą wypadki, co do których nie ma świadectwa ludzkiego albo wcale, albo przynajmniej świadectwo to jest bardzo niedostateczne. Są znowu wypadki, których ślady albo już odrazu nie były widoczne, albo biegiem czasu i okolicznościami tak się zataryły, że trzeba nadzwyczajnej przenikliwości, bardzo umiejętne-go badania, ażeby na ich podstawie, coś o samym wypadku wynioskować się dało.

Jeżeli przeważne użycie jednego lub drugiego źródła dla zbadania prawdy wypadku zależy od obfitości względnej tych źródeł w danym razie, to zachodzi inny jeszcze powód, zmieniający stosunek, w jakim obadwa te sposoby badania są używane.

Nie jest tak łatwem, jak się wydawać może napozór, dochodzenie prawdy na podstawie świadectwa ludzkiego. Potrzeba na to głębokiego rozsądku, doświadczenia, biegłości. Jeżeli świadectwo ludzkie, na którym się opieramy, nie jest świadectwem ludzi żyjących; jeżeli jest tylko przechowane w dokumentach: potrzeba jeszcze i nauki osobnej dla wyrozumienia tych dokumentów, zbadania ich wiarygodności, sprostowania ich błędów, zapełnienia ich szczerb, porównania jednego z drugim.

Ale jakkolwiek trudnym jest zadanie tego, kto na podstawie świadectw ludzkich chce dochodzić prawdy wypadku, w ogóle rzecz biorąc, trudniejszym jest jeszcze zadanie badacza, który po śladach



jakie pozostawiły po sobie wypadek i jego następstwa chce dojść do wykrycia samego wypadku. Ażeby dojść prawdy na podstawie świadectwa ludzkiego, potrzeba równej biegłości co dochodząc prawdy na podstawie świadectwa rzeczy; ale w drugim razie potrzeba jeszcze oddzielną nauki, bo ludzie mówią naszym językiem a rzeczy mówią językiem, którego dopiero uczyć się musimy. Zachodzi tu podobny stosunek jak między malarzem i poetą: poeta używa mowy ludzkiej daną wszystkim, malarz potrzebuje farb i pędzla, których użytku dopiero uczyć się musi. Ztąd co do technicznej strony sztuki łatwiej być poetą niż malarzem: jestto jedna z przyczyn dla których wszędzie poezya piérwój się rozwinęła niż malarstwo, a poetyka, nauka poezyi, wyprzedziła traktaty o malarstwie.

Rozejrzawszy się w całym obszarze dziedziny naukowej znajdziemy, że piérwój doszły do względnego stopnia doskonałości nauki oparte na podstawie świadectw ludzkich, piérwój wykształciły te nauki prawidłą umiejętnego używania świadectw i doszły do metody krytycznej w swoich badaniach, niż na równym stopniu wyrobienia stanęły nauki opierające się przeważnie na świadectwie rzeczy, zniewolone ze śladów jakie pozostawiły po sobie wypadki stanowisko filologia klasyczna ze swoją metodą krytyczną, z drugiej nauka przyrody dopiero w naszych czasach dochodząca do właściwej sobie metody umiejętnego badania.

P. Wojciechowski pisarz gruntownie uczony i samoistnie myślący, we wstępie do dzieła, które rozierać zamierzaliśmy, poświęconym metodzie badania starożytności słowiańskich, powiada (s. 12): „Filologowie byli piérwyszymi inicjatorami krytyki historycznej.” Ztąd rozbiegając naczelne zasady krytyki historycznej, p. Wojciechowski oznacza je z początku mianem metody filologicznej. Wykazawszy następnie dlaczego ta metoda idąca od wypadków do ich następstw kolejną, jaką po sobie zachodziły, wydaje mu się nie tylko nieużyteczną, ale nawet szkodliwą w badaniu starożytności słowiańskich, p. Wojciechowski zapożycza się co do metody (s. 40) u logiki i nauk ścisłych, a właściwiej się wyrażając gdzie mówi o Janie Potockim (s. 107), u nauk przyrodniczych, i chce przystosować obie te metody w pewnym między sobą połączeniu do obranego przedmiotu badania.

Metoda druga prowadzi od rzeczy znanych do nieznanich, od pewnych do mniej pewnych. Otóż w historycznym badaniu znanym, pewnym jest stan rzeczy obecny, mniej znanym, mniej pewnym stan dawniejszy. Ztąd ta metoda nakazuje wychodząc ze stanu obecnego cofać się kolejną wypadków do stanu coraz dawniejszego, nie przechodzi od wypadków do ich następstw jak krytyka historyczna, ale z następstw ze stanu obecnego wnioskuje co do przyczyn, co do stanu dawniejszego. Ten odwrotny kierunek badania w stosunku do zalecanego przez metodę historyczną daje p. Wojciechowskiemu pochop do nazwania drugiej metody metodą odwrotną, a w przeciwstawieniu

z nią metoda zwana w początku dzieła filologiczną, otrzymuje (s. 45) nazwę metody progresywniej, t. j. idącej koleją wypadków.

Podaliśmy krótki i bardzo ogólny rys metody, którą p. Wojciechowski do badań starożytności słowiańskich wprowadzić zamierzył. Winniśmy dodać że p. Wojciechowski rozwinął swoje zapatrywanie się na metodę z wielkim zasobem wiedzy i z wielką bystrością poglądu. Dzieło jego pod każdym względem zasługuje na bliższe poznanie wszystkich, którzy się przedmiotem cokolwiek interesują. Bogactwo treści jego jest takie, że nadaremnie usiłowaliśmy je wyczerpać w ramach krótkiego sprawozdania. Po szczegóły odesłać nam wypada czytelników do samego dzieła, chcemy tylko, ku czemu posłużą właśnie wstępne nasze uwagi, podać wskazówkę naszego zapatrywania się na metodę p. Wojciechowskiego.

„Ruch wszystkich umiejętności“ mówi p. Wojciechowski (s. 5) „spowodował nas do użycia nowych sposobów.“ Usiłowanie zaiste chwalebne. Posiłkowanie się na polu pewnej nauki zdobyczami osiągniętymi na polu innych nauk, środkami badania przez te nauki przyswojonymi leży w duchu naszego czasu. Musimy przecież uczynić uwagę, że metoda p. Wojciechowskiego jest właściwie skojarzeniem metody dwóch tylko nauk: filologii i nauk przyrodniczych. Obie te nauki są zapewne bardzo ważne, ale jeszcze nie wyczerpują całej dziedziny naukowej. Nietylko filologia z historią i nauki przyrody badają prawdy wypadków, bada ją jeszcze i prawo. Teorya dowodu, teorya środków dowodu zajmuje niepoślednie miejsce w literaturze prawnej. P. Wojciechowski przy całej obszerności swojej wiedzy zaniedbał tego środka informacji. Przyszaję, że w dziełach prawników środki dowodu traktowane są empirycznie; nie znam przynajmniej żadnego dzieła aż do najnowszych, któreby ten przedmiot z wyższym poglądem rozbiegało. Pomimo to sam już nagromadzony obfity materiał, samo wiekowe jego obrobienie wykształciło na polu prawnictwa teoryę środków dowodu o tyle, że łatwo nam było w uwagach wstępnych rozpoczynających niniejszy artykuł ująć w ogólne pojęcia przedmiot należycie na tém polu rozświetlony. Do pełnej świadomości w przedmiocie metody, p. Wojciechowski pomimo całego zasobu swojej wiedzy nie doszedł. Filologia dała mu metodę korzystania ze świadectw ludzi, nauki przyrodnicze stały mu się wskazówką dochodzenia przyczyn ze skutków, wnioskowania o wypadkach z ich następstw, czyli używania świadectwa rzeczy obok świadectwa ludzi; ale stosunek wzajemny dwóch tych sposobów badania prawdy nie stał się dla niego tak jasnym, jak gdyby posiłkował się był teoryą prawną uwzględniającą oddawna oba rodzaje dochodzenia. P. Wojciechowski dochodząc z usilnością i mozołem do właściwej zdaniem jego na polu przez siebie obranem, metody badania, tworzy nie zawsze szczęśliwie nazwy na oznaczenie stosunków na innem polu naukowym już dobrze znanych, a czerpiąc swój materiał z dwóch tylko źródeł, nie jest w stanie przedstawić go w formie ogólnej, która sama

dopiero do skarbnicy wiedzy powszechnej wciela szczegółowe zdobycze nauki.

Żaden prawnik np. nie zgodzi się z p. Wojciechowskim, kiedy ten dzieli źródła (t. j. dla prawnika środki dowodu) na dwie kategorie według tego czy mają, jak się wyraża przeważną wartość wiadomościową, czy dowodową, i kiedy dalej (s. 103) twierdzi że źródłami dowodowymi są tylko świadectwa etnograficzno historyczne (t. j. ślady obecne wypadków dawnych). Widać tu, niech nam wybaczy p. Wojciechowski, myśl łąwiącą się jeszcze z wyrażeniem. Jego źródła wiadomościowe i źródła dowodowe są to neologizmy, że nie powiem barbarzyzny, które nigdy nie przejdą w powszechne używanie. Powszechność nie nazwie zeznania świadka źródłem wiadomościowym i nie zgodzi się z p. Wojciechowskim na to, żeby moc dowodu z wyłączeniem świadectw ludzkich przywiązać tylko do śladów jakie dochodzony wypadek po sobie pozostawił. P. Wojciechowski wprawdzie nie daje swoim zasadom krytycznym ogólnego znaczenia, doniosłość ich ogranicza do badania starożytności słowiańskich; nie odmawia wagi świadectwu ludzi, twierdzi tylko że w danym razie nie znamy przedmiotu do którego świadectwo to się odnosi i że naprzód poznać go winniśmy. Ale wyrażenia jego idą widocznie dalej niż myśl, która się w nich zawiera. Metoda badania starożytności słowiańskich musi przecież zostawać w związku z ogólnymi zasadami badania i być tylko ich zmodyfikowanym zastosowaniem. P. Wojciechowski nie przedstawił tej zmodyfikowanej metody na tle ogólnych zasad i dlatego właśnie nie doszedł w jej przedstawieniu do pożądanej jasności.

Nie zupełna świadomość własnej metody pochodzi u p. Wojciechowskiego w części jeszcze i ztąd, że element metody zapożyczony z nauk przyrodniczych wszedł do jego badań jednym tylko punktem zetknięcia tych nauk z historią. Tym punktem jest etnografia. Ztąd właściwym zakresem metody nazwanej przez p. Wojciechowskiego odwrotną, na polu starożytności słowiańskich, jest według niego badanie etnograficzno-historyczne. Tak stoi we wstępie p. Wojciechowskiego. Ale myliłby się ten, kto, przynajmniej w tomie obecnie ogłoszonym pracy p. Wojciechowskiego, (zapowiedziane są i dalsze), szukałby przeważnie rozwiązania zagadek etnograficznych. Badania p. Wojciechowskiego rzucają wiele światła na historią osiedlenia, na stosunki społeczne, na stan osób w dawniej Małopolsce, a nawet i w całej Polsce w czasach od nas odległych, co wszystko ma zapewne z etnografią związek (p. s. 128), ale za ledwie usprawiedliwiłoby nazwę badania etnograficznego. Widocznie zastosowanie metody odwrotnej (wolelibyśmy nazwę metody wstecz idącej) nie ogranicza się w dziedzinie historii do samych tylko badań etnograficznych. Za pomocą wnioskowania z następstw na przyczyny, możemy, np. z wykopywanych monet arabskich lub rzymskich, wnioskować o stosunkach handlowych w czasach bardzo

odległych, co będąc zastosowaniem metody odwrotnej, nie jest przecież badaniem etnograficznym.

Zamknijmy na tém nasze uwagi nad wstępem dzieła p. Wojciechowskiego, traktującym o metodzie badania starożytności słowiańskich. W ramach niniejszego artykułu, uwagi nasze mogły być tylko bardzo ogólne, lecz dzieło p. Wojciechowskiego nie jest z rzędu tych, które się w krótkiej recenzji wyczerpać dają. Jest to owoc usilnej i samoistnej pracy, który i dla nas, i dla następców, na długo pożywienia dostarczy.

Do zalet p. Wojciechowskiego dodać należy i tę, że trzeźwo pogląda na wartość metody przez siebie zalecanej w dziedzinie historii. Nie tai przed sobą, że ta metoda oparta na wzroście i ustaleniu się nowych nauk historycznych, etnografii, lingwistyki, archeologii, jakkolwiek do ważnych odkryć prowadzić może, jest przecie w dziedzinie historii tylko pomocniczą (s. 107). „Historia,” mówi on z wielką trafnością (s. 100) „z natury swój sprzeciwia się wsteczemu traktowaniu; nie pojmiemy nigdy działań ludzkich, jeżeli pójdziemy od skutków do przyczyn, bo przyczyny każdego najdrobniejszego faktu, są tak liczne, a w większej części na zawsze nieznanne, że nigdy nie potrafimy wywieść z danego skutku całej masy jego przyczyn.”

Przechodząc od rozbioru traktatu p. Wojciechowskiego o metodzie, jakiej się w badaniu starożytności słowiańskich trzymać należy, do zastosowania przez niego tej metody, znajdujemy najprzód, że p. Wojciechowski w ciągu swego dzieła, znacznie ścieśnił zakres stosowania tej metody. Wyliczając (s. 128) wszelkie w najobszerniejszym znaczeniu etnograficzne dane, które za podstawę badań starożytności słowiańskich służyćby mogły, dodaje on: fakta antropologiczne, socyalne a nawet i archeologiczne, mają w badaniu starożytnym tę niedogodność, że nauki teoretyczne, odpowiadające tym przedmiotom, nie osiągnęły dotąd takiej ścisłości umiętnej, skutkiem której każdy fakt badany, podlegałby tylko jednemu tłumaczeniu i, w jednym kierunku.” Gdy lingwistyka pomiędzy wszystkimi naukami etnograficznymi, najbardziej zbliżyła się do doskonałości umiętnej ścisłej, gdy przytém fakta lingwistyczne mają szczególną wartość, jako źródła wiedzy historycznej: przeto p. Wojciechowski oparł całe swoje badanie etnograficzne Chrobacy na rozbiorze faktów lingwistycznych (s. 129).

Z faktów lingwistycznych czyli z zasobu językowego, największą dla badacza historycznego mają wartość nazwy miejscowe. Na tych nazwach oparł głównie p. Wojciechowski swoje badania. Materiał badania czyli zasób nazw miejscowych zaczerpnął p. Wojciechowski w urzędowym rękopiśmiennym spisie, będącym własnością hr. Aleksandra Przeddzieckiego, zatytułowanym: „Konskrypcya miast, miasteczek i wsi z regestrów oryginalnych dwojga pogłównego, anni 1676, przez województwa, ziemie i powiaty.

Zbioru stosunkowo tak późnego nazw miejscowych Mało-polskich, użył za podstawny materyał swojej pracy p. Wojciechowski dlatego, że zbiór dawniejszy z XV wieku (*Liber beneficiorum Długosza*) jest znacznie uszkodzonym i nie podaje całości. Wykazy nowoczesne nazw miejscowych odrzucił znowu dlatego, że jakkolwiek kompletne, rozpadają się na podziały administracyjne zbyt nowe, nie przedstawiając materyału w naturalnym związku (str. 142, 143).

Do pomocy i porównania nazw miejscowych użył p. Wojciechowski wyliczonych przez siebie spisów tych nazw bydgoskich, szlązkich, czeskich, kroackich <sup>1)</sup> i węgierskich.

Następuje po tém (str. 145 i in.) właściwa treść dzieła, to jest rozbiór krytyczny i rozbiór historyczny nazw miejscowych.

Chociażby ze strony czytelników spotkać miał nas zarzut, że w ciągu niniejszego artykułu zaostrzamy tylko ich ciekawość nie zaspakajając jój wcale, niepodobna nam przecież przedstawić jak-byśmy sobie życzyli wynikiłości badań p. Wojciechowskiego. Powiemy w ogóle, że wynikiłości te są ważne i ciekawe; lecz gdy część ogłoszona jest tylko pierwszą częścią pracy pana Wojciechowskiego, o ich zasadności i o ich doniosłości nie można jeszcze stanowczo wyrzekać. Przytém nowość rezultatów p. Wojciechowskiego jest taka, że przedstawiając same tylko rezultaty bez ich uzasadnienia, wprowadzilibyśmy czytelnika w niedowierzające zdziwienie, ale nie zjednalibyśmy jego przekonania dla rezultatów poważnej pracy. Lepiej więc zapoznać się z rezultatami p. Wojciechowskiego w samém jego dziele, które na to ze wszech miar zasługuje, niż powziąć o nich pobieżną wiadomość z niedostatecznego streszczenia.

Odsyłając z tego względu czytelników do samego dzieła, nie uczynilibyśmy zadość obowiązkowi krytyki, gdybyśmy, skoro nie jest jeszcze dla nas możliwém oznaczyć nasze stanowisko co do całości, dotąd nie ogłoszonej, pracy p. Wojciechowskiego, nie zamieścili tu szczegółowych przynajmniej postrzeżeń, jakie nam niektóre miejsca dzieła p. Wojciechowskiego nastęrczyły.

Na str. 216 w bulli Hadryana IV z roku 1155 w ustępie: „*quos omnes cum D. Mestco convictos decimos Gedchenses vellet abducere*“ wyrazy „*convictos decimos gedchenses*“ tłumaczy pan Wojciechowski przez przekonanych prawnie, że winni są dziesięć do grodu Gdeckiego. Atoli nie chodziło tu o dziesięć; *decimi* byli rodzajem niewolnych poddanych, o których pisze Helcel (*Bibl. Warsz. r. 1863 III str. 9*) że ani ich pierwotnych powinności odpowiednich nazwie, ani nawet polskiej ich nazwy dokładnie nie poznajemy dotąd. Być

<sup>1)</sup> Co do kroackich przywodzi p. Wojciechowski spis wydany w r. 1867. Istnieje późniejszy i zupełniejszy, bo obejmujący i Dalmacyą p. t. *Miestopiani riecznik kraliowinah Dalmacije, Hervatske i Slavonie uredio Vinko Sabliar eto. U Zagrebu 1866.*

może, że ci *decimi* składali jakąś część swoich pożytków panującemu, ale téj hipotezy nie należało używać za podstawę tłumaczenia.

Na str. 226 p. Wojciechowski tłumaczy nazwy *hospites, advenae* przez siedlacy, siedlce, opierając się na dokumencie czeskim u Erbena, gdzie stoi *villam cum hospitibus* Siedlce. Ponieważ jednak w naszych dyplomatach mamy wyrażenie *homines sedentes*, co jest łacińskiem tłumaczeniem siedlców; ponieważ mamy w dyplomacie z roku 1257 nazwę *advenae* wytłumaczoną przez załazy (zalassi), więc nie możemy na podstawie miejsca w Erbenie inaczéj także dającego się wytłumaczyć, i ściągającego się zresztą tylko do *hospites*, tłumaczyć *hospites i advenae* przez siedlców, zwłaszcza, gdy łacińskie nazwy nie zawierają pojęcia osiedlenia. Dlatego trwam przy moim tłumaczeniu, (p. Miejscowości w Królestwie Polskiem i t. d. Bibl. Warsz. r. 1872). *Homines sedentes*—siedlce, sielce; *hospites*—goście; *advenae*—łazy, załazy.

Na str. 227 p. Wojciechowski pisze: „Zastanawia mocno, że w procesie głąbowskiem chłop książęcy wystawił pretensją prawną do dziedziczenia i wygrał sprawę. Jest to ile wiem, jedyny wypadek w tym rodzaju, którego nie umiem wcale wyjaśnić.“

Wyjaśnienie zdaje mi się być następujące:

W wiekach średnich nie było jednostajności w niczem. Popęd do uogólnienia tak mocny w późniejszych czasach, jeszcze był nie nastał. Były to wieki przywilejów a nie praw. Ztąd każdy stan ludzi przedstawiał najrozmaitsze w swoim stanowisku odcienia. Nic błędniejszego jak uważać wszystkich illiberi za jedną zarówno wszelkich praw pozbawioną klasę ludzi. Najwyższy może stopień tych illiberi, stanowili tak zwani haeredes, dziedzice, nazwa którą się w spisie naszych miejscowości spotyka, jak na to zwróciłem już uwagę w rozprawie o Miejscowościach. Ci haeredés występujący już w najstarszych naszych dyplomatach, tynieckim i płockim, mieli prawo dziedziczenia swych osad, bo inaczéj nie nazywaliby się haeredes, chociaż wolnemi nie byli. Do takich haeredes należał i włościanin, o którym w danym wypadku jest mowa, i dlatego chłop książęcy, jak pisze p. Wojciechowski, wygrał sprawę.

Na str. 228, za najdawniejszą nazwę ludności rolniczej u nas, uważa p. Wojciechowski miano chłopów „nie upierając się jednak koniecznie za autentycznością tego terminu“ a zarzucając naszym archeologom i prawnikom że odgrywa w nich szeroką rolę na zapełnienie pierwotnych dziejów i praw słowiańskich, *kmieć*, nowość która pojawiła się u nas dopiero po wprowadzeniu lokacyi na prawie niemieckiem.

Hipotezy p. Wojciechowskiego co do wyrazu chłop nie uważam, przynajmniej w ogólności, za uzasadnioną, sądząc że najdawniejsza, choć zapewne nie ogólna nazwa rolników naszych była siedlce. Ze nazwa ta nie była ogólna, wnoszę ztąd, iż nazwy łacińskie na oznaczenie ludności rolniczej są w dyplomatach bardzo roz-

liczne, a że nazwy łacińskie są powiększej części tłumaczeniem odpowiednich polskich, więc i te ostatnie musiały być rozmaite. Lecz główną z tych nazw była Siedlce, bo ta tylko dała początek licznym nazwom miejscowym. Zarzut co do przenoszenia w odległe czasy nazwy kmieć, jakkolwiek w ogóle słuszny, nie dotyka ani profesora Röppel ani mnie (patrz końcowy przypisek do rozprawy o Naroku, w Bibliotece Warszawskiej rok 1871).

Na str. 282, Łaz, łązy są to u p. Wojciechowskiego miejsca wypalone z zarośli i przysposobione na pole orne. Niepodobna mi przyjąć tego tłumaczenia, niczém zresztą nie popartego. P. Wojciechowski wcale nie odgadł wielkiej doniosłości nazwy łązy, do czego przecież miał skazówkę, jeżeli już nie czytał mojej rozprawy o miejscowościach, w przywiedzionej przez siebie (str. 332, 333) glossie do zwierciadła saskiego.

F. Z.

*Z pedagogiki estetycznej. Sześć odczytów Bruno Meyer'a*  
(Aus der ästhetischen Pädagogik. Berlin. Paetel 1873, str. 256  
in 8-vo min.).

Celem wychowania, jak powiada prelegent, powinno być takie uzdatnienie młodzieńca, iżby ten mógł rozumieć przewodnie idee swojego czasu i ze świadomą rozważką brać udział w pracy nad zadaniami społecznej mu ludzkości. Działalność pedagoga powinna rozciągać się nie na samo tylko nauczanie, udzielanie wiadomości uczniowi, na sferę jego poznania, ale téż na „wychowanie“ (Erziehung) czyli kształcenie jego woli. Dziecko powinno w wszystko poznawać chętnie, wykonywać podawane mu wskazówki dobrowolnie, ale nie może przecie być puszczone samopas, nie może przyswajając potrzebnej sobie wiedzy na chybił-trafił, przypadkowo, jak zwierzę, powodując się własnym tylko instynktem. Pedagog musi więc wywierać pewny nacisk na swego wychowanka, otoczyć go pewnym przymusem. W jakim sposobie ma być ten przymus wywierany? Oto, przez działanie na sferę czucia (Empfindungssphäre).

Ale nagrody i kary, napomnienia, prośby i groźby, są to najprostsze i najniezgrabniejsze narzędzia. Pedagogika posiada obecnie subtelniejsze i skuteczniejsze, mianowicie: przezroczystą jasność metody; czystość, barwność i piękność przedstawienia; cały zasób wrażeń i wpływów estetycznych.

Po takim wstępie, prelegent przebiegł główne działy sfery estetycznej, wytykając wady i braki praktykowanego obecnie wychowania, wskazując inne cele i metody. Najpierwszym, najważniejszym i wielostronniejszym przedmiotem nauki, jest język ojczysty i języki klasyczne. Ale dzisiejsze gramatyki łacińskie są właściwie zielnikami form językowych i prawideł, posortowanych pedantycznie, jak

klawisze na fortepianie. Dziecko się mozoli nad niemi, niepojmując kiedy i na co mu się przydadzą w przyszłości. Tymczasem pedagog powinien baczyć pierwój na myśl, niż na jój wyrażenie, a więc poczynając od myśli najprostszyc, prowadzić ucznia podług wymagań logicznego rozwoju, tłumaczyć sposoby składania i tworzenia wyrazów, oraz zdań całyc, a w ćwiczeniach żądać nie dosłownego drobiazgowego tłumaczenia autorów, lecz poprzestawać na swobodném streszczeniu i naśladowaniu. Już przy wykładzie gramatycznym, należy rozwinąć w uczniu poczucie symetrii, harmonii, stosowności i jasności wyrażeń. Dalszy rozwój tego poczucia, będzie służył za przedmiot stylistycę. Dźwięczność mowy najłatwiej może być uwydatnioną przy czytaniu arcydzieł poezyi ojczystej.

Nauczanie muzyki udziela się we wszystkich szkołach niemieckich, lecz prelegent nie jest zadowolony z przyjętej tam metody i sądzi, że poczucie muzykalne nie jest bynajmniej upowszechnione nawet w warstwach najwykształceńszyc społeczeństwa niemieckiego. Na dowód przytacza zabawną przygodę, jaka zaszła na balu uniwersyteckim w Berlinie (w 1868 r.). Tańce się miały zacząć od poloneza, ale orkiestra, stosownie do zwyczaju, wprowadzonego przed kilkoma laty przez samegoż prelegenta, zagrała uwerturę z „Niemej z Portici.“ „Jakże myślicie, co się stało? Wstyd mi nawet powiedzić: cała wykształcona publiczność z rektorem i senatem uniwersyteckim na czele poszła poloneza parami i spacerowała po sali, nie domyślając się wcale że to są dźwięki uwertury.“

Główną przyczynę tej ułomności instynktu muzykalnego upatruje prelegent w używaniu *fortepianu* do nauki początkowej. Każdy instrument dęty czy rżnięty, wydaje ton bezpośrednio pod działaniem grającego, który, przy nieumiejętném nawet użyciu, poznaje przynajmniej naturę i wartość każdego dźwięku, nabywa poczucia, że ten dźwięk od niego samego zależy. Ale w fortepianie wszystkie tony już są gotowe, niezmiennie, stałe; wydobywamy je za pomocą mechanicznych jakichś pośredników; wiemy że ton taki może wydostać niekocznie ręka człowieka ale i każda rzecz martwa, która spadnie na klawisz: nareszcie ton wydobyty pojawia się nagle, ostro i natychmiast cichnie, przebrzmiewa. Dlatego też dla utworzenia pełnej harmonii potrzeba, aby tony te następowały po sobie szybko; dlatego też fortepian z pomiędzy wszystkich instrumentów najbardziej uległ modzie brawury. Jest on bardzo dogodny i potrzebny dla wykształconego artysty, jak dla malarza dogodnym i potrzebnym jest manekin; ale biada początkującemu rzeźbiarzowi lub malarzowi, jeśli zechce studyować naturę podług manekina! Równie szkodliwem jest dla dziecka „kartaczowanie po fortepianie,“ jeśli go nie uczą na innym instrumencie i nie wytłumaczają praw budowy frazesu muzycznego.

Niemniej ważnym jest kształcenie ucznia w sztukach plastycznych. Do tego niezbędnym jest dla każdej szkoły zbiór kopij ze



znakomitych posągów i kamei, stereoskopowe, fotograficzne lub sztychowane widoki znakomitych gmachów, gimnastyka, taniec, wyścigi, zapasy etc. Jestto niezbędnie potrzebném do harmonijnego rozwijania wszystkich sił i władz ludzkich, a właśnie harmonia i wszechstronność stanowić winny główne zadanie pedagogiki. Cel taki daje się wybornie osiągnąć w ogródkach dzieciennych Froebła, które, niestety! dotychczas jeszcze nie są prawie całkiem znane u nas (zapisujemy ze wstydem, że pojedynę niefortunnę próbie, nikt się nie zdobył na urządzenie chociażby jednej takiej szkółki w Warszawie); podobna harmonijność powinna być wprowadzona i do szkół średnich, jeżeli rzucone w wieku dzieciennym nasiona nie mają zmarnieć w wieku chłopięcym.

W końcu prelegent żąda, aby wykłady szkolne więcej, niż to się praktykuje obecnie, korzystały ze społecznych zdobyczy naukowych. Tak na przykład przy nauce religii w klasach wyższych, aby wykładano historję pojęć bóstwa u różnych narodów z charakterystyką kształtów i obrzędów, utworzonych na uczenie rozmaitych bóstw pogańskich, szczególnie w Grecyi. Wyobrażenia, legendy i podania chrześcijańskie powinny być wyjaśniane co do znaczenia i historycznego rozwoju na zabytkach sztuki chrześcijańskiej. Przy wykładzie języków, literatury, historii, potrzeba pokazywać jak najwięcej portretów i rysunków archeologicznych. W wykładzie historii zwracać uwagę przedewszystkiém na życie domowe i na kulturę w każdej epoce. Nauczyciel matematyki musi zwracać uwagę na zastosowanie wymiarów i stosunków do rysunku perspektywicznego, do poręczalności utworów sztuki; naturalista nie powinien zaniedbywać zastosowań technicznych, np. przyrządzania farb, procederów fotograficznych, litograficznych i t. p.

Po dokładniejsze informacje odsyłamy czytelnika do samej książki, w której doświadczony na polu pedagogiczném autor złożył wiele pomysłów zdrowych i trafnych.

T. K.

---

„*Rossyanie w Azji Środkowej*“ przez Fryderyka Hellwalda (Die Russen in Centralasien. Augsburg Butsch. 1873, str. 233, w 8-ce).

Autor, członek wielu towarzystw geograficznych, zebrał bogaty poczet wiadomości urzędowych i naukowych o krajach Turkestanu, sięgając od brzegów morza Kaspijskiego aż do chińskiej Bucharyi i Afganistanu. Zna mnóstwo prac ogłoszonych w Rosyi, zestawił je ze źródłami angielskimi i ze sprawozdaniami słynnego podróżnika Hermana Vambéry, a nadto przestudował starannie odnośny materyał historyczny. Jestto więc książka interesująca. Dla tych wszystkich

którzy mają do czynienia z geografją, etnografją, polityką i historją. Pomiedzy innemi rzeczami ciekawe są dzieje morza Aralskiego oraz rzek Syr-Daryi i Amu-Daryi, starożytnych Jaxartes i Oxus. Po raz kilka morze to nikło i tworzyło się na nowo skutkiem zmiany koryta Amu-Daryi. W starożytności obie rzeki wpadały do morza Kaspijskiego, jak świadczą wszyscy geografowie greccy; w wiekach średnich pomiędzy 600 i 1300 r. po Chrystusie, obie wpadały już do morza Aralskiego, jak świadczą arabscy pisarze. Ale han Mongołów, Oktaj, oblegając miasto Urgendź w 1221 r., rozkopał groblę, która regulowała koryta Amu-Daryi; woda sprawiła wielkie spustoszenia w mieście, a w trzy lata później znajdujemy już wzmiankę u jednego z pisarzy wschodnich (Jakuta), że Oxus wpada od niedawnego czasu do morza Kaspijskiego. A ponieważ morze Aralskie własnych źródeł nie posiada, więc postradawszy główną swą rzekę, wyschło zupełnie i Syr-Darya (Jaxartes) ginęła w piaskach. Posłowie papieża i monarchów chrześcijańskich, udając się w XIII i XIV wieku w głąb Mongolii, przejeżdżali przez to samo miejsce, gdzie znajdowało się morze Aralskie, nie domyślając się żeby tu była kiedyś woda. Pułkownik H. Rawlinson wynalazł rękopism perski z roku 1417, w którym są wzmianki wyraźne o wyschnięciu dawnego jeziora Chowarezmijskiego. Około roku 1500 Oxus znowu zmienił bieg swój, niewiadomo z jakiego powodu, a wody jego utworzyły znow w dawnym zbiorniku morze Aralskie. Autor opowiada szczegółowo wszystkie wyprawy Rosssyan aż do ostatniej chiwańskiej, wtyka niezręczność polityki angielskiej, dowodzi, że utrata Indyów Wschodnich jest rzeczą bardzo możliwą i wróży Rosssyi opanowanie całego handlu Azji.

T. K.

---

## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

---

### WARSZAWA.

*Wrzesień 1873 r.* W ożywionym ruchu umysłowym, rozwija się coraz więcej handel księgarski. Wydawnictwa dzieł poważnych, zaczynają się pojawiać gęściej, odznaczających się tak wartością treści, jak umiejętnym piórem. Trzy encyklopedye wychodzą równocześnie: „Encyklopedia Powszechna“ (mniejsza) S. Orgelbranda; „Encyklopedia ogólna wiedzy ludzkiej“ J. Ungra i „Encyklopedia

Rolnicza“ pod redakcją E. Stawiskiego, księcia Tadeusza Lubomirskiego i S. Przystańskiego.

Z wydawców pism czasowych S. Lewental pierwszy, szczęśliwą myśl powziął dołączenia do *Kłosów*, zbioru zupełnego dzieł Jozefa Korzeniowskiego. Publiczność tę publikacją przyjęła nader sympatycznie i poparła nad wszelkie nadzieje. Cyfra bowiem odbijanych egzemplarzy tych dzieł, doszła do 7500. Za tym przykładem uwieńczonym tak świetnym powodzeniem, Józef Unger ogłosił zbiór poezyj Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli) w dziesięciu tomach, z którego czysty dochód przeznaczono na rzecz wdowy i sierot pozostałych. Przyjaciół zgasłego poety W. Korotyński, zajął się tą redakcją i odpowiedział godnie tak pracowitemu zadaniu. Wydawca „Tygodnika Ilustrowanego“ następnie dał nam nowy przedruk w V tomach „Ramot i Ramotek“ A. Wilkońskiego, ilustrowany. Prenumeratorowie tak *Kłosów*, jak *Tygodnika Ilustrowanego*,“ wydawnictwa pomienione zyskali po niesłychanie obniżonej cenie. J. Unger ogłasza teraz nowe wydanie „*Dziejów literatury w Polsce*“ Syrokomli, którego pierwsza edycja wyczerpaną oddawna już została. Redakcję objął F. M. Sobieszkański kronikarz Warszawy i biegły a sumienny bibliograf, z czego możemy wróżyć o wartości opracowania i szerokiego rozpowszechnienia tak ważnego dzieła. Cena trzech tomów wielce umiarkowana, albowiem dwa ruble wynosi. Nadto pomieniony typograf, równocześnie wydaje „Kartki z podróży 1858—1864 r.“ J. I. Kraszewskiego, tom 2-gi i ostatni w tym samym w 4-ce formacie, jak pierwszy, w ozdobnej edycji z licznymi drzeworytami. Poprzednio, wydawca *Kłosów* na początku roku bieżącego, ogłosił przedpłatę na *Album Matejki* w przepysznym wydaniu. Będzie to pierwsza publikacja wielkich rozmiarów, obejmująca wszystkie utwory genialnego malarza naszego. Wśród tak żywego ruchu, księgarze warszawscy nie pozostali na uboczu. Na czele wszystkich stanęła znana firma *Gebethnera i Wolffa* tak ilością, jak doborem dzieł własnym nakładem podjętych. Po ogłoszeniu komedii Al. hr. Fredry i Syna, w taniach edycjach, (nie licząc wielu publikacji dla młodocianego wieku), księgarnia ta wydała, w drugiej starożytnej edycji: „Historią cywilizacji w Anglii.“ P. T. Buckla w przekładzie Władysława Zawadzkiego (w dwóch tomach): rozpoczęła druk: „*Tłumaczeń A. E. Odyńca i „Listów“* tegoż poety, których treścią jest Mickiewicz; nakładem téżże firmy, wyszły „W. L. Anczyca: „*Obrazki dramatyczne*,“ drukowane w Krakowie. Mamy i prywatnych nakładców, którzy się wśród ogólnego ruchu, odznaczają. Przoduje prof. Adolf Pawiński, wydawnictwem tłumaczenia *Dziejów Anglii* T. B. Macaulaya w X tomach, bez ogłaszania prenumeraty, i po cenie bardzo niskiej, gdyż tom każdy w starannym wydaniu, kosztuje kop. 70, czyli złp. 4 gr. 20. Wyszło już cztery tomy téj publikacji: pierwsze trzy w tłumaczeniu Wład. Bentkowskiego, Tom IV, Adolfa Pełowskiego. O wielu innych wydawnictwach w Warszawie istniejących, po-

wiemy w następnym zeszycie; teraz zwracamy uwagę naszych czytelników, na publikacje w Krakowie, Lwowie i Poznaniu, które są w obiegu handlu księgarskiego u nas. Pierwsze miejsce zajmuje stary Kraków. Już wielokrotnie wspominaliśmy o wydawnictwach pomników do historii polskiej pod kierunkiem J. Szujskiego, o Bibliografii K. Estreichera; teraz przybywa w zeszytach wychodzące tłumaczenie *Odysei*, mistrzowskiem piórem Lucyana Siemieńskiego wykonane i godne uwagi znakomitej wartości dzieło D-ra filozofii Tadeusza Wojciechowskiego: „*Chrobacza. Rozbiór starożytności słowiańskich*,” którego tom pierwszy już mamy i w niniejszym zeszycie o nim podajemy obszerniejsze sprawozdanie. Akademia umiejętności zaczyna rozwijać swoją działalność, i spodziewamy się pożywnych dla nas owoców. W te ślady wstępuje Poznań, a głównie Biblioteka Kórnicka. O jej wydawnictwach w poprzednich zeszytach Biblioteki Warszawskiej, obszernie już mówiliśmy; teraz dodamy nową publikacją *komedyi Plauta* w przekładzie D-ra Jana Wolframa, b. profesora Uniwersytetu Warszawskiego, (Poznań. Drukiem J. I. Kraszewskiego (D-r. W. Lebiński). Z téjże drukarni wychodzą pisma Kaźmierza Brodzińskiego, których dotąd mamy tomów cztery. J. K. Zupański prowadzi dalej wydawnictwa dawne dzieł historycznych, i ma w gotowości *Pana Tadeusza* Mickiewicza z ilustracyami Juljusza Kossaka i Antoniego Zaleskiego.

— We Lwowie za ważniejszych wydawnictw, wymienić należy obszernych rozmiarów, *Zbiór powieści* J. I. Kraszewskiego, które 42 tomu dosięga i oprócz dawniejszych, świezo ogłoszony prospekt księgarni Gubrynowicza i Schmidta na dzieło D-ra Karola Lemkiego w przekładzie Bronisława Zawadzkiego p. n. *Estetyka*, mające wychodzić zeszytami. W oryginale w kilku zaledwie latach, doczekało się już czwartej edycji w Niemczech i tłumaczeń na wiele języków europejskich. Dzieło to ma wysoką wartość praktyczną, zawiera bowiem dokładny i treściwy rozbiór wszystkich gałęzi sztuki, jak architektura, rzeźba, muzyka, malarstwo, poezya, objaśniając je przykładami z historii sztuki, które podaje w starannie wykonanych ilustracyach. Wydawcy zapowiadają dołączenie kilku najważniejszych arcydzieł sztuki krajowej, jako rzeźb Wita Stwosza, obrazów Matejki i Simlera. Tamże, księgarnia polska prowadzi wydawnictwo „Dziejów Powszechnych“ Szlossera i kończy już tom III.

— O nieznanym kompozytorem muzycznym ś. p. Stanisława Moniuszki otrzymujemy w następnym liście p. Jana Karłowicza następujące wiadomości: „Moniuszko, jak wiadomo, odznaczał się obok genialności w swych utworach i niezwykłą płodnością. Wiem z pewnością, że o wielu rzeczach, które napisał był, z czasem nawet zapomniał. Z lat dwudziestu pobytu jego na Litwie pozostało rozproszonych nie mało i to po części nader cennych jego kompozycji. Poszukujemy ich starannie. Dotychczas już ze dwadzieścia wokal-

nych i fortepianowych rzeczy udało nam się odnaleźć, a są pomiędzy niemi prawdziwe brylanty. Taką jest np. pieśń do słów Saffo: „*Trzykroć szczęśliwy*,” inna znowu do słów francuzkich: „*Mère tu n'es plus là*”: na fortepian prześlicznych „Fraszek” kilkanaście, dwie uwertury na cztery ręce, a nawet kontredanse w symfonicznym rodzaju, nakształt znanego zbioru tańców „Le bal” A. Rubinsteina. Te ostatnie rzeczy znalazły się w papierach zmarłego mistrza. Wokalnych najwięcej odszukał po ludziach i ze swéj pamięci p. Ignacy Iwaszkiewicz towarzysz i przyjaciel młodości Moniuszki, pierwszy wykonawca jego śpiewowych utworów. Jest nadzieja odszukania księgi, zawierającej dwie operetki, napisane przez Moniuszkę do słów Wincentego Marcinkiewicza, w czasie pobytu kompozytora naszego w Mińsku, a więc lat trzydzieści temu. Wszystkie te utwory zamierza wkrótce wydać pani Moniuszkowa drogą prenumeraty.“

— Cesarz Austrii w dniu 4 b. m. mianował J. Matejkę dyrektorem Szkoły sztuk pięknych w Krakowie, przyznając mu VI (szóstą) klasę rangi, 2,000 złotych reńskich rocznej pensyi i 4,000. zł. reńsk. dodatku aktywalnego.

Doktor Ziemiałkowski minister, przesłał Matejce list następujący: „Wiedeń, 6-go września 1873 r. Szanowny Panie Dyrektorze! Najjaśniejszy Pan raczył Go zamianować Dyrektorem Szkoły sztuk pięknych w Krakowie, uznając tym sposobem nieocenione zasługi, jakie oddał sztuce malarskiej i niezrównany talent pański. Przesyłając Panu z tego powodu powinszowanie, proszę byś chciał przyjąć wyraz czci, jaką dla Pana jestem przejęty, oraz zapewnienie wysokiego poważania, z którym miło mi pozostać Szanownego Pana Dyrektora prawdziwym sługą. *Ziemiałkowski.*”

— Dramat J. Słowackiego „Mazepa” znany na warszawskiej scenie z ostatniego benefisu Jana Królikowskiego w r. b., ma być wkrótce przedstawionym na scenie petersburskiej, w tłumaczeniu rosyjskiem Puszkarewa, które ma odtwarzać wybornie zalety oryginału. Sztuka przedstawioną będzie na benefis artysty dramatycznego Monachowa, on zaś sam ma wykonać rolę tytułową.

— Wincenty Pol za życia pragnął zebrać wszystkie swe prace i w jednym je zbiorze wydać: śmierć przerwała te zamiary. Po zgonie poety, pozostała rodzina podniosła tę myśl na nowo: utworzył się nawet w tym celu komitet złożony z przyjaciół i znawców, ale okazały się przeszkody nie łatwe do usunięcia. Lucyan Siemieński dla zarządzenia licznym żądaniom, gdy drukowane utwory Pola wyczerpane zostały z obiegu handlu księgarskiego (nakładem księgarni I. M. Himmelblaua w Krakowie), wydał: „Wincenty Pol i jego poetyczne utwory” (liryki, gawędy, dramat). Jestto żywot i ocena pism poetycznych Pola, objaśniona tych pism wyborem. Pomiedzy oddzielnymi utworami zgasłego poety wyszła mała książeczka we Lwowie w r. 1845 p. n. *Obrazy*. Zasluguje i ona na przedruk, gdyż w niej prozą znajdujemy po mistrzowsku skreślone, tak obraz „*Czwartkowego obiadu*”

u króla Stanisława Augusta jak i wspomnień z lat dawniejszych, z niezwykłym talentem skreślonych.

Nakładem tegoż księgarza wyszło piąte wydanie poezji Edmunda Wasilewskiego, uzupełnione utworami z rękopismów nieznanych. Poprzedza je życiorys poety.

— Wyszedł z druku w Krakowie „*Pamiętnik wydziału prawa i administracji*” w C. K. Uniw. Jagiellońskim, na rok szkolny 1872/3. Jestto drugi tom dzieła, którém professorowie tamecznego wydziału prawa pragną zastąpić brak peryodycznego pisma prawniczego. Tom zawiera następujące rozprawy: Skład wydziału, promocye, egzamina rządowe; „O wykładach prawa rzymskiego i obowiązującego prawa cywilnego w uniwersytetach austriackich“, przez prof. D-ra Zalla; „Kredyt jako czynnik ekonomicznego, etycznego, społecznego i politycznego rozwoju społeczeństw“, przez D-ra Mieczysława Bochenka, docenta ekonomii politycznej; „Fortunato Fedeli, pierwszy autor o matery sądowo-lekarskiej, studium historyczno-sądowe lekarskie“, przez prof. D-ra Leona Blumenstoka; „O ustawodawstwie Nieszawskiem Kazimierza Jagiellończyka“, przez D-ra Michała Babrzyńskiego, docenta prawa polskiego.

— We Lwowie, nakładem Karola Wilda wyszło dziełko Dra T. Żulińskiego p. n.: *O obecnym stanie fizyologii i jej przyszłości*. W dziełku tém autor wychodzi z zasady, iż fizjologia w przyszłości zmienić się musi przez rozróżnienie i przyjęcie za podstawę badań biologicznych trzech oddzielnych sfer życia ludzkiego t. j. *fizycznej, intelektualnej i duchowej*. Tegoż autora dziełko p. n. *O trzech sferach życia ludzkiego*, wyszło w roku bieżącym w Warszawie.

— Dowiadujemy się ze sprawozdań z wystawy powszechnéj w Wiedniu, że z działu sztuki otrzymali nasi rodacy medale zaślugi i dyplomy uznania. Z Warszawy: *Konrad Brandel*, za atlas fotograficzny, *Dutkiewicz* za światło-druk, *Kloch* i *Dutkiewicz* za fotografie. *Kostka* i *Mulert*, za portrety fotograficzne, *Fajans Maksymilian*, podwójny medal za litografią, chromolitografią i fotografią; *Lewental Salomon*, za ilustrowane pismo *Kłosa* i drzeworyty, *Mieczkowski Jan*, za portrety fotograficzne; *Orgelbrandowie Hipolit* i *Mieczysław*, za książki, roboty drukarskie, klisze, czcionki i stercotypy; *Regulski Aleksander*, za drzeworyty; *Jan Styś* Warszawianin, kierujący drzeworytnią w czasopiśmie ilustrowanym *Kłosa*, za drzeworyty; *Władysław Walkiewicz*, za produkcyje litograficzne.

W dziale wystawy włoskiej rzeźby, wystawiono prace Teofila Lenartowicza. Prezes komisji włoskiej hr. Boromeo, ukazując je wyrzekł: „Jest to chluba Włoch że posiadają u siebie tak rzadki talent z wieńcem laurowym poezji złączony“ i przesłał naszemu poetce zawiadomienie, iż otrzymał *medal zaślugi*.

— Dr. Henryk Gintl wygotował po niemiecku „Specyalny katalog wystawców z Galicyi i Krakowa na wystawie wiedeńskiej“, z polecenia i nakładem miejscowego wiedeńskiego komitetu galicyjskich

komisji wystawowych. Katalog ten poprzedzony jest wstępem jeograficzno-topograficznym i statystycznym oraz administracyjnym Galicyi, statystyką produkcji tego kraju, a wykaz wystawców i przedmiotów wystawionych podzielony jest na grupy przyjęte na wystawie. Zamyka tę pracę wykaz wystawców galicyjskich, którzy uzyskali odznaczenie; przypada zaś na Galicyę 10 medali za dzieła artystyczne, 6 za postęp, 49 medali zasługi, 5 medali dla współpracowników, 2 za dobry smak, 68 dyplomów uznania, razem przeto 140, co na liczbę 459 wystawców stanowi 30½%. W końcu dodany jest wykaz alfabetyczny wszystkich wystawców. Dziełko to wyjdzie także w języku polskim.

— *Ludwik Wołowski*, znany ekonomista, miał w Wiedniu odczyt w sali niższo-austryackiego stowarzyszenia przemysłowego. Dzienniki tamtejsze twierdzą, że szereg odczytów nie mógł być świetniej i znakomiciej inaugurowanym. Odczyt odbył się po francuzku, prelegent usprawiedliwił się bowiem na wstępie, że nie jest tyle biegłym w języku niemieckim, aby mógł w tej mowie z wszelką swobodą rozwijać swe myśli i zapatrywania. Mówił o znaczeniu wystawy wiedeńskiej, przyczem znalazł sposobność podniesienia w słowach pięknych zapału, idei handlu wolnego. Odczyt przeciągnął się pięć kwadransów w obecności licznie zgromadzonych słuchaczy, którzy często powtarzającemi się oklaskami objawiali mówcy zadowolenie. *Neue Fr. Presse* zdając obszerną sprawę o tym wykładzie, mówi w końcu: „Forma wykładu była zaiste wzorową. Liczne cytaty z Montaigne'a, Voltera, Arystotelesa, Henryka IV, przeplatały odczyt, który bogaty w obrazowania, nader korzystne na ogóle zrobił wrażenie.

— Równocześnie z wystawą powszechną wiedeńską, otwartą została wystawa rodzinnego Archiwum książąt Schwarzenbergów. Składa się ona z dyplomów, któremi rodzina ta w rozmaitych epokach była zaszczycana i z ogromnego zbioru korespondencyj. Znajdują się tu między innymi, ważne materiały i do naszej historii. Są tu listy Władysława IV i Jana Kazimierza małego, a może i zupełnie nieznane.

— W Poznaniu odbyło się w końcu lipca r. b. ogólne zebranie *Towarzystwa pomocy naukowej dla dziewcząt*. Zagaiła rzecz panna Bibijanna Moraczewska, jako przewodnicząca w dyrekcyi, po czem wybrano na przewodniczącą walnemu zgromadzeniu panią Sewerynową hr. Mielżyńską i pod jej prezydencyą dyskusyę prowadzono. Ze sprawozdania dyrekcyi dowiadujemy się, że głównie zajmowano się powiększeniem funduszków, w czem w ogóle powiaty chętną okazywały pomoc, z małemi tylko wyjątkami. Miasto Poznań i 21 powiatów, objęte zakresem towarzystwa; 6 powiatów północno-wschodnich W. Ks. Poznańskiego należy do toruńskiej dyrekcyi takiegoż towarzystwa. Uczennic zgłosiło się dosyć po wsparcie, wszakże najwięcej takich, które chcą być guwernantkami; do innych praktycznych zawodów, z wyjątkiem jeszcze krawiecczyni, mało panienek oka-

zuje chęci. Dyrekcyja zwraca uwagę na potrzebę dobrych kucharek i gospodyń wiejskich, do czego najtrudniej znaleźć kandydatki. Pilonność i prowadzenie się stypendystek były wzorowe. Ze sprawozdania dyrekcyi dowiedziano się, że zgłoszeń o wsparcie, było w tym roku 58: na nauczycielki 15, na krawczynię 23, ochroniarki 7, modniarki 2, gospodynie wiejskie 2, kucharki 2, do szkoły handlu 4, nauczycielkę muzyki 1, prачkę 1. Z tych pobiera stypendyum panienek 31, naukę ukończyło 10, a od 1 b. m. wstępuje na fundusz towarzystwa znowu 5 panienek. Stan kassy wykazuje 1,802 tal. dochodu, a 1,204 tal. rozchodu; w kassie pozostaje 598 tal. P. Łyskowski żąda słusznie, ażeby stypendya dla guwernantek ograniczyć do jak najmniejszej liczby, aby natomiast udzielić pomocy kształcącym się do innych zawodów. Dyrekcyja objaśniła, że tej samej trzyma się zasady. Dalsza dyskusya tyczyła składu dyrekcyi; postanowiono zmianę statutu w tém, aby występujące z dyrekcyi osoby, mogły nanowo być obrane.

— We Lwowie wyszły: „*Wieczorne pieśni*“ czeskiego poety Witosława Halka, tłumaczone przez Władysława Bełzę. Wydanie jest ozdobne, ilustrowane z portretami autora i tłumacza.

— W wychodzącém w Berlinie piśmie: „*Deutsche Kunst-Zeitung* w N-e 21 z miesiąca maja r. b., znajdujemy rozprawę o malarstwie polskiem, zaczynając od Bacciarellego nadwornego malarza Stanisława Augusta. W niej najobszerniejszy ustęp, poświęcony jest znanemu artyście Aleksandrowi Lesserowi, którego portret i życiorys szczegółowy, były niedawno ogłoszone w czasopiśmie *Kłosy*. Z tego téż pisma treść powyższej rozprawy, jest wzięta i źródła wskazane.

— W pyszném wydaniu już otrzymaliśmy przekład *Odyssei* Homera, przez Lucyana Siemieńskiego. Tłumacz własnym nakładem arcydzieło to starój Hellady drukuje w 600 egzemplarzach i wydaje zeszytami. Na czele poprzedza rozprawa o Homerze i Odyssei, w której nieprzyznając Iliady, temu piewcy, uważa za stanowczo własny utwór Homera Odysseję. W dwóch zeszytach wydanych, mieszczą się trzy pierwsze pieśni i początek czwartej. Drukuję się w typografii Leona Paszkowskiego w Krakowie, w wielkiej 8-ce, z ilustracyami odpowiedniami.

— Sędziwy poeta Aleksander Groza wydał nowy utwór p. n. „*Twardowski, misteryum z podań narodowych, w dwóch częściach*“ (w 12-cc, str. 148—144). Poemat ten dramatyczny wyszedł w *Brodach*, drukiem i nakładem J. Rosenheima, w starannój i ozdobnej edycyi.

— W Moskwie wyszła broszura o 36 stronnicach z drukarni Indricha a odbita w liczbie 8,400 egzemplarzy p. n. „*Polstij holdun pan Jan Twardowski*“ (Czarownik polski pan Jan Twardowski). Zkąd autor jój dowiedział się o imieniu sławnego czarodzieja, nie wiemy, gdyż w naszych podaniach takowego nie znajdujemy.



— Wyszła w Krakowie książka p. n. „Rozmowy o koronie polskiej” przez Helenijusza, pisarza znanego z różnych drobnych publikacyj. Są to 2 grube tomy po 600 stronic mające. Pierwsza część poświęcona jest wspomnieniom religijnym, szeregowi legend i cudów dokonanych za przyczyną Matki Boskiej i innych świętych patronów. Spotykamy tu obszernie monografie, oraz wielkie bogactwo szczegółów dat i faktów, dotyczących niektórych zgromadzeń zakonnych. Autor obfity jest bardzo w monografie miejsc, zwłaszcza na Rusi i w monografie rodów, a jakkolwiek w pisaniu ich odznaczał się wielką bezstronnością, przecież publikacją tą oburzył na siebie wiele rodzin, których świeże pochodzenie przypominał.

Drugi tom zawiera dokumenta, pamiętniki, listy i notatki różnych znacniejszych osobistości z ostatniego stulecia. W całym tém dziele, legendowość przeważa nad historycznością i to jest powodem, że ściślej nie wytrzymuje krytyki.

— *Goethe et Schiller* przez *Bossert'a* (Paris Hachette, 1873, str. XVIII i 401, 8-vo). Książka ta powstała z szeregu prelekcyj, wygłoszonych w Sorbonie. W mowie wstępnej autor powiada: „Jeżeli mi wypadnie wyrażać sądy osobiste, będę tego dopełniał z szczerem pragnieniem bezstronności. Nie jestto rzeczą łatwą, wierzyć mi, utrzymać zawsze szalę dokładnie, jeśli się mówi o narodzie obcym i literaturze obcej. Jeśli mi wypadnie przechylić ją na jedną stronę, bądźieto strona niemiecka. Jesteśmy tu we Francji, u siebie: przyjmujemy we własnym domu tych pisarzy niemieckich, o których mam mówić przed wami. Ofiarujemy im gościnność, niechże ta gościnność będzie zupełną i szczerą“. Obietnicę tę autor spełnił rzetelnie. Biografie obu wielkich poetów, stosunki ich wzajemne, wszystkie znakomitsze ich dzieła są uwydatnione piórem życzliwém. W ostatecznym swym sądzie autor wyraża mniemanie, że cała poezya niemiecka urosła na gruncie teologicznym i że ta cecha przebija się w naczelnych utworach Götthego. Z mniemaniami takiém historycy literatury powinni się liczyć, ponieważ pan Bossert poprzednio już wydał dwa inne dzieła: „Literatura niemiecka w wiekach średnich“ i „Goethe, jego poprzednicy i współcześni mu pisarze“ (Klopstock, Herder, Wieland, Lavater).

— Dziwne wrażenie robi broszurka p. *Sacher-Masoch*, „O wartości krytyki“ (Ueber den Werth der Kritik, Leipzig, Günther 1873). Zaczyna od zapytania: czy prassa jest potęgą? i dowodzi, że prassa obecna od czasów Börnego, który nadał krytyce kierunek negacyjny, osobisty, złośliwy, niema wpływu na umysły, a publiczność kieruje się własnymi tylko instynktami, nie oglądając się na zdania krytyków, na ich pochwały lub nagany. Następnie spisuje dla publiczności sążnisty protokół z recenzji, jakimi rozmaite dzienniki witały jego własne utwory, i zajęć, jakie miewał z redaktorami wiedeńskich dzienników. Nie obwijając w bawelnę nadaje dziełom swoim najpochlebniejsz. epitety i osobę własną traktuje z najwyższą admira-

cyą. Sądzi, że krytycy nigdy nie są w stanie ocenić należycie dzieła wielkich poetów, ponieważ ci przynoszą nowe, nieznanne dawniej zasady pięknotwórstwa. Dlategoż autor uważa za potrzebne wytłumaczyć ideę i dążność swoich utworów. Przytaczamy dla ciekawych parę myśli z tej spowiedzi artystycznej. „Testament Kaina“ ma przedstawić całą ludzkość, szczególnie zaś „walkę o byt“ w głównych sferach ludzkich zapasów podług sześciu baseł, które wędrowiec wygłasza w prologu a które służą za temat sześciu częściom: 1) Miłość, 2) Własność, 3) Państwo, 4) Wojna, 5) Praca, 6) Śmierć. Jedną z myśli zasadniczych jest ta, że świat jest czemsiś, o ile być może najgorszym; drugą że człowiek coraz bardziej doskonali się. Takie zasady czerpane z dzieł Schopenhauera i z „instynktów wielkiego plemienia słowiańskiego, do którego przyszłość należy“, zostały przeprowadzone w sześciu utworach: Don Juan z Kołomyi, Kapitulant, Noc księżycowa, Plato, Wenus w futrze i Marcella. Zresztą autor głównie pracował, jak powiada, nad rozwiązaniem kwestyi stosunków płciowych i prokreacji rodzaju ludzkiego.

— Zuana z wielkich nakładów firma Brockhousa dokonała trudnego dzieła, podejmując się wydawnictwa *Biblii* opracowanej przez *Heyser'a* i *Tischendorf'a*. (Biblia Sacra Latina veteris testamenti, Hieronymo interprete ex antiquissima auctoritate in stichos descripta etc.). Za podstawę wzięty jest tekst 1592 r. tak zwany Klementyński, który służył za podstawę wszystkim późniejszym wydaniom (tak zwanym papieżkim). Ale w jednym z włoskich klasztorów (San Salvatore al Monte Amiata) przechował się najdawniejszy z istniejących obecnie tekstów, tak zwany kodeks Amiatyński, pisany w VI wieku, który w wielu ustępach, szczególnie w tłumaczeniu psalmów Dawidowych, różni się od Klementyny. Z polecenia barona Bunsena, uczony Teodor Heyse przez długie lata pracował nad porównywaniem tekstów, lecz pracę tę doprowadził tylko do ksiąg Ezdraszowych. Dokończył ją Tischendorf. Wszystkie warianty są oznaczone w odsyłaczach. Nadto obok tekstu łacińskiego umieszczono tekst grecki Siedmdziesięciu Tłumaczy podług kodeksu synajskiego. Księga obejmuje 1000 stron podzielonych na dwie kolumny.

— *Opis głównego królewskiego archiwum w Wenecyi* (II Regio Archivio generale di Venezia) przez Teodora Toderini, dyrektora, służyć może za wyborny poradnik dla historyków, którzyby chcieli korzystać z bogatych i ważnych zbiorów tego archiwum.

— Wiadomo, iż Rzpłta wenecka, wydała Jezuitów jeszcze w 1806 r., pomimo wstawiania się papieża Aleksandra VII. P. Giuseppe *Cappelletti* zebrał i ogłosił „Dokumenty dyplomatyczne o szkodliwych działaniach Jezuitów przeciwko Rzpłtę“, które jak głosił napis, powinny być czytane w prześwietnej radzie i prześwietnym senacie zawsze, ile razy będzie mowa lub wniosek o powrót OO. Jezuitów do tego miasta.“ Zbiór ten nosi tytuł: *I gesuiti e la repubblica di Venezia* (1873. Venezia, Grimaldo).

— *Wędrowki po Alpach* przez A. W. Grube (Alpenwanderungen. Fahrten auf hohe und höchste Alpenspitzen. Leipzig. Spaarman 1874). Pod tym tytułem ukazał się pierwszy zeszyt dzieła, który ma przedstawić wszystkie łańcuchy i szczyty alpejskie z ich lodowcami i polami lodowatego firnu. Ze sprawozdań podróżników będzie ułożony opis dróg i przygód, towarzyszących wyprawom na szczyty. Styl jest żywy, rysunki są wykonane wybornie sposobem chromatograficznym; całe dzieło wyniesie około 800 stronnic.

— *Ziemioznawstwo powszechne* przewodnik geografii astronomicznej, meteorologii, geologii i biologii przez D-rów Hahn, Hochster i Pokorny. Trzej uczeni, znani zaszczytnie z prac swoich w świecie naukowym, połączonemi siłami ułożyli książkę wyborną do poznania kuli ziemskiej i jej mieszkańców. To tylko jest do zarzucenia, że, wprowadzając teorię Darwina do swych studyów, D-r. Pokorny przemilcza o zarzutach, przeciwko niej stawianych.

— *Katalog* starożytnych monet ze zbioru narodowego numizmatów w *Atenach* (po grecku; komis u Willberga) zawiera opis i rysunki 1750 sztuk monet hiszpańskich, galskich, italskich, półwyspu tauryckiego, sarmackich, dackich, mezyjskich, trackich, macedońskich etc. Wydanie wykonane zostało staraniem kustosa zbiorów Achillesa Portolakas.

† Dnia 25 sierpnia r. b. (1873) w Wilnie zakończył życie *Eustachy* hr. *Tyszkiewicz*, mąż dobrze zasłużony literaturze naszej. Obszerne jego życiorysy podały: *Kłosa*, *Encyklopedia powszechna*, i najświeższe N-ra *Tygodnika Ilustrowanego*.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger*.

# HRABINA KOSEL.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

*J. I. Kraszewskiego.*

Tom II.

---

VIII.

Z dawniej służby, która ją otaczała, nie pozostawiono przy hrabinie nikogo: kobiety obce, twarze nieznane ją otaczały. Obejście się wprawdzie było dosyć łagodne i pierwsze życia potrzeby zaspokojone; lecz od chwili, gdy ją w ręce saskich żołnierzy oddano, niewola stała się widoczną... czuć ją było w każdym kroku. Noc tylko przebyła hrabina Cosel w Lipsku.

Rano urzędnik w peruce przy szpadce, milczący wykonawca z wysoka płynących rozkazów, wszedł do pokoju, w którym noc we łzach i miotaniu się bezsilnym spędziła. Niósł z sobą rozkaz na piśmie od króla, zabrania i przejrzenia wszystkiego, co hrabina miała z sobą.

Spojrzała nań okiem pogardliwym, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę. Zabrano i opieczętowano szkatułki, pa-

piery, kosztowności, przerzucono kufry, przebrano suknie, szukając tego, czego znaleźć nikt nie mógł. Upokarzające to przetrząsanie trwało godzin kilka, ocalało od niego ledwie to, co hrabina miała przy sobie i na sobie.

Gdy urzędnik miał już odchodzić, cisnęła mu jeszcze garść pieniędzy i kilka pierścieni w oczy Cosel, i tak milcząca, jak była w czasie ohydneho zaboru tego, co się zwało jój własnością, odwróciła się wzgardliwie.

Któż potrafi odmalować stan duszy kobiety dumnej, namiętniej, czującej się niewinną, a prześladowanej z zimnem i obrachowanym okrucieństwem? Naprzemian łyzy i gniewy, to omdlenia i do szału podobne obłąkanie i śmiech dziki, obudzały nawet w sługach politowanie nad nieszczęśliwą...

Zaledwie dawszy jój spocząć chwilę, kazano znów siadać do powozu... dokąd? nie mówił nikt.

Oddział żołnierzy na koniach otaczał karetę... jechali do wieczora, pędząc szybko. Na niebie rozognionem po słońca zachodzie, pokazały się mury zamku, wieże i powóz przez ciemną bramę wjechał w podwórze.

Cosel podniosła oczy. Miejsce jój zupełnie było nieznanne. Zamek zdawał się pusty i dawno niezamieszkały. Kilku ludzi oczekiwało u drzwi do niego wiodących. Sługi musiały prowadzić osłabłą po wschodach wązkich, które wiodły na pierwsze piętro. W kilku sklepionych izbach znać było pewne przygotowanie dla jój przyjęcia. Były to stare mieszkania z oknami wązkiemi, z ogromnemi kominy, z grubemi mury, odarte, bez ozdób żadnych, ledwie w sprzęt opatrzone, a więzienny mające pozór.

Cosel rzuciła się na łóżko znękana.

Noc przeszła bez snu, w strasznych marzeniach, które rodzi niewola. Miało się na brzask i niebo pochmurne rumieniło się na wschodzie, sługi spały jeszcze... w korytarzu słychać było chodzącą straż tylko, gdy Cosel wstała i pobiegła do okna, które głęboko w framudze osadzone, dzienny blask przez szyby w oków oprawne przepuszczało.

Widok z tego okna nie mógł jój nic w życiu widzianego przypomnieć. Przed jój oczyma rozciągała się równina, dale-

ko lecąca ku sinym lasom na widnokregu. Wśród niej gdzie-niegdzie sterczała kupka drzew, widać było dachy i z za zieleni słupem wspinał się dym ludzkich ognisk ku niebu. Pusto i cicho było dokoła.

Zamek stał na górze, która urwisto spuszczała się ku małej osadzie. Dołem szedł gościniec, sadzony karłowatemi wierzbami. Na gościńcu nikogo... tylko z głowy spuszczonego porykując, szło stado krów ku pastwiskom i pastuszek odarty je poganiał...

Okolica była nieznaną.

Z sypialni, w której noc spędziła, cichemi krokami weszła Cosel do drugiej obszerniejszej komnaty.

W środku jej stał stół dębowy, przy ścianach dwie ławy i kilka stołków, na murze dwa stare zapyłone dziko patrzące wizerunki...

Nad kominem obity, starty, widny był herb jakiś w kamieniu kuty, z którego tylko została tarcza i hełmy. Za tą komnatą sklepioną, jak pierwsza, była jeszcze krągła izdebka w wieżycy z oknem, na drugą zamku stronę. Tędy widać było lasy i wzgórza, i osady, i znowu inny kraj nieznaną, wśród którego na górach jeszcze, parę gniazd rycerskich sterczało.

W krągłej baszcie było nieco sprzętu... pusta szafa w murze, a na jednej jej pułce, rzucona niegdyś, niepodjęta przez nikogo, wałała się stara biblia poszarpana, rozsypana, pogryzioną przez myszy i warstwą pyłu okryta.

Cosel schwyciła ją chciwie, ale księga z rąk jej się wysliznęła i kartami łóznymi rozproszyła po podłodze.

Z izby drugie drzwiczki żelazne, zaryglowane starannie, wiodły już gdzieś w tajemnicze ciche mury zamczyska, w którym głosu życia ludzkiego słyhać nie było.

Dzień się robił. Jaskółki latały koło okien, zwijając się u gniazd swoich. Cosel wróciła do sypialni. Kobiety już się były pobudziły, ofiarując swe usługi. Ona ich nie potrzebowała. Głód zaspokoiwszy trochę ciepłego napoju, który połknęła sama, nie wiedząc co bierze, poszła do okna. We framudze kamienna ława pozwala usiąść i patrzeć w świat, choć na tym świecie nie było nic, tylko szerokie pole puste i trochę zieleni.

Cosel zwróciła oczy na drogę.

Drogą sunęły się w pole wozy i szli ludzie, pędzono stada; potem tuman kurzu leciał po niej wirując i osiadał gdzieś daleko zmęczony.

Godziny szły nie policzone. W południe zastawiono ja-dło. Jedna z kobiet namawiała do stołu: Cosel poszła i patrząc na swój obiad więzienny rozplakała się.

Inne były owe biesiady gdy przyjmowała królów u siebie, klękających przed jój czarnymi oczyma. Oczy te nie zgasły, ale szczęście jak mara szyderska pierzchnęło... I znowu Cosel szła do okna i znowu patrzyła na drogę, nie przyznawała się sama przed sobą do téj nadziei, że na gościńcu kogoś zobaczyć miała. Wierzyła że Zaklika szukać jój będzie.

Ale tego dnia i następnego na gościńcu nie zobaczyła nikogo oprócz trzód, pastuszków i wozów. Nikt ku zamkowi nie podniósł oczów. Od okna chodziła do okna, dokoła dziko było i pusto. Wieczorem odarty dzieciak zbierał ziele pod murem. Hrabina rzuciła mu ocalony jakiś pieniądz i wychyliwszy się zapytała cichym głosem, jak się zamek nazywa? Dzieciak nie zrozumiał, nie rychło się zebrał na odpowiedź, nie śmiało prze-bąknął: „Nossen“!... i umknął przerażony.

Imie nawet nie dobrze było jój znane. Parę razy przypadkiem niegdyś obilo się o jój uszy. Wiedziała teraz że była w okolicy Drezna i Meissen. Ona, co uwolniła Beichlinga, jego braci i współwinnych, co osładzała los Böttigera, teraz sama przyszła do gorszej niż oni doznali niewoli!

A z niewoli téj nie było w świecie człowieka coby ją chciał lub mógł uwolnić. Przeszedł jój znowu przez myśl Zaklika, ale cóż on mógł jeden przeciw murom, strażom i królowi?

Tak trzeciego popołudnia zadumana spoglądała w dziedzińce, gdy na drodze spostrzegła jeźdźca.

Jechał zwolna od strony Drezna.

Koniowi cugle puścił, rozglądał się ciekawie po okolicy; podniósł głowę ku zamkowi: zdawało się że jeszcze umyślnie zwolnił kroku, czegoś tu szukał oczyma. Opończę miał na sobie szarą; twarz żółta, wychudła przypomniała wiernego sługę; zadrżała i poczęła białą dawać znaki chustką.

Jeździec dobył podobnej i ocierając nią niby opylone czoło, dał téż znak iż spostrzegł ją. Był to w istocie Zaklika. Z posta-

wy, ruchu, choć w dali poznać go mogła. Serce jój silniej uderzyło. Ten przynajmniej człowiek jeden o niej pamiętał... ten jeszcze mógł ją ocalić.

Jadący drogą powoli się tak przesunął oglądając na zamczy-sko i znikł za obrywem góry.

Zaklika siedział zrazu kilka dni w Halli i czatował. Nie ruszał się ztąd, ażeby mógł w ślad puścić się za hrabiną, wreszcie mu Prusacy precz jechać kazali. Namysliwszy się więc, przebrawszy, ruszył do Drezna. Tu udał się wprost do Leh-manna.

Bankier przyjął go widocznie przestraszony, blady; drzwi pozamykał i najprzód pytać zaczął, czy go kto nie widział. Upewniony iż z nikim w Dreźnie ani się spotkał, ani mówił, że wrzekomo służbę porzucił, Lehmann dopiéro odetchnął. Dłu-go jednak nie przyszedł do słowa, a gdy mówić zaczął, zdawało się iż szmeru własnej mowy się lęka.

— Wy nic nie wiecie—rzekł—kto to uczynił, trudno zgadnąć; powoli do tego przyjść musiało zapewne, ale dziś już miary jój nieszczęściu nie będzie. Król w gniewie, a królew-ski gniew zimny, lodowaty, straszny. Gdy król zły jest tylko, przechodzi mu to prędko; gdy obrażony zawężmie się, nieubła-ganym jest.

Cosel zgubiona!

Zaklika słuchał tylko.

— Tak, Cosel jest zgubiona—mówił Lehmann—gdy król komu złe wyrządzi raz, już go ścigać będzie i nie dopuści nigdy do oczu swoich. Cosel mu odmówiła oddania przyrzeczenia jakie jój dał. Ona go nie zwróci, on jój nie przebaczy. Rozkazano zabrać jój wszystko. Löwendahlowi poruczono szukać wszelkiego jój mienia, pieniędzy, klejnotów, summ. Pillnitz zabrano na skarb, inne dobra także.

Król sam polecił szukać i spisać co było, aby, jak mówi, ocalić to dla jój dzieci i wyrwać jój z rąk środki pomsty i ucieczki.

Lehmann się zbliżył do Zakliki.

— Odemnie téż odebrano wszystko. Król przysłał, sprze-ciwić się niepodobna; książki świadczyły.

— Jakto? wszystko! juścić nie tę zatajoną summę, którą mi hrabina u was odebrać poleciła?



To mówiąc dobył zaszytą w rękawie kartkę: bankier wziął ją rękami drżącemi.

— A wiesz ty—spytał—coby było nam dwóm, gdyby tę kartkę i tę sumę odkryto? Poszedłbym do Königsteinu, a moje dzieci z torbami. Flemming, Löwendahl i inni chwyciliby radzi zrzeczność zajrzenia do mojej skrzyni żelaznej.

I ręce mu drżały.

— Więc i tę summę im wydałeś?—zapytał zrozpaczony Zaklika łamiąc ręce.

Lehmann patrzył nań długo, zdawał się walczyć z sobą.

— Słuchaj—rzekł—przysiąż mi najprzód na to co masz najświętszego, że mnie, choćby ci życie wydrzéc chciano nie zdradzisz...

Z szuflady bióra Lehmann wydobyl zastawiony u niego przez ks. Teschen krzyż brylantowy.

— Przysiąż mi na to—zawołał.

Zaklika ujął w ręce krzyż, podniósł palce do góry i zimno rzekł: „przysięgam.“ Złożył potem krzyż do szuflady i dodał: odemnie ci nie trzeba było przysięgi, dość szlacheckiego słowa. Nie zdradził Zaklika nikogo i nie zdradzi.

Chmurno nawisła mu brew.

Lehmann patrzył nań a biały był aż do warg, które mu zastygły ze strachu.

— A jeśli u ciebie znajdują pieniądze gdy cię złapią?

— Najprzód, pieniądze własne mieć mogę, choćby i od tych znaczniejsze; potem i hrabina mi je też dać mogła.

— Ale cokolwiek ona miała, to dziś fiscus zabiera; nawet podarki od niej, nawet powierzone klejnoty, cokolwiek należało do niej kiedy.

— Jam nigdy nic nie miał i u mnie nic szukać nie mogą. Dasz mi te pieniądze?

Lehmann się zawahał jeszcze.

— Mogę być nieszczęśliwym przez ciebie, ja i dzieci moje; ale niech nie mam na sumieniu żem nie ratował w nieszczęściu. Bog jest jeden i nieszczęśliwi u niego wszyscy równi.

Otworzył kufer żelazny, dobył worek i zaczął pocichu liczyć na stole pieniądze. Odetchnął Zaklika i otarł pot z czoła. Spalone wargi szukały napoju: znalazł wodę i wypił całą

karafkę; potem siadł zadumany w końcu stoła, oparł się na łokciu i ze zmęczenia usnął.

Gdy Lehmann zajęty liczeniem zwrócił się ku niemu i zobaczył go uspionym, zrozumiał dopiero co ten człowiek milczący przecierpieć musiał, gdy w tej chwili pierwszej uspokojenia zdjąć go mógł taki sen nagły mimo woli i wiedzy.

Na palcach przeszedł do drugiego krzesła izraelita i usiadł czekając niecierpliwie aż się obudzi. Pragnął on bardzo aby to jak najprędzej nadeszło, gdyż mimo litości nad człowiekiem, lękał się go dłużej mieć w swoim domu.

Zaklika który padł ze znużenia, ale w którym dusza czuwała niespokojna, rozbudził się prędko i prawie przestraszony porwał się z siedzenia. Przetarł oczy: wstyd mu było że się tak słabym okazał.

Rzucił okiem na pieniądze, pocichu zgarnął je do trzosa w którym miał trochę swojego grosza i w milczeniu opasał się nim pod suknią.

Lehmann czekał nic nie mówiąc. Gdy wziął za czapkę Zaklika, bankier się zbliżył do niego i rękę mu położył na ramieniu.

— Bogu tylko jednemu wiadomo, czy się kiedy jeszcze zobaczymy—rzekł—żał mi was szczerze, ale jak od poczciwego czynu hamować? Widziałeś mnie żem się lękał, nie miej za złego człowieka: mam dzieci, a dla nich żyję. Teraz przy rozstaniu nie odmów mi jednej rzeczy, ale posłuchaj wprzód. Miałem hrabinęj summy znaczne i długo, w naszych rękach pieniędzy się mnoży. Rachunki nasze skończone, popłaciłem wszystko, przecież w takiem nieszczęściu człowiek rachować powinien inaczej: weź jeszcze to dla siebie czy dla niej i z Bogiem idź!

Wyciągnął woreczek który trzymał ukryty pod suknią, milcząc prawie gwałtem mu go wcisnął do ręki i dodał:

— Nie byłeś u mnie, nie znasz mnie: ja ciebie nie znam.

— To dla niej—rzekł Zaklika ściskając go za rękę.

— Wyjdz ogrodem—dodał izraelita.

Bał się nadto będąc znajomym pokazać w mieście Rajmund, aźby nie obmyślił co miał czynić. Na przedmieściu nad Elbą zostawił był konia. Stał tam jeszcze wówczas nie jeden domek Wendów, którzy dawniej po całym byli Dreznie rozsiani,

choć z nich dziś nie zostało nic. Za owych czasów gdy przy dworze wisiak, jak mówił, Zaklika nie mając co robić, włóczył się często po przedmieściach: tu go uderzyła mowa do jego własnej podobna. Słuchał długo rozmawiających z sobą Serbów tutejszych i językiem swym zabrał z nimi znajomość. Rybak z którym się najpierw poznajomił zwał się Hawlik, zaprowadził go do swojego ubogiego domu i tak zawiązała się między nimi drużba, która w trwałą przeszła przyjaźń.

Hawlik był katolikiem, Zaklika mu dziecko trzymał do chrztu i pokumawszy się z nim, polubił prostych ludzi. Rodzina była dosyć biedna. Niegdyś mieli oni tu spory pas ziemi, ale im się nie wiodło; z każdego ich nieszczęścia jakiś Niemiec skorzystał: sprzedawali tak kawałami ojcowiznę, aż mało co jój zostało.

Grunt Hawlika przypierał do brzegu rzeki, a ciągnął się ogrodem aż na wyniosły jój brzeg, ale mało z téj piaszczystej ziemi było pożytku. Hawlik téż rolnikiem nie był, wolał stawiać węgierze, isć z niewodem lub z wędką. Czasem się téż poszczęściło na ryby. Życie było ubogie, smutne, lecz się wlokło jakoś z końca w koniec roku.

Zaklika przychodził dawniej do nich często, siadał pod chatą z nimi wieczorami i tak rozmawiali długo o swój biędzie. Wend lepsze czasy pamiętał, wszystko to w okół było nasze, mówił, ale różnemi sposoby wyzegli nas z ojcowizny; teraz się swoim językiem odezwać straszno, a wkrótce nas nie będzie, chyba na cmentarzu szukać; albo trzeba zostać czém nas Bóg nie stworzył, lub wymierać. Po miastach nas nie dopuszczają do niczego: dość by kto Wendem był, aby go popchnięto. Maleje liczba nasza, widzim jak giniemy, a niéma na to ratunku. Znać Bóg skazał na bezpotomny zgon.

A gdy się im z serca wyrwała ich stara pieśń serbska, nie wazyli się jój nucić, chyba po nocy i pocichu i dzieci się jój uczyły ukradkiem.

U Hawlików stawał Zaklika ilekroć mu trzeba było niewidzialnemu być w mieście, dla konia był chléw, choć niepokazny, dla niego posłanie na górce, i misa kaszy na wieszczkę i szklanka piwa, ale serca poczciwe i dłonie serdeczne.

I teraz u nich gościł, radzi mu byli. Nigdy téż o nic nie pytali, ani co robił, ani poco przybył; tylko czy mu się na świecie wiodło, choć z twarzy widzieli że nie bardzo.

Poszedł do nich nocować Zaklika i z myślami się biedzić. Nie wiedział czy mu bezpiecznie się tu pokazać aby języka dostać, i czy go albo nie uwiężą lub nie zatrzymają. Rankiem nazajutrz ostrożnie się zakapturzywszy poszedł mostem naprzeciw Narrenhausu. Tak mu się zdało, iż Fröhlicha spotkawszy najbezpieczniej się od niego coś dowiedzieć potrafi. Stary Fröhlich o swój godzinie szedł lub jechał zawsze, na zamku pełnić służbę, która się zaczynała od śniadania. Można było być pewnym, że się go u mostu o dziewiątej spotka. Dla większego bezpieczeństwa Zaklika usiadł na wschodkach domu Fröhlicha, aby go minąć nie mógł. Jakoż o godzinie naznaczonej stary trefniś ze swym spiczastym kapeluszem i srebrnym kluczem był u drzwi. Zobaczywszy siedzącego, począł go nogą trącać niepoznając.

— Hej, mości panie! jakże mam nazywać? czy mój dom bierzecie za gospodę?

Zaklika się odwrócił, trefniś go poznał.

— Co się to z was zrobiło, mości Unglücku? — zawołał — wyglądasz jakbyś się ożenił? He?

— Powracam z podróży?

— Katolik! prawda? to chyba z czyśca?

— Włóczyłem się po świecie — odparł Zaklika — cóż się tu u was dzieje?

— Co? chcesz żebym ja ci historyografem był tego co na wołowej skórce nie spisać? — rozśmiał się Fröhlich — Co się u nas dzieje? dobryś! Spytaj co się u nas nie dzieje?

Chwycił się za głowę.

— Nie wiecie co się z moją dawną panią stało? — zapytał Zaklika...

— Ani nawet kto była twoja dawna pani?

— Hrabina Cosel.

Fröhlich obejrzał się i palec położył na ustach.

— Cyt! na Boga! któż to imię wspomina? przy królu tego imienia wymówić nie można. Śmiać się niema z czego, a ty wiesz że ja śmiechem żyję i pewnie umrę ze śmiechu <sup>1)</sup>.

— Ale powiedz-że mi choć co się z nią stało?

— Jakto? ty nic nie wiesz? gdzieżeś był?

— Daleko...

— Myślę że i daleko o tém mówić muszą. Ta w której niewoli był pan nasz lat ośm, jest pono w niewoli u niego... i potrwa dłużej jój niewola niż panowanie trwało.

— A gdzież jest?—zapytał Zaklika.

— Mówią że siedzi gdzieś na zamku w Nossen, ale dla niej pewnie co paradniejszego zbudują—rozśmiał się Fröhlich z nałogu a smutnie. Nie! nie! niechciałbym być kobietą. Prawdę rzekłszy i mężczyzną być nie dobrze... a ci śpiewacy włoscy co są nijakiego rodzaju, mówią że i im téż na świecie niekoniecznie wyśmienicie—paplał Fröhlich—gdybym miał do wyboru, chciałbym być... osłem. Mięsa osłego nie jedzą, skóra gruba od kija broni, a gdy długouchy aryę śpiewa, wszyscy uciekają i spokojny: dodaj że apetyt nie wymyślny i starą miotłą żywić się umie.

Możeż być szczęśliwsza istota?

— Nossen! Nossen!—powtarzał zamyślony Zaklika zapomniawszy o trefnisiu.

— Ja o osłe a ty o Nossen! co ci po tém Nossen, nie gadajmy o smutnych rzeczach: bądź zdrów.

Fröhlich włożywszy urzędowy swój uśmiech na usta poszedł, Zaklika został.

Łatwo mu było od Hawlików dowiedzieć się o zamku i drodze do niego i tegoż dnia niepokazując się nikomu ruszył po nad Elbą wskazanym mu gościńcem.

Uradowało go to, że właśnie przybywającego zobaczyła zaraz Cosel, domyślił się jój po białej chustce, a czuł że jój z sobą pociechę przyniesie.

W gospodzie konia postawiwszy, że tu już sami siedzieli Niemcy, Zaklika handlarza grał rolę i skór pytał, i tak się

<sup>1)</sup> Fröhlich istotnie ze śmiechu umarł w Warszawie, zob. Dr. Vehse.

rozgościł pod „złotą podkową“, a niby za towarem chodząc miał czas powoli zamek oglądać.

Były to opuszczone mury, a straż przy Cosel z kilku ledwie składała się ludzi. Nie wpuszczano tam nikogo, ale pilności zbytnej nie było. Okna od mieszkania wysoko stały w murach, nikomu na myśl nie przyszło aby nimi uciekać można; to też i straży u okien żadnej nie postrzegł Zaklika. Żołnierze fajki palili w podwórzu i na korytarzach u drzwi hrabiniej.

Od tyłów zamku podejść nawet pod okna było łatwo, ale że góra była łysa, zewsząd widna, z gościńca mogli ludzie dopatrzeć i wydać.

Ażeby mieć pozór do dłuższego pobytu, drugiej nocy stękać zaczął Zaklika że zachorzał i po kościach mu łamało, że pilno mu było w dalszą drogę, a tu może spoczywać przyjdzie, póki się nie wylize.

Gospodarz z pod złotej podkowy wcale się nie gniewał za to, mając do żywienia konia i człowieka; owszem znajdował iż ostrożność radziła dobrze się wyleżeć i wypocząć, ażby łamanie i darcie odeszło, ku czemu sadło niedźwiedzie w pomoc ofiarował.

Przy wieczerzy już się też rozgadać było można z panem Wuischem, który trzymał gospodę. Zaklika tak się był po sasku wyuczył, że go po wymowie ani było poznać. Szepnął mu zaraz gospodarz, iż na zamek tę panią przywieźli, która na życie króla godziła. Od niego dowiedział się też Rajmund ilu stało żołnierzy na warcie w zamku i jakie przedsiębrano ostrożności. Dwie kobiety, starsza ochmistrzyni i garderobiana, a oprócz tego kucharz i chłopiec składali teraz cały dwór tój pani, której wprzód y zlocista ciżba skinienia patrzyła.

Prawiono dziwy o uwięzionej...

Zaklika został niepodejrzany na drugi dzień, a że dał parę talarów gospodarzowi na zatargowanie skór, bezpieczniejszy już, poszedł z południa niby zamek oglądać i okolicę.

Od jednej strony kędy były lasy i pusty gościniec, prawie niepostrzeżonemu przez zarośla i krzaki podkraść się było można pod mury. Z tój jednak strony czy wychodziło jakie

okno mieszkania Cosel, nie wiedział i musiał to do dalszego zostawić badania.

Wieczorem wziął drugą porcję niedźwiedziego sadła u gospodarza i położył się myśląc, jakby mu zamydlić oczy i pobyt w gospodzie przeciągnąć.

## IX.

Rano gdy przy piwie grzaném siedział w izbie Zaklika, weszło trzech żołnierzy ze straży zamkowej na piwo téż, z wielkim hałasem, bo dawniej żołnierstwo nie chodziło inaczej.

Zaklika w nich poznał zaraz dawniej widywanych na strażach u dworu, i jeden téż z nich pilno przypatrywać mu się zaczął.

— Hej! hej!—rzekł sparłszy się oburącz na stole—my bo się gdzieś znamy?

— Pewnie—odparł Zaklika—bom ci to ja dworsko służył długo, pókim się do handlu nie rzucił, gdy mi ten chléb zbrzydł. Nierazem ja was téż na straży u króla pana miłościwego widział.

— A! toś ten co łamiesz podkowy!—zawołał żołnierz.

— Bywało to, bywało, zem i wołu za róg wzięwszy w miejscu osadził, ale teraz już i z baranem nie wiem czybym téj sztuki dokazał.

Żołnierz mu się skłonił uśmiechając i podparł na stole. Zaklika o piwo dla niego zawołał: przyjaźń się zawiązała dobra...

— No! dostało się nam za pokutę—odezwał się żołnierz—na wartę do Nossen! koło kogo? spódnicy pilnować! Nudno, choć się powiesić.

Żeby choć byli dodali hrabinęj z parę ładnych dziewcząt, ale ochmistrzyni pięćdziesiąt lat, garderobiana ze czterdzieści. Nawet na téj pustyni niéma ochoty z niemi pobaraszkować.

— A długoż będziecie tu siedzieć?

— Któż to może wiedzieć? Już ze snu człowiek puchnie, bo niéma co robić, tylko o mur plecami i chrap...

— W kartyby można grać—rzekł Zaklika.

— Z kim, o co? małoco przy nas grosza, i ochota odpadła...

Ziewnął pijąc piwo, znajomość pożyteczna została zrobiona. Gdy żołnierze po piwie szli do zamku, Zaklika zagadawszy się niby odprowadzać ich zaczął, coraz dalej, coraz dalej aż do bramy, aż w dziedziniec i tak niepostrzegłszy się aż na korytarze się wsunął.

Reszta żołnierzy biwakująca na słomie, nie zdziwiła się przybyszowi; owszem radzi mu byli: siadł z nimi do gawędy i rozruszał znudzonych... Znalazły się karty, przegrał im parę talarów... Dopieroż byli radzi. Gdy odchodził, ciekawość go niby wzięła zamek zobaczyć i tak jawnie się poszedł przejść pod mury, ani mu kto słowo rzekł. Oficer był w miasteczku i grał na gitarze córce rzeźnika.

Jednakże tego dnia więcej nad to dokazać mu się nie udało.

Zaklika chorując ciągle, targując skóry, marudząc, starał się wkraść do zamku; nieposądzano go wcale, jednakże trudności były wielkie, z samego położenia wynikające. Część zamku w której osadzono hrabinę przytykała do drugiej prawie pustej; mieścił się w niej oficer i stary murgrabia z rodziną, który zawiadywał ruiną. Przez żołnierzy potrafił z nim zawiązać znajomość Rajmund i starał się go poznać bliżej. Człek był obarczony rodziną, chciwy i skąpy. Częstując go za swój grosz, wywiedziały się powoli w którą stronę okna mieszkania hrabinę wychodziły i że drzwi żelazne od baszty od których miał klucze murgrabia otwierały się na wielką salę, w której z dawna niepotrzebne urzędowe papiery składano, mając kiedyś do zamku sądy i urzędy powiatowe przeprowadzić. Zaklika wielką okazywał ciekawość ku starym gmachom, radby był zamek oglądać, ale na to stary dozorca zmilczał. Innego dnia rozgadali się o hrabinę, a Polak usiłował ku niej zajęcie i litość obudzić w murgrabi. Popatrzyli na siebie... zmilczał.

— Hrabinie—rzekł Zaklika—pozostało wielu przyjaciół na dworze i są ludzie co zapewniają że kiedyś może jeszcze do władzy powrócić. Nie dziwiłbym się panie Herzog, gdyby który się tu zjawił i waćpanu piękny grosz ofiarował za to, żebyś tylko chwilkę rozmowy z hrabiną ułatwił?

Spojrzał na starego Herzoga, który sobie dłonią brodę gładził mrużąc.



-- Cóżbyście wy poczęli w takim razie? — zapytał Zaklika.

— Byłaby to dyabelska pokusa — odparł stary — zrobiłbym jak Luter: palnąłbym dyabła w łeb kałamarnicą.

Ale stary się uśmiechał.

— A gdyby wam dano trzydzieści talarów? — spytał Rajmund.

— I za talarów trzydzieści poszedłbym na szubienicę — rozśmiał się Herzog. — Wielkim panom to się może upieć gdy co podobnego zrobią, ale chudych pachółków wiodą na rynek i pod stryczek.

— A! nie takąż to wielka winowajczyni hrabina, ani tak by to wielka była wina dać jęj pomówić dwa słowa z przyjacielem...

Takto się gada — dodał Zaklika — aby się gadało, a no gdyby się przyjaciel znalazł, dałby pewnie i pięćdziesiąt.

Herzog popatrzył wielkimi oczyma, usta jak do świstania ściągnął i brodę pogładził. Minę miał śmieszna, sama myśl pięćdziesięciu talarów szła mu jak napój mocny do głowy.

— Jeśli asindziej wiesz o takim przyjacielu hrabinęj, co mógłby dać bitych, twardych talarów pięćdziesiąt, to mu odemnie powiedz niech przyjdzie: pogadamy. Obejrzawszy się wkoło Zaklika rzekł:

— Masz go przed sobą.

— Tegom się zrazu domysłał.

— Obawiać się nie macie czego, żołnierze mnie znają i jestem z nimi dobrze. Zaprowadzicie mnie do sali w tęg godzinie, gdy kobiet nie ma przy hrabinie, gdy ona sama; zapukamy do drzwi... rozmowa długa nie będzie.

— Gdyby nie te baby, co przy nięj są — mruknął Herzog — wszystkoby było łatwém. To nieszczęście, że one się tam mieniają i jedna zawsze siedzi.

— Niech je obiedwie żona wasza zaprosi.

— A! baba o niczém wiedzięć nie powinna.

— Spodziewam się — rzekł Zaklika — ależ ona może zaprosić, nie wiedząc dlaczego... to wasza sprawa.

Narady te trwały długo, Herzog, człęk już bywały do takich robót, wiele okazywał zdolności, byle grosza dostał.

Zdało mu się téż, iż nieszczęśliwa kobieta nie mogła być tak ważnym więźniem stanu.

Jednego tedy dnia, gdy hrabina przechadzała się po sypialni, usłyszała zrazu nieśmiałe, potem coraz wyraźniejsze do drzwi żelaznych w baszcie pukanie. Z bijącym sercem pobiegła do nich i ze swój strony uderzyła w nie. Natychmiast zamek się odryglował, drzwi w zawiasach uchyliły i Zaklika się w nich ukazał.

— Mam tyle tylko czasu, aby pani oznajmić, że jestem tu i będę w okolicy; będę czuwać, a co uczynić się tylko da—zrobię.

— Ułatwić ucieczkę! ucieczkę!—poczęła żywo Cosel,—umrę zaduszona tém powietrzem. Staraj się, płac, czyn co chcesz!

— To dotąd jest prawie niepodobnym, a przynajmniej wymaga czasu—żywo rzekł Zaklika—spuście się na mnie, iż uczynię co tylko w mocy człowieka. Z okna, które wychodzi na tył od baszty, spuście sznurek szary; ponieważ drugi raz rozmowa może być niepodobną, szukajcie na nim kartki.

Oznajmię co zrobię.

Herzog naglił. Zaklika worek z częścią pieniędzy wsunął hrabinie i szepnął: jedną sługę trzeba kupić. Stoję w gospodzie na dole „złota podkowa“...

Drzwi się za nim zamknęły, bo kobiety mogły nadejść; ale w hrabinę duch wstąpił: skłonna do modlitwy, podziękowała Opatrzności, składając ręce i szepcząc dziękczynne wyrazy.

Zaklika, ten sługa biédny, na którego ona z góry swojego królewskiego majestatu zaledwie spoglądać raczyła, nie zdradził ją przecie!

Herzog wziął pięćdziesiąt bitych talarów z nieukrywaną radością. Łatwe ich zdobycie zlakomiło go... Powiedział sobie w duchu, że należało tę dojną krowę spożytkować i wyciągnąć z niej, co tylko się da. Nie tyle więc teraz Zaklika za nim, ile on za Zakliką gonił.

Ten już osnawał projekt uwolnienia hrabinéj, a wykonanie prawie mu się zdawało możliwém, choć wielkiego potrzebowało przygotowania.

Herzog z chęcią go nazajutrz oprowadził po zamku i pokazał mu całą dawną budowę. Była ona niegdyś obronną,

a ze starych murów, podcieniów, przejść, pozostały ganki, które i na zamek się dostać, i z zamku dobyć było można. Jedna taka wycieczka wychodziła prawie na gościniec, a choć jej dawne drzwi zawałone były gruzami, oczyścić je było łatwo.

Ale nie dosyć było z zamku wyjść, należało obmyślić środki ucieczki szybkiej do granicy i miejsce schronienia, którego August nie mógł dosiądz tak łatwo. Stosunki ówczesne z dworem cesarskim i pruskim, nie na ich opiekę rachować nie dozwalały. Zaklika sądził, iż gdyby się udało przebyć Szlązk i dostać do Polski, tam jeszcze najbezpieczniejsze znalazłoby się schronienie. Chociaż stosunki jego z krajem oddawna były zerwane, miał znajomych, krewnych dalekich i powinowatych, a wiedział że Sas, oprócz stronników, miał też mnogich nieprzyjaciół.

Zebrać jednak konie, ludzi i wszystko co było potrzeba do ucieczki, wcale niełatwem się zdało w Saxonii, gdzie dwór miał szpiegów i czujne oko na wszystkich.

Zaklika przywiązał kartkę do sznura nazajutrz i oznajmił, iż jedzie się starać, a przygotowywać do uwolnienia hrabinę. Z Herzogiem zaś na wyjeźdnem w cztery oczy pogadał, nie wyjaśniając mu nic, a łakomiąc obietnicą nie pięćdziesięciu już, ale choćby tysiąca, jeśliby do ważniejszej sprawy przyszło.

— Z tysiącem talarów cichusieńko moglibyście wyciągnąć gdzie nad Ren, wysławszy wprzód rodziny i żylibyście w własnej chacie, jak u Boga za piecem.

Stary nic nie odpowiedział, głową trząsał.

Z żołnierzami na wyjeźdnem, napiwszy się piwa i pożegnawszy ich do widzenia, pod pozorem że tu znów za skórą mi przybędzie, Zaklika ruszył nazad do Drezna. Pieniądze, jakie mu Lehmann wyliczył, mogły na wszystko starczyć, lecz ucieczka musiała je wyczerpać; myślał więc, że gdyby się tylko do Polski udało dostać, tamby już innego trzeba szukać ratunku.

Cosel została po odjeździe jego z rodzajem gorączki, wychekując nowych wieści. Codziennie biegła do okna, ścigała sznurek próżny, spodziewała się jakiejś wiadomości. Nie obrachowywała trudności. Zdało jej się, że człowiek ten musi i powinien ją natychmiast uwolnić, gdy mu objawiła wolę swo-

ję; tymczasem przedsięwzięła zyskać jedną ze służ, którą jęj narzucono.

Obiedwie były chmurne i nieprzyjazne; młodsza wszakże miała poruszenia litościwsze i łagodniejszą twarz. Z nią czasem choć kilka słów przemówić było można. Cosel nie miała zwyczaju inaczej się obchodzić nawet z osobami obcemi, tylko jak królowa do wszystkich mówiła *ty* i zapewniała o swęj łasce. Chodziła, choć uwięziona, zawsze w tym majestacie dawnęj wielkości, czując się małżonką króla.

Nieinaczej téż odzywała się i do Magdaleny, młodszej służi, z którą jednak powoli do łagodniejszego zeszała tonu. Nie potrafiła ją jednak sobie przyswoić, aż narzekając na jęj towarzyszkę i obudzając między niemi nienawiść. Pieniężne podarki potajemne, podziały lepiej jeszcze, ale miesiąc upłynął, nim potrafiła się o jęj życzliwości dla siebie zapewnić.

Zakliki z powrotem widać nie było. Utrudniało mu w Dreźnie zachody, to, iż go powszechnie znano, i że szukanie powozu a koni, musiało podejrzenie obudzać. Trzeba było nadzwyczajnej przebiegłości jego, ażeby wszystko to zebrać, skupić, człowieka dostać i wcale na siebie oczów nie zwrócić. Przez Wenda swego porobił znajomości w Budziszynie i tam założył główną kwaterę.

Tym sposobem znikł z oczów dworu, a za pretekst służyło mu, iż to dla jednego z panów polskich przysposabiał, którego rychło już z Königstejnu miano uwolnić, aby miał czém powracać do kraju.

Wiele to jednak zabrało czasu i jesień przyszała, i zima, a w téj porze ucieczka była trudniejszą, drogi gorsze, ślady do wynalezienia łatwiejsze. Zaklika dostał się do Nossen, prosząc o cierpliwość do wiosny. Herzog kazał sobie zapłacić znowu, lecz drzwi otworzył, gdy Magdalena przypuszczona do tajemnicy, stała na straży. Mogła się więc Cesel rozmówić dłużej i umówić dokładniej, tak że ucieczka na piérwsze dni wiosny odłożoną została. Nie było wątpliwości, iż Herzog skuszony zapłatą ułatwi ją.

Zima w tym roku była długą i ciężką, a tego rodzaju przedsięwzięcia, gdy się wloką i odkładają, czas do rozmysłu i strachu zbyt ni dają pomocnikom. Herzog nieco podpiły, wy-

bąknął coś przed żoną: resztę ona z niego dobyła. Niewiasta przemyślna znajdowała, że kto zdradza, ten już na wsze strony zdradzać i wszelką możliwą korzyść ze swęj niepoczciwości ciągnąć powinien. Zdaniem jęj więc było, udać zdradę, aby pieniądze dostać, a wydać Zaklikę i hrabinę, żeby miejsca i łaski nie postradać: tém lepszym się to zdawało, że w takim razie nigdzie się już wynosić nie potrzebowali.

Herzog brodę gładził nic nie mówiąc: uśmiechała mu się ta trafna myśl zacnej małżonki. Czekano tylko wiosny. Cosel uspokojona nieco nadzieją swobody przy zbliżających się świętach Bożego-Narodzenia, hojnym podarkiem ujęła obiedwie kobiety. Zaklika świętować miał z Serbami swoimi między Budziszynem a Dreznem.

Hrabina tak pewną była Magdaleny, iż się przed nią mimowolnie zdradzała... chciała by jęj towarzyszyła, gdyby z wiosną, co się w losach jęj miało odmienić. Kobięcie to wszystko wiele dało do myślenia, strach ją ogarniał. Walczyła z sobą... Pod pozorem widzenia się z rodziną wyprosiła się na dni kilka do Drezna. Siostra jęj była przy dworze Dönhofowej: pojechała do nięj. Tu naradziły się z sobą niewiasty i z narady wypadło, ażeby wszystko zanieść do pani marszałkowej Bielińskiej, a nagroda wspaniała nie minie.

Można sobie wystawić przerażenie kobiet, gdy jak piorun spadła na nie wiadomość, iż Cosel mogła się ratować ucieczką. Wnet zwołano Löwendahl'a. Pierwszym skutkiem było przyaresztowanie kobiet obu.

Tegoż samego dnia jeszcze, nowy oddział żołnierzy poszedł zmienić stojący w Nossen; podwojono strażę, wzięto murgrabiego i okutego zawieziono do Drezna. W nocy pod oknami zaciągnęły warty. Cosel, budząc się, znalazła w przedpokoju oficera nieznanomego, który wraz z urzędnikiem poleceniem miał przetrząsnienie papierów, rzeczy, przeszukanie mieszkania, wypróbowanie drzwi i zamków.

Na widok tych groźnych przygotowań gniew nią owładnął, lecz cóż mogła przeciwko sile? Nie śmiała pytać o nic, a lękała się żeby Zaklika nie został odkryty i uwięziony. Szczęściem po nazwisku nikt go tu nie znał, miał bowiem ostrożność zwać się wcale inaczej, a z opisu twarzy trudno było go ściagać.

Kartka Zakliki, którą hrabina z pomocą sznurka ściągnęła, zrzecnie przez nią została zniszczoną w obecności tych co ją odebrać chcieli. Dowodów zamierzonej ucieczki nie było żadnych, oprócz powieści służącej. Jednakże życie w Nossen od tego dnia stokroć się stało nieznośniejszém. Prysłano sługi nowe, wylękłe i obchodzące się z hrabiną z surowością nielitościwą. Broniła ją tylko duma i milczenie.

Po wyjściu urzędnika pozostały oficer, mimo bardzo nasępionej twarzy, litościwszego serca niż inni, zbliżył się do hrabinę ze współczuciem.

— Pani hrabina nie przypomni sobie pewnie biednego chłopca, którego nieraz w straży przy królu towarzyszącego w lepszych czasach N. Panu widziała—rzekł cicho.—Pełnię tu smutny i ciężki obowiązek; wiesz pani tylko dla tego się nie ymawiając od niego, abym mógł pani oszczędzić nieco boleści. Al! nie pogorszaj pani położenia swego.

Cosel dumnie nań spojrzała.

— Chcesz mi dowieść współczucia—zawołała—powiedz mi co odkryto? kto? jakim sposobem?

— Szczegółów nie wiem—odezwał się oficer—rozkazy wyszły od króla przez marszałka Löwendahla. Służbę całą zmienić kazano. Dozorca zamku wzięty na śledztwo i badanie.

— Kto więcej?

— Zdaje mi się że oprócz sług nikt—rzekł oficer.—Będę przychodził codzień—dodał—będę nad miarę surowym przy ludziach, ale w czém potrafię, pomogę i radbym przynieść ulgę.

Skłonił się i wyszedł.

W trwodze i niepewności upłynęło dni kilka. Zaklika który w Dreźnie dowiedział się z odgłosu powszechnego, iż zamiar ucieczki z Nossen odkryto... przeczaił się czekając ażali jego ścigać nie będą. Rozumiał to dobrze iż mu się pokazać około Nossen nie można, a czuł zarazem iż oznajmić należało hrabinie że jest wolnym, że zatem na niego jeszcze liczyć może.

Nocami więc przebrany za żebraka przekradł się do zamku. We dnie z sąsiednich zarośli dopatrzył że w oknie sznurka nie było i żołnierz pod nim przechadzał się na straży. Trudném się stało oznajmienie o sobie hrabinie, łamał głowę napróżno jak tego dokaże. Włócząc się mimo mrozu i śniegu po okolicy,

drugiego dnia napotkał wózek wędrownego przekupnia, który po wsiach i miasteczkach rozwoził towary zwykłe na podarki wili Bożego Narodzenia. Handel naówczas nie był tak ożywionym jak dzisiaj, wędrowni przekupnie dostarczali ze stolicy wymyślniejszego towaru.

Zjeżdżał zwykle z wózkiem lub na plecach noszoną króbką przekupień do gospody wsi i miasteczka, schodziły się kobiety rozpatrywać w towarze. Do znaczniejszych domów przybywał sam handlarz i rozkładał swój towar pokuszający.

Ujrzawszy ciągnącego ku Nossen starego z Drezna znanego mu przekupnia, Zaklika go zatrzymał. Przypomnieli się sobie, bo u niego dla swoich Wendów nieraz podarki kupował.

— W Nossen—rzekł—możecie mości Treue zrobić dobre interesu: na zamku siedzi hrabina Cosel. Choć uwięziona, służy koło niej dosyć, a grosz pewnie ma i podarki na święta zrobić zechce. Byle się tam wam do niej dostać, pewnie u was dużo kupi.

Treuemu aż oczy zabłyszczały.

— Dziękuję—zawołał podając rękę—za dobrą radę, na myślby mi to nie przyszło.

— Biedna to teraz kobieta, dodał Zaklika, ale jej resztki więcej warte niż nasze bogactwa... A słuchajcie panie Treue, jak się tam wproście do niej, to jej pocichu starego sługę przypomnijcie, bom ja nigdy u niej służywałem.

— A cóż powiem?—zapytał Treue.

— Powiedzcie jej że wierny jej sługa co podkowy łamał, żyje i chodzi po bożym świecie.

— A z Nossen dokąd pociągniecie?—zapytał przy rozstaniu Rajmund.

— Z Nossen już chyba nazad do domu, bo i święta zapasem, to je z dziećmi i żoną przebyć trzeba!—rzekł w głowę się skrobiąc Treue.

— No, to może do zobaczenia gdzie na gościńcu, bo ja za zajacami chodzę, to się może spotkamy.

Treue jak wszyscy handlarze, gdy im o zysk chodzi, umiał sobie radzić. Przybywszy do miasteczka, odpocząwszy, udał się zaraz na zamek. Żołnierze go precz chcieli odpędzić; narobił wrzawy takięj, że aż oficer wyszedł. Z tym łatwiej się

było porozumiéć, ale posłał wprzódy zapytać hrabinéj, czyby co kupić chciała. Dla saméj rozrywki i widzenia nowéj twarzy, Cosel kazała puścić przekupnia.

Nędzny był kramik biédnego Treue i nie dla tak pańskich przeznaczony oczu, ale w osamotnieniu i niewoli wszystko rozrywką. Rزتargnioną ręką rozrzucała pogardliwie te ubogie towary Cosel, gdy Treue dopatrzywszy chwili w którój nikogo nie było, zbliżył się do niéj i rzekł pocchu:

— Kazano mi powiedziéć pani, że jéj wierny sługa co łamał podkowy, żyje i chodzi zdrów po bożym świecie.

Zdziwił się niezmiernie Treue, gdy ujrzał na twarzy hrabinéj jakby blask nowego życia, promień radości który ją przeleciał i oświecił.

— Kto ci to powiedział?— spytała.

— On sam, on sam, jasna pani— odparł Treue— spotkałem go tu w okolicy podobno na myślistwie.

Po tych słowach hrabina szybko zakupiła co jéj pod rękę wpadło i Treue zdziwił się nie pomału jak mu szło w targu szczęśliwie. Nakupiwszy podarków dla służby, kazawszy sobie powtórzyć słowa te, które ją o Zaklikę uspokajały, hrabina odprawiła Treuego. Wyszedł z zamku uszczęśliwiony. Targ w gospodzie nie mniej mu się powiódł, aż zanocować musiał. Nazajutrz puścił się nazad drogą do Drezna, o milę od Nossen nastęrczył mu się znowu Zaklika. Stanał wózek, powitali się jak dobrzy przyjaciele.

— A cóż?— zapytał Polak— powiedzieliście téż o mnie?

— A ha! a jakże— rzekł Treue— i hrabina widocznie była ucieszona tą wiadomością. Zrobiłem w istocie dobry interes na zamku i w miasteczku, Bóg wam zapłać.

Zaklika chciał mu powiedziéć że téż dobry uczynek spełnił, ale z tém się powstrzymał.

W Dreźnie tymczasem ciągnięto śledztwo z uwiezionych. Herzog miał nadto rozumu żeby się przyznał do czego, choć naówczas mogli go wziąć na pytki piérwsze i drugie i męczyć pókiby się nie przyznał. Zaniechano jednak tego, puszczono obwinionego, odbierając mu miejsce tylko; kobiety wyszły z więzienia nie wynagrodzone i wymęczone, ale przestroga w las nie poszła.



Król August sam teraz obawiając się hrabinęj, pilno czuwał nad jęj losem. Znał ją nadto, by mu grozną nie była. Na piérwszą wiadomość o pogłosce iż ucieczka zamierzoną została, rozgniewany nakazał daleko warowniejszy zamek Stolpen przygotować na więzienie dla Cosel. Była to ta twierdza na bazaltowych słupach zbudowana, w której niegdyś biskupi Meisseńscy swoich więźniów zamykali; to samo miejsce, które przed laty szczęśliwa Cosel zwiedzała z królem, gdzie z nim razem biesiadowali w zwierzyńcu; ten zamek na którego drodze spotkała starą Mławę i wróży piérwsze przyszęłego losu...

W téjże chwili wysłano do Stolpen rozkazy, aby więź św. Jana na mieszkanie oczyszczono i przygotowano. August gniewnym był i obrażonym. Nieugięty umysł téj kobiety urągał się z jego władzy i potęgi, a jedna niewiasta śmiała upominać się o dotrzymanie przyrzeczeń, o królewskie słowo i rzucać mu wiarołomstwem w oczy. Było to zuchwalstwo nie darowane, nie przebaczone, a kto gniew pański ściągnął na siebie, dla tego nie było litości.

Na dwa dni przed wigilią świąt, ruch powstał w zamku niespodziany; z Drezna przysłano powóz i konie i straż nową i rozkaz króla, ażeby Cosel do Stolpen przewiezioną została.

Zdumiony oficer przez litość nie śmiał wnijść do hrabinęj z tym rozkazem nowym, który cięższy, jeśli być może los jęj jeszcze zwiastował.

Cosel na piérwszy szmer niezwyčajny w zamku zerwała się z siedzenia, na którym zatopiona w kartkach poszarpanych staręj Biblii siedziała. Rzuciła się ku drzwiom.

Były chwile jeszcze, w których po sercu Augusta, (kochała go nieszczęśliwa), spodziewała się litości, sprawiedliwości, uczucia. Zdało jęj się że na święta nadchodzące przyśle jęj w podarku wolność.

Drżąca stała w progu, gdy urzędnik w peruce wszedł z głębokim ukłonem. Zjawienie się podobnego gryzypiórka było dla nięj zawsze najgorszym zwiastunem. Trzymał papier w ręku, a okulary w drugiem: ręce mu dygotały.

— Czego ty chcesz?—zawołała Cosel.

— Rozkaz N. Pana, który natychmiast spełnionym być musi—rzekł ochryplým głosem urzędnik.—Pani hrabina prze-

jeżdża do Stolpen, przeznaczonego jój najlaskawiej do dalszego pobytu. Z okropnym krzykiem, ręką zasłaniając sobie oczy, hrabina rzuciła się ku ścianie, jakby się o nią rozbić chciała. Na widok tego szaru podbiegły wchodzące kobiety i pochwyciły ją pod ręce. Jednym ruchem pozbyła się obu. Wrzask dobył się z ust jakby obłąkanój, potém ryk i jęk... urzędnik stał wryty, przerażony, nie wiedząc co począć.

Niemal gwałtem musiano hrabinę sprowadzić do oczekującego na nią powozu.

W konwulsjach, bólu, płaczu i osłupiałém milczeniu na przemiany wieziona, d. 25 grudnia 1716... stanęła w bramie Jana i Donata i oczy załzawione podniosłszy, ujrzała przed sobą grozną więź ś-to Jańską, przeznaczoną jój na więzienie.

## X.

Stary zamek Stolpeński był naówczas już napół ruiną... Kilkakroć wierzchołki jego wieżyc ogień z nieba druzgotał, paliły się stare budowy i podtrzymywane, opustoszałe ledwie małą załogę pomieścić w sobie mogły. Dawne mieszkanie biskupów w części przerobione zostało, w części się rozpadło w gruzy; dowódca zamku Jan Fryderyk von Wehlen, zajmował sam niewygodną basztę, dla niewiezionój, nieszczęśliwój ulubienicy Augusta, przeznaczono jedną wieżę Johannisturm, wieżę jeszcze za biskupów więzieniem będącą, której piętra, każde z jednój obszernój izby sklepionój składające się, nosiły dotąd nazwania świadczące o dawném przeznaczeniu.

Dawnój pani pałacu czterech pór roku, starczéc teraz musiały dwie jeszcze mieszkalne komnaty. Niższe piętro—Burgverliess już naówczas gruzem zasypane dawno było niemieszkalném. Dwa wyższe Johannis-gefängniss i Richter-gehorsam... przygotowano dla hrabinój. Jedno z nich przeznaczoném było na kuchnię i dla ludzi, drugie dla niój.

Gdy wydobytą z powozu, niemal znowu siłą wwiedziono hrabinę do ciasnój sześciokątnej izby na przestrzał oknami wązkiemi oświeconój, ubogiej, nędznej, smutnej; gdy obejrzała się dokoła, rzuciła się ze wściekłością, którą hamować musiano,

jakby głowę zbolałą roztrzaskać chciała o mury. Naprzemiany znowu to osłupienie, to łzy, to szła i wściekłość opanowały ją, tak że nieustanna straż czuwać nad nią musiała. Świadomi jój losów, choć najobojętniejsi ludzie, od wzruszenia, patrząc na nią, powstrzymać się nie mogli. Jój piękność, niedola, rozpacz, wyciskały łzy. Dodani jój stróże i sługi, które dobrano umyślnie, aby ich przekupić ani litości obudzić nie mogła, stali osłupieni widokiem tego bezprzykładnego szału, co chwila zdającego się grozić śmiercią.

Ile razy oczy jój zwróciły się na ściany izby, na wiszące nad nią ciężkie sklepienie, na drzwi zaparte... powracał ryk i szła, a po nim omdlenie i łzy.

Wehlen, stary żołnierz, który nigdy z kobietami nie wjował, twarda natura zdrewniałego pod mundurem człowieka, tracił głowę i cierpliwość. Smutno mu było zostać wykonawcą wyroku nad kobietą, którój niedola przechodziła siły. Pierwszy ten dzień święta, obchodzonego w całych Niemczech z taką radością i uroczystością rodzinną u domowych ognisk, zatruty został Wehlenowi widokiem scen rozpaczcy. Żołnierze pod murami chodzący na wartach, stawali przerażeni głosem, który się z zamku dobywał. Zdało się jakby dawne izby tortur odbrzmiewały jękiem wszystkich ofiar swoich z przed wieków.

Noc przeszła w tym niepokoju i dzień następny ze łzami, a potem omdlenie milczące trzymało ją na łożu w pół umarłą znekaniem. Kobiety szeptały między sobą, że nie wytrzyma i skona. Trzeciego dnia Cosel porwała się z łoża... zażądała papieru... chciała pisać do króla.

Przewidziano to żądanie, listy odsyłane być miały Löwendahlowi i niszczone natychmiast... z zakazem, aby je kto śmiało otwierać.

Zastrzegł się August od wpływu tych rozpaczliwych jęków nie dopuszczając ich do siebie. A nużby one obudziły litość, poruszyły, zniecierpliwiły, czoło królewskie okryły wstydem.

Skazane więc były na spalenie. Ale nie broniono niewolnicy łzami je zlewać dnie całe. Wysłany list, który szedł w ogień, nie dochodząc rąk królewskich, dawał jój chwilą nadziei. Myślała, że choć jeden z wielu, choć trafem który dojdzie do Augusta. Wierzyła jeszcze w serce jego.

Gdy pierwsze wybuchy rozpaczy przeszły, z przerażeniem rzuciła oczyma dokoła. Z pierwszój bytności swój na zamku, przypomniała sobie te mury, które ją wówczas przeraziły posępniemi ścianami swemi. Z okien jój widać było zębate kurtyny, otaczające zamek, górę okrytą lasem i w dali sine wzgórza puste, a kraj jakiś jakby bez ludzi.

Rzucono ją tu na łup samotności, wspomnieniom, dozorowi żołdactwa, znęcaniu się sług, którzy byli razem klucznikami więzienia i oprawcami ofiary.

Za najmniejszym przewinieniem tego jój naznaczonego dworu, grzmiał chrypliwy głos Wehlen'a, który nie rozumiał najmniejszego pobłażania w obec swoich rozkazów.

Z Drezna otrzymał on polecenie jak najsurowszego dozoru, pod odpowiedzialnością, która naówczas łatwo aż do utraty życia rozciągnąć się mogła. Ci co pisali instrukcye, nakazywali wprowadzić grzeczność dla kobiety, ale dla więźnia dozór, któryby nawet marzenie ucieczki rozproszył. I na pierwszy rzut oka była ona niepodobną. Zamek otaczały mury wysokie dokoła, wieża Ś. Jana wznosiła się po nad niemi wysoko, oknami poprzerzynana, tak że straż, niemal co chwila, mogła, podniosszy oczy, widzieć niewolnicę. Dwa podwórca bramami warownemi zamknięte przejść było trzeba, aby się dostać do stóp wieży.

We wrotach chodziły straże, przy murach byli żołnierze, sam zamek na wysokiej górze panującej okolicy, każdego doń przychodzącego wystawiał na widok mieszkańców nieopodal leżącego miasteczka.

Oprócz komendanta twierdzy i kilku oficerów na to wygnanie skazanych, oprócz niewielkiej garści żołnierzy, zamek prawie nie miał innych mieszkańców. Służba hrabinój stanowiła wyjątek. Ona także dzieliła jój więzienie. Nikomu z ludzi do miasteczka nawet wyjść bez pozwolenia nie było wolno. Bramy zamykały się wcześniej.

Twierdza wprowadzie, jako miejsce obronne, mogła mieć pewne znaczenie. Leżała blisko granicy Czech, broniła saskich rubieży, ale ztąd dawno żadna nie zagrażała wojna i opuszczono ją powoli. Königstein i Sonnenstein, te za niezdobyte naówczas uważane fortece, odebrały Stolpenowi dawną jego

ważność. Nie bardzo téż pilnie strzeżono zamku aż do przybycia hrabinéj. Ten więzien stanu, ta winowajczyni, co śmiała się mniemać królową i nie chciała zwrócić pisma pańskiego, ścigała dopiero czujność całą ku opuszczonym murom.

Stary Wehlen, który nie widział pono nigdy hrabinéj, a z niewierności króla wnosząc, wystawiał ją sobie zestarzałą i zbrzydłą—osłupiał gdy ją po raz pierwszy zobaczył. Cosel miała naówczas trzydziesty szósty rok życia, lecz szczególny dar Boży nadał jéj wiekistą młodość; śladu przebytych cierpień, widać na niéj nie było i nigdy może ani piękniejszą, ani ponętniejszą nie była. Blask jéj oczów, białość i świeżość twarzy, majestatyczna postać, kształty snycerskie, wprawiały w zdumienie tych, co na nią patrzali. Jakby urągając się upokorzeniom, które ją spotykały, Cosel przybrała tu postawę, obyczaj, mowę panującéj. Rozkazywała... a w słowach jéj przebijała się tém większa duma, im nieszczęśliwsze stawało się położenie.

Jakże tam dni płynęły nieskończenie długie, nieprzeżyte, jednostajne. Cosel miała na zapełnienie ich wspomnienie tylko... a czasem...czasem wracała nadzieja. Przeklinała okrucieństwo Augusta i nie umiała razem pojąć, aby ono trwać mogło, aby ten, co ją zdawał się kochać tak czule, mógł stać się dla niéj niemyym tym katem bez duszy.

Listy, które pisała, stały się dla niéj potrzebą i nałogiem. Po milczeniu domyślać się mogła, że rzucała je w otchłań bezdenną—a jednak—jednak ulgę czuła, gdy myśl jéj wylała się na ten papier, który być mógł tylko urągowiskiem dla ludzi.

Zrobiłaż co tak złego, ażeby się wiecznie nad nią znęcać miano? a nawet pozbawić ją dzieci, pod pozorem że mogła w nie tchnąć tę nienawiść ku ojcu, którą pałała przeciw niemu?

Gdy z Nossen chwymano naprędce co należało do uwięzionéj, ktoś rozproszone kartki biblii zagarnął. Przyszły one tu z nią, i hrabina zaczytywała się w nieśmiertelnéj księdze w którój tyle ludzkich wycisnęło się boleści. Te poszarpane karty których część wiatr poroznosił, wzbudziły żądanie całej księgi. Posłała do Wehlena rozkaz aby jéj biblię kupiono. Komendant odniósł się do Drezna, kazano spełnić żądanie... biblia odtąd nie zesła z jéj stołu. Na jéj kartach znajdowała

jeśli nie pociechę, to zapomnienie. Uczyła się z niej czém od lat tysięcy było życie: długą męczarnią przedgrobową.

Tak ją tu zastała wiosna! Wiosna... w której się wszystko budzi wesołe i młode do życia, a która dla niej śmierć tylko przedłużać miała. W sąsiednich drzewach zaczęły przelatywać żwawe ptaki, jaskółki przybyły do starych gniazd na wieży, aby je lepić na nowo; drzewa zaczęły zielenieć i rozwierać się listkami ku słońcu. Po nad światem falami płynęło wonne ciepło, kwiatów westchnieniami zaprawne. Nawet około pustego zamku rozbudziło się do życia, polami szły pługi i ludzie się przesuwali wolni... gromadami, a ona jedna była sama i przykuta. Stanąwszy w oknie i goniąc oczyma zdala ujrzała postać, zgadując ją, wcielając się w jój byt; Cosel zadumywała się godzinami i nie wiedziała jak czasem żołnierz stojący na straży tak samo oślepiony jój pięknnością, wpatrywał się w nią, zapominając o sobie i pytając co tak piękna istota tak straszego popełnić mogła, by ją na niewolę skazano? Stary Wehlen chodząc z fajką po wałach, nieraz sam patrzył ku górze i czuł że mu się robiło w myślach gorzko, na sercu ciężko, że mniej kochał swego wspaniałego pana Fryderyka-Augusta.

Robiło mu się żal. Za całą przechadzkę wązkie wschody, i dziesięć kroków komnaty! i wiecznie to duszące sklepień powietrze, którego słońce ocieplić nie mogło... i wiecznie listy co szły na stos, lub biblia i łzy!

Wehlenowi nawet żal się z piersi dobywał.

U stóp wieży ś. Jana był mały klinek ziemi, opasany murem twierdzy i ścianą wieży: miejsca tyle jak na dostatni grób człowieka. W tym kątku kwitły piołuny i macierzanka i dzikie gwoździki różowe. Po murach czepiały się żdźbła trawy i posiane przez wiatry nie nazwane kwiatki ubogie... Wehlen pomyślał sobie, gdyby choć ten ogródek. Ale na ogródek nawet trzeba było pozwolenia, bo on był ulgą, słodyczą, pociechą, a zbuntowanej kobiecie dać trochę litości, było ją uzuchwalić. Sam więc stary zrobił tu sobie ogródek, myśląc że choć popatrzeć na kwiatki miło będzie téj, co jak kwiat pański zwiędła na łodydze.

Cosel wyrzała w ten kątek i zobaczyła że go kopano; przyszedł jój na myśl grób, odwróciła się... Dopiero gdy wiosna co tak żwawo sieje i rodzi, wyprowadziła tu kwiaty; Cosel się im uśmiechnęła. Nie takie miała w swoich ogrodach i w Hesperyd ogrodzie i w Pillnitz, a teraz i tych mieć nie mogła.

Zdawało jój się że gdyby zamiast na kamieniach, mogła choć usiąść na ziemi i przytulić się do niój, odżyłaby znowu. Myślała że kwiaty byłyby dla niój powiernikami i towarzyszymi. Lecz prosić o to, nie mogła królowa, cierpieć wołała. Witała z rana ogródek i zegnała go gdy pachniał wieczorem.

Stary Wehlen kazał jój powiedzieć słudze, że ten ogródek jest dla niój, że go sobie objąć może. W istocie uciec ztąd było niepodobna, o trzy kroki chodziły aż dwie straże.

I jednego poranku Cosel zeszła ze wschodów bez przeszkody, aby swój ogródek zobaczyć; powietrze zdało jój się upajającym, słońce nieznośnym, światło oślepiającym; potrzebowała czas jakiś wsparta o mur spocząć, póki nie przyszła do siebie.

Odtąd ogródek stał się jój całą zabawą i całe dnie w nim spędzała, rękami własnymi pielęgnując kwiatki, które przywozić sobie kazała. Niewiele ich było, mogła więc znając krzaczek każdy i pielęgnując z osobna, wlać weń życie i czyniąc go wychować.

Tak zeszła wiosna i lato, bez żadnej zmiany, bez żadnej nawet jój nadziei. Głucha cisza otaczała ją ciągle, na listy nie było odpowiedzi, z dawnych znajomych nikt się nie zgłosił. Z ogromnych skarbów jój zabranych dla dzieci, rozerwanych przez chciwe ręce, płacono jój około trzech tysięcy talarów, które mogła na swoje obrócić potrzeby. Ale o tych komentant zamku wiedzieć musiał. Wpuszczano tylko osoby niepodejrzane, handlarzy i przekupniów, a i ci wprzód musieli się poddać starannemu opatrzeniu, aby z sobą nie wnieśli pociechy lub nadziei.

Od przybycia swego do Stolpen, hrabina oczekiwała Zakliki, ale upływały miesiące i ogródek przekwitał, a słychu o nim nie było; aż jesienią późną Żyd, który przyniósł jój coś na sprzedaż, gdy odeszły sługi, obejrzawszy się w około bo-

jaźliwie, szepnął, że ten co podkowy łamał żyje i kiedyś się pokaże.

Dosyć było tych wyrazów, aby już uśpioną obudzić nadzieję. Przybyły poseł nic więcej nie wiedział.

Zaklika tymczasem ani na chwilę nie spoczywał. Zawiedziony w przygotowaniach swych do wykradzenia hrabinej z Nossen, musiał wszystko rozpocząć na nowo. Nie tajono bynajmniej iż Cosel wywiezioną została do Stolpen i osadzoną na wieży.

Okrucieństwo to oburzające starano się przed ludźmi usprawiedliwić, rozpuszczając pogłoski, że Cosel jeszcze w Berlinie starała się uknuć spisek na życie króla, że się odgrażała na niego, i że dotknięta obłąkaniem, mieniła się być królową. Pocihu domawiano sobie, co żadną nie było tajemnicą, że August sam się wstydził słabości swój i lekkomyślności z jaką w jej ręce dał cyrograf na siebie, za życia żony obiecując ją poślubić.

Tego przyrzeczenia w istocie, pomimo ciągle ponawianych żądań odebrać jej nikt nie mógł, ani go przez najściślejsze poszukiwania wynaleźć.

Pierwszy to raz z takim okrucieństwem postąpił sobie August i przeraził niemi nawet Denhoffowę; chociaż ta ani tak wielkiem przywiązaniem króla, ani tak wysoko sięgającymi nadziejami pochłubić się nie mogła.

Dwór nowój pani wprawdzie był dosyć świetny, ale bliższe jej otoczenie żadnego znaczenia politycznego nie miało; ona też oprócz zabaw i rozrywek, nie panowała nad niczém.

Ci nawet co ją wynieśli dla pozbycia się niebezpiecznej Cosel: Flemming, Manteufel, Friessen, Lagnasco, Vitzthum zdala się od niej trzymali. Jeden Watzdorf, któremu się śniło że przez nią potrafi obalić Flemminga, przywiązał się do niej i zasługiwał, wyrabiając od króla znaczne podarki, które Denhoffowa nieopatrznie rozpraszała, nieraz na jeden wieczór po 10,000 talarów wydając na szumne zabawy.

Wtedy już nawet nie wiele rachując na króla i myśląc o wycofaniu się z niebezpiecznych łask jego, oglądała się na Besenvala i na młodego Lubomirskiego, który się zdawał do niej przywiązywać.



Augusta zimne i obrachowane obejście się z temi, którzy w największych u niego wprzód byli łaskach, i innych faworytów, ostrzegało aby się zawczasu wycofać starali i zabezpieczyć od kaprysu, który ich mógł w jednym dniu pozbawić wszystkiego. Tak Hoym, mąż pani Cosel, którego król potrzebował, ale nie lubił, zapatrzwszy się na los Beichlinga, na to co spotkało Imhoffa po Altrandstadzkim traktacie, wreszcie pierwszą jego żonę; nie miał pokoju dopóki się nie zabezpieczył. Posprowadzał dobra swe w Saksonii, powywoził pieniądze, i wystąpiwszy ze służby saskiej, cofnął się na Szlązk. Taż sama obawa nie dawała spocząć marszałkowi Schulenburgowi. W tym roku gdy hrabina uwięzioną została w Stolpen, Hoym dobra ostatnie zamienił z Flemmingiem i pojechał z smutku i tęsknoty dokonać życia w Wiedniu.

Z Denhoffową kończyły się panowania wszechwładnych metres na królewskim dworze. Aktorowie tych dramatów i intryg któremi żyłó otoczenie Augusta, starzeli i wymierali, on sam tracił smak i ochotę szumnych rozrywek. Jeden jeszcze jarmark lipski po dawnemu rozrywać go umiał i na chwilę ożywić.

Zaklika długo myślał co począć z sobą i jakich użyć środków, aby się do Cosel przybliżyć. Stolpen prawie mu nie było znanem, pojechał je obejrzeć zblizka. W miasteczku stanąć mógł bez niebezpieczeństwa, nie zwracano bowiem zbyt wielkiej na podróży bacności; tu się też dowiedział jak w zamku gospodarowano, kto na nim dowodził i że przystęp do niego nie był łatwym. Odjeżdżając okrążył zamek i zwierzyniec ze wszech stron, szukając doń łatwego przystępu. Nie znalazł żadnego.

W pierwszym zwłaszcza roku pobytu hrabinęj czujność była wielka, a do środka nie będąc osobiście dowódczy znajomym, wcale się dostać nie było podobna.

Zaklika łamał głowę nad zadaniem i powrócił do Drezna z postanowieniem ukazania się jawnego i szukania drogi, jakąby mógł Cosel usłużyć. Znajomych z dawnych czasów pozostało mu wielu, przyjaciół żadnych. Zjawiali się wszakże teraz codzień przybywający z Polski panowie, przez których wpływ coś tu sobie wyrobić było można. Zaklika marzył iż powinien

wrócić do służby wojskowej, a raz wdziawszy mundur starać się jakimkolwiek sposobem dostać do załogi w Stolpen stojącej. Droga była długa i trudna, lecz ten co ją przedsiębrał, miał za sobą żelazną wolę i poświęcenie bez granic. U panów polskich imie jego, starój rodziny, było już pewnym zaleceniem.

Ukazanie się jego na dworze obudziło zrazu pewne zdziwienie. Wszyscy wiedzieli że był przy hrabinie Cosel, nikt nie dopytywał co się z nim stało po jej upadku. Zaklika oświadczył śmiało że jakiś czas u rodziny w kraju przebywał. Chwilowo przybycie do Drezna Sieniawskiego biskupa kujawskiego, którego za młodu znał, dało mu pochop starania się przez niego o pozwolenie kupienia szarzy kapitańskiej w wojsku saskiem. Król na wzmiankę o nim brew namarszczył, kazał mu się sobie przedstawić. Przez kilka lat go nie widział i dużo zmienionym znalazł; podejrzliwem okiem mu się przypatrywał, ale znalazłszy go śmiałym i spokojnym, dowiedziawszy się od niego iż dobrowolnie hrabinę porzucił, przeciw wstąpieniu do wojska nie miał. Szło tylko o kupno szarzy, które mu zaraz następczono. Zaklika miał coś grosza powoli uzbieranego oszczędnością tam, gdzie się on często sypał oficie: dobito więc targu z Niemcem i nasz bohater wdział znowu, tym razem inny i wspanialszy mundur niż przedtém. Służba była z wielu miar nieznośna, chociaż dla ludzi co roztargnienia lubili przyjemna. Wojska, które się w Polsce nie uganiały za konfederatami, więcej służyły do parady i zabawy niż do surowszych zajęć wojskowych.

W wojsku <sup>1)</sup> oficerowie często po całych latach pułków swoich nie widywali, czasu zimy oblegali przedpokoje, a latem w obozie wcale ich spotkać nie było można. Siedzieli po domach i żyli z pieniędzy zebranych za zimowe leże, opowiadając o cudach waleczności jakie dokazywali przed zdumionemi kobietami. Nie szanowano ani rozkazów, ani rozporządzeń, życie wiedziono bez skrupułu, a żołnierz odarty z pierwszych potrzeb życia pokutował. Współcześni świadczą, że nowe pułki które sztyftowano, na które brano pieniądze, wcale się nie ściągały

<sup>1)</sup> Wolframsdorf.

a rekrutowanie ich, starym przeszkadzało się dopełniać. Nieustanna zmiana starszyny rujnowała skarb, a szła na korzyść komissoryatu i oficerów. Co było w kraju najmniej zdolnego znajdowało się w wojsku: awanturnicy, rajfury, gracze, lichwiarze, pieniacze, a procesa między oficerami były nieustanne. Generałowie żyli z żołnierzy, a ci do rozpacz przyprawieni musieli na wzór oficerów szukać chleba powszedniego, nie patrząc jak go dostawali.

Margrabia Ludwik Badeński pod którego dowództwem był kontyngens saski w 1703 r. na wojnę o spadek hiszpański przysłany, tracił głowę nie mogąc sobie z nim dać rady. Często w marszu gdy pospieszać było potrzeba, znajdował ich wywczasowujących się w szlafrokach. Historia pułkownika Görtza i jego wyjścia z Polski w r. 1704, stawi także dobry przykład karność wojska saskiego. Görtz, którego aresztować miano za niepoczciwe prowadzenie oddziału, a zbyt nie pamiętanie o sobie, tak dobrze manewrował, że tych co jego mieli przytrzymać, osaczył i wziął.

Właśnie to rozprężenie posługiwało Zakliki zamiarom, wszystko tu było do zrobienia pieniędzmi... Towarzystwo w które wszedł nad hulankę i wesołe życie, prędki zarobek i roztrwonienie ochocze, nic droższego nie miało. Obyczaj i przykład dworu szczepił się w wojskowych, patrząc na parady dawane dla pięknych pań i szturmę przy puharze do pułkowników królewskich, nie brali powołania swojego na seryo. Gdzie niegdzie wśród téj zbieranéj drużyny, w większej części z obcych: Francuzów, Włochów i przybłędów różnych złożonej, trafił się rzadki człowiek co żołnierzem być chciał i umiał. Z takiego się tylko wyśmiewano. Nic więc łatwiejszém nie było dla Zakliki jak wdziawszy mundur i zapoznawszy się z towarzyszami, przygotować sobie drugi dla dostania się na zamek stolpeński, w którym pobyt nikomu się nie uśmiechał...

Stary Wehlen o którym zasięgnął wiadomości, człowiek spokojny, dobry w gruncie, po całych dniach grający w warcaby i palący fajkę, nie zdawał mu się trudnym do oszukania...

Cosel zdziwiła się mocno po milczących kilku miesiącach odbierając znowu poselstwo tajemnicze przez wędrownego

izraelitę, które jęj zwiastowało przybycie tego co łamał podkowy.

## XI.

Nadeszła druga wiosna i po raz wtóry zazieleniało w ogródku, też same kwiatki podniosły z grządek wskrzeszone głowy ku powracającemu słońcu. Cosel otworzyła okno, dzień był ciepły, cisza w powietrzu; z dala w zwierzyńcu las i drzewa szumiały, ale ich szumu uchem tylko słuchać mogła. Ze wschodków tuż schodziło się do maleńkiego wydzielonego jęj kątku ziemi, a i ten dla nięj był łaską człowieka, który się jęj ulitował.

Nie jeden raz już tak w ogródku swoim siedząc pod zbudowaną dla nięj maleńką laubą, widywała przechodzących podwórzem, od którego nizki przymurek ją dzielił, żołnierzy i oficerów załogi. Nie lubiła wprawdzie dumna pani aby się jęj upadłęj wielkości przypatrywano, lecz znękana potęm witała twarz ludzką zapominając że była królową. I nie jeden żołnierz mimowolnie stanął wpatrując się w nią z politowaniem, a młodszy oficerowie tracili głowy, gdy długo wystawieni byli na ogień czarnych jęj oczów.

Jednym z tych co się najdłużęj zawsze przechadzali szukając pozoru jakiegoś, aby się zbliżyć do ogródka i przypatrzeć pięknej Dyannie, bo ją tak zwano od czasu gdy w osobie bogini występowała na wjeździe bogów, był młody Wehlen synowiec komendanta. Stary go tu trzymał przy sobie, po części dlatego żeby mieć kogoś musztrować bezkarnie i sadzać godzinami do grania z sobą w warcaby, w części dla skutecznego zajmowania się jego wojskową karierą.

Henryk von Wehlen wcale w nięj zamiłowania nie miał, ale matka owdowiała spodziewająca się spadku po komendancie bezdzietnym, który uchodził za majątnego bo był dosyć skąpy, zmusiła syna by się poddał jego rozkazom.

Młody dwudziestoletni Wehlen nudził się śmiertelnie na bazaltach stelpęńskich, lecz wyrwać się ztąd nie mógł.

Jakięmże to szczęściem dla młodego, rozmarzonego samotnością chłopaka, było przybycie tego nieszczęśliwego a tak

pięknego więźnia do pustego zamku! Z pierwszego wejrzenia na Annę, Henryk stracił głowę. Nie pojmował on, jak mógł kto mieć odwagę tak piękną istotę, taki ideał bóstwa ziemskiego zamknąć wśród murów tych i dać mu zamierać powoli. Z młodzieńczą pierwszą miłością, czystą, egzaltowaną, tajoną a gwałtowną rzucił się Wehlen ku pięknej pani, aby jej służyć i przynieść ulgę w niedoli. Stary komendant wcale nie dojrzał w synowcu rodzącego się uczucia, ani się go mógł domyśleć. On był najprozaiczniejszym z ludzi i dla niego dwie młode niewiasty zupełnie sobie były równe. Uśmiechał się dawniej do wszystkich, teraz do żadnej.

Nieznacznie Henryk poddał mu ową litość która stworzyła ogródek u stóp wieży, a później inne drobne usługi dla hrabiny. Zastępując często komendanta, był tu niemal panem na zamku, i Cosel, która rzadko nań okiem rzucić raczyła, wiedziała dobrze iż na niego rachowaćby mogła. Wolała wszakże czekać na Zaklikę.

Jakież było podziwienie jej i radość, gdy pierwszy raz schodząc do wiosną ożywionego ogródka, Cosel zobaczyła w podwórzu razem stojących i w dobrej zgodzie rozmawiających z sobą ludzi, Henryka Wehlen i Zaklikę. Ostatniego poznała po głosie, bo go nowy strój wojskowy zmienił zupełnie.

Dochodziła ją rozmowa dosyć głośna, Zaklika opowiadał że podjął się tu zająć miejsce kapitana Zitauera, któremu pilno było do rodziny pojechać.

Henryk i on zdawali się już dobrymi przyjaciółmi.

— A! kapitanie von Wehlen—mówił drugi kapitan von Zaklika—nie wesoło tu u was na tych starych gruzowiskach mniszych. Gdybym był wiedział że tu na téj skale takie pustkowie, taka nuda...

Henryk wszakże nie zdawał się wcale znudzony.

— A! mój panie—rzekł—kto się chce bawić, temu się do Stolpen niéma co wybierać, ale spokojnie patrzeć na piękną naturę i żyć sobie cicho... bardzo można.

Cosel słuchała, oczy odwróciła aby nie dać poznać że ją rozmowa obchodzi, ale serce jej uderzyło mocno.

— Kapitanie Wehlen—rzekł Zaklika—jeśli to nie jest grzechem, toćbyście mnie jako nowego przybysza powinni hrabinie przedstawić.

— Z całego serca—zawołał Wehlen, któremu pretekst ten zbliżenia się do pani Cosel był bardzo pożądanym.

Oba razem podstąpili pod murek ogródka, znajdującego się znacznie wyżej niż podwórze, na którym stali. Kapitan Wehlen pozdrowił hrabinę.

— Pozwoli pani przybyłego tu kolegę sobie przedstawić, kapitana von Zaklika.

Cosel zwróciła się niby obojętnie, lekkim skierowaniem głowy pozdrawiając zaledwie przybyłego, który stał zbladły, wzruszony, wpatrując się w to drogie, piękne oblicze, promieniejące jeszcze tym samym wdziękiem, jakim mu niegdyś zajaśniało z między lip Laubegastu.

Hrabina nie odezwała się ani słowa z razu.

— Jesteście tu gościem?—spytała po dłuższej chwili milczenia zniżając się do kwiatków.

— Ale zdaje się że nim pozostanę czas dłuższy, bom tu na służbie, a nie łatwo się znajdzie, ktoby tu chciał zastąpić towarzysza.

— O! to pewna! okropniejszego więzienia nad to nikt wymyślić nie mógł—zawołała hrabina. W lochu ciemnym nie widzi się świata i zapomina o nim, tu cały dzień szoroki widnokrąg przed oczyma, ptaki, góry, lasy, drzewa, życie, a między nim a mną mur nie przebity!

Wojskowi stali niemi.

— Cóżście wy zgrzeszyli, że was tu posłano?—dodała.

Zaklika umilkł.—Los chciał—rzekł—jam już niemłody: nigdzie mi nie jest weselój.

Skłonili się i odeszli.

Wehlen porwawszy pod rękę Zaklikę, poprowadził go żywo w trzecie podwórze zamkowe, gdzie zajmował parę izdebek obok stryja i towarzyszowi też postarał się blisko dać przytułek.

— Kapitanie Zakliko—zawołał—wy pewnie widzieliście po raz pierwszy w życiu Reichs hrabinę Cosel. Cóż powiecie na tę królewską piękność? Nie jestże to kobieta tronu warta, co strącona z jego stopni, jeszcze ma taki majestat na sobie? Co to za piękność! co za gwiazdzista twarz!!

Mówił to z takim zapałem czerwieniejąc, iż odrazu wydał się ze swą tajemnicą, z którą może i ukrywać się nie myślał. Spojrzał na Zaklikę: ten stał zamyślony, oparłszy się o stół.

— Kapitanie Wehlen—rzekł krótko—nie dziwuję ci się nic wcale, lecz z twoich wyrazów, z twego zapału, mógłby kto cię posądzić, żeś się zakochał...

Wehlen uderzył się w piersi.

— Obaśmy żołnierze—zawołał—i uczciwi ludzie; na co się mam zapierać: straciłem głowę, patrząc na nią! Ani się wstydzę. Takich kobiet dwóch na świecie nie ma.

— Ale na cóż się to wam zdało?—uśmiechnął się Zaklika smętnie. Kobieta, co była królową, oczu już na nikogo nie zwróci; tyle nieszczęsę wysuszyło w niej serce, a w ostatku niewolnicą jest na wieki.

— A! na wieki!—przerwał Wehlen—cóż jest wiecznego na ziemi. Ona jeszcze tak mi się wydaje i jest młodą!!

Zaklika się uśmiechnął.

— A wy mnie wydajecie się młodzi!—dodał.

Kapitan Wehlen zawstydził się, podał rękę nowemu towarzyszowi z dobrodusznym uśmiechem i szepnął:—W istocie, macie słuszność: ja nim jestem! młodym, dziecinny! to prawda; lecz oprzeć się urokowi tego wejrzenia, nie jest w stanie żaden człowiek. Widzieliście mojego stryja, jego siwe wąsy, pomarszczoną twarz i zgasłe oczy. Cóż powiecie? patrzy na nią z daleka tak, jakby się grzał na słońcu i wzdycha odchodząc do swój izdebki, dopóki przy warcabach nie zapomni o bogini.

Żołnierze godzinami patrzą się na nią, jak na obraz; a cóż mówić o dwudziestoletnim, jak ja wartogłowie.

Wehlen ze swoim uwielbieniem dla Cosel, był zarazem pomocą Zaklice i zawadą. Tegoż dnia poszli razem obejrzeć zamek. A było w nim istotnie co oglądać, w siedmiowierzchniej wieży, w podziemnych galeryach i gankach.

Zaklika wszystko do jednego odnosząc celu, starał się już obmyślać środki ucieczki. I nie było pono innego nad wyjście podziemiami z wieży o siedmiu wierzachach do kapitulnej, a z kapitulnej do kaplicy, od której zapomniany korytarzyk wiódł niewygodną ciasną szyją na zewnątrz w stronę miasta.

Zaklika udawał, że go te gotyckie, starożytne szczątki wielce zajmują, aby się obeznać z niemi. Cały plan już snuł mu się po głowie: hrabina nocą przebrana po mężku, mogła znijsć ze wschodów i przemknąć się na wewnętrzne podwórze. Tu nie chodziły stráže, można było łatwo w cieniu nocy i murów dostać się drzwiczek podziemia. W miasteczku nietrudno było o parę koni, a granica cesarska pod bokiem.

Myśli te zwiijały mu się po głowie, a Wehlen milczenie jego brał w inném wcale znaczeniu.

— Prawda—rzekł z lekkomyślnością młodzieńczą—wam się to wydaje straszném, zamurowaném, nieprzebytém. Wszedłszy w te lochy zimno się robi nietylko od powietrza, ale od myśli, że to ludzie na umęczenie ludzi sobie podobnych budowali, że się kopali, jak krety w téj górze, aby w niéj ukryć występki lub zdradę, a jednak, wierz mi kapitanie, pomimo tych murów, co otaczają nas i tych wież, i bram, i jam, i straży, łatwiej ztąd wyjść i wnijsć, niżeli się zdaje.

Zaklika zamilkł.

W kilka dni potém znalazł już sposób dostania się do pokoju hrabinéj Cosel, nie obudzając podejrzenia. Szło mu bowiem o to wiele, ażeby go na siebie nie ściągnać. Hrabina, milcząc, podała mu rękę do pocałowania.

— Długo, nadto długo—rzekła chmurno—kazałeś mi na siebie czekać.

— Środka nie miałem—odparł Zaklika—kto ostatek waży, jak ja, ten musi być oględnym. Nie o mnie mi szło, ani o życie moje; lecz o to, że po mnie, gdybym się nieroztropnie rzucił i zawiódł, nie będzie może nikogo.

Hrabina zamyśliła się.

— Miałeś słuszność—odpowiedziała—ciebie, jako najwierniejszego sługę, muszę zachować na ostatek! Synowiec komendanta najprzód być może użyty.

— Jaktó? do czego?—zapytał Zaklika.

— Taka jest wola moja—odparła Cosel.

Wehlen się kocha we mnie... oszalał... on zna zamek najlepiej... jest tu panem. Nie mieszaj się do niczego, zostaw mu wolne pole, pomagaj nie widząc, lecz nie bierz udziału... zamknij oczy. Z nim spróbuję uciec.



— Ale to nieopatrzny i szalony chłopiec — przerwał Zaklika.

— A szalonym tylko, szalone się przedsięwzięcia udają — rzekła Cosel.

— Lecz jeśli się nie powiedzie? — spytał chmurno Zaklika.

— Cóż mi tam? — zimno odezwała się hrabina — uczyniąż mi co więcej nad to, co robią? Żalby mi było młodego człowieka. Wy, tak, macie słuszność, wy powinniście zostać w odwodzie.

— Młody człowiek — po namyśle, począł Zaklika z ostrożnością, oglądając się ku drzwiom umyślnie trochę otworzonym — młody człowiek może nie mieć odwagi począć cokolwiek sam i nie sądzę, żeby to miał na myśli.

— Zostaw to mnie — odezwała się Cosel — ja sama tém pokieruję, dobrze iż was tu mam, ale ostatniego mego talara nie postawię na kartę.

Szmer na wschodach, mówić im dalej nie pozwolił. Kapitan odwrócił rozmowę, odezwał się głośno i zszedł zaraz na niższe piętro.

Ubodło go to, iż Cosel odrzucała pomoc jego; lecz zawsze posłuszny, choć mrużąc postanowił się zastosować do jęj woli.

Wehlen od piérwszych dni, wziął go sobie za powiernika, nie zwierzył mu się jednak nic więcej nad to, że szalenie był zakochany w hrabinie, i że dla oswobodzenia jęj dałby życie.

— Wy przecież nie zdradzicie mnie? — zawołał rzucając mu się na szyję.

— Ja was nie zdradzę — szepnął Rajmund, — tego możecie być pewni; lecz czy się wy nie zdradzacie, co chwila sami, i czy nie wydacie się nieostrożnością waszą?

Zaklika dopatrział się wkrótce, iż Wehlen i pod ogródek na rozmowę, i do wieży pod różnemi pozorami coraz częściej chodzić zaczął. Miotał się niespokojny, jakby w ciągłej gorączce. Zaklika musiał go przy starym stryju zastępywać u stolika z warcabami i na gawędzie z komendantem, która zabawną nie była, bo zwykle toczyła się około historyi familij saskich, obcych z rzeczy i imienia Zaklice. Henryk biegał niustannie, a po zdwojonęj jego ruchawości i jakichś przygotowaniach, których on łatwo mógł dojrzyć, domyslać się mógł, iż ucieczka rychło zapewne zostanie przedsięwziętą.

— Nie wtajemniczonemu, nie wypadało mu się narzucać, jednakże raz Henryka w dziedzińcu sam na sam spotkawszy, Zaklika szepnął:

— Na miłość Boga, panie kapitanie, nie wiem, co macie w sercu i na myśli; lecz lękam się, aby i drudzy, jak ja, nie dojrżeli u was zbyt jawnych jakichś, a nadzwyczajnych przygotowań... nie wiem i nie chcę się domyślać do czego.

Wehlen trochę nastraszony, wzięwszy pod rękę, wprowadził go w kąć ciemny.

— Jakto?—spytał—cóż widzicie? czego się domyślacie? mówcie.

— Nie chcę się domyślać nic, a widzę—rzekł Zaklika—iż przygotowujecie się jakby do jakiegoś *salto mortale*.

— Nie rozumiem!—podchwycił Wehlen—cóż jest we mnie niezwyčajnego? co obudza te podejrzenia? Całą moją winą, żem zakochany, żem szalony, że tą miłością żyję cały!

— Patrzcie żeby ta miłość nie doprowadziła was do zapomnienia o tém, że ja ludzie dojrzyć mogą i po niej dojść do kłębka! To, co ja widzę, może drugi zobaczyć... i.

Zmieszał się Wehlen, ale znać było, że już panem siebie nie był. Niecierpliwa Cosel musiała naglić o przyspieszenie ucieczki. Tegoż dnia Zaklika dostał się na wieżę. Hrabina chodziła niespokojna, w ubraniu nieco odmienném, niż zwykle.

— Zaklika—rzekła—nie meiszaj się do niczego, bądź głuchym. Ze starym komendantem graj jak najdłużej. Jeśliby wypadkiem alarm powstał, staraj się go zatrzymać tylko.

— Jeśliby ucieczka się powiodła—przerwał Zaklika—cóż mam czynić?

— Natychmiast tam się stawić, gdzie ja każę.

Słowa więcj wydobyć z niej nie było można, wskazała mu ręką drzwi.

Ze smutném przecuciem jakiémś Zaklika wyszedł w podwórzec i długo do siebie przyjść nie mógł. Wehlen którego spotkał, był niespokojny, rozgorączkowany, co chwila spoglądał ku słońcu, które mu zachodzić nie chciało.

Stary komendant niedomyślający się niczego skinął na Zaklikę aby z nim szedł napić się piwa i sięść do zwykłej gry w warcaby, która się do nocy przeciągała. Wachmistrz który

zamykał bramy i przynosił klucze, zwykle ich jeszcze zastawał zatopionych w grze napozór bardzo prostej a w istocie pochłaniającej człowieka który się do niej przywiąże.

Wieczór był jasny i piękny, i jak zwykle w dniach pogodnych noc nagle po zachodzie słońca zapadać zaczęła. Zaklika grał tak nieprzytomnie, uchem łapiąc najmniejszy szmer dający się słyszeć na zamku, że komendant wygrywający ciągle, śmiał się z niego.

— Co ci dziś jest? kapitanie? — pytał...

— Głowa mnie boli...

Po kilku partyach zaczęli rozmowę. Wehlen fajkę nałożył, noc się robiła ciemna; zapalono świece: Henryka, który zwykle w tej porze przychodził, nie było.

— Pewnie mi się wyrwał na miasteczko—odezwał się komendant—bo mu tu nudno, i wolałbym to z lichem—dodał zniżając głos—niż że mi się pod wieżą modli do tej dumnej pani, której w istocie zdaje się że jest królową, i ledwie kogo skinieniem pozdrowić raczy.

Zaklika odwrócił rozmowę...

Na zamku cicho było, godzina o której wachmistrz odnosił klucze zbliżała się: zapukano do drzwi.

Stary żołnierz, który wyglądał raczej na rozbójnika, najemnik który pono przeszedł służby wszystkie niemieckie, flandryjskie i holenderskie nim się oparł w saskiej, zjawił się blady i z twarzą dziwnie wykrzywioną w progu. Wyraz jój uderzył Zaklikę: był straszny, usta mu się trzęsły.

Komendant choć go używał, nie lubił, ale że w ostrzejszym rygorze ludzi trzymał, rozstać się z nim nie mógł. Zwał się Wurm.

— Panie komendancie—odezwał się Wurm—mam mu donieść o ważnym wypadku...

— Cóż? pali się?—porywając się z krzesła krzyknął Wehlen...

— Nie, ale pański synowiec ucieka w tej chwili z hrabiną Cosel z zamku, ha! ha!

Stary komendant rzucił się jak szalony, ku drzwiom.

— I! nie ma się czego obawiać—rozśmiał się dziko Wurm—ja na to dawno czekałem, czatowałem: wiedziałem że to nie minie i nagroda nie minie.

— Co za kłamstwo bezecne!—zawołał komendant—jak śmieiesz...

— Ja spełniam mój obowiązek—zimno rzekł Wurm—w tój chwili żołnierze ich trzymają w ganku za kaplicą i kapitan Henryk co mnie po pyskach trzepał gdy zły był, głowę da!

Z wyrazem piekielnój zemsty uśmiechnął się wachmistrz... Komendant drżał chwytając to za broń, to za klucze i niewiedząc co ma począć. Trwoga o los synowca, do którego był przywiązany, do szалу go doprowadzała.

— Kapitanie Zakliko!—zawołał—ratuj mnie, ratuj jego!

— Niema tu co ratować—odparł wachmistrz—jutro całe miasto się dowie i król i dwór, nadto ludzi tę sprawę widziało. O! ja to dobrze urządziłem. Zemściłem się ja, a jak wy na mnie za niego się zemścić zechcecie, no, tom ja i na to gotów.

Mówili jeszcze gdy hałas w podwórzu od podziemia wieży o siedmiu wierzchach dał się słyszeć. Żołnierze z wrzawą prowadzili pochwyconych więźniów, hrabinę która szła przodem niema i blada i Henryka związanego, bo pistoletem jedną byłsobie zadał ranę i życieby pewnie sobie odebrał, gdyby mu rąk nie skrępowali żołnierze.

Cosel z wściekłą rozpaczą, biegła nie oglądając się na wieżę. Henryk stał... Stary zbliżył się doń łamiąc ręce i włosy sobie szarpiąc z głowy. Za nim szedł Zaklika z litością w sercu dla biédnego chłopaka, który tak nieopatrznie wpadł w zasadzkę. Nikt się nie oglądał nawet na Wurma, który szydersko się prześmiewając tryumfował.

Stryj był zmuszony w tój chwili synowca osadzić w więzieniu i z raportem wysłać do Drezna. Napisać go nie mógł stary żołnierz, drżał i lzy ciekle mu z oczów; zawołał zwykle go wyręczającego pisarza... Ze łkaniem i przekleństwami ledwie wyjąkane słowa usłyszeć było można. Oskarżał synowca, młody jego wiek stawiając jako powód do politowania, zasługi swoje kładł na szalę; obwiniał sam siebie i ślepotę swą, ale

naostatek winę téż przypisał i zdrajcy wachmistrzowi, który niepoczciwie zamiast zapobiedz nieszczęściu, czekał na nie by z niego korzystać.

Podwojono strażę przy wieży: noc ta zesłała na czuwaniu i niepokoju.

Komendant wachmistrza téż oddał pod areszt. Z papierami wysłano kuryera do Drezna. Wschodzące słońce oświeciło stołpeński zamek smutniejszym niż kiedyś niemym. Cosel leżała konwulsyami miotana.

Około południa już chmurą spadli z Drezna wysłani z rozkazami króla generał von Bodt i kilku urzędników.

Na samym wstępie stary Wehlen nie mówiąc słowa, szpadę oddał, ale mu ją Bodt powrócił. Z rozkazu króla kapitan Henryk von Wehlen tylko i wachmistrz Wurm oddani być mieli pod sąd wojenny.

Nim słońce zaszło, wyrok zapadły na śmierć miał być spełniony. Próżne były prośby i łkania starego komendanta, odwoływania się do łaski, i żądania chociażby zwłoki.

Cosel usłyszała strzały i drgnęła: przecucie mówiło jój, że człowiek co ją kochał, płacił w téj chwili swą miłość życiem.

Zaklika stał blady jak trup.

Tegoż dnia Wehlen porzucił służbę list napisawszy do króla. Wachmistrza w kajdanach zesłano do robót w fortecy Königsteinie.

(Dokończenie nastąpi).

KILKA AKTÓW  
ORYGINALNYCH SĄDOWYCH  
Z WIEKU XIV i XV.

PRZEZ

*Romualda Hubego.*

Nie ma potrzeby nadmieniac, że cały nasz starożytny przewodnik sądowy, zupełnie prawie nieznan: pochodzi to nie z braku pomników, ale z lekceważenia, z jakim obchodzimy się z zachowywanymi pomnikami i z braku dostatecznego naukowego przysposobienia, mogącego nam służyć za przewodnika w ocenieniu tych czcigodnych pamiątek.

Skutkiem tego, zmniejsza się nawet codziennie liczba samych pomników, bo nie umiejąc ich cenić, skazujemy je, czy rozmyślnie, czy nierozmyślnie na powolną zagubę.

Szczęśliwem zrzędzeniem udało mi się zgromadzić w ostatnich czasach, kilka aktów sądowych oryginalnych z wieku XIV i XV. Uważam za obowiązek podzielić się niemi z czytelnikami Biblioteki, jedynego naszego pisma, do którego znajdują przystęp cenne prace źródłowe, mające na celu wyjaśnienie różnych stron przeszłości kraju. Przy tej sposobności spełniam zarazem miły obowiązek wdzięczności, oświadczając, iż niejaką liczbę tych pamiątek, udzielił mi nasz zasłużony w historycznej literaturze archiwaryusz akt dawnych w Kaliszu Szaniawski <sup>1)</sup>.

Stare nasze księgi ziemskie i grodzkie, zachowały w formie wpisów znaczną liczbę aktów sądowych, odnoszących się do różnych

<sup>1)</sup> Wspomnié tu należy, że Szaniawski, powodowany zaszczytném wezwaniem vice-gubernatora kaliskiego Rybnikowa, wydał w ostatnich czasach i objaśnił licznymi dopiskami cały szereg dokumentów, odnoszących się do historyi miast gubernii Kaliskiej, a pochodzących z wieku XIII, XIV i XV.

stadyów procesu, ale samych oryginalnych aktów lub urzędowych wypisów z ksiąg, pochodzących z w. XIV i początku XV, ile wiemy, nader mała pojawiła się dotąd liczba, a przynajmniej o żadnych innych, oprócz tych, które sam zebrałem, nie zasłyszałem. Są niemi oryginalne pozwy, oryginalne rozporządzenia i zawiadomienia dotyczące przewodu w sprawach pojedynczych, oryginalne wypisy z ksiąg sądowych i t. p.

Akta te ciekawe są nie tylko ze względu na ich starożytność i treść, rzucającą światło na cały dawny proces, ale i ze względu na ich zewnętrzną formę, co mianowicie stało się powodem, że starano się ciekawsze odtworzyć za pomocą litografii ku zachowaniu ich pamięci.

W obecnej pracy postaramy się nie tylko ważniejsze z pomiedzy nich w całości wydrukować, ale zarazem objaśnić, o ile to będzie w naszej możliwości, mając szczególnie na względzie związek ich z ogółem procesu i z organizacją władzy sądowej. Może być, iż objaśnienia, które udzielimy, posłużą za niejaki początek do obszerniejszych w tym względzie poszukiwań.

## I. P o z w y .

(1403—1423).

Dyplomata wieku XIII-go ucza nas, że pozywani przed sąd książęcy, powinni być wzywani, albo za pośrednictwem sygnetu lub pieczęci książęcej <sup>1)</sup>, albo przez pismo pieczęcią księcia opatrzone <sup>2)</sup>. Zapozwanie za pośrednictwem sygnetu lub pieczęci książęcej, dopełniało się przez okazanie sygnetu lub pieczęci, w dowód, że wyzywający do sądu był do tego upoważniony z rozkazu księcia; samo zaś oznaczenie sprawy, w której miał odpowiadać wezwany, robiono ustnie. Jeśli pozew był skuteczny przez pismo (litera), osnowa pozwu wyłożoną była w piśmie. Kiedy jednak jedna lub druga z tych form miała być użytą i co w istocie pozew powinien być w sobie obejmować, dyplomata nie objaśniają. Dopiero statuta Kazimierzowskie rzucają na ten przedmiot bliższe światło. W artykule XXIII Wulgaty <sup>3)</sup> powiedziano, że żaden pozew, wychodzący od jakiegobądź sędziego,

<sup>1)</sup> Roku 1251: ad presentiam nostram cum anulo nostro citari debent (*Cod. dipl. I. str. 57*). Sygnet podobny książęcy oglądałem przed kilku laty w zbiorze Vossberga w Berlinie. R. 1288 nec respondero teneantur, nisi ad nostram audientiam, nec aliter nisi per literam aut sigillum evocati comparebunt (*Cod. dipl. I. str. 128*).

<sup>2)</sup> Roku 1252: ad nullam secularem provocontur audientiam, preter nostram, et hoc cum litera nostro sigillo sigillata; r. 1254: nec citentur nisi litera sigillata sigillo duois (*Cod. dipl. I.*).

<sup>3)</sup> Cytujemy wydanie Bandtkiego-Stężyńskiego.

nie ma być dany bez pewnego powodu i bez oznaczenia przedmiotu <sup>1)</sup>; w artykule zaś XXII postanowiono: że sędzia obowiązany jest pozywać nie przez inne osoby, ale tylko przez swych woźnych albo służebników, a szlachtę (milites) aby zapożywał przez pismo <sup>2)</sup>. W jaką jednakże formę tego rodzaju pozwy piśmienne były przyodziewane w wieku XIV i początku wieku XV dotąd nie wiedzieliśmy; dopiero wydane w r. 1870 przez nieodżałowanej pamięci Helcla wypisy z ksiąg ziemskich krakowskich, przedstawiły nam cały pozew z r. 1399, w sprawie Katarzyny wdowy po Przybku z Irzandzy <sup>3)</sup> z wdową po Szczepanie podkomorzym sieradzkim <sup>4)</sup>. Pozew ten zapisany w księdze ziemskiej krakowskiej pod napisem: *litera citationis*, w rzędzie wpisów odnoszących się do czynności wieca (*colloquium generale*) z dnia 9 maja 1408 r., przedstawia naprzód nadpis: król polski, następnie polecenie, aby pozwana oznaczona z imienia i stanu swego, stawiła się na najbliższym wiecu krakowskim, w sprawie z powodem oznaczonym także, co do stanu, o dziedzinę zwaną Poświętne <sup>5)</sup>; na końcu oznaczona data pozwu <sup>6)</sup>. W pozwie zatém wydanym w imieniu króla, oznaczony powód i pozwany, wskazany przedmiot i naznaczony termin do

1) Słowa ustawy są: *sine certo actore et causa expressa*. Słowa te odaje Świątosław z Wocieszyna (w roku 1449) tak: przez pewnego powodu a wysłownocy rzecz, a tak zwana Wiśliciu, nosząca na sobie r. 1503: aby odtychmiasth kromic powodu żadnego pozwu nye wydali, na którym pozwie tez ma bycz przyczyna oznmo bycz pozwan.

2) Notujemy tu, że dawniejsze rękopisma i tłumaczenia na polskie nie wspominają o zapożywaniu szlachty przez pismo; zarazem jednak dodajemy, że pozwy przez pismo napotykamy w praktyce sądowej końca wieku XIV-go. Wyjaśnienie tej okoliczności należy zostawić późniejszemu czasowi. Porów. Helcla *Pomniki* str. 65 i hr. Stadnickiego: *Przegląd krytyczny statutu Wiślickiego* str. 195.

3) Irządze, wieś w powiecie Pileckim.

4) *Pomniki* II. str. 140.

5) Zapewnie Poświętne w Opoczyńskim.

6) Helcel w przypisku do tego pozwu nie znajduje powodu, dlaczego on w tém miejscu został do księgi zapisany; wątpliwość tę w części objaśnia inna księga ziemska krakowska, którą ma pod ręką, a której nie znał Helcel; w niej powiedziano: *Nota. Litora citationis ex parte domini Katharine consortis validi viri domini Johannis de Thanzin Castollani Craovionsis presentata est, cujus tenor sequitur sub tali sub tenore. Z wpisu tego płynie przekonanie, że Katarzyna, kiedy wносиła pozew do ksiąg, była już powtórnie zamężna, że zatém wpis znacznie później nastąpił, i nie ma żadnego powodu odnosić go do sprawy, która się toczyć miała w r. 1400, bo sprawa pewno przociagnęła się, a wpis do ksiąg był zrobiony jedynie dla konstatowania daty pierwiastkowego pozwu.*



stawienia, przytém podana data wydania pozwu, co odpowiada w zupełności myśli powyżej przytoczonego artykułu XXIII Wulgaty, nie ma tylko wzmianki stosownie do orzeczeń dawnych dyplomatów o pieczęci panującego. Wątpliwość tę, czy pozwy z końca wieku XIV i początku wieku XV, były oprócz tego opatrywane pieczęcią i jaka ich była zewnętrzna forma, rozwiązują dwa egzemplarze oryginalnych pozwów, jednego całego, drugiego w dwóch trzecich częściach, które posiadamy i które tutaj opiszemy.

Pierwszy z tych pozwów (zob. litogr. Nr. 2) z r. 1403 wydany przez sąd ziemski krakowski, pisany jest na zrzynku papieru długości 22 centymetry i 2 milim., a wysokości 3 centym. i 7 milim. na szczycie wierszach ze strony głównej; na drugiej stronie zaś próżnej ma wyciśniętą na laku czerwonym pieczęć okrągłą, z której pozostał się tylko kawałek laku. Pierwszy wiersz od góry przedstawia nadpis: Król Polski, w czterech następnych wyłożona treść pozwu, od końca zaś piątego wiersza i w szóstym wypisana data wydania pozwu. Sam pozew poleca przełożonemu kościoła zamku krakowskiego (którego imienia nie oznacza, tylko stawia dwa punkta), aby się stawił na najbliższych rokach sądu ziemskiego krakowskiego i wywiódł Jakóbowi i Elżbiécie jego małżonce z 130 grzywien, które winien panu Sędziwojowi za dom, a które to pieniądze pan Sędziwój obowiązany zapłacić wspomnianemu Jakóbowi i jego małżonce, ani téż przedźj pieniędzy tych temuż Sędziwojowi nie wypłacał, dopóki nie zaspokoi wzmiankowanych Jakóba i żonę jego <sup>1)</sup>.

Dla objaśnienia tego pozwu dodać możemy, że jak się pokazuje z księgi ziemskiej krakowskiej z r. 1403, rzeczony przełożony zwał się Janem i był przełożonym kościoła świętego Michała na zamku krakowskim, oraz, że był dziedzicem wsi Tampoczewa. Taż księga zawiadamia nas, że małżonkowie Jakób i Elżbiéta, w istocie na terminie w dniu oznaczonym przed sądem stawili się i że sąd ziemski sprawę ich z przełożonym Janem odesłał na najbliższe roki, czy to z powodu wysokości summy o którą chodziło, czy téż ze względu na godność pozwanego. Sam zaś przedmiot sprawy bliżej wyjaśniają nie dawno wydane dyplomata Uniwersytetu Jagiellońskiego <sup>2)</sup>. Uczą one nas, że po-

<sup>1)</sup> Pozew brzmi jak następuje: Rex polonie Tibi. preposito ecclesie castris Cracoviensis mandamus, quatenus in iudicio nostro terrestri die terminorum proximorum in Cracovia, compareas Jacobo et Elisabeth conthorali ejus pro xxx marcis, quas domino Sandivogio pro domo dare debetur, qui dominus Sandivoglus easdem pecunias predictis Jacobo et sue conthorali tenetur, nec easdem pecunias eidem Sandivogio exhibeas, quousque sepredictis Jacobo etc fiat satisfactionem (sic), responsurus. Datum Cracovie sabato pridie dominico Rominisecere Anno domini MCCCC Tercio (d. 10 marca).

<sup>2)</sup> *Codex diplomaticus Universitatis Studii Cracoviensis*. Crac. 1870.

wołany w pozwie Sędziwój był wojewodą kaliskim, dziedzicem Szubina; że dom swój położony na ulicy św. Jędrzeja w Krakowie sprzedał Janowi z Rzeszowa przełożonemu kościoła św. Michała, który go zaraz doktorom i magistrum Uniwersytetu odprzedał <sup>1)</sup>.

Drugiego pozwu część z r. 1423, którą mamy spisana jest na zryнку papieru opatrzona również na odwrotnej stronie ku środkowi pieczęcią na laku czerwonym, którego ślad dotąd pozostał, pozew wydany do Radomska. O tyle, o ile pozostała część pozwu dozwala wnosić, wzwany nim został Przedborz dziedzic z Kralowic, aby odpowiedział na skargę dzielnego rycerza (strenuar miles) Zbigniewa dziedzica o to, że przyszedłszy siłą i mocą (vi et potentia) na tę dziedzinę z dwoma tak dobrymi jak on (tam bonis ut solus) i szczęsioma pospolitimi ludźmi (simplices personae) zadał jego kmieciowi ośm ran krwawych (vulnera cruentata).

Z zestawienia dwóch tych pozwów wypływa najzupełniejsze przekonanie, że sądy wydawały pozwy w imieniu króla, że pozew powinien być ile być może dokładnie oznaczać osobę powoda i pozwanego, dalej przedmiot sprawy, sąd i termin na którym pozwany winien był stawić się i datę wydania pozwu.

## II. Polecenia dane sądom nie sądenia sprawy.

(r. 1385, 1429).

Mamy tego rodzaju poleceń trzy oryginalne akta, jedno z nich dane przez Sędziwoja starostę (capitaneus) krakowskiego z końca wieku XIV, drugie z tegoż czasu Krzesława podsędka krakowskiego, trzecie Władysława króla z r. 1429.

Pierwsze polecenie (zob. litogr. Nr. 5) napisane na zryнку papieru długości 21 cen. i 3 milim. a wysokości 11 cen. i 3 milim. w dwóch naczelnych wierszach przedstawia napis: *Sandivogius capitaneus Cracoviensis*, w następnych zaś siedmiu wierszach treść onego, a na odwrotnej stronie na samym lewym skraju ślady pieczęci i wymienienie osób, do których wydane zostało (zob. u dołu litogr. do Nr. 5). Osobami temi są szlachetni mężowie panowie Imram z Rogowa <sup>2)</sup> i Sławon komornicy i reszta urzędników sądu w Włodzistawiu. Polecenie samo zaczyna się od słów: „przyjaciele nasi najukochańsi“, następnie brzmi: „zlecamy wam królewskiem i naszym poleceniem, abyscie sprawę między Borkiem ze Szczenic i Niemstowem ze Skronowa <sup>3)</sup>, dziedzicami z jednej strony i innemi wszelakimi ich przeciwnikami z drugiej strony, mającą być jutro przez was rozsądzoną, nie sądzili ani jutro nią nie zajmowali się, lecz odsądzenie jój odłożyli do

<sup>1)</sup> Dypl. XXVI z d. 3 marca 1403 r. i XXVIII z d. 12 marca 1403 r.

<sup>2)</sup> Rogów, wieś powiatu Szkalbmierskiego.

<sup>3)</sup> Skroniów, wieś powiatu Jędrzejowskiego.

roków następujących. Dane w Krakowie dnia szóstego najbliższego po uroczystości św. Jędrzeja apostoła <sup>1)</sup>.

Oznaczyć ze ścisłością rok, w którym powyższe polecenie wydane zostało, niepodobna; tyle tylko wiadomo, że znalazło się w księdze ziemi krakowskiej przy roku 1385 i że Sędziwój jako starosta krakowski wspomina się pod latami 1379, 1380 i 1388 <sup>2)</sup>. Pod r. 1395 występuje już w godności starosty Spytek <sup>3)</sup>, a pod rokiem 1376 znajdujemy starostą krakowskim Kmitę <sup>4)</sup>. Drugie polecenie tego samego rodzaju (zob. Nr. 4) wyszło od Krzesława podsędką krakowskiego do komorników Jana i Jędrzeja w Włodzisławiu. Napisane jest na zrynknu papieru długości 21 cen., wysokości 8 centym. 7 milim. <sup>5)</sup>. Samo polecenie tak wyrażone: Krzesław podsędek krakowski. Polecamy wam aby wszystkie sprawy między panem Piotrem i panem Prandotą ze Sprawy <sup>6)</sup> z jednej strony, a panem Przibkiem z drugiej strony odłożone zostały aż do wieców krakowskich. Dano w Krakowie szóstego dnia przed niedzielą, w której śpiewa się *remisicere* <sup>7)</sup>.

Wnioskując z miejsca w którym polecenie to znalazło się w księdze ziemskiej krakowskiej, przy rokach w Włodzisławiu, śmiało twierdzić można, że wydane zostało roku 1386. Domniemaniu temu nic nie stoi na przeszkodzie, gdyż wiadomo, że Krzesław był podsędkiem w latach 1385, 1387 i 1388 przy sędziu Dragomirze, jak to świadczą wpisy sądowe i dyplomata z lat tych pochodzące <sup>8)</sup>. Po-

<sup>1)</sup> Tekst łaciński tego polecenia: Amici nostri carissimi. Mandamus vobis mandato Reginali ac nostro, quatenus causam inter Borkonem Thsozenicz et Nemstam de Scronow heredes ex una et alios quoscunque ipsorum adversarios parte ex altera cras coram vobis judicandam, non judices (sic), nec aliquid vos intromittatis cras de eadem, sed ipsam prorogetis ad alios terminos proxime venturos judicandam. Datum Cracovie feria sexta proxima post festum sancti Andree apostoli. Adver: nobiles viris dominis Imramo de Rogow et Slavoni camerariis ceterisque officialibus iudicii in Wladislaw.

<sup>2)</sup> Porów. *Cod. dipl.* III. nr. CLXI, *Zbiór dyplomatów klasztoru mogińskiego* nr. XCIV, *Cod. dipl.* III. nr. CLXXV.

<sup>3)</sup> *Zbiór dyplomatów* nr. CIV.

<sup>4)</sup> Tamże nr. LXXXIX.

<sup>5)</sup> Podobnie jak poprzednie jest z górą wzdłuż na wewnątrz zagięte, a na szerokość w troje złożone, tak że na środkowém zgięciu jest adres: pro-  
vidis vivis kamerariis Johanni et Andree in Wladislaw presens pagi... datur.

<sup>6)</sup> Wieś w powiecie Jędrzejowskim.

<sup>7)</sup> Krzesslaus subjudex Cracoviensis. Mandamus vobis quatenus omnes causas inter dominum Petrum filium lublinensis et dominum Prandotam de Sprawa parte ex una et inter dominum Przibkonem parte ex altera usque ad colloquium generalem (sic) Cracoviense disponatis. Datum Cracovie feria sexta ante dominicam qua cantatur Remisicere.

<sup>8)</sup> *Księga krakowska* Nr. 349, str. 111 r. 1385. *Cod. dipl.* III. nr. CLXXI, CLXXII.

wody do wydania tego polecenia mogły być te same, jakie poprzednio przytoczyliśmy pod względem polecenia danego przez starostę Sędziwoja.

Trzecie polecenie z roku 1429 wyszło od króla Władysława. Polecenia podobnych tegoż króla zapisanych w księgach różnych ziem nie ma się napotyka, samo jednak oryginalne polecenie tego rodzaju dopiero w tym roku odkryć się dało. Wystosowane ono jest do wojewody, kasztelana, starosty, sędziego, podsędka, komorników i reszty urzędników przewodniczących w ziemi sieradzkiej wiecom i rokom tak większym jako i mniejszym. Polecenie redagował i pisał podpisany pod nim, szlachetny Andrzejek z Winienia Łoźnik (cubicularius). Spisane jest na ćwiartce papieru, pod spodem we środku wyćięnięta znajdowała się na czerwonym laku pieczęć. Złożone było w dół przez połowę i w trzy części w szersz. W samym poleceniu wyrażono: że ponieważ sprawa, która się toczy między Imramem z Piornowa <sup>1)</sup>, a Mikołajem synem Lieszczeńskim idzie o znaczny przedmiot, a mianowicie o tysiąc ośmnaście grzywien i o dziedzinę (hereditas) Leszcznica <sup>2)</sup> i wymaga aby rozpoznana była przez prałatów i baronów w obecności królewskiej, że przeto poleca się, aby zawieszoną była, aż do najbliższej bytności królewskiej w Łęczycy. W końcu ostrzega król, że jeżeliby coś przez wspomnianych urzędników w tej sprawie było uczynionem, że to uznaje za nie ważne i nie byłe <sup>3)</sup>. Ogólny ton całego polecenia jakkolwiek w wyrazach technicznych przychylnością,

1) Wioś w powiecie Szadkowskim.

2) Może być dzisiejszy Leszczyn w Sieradzkim.

3) Wladislaus rex Polonie etc. Palatino, Castellano, Capitaneo, Judici,

Subjudici, Camerariis ceterisque officialibus, colloquiis sive terminis majoribus et minoribus proxime Siradio in terra nostra et ejusdem districtibus ubilibet celebrandis presidentibus, presentibus requirendo, fidelibus nostris dilectis graciis et omne bonum. Nobiles et fideles nostri dilecti, quia causa et materia que inter nobilem Imram de Piornuow ex una et Nicolaum filium Lieszczenusky parte ex altera vertitur coram vobis, grandem sapit materiam et per multorum prelatorum et baronum nostrorum presentium in nostra presentia examen habere postulat et requirit, utputa pro quadam summa grandi, videlicet mille et octodecim marcarum et bonis hereditariis leszcznycza concernentem eandem, ideo mandamus vobis seriose omnino habere volentes, quatenus mox visis presentibus, causam pro hujusmodi summa et hereditate dicta, quoquomodo inter partes predictas, coram vobis ventilandam, judicare nulla presumatis ratione per vosmet ipsos, literis quibuscunque alias uni parti conoassis, non attentis, sed hujusmodi causam et materiam ad nostram presenciam, dum danto domino, Lancioie in proximo fuerimus constituti, suspendere et remittere debeatis, ibidem debito juris examine per nos et diotos prelatos et barones nostros, quorum protuno ad nos confluet multitudo judicandi, alias siquid in eo per vos attemptatum fuerit in contrarium, id ipsum extuno irritum facimus et inane, secus facturi. Datum in Radzewo feria tertia proxima post conductum Pasche Anno MCCCXX nono. R. nobilis Andrzejek de Winienye cubicularius (L. S.).

zapewniających o łasce królewskiej i wyrażających życzenie wszelkiego dobra, jest bardzo stanowczy i cechujący władzę czującą się na siłach.

Wszystkie te trzy pisma uważamy za nader ważne dla nauki. Wyjaśniają one z jednej strony stosunek podwładności jednych sądów względnie drugich, wykazują podług jakich względów regulował się zakres ich działalności; z drugiej dają dowód, że w pojęciach czasu do którego odnoszą się, władza sądowa koncentrowała się rzeczywiście w ręku króla <sup>1)</sup>, że przez niego z góry zléwała się na dół, na niższe jeden drugiemu subordynowane sądy, że właściwym sądem były wielkie wieca, w których sam król zasiadał lub ten kto go reprezentował i że tylko mniejsze sprawy podług ich ważności sądziły się, albo na wiecach mniejszych, czyli w tak zwanym sądzie ziemskim, który także zwał się sądem królewskim, albo przed komornikami zasiadającymi w miejscowościach mniejszych, drugorzędnych, jak np. Włodzisław <sup>2)</sup>.

### III. Świadeztwo pro majori.

(Rok 1404).

Proces ułożony z polecenia króla Aleksandra i zamieszczony w jego *Commune incliti Polonie Regni privilegium*, między powodami usprawiedliwiającymi niestawiennictwo przed sądem na termin w pozwie oznaczony, wspomina tak zwaną dylacją o większe (pro majori). Kto w tym samym terminie na który wezwany był do sądu, miał sobie wyznaczony termin w drugim sądzie, w sprawie większej wagi i tamże stawał, ten dla usprawiedliwienia niestawiennictwa swego w drugim sądzie, obowiązany był przed którym toczyła się mniejsza jego sprawa złożyć świadeztwo (literam testimonii) tego sądu, przed którym wiódł większą sprawę. Jeśli pozwany tego nie uczynił przegrywał sprawę w której nie stanął <sup>3)</sup>.

O zachowywaniu téj saméj praktyki w końcu wieku XIV świadczy między innymi księga ziemska sieradzka pod rokiem 1392. W niej na rokach w Szadku zapisano: Szczepan zwany Kat winien przedstawić pisano (litera) pana sędziego łęczyckiego świadczące, że w tym samym dniu stawać musiał w sprawie o dziedzictwo (hereditas) przeciw Szczepanowi z Karnic <sup>4)</sup>. Pod rokiem zaś zanotowano: Pełce

<sup>1)</sup> Zgodnie z tą myślą Sędziwój w przytoczonym powyżej poleceniu, mówi: Mandamus vobis mandato reginali ac nostro.

<sup>2)</sup> Jak później zakres działalności komorników ograniczony został, zob. Dutkiewicz: *Uwagi nad dziełem „Prawo polskie prywatne“*. Warsz. 1873, s. 10, 11.

<sup>3)</sup> *Instructio ad conservationem terminorum* fol. I.

<sup>4)</sup> Stephanus dictus Cath debet presentare literam domini Judicii lanciciensis quod eodem die pro causa majori terminari debuit pro quadam hereditate adversus Stephanum de Carnioze, str. 35. v.

z Odantowa termin przedłużyła się przeciw Mikołajowi ze Zwochowa, ponieważ w Łęczycy miał termin w większej sprawie <sup>1)</sup>).

Następne pismo z roku 1404 uwydatnia nam formę, w jakiej podobnego rodzaju świadectwa były wydawane. Jest ono pisane (zob. Nr. 1) na rzynku papieru długości 22 cent. 3 mil. wysokości 9 cent. i 7 mil., brzmi zaś tak: Wojciech Sędzia i Mikołaj Podsedek ziemi Sandomierskiej generalni, szlachetnym mężom i panom podsędkowi, komornikom i reszcie urzędnikom przewodniczącym w sądach ziemskich w Krakowie przyjacielom naszym kochanym przez niniejsze pismo świadczymy, że szlachetny Jasko z Cuzowa dziedzic przed nami w Stobnicy, pod dniem dzisiejszym, stawił się na terminie w sprawie większej, to jest o dwieście grzywien rękojemnych z Zemą ze Sczawacic, przeto wspomniany Iwan w tymże dniu przed wami w żaden sposób nie mógł osobiście jawić się. Dano w Stobnicy dnia trzeciego najbliższego po święcie błogosławionej Lucy (16 grudnia) roku pańskiego 1404, z wyciśnieniem naszej pieczęci <sup>2)</sup>. W istocie pod pisem w środku wyciśnięta pieczęć na czarnym laku, z której ostatków wnosić można, że na niej wyrażona była korona trzyliściowa królewska, a w otoku od prawego na lewo napis dzisiaj nieczytelny. Całe pismo wzdłuż złożone było na trzy części.

Godne uwagi pełne uprzejmości i grzeczności wyrażenia jakimi i pisma tego rodzaju odznaczały się, co dowodzi, jakim szacunkiem wszystkie władze otaczały się w stosunkach z sobą; przytem zastanawia precyzja z jaką tłumaczono się.

Ciekawy przykład odezwy Sędziego Sandomierskiego podaje Helcel, w wyciągach swoich z ksiąg krakowskich, który pokazuje, że strony dla zyskania dylacji uciekały się niekiedy do fałszu i podrabiały podobne świadectwa *pro majori* <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Pelce de Odanthow terminus differtur adversus Nicolaum de Zwochow quia pro causa majori in Lancioia terminos habuit str. 56.

<sup>2)</sup> Albertus Judex et Nicolaus Subjudex Terrae Sandomiriensis generales, nobilibus viris et dominis Subjudici, Camerariis ceterisque officialibus judicis terrestribus in Cracovia presidentibus, amicis nostris dilectis, tenore presencium fidele testimonium damus; quia nobilis Jasozko de Czussow heres, eoram nobis Stobnice die date presencium cum Zema de Sczawaczioz causam pro majoribus videlicet pro ducentis marois fidejussoriis terminos attemptavit; ideo eoram vobis Iwan memoratus eodem die nullomodo valuit personaliter interesse. Datum Stobnice feria tertia proxima post festum beato Lucie Anno domini millesimo CCCC quarto nostro sigillo subapresso (L. S.).

<sup>3)</sup> Pomniki T. II Nr. 1380 (r. 1415).

## IV. Wypisy świadków i rot przysięgi.

(Rok 1404, 1405).

Strony stanąwszy przed sądem i wyłożywszy obustronne twierdzenia, przedstawiały dowody na których takowe opierały. Jeden z najwięcej w użyciu będących dowodów, stanowili świadkowie i wykonana przez nich przysięga. Sąd dopuściwszy tego rodzaju dowód, czyto ze strony powoda, czy ze strony pozwanego, polecał wnieść do księgi sądowej imiona i nazwiska osób za świadków przyjętych i zaraz stosownie do położenia interesu układał formę czyli rotę, podług jakiej przysięga miała być przez świadków wykonaną. Często, jako pozostałe księgi sądowe świadczą, rota bywała po kilka razy zmieniana i poprawiana, co mianowicie zdarzało się, gdy albo przedmiot sprawy był skomplikowany, albo też, gdy dopiero przy układaniu roty dostatecznie został wyjaśniony. Roty zapisywano w księgach albo w języku łacińskim albo polskim <sup>1)</sup>.

Otóż w księdze krakowskiej, którą mam przed sobą, obejmującą w sobie wypisy za 1404 i 1405 znalazło się trzy wypisy na oddzielnych odcinkach papieru, wykazujących osoby powołane w dawnych sprawach na świadków i roty przysięg, jakie miały wykonać. Pytanie powstaje co te wypisy z akt miały za znaczenie i jaki był ich użytek?

Nim na to pytanie odpowiemy, uważamy za stosowne dać dokładne opisanie tych wypisów.

Pierwszy wypis (zob. Nr. 7), sporządzony ze wpisu zamieszczonego w księdze pod rokiem 1404, na kartce wysokości 11 centym., szerokości 8 centym.

W tych pierwszych wierszach mieści się naprzód oznaczenie sprawy, w której mają występować świadkowie, takie:

Świadkowie Wojtka ze Zręczyc <sup>2)</sup> przeciw Katarzynie żonie Janusza z Lisiekanii.

potém w trzech następnych wierszach imiona sześciu następujących świadków:

Jana, Piotra, Wojsława, Michała, Grzegorza i Franka z Zagorzan <sup>3)</sup>;

w siódmym wierszu wyraz: rota, a w następnych sześciu wierszach słowa roty:

<sup>1)</sup> Liczne przykłady zapisu w księgach świadków i rot podają nam wyciągi Helola (*Pomniki* II, str. 168 Nr. 1128, 1129 rok 1407) i Maciejowskiego (*Historja praw słowiańskich* T. VI str. 8—15).

<sup>2)</sup> Wieś położona w starostwie wielickim, ob. Orzechowski: *Przewodnik statystyczno-topograficzny* Kraków 1872.

<sup>3)</sup> Wieś także położona w starostwie wielickim.

Jako wiedzą i świadczą, że ojciec Wojtka i sam Wojtko byli od trzydziestu lat w posiadaniu dziedzictwa w Lisiekanie i wszystko cokolwiek tenże Wojtko tam sprzedał, to własne swoje sprzedał <sup>1)</sup>.

Drugi wypis z roku 1405, składający się również z czterech ustępów tak brzmi: Świadkowie Mikołaja syna Dobrośtawa z Bandkovic przeciw Grzegorzowi z tamąd; Wawrzyniec, Stojko Czeski, Stanisław Kuszowicz z Bandkovic, Wawrzyniec z Niegoszewic <sup>2)</sup>, Piotr z tamąd brat Wawrzyńca poprzedniego i Wacław z Pankowic—rota—jako wiedzą i świadczą, że Mikołaj kupił dwa pola, w zwyczajnej mowie niwy, w Bandkowicach u Grzegorza tamże za pięć grzywien i ośm skojców, na wieczność kupił. Termin na najbliższe roki <sup>3)</sup>.

Trzeci wypis zrobiony z wpisów z 1404 roku. Wypis ten zasługuje pod tym względem na szczególną uwagę, że dochował się w dwóch kartkach wyciętych z jednego zryнку papieru, na których z osobna ten sam wypis w całkowitości umieszczony; zresztą pod względem układu swego zupełnie podobny do poprzedzających <sup>4)</sup>.

Jakież tedy mają znaczenie te wypisy? Zdaniem mojem, rzecz tak się miała. Jak tylko sąd przyjął podanych świadków strony, która dopuszczoną została do dowodu przez świadków i wykonaną przez nich przysięgę, potrzeba było przystąpić do wykonania przysięgi w oznaczonym terminie. Dla dopełnienia tego, należało z akt sądowych, w których wpis był zrobiony, wydać kopią wpisu takowego tym osobom, na których ciążył obowiązek, lub miały prawo dopilnowania, aby przysięga była wykonaną podług przepisanej roty. Osobami temi były same strony, to jest powód i pozwany, każdy w tej mierze, w jakiej był pod tym względem interesowany. Dlatego też

<sup>1)</sup> Sicut sciunt et testantur quod pater Woythoonis et ipse Woythoo fuerunt a XXX annis in possessione hereditatis in Lissekanie et quidquid idem Woythoo ibidem vendidit, hoc proprium suum vendidit.

<sup>2)</sup> Wieś w starostwie chrzanowskim; ob. Orzechowski: *Przewodnik Krak.* 1872.

<sup>3)</sup> Testes Nicolai filii Dobeslai de Bandcouicze contra Gregorium de ibidem Lauroncius, Stascho, Czocho, Stanislaus Kuschonis de Bandcouicze, Lauroncius de Negoschouicze, Petrus de ibidem frater Laurencii predicti et Wonceslaus de Pancouiczo. — Rota, sicut sciunt et testantur, quod Nicolaus emit duos agros vulgariter nywy in Bandcouicze apud Gregorium in ibidem pro quinque marois et VIII scotis, perpetuo emit. Terminus ad terminos proximos.

<sup>4)</sup> Świadkowie w wypisach tych wymienieni są: Lorko z Lubertowa, Mikołaj Krampski z Golozy, Andrzej i Bartek z Wielkiéjnooy, Marek z Obraszowie, Jasiek z Łuozyc. Wymienione miejscowości położone są w powiecie Miechowskim.



przygotowywano z każdego podobnego wpisu dwa wypisy, jak to nas przekonywa trzeci z dopiero co opisanych pomników, składających się z dwóch oddzielnych równobrzmiących kartek. Wpis świadków do akt sądowych i przepisanie dla nich roty, zastępowało w dawnym naszym procesie, dzisiejszy nasz wyrok przedstanowczy, oznaczający rodzaj dowodu wywieść się mającego <sup>1)</sup>, kopia zaś onego, dzisiejszy wypis urzędowy wyroku. Różnica cała postępowania dawnego w naszym prastaróm sądownictwie od dzisiejszego, polegała tylko na tém, że dzisiaj świadkowie wzywają się do wykonania przysięgi przed sąd, w dawnym zaś naszym procesie, odebranie przysięgi od świadków na przepisanej rotę, odbywało się po za sądem. O ile wnioskować można z wypisów Helcla, w Krakowskiém postępowanie pod tym względem było takie: strona, której sąd pozwolił wywieść dowód przez przysięgę świadków, upraszała sąd, aby wyznaczył służebnika (*ministerialis*, *officialis*) swego do odebrania od świadków przysięgi <sup>2)</sup>. Wyznaczony służebnik wzywał świadków do właściwego kapłana, przed którym wykonywała się przysięga <sup>3)</sup>, asystował przy jój wykonaniu <sup>4)</sup>, czuwając, aby takowa stosownie do roty wykonaną została i potem o złożonej przysiędze i wszyskiém co przy składaniu jój zaszło, donosił sądowi <sup>5)</sup>.

Przy wykonaniu przysięgi świadków, bez wątpienia mogła być przytomną strona naprzeciw której stawali, a to mianowicie dlatego. aby mogła kontrolować, czy ta sama przysięga którą sąd przepisał była przez nich wykonaną; w tym celu stronie téj doręczano, jak wspomnieliśmy, drugi wypis: dlatego zaś aby mogła mieć przekonanie, że ta sama czyta się rota przysięgi i tym samym świadkom, wypisy na jednéj karcie większej spisane, odcinały się jeden od drugiego nie prostą linią ale w gzygżaki, aby dokładając obie połowy jedna do drugiej, można było przekonać się, iż rzeczywiście do siebie należą i obejmują ten sam wypis. Co więcej, wyprowadzając wniosek dalszy z zachowanych, a wyżej opisanych wypisów, możnaby twierdzić, że górna część kartki odcięta od dolnej, dostawała się w ręce strony

<sup>1)</sup> W niemieckim procesie wyrok tego rodzaju nosi nazwanie: *Beweis interlocut.*

<sup>2)</sup> *Pomniki* tom II Nr. 600: *datur terminus... super eo quod Jacussius procurator coram Judicio dixit, hic sunt testes domine meo, detur ministerialis ad audiendum ipos.*

<sup>3)</sup> Gdzie wykonywały się przysięgi w XIII wieku w innóm piśmie objaśnimy.

<sup>4)</sup> *Pomniki* Nr. 155. *Stephanus plobanus penam judicio XV, quia Petrum officialem circa juramentum et cruce[m] percutere voluit.*

<sup>5)</sup> *Pomniki* Nr. 175. *Nedzalek officialis veniens confossus est quia Meczugijs de Coslow... testes de juramento dimisit et poporcit.*

powodowej i nie wracała się do akt, dolną zaś zostawiano dla pozwanego, który zapewne często jęj nie odbierał w przewidywaniu pewnej przegranej i przy aktach ją zostawiał. Ztądto oba nasze pierwsze wypisy stanowią właśnie część dolną wyciągu. Pytanie tylko, dlaczego pozostały się przy aktach oba egzemplarze wypisu trzeciego w sprawie Dzierzkona ze Zdzisławic z Prandotą z Wielkiejnocy <sup>1)</sup>? Zdaje się powód do tego był ten a nie inny, że sąd po przyjęciu w tej sprawie świadków i ułożeniu roty i zapisaniu jednego i drugiego do akt, z czego zaraz notaryusz przygotował dla obu stron wypisy, postanowienia swe odwołał i postanowił odesłać całą sprawę na najbliższe wielkie roki czyli wieca <sup>2)</sup>. W takiem położeniu przygotowane wyciągi okazały się już niepotrzebnymi.

## V. Kompromisy (jednania, concordia).

(r. 1432—1472).

Sprawa kończyła się albo przez wyrok wydany przez sąd, w którym ostatecznie toczyła się, albo przez pojednanie za pośrednictwem arbitrów czyli jednaczy. Podług zasad przyjętych w dawnym naszym sądownictwie, strony, które pragnęły się pojednać, podawały sądowi nazwiska osób wybranych na arbitrów, następnie po dopełnieniu czynności przez arbitrów, akt pojednania wnosił się do ksiąg sądowych, ci zaś, którzy jednali się bez zezwolenia sądu, skazywali się na karę <sup>3)</sup>. Do znanych nam aktów jednania <sup>4)</sup>, przybywa nam obecnie taki akt z r. 1432, spisany na papierze na całej ćwiartce, z brzegiem u dołu wycinanym w gzygzaki, co dowodzi, że na drugiej ćwiartce spisany był drugi egzemplarz aktu, przeznaczony dla drugiej strony. Akt ten jak świadczy jego treść, miał być wniesiony na najbliższych rokach do ksiąg ziemi sieradzkiej, a w razie jeśliby nie odbywały się, do akt grodu sieradzkiego; co też zapewne zrobionem zostało. Akt zgody i przyjacielskiego pojednania (concordia et amicabilem comparitio) spisany został w Uniejowie, w domu Mikołaja Lipnickiego wójta (advocatus). Jednaczami czyli arbitrami (arbitri et amicabilem compositores) byli: Jakób przełożony Uniejowski i kanonik Kruświcki,

<sup>1)</sup> Wieś w powiecie Miechowskim.

<sup>2)</sup> Świadczy to księga krakowska Nr. 352 str. 307, gdzie zanotowano: revocatur et datur terminus ad colloquium proximum, nadto cały wpis przekreślony.

<sup>3)</sup> *Księgi ziemskie Sieradzkie* II r. 1398 St. tenetur binas VI marcas pro eo quod sine consensu Judicii cum U. concordiam inivit str. 8.

<sup>4)</sup> Jeden z takowych aktów spisany w r. 1409, znajdujemy u Helcla *Pomniki* II nr. 1057.

Zarani Scholastyk Kruświcki, Świętosław podsędek sieradzki, Mikołaj z Miłkowa, Wojciech z Boczek i Jasiak Kosut z Janiszewa <sup>1)</sup>. Spór szedł między szlachetnymi panami Janem z Piekar <sup>2)</sup>, z urodzoną (generosa) matką jego z Rzodzekwicy, a Wojciechem z Boczewiska <sup>3)</sup> dziedzicami. W akcie postanowiono, że Jan Piekarski od najbliższego święta Wielkiéjnocy, w ciągu czterech lat następnych winien zapłacić Wojciechowi z Boczewiska sześćset czterdzieści sześć grzywien i połowę dziedziny Świechowo temuż wykupić, tak, że jeżeliby któregokolwiek z tych czterech lat Piekarski rzeczony pieniądze zapłacił, że wówczas Boczewicki z dóbr dziedzicznych w ziemi kujawskiej położonych <sup>4)</sup> nabytych od Piekarskiego, winien ustąpić na rzecz tegoż Piekarskiego i zwrócić mu akt sprzedaży. Na przypadek zaś, że jeżeliby Piekarski rzeczonych pieniędzy w ciągu czterech lat nie wypłacił i w Sieradzu nie złożył, aby wówczas Boczewicki rzeczony wsie w ziemi kujawskiej położone, na wieki dla siebie i sukcesorów swoich posiadał. W końcu, jak wspomnieliśmy, strony zobowiązują się zatwierdzić pojednanie, takowe zapisać do ksiąg, i to pod karą dwuchset grzywien, nadto stawiają poręczycieli w upłacie umówionej kary, każda ze stron po dwóch i ślubują sobie, że wszelkie nieporozumienia między niemi, mają ustać i że na najbliższych rokach wydadzą sobie wszelkie zapisy i pozwy, i takowe z ksiąg ziemskich wykasują <sup>5)</sup>.

<sup>1)</sup> Wieś w powiecie Brzeskim.

<sup>2)</sup> Wieś w powiecie Wartoskim.

<sup>3)</sup> Wieś w powiecie Wartoskim.

<sup>4)</sup> Wsie, o których tu mowa: Wola, Białobłoto i Służewo, położone w powiecie Radziejowskim.

<sup>5)</sup> Wypisujemy ważniejsze miejsca z oryginału: Sub anno domini quadringentesimo tricesimo secundo feria quinta ante festum penthecostes. In domo nobilis Nicolai Lipniczky advocati in Unycow Concordia et amicabilis compositio per venerabiles ac strenuum militem et Nobiles viros dominos Jacobum... inter tamquam arbitros et amicabilem compositores inter Nobiles viros domino Johannem... facta est in hunc modum quod... Quam compositionem amicabilem per predictos arbitros factam, dicte partes debent firmare et inscribere in libro terrestri in terminis proximioribus. Si vero termini terrestres reclamarentur, ex tunc in libro Castri Syradiensis, sub pena ducentarum marcarum, inter eos vallata, pro qua pena vallata pro una parte... pro alia vero parte... sideojuserunt. Alie autem discordie quecunque inter eos fuerint, debent esse sopite in toto et literas omnes tam inscriptionum quam citationum ipsis mutuo in eisdem terminis proximioribus restituere debent et tenentur ac inscriptiones mutuas in libro terrestri inter eos scriptas cassare et delere.

Mamy pod ręką i drugi oryginalny kompromis znacznie późniejszy, spisany także na papierze w roku 1473, lecz w układzie swoim zupełnie zgodny z poprzedzającym. Naprzód oznaczona w nim data i miejsce (Piotrków), w którym został spisany, następnie wymienieni jednacze, dalej strony żądające pojednania, warunki pojednania, w końcu zastrzeżenie wpisania kompromissu do akt grodzkich sieradzkich i oznaczenie kary umównej dwóchset grzywien za niedotrzymanie układu.

## VI. Wykaz kar do ściągnięcia.

(r. 1398).

W księdze ziemskiej piotrkowskiej, obejmującej w sobie wpisy od r. 1398 do r. 1407, znalazła się kartka szerokości 14 centym., wysokości 7 cent., 4 m., (zob. N. 6), na której w dwunastu wierszach wypisane znajdują się kary i opłaty sądowe, na które skazane zostały różne osoby. Układając wypisy te w systematyczny porządek, mamy na kartce téj zapisane następujące orzeczenia.

1) Jakusz z Kobieli w sprawie z Czesskonem, skazany został na niestane.

2) Mikołaj z Głupic w sprawach z Floryanem skazany dwa razy na opłacenie dwójnej kary sześciu grzywien;

3) Tenże Mikołaj z Głupic w sprawie z Floryanem zobowiązany do opłacenia memoriale (pamiętne) i nadto na opłacenie kary podwójnej sześciu grzywien;

4) Podobnie skazani w innych sprawach: Czader z Jajków, Oto z Sobakowa i Mikołaj z Cieszancic;

5) Wachota zobowiązany do zapłacenia grzywny i dziesięciu skojców w sprawie przeciw Tomisławowi;

6) Mateusz Polok w sprawie z Tomaszem z Bojnicy skazany za kradzież (furticinium);

7) Jan i Katarzyna z Daniszewa w sprawie z Klemensem skazani na karę siedmdziesiąt (septuaginta) <sup>1)</sup>.

Przedewszystkiém zwracamy na to uwagę, że miejscowości wymienione w tym wykazie, jakoto: Cieszancice dziś Cieszanowice, Daniszewo dziś Daniszewice, Głupice i Sobaków są położone w powiecie Piotrkowskim; zaś Jajki, Kobielle w powiecie Radomskoskim. Co do

<sup>1)</sup> Oto tekst całkowity tego wykazu:

Nicolaus de Głupice tenetur binas sex marcas contra Florianum. Idem binas sex marcas contra eundem. Idem binas sex marcas et memoriale contra eundem Florianum.

Wachota tenetur marcam cum X scotis contra Thomislaum.

czasu, w którym wykaz ten sporządzony został, niewątpliwie odnosi się on do r. 1398, albowiem we wzmiankowanej powyżej księdze piotrkowskiej, pod tymże rokiem wyraźnie zapisano, że Mikołaj z Głupic, skazany na dwojne sześć grzywien w sprawie przeciwko Florianowi bratu, ponieważ nie stawił się na dokonanie wizyi (visio) <sup>1)</sup>; dalej, że skazany został na taką samą karę dwojnych sześć grzywien w sprawie z tymże samym Florianem za to, że powołał się w poparciu twierdzeń swoich na księgi sądowe, te zaś przeciw niemu świadczyły <sup>2)</sup>; następnie, że tenże Mikołaj, ma zapłacić memoriale (pamiętne) i karę sześciu marek w innej sprawie przeciw wzmiankowanemu bratu swemu <sup>3)</sup>. Również w téjże księdze i pod tymże samym rokiem zapisane skazanie Poloka za kradzież na rzecz Tomasza <sup>4)</sup>. Nie podpada więc najmniejszej wątpliwości, że przytoczony powyżej wykaz kar do ściągnięcia, pochodzi z końca wieku XIV i zapewne sporządzony został w r. 1398, to jest w tym samym roku, w którym sprawy, w których były wyrzeczone, pod rozpoznanie sądu przychodziły.

Nie tutaj jest miejsce, aby wykładać cały systemat opłat sądowych i kar, jakie w starém naszym sądownictwie były w użyciu; porzestaniemy tu na daniu kilku wyjaśnień cząstkowych, potrzebnych do zrozumienia naszego wykazu.

Jedną z kar w procesach toczonych przed sądami ziemskimi i grodzkimi, najczęściej stanowionych, była tak zwana kara sześciu grzywien (pena sex marcarum), kara porządkowa, nakładana za różne uchybienia stron w prowadzeniu procesu. Wyciągi wyżej przytoczone z księgi piotrkowskiej, uczą nas, że Mikołaj z Głupic skazany był na tę karę, raz dlatego, że nie asystował wizyi, drugi raz dlatego, że niewłaściwie odwołał się do ksiąg sądowych. Odwołania podobne, w da-

Mathias Polok furticinium contra Thomam de Boynicza.

Nicolaus de Glupicze tenetur memoriale cum binis sex marcis (przekreślone.)

Cader de Yayki tenetur memoriale cum binis sex marcis.

Jacussius de Kobela nestane contra Czeskonem.

Osna de Sobakow tenetur memoriale cum binis sex marcis.

Johannes et Katherina de Daniszewo septuaginta contra Clementem.

Nicolaus de Czeszanciozo tenetur unum memoriale cum binis sex marcis.

<sup>1)</sup> Nicolaus de Glupiczo binas sex marcas contra Florianum fratrem de ibidem quia ad visionem non fuit.

<sup>2)</sup> Idem Nicolaus binas sex marcas contra Florianum predictum quia se ad librum recepit et Florianum liber juyit.

<sup>3)</sup> Nicolaus de Glupicze memoriale tenetur et penam VI marc. contra Florianum fratrem suum de ibidem.

<sup>4)</sup> Z wpisu tego zachowały się tylko te słowa: athias Polok furticinium contra Thom.

wném naszym sądownictwie, miały bardzo często miejsce, bo, gdy wszystko co przed sądem działo się, do ksiąg zapisywano, księgi wzywane były z tego powodu na świadectwo rozlicznych twierdzeń. Jeśli odwołanie do ksiąg (se recipere ad librum) było uzasadnione, odwołującemu przyznawano słuszność jego twierdzeń; jeśli zaś albo świadczyła przeciw powołującemu się na nią, albo nie w sobie nie obejmowała, powołującego się skazywano na karę porządkową za niewłaściwe powołanie.

Tak samo skazywani być mogli na karę sześciu grzywien, jak nas też sama księga uczy, ci, którzy ubliżyli sądowi (pro eo quod iudicium non honoravit), ci co niespokojnie zachowywali się w sądzie (quia non erat pacificus in iudicio), którzy w sądzie jawili się i przed ukończeniem sprawy uchodzili (eo quod cepit estare terminum et recessit).

Niekiedy kara sześciu grzywien łączyła się z opłatą pamiętnego, składaną, jak wiadomo, sądowi za uzyskanie wyroku przychylnego. Podług przyjętych zasad otrzymujący wyrok takowy obowiązany był zaraz po ogłoszeniu onego, pamiętne uiszczać, albo przynajmniej dać porękę, że zostanie uiszczzone. Kto albo jednego albo drugiego nie uczynił, skazywany był również na opłacenie kary sześciu grzywien <sup>1)</sup>. Ztąd pochodzą owe częste skazania na pamiętne i na sześć grzywien, których cztery przykłady przedstawia nasz wykaz. Dłaczego jednak, w razach tych, stanowioną bywała podwójna kara sześciu grzywien, w tej chwili, dostatecznie objaśnić nie umiem.

Równie objaśnić nie jestem w stanie co znaczyła grzywna z 10-ma skojcami, które miał zapłacić Wachota, czy to była jaka kara czy tylko prosto opłata.

Niestane, na które był skazany Jakusz z Kobieli, była karą za niestawienie się w sądzie na wyznaczonym terminie, bez usprawiedliwienia niestawienictwa.

Kara za kradzież (furticinium) wynosiła, jak się zdaje, w Sieradzkim dziesięć grzywien, na taką przynajmniej karę skazany został w r. 1386 na rokach w Szadku Pełka z Łykowa w sprawie z Krzonkonem z Parszki <sup>2)</sup>.

Za coby Jan i Katarzyna skazani zostali na kary siedmdziesiąt czyli tak zwaną niemilościwą, niepodobna przy braku wskazówek wyrzec, gdyż ta stanowioną była za rozliczne przekroczenia. Między innymi skazywano na nią za nieposłuszeństwa przeciw rozporządzeniom sądu. I tak w księgach piotrkowskich znajdujemy pod r. 1402, postanowioną tę karę na Świętosława Gąskę, za to, że nie złożył dziesięć-

<sup>1)</sup> *Księga piotrkowska* 1398—1407, str. 71 verso: Jaracz tenetur binas sex marcos eo quod recessit de iudicio et memoriale non dedit (r. 1404).

<sup>2)</sup> *Księga ziemiska sieradzka* 1386—1395, str. 4 verso: Nota, quod Pelka de Lyssowo tenetur decem marcos furticiniū adversus Krzonkonem de Parszki.

ciu grzywien w sądzie, stosownie do polecenia panów zasiadających na wiecach <sup>1)</sup>.

Wykaz kar, który był przedmiotem obecnego rozbioru, sporządzony był zapewne dla tego, aby go wręczyć służebnikowi sądu dla ściągnięcia ich, a ponieważ miejscowości w których mieszkali skazani, leżały w bliskości od siebie, przeto jeden służebnik mógł bez trudności całe polecenie uskutecznić.

## VII. Pismo o darowanie kary.

(r. 1382).

Na zryнку papieru (zob. Nr. 3. i dodatek) długości 21 cent. a wysokości 8 cent. 5 milim. znajdujemy następujące pismo: Nawoj dziedzi z Łękawcy <sup>2)</sup>, prosimy polecając waszej troskliwości abyście karę na którą Wierzchosław z Łękawcy w sądzie skazany został, jemu chcieli przebaczyć, gdy takową Mikołaj notaryusz generalny wspomnionemu Wierzchosławowi w zupełności przebaczył. Dano w Łękawcy nazajutrz po świętych Szymonie i Judzie <sup>3)</sup>.

Na odwrotnej stronie we środku pieczęć na ciemnym laku i napis: Szlachetnemu mężowi Mikołajowi dziedzicowi z Kostrzowia obecne wręczyć <sup>4)</sup>.

Pismo którego tłumaczenie przytoczyliśmy podług wszelkiego podobieństwa do prawdy pochodzi, albo z r. 1382, albo czasu nie wiele co późniejszego, albowiem w księdze krakowskiej między rokami Proszowskiemi z r. 1382 wspomina się ten sam Wierzchosław z Łękawcy jako skazany na karę sześciu grzywien za oszkalowanie Boguszy służebnika <sup>5)</sup>. Wiadomo także z ksiąg krakowskich, że w tym czasie był już notaryuszem generalnym ziemi krakowskiej Mikołaj i że miejsce to sprawował jeszcze na początku wieku XV. Nawoja z Łękawcy i Mikołaja z Kostrzewia dotąd nie spotkaliśmy.

Trudniej powiedzieć o darowanie jakiej tu kary chodziło, prawdopodobna tylko, że chodziło i tu o jakąś karę porządkową, za czyn

<sup>1)</sup> Str. 80. ver. Svanthoslaus gonska luit septuaginta eo, quod non posuit novem marcas in Judicio juxta mandatum dominorum in colloquio presidentium.

<sup>2)</sup> Łękawca wieś w powiecie Szkalbmierskim.

<sup>3)</sup> Navogius heros de Lankowa. Petimus vos curare volentes, quatenus penam quam Wirzohoslaus de Lankawa in judicio mansit, ipsam eidem indulgere velitis, scientes quod Nicolaus notarius generalis dictam penam dicto Wirzohoslae totalem indulsit. Datum in Lankawa in crastino Sctorum Simonis et Juda.

<sup>4)</sup> Nobili viro Nicolao herodi de Kostrzow presens datur. Wieś Kostrzew takżę położona w Szkalbmierskiem.

<sup>5)</sup> *Księga krakowska* Nr. 349, str. 238.

przy przewodzie sprawy dopuszczony, a ubliżający notaryuszowi i Mikołajowi z Kostrzewia. Równie nie umiemy sobie wytłumaczyć, na jakiej zasadzie Nawoj z Łękawy występuje jako pośrednik między Wierchosławem a Mikołajem z Kostrzewia. To tylko pewna, że podobne darowania kary bardzo często w dawnych czasach pojawiały się. Księga krakowska w której pismo nasze znalazło się, liczne na to przedstawia przykłady <sup>1)</sup>, równie jako i księgi przez Helcla wydane <sup>2)</sup>. Mamy prócz tego w tychże księgach wpis uczyniony pod r. 1398, który pokazuje nam, że Czader z Zagorza skazany został na karę piętnastu, na rzecz tegoż Mikołaja notaryusza i tyleż sądowi za to, że mu powiedział: kazałeś zapisać co nie jest <sup>3)</sup>.

W każdym razie pomnik o którym tu mówimy należy do rzędu nader ciekawych, a może nawet jedynych pamiątek pism prywatnych pozostałych z wieku XIV. Pismo samo było zagięte wzdłuż w góry pod napisem wyżej przytoczonym i potem było złożone także wzdłuż na trzy równe części, tak, że pieczęć znajdowała się na środkowej składce, a adres na pierwszej składce od lewej ręki. Na pieczęci, w części startej, w środku jest umieszczona tarcza, na niej herb trudny do odgadnięcia, tarcza zaś ujęta w otok, na którym, jak się zdaje, był napis.

## VIII. Wypisy z ksiąg sądowych.

Posiadamy także kilka współczesnych wypisów, czyli kopii z akt sądowych. Jedne z nich przesyłały same sądy drugim, niejako z urzędu, dla zrobienia z nich stosownego użytku; drugie udzielały się na żądanie stron, dla dostarczenia in dowodu nabytych przez nie praw.

### 1. Wypisy sądom komunikowane. (r. 1425).

Pismo z r. 1425, które tu podajemy obejmuje doniesienie podsędka i komornika sądu ziemi sieradzkiej, do sędziego komisarza grodu sieradzkiego o stawieniu na rokach szadzkowskich poręki, przez wymie-

<sup>1)</sup> I tak na str. 55 zanotowano: *Cammerarii in iudicio sedentes pepererant*, na str. 80. *Dominus Michael indulisit* (r. 1384), na str. 111 ad *petitionem Crosłai subiudicis Capitaneus jussit delere* (r. 1385). Jest to ten sam Krzesław podsędek, o którym powyżej wspomnieliśmy.

<sup>2)</sup> *Pomniki II*, nr. 491: *Michael iudex indulisit penas has delere* (r. 1399).

<sup>3)</sup> Nr. 124. *Czader de Zagorzo Nikolao Notario generali Cracoviensi, penam XV et totidem iudicio remansit, quia sibi dixit: mandasti scribere, quod non est.*



nione osoby i o wniesieniu jęj do księgi sądowej, wreszcie przedstawia w dosłownym odpisie sam akt poręki do akt wniesiony.

Ciekawe to pismo ze względu na formę swoją brzmi jak następuje:

Prawdziwój <sup>1)</sup> przyjaźni ciągłe przyspożenie. Szlachetni ukochani przyjaciele. Do świadomości waszjęj podajemy, że pod dniem dzisiejszym przed nami zasiadającymi na sądzie królewskim w Szadku, osobiście stawwszy się szlachetni Dobek z Januszem synem z Piotrowszewic szlachetnemu Mikołajowi Rzeczyckiemu zapisali się w tēj formie: Nota. Szlachetni Dobek z Januszem synem swoim z Piotrowszewic w obliczu sądu stawwszy się, wyznali i publicznie przyznali czterdzieści grzywien groszyszerokich jako kaucyą poręczającą (caucio fidejussoria) dać i wypłacić Mikołajowi z Rzeczycy w ośmiu niedzielach przed nadchodzącém świętem Wszystkich Świętych, co jeśli nie uczynią, wtedy na przyszłego błogostawionego Marcina wyznawcę, rzeczeni Dobek z Januszem będą winni ustąpić na zawsze z dziedzictwa w Piotrowicach i z Sołtystwa w Karczowie ich własnością będących, wszystkie zaś użytki w polach z roku obecnego, tak w dziedzinie jako i sołtystwie, rzeczeni Dobek z synem swoim Januszem pobrać i na rzecz swoją zachować będą mogli. Dano w Szadku roku pańskiego 1425 pod pieczęcią naszą podsędką <sup>2)</sup>.

U spodu pisma tego w trzech więrszach podpis: Świętosław Zawada podsędek i Włodek z Rzepiszów komornik ziemi sieradzkięj. Na odwrotnęj zaś stronie napis: szlachetnym panu Otonowi sędziemu

<sup>1)</sup> Sincere amicitie continuum incrementum. Nobiles amici dilecti. In notitiam vestri deducimus protestantes, quod die date presencium, coram nobis Regali Judicio in Schadek presidentibus, personaliter constituti Nobiles Dobek cum Janussio filio de Pyotraschewiczo Nobili Nicolao Rzeoziozki se adscripserunt sub hac forma: Nota. Nobiles Dobek cum Janussio filio suo de Pyotraschewiczo in facie judicii constituti, fassi sunt et publice recognoverunt quadraginta marcas latorum grossorum ratione caucionis fidejussorio, dare et solvere Nicolao de Rzeozioza in octo septimanis ante proximum omnium sanctorum festum, quo non facta, tunc ad proximum beati Martini confessoris festum, dicti Dobek cum Janussio de totalibus hereditate in Pyotraczowicze et scoltetia in Carozow ipsis propriis, cum omni jure et dominio predicto Nicolao cedere perpetualiter debobunt de (eis) condescendo, utilitates autem in campis existentes presentis anni omnes tam in hereditate, quam in scoltetia, predicti Dobek cum Janussio suo filio levare et totaliter pro se habebunt. Actum et datum Schadek feria tertia in crastino beatorum Adalberti et Georgii martyrum. Anno domini millesimo quadringentesimo vicesimo quinto, nostro subjudicio sub sigillo.

<sup>2)</sup> Swanthoslaus de Zawada subjudex et Wlodek de Rzepyschow camerarius Judicii terre Syradiensis.

komisarzowi sądu grodzkiego sieradzkiego albo w jego nieobecności, zasiadającym w tychże sądach, przyjaciołom naszym ukochanym <sup>1)</sup>.

Nie mieliśmy jeszcze sposobności sprawdzić, czyli zapis ten poręki, rzeczywiście zapisany został na skutek tego wezwania w aktach grodzkich sieradzkich. W każdym razie cała ta komunikacja o tyle ważna, że daje nam powód do sądzenia, iż na długo przed znanym owym statutem Olbrachta o instrukcyi aktów, we właściwych księgach grodzkich, zachowywały się już w zwyczaju sądowym, pewne, ustalone pod tym względem zasady.

Co do samego aktu, zwracamy uwagę na zamieszczony w nim wyraz *nota* na czele zakomunikowanego wypisu. Wyraz ten stawiany jest zwykle w księgach dawnych sądowych przed każdym pojedynczym wpisem, a mianowicie téż w księgach ziemi sieradzkiej, szczególnież zaś przy tych ustępach, w których zapisane: kupna, zobowiązania, poręki. Niekiedy *nota* zastąpione jest słowem *notandum*. Wyraz *nota* oznacza więc jako wyraz techniczny, używany przy wnoszeniu do ksiąg wpisów: zaznaczenie.

## 2. Wypisy prywatnym udzielane.

(r. 1446, 1448, 1449).

Wypisów z ksiąg sądowych, wydanych na papierze osobom prywatnym, a pochodzących z połowy wieku XV, mamy dotąd trzy. Pochodzą one z r. 1446, 1448 i 1449. Mają wszystkie trzy to wspólnego, że bez żadnego oddzielnego wstępu i zakończenia, oraz bez nadpisu jakiej osobie wydane zostały, przedstawiają jedynie dosłowną kopią wpisu w aktach uczynionego. Wszystkie zaczynają się od słów: *Nota*. In facie *judici* *personaliter* *constitutus* (w obec sądu osobiście stanąwszy), kończą zaś po oznaczeniu miejsca, w którym wpis był skuteczniony i daty onego, tém, że została na nich wyciśnięta pieczęć sądowa. Miejszem sporządzania wszystkich tych trzech aktów było Radomsko; przez jeden z nich sprzedaną została przez szlchetnego Stanisława z Siedlnicy część jego dziedziczna w Siedlnicy bratu rodzonemu Janowi (r. 1446), przez drugi sprzedaną została przez szlchetnego Jakóba z Paczniowic jedna trzecia część (*sors*) udziału, który posiadał w Bartodziejach szlchetnemu Janowi z Brzykowa (r. 1448), wreszcie przez trzeci sprzedany był przez szlchetnego Jana z Paczniowic łąn ziemi (*manus*), zwany Szedlenowsky w Bartodziejach, szlchetnemu Janowi Brzykowskiemu z Bartodziejów (r. 1449).

Akta te, które zresztą pod względem prawnym nie przedstawiają nic osobliwego, godne uwagi pod względem światła, które rzucają na stan ówczesnego podziału ziemi we wsi Bartodzieje i ze względu

<sup>1)</sup> *Nobilibus domino Otthe Judici Commissario Judiciorum Castri Syrdaniensis vel eorum in absentia... eorundem Judiciorum presidentibus, amicis nostris dilectis.*

na osoby, w których posiadaniu podówczas znajdowały się działy takowe; jak widzimy były to wszystko osoby stanu szlacheckiego (nobiles).

Tylko dla ukazania formy tego rodzaju wypisów, podajemy tłumaczenie wypisu r. 1446:

Nota <sup>1)</sup>. W obecności sądu stanąwszy, szlachetny Stanisław Salomon z Siedlnic część dziedziczną, tamże w wielkich Siedlnicach szlachetnemu Janowi bratu swemu rodzonemu z zupełnem prawem, z suchem i z mokrem, nic nie wyłączając, tak jak sam dzierżał, za dwieście grzywien monety brzęczącej na zawsze resiguuje. Działo się w Radomsku d..... w obecności szlachetnych Mikołaja Maj sędziego, Stanisława z Pagowa, Andrzeja z Boczykowa, Jana z Siedlnic, Stanisława z Ban..... Salomona z Siedlnic, pana Mikołaja Plebana z Borowna roku 1446.

Dwóch drugich wypisów oryginalne wpisy w księgach radomskowskich, zachowanych obecnie w Archiwum akt starych w Piotrkowie, szanowny archiwaryusz tychże aktów Erazm Goldman, na moją prośbę odszukał i w dokładnych facsimilach mnie przesał. Jeden z nich, to jest pierwszy z r. 1448, zamieszczony w księdze grodzkiej radomskiej pod N-rem IV na str. 97; drugi z r. 1449 w téjże samej księdze na str. 133.

---

<sup>1)</sup> Nota. In facie iudicii personaliter constitutus nobilis Stanislaw Salomon de Szedlnicza sortem hereditariam ibidem in majori Szedlnicza nobili Johanni fratri suo germano cum omni jure, siccois et madidis nullis exclusis, uti solus tenuit, in ducentis marcis monete currentis perpetualiter resignat. Actum in Radomskye feria secunda post dominicam oculi presentibus nobilibus Nicolao May Judice, Stanislao de Pangow, Andrea de Barzykowa, Johanne de Szedlnicza, Stanislao de Ban.... Salomone de Szedlnicza, honorabili domino Nicolao plebano de Borowno. Anno domini M. CCCXLVI (L. S). Wypis na zryнку papiérny złożony był wzdłuż na cztery części.





# SERBIA.

## Zarysy historyczno-etnograficzne.

Przez

P.....

### VII. Piśmiennictwo <sup>1)</sup>.

W uzupełnieniu zarysów dodać jeszcze wypada słów kilka o obecnym stanie naukowości w Serbii, która lubo w ciasnym obrębie, na niejaka zasługuje uwagę ze względu na wytrwałość, z jaką łamiał pierwsze lody pracownicy na dziewiczej tej niwie. W ciągu lat nie wielu, dzięki usiłowaniom szlachejnych jednostek, co o oświatę ludu swego dbają, już w różnych gałęziach wiedzy dość pocieszające się ukazały zawiązki, które bujniejszy z czasem rozrost zapowiadają. Rzut oka choćby pobieżny na przeszłe dzieje piśmiennictwa staje się w tym razie niezbędnym, ile że trafniej pozwoli ocenić obecne drogi, na jakie wstąpiła pracująca w piśmiennictwie myśl serbska.

Pytał nas kiedyś Ranke, autor powołanych już wyżej Dziejów rewolucyi serbskiej, kiedy i odkąd zaczyna się historia każdego w ogóle narodu? Odpowiedź na pozór nie trudną, którą na razie odszukać nie

<sup>1)</sup> W niniejszym ustępie korzystaliśmy głównie z prać Stojana Nowakowicza „Istorija srpske kniževnosti“ Beograd 1871. 2-gie wyd.; Jagioza „Ist. knjiž. nar. hrvatskoga i srbskoga“ u Zagrebu 1867. Szafarzyka „Geschichte der südslavischen Literatur.“ Prag. 1864 3 tomy; z powołanej już wyżej Kanitza „Serbien“ 1868 r. i prof. Ljubicza „Ogledalo književne poviesti Jugoslavjanske.“ Riečki 1864 r.

byliśmy w stanie, dał sam ten, co pytanie stawiał. Od czasu, rzekł Ranke, kiedy się pismo zaczyna. Jakoż życie dziejowe Serbów zaczyna się od chwili, gdy się pismo okazuje, piśmiennictwo zaś oczywiście w tej samej rodzi się dobie. Nasz więc wątek rozpoczynałby się wraz z pierwszą księgą serbską, kiedy lotne słowo mowy serbskiej stało się ciałem w widomym znaku, zdolnym utrwalić przemijający objaw ludzkiej myśli. Stajemy przeto u źródła znaków piśmiennych. Ale daremnie szukać początku ich powstania. Jak u wielu ludów słowiańskich tak i u Serbów niewątpliwie dzieje piśmiennictwa z wprowadzeniem chrześcijaństwa ściśle się wiążą. W wieku téż IX widoczniejsze ukazują się już ślady pisma. Ale jakie to było pismo; znowu zagadka, którą różni różnie rozwiązują. Kto i kiedy wynalazł głągolicę i cyrylicę? Dużo czasu strawili i nie mało nauki spotrzebowali uczeni, dowodząc starszeństwa tego lub owego pisma, a spór między dwoma prowadzony obozami, nie zawsze wolnym był od uniesień osobistych lub narodowych. Pójdźmy w tej mierze za zdaniem Dobnera, Szafarzyka, Miklosicza, Raczkiego, którzy głągolicę znacznie dawniejszą być mienia, przypisując apostołowi słowiańskiemu Cyrylemu jój przekształcenie w pojedynczych znakach. Miała ona być własnością Słoweńców pannońskich i przed nawróceniem do chrześcijaństwa przez nich używaną; dopiero św. Cyryl podobno ją nieco odmienił, jako głęboki znawca języka, oswojony z dźwiękami nosowemi i spółgłoskami słowiańskimi. Istotnie postać alfabetu z 40-tu znaków złożonego, wyrażająca się w liniach prostych i zagięciach kątowych wskazywać się zdaje, że głągolicy służył za wzór dawny alfabet fenicki. Takie blizkie powinowactwo świadczyłoby powinno o początku starożytniejszym niż kształty cyrylicy, które znów używane w IX wieku alfabet grecki przypominają bardzo wyraźnie. Dochowało się przytém rękopismów o tym alfabecie wcale nie wiele, znacznie mniej niżeli pomników pisanych cyrylicą, a ta ich rzadkość również za ich starszeństwem mówić się zdaje. W głągolicznych szczątkach języka spotyka badacz mnóstwo archaizmów, znajduje podobnie palimpsesty, czyli powtórnie używany pergamin, na którym wytarte jest dawne głągoliczkie pismo a natomiast nowa występuje cyrylica, gdy tymczasem odwrotnego tych pism stosunku w rękopismach nie masz. Nadto nieraz ukazują się słowa sposobem wschodnim od prawej ku lewej pisane ręce. Takie dowody razem wzięte dają twierdzeniu Miklosicza o dawniejszém głągolicy pochodzeniu podstawy dość niewzruszone. Najstarszym i najważniejszym tego pisma pomnikiem jest tak zwany *Glagolita Clozianus* z XI wieku, z dwunastu w 4-ce pergaminowych kartek złożony, własność hr. Cloz w Trydencie. Wydał go Kopitar w Wiedniu w 1836 r. Może z tegoż XI wieku pochodzi także *Codex assemanus*, ogłoszony w 1865 przez prezesa akademii w Zagrzebiu Raczkiego, a znaleziony w watykańskiej bibliotece.

Drugiego pisma słowiańskiego wynalazcą miał być zdaniem Miklosicza, ś. Klemens († 916). Cyrylica wzięła z czasem górę nad głągolicą i dziś w powszechnem jest używaniu u wszystkich Słowian wschodniego ob-

rzędu. W księgach kościelnych zachował się dotychczas jój kształt pierwotny, w świeckich zaś uległa przekształceniu od czasu Piotra W. Najdawniejszym tego pisma cyrylskiego zabytkiem jest ewangelia Ostromira, pisana w Nowogrodzie w XI stuleciu. Głagolica smutnie przechodziła koleje. Srogo prześladowana zachowała się dotychczas u Słowian, katolików, w Dalmacyi w dość znacznej nawet liczbie, bo używają jój do ksiąg kościelnych, według ostatnich wykazów, w 105 parafiach. W świeckim zaś piśmiennictwie wszyscy katolicycy Słowianie na półwyspie bałkańskim wspólnie piszą i drukują pismem łacińskim. Dziś pismo rozdzieliło południową Słowiańszczyznę. Rzym i Bizancyum: oto dwa bieguny przeciwne. W pierwiastkowych jednak czasach wprowadzenia chrześcijaństwa, takiego nie było rozdwojenia, mimo różność alfabetu, bo wspólnym węzłem łączył wszystkich język, w którym opowiadano a następnie przy obrządkach kościelnych czytano słowo Boże: język staro-słowiański czyli cerkiewny. Lubo i tu co do miejscowości, gdzie językiem tym mówiono, uwydatniły się dość różne uczonych badaczy zdania, jednak ludzie większej w nauce powagi twierdzą, że cerkiewny był początkowo mową dawniejszych Słowian bułgarskich. Sądzono dawniej, jakoby ta mowa cerkiewna była tym wspólnym pniem, z którego, niby z ogólnego źródła, wszystkie inne pobratymcze między Słowianami powstały. Trafniej daleko powiedzieć można, że cerkiewny był tylko pobratymczym innych języków, w ścisłym słowa tego znaczeniu. W pobratymczej więc mowie Serbów pierwsze ukazuje się piśmiennictwo. Nie było ono jednak narodowem, tak jak obcą u nas była zupełnie cała gałąź łacińskiej literatury. Niezbyt przeto obszerne należy się tu miejsce tym staro-cerkiewnym w Serbii utworom pióra, jako nie wyrosłym z łona rodzinnego języka. Dziwna zaiste rzecz, że Serbia w ciągu całego swego istnienia politycznego, nawet w dobie rozkwitu w XIV wieku, własnej poza obrębem języka cerkiewnego nie stworzyła literatury. Wprawdzie i u nas długo wszechwładną była łacina, ale już z epoki Piastów mamy piękne rodzinnej mowy pomniki. Cała zaś piśmienna praca Serbów zamyka się w ciasnych granicach literatury kościelnej, uprawianej nadto wyłącznie niemal przez osoby służbie Bożej oddane. Ztąd więc cały szereg prac w celach praktycznych ułożonych: służebników (łac. missale), czasosłowów (breviarium), trebników (rituale), molitweników (euchologion), oktoichów, menologów, i t. d., które wyliczył i tak starannie w porządku chronologicznym ułożył Szafarzyk w swojej Historji piśmiennictwa serbskiego. Jeżeli samoistna w swém życiu politycznym Serbia nie wydała z siebie piśmiennictwa obszerniejszego, mniej go się można było ponieć spodziewać, kiedy w końcu XIV w. podbita i poszarpana, na długie czasy był swój samodzielny utraciła. Piśmienna praca schroniła się pod skrzydła wolnego jeszcze Czarnogórze, gdzie już na schyłku XV wieku piórsze ukazały się druki. Po klasztorach w Serbji tułała się tu i owdzie piśmienna działalność, blada i bez życia. Życie też w niej być nie mogło. Język ksiąg kościelnych był mową martwą, jak u nas łacina, dla ludu niezrozumiałą. Język ten, co więcej,



życia wlać nie mógł, jakie z innej strony dawała łacina, z którą szli w parze obok brewiarza i mszału, pociecha filozofii Brecyusza, Salustyusz, Swetoniusz i cała ówczesna rzymska klasycyzacja. Naród serbski śpiewał pieśni, składając w mowie ojczyźstój swoje marzenia o minionej przeszłości i bóle swojego serca i żale nad ciężką dolą, ale z piśmiennictwem kościelném nie miał nic wspólnego. Dwa te strumienie biegnęły różnymi drogami, ludowy wił się po przez zielone blonia, bijąc jak z krynicy obficie, z duszy we łzach tonącój. Wtedy nikt tych pieśni nie podsłuchał, nie zapisał: wiele też z nich z biegiem czasu uleciało.

Po długich i bardzo długich latach ukazuje się wreszcie na tém bezludnym polu w drugiej połowie przeszłego wieku Jan Raicz, pierwszy historyk serbski. Oddany z zapalem swój ukochanej myśli, odbył podróż na górę Atos do klasztoru Chilandar, gdzie się spodziewał zebrać obfite zbiory dla swój pracy i lubo doznał gorzkiego w tój mierze zawodu u podejrzliwych i skrytych mnichów, nie ostygł w zapale i przez długie lata szperał po wszystkich zakątach, aż nareszcie sam zostawszy mnichem, w ciszy celi klasztornej stawiać zaczął pierwszy wzrąb dziejów swojego i sąsiednich pobratymczych krajów. Ciężar niezmiernój pracy, będącój pierwszém w tym kierunku usiłowaniem, stłumił wszelki szerszój myśli polot w autorze, który nie był w stanie pokonać ogromu nieokrzesanego jeszcze materiału. W czterech ogromnych tomach skrzętna ręka pierwszego dziejopisa zebrała cenne wiadomości, ale to mozolne żniwo ziarna nie wydało, bo lubo Raicz utarował drogę następnym pisarzom, nie stworzył jednak dzieła, któreby się poczytną książką stało dla narodu. Raicz napisał swe dzieje w języku zrozumiałym li dla uczonych, który składał się z dziwnój mieszaniny starocerkiewnój, rosyjskiej i serbskiej mowy.

Właściwą piśmiennictwu drogę wskazał dopiero Dozyteusz Obradowicz, stawszy się niejako twórcą języka piśmienniczego; on mowę ludu wprowadził do książek a książki tym sposobem między ludem rozpowszechnił. On pierwszy przemówił ogólnie zrozumiałą mową. Była to osobistość dziwnie piękna, jedna z najszlachetniejszych, jakie kiedykolwiek naród serbski wydał z łona swego. Autor i człowiek taką rzadką w nim stanowią całość, że oddzielnie o jednym lub drugim mówić niepodobna. Żył przez całe swe życie myślą, która każdym jego kierowała krokiem, a tą było oświecenie narodu, jego odrodzenie moralne, wydarcie z objęć ciemnoty, w które długoletnia turecka niewola pogrążyła. Lubo obraz całego życia tego męża bardzo wdzięcznyby nam pod pióro nasunął przedmiot męża, który że zwiedził całą niemal Europę, serbskiego Anacharsyasa nosi miano, ku literackiej jednak jego stronie zwrócić nam wypada. Na niemieckich wszechnicach kształcił się Obradowicz, zwłaszcza w Halli dłuższy czas przebywał, poświęcając się pod kierunkiem prof. Eberharda naukom filozoficznym. Łzy mu w oczach stawały, kiedy tu widział roje młodzieży z jednego odczytu na drugi dążącój i codzien niemal ukazujące się książki; wtedy z bólem serca zastanawiał się nad niedolą swojego narodu w ciemnocie pogrążonego i pytał: kiedyż i my

takie zakłady naukowe mieć będziemy? Obradowicz doczekał się istotnie dnia wyswobodzenia z pod władzy Turków i on pierwszy w Beogradzie pierwszą szkołę serbską zakładał. W Lipsku ogłosił najprzód Obradowicz swój Żywot własny: pod względem treści i wykładu książka wielce zajmująca, której było celem przekonać naród, jak zbyt czystymi są klasztory, a jak niezbędnymi zakłady naukowe. W drugiej pracy noszącej nazwę: „Rady zdrowego rozumu“ starał się w przystępny sposób wyłożyć zasady filozofii moralnej. Po niejakiem w Anglii pobycie, który dla umysłu nową stał się podniętą w towarzystwie wykształconych przyjaciół, wydał w języku rodowitym znaczny zbiór bajek Ezopowych, dodając do każdej sens moralny, gdzie się też najczystsza i najgorętsza miłość kraju i cnoty przebija. Następnie ogłosił kilka pism treści moralnej, religijnej i do życia się odnoszącej. Wszystkie jego pisma, powiada Szafarzyk, (Tom III, str. 318) noszą na sobie znamie jego ducha. Wszędzie oryginalny, moralnie czysty, łagodny, pełen miłości i ciepła, jasny, zrozumiały, baczący na zastosowanie nauki w życiu, na uszlachetnienie ludzkiej natury, zapamiętały wróg wszelkiej obłudy, samolubstwa, głupoty i nieokrzesania: oto rysy jego wielkiego charakteru. W stylu jako w zwierciadle odbija się jasno i przezroczyście jego dusza. On pierwszy pisał między nowożytnymi po serbsku, piéwszy z takim potężnym i trwałym wpływem, a pisał czystym ludowym językiem Serbów, nie gardząc z jednej strony trafniemi z cerkiewnego języka przez naród zapożyczonemi wyrazami i zwrotami, a z drugiej, nie wyrzucając również odpowiednich do ducha języka przypadających obcych wysłowień. W ten też sposób udało się Obradowiczowi obudzić między ziomkami swemi popęd ku oświacie. Około tego wielkiego zadania pracował ustawicznie na różnych drogach, własnym życiem, dając przykład, obcowaniem pobudzając innych, słowem i pismem zachęcając tych, do których osobisty wpływ jego nie sięgał. To też z téj pracy nieobliczone na naród spłynęły pożytki. Mimo liczne przeszkody i obudzany często wstręt ku zbawiennéj jego działalności, zdołał jednak Obradowicz rzucić w tysiączne Serbów serca ziarna nowego życia, które niebawem wschodzić zaczęły i dziś jeszcze po śmierci w 1811 r. zaszłej, żyje we wdzięcznej ich synów i wnuków pamięci. Imie jego dotychczas ze czcią wspominają lepsze z narodu dusze.

Oświata szerząca się ze szkół świeżo powstałych lubo na zagranicznych czerpana wszechnicach—powoli wpływała na ożywienie piśmienniczej działalności między Serbami. Za hasłem daném przez Obradowicza, coraz częściej pióra okazywać się zaczynały. W ciasnym jednak obrębie obracała się jeszcze naówczas myśl serbska: wychodziły wprawdzie w Wiedniu, Peszcie, Nowym Sadzie różne dzieła początkowe, ale nie wszystkie w rodzinnej pisane mowie; jeszcze się i tu owdzie okazywał w książce cerkiewny język. Przekładami z różnych obcych języków piśmienniczy zasilano strumień. Twórczość bardzo skąpo z własnego biła źródła. Na tę płonną niwę wystąpił nowy pracownik, istny syn Serbii a przybył z nad zielonej Driny, z czarnogorskich stoków

splywającą; orzeźwiając jako górski potok zapuszczone pole serbskiego piśmiennictwa. Któż nie zna Wuka Stefanowicza Karadzicza?

Urodzony we wsi Trszycz (1787) w Serbii w okręgu Jadar, już w młodym wieku czynny duch Wuka wydzierał się poza ciasne granice kraju. Po długich latach na nauce i wędrownie spędzonych osiadł on w Wiedniu, gdzie tyłu sławnych na polu słowiańskiej nauki bawiło mężów, między nimi jego przyjaciel Kopitar. Z Wiednia przedsiębrał jako ze środkowego miejsca wycieczki w różne strony. Tu też umarł w 1864 roku, w 77 roku życia a w 50 swojej naukowej działalności. Nawet w znakomitych ludzi bogatsze narody byłyby ciężko ubolewały nad stratą tak wielkiego męża. Całe życie swoje bowiem pracował Wuk dla narodu. Już podczas wojny za niepodległość Serbii dał dowody swojego wielkiego dla sprawy ogólnej poświęcenia. Później z zaparciem samego siebie służył swojemu krajowi jako urzędnik. Nie tu jednak jego zasługi: bo głównie sławę sobie zjednał jako zbieracz pieśni ludowych, jako prawodawca piśmienniczego języka, jako gorliwy apostoł we wszystkiém, co dobra Serbii dotyczyło. W umysłach takich ludzi jak Goethe, Grimm, Kopitar, Laboulaye umiał Wuk rozniecić miłość i zapał do ludowej Serbów poezyi i ich piśmiennictwa. Ranke nigdyby nie był napisał swoich dziejów rewolucyi serbskiej, gdyby go Karadzicz nie był pobudził. Ile mu zaś zawdzięczają mężowie wielkiej w Słowiańszczyźnie nauki Szafarzyk, Mikłosicz i Daniczyc, sami to w swoich dziełach wyznają. Bez przesady powiedzić można, że cokolwiek po za granicami Serbii na polu jej historii, etnografii, piśmiennictwa zrobiono, wszystko to za pośrednim lub bezpośrednim wpływem Karadzicza powstało. Już z pierwszych jego prac na polu naukowym można było o przyszłym kierunku sądzić. Już początkowe świadczyły kroki, ku czemu zmierzał pracownik ten na nieuprawnjej niemal ziemi. W 1814 roku ukazał się w Wiedniu mały zbiór pieśni ludu serbskiego, poczem niebawem nastąpiła gramatyka serbska a w 1818 roku słownik języka serbskiego. Były to niejako wiosenne zawiązki, z których w postępie czasu takie konarzyste rozrosły się drzewa. Odtąd Wuk Karadzicz nie przestawał coraz nowemi zbiorami wzbogacać swoich pieśni ludowych, nie przestawał badać języka w kształtach jego gramatycznych i układać w ów naukowy słownik, który się stał niejako prawodawcą języka księga<sup>1)</sup>. Podsluchując pieśni ludowe, przenosząc je na papier, utrwalal te lotne ludowej fantazyi twory i wydobywal niby górnik na jaw złotą języka ludowego Serbów rudę. Świat słowiański uczony usłyszał w tych pieśniach mowę inną, od tój, którą w dotychczasowém spotykał piśmiennictwie. Mowa pieśni ludowej brzmiała dźwiękiem, melodyą, które żywo śpiewny język włoski przypo-

<sup>1)</sup> Drugie wydanie słownika Sorbsko-niemiecko-łacińskiego W. S. Karadzicza z 1852 r., obejmuje blisko 50 tysięcy wyrazów, pierwszo zaś ledwie połowę w sobie mieściło.

minaly. Obce ludów zachodnich literatury prędko przyswajając sobie zaczęły te perły poetyckiej twórczości narodu, który dotąd tylko z jego niedoli lub gorącej do kraju miłości znano. Sami wreszcie Serbowie, słysząc z pod serca płynącą pieśń, pieśń swoich gór i dolin, ku swemu zdziwieniu ujrzeli obfitość i giętkość, z którą się poważny język cerkiewny mierzyć nie mógł. Tej złotej językowej rudzie z rodzimych gór dobywanej nadać kształt odpowiedni, oprzec takowy na naukowych zasadach, było drugiem Karadzicza zadaniem, któremu także życie swoje poświęcił. Śmiały mąż uczony zerwał na tém polu z tradycją, zdjął z języka skorupę starocerkiewną, dając mu właściwszą, swobodniejszą i prawdziwie naukową pisownię. Zarzucił dawne znaki twarde i miękkie, wprowadził *jotę* i inne znaki właściwsze dla oddania dźwięków a przytém prostsze. Wprowadził więc do piśmiennictwa język narodowy, dotąd nieużywany w książkach i jednocześnie ubiórał go w naukową postać. Spełnił przeto zadanie niejako artysty, co sam wydobyla bryłę z ziemi i sam ją na dzieło sztuki przerabia.

Ta ważna atoli w dziejach mowy serbskiej zmiana nie odbyła się tak spokojnie, jakby się tego słusznie spodziewać należało. Zaledwie dopiero lat kilka, jak ucichły ostatnie głosy tej groźnej burzy, która się zerwała z powodu reformy Karadzicza. Naukowe powagi w językoznawstwie słowiańskim, między niemi Srezniewski, Miklosicz i inni, alfabet i pisownię nową, wprowadzoną przez Wuka, za zupełnie właściwą uznawali. Ale duchowieństwo, liczni pisarze z różnych powodów zawzięci, dawnych bronili tradycy językowych. Prowadzono walkę na ostro. Między zapaśnikami z drugiej strony odznaczał się Sweticz swoim niezłamanym uporem. Nową pisownią, do której między innymi wprowadzono łaćńskie jota (*j*) nazwano kacerstwem religijném, odstępstwem ohydny, podkopującym wrzekomo całą tradycją prawosławną. Zabroniono używać pisowni Karadzicza w szkołach i aktach publicznych, tylko za granicami swego kraju drukował reformator swoje prace nowemi czcionkami i w nowój pisowni. Miał być to, zdaniem przeciwników, wynysł dyabelski, zamach na tradycją, wiarę i t. d. Dopiero w 1860 roku zdjął rząd serbski poczęści kłatwę z tej reformy Karadzicza, która właściwie ostatecznie w 1868 roku wszelkiej już zażywać zaczęła swobody obywatelskiej.

Dwom mężom jak Obradowicz i Karadzicz winno nowoserbskie piśmiennictwo swoje odrodzenie. Są to koryfeusze, którzy pod względem zasług, pod względem wpływu, jaki wywarli, współzawodników nie mają. Oni dali ten pierwszy popęd rozwojowi, który za ich czasów i obecnie po wskazanej przez nich idzie drodze. Obok tych imion spotykamy szeregi pracowników, którzy się do wyrobienia języka, do zwiększenia koła czytelników, do oświaty ludowej, do powstania serbskiej naukowości w różnych jój kierunkach przyczynili, ale, jeśli się nie mylimy, w doniosłości rzuconych myśli, rozbudzonego popędu, żaden im już nie dorównał.

Z tej wysokości zstąpmy więc obecnie w te niższe koła, które ogarnęły sobą szerszą, nad pojedynczych usiłowania działalność. Taką

sprężyną w ruchu piśmienniczym serbskim stało się w 1841 roku przez księcia Michała założone Towarzystwo literackie (Društvo srbske slovesnosti). Pod skromną nazwą stało się towarzystwo serbskie wkrótce ogniskiem całego życia umysłowego, dokąd się zbiegały wszelkie usiłowania około badań nad przeszłością Serbii i krajoznawstwem, nad rodzinnym jej językiem. Wydając swoje pismo „Glasnik“ (około 25—26 tomów) starało się Towarzystwo wzniecić zamięrowanie do nauk, chęć do współpracownictwa lub gromadzenia przynajmniej choćby w pierwotnej nieokrzęsanej formie przedmiotów naukowych nawet w tych kołach, dokądby nigdy podobne ożywcze nie sięgnęły pobudki. Towarzystwo zostaje zawsze pod opieką ministra oświecenia. W 1864 roku przekształciło się literackie towarzystwo na „Towarzystwo naukowe serbskie (srbsko učeno društvo). Obejmuje ono trzy działy: nauk moralnych i językoznawstwo, matematyki i nauk przyrodzonych oraz oddział historii i nauk politycznych. Sekretarzem tego towarzystwa jest Stojan Nowakowicz, autor powołanych już wyżej dziejów literatury serbskiej, z pracy którego w ciągu niniejszych zarysów nieraz korzystamy. Według ostatniego z r. 1868 posiedzenia, każdy Słowianin, choćby nie był obywatelem serbskim może być wybrany zwyczajnym członkiem towarzystwa; prócz stałych, to jest zwyczajnych członków liczy towarzystwo obecnie 60 członków korespondentów a 40 honorowych. Skarb daje rocznie zapomogi około 10,000 złp., które służą jako środki wydawania pomienionego czasopisma, nieraz obejmującego nader kosztowne dodatki w kształcie podobizn lub litografij. Dość w rękopisma zasobna biblioteka towarzystwa dostarcza niemało dla Glasnika przedmiotu.

Wpływ Towarzystwa na podniesienie poziomu naukowości w Serbii niewątpliwie dość był i jest skutecznym, nie tą atoli wyłączną drogą rozpowszechnia się oświata, nie na tym też wyłącznym środku poprzestali Serbowie. Szkoły stanowią jedną z najważniejszych w tym zakresie dźwigni. Czego jednak szkoła już dać nie może, to tém darzyć winno czytający ogół piśmiennictwo. Pojąwszy trafnie takie piśmiennictwa zadanie, zawiązano już wcześniej towarzystwo celem rozpowszechniania książek. Oto początek owej Matycy Serbskiej, która tak ogromne położyła około oświaty narodowej zasługi, i która tyle innych podobnych wywołała towarzystw w sąsiednich i dalszych słowiańskich krajach w Lublanie, Zagrzebiu, Pradze i innych. Matycy obecnie w Nowym Sadzie ma swoje siedzibę.

W drodze bardzo niewielkiej prenumeraty rozsyła towarzystwo Matycy tysiącom swoich członków corocznie kilka nowych, świeżo wydanych dziełek lub książek. Powoli do chat wieśniaczych dotarły nawet drukowane rzeczy. Usiłowania więc towarzystwa naukowego i towarzystwa wydawniczego, nie mało się przyczyniły do podniesienia poziomu naukowego i wytworzenia znaczniejszego grona czytelników. Na tém polu, polu ożywienia umysłowości w Serbii, uczyniono nie mało, temu nikt nie zaprzeczy, komu bliżej są wewnętrzne stosunki znane, jakieśmy w po-

wyższych zarzysach uwytadnić się je starali. Siły naukowe księstwa, gromadzące się głównie w Beogradzie, są bardzo szczupłe. Służba publiczna przyciąga ku sobie wszystko niemal, cokolwiek średnie i wyższe wydają szkoły, nie zostawiając także zbyt wiele do zajęć naukowych i literackich czasu. Ci zaś, coby mogli swobodnie tylko na nauce chwile spędzać, stanowią garstkę bardzo ograniczoną. Pokup na książki w ubogiem piśmiennictwie jest tak nieznaczny, że się wytworzyć nie mógł oddzielny stan literatów z powołania. Dziś siły naukowe, najczynniejsze są na polu wydawnictwa szkolnego, przygotowania podręczników, które w średnim zakresie do kształcenia ogółu przyczynić się mogą. Nie leżą wprawdzie inne pola naukowe lub pola literatury odłogiem, ale są to po większej części te pierwsze i nieliczne usiłowania, o których dla wystawienia obrazu piśmiennictwa serbskiego najdogodniej będzie mówić według działów szczegółowych.

W zakresie badań historyczno-archeologicznych zaszczytne zjednał sobie imię niestrudzony D-r Janko Szafarzyk, główny bibliotekarz w Beogradzie, który cenne powydawał dokumenty z archiwum weneckiego, odnoszące się do dziejów Serbii.

W przeciagu niespełna dwóch miesięcy, przepisał on około 500 łacińskich aktów z lat od 1325—1518 i ogłosił je p. n.: *Acta archivi Veneti spectantia ad historiam Serborum meridionalium*. Zbiór ten, obejmujący nader ciekawe rzeczy do objaśnienia ważnych dziejów z czasów potęgi serbskiej za cara Duszana, niebawem dopełniony został przez hr. Medo Puczcicza ze zbiorów archiwum ragusańskiego, ku czemu środki dał rząd serbski. Prócz tego każdy prawie zeszyt Głosnika zawiera cenne rozprawy z dziedziny historycznej, na której z odznaczeniem się pracowali lub pracują Wukamanowicz, Nowakowicz, Sabczanin, Dr Krsticz, znany ze swojego dzieła o dawniejszem prawodawstwie serbskiem.

Na polu językoznawstwa serbskiego jeszcze nie mało pozostało pracy obok W. Karadzicza i po jego śmierci. Obszerny ten zakres, który wymagał szczegółowych i rozległych badań porównawczych, mógł nierównież skuteczniej uprawiać filolog z powołania, gruntownie z nowemi obeznany zasadami porównawczego językoznawstwa. To opróżnione miejsce zajął Jerzy (Dźuro) Daniczcz, uczeń Karadzicza i Miklosicza, dziś około lat pięćdziesiąt mający (ur. w Nowym Sadzie 1825 r.). Jest to obecnie najdzielniejszy znawca serbskiego języka. Niestrudzony w téj dziedzinie, pracami swemi naukowemi ujął on w karby stałych prawideł naukowych język swój rodzinny. Przez lat kilka był sekretarzem towarzystwa naukowego w Beogradzie, następnie professorem filologii i literatury w liceum, obecnie piastuje godność sekretarza akademii południowo-słowiańskiej w Zagrzebiu. Wydaniem serbskiej gramatyki, serbskiej składni (pierw. wyd. gram. 1850, 2-ie i 3-ie 1863, 4-te czcionkami łacińskimi dla Chorwatów w Beogradzie 1864, a piąte w Zagrzebiu cyrylicą), ustalił formy i składnię języka serbskiego. O tém ostatniem dziele wyraził się Miklosicz, że należy on do najznakomitszych, jakie w téj

dziejnie kiedykolwiek wyszły w słowiańskich piśmiennictwach. Oprócz tego pomieścił liczne artykuły z działu językoznawstwa w Głosniku, w pracach akademii zagrzebskiej, a mianowicie o akcencie serbskim, o różnicy między serbskim a chorwackim językiem. Wielką również wyświadczył nauce swego kraju usługę, wydawszy znakomity słownik wyrazów spotykanych w dawnych pismach serbskich (3 tomy 1862—1864), bez którego nikt, co przeszłość serbską badać pragnie, obejść się nie może. Przyczynił się on tém do poznania serbsko-słowiańskiego języka, którego znajomość dokładna jest niezbędną przy wydawaniu dawnych pomników piśmiennictwa. Ułatwił także podobną pracę i pobratymczym ludom, które mając kiedyś więcej z sobą wspólności, ważne w słowniku znajdują objaśnienia różnych instytucyj prawnych dawniej, minionej doby. Daniczicz, przygotowany pod względem historycznych przemian swojego języka, jak żaden inny z filologów, przystąpił téż do ogłoszenia różnych pomników historycznych i językowych, które stały się wzorem ściśle krytycznych wydań. Naczelne w tym względzie zajmują miejsce: Żywot Św. Sawy z Damantianu, Żywot Św. Szymona. Przełożył Daniczicz w końcu Stary Testament, który z Nowym Zakonem w przekładzie Karadzicza stanowi całość, między innemi, ułatwiając ludowi czytanie w pięknej prozie serbskiej księgi religijnej.

Prawne nauki mają dzielnego przedstawiciela w osobie D-ra Tkalac, który za staraniem rządu serbskiego, wydał w 1858 r. „prawo publiczne księstwa serbskiego“, mieszczące w sobie obraz politycznych urządzeń, jakie zaprowadziła u siebie Serbia po odzyskaniu wolności. „Zbiór zaś postanowień“, obejmuje liczne na polu prawoznawczém prace, w których brali udział pierwsi z różnych zarządów urzędnicy, a między nimi szczególnie z zarządu sprawiedliwości Lieszanin, Petroniewicz, Romanowicz.

W dziedzinie gospodarstwa społecznego najczynniejszym się okazał b. minister skarbu Cukicz oraz Jowanowicz, autorowie kilku cennych dzieł ekonomicznych. Niwę statystyczną uprawia obecnie prawie wyłącznie Jakszycz. Zadanie jego w obec skąpo jeszcze płynących materiałów w kraju, od niedawna urządzonym, jest dość trudném.

Tém niemniej jego co rok ukazujący się „Državopis Srbije“ i naukowe jego w Głosniku pomieszczane prace, dają dość dokładny wizerunek społecznego stanu księstwa. Ojcem zaś statystyki w Serbii jest właściwie minister skarbu, senator Gawriłowicz, który wydał geograficzno-statystyczny słownik, niestety następnie już przerwany.

Ku badaniom przyrodniczym, zwłaszcza w dziedzinie botaniki i zoologii, zwrócili się w ostatnich czasach młodzi uczeni w Serbii, dzięki zachęcie danój w tym kierunku przez D-ra Józefa Panczicza, który pierwszy w Serbii wszedł na dziewiczą niwę botaniczną i wraz z prof. Visiani, wydał w 1860 r. w Wenecyi dzieło botaniczne p. n. *Plantarum serbicarum pemptas*, a następnie kilka innych prac pomniejszych, dotyczących miejscowego świata roślinnego. Tenże D-r Panczicz pracował również z powodzeniem nad zbadaniem fauny serbskiej i odszuka-

niem kilku dawniej nieznanych gatunków zwierząt, mianowicie t. z. „*Antenchus sacer*“, przedstawianego na budowach egipskich, zaszczytne w nauce zjednał sobie imię.

We wszystkich innych gałęziach umiejętności, praca naukowa polega niemal wyłącznie na przyswajaniu literaturze serbskiej dzieł z literatur zagranicznych w zakresie wykładu szkolnego. Jak w wielu innych piśmiennictwach, tak i w Serbii, brak sił naukowych zmusza szukać pomocy u przodujących w oświeceniu narodów. Ztąd też w ostatnich zwłaszcza latach bardzo skrzętnie przekładano ogólnie przystępne dzieła Schweglera *Historią filozofii*, Migneta *Historią rewolucyi frencuzkiej*, Buckla, Palackiego i innych. Znalazła i polska literatura tłumacza w osobie D-ra Krsticza, który przełożył na język serbski W. A. Maciejowskiego *Historią prawodawstw słowiańskich*.

Zarysy obecne, oczywiście najważniejszych tylko obejmują pi-sarzy, szczegółowe wiadomości bibliograficzne, nie naszém mogą być zadaniem. To jednak, co wyżej przedstawioném zostało, dostateczną dać może miarę ruchu na polu piśmiennictwem, który w ogóle ze względu na dość skromną liczbę czytelników zbyt ożywionym być nie może. Tylko w stosunku bardzo ograniczonym, poważniejszą naukę uprawiają ludzie dawniejszego pokolenia; młodzież zaś serbska z zapałem rzuca się do pism peryodycznych. Na tém polu nie jest potrzebną tyle gruntowna wiedza i praca: z dnia na dzień powstają artykuły, które też efemeryczną mając wartość, giną w powodzi postępującego naprzód czasu. Młodzież pisuje do dzienników różnych, codziennych lub tygodniowych, a te też wyrastają jak grzyby po deszczu i również prędko, jak grzyby się starzeją. Ojcem dziennikarstwa w najpoważniejszym i najlepszym rodzaju, jest Miłosz Popowicz; objął on w 1841 r. redakcyą dziennika Vidow dan (dzień ś. Wita: rocznica bitwy na Kosowém polu), który był tylko czystym zbiorem ogłoszeń rządowych i wiadomości bieżących. Dopiero od wstąpienia na tron księcia Michała przerodził się dziennik na pół urzędowy, rozwinął swój zakres, zgromadził siły, między niemi D-r Rosena publicystę i tak się ożywił, tak urozmaicił, że dziś Vidow dan niewątpliwie do lepszych w europejskiém dziennikarstwie pism należy. Beograd, jako stołeczne miasto, jest główném ogniskiem ruchu dziennikarskiego. Serbia ma trzy gazety polityczno-literackie *Srbske Novine* dziennik urzędowy (w r. 1867 abonentów 600), Vidow dan (750 ab.), *Svetovid* (3—400 ab.). Prócz tego wychodzi dwa razy na tydzień gazeta polityczno-ekonomiczna „*Srbija*“, beletrystyczna „*Vila*“ (600 ab.) raz na tydzień i inne.

Przed nami jeszcze jedno pole, pole twórczej fantazyi. O poetach serbskich niepodobna mówić, nie przedstawivszy wpród tych cudownych pieśni, jakie w ciągu wieków naród cały serbski wyśpiewał. To, co piśmienni piewcy wysnuli w nowszych czasach odrodzonej literatury, ginie zupełnie w obec tej uroczej, czarownej pieśni ludowej, na którą składały się wieki poetyckich natchnień całego ludu w ciągu długoletniej doby jego ciężkiej niedoli. Właśnie tym pieśniom ludowym



i walce o niepodległość winni Serbowie, że nieznanie ich imię rozległo się głośnym echem we wszystkich krajach Europy. Gdyby Wuk Karadziczył był tylko wydał zbiór pieśni serbskich, jużby tém był zasłużył sobie na niewygasłą u swego narodu i innych ludów wdzięczność. Poezyą ludową serbską, jój ducha, bohaterskie poemata Serbii, poznali dokładniej wszyscy i wcześniej, niżeli jój przeszłość polityczną i stan jój społeczny za czasów Karadzicza. Najznakomitsi koryfeusze we wszystkich niemal literaturach poświęcili swoje poetyckie talenta, aby współziomków poznać z temi rapsodami, co natchnioną swą pieśnią prastare czasy Homera przypominali. Goethe wprowadził Niemców w świat słowiańskiej poezyi. Jego przekład Żony Azan Agi (według tłumaczenia włoskiego dokonany), wzbudził podziw powszechny. Za jego przykładem poszli: Herder, Talvj, Grimm, Kapper i inni. U Włochów najwcześnień oceniono wysoką wartość poezyi serbskiej: przyczynili się do tego Fortis i Nicolo Tomaseo. U Francuzów Dozon, u Anglików Sir John Bowring, u Czechów Kollar, u Węgrów Michał Witkowicz. I nasza literatura nieostatnia w tym rzędzie była. Już w 1830 r., przekładał A. Bielowski wierszem pieśni serbskie <sup>1)</sup>, za nim znacznie większą liczbę z właściwym talentem przyswoił literaturze naszej Bogdan Zaleski <sup>2)</sup>, a wreszcie najpilniej na tém polu pracował Roman Zmorski <sup>3)</sup>, bo nam dał poznać wszystkie rodzaje ludowej pieśni Serbów: legendy i baśni, pieśni bohaterskie, romanse, piosnki miłosne i cały poemat o królewiczu Marko. Razem z przekładami na różne języki ludowej poezyi Serbów powstała bardzo bogata literatura rozbiorowa; jednocześnie niemal zwrócono się do zbadania istoty i charakteru tych nowoczesnych rapsodycznych poematów; rozbierano treść i powstawanie tych pieśni, ich formę poetycką oraz język. Talvj (panna Teresa Jakob) napisała poważne w angielskim języku studyum nad poezją ludową Serbów; księżna Dora d'Istria podobnież temu poświęcała się przedmiotowi, nad którym również poważnie pracowali: Kappert, Brühl, Miklosicz, Redeticz, Bodiański, Bezsonow. Komuż u nas są obce odczyty (XVI—XXII) mistrza poetów Mickiewicza o poezyi ludowej Serbów? Wielki wieszcz, przewodnik romantyków, lepij niż kto inny umiał ocenić pieśni gęślarzy ludowych. To téż nam dał w swych odczytach piękny i wspaniały obraz twórczej Serbów fantazyi, określił jój rodzaje, wykazał znaczenie poematów i szczególowo treść ich wyluszczył. Mając udatne przekłady Zaleskiego i Zmorskiego, mając głębokie na poezją ludową Serbów poglądy Mickiewicza, czyżbyśmy nie zgrzeszyli dziwnem

<sup>1)</sup> Umieszczone w *Ilaliczaninio*, wydawanym przez Chłędowskiogo-Lwów 1830. Tom II, str. 208.

<sup>2)</sup> *Poczye*. Tom IV, Petersburg 1852.

<sup>3)</sup> *Narodowe pieśni serbskie*. Tomy 2. Warszawa 1853. Królewicz Marko. Warsz. 1859.

zrozumieniem, gdyby nas niewczesna opanowała chęć wypowiedzenia tu naszych w tym przedmiocie myśli, kiedy je ciekawy czytelnik znajdzie w pierwotnym a niepożyczonym kształcie u Mickiewicza w nierównież udatniejszym, niżby nasza kompilacya być mogła, sposobie wypowiedzianych. Więc porzucając to pole, na którym wieszcz polski pracował, dodajmy tylko od siebie wiadomości o tém, co w odrodzonej literaturze serbskiej ukazało się poza zakresem ludowej pieśni w dziale piękna poetyckiego.

Kiedy Dożyteusz Obradowicz zagał nową w literaturze serbskiej epokę, i kiedy W. Karadzicz śmiało na narodową wstąpił drogę, wtedy przystąpił trzeci pisarz, Szymon Milutynowicz, jako jest z najpierwszych piewców, który się ośmielił współzawodniczyć o lepsze z poezyą ludu, śpiewając słowami czysto-narodowemi, poruszając przedmioty swojskie, najbliższe, które wszystkich za serca chwytają. Milutynowicz był z rodu swego Bośniak (ur. 1791—† 1848), a żywot prowadził tak urozmaicony, tyle przechodził kolei losu zmiennych i pomyślnych, że te dzieje mogłyby istotnie posłużyć za wątek zajmującej powieści. Ukształcenio swoje odebrał w Serbii Austryackiej, a głównie w Niemczech, gdzie dłuższy czas bawił, poświęcając się naukom w Lipsku. Tu też wydał swoje „Serbiankę” zbiór liryczno-epicznych i historycznych pieśni z czasów walki za niepodległość 1804—1815. Poczém ukazały się w 1826 r. „pjesnice” mieszanej treści. Uderzając na swój lutni w strunę tak żywotną, tak serdeczną, z którą się splatały krwawe i wesołe wspomnienia narodu, zjednał sobie w prędkim czasie współczucie ogółu; jako naszego Janusza dźwięki, niebawem brzmiały jego pieśni na ustach wiarusów i młodzieży, pań wielko-światowych i wiejskich dziewoi. Nastrój jego liry jest prosty, serdeczny, niekiedy wpada w ton pieśni ludowej. W części zaś historycznej opowieść odznacza się rzadką bezstronnością, poeta bowiem sam kilka lat na wojacze spędził; jako świadek naoczny, wyśpiewał krwawe dzieje odradzającej się wolności serbskiej.

Założenie Matycy serbskiej w 1826 r. przez zasłużonych pisarzy Dawidowicza i Sweticza (Jovan Hadzicz), podziało nader silnie na serbską poezyą i dało jój nowy popęd. Jak zwykle w każdej poczynającej literaturze z szczególniejszém upodobaniem zwracano się ku lżejszym przedmiotom. Poetycka natura Serbów sprzyjała w tym kierunku lirycznej piewców działalności. Z początku jeszcze czas niejaki hołdowano wzorom klasycznym, łacina tamowała wolny polot, ale wkrótce przemożono te zapory i Suboticz w swoim poemacie „Stefan Deczański” już nową utorował drogę, zrodziwszy całą plejadę naśladowców. Poetyckie twory Władzky Czarnogórskiego, Piotra Niegosza, Ilicza, Sabczanina, Nenadowicza i szczególniej Macieja Bana, powszechnóm cieszyły się wzięciem, które rosło w miarę, jak poeci serbscy na narodowym żywiole osnuwali swoje pieśni w ciężkich chwilach politycznych, kiedy nad Adryatykiem i w Węgrzech ich współziomkowie ucisk cudzoziomski znosić musieli.

Na szczególną z rządu tych poetów wzmiankę zasługuje Piotr Niegosz, władyka czarnogórski (1813—1851), którego w młodych latach przewodnikiem był wzmiankowany już wyżej Milutynowicz. Znany zkażdym jako opiekun oświaty ludowej i założyciel pierwszych szkół i drukarni w Czarnogórze, zajął Niegosz także zaszczytne miejsce w pocście piewców serbskich. Nie tyle mu sławy przyniósł „Pustelnik cetyński”, ile raczej „Wieniec górski” w 1847 r. wydany. Jak Milutynowicz wyśpiewał w swojej Serbiance walki i bohaterские czyny swych współziomków w sprawie o niepodległość Serbii, tak i Niegosz czerpał natchnienie w podobnymże przedmiocie, w krwawych bojach XVI stulecia, za czasów Władyki Daniela, przez Czarnogórców staczanych. W ogóle Niegosz śpiewał zawsze na tę nutę pieśni bohaterские, ale właśnie w „wieńcu górskim”, forma i treść złożyły się na udatną całość. Rzecz jest prowadzona w rodzaju dramatycznym. Wplecione pojedyncze ustępy, tętnące gorącą do kraju miłością, refleksy nad smutną dolą ukochanej Niegosza ojczyzny, zwłaszcza w owej epoce tuż przed wypadkami 1848 r., żywy odgłos w sercach serbskich patriotów znajdowały.

Nowsi poeci liryczni, mniej głośni, po większej części w pismach peryodycznych umieszczają swoje utwory, a mianowicie w Maticy, Vily i innych.

W tych pismach peryodycznych rozwijają się też pierwsze związki serbskiej noweli i powieści. Powoli od tłumaczeń zagranicznych utworów tej gałęzi (między niemi Czajkowskiego i Jeża), przeszli literaci serbscy do samodzielnych powieści. Oczywiście noszą one na sobie jeszcze widoczne znamię swój młodości. Pojedyncze sytuacje, opisy miejscowości, a zwłaszcza sam język, świadczą o dość śmiałym polocie i talencie, ale charakterystyce działających osób schodzi jeszcze na wybitności i akcja posuwa się bardzo wolno. Po śmierci wczesnie nader zgasłego (w 1858 r.) Bogoboja Atanackowicza autora noweli „Podarek Serbianki” i „Dwa bożyszczka” pole powieści serbskiej uprawiali Milorad Popowicz, Sabczanin, Džordzewicz, którego powieść „Koczina kraina”<sup>1)</sup>, wykazuje talent uwagi godny.

Dramat i komedia także w nowszych dopióro czasach, swój początek wzięły. Smutne dzieje Serbii aż do końca przeszłego stulecia tamowały zupełnie możliwość powstania narodowego teatru. Po odzyskaniu wolności czyniono usiłowania celem założenia stałego teatru, ale brak środków długo temu stawał na przeszkodzie. Przypom i siły literackie były za słabe, aby się na własne i oryginalne rzucić mogły utwory. Pierwsze próby poszły na tym polu dość niepomysłnie. Ów ciężki dziejopis Raicz już z tragedją historyczną wystąpił „Car Urosz,”

<sup>1)</sup> Tak się nazywa wojna turecka między rokiem 1788—1791 pod dowództwem naczelnika Koczi.

pozem czynnemi w tój gałęzi byli Wuicz, a nawet Milutynowicz. Nowsze czasy szczęśliwszemi się w tym względzie okazały. Zagrzeb przodował, założywszy u siebie stały teatr, a za tym przykładem poszły miasta Beograd i Nowy Sad.

W stolicy Serbii, rząd książęcy przyszedł w pomoc ze znacznym zasiłkiem Popowiczowi, który przed trzydziestu laty pierwsze zaczął dawać przedstawienia w Beogradzie. Sam nawet Popowicz odznaczył się jako autor udatnych komedyj „Ciri Janija” (Sknera) i „Dynia, co kubkiem chce zostać.” Mniej uznania znalazły jego dramatyczne utwory, czerpane po większej części z serbsko-bułgarskich dziejów. Do najulubieńszych dramaturgów serbskiego teatru i ogółu, należy Maciej Ban, wyżej już między poetami wspomniany. Jego „Mejrima” już w 1851 roku poklask powszechny sobie zjednała, a „Car Lazar” „Dobriła i Milenko” „Cveti”, stoją w teatrze serbskim na porządku dziennym. Również cenionemi są dramatyczne prace Suboticza, który celuje idealnym polotem dyalogu: wyróżnia się od innych śmiałą charakterystyką osób. Jego „Herceg Vladisław”, „Nemania”, „Zvonimir” ukazują się stale na wszystkich scenach chorwackich i serbskich.

Przed kilkoma laty dał się zaszczytnie poznać na polu dramatycznym Teleczki, kiedy w 1867 r. wystąpił z oryginalną tragedją pod napisem „Ostatni despoci w Smederewie, a w tymże roku Matyca w Nowym Sadzie uwieńczyła większą nagrodą pracę jednego z najmłodszych dramaturgów serbskich Dżura Jakszicza pod napisem „Elżbieta Księżna Czarnogórska.” W rzędzie najulubieńszych komedyopisarzy pomieścić należy Lazara Lazarewicza i Jowana Jowanowicza, których oryginalne komedye „Przyjaciele” i „Szczupak” zawsze najliczniejszą do teatru prowadzają publiczność.

# WOJCIECH JAKUBOWSKI

MARSZAŁEK POLNY WOJSK FRANCUZKICH.

PRZEZ

*Józefa Łoskiego.*

Zdarza się, że ludzie, którzy ważny brali udział w wypadkach politycznych, i zasłużyli na zaszczytne u współczesnych uznanie, stają się obcemi następującym pokoleniom. Ta niesprawiedliwość dziejowa spotyka zwłaszcza agentów dyplomatycznych, kiedy polityka rządu, któremu poświęcili swe usługi, nadaje im sekretny charakter.

Powyższa okoliczność tłumaczy nam zapomnienie, jakie w krótkim przeciągu czasu pokryło zasługi Wojciecha Jakubowskiego, marszałka polnego wojsk francuzkich, sprawującego interesa Francji w Polsce, a przytém literata. Tylko brak właściwych materyałów usprawiedliwić może dotychczasowe pominięcie go przez biografów, gdyż sam fakt, że Jakubowski należy do szczupłego grona dyplomatów krajowych, wystarcza, aby działalność jego była należycie zbadaną. Przedstawienie trzydziestoletniego dyplomatycznego zawodu generała, (1754—1784), zawodu złączonego z wypadkami téj ważnej epoki, wymagałoby obszerniejszego poglądu na ówczesne dzieje Europy; zmuszeni jednak jesteśmy ograniczyć zakres niniejszej biografii, do której skreślenia posłużyły nam obok wielu innych źródeł, pozostałe po tym dyplomacie rękopisma <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Są to bruliony (minute) jego dyplomatycznój korespondencji z księciem de Choiseul, listy do p. de Rouille, p. de Puyssieux, kardynała de Bernis, księcia de la Vrillère, marszałka de Belléisle, p. Durand, margrabiego de Verac, p. de Caché i innych dyplomatów. Ciekawesą korespondenoye z hr. de Broglie naczelnikiem sekretnego gabinetu Ludwika XV, jak również konferenoye z księciem

Wojciech Jakubowski herbu Topór, urodził się w krakowskim województwie 1712 r. z ojca Franciszka Jakubowskiego podstolego owruckiego i Katarzyny z Rupniewskich. Niesiecki, który rozszerzył się o tę rodzinie, powiada, że piszą się z Ostrowca, a jeden z tego domu w grunwaldzkiej potrzebie zginął.

Wojciech Jakubowski odbył nauki w kolegium Jezuitów we Lwowie, z kąd wyszło wielu zasłużonych krajowi mężów. Wczesne jego zdolności, mianowicie do prac gabinetowych, zjednały mu protekcję możnej rodziny Tarłów, usilnie popierającej elekcję Stanisława Leszczyńskiego. Monarcha ten, osiadłszy w Lotaryngii, lepiej od swych nowych poddanych, jak od ziomków oceniony, kochał zawsze kraj rodzinny i otaczał się Polakami. Tarłowie, Ossolińscy, Jabłonowscy, Ożarowscy, Konarscy, Mokronowscy byli przedmiotem jego opieki. Nietylko dawni stronnicy otaczali *dobroczynnego flozofa*, cała niemal możniejsza młodź polska zbiegała się na dwór jego, zwabiona urokiem osobliwszych przygód Stanisława i blaskiem, jaki nań spłynął z połączenia się jego córki z jednym z najpotężniejszych monarchów Europy.

Jakubowski, który około r. 1732 przybył do Francyi, zaszczycony protekcją Leszczyńskiego, wstąpił 1734 r. do francuzkiego wojska, do świeżo uformowanego pułku kawaleryi imienia Stanisława, zwanego *Royal-Pologne* <sup>1)</sup>, w którym prawdopodobnie odbył kampanią, wybuchłą z powodu Leszczyńskiego, a zakończoną tak pomyślnie, przyłączeniem do Francyi Lotaryngii.

Mylnie zatem powiedziano w Encyklopedyi, że Jakubowski wychowanym był na dworze Lunewilskim, gdyż miał on lat 25 i od lat trzech służył wojskowo, gdy Leszczyński objął rządy Lotaryngii. Bywał jednak w Luuewillu i z niektórymi osobami, bawiącemi na tym dworze, ciągnął utrzymywał korespondencją.

Mamy z tej epoki kilkanaście jego listów, pisanych z Paryża, do pewnego opata, bawiącego w Lunewillu, a gorliwego swego protekto-

do Choiseul, które Jakubowski zaraz po wyjściu z gabinetu ministra notował. Prawie wszystkie te pisma, były następnie cyfrowane. Są też listy do St. Leszczyńskiego i królowej Maryi, do hotmana Klemensa Braniokiego i jego żony, do Andrzeja Mokronowskiego oraz do kilku znakomitych dam ówczesnych. Rękopisma te z wyjątkiem listów do Stan. Leszczyńskiego i jego córki są w języku francuzkim.

<sup>1)</sup> Pułk *Royal-Pologne*, o którego istnieniu dowiadujemy się z papierów Jakubowskiego, wkrótce zwinęty być musiał, czego dowodem zdaje się być przeniesienie się Jakubowskiego, około r. 1747 do pułku *Royal-Allemand*. W wykazie pułków francuzkich, przeznaczonych w r. 1741 do działania w Bawaryi, jako też składających tak zwaną armię *Meuzy*, nie znaleźliśmy pułku *Royal-Pologne*. Kto więc, czy nie zmieniono wówczas jego nazwy na *Royal-Etranger*, który zaliczał się do téjże armii. (*Gazette ecrite à la main—1741* Rękopism Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego).

ra, w których obok wiadomości politycznych, znajdujemy szczegóły o Polakach, bawiących wówczas w stolicy Francyi, a mianowicie o Tarle wojewodzie lubelskim, Pociuju, Żaluskim, Blandowskim, księdzu Stanisławie Konarskim i Michale Krasieńskim. Prawie wszyscy ci panowie, czyto wyjeżdżający do Włoch, czy powracający do kraju, wstępują do Lunewillu. Z korespondencji téj, trwającej półtrzecia roku, dowiadujemy się, że skutkiem protekcji opata, Jakubowski mianowany został w maju 1738 roku, kapitanem *à la suite de Royal-Pologne*, w którymto pułku król Stanisław rozdawał stopnie. W styczniu 1739 r., wybierał się do Polski, chcąc przed mającą wybuchnąć wojną, do Francyi powrócić. Z powodu przerwy w manuskryptach, nie ma nic pewnego o jego zawodzie wojskowym; jednakże prawdopodobnie brał udział w wojnie, która wybuchła w końcu roku 1740 o sukcesyą po Karolu VI, znaleźliśmy bowiem w jego papierach wzmiankę, że służył pod marszałkiem de Belle-Isle, który w téj kampanii najwięcej się odznaczył. Zważywszy przytóm, że pułk Royal-Allemand, w którym wówczas służył Jakubowski, był czynnym w téj kampanii <sup>1)</sup>, że awans jego na podpułkownika (1747) jednocześnie przypada, wreszcie, że w roku 1749, tojest po zawarciu pokoju, otrzymał rangę: *Maitre de camp à la suite de Royal-Allemand*, zdaje się niemyślném nasze przypuszczenie o wojennej działalności Jakubowskiego. Według współczesnej notatki, stan jego służby był następujący:

W r. 1734 wszedł do pułku francuzkiego *Royal-Pologne*, 22 maja 1738 r. awansowany na kapitana *à la suite* w tymże pułku, 3 maja 1747 mianowany podpułkownikiem pułku kawalerii *Royal-Allemand*; w dniu 10 czerwca 1749 pułkownikiem *Maitre de camp à la suite de Royal-Allemand*, w dniu 29 stycznia 1754 r. mianowany kawalerem orderu Ś-go Ludwika.

Po 20 latach wojskowej służby, nie przestając zaliczać się do armii, przeszedł w roku 1754 do wydziału dyplomatycznego, w którym przez lat trzydzieści zostawał, jako jeden z najczynniejszych agentów w stosunkach między Francją a Polską. Od r. 1764 zamieszkał stale w Warszawie, jako sprawujący interesa, (*chargé des affaires de France*), nakoniec, od r. 1773 do 1784, tojest do śmierci, był rezydentem francuzkim przy dworze polskim, wszakże, z powodu nieprzyjaznej względem Stanisława Augusta polityki francuzkiej, obie te posady nie miały oficjalnego charakteru. Był on jedynym z Polaków stałym członkiem sekretnej korespondencji Ludwika XV.

W nagrodę swych zasług w zawodzie dyplomatycznym, otrzymał w d. 1 stycznia 1768 r. stopień generała brygadiera kawalerii, a w roku 1780 marszałka polnego (*Marechal de Camp*). Wreszcie dwór wersalski nadał mu tytuł barona, którego jednak w Polsce nie używał. Ogółem zostawał w służbie francuzkiej lat pięćdziesiąt.

<sup>1)</sup> *Memoires de Saint Simon. Gazettee ecrite à la main.*

Teraz powiedzmy kilka słów o ówczesnej względem naszego kraju polityce gabinetu wersalskiego.

Historja dyplomacyi francuzkiej przez p. Flassan, a bardziej jeszcze wydane niedawno dzieło p. Boutarie <sup>1)</sup>, oraz artykuły hr. Alberta de Broglie <sup>2)</sup> wyjaśniły, jak wahającą się i dwulicową była wówczas polityka Francyi w Polsce.

Ministrowie spraw zagranicznych za Ludwika XV, mianowicie magrabia d'Argenson, Rouill'e, opat (później kardynał) de Bernis i najznakomitszy z nich książę de Choiseul, pogardzając osławioną Polską anarchją, przytém zrażeni niepowodzeniami tak swemi, jako téż swych poprzedników, lekceważyli sprawy kraju, który nie mając stałego rządu, poważnej siły zbrojnej i skarbu, nie mógł być dla Francyi pożytecznym sprzymierzeńcem <sup>3)</sup>.

Obok urzędowej a nie przychylniej nam francuzkiej dyplomacyi, istniała wszakże w tym kraju druga sekretna, mająca na celu wyniesienie na tron polski księcia de Conti, który był jej twórcą i naczelnikiem <sup>4)</sup>. Początek tego sięga r. 1745, w którym to czasie jak wiadomo sławny później Andrzej Mokronowski i kilku innych przybyło do Paryża z projektem ofiarowania korony księciu de Conti. Zamiar ten, z którego następnie wytworzył się nowy system polityczny, posiadał pomimo familijnych związków z domem saskim, całą sympatyą i poparcie Ludwika XV, który bardzo cenił księcia de Conti. Dla osiągnięcia tego celu król rozesał do głównych stolic, mianowicie: Petersburga, Wiednia, Berlina, Drezna, Sztokholmu, Konstantynopola, Warszawy, i t. d. swoich tajnych agentów, obowiązanych nadsyłać mu za pośrednictwem utworzonego *ad hoc* sekretnego gabinetu, najdokładniejsze raporta o wszelkich sprawach politycznych; obok tego powyżsi agenci

<sup>1)</sup> Correspondance inedite de Louis XV sur la politique étrangère par M. Boutarie, 2 fol.

<sup>2)</sup> Revue des deux Mondes 1870 de la diplomatie secrète de Louis XV par le Comte Albert de Broglie.

<sup>3)</sup> Nie od rzeczy będzie nadmienić, że w tymże samym czasie rząd francuzki pamiętając na wypróbowane w trzydziestoletniej wojnie męstwo Szwedów, wypłacał w ciągu lat 20 na wojsko i marynarkę tego kraju ogromną wówczas sumę 40 milionów liwrów. Gdy jednakże przyjęty zrazu system popierania przeciw królowi narodowego stronnictwa, okazał się dla potęgi kraju szkodliwym, Choiseul porzuciwszy *tak zwanych patryotów*, zwrócił się do domu panującego i za pomocą nowych subsydyów przygotował zamach stanu na korzyść władzy monarchicznej. Jakkolwiek zamach ten spowodował śmierć Gustawa III, zapewnił jednak potęgę Szwecyi, ochraniając ten kraj od anarchii.

<sup>4)</sup> Ludwik Franciszek de Bourbon, książę de Conti, ur. 1812 r. był wnukiem Franciszka Ludwika, księcia de Conti, kandydata do tronu polskiego w 1679 r.



polecane mieli korrespondować z sobą dla skuteczniejszego we wspólnym celu działania. Najczęściej odbierali oni z sekretnego gabinetu polecenia sprzeczne z instrukcjami, wydawanymi ambasadorom i posłom przez ministra spraw zagranicznych, który z powodu najściślej zachowywanej tajemnicy, nic o całej tej dyplomatycznej intrydze nie wiedział <sup>1)</sup>. Mianowanie na posady poselskie osób wtajemniczonych w te działania i rozesłanie licznych agentów, którzy znaczne z prywatnej szkatuły Ludwika XV pobierali pensye, zdawało się zapowiadać ważny wpływ na sprawy Północy, gdyby nie ówczesne wycieńczenie wojnami Francyi, zbieg nieprzyjaznych politycznych okoliczności, najbardziej zaś słaby charakter Ludwika XV, dla którego następnie ten tajemniczy gabinet z licznymi jego agentami stał się ulubioną wśród przesyty życia rozrywką i środkiem (którego w swęj podejrzliwości używał) do kontrolowania czynności ministra spraw zagranicznych <sup>2)</sup>.

Odsyłając ciekawego czytelnika do wspomnianych już źródeł, powiem chociaż pobieżnie o wysłaniu w r. 1752 przez dwór francuzki do Drezna w charakterze ambasadora przy Augustie III, hr. Franciszka de Broglie. Młody ten, pełen energii i świetnych pomysłów dyplomata gorąco przejął się sprawami Polski, której miał nowego nadać króla. W tym celu wytworzył on plan polityczny zasadzający się na przy mierzu z Francją słabszych państw przeciw silniejszemu, który zyskawszy potwierdzenie Ludwika XV stał się podstawą działań jego sekretnego gabinetu. Do pomocy młodemu ambasadorowi przydanym został Jakubowski, który poprzednio za protekcyą bardzo przychylnę mu Maryi Leszczyńskiej, mając ułatwiony wstęp do dworu wersalskiego, zyskał zaufanie lubiącego otaczać się Polakami Ludwika XV i przypuszczonym został do sekretnej korrespondencyi, powierzanej przez tego króla tylko światłym i prawego charakteru mężom.

Wiadomo z dziejów, że na czele stronnictwa, które chciała podźwignąć Francya, stał wówczas w Polsce Jan Klemens Branicki, którego ambicya, ród, bogactwa i dobra, chociaż bezsilne zamiary, zapewniły mu niezmiernie w kraju znaczenie, do czego przyczyniały się nie

<sup>1)</sup> W liście do barona de Breteuil (16 września 1763 r.) Ludwik XV wyraził się, że Polska jest głównym celem korrespondencyi sekretnej i rozkazał temu ambasadorowi znosić się z margr. de Paulmy, ambasadorom w Warszawie p. d'Avrincourt, posłem w Sztokholmie i p. de Vergennes posłem w Stambule i zalecał mu, aby starał się natehnąć ks. do Choiseul ło pszomi względem Polski intencyami.

<sup>2)</sup> Wiadomo, że Ludwik XV prowadził sekretną polityczną korrespondencyą z jedną tylko z osób panujących, t. j. z cesarzową rossyjską Elżbietą, a to za pośrednictwem kanclerza Woroncowa. Po śmierci cesarzowej korrespondencya ta w obecności posła francuzkiego w Petersburgu barona de Breteuil przez kanclerza spalona została.

mało wspaniałe uczyty, jakie w swój rezydencyi Białymstoku dla magnatów i szlachty wydawał <sup>1)</sup>).

Pan ten chciał uchodzić za najcnotliwszego z Polaków, był zaś w rzeczywistości człowiekiem słabego charakteru a niezmierniej próżności. Ozdobiony wielu zagranicznymi i krajowymi orderami pragnął nadewszystko orderu Złotego runa, który po długiej zwłoce znużony jego naleganiem gabinet francuzki z Hiszpani dla niego wyjednał. Utrzymywał on w Białymstoku, który zwano *Polskim Wersalem*, rodzaj ministryum do spraw zagranicznych i rozsyłał swych politycznych agentów do państw obcych. Słusznie Bartoszewicz powiada: hetmaństwo jego nie wojenném było, i straciło pod nim swój dawny charakter <sup>2)</sup>).

Nietylko Branicki, lecz i cała jego partya nie posiadała światła i energii do przeprowadzenia potrzebnych reform; przeciwnie, ludzie ci ślepo przywiązani do oligarchicznych przywilejów, byli za utrzymaniem tak zwanych swobód Rzeczypospolitej. Słusznie autor biografii Branickiego wyraża się „że w tój partyi była tylko energia w słowach, działanie zaś było mdłe, trwożliwe i bezładne“ <sup>3)</sup>). Zamiast samodzielnych usiłowań wskrzeszenia potęgi kraju, widzimy tych ludzi ślepo wierzących w pomoc Francyi, a za chwilę upadających na duchu skutkiem oziębłości dla nich wersalskiego gabinetu. To wyczekiwanie obcej pomocy bałamuciło naród, zwiększało bezład i osłabiało powagę tronu, którego wzmocnienie mogło jedynie być zbawieniem.

Jeżeli W. hetman był głową partyi narodowej czyli francuzkiej, to słusznie powiemy że duszą jój był Andrzej Mokronowski i Jakubowski <sup>4)</sup>). Piérwszy z nich światowém powodzeniem, śmiałością inicjatywy i rozgłosem zaćmiewa swego towarzysza; za to Jakubowski przewyższa go pracą na polu dyplomatycznym, utrzymując ciągłą między

<sup>1)</sup> Dzisiaj słabe pozostały ślady dawniej wspaniałości Białegostoku. Oryginalne plany pałacu i ogrodu oglądaliśmy przed kilku laty w cesarskiej bibliotece w Paryżu.

<sup>2)</sup> Encyklopedya Orgelbranda, zyciorys Branickiego.

<sup>3)</sup> Biblioteka Ossolińskich T. V, 1864 r.; zyciorys Branickiego. Pomimo zalet tój pracy pobieżnie przedstawione są stosunki W. hetmana z Francyą; piérwsza nota jego cytowana jest z r. 1762. Rękopisma zaś Jakubowskiego przedstawiając od roku 1755 szereg korespondency między Białymstokiem a Wersalem, uzupełniają obraz politycznej działalności W. Hetmana.

<sup>4)</sup> Artykuł o Andrzeju Mokronowskim w Encyklopedyi Orgelbranda (powtórzony z urzędownie dla króla skróślonój biografii tego męża przez Naruszowicza) bardzo niedokładny, nie wyjaśnia wcale ważnej roli, jaką on odgrywał w stosunkach między Francyą a Polską, czego dowody znajdują się w dziele p. Flassan, w artykule hr. Alberta de Broglie i w manuskryptach Jakubowskiego. Mają téż przechowywać się w rodzinie ważne po nim papiery.

Białymstokiem a Wersalem korespondencyę w podwójnym swym charakterze: agenta ministeryum, oraz sekretnego gabinetu. Tę wielką działalność Jakubowskiego stwierdzają liczne jego korespondencye znalezione niedawno w archiwum po Klemensie Branickim, papiery w rodzinie jego pozostałe, wreszcie znajdujące się w archiwum spraw zagranicznych w Paryżu. Wszystko to zebrane razem dałoby ważny materiał do politycznego obrazu téj epoki.

Lecz wróćmy do naszego opowiadania.

Nowy ambasador francuzki hr. de Broglie, jadąc za Augustem III na sejm do Grodna, złączył się z nim w Białymstoku, gdzie krzyżowały się rozmaite dyplomatyczne intrygi, mianowicie Czartoryscy, silnie popierani przez ministra Brühla i obecnego tam również ambasadora rossyjskiego i angielskiego, starali się wbrew widokom Francyi, aby Polska, w razie wybuchu wojny, porzuciła swą dotychczasową neutralność, przez co zyskanoby możność przemarszu wojsk przez terytoryum Rzeczypospolitéj. Zręczność jednak posła francuzkiego przy pomocy Mokronowskiego, potrafiła podczas sejmku w Grodnie zniweczyć te zamiary i zapewnić tryumf polityce Francyi, której odtąd W. hetman stał się najgorliwszym stronnikiem i wielu magnatów do swéj partyi przeciągnął. Używany do tych negocyacyj Jakubowski, wysłany został w r. 1755 z Białegostoku do mianowanego na radzie senatu, (odbytej we Wschowie), ambasadorem w Stambule hr. Jerzego Mniszcha, należącego także do partyi hetmańskiej, któremu towarzyszył do Żwańca. Według dyaryusza téj podróży, który skreślił Jakubowski i listów jego do hr. de Broglie, była to już ostatnia, z takim przepychem występująca ambasada polska. Hr. Mniszech z żoną, dwoma synami, hr. Michałem Wielhorskim <sup>1)</sup> i Jakubowskim, z licznym dworem, eskortą i pociągami, które składało 600 koni, witany był po drodze w rezydencyach magnatów, Kamieńcu i na granicy Rzeczypospolitéj wystrzałami z dział, jak to w czasie wybujałej buty naszych panów było w zwyczaju. W Benderze zaznajomiwszy się, jak powiada, z pp. Turkami, Jakubowski był obecnym przy ceremonii odczytania firmanu sułtańskiego i wprowadzeniu nowego baszy; poczem pożegnawszy poselstwo, udał się do Zawołowa, rezydencyi ks. Aleksandra Jabłonowskiego, wojewody nowogrodzkiego, gorliwego stronnika Francyi, z którym blizkie łączyły go stosunki, jak to się z listów księcia okazuje.

Po krótkim pobycie w Warszawie, Jakubowski w r. 1756 powrócił do Białegostoku, gdzie ułożono projekt konwencji między reprezentantami Francyi a W. hetmanem, zawierający zobowiązanie wypłaty na jego ręce subsydyów w ilości 12000 dukatów, co jednak

<sup>1)</sup> Michał Wielhorski, oboźny W. K, później kuchmistrz W. K. posłował od konfederacyi barskiej do Wersalu.

przez krótki przeciąg czasu i to bardzo nieregularnie dopełnianém być miało. Z swój strony, Branicki zobowiązywał się 8000 dukatów rocznie na tę sprawę obracać. W całym tym układzie, mającym na celu podniesienie hetmańskiego stronnictwa i przygotowanie konfederacyi, mającej wynieść na tron ks. de Conti (przyczém liczone na alians z Turcyą, z którą W. hetman przez swego agenta w Konstantynopolu Malczewskiego ciągle utrzymywał stosunki), uderza wielka nielogiczność, wynikająca z wahającej się polityki francuzkiej i podwójnego jój systemu, skutkiem czego hr. de Broglie, odbierający ciągle sprzeczne instrukcyje od ministra spraw zagranicznych i od księcia de Conti, nigdy ich z sobą pogodzić nie mógł <sup>1)</sup>).

Obok tego familijne związki, jakie łączyły dom francuzki z saskim powodowały nader ogłędne w sprawach polskich postępowanie i ministrów i ambasadorów; sam nawet Ludwik XV, jakkolwiek chciał dom saski od polskiego tronu usunąć, bojaźliwie ukrywał te działania z uwagi na małżeństwo Delfina z córką Augusta III.

Gorliwe usiłowania, jakie wbrew tak trudnym okolicznościom i okazywanój mu na dworze drezdeńskim niechęci czynił hr. de Broglie, oraz sekretni agenci francuzcy, na korzyść hetmańskiego stronnictwa, zniewieczonemi do szczytu zostały, skutkiem wybuchu siedmioletniój wojny, w którój Francya związana warunkami wersalskiego traktatu, porzuciwszy swą tradycyjną nienawiść względem Austrii, złączyła się z tém państwem i Rosyą przeciw Prusom. Następstwem tego związku był upadek kandydatury ks. de Conti do polskiej korony i obalenie planu politycznego, którego autorem był hr. de Broglie. Wielkie trudności, jakie z powodu tego zwrotu w polityce francuzkiej, musiał zwalczać ten dyplomata, nowa rola, jaką przybrał obrońca Augusta III, w czasie zajęcia przez Prusaków Saksonii, wszystko to znajdzie czytelnik bardzo zajmująco opisane w pracy hr. Alberta de Broglie <sup>2)</sup>. Tymczasem hetman Branicki nie pojmując, że w obec wielkich rozwijających się w Europie wypadków, sprawa bezsilnej Polski drugorzędne zajęła miejsce, utrzymywany przez hr. de Broglie i p. Durand, rezydenta w Warszawie w korzystnych dla swego stronnictwa złudzeniach, nie przestawał liczyć na pomoc Francyi. Wysłany w najnieprzyjaźniejszych okolicznościach w r. 1758 do Wersalu Jakubowski z listami od W. hetmana, w konferencyach, jakie odbywał z ministrami, z listami od W. hetmana, w konferencyach, jakie odbywał z ministrami, otrzymawszy lakoniczne odpowiedzi, że król francuzki nie przyłoży ręki do tego, co mogłoby sprzeciwiać się interesowi Augusta III, którego nie-

<sup>1)</sup> Te sprzeczne z sobą dyplomatyczne noty, zamieszczone są w pracy hr. Albertande Broglie. (*Revue des deux mondes* 1870).

<sup>2)</sup> De la diplomatie secrète de Louis XV. Szkoda, że ta ważna dla tój epoki naszych dziejów publikaoya przerwana została.

szczęścia boleśnie dotknęły całą królewską rodzinę. Pomimo to zapewniano, że Francya nie opuści hetmańskiego stronnictwa, doradzano utrzymanie w kraju spokojności, mówiono wreszcie, że wysłany do Polski na miejsce hr. de Broglie margrabia de Monteil, otrzymał bardzo korzystne dla stronnictwa hetmana instrukcye. Co do umówionych między hr. de Broglie, a Branickim subsydjów, Jakubowski, nie mogąc również otrzymać zadawalniającej odpowiedzi, zniechęcony niepowodzeniem swój misyi, miał wracać do Polski, był już nawet z pozeegnaniem u króla, gdy nagła niełaska opata de Bernis i nominacya ministrem spraw zagranicznych ks. de Choiseul, nowe rozbudziła nadzieje. Przyczyniła się do tego niemało pierwsza konferencya Jakubowskiego z tym ministrem, w której ten ostatni zapewnił go o gorącej chęci króla popierania zamiarów hetmana, o ułożeniu planu działania i wydaniu stosownych poleceń, co do wypłaty umówionej summy Branickiemu. To jednak dobre usposobienie Choiseula, niedługo trwało. Zarzucony przez naszych magnatów żądaniem o ordery, pensye, prośbami o protekcye na urzędy w Polsce, oraz skargami na Brühla <sup>1)</sup>, ten dumny i gniewliwego temperamentu minister w drugiej konferencyi z Jakubowskim (22 stycznia 1759), nie ukrywając swój głębokiej niechęci, powiada, że najlepiej byłoby, nie zajmując się Polską, zostawić ją w dotychczasowej jej wolności; jednak zaraz potem z niepojętą zmiennością zdania, daje ogółową obietnicę, że w razie, gdyby Polacy chcieli zrobićjaki krok śmiały i stanowczy, mają go o tém uprzedzić, a wtedy wspierać ich będzie. Na zapytanie Jakubowskiego, czy może o tém donieść do kraju, jako też powtórzyć królowej, „dobrze, odrzekł Choiseul, możesz to pan jej powiedzieć, lecz niech mnie królowa proteguje <sup>2)</sup>.”

Te tak zbywające słowa ministra, brane jednak były na seryo i utwierdzały wiarę w pomoc Francyi.

Książe de Choiseul, objąwszy trzy ministerya, władzę swą zaćmiwał prawie powagą monarszą. Zajęty wojną z Prusami i Anglią, oraz reorganizacją sił lądowych i morskich, snuł przytém olbrzymie plany, jak wylądowanie w Anglii, połączenie wszystkich gałęzi domu Burbonów (pacte de famille) i skasowanie Jezuitów. System jego polityczny zasadał się na przymierzu Francyi z Rosyją i Austryją (la grande alliance).

<sup>1)</sup> Branicki o order Złotego runa i subsydya, Opaliński o protekcją na województwo poznańskie, Mokronowski o przybiecaną pensją z groźbą, że się chce od wszystkiego usunąć, Jakubowski o awans, wreszcie ciągle skargi na ministra Brühla. Mylnie Bartoszewicz twierdzi, że Branicki złączył się z dworem i Brühlem, gdyż mamy liczne dowody, że była ciągle między nimi wielka niechęć.

<sup>2)</sup> Jakubowski, lubiony od Maryi Leszczyńskiej, był jej powiernikiem w zmartwieniach domowych.

Obojętny na sprawy Północy, w szczególności niechętnym był dla Polaków, o których z pogardą wyrażał się. Lecz niechęć dla Polski Choiseula pomimo rad, jakie mu dawali hr. de Broglie i baron de Breteuil, oraz znanej ku nam życzliwości Ludwika XV, najlepiej wykazuje dana przez niego w r. 1759, sekretna instrukcja nowemu ambasadorowi w Polsce, margrabiemu Voyer de Paulmy, w której zalecał mu popieranie anarchii i przeszkadzanie zawiązaniu się konfederacyi, która mogłaby przyczynić się do poprawy rządu <sup>1)</sup>!

Zudżony nieszczeremi obietnicami, Jakubowski w lipcu 1759 r., powrócił do Polski zdać o tém sprawę w Białymstoku, z kąd pisywał częste depeche do Choiseula z wyrażeniem wdzięczności W. hetmana, za dobre jego dla Rzeczypospolitej zamiary, nalegając ciągle o wypłatę subsydyów i o udzielenie orderu Złotego runa Branickiemu. Donosił téż o wkroczeniu Prusaków do Wielkopolski i o innych działaniach wojennych.

Jednocześnie prowadził korespondencyą z królową Maryą Leszczyńską, królem Stanisławem i kilku dyplomatami, donosząc im o współczesnych wypadkach, mianowicie o zniszczeniu kraju, spowodowaném przechodami wojsk obcych i ogólném z tego powodu oburzeniu: „przed miesiącem całe województwo sieradzkie chciało sięść na koń i przybyć do Warszawy dla przedstawienia swych krzywd królowi; zaledwie prymas z przedniejszych osobami zdołał rozjątrzoną szlachtę uspokoić.“ Donosi téż o walném zwycięstwie pod Kunnersdorf odniesioném pod dowództwem generała Sołtykowa przez Rossyan nad Prusakami, dowodzonymi przez samego króla (12 sierpnia 1759 r.). Wspomniawszy następnie o kłękach, które dotknęły Saksoniā i o sprawie kurlandzkiej, Jakubowski, który z całym hetmańskim stronnictwem dzielił wielką niechęć do faworyta królewskiego Brühlā, donosząc, że dwaj jego synowie żenią się: jeden z Potocką, córką wojewody kijowskiego, a drugi z Rzewuską, córką hetmana polnego K., temi zakończy słowa: „*Bella gerant alii, tu stirpe Brilovia nube.*“ <sup>2)</sup>. W depeszy do Choiseula z d. 6 listopada 1759 r., donosi o możliwém przeciągnięciu na stronę hetmana tak wielki wpływ posiadającej familii.

W odpowiedzi swój na to wszystko, ks. de Choiseul doradzał utrzymanie spokojności, jako jedyny środek zabezpieczenia kraju i zwlekał ciągle przyobiecałą wypłatę skromnej summy 200,000 liwrów. Te zawody, osłabiły nadzieję w pomoc Francyi, która nawet od przechodu wojsk obcych, kraju zastąpić nie zdołała, nastąpiło więc ogólne w stronnictwie W. hetmana zniechęcenie. Branicki jednak, utrzymujący

<sup>1)</sup> Histoire de la diplomatie française par Flassan. T. VII.

<sup>2)</sup> Jest to naśladowanie znanego wiersza, według którego Austria zawdzięcza swą potęgę więćej związkom hymeuu, jak siłę oręża: *Bella gerant alii, tu felix Austria nube.*“

ciągłe z nowym ambasadorem stosunki, oddawał się złudzeniom, wierząc w obietnice, wychodzące z sekretnego gabinetu Ludwika XV, którego naczelnikiem po usunięciu się ks. de Conti, został były ambasador w Dreźnie hr. de Broglie <sup>1)</sup>. Wreszcie w czasie zbliżającej się elekcji, wydana przez dwór francuzki nota, (w której król zapewniał utrzymanie swobód) do reszty zawróciła umysły, tém bardziej, że wierzono także w pomoc Turcyi <sup>2)</sup>. Branicki i Karol Radziwiłł, odbywszy poprzednio naradę w Białymstoku, z małemi siłami rzucili się w przedsięwzięcie, które wykazało tylko ich niemoc, i spowodowało zupełny upadek w Polsce francuzkiego stronnictwa. Skutkiem tego, skompromitowany i słusznie lekceważony ambasador margrabia Voyer de Paulmy, prosił o odwołanie, co téż łatwo uzyskał. Pan de Hennin, jako rezydent, miał pozostać; lecz gdy obaj reprezentanci francuzcy, znajdując się na pożegnalnej wizycie u prymasa Żubieńskiego, doznali z jego strony ubliżającego ich politycznemu charakterowi obejścia, odwołano również p. de Hennin <sup>3)</sup>.

Tak więc dyplomacya sekretna utworzona przez Ludwika XV w najlepszych dla Polski zamiarach, z powodu słabości charakteru tego króla, zbiegu nieprzyjanych okoliczności, jako téż bezsilności Rzeczypospolitej, ustępująca zawsze przed nieprzychylną Polsce oficjalną polityką gabinetu francuzkiego, spowodowała tylko niepodobny do rozwikłania zamęt.

Ponieważ ówczesny stan Francyi nie dozwalał jój czynnego wystąpienia, godniejszém więc było wielkiego państwa (jak to później uczyniła Anglia) odmówienia pomocy, jak przez pokątne intrygi, uludne obietnice i podburzanie namiętności, zwiększanie klęsk przyjaznego sobie narodu.

Odtąd Francya nie miała urzędowego reprezentanta w Warszawie, sam tylko Jakubowski pozostał jako sprawujący interesa, lecz bez oficjalnego charakteru <sup>4)</sup>. W roku 1766 przysłany został p. Ge-

1) Z powodu braku w manuskryptach Jakubowskiego, przebiegamy tu w krótkości lat kilka.

2) Usiłowania, jakie w tym celu czynił poseł francuzki w Stambule, p. de Vergennes mniej były szczęśliwo, jak w r. 1768. Porta dała odmowną odpowiedź, osłoniętą w mistycznie formy oryentalnego stylu. „Co nas obchodzi Polska,“ mówili ministrowie sułtana. Dlaczego najwyższa Porta szczęście, miałyby się zajmować jój losem? Allah korim! Bóg jest wielki! (Etudes diplomatiques du XVIII siecle par Alexis de Saint Priest).

3) Depesza p. de Hennin do swego dworu z d. 6 września 1764 r. najtopiej maluje położenie: „Stronnictwo patriotów, któremu zawsze brakowało jedności w dążeniach i onergii, w działaniu rozsypuje się z dniem każdym tak, iż niebawem nie będzie już komu dać tego nazwiska.“

4) Histoire de la diplomatie française. T. VII.

rault, później kilku jeszcze agentów, ze wszystkich jednak Jakubowski był najczynniejszym, donosząc gabinetowi francuzkiemu o tém co się działo w Polsce. W korespondencji do ks. de Choiseul z d. 8 marca 1768, doniósłszy o rozwiązaniu konfederacyi generalnej i ukończeniu obrad sejmowych, powiada: „Po ucałowaniu ręki królewskiej udano się do kościoła i odśpiewano *Te deum*, jak to się czasem zdarza po *przegranj bitwie*.“ Ślad jego czynności znajdujemy w lutym 1769 r., w którym to czasie z polecenia ks. de Choiseul zapewniał Stanisława Augusta, że rząd francuzki nie poprze konfederacyi i o popieraniu innego kandydata do tronu nie myśli <sup>1)</sup>. Z pierwszych lat panowania Stanisława Augusta niema śladów, aby prowadził dalej sekretną korespondencyę, którj cyfry sam tylko w Polsce posiadał. W nagrodę poprzednich swych zasług na tém niewdzięczném polu otrzymał on od Ludwika XV złotą z portretem królewskim tabakierę, podobnie jak inny sekretny agent długo mylnie miany za kobietę, sławny kawaler d'Eon <sup>2)</sup>.

Udział Jakubowskiego w sekretnej korespondencji znajdujemy znowu podczas konfederacyi barskiej, mianowicie w r. 1771 wzywany był przez generała Andrzeja Mokronowskiego w tym celu do Białegostoku, żkąd znowu krzyżowały się liczne z sekretnym wersalskim gabinetem cyfrowane depesze <sup>3)</sup>. Upadek w tym czasie ks. de Choiseul i nominacye ks. d'Aiguillon znowu za pomyślną uważano zmianę, lecz wkrótce tém boleśniejsze nastąpiło rozczarowanie <sup>4)</sup>. W roku 1772 dyplomata nasz wielkiego doznał zmartwienia z powodu śmierci sędzi-

1) List generała Coccai do sir Andrew Mitchell, 1 marca 1769 roku.

2) Eon de Beaumont (1728 † 1810) wydał: „*Idée de la Republique de Pologne et son état actual.*“ Paris 1840. Piérwszo wydanie bezimienne 1764. Varsovie.

3) Mamy kilka depez hr. de Broglie i sekretarza jego p. Teroier do Mokronoskiego z dopiskiem u dołu: *Approuvé par S. M.*, co stanowi markę pism, pochodzących z sekretnego gabinetu. Cała ówczesna korespondencya między Białymstokiem a Wersalem przechodziła przez ręce p. Girard rezydenta francuzkiego w Gdańsku, który ją przysyłał swemu bratu będącemu: *premier commis des affaires étrangères* wo francuzkiém ministerstwie.

4) Tajemne działania sekretnej dyplomacyi Ludwika XV niepokoiły i zaciokawiały zagranicznych monarchów, mianowicie Fryderyka W. i Maryę Terezę. Ta monarchini zaprowadziła osobne bióro, zwane: „*Cabinet des déchiffreurs*,“ w którém umiano odcyfrowywać wszelkie zagraniczne korespondencye; tam więc z przejętych depez francuzkich odkryto tajemnicę. Ministrowie francuzcy długo jeszcze jęj dociec nie mogli, dopiéro w r. 1774. Pani Dubarry nie lubiąca hr. de Broglie, znalazłszy adresowane do niego papiery w gabinetcie króla, oddała je ks. d'Aiguillon, który z tego powodu byłby popadł w nielaskę, gdyby nie nastąpiła wkrótce potem śmierć Ludwika XV.



wego Jana Klemensa Branickiego, hetmana w. k., który był jego protektorem a razem przyjacielem w czasie długoletnich w jednym celu podjętych usiłowań <sup>1)</sup>. W późniejszych depeszach Jakubowskiego do francuzkiego gabinetu znajdujemy relacje z posiedzeń sejmowych i innych współczesnych wypadków. We wszystkich tych dokumentach widoczną jest nieustająca gorliwość jego w pełnieniu obowiązków sprawującego interesa Francyi, z którymi umiał on zawsze łączyć uczucia dbałego o losy kraju obywatela. Z wyjątkiem zbytnej ufności jaką wspólnie z Branickim, Mokronowskim i wielu innymi okazał licząc na pomoc Francyi, znajdujemy w jego dyplomatycznej korespondencji znajomość ogólnej polityki, zręczność i trafne nieraz rozumowania. Pomimo starającego się (w osobistych widokach) mu zaszkodzić p. Girard rezydenta francuzkiego, zachował on i pod panowaniem Ludwika XVI zupełne zaufanie rządu francuzkiego <sup>2)</sup>.

Skreśliwszy bardzo pobieżnie dyplomatyczny zawód Jakubowskiego, wspomniemy o jego stanowisku na dworze Stanisława Augusta, pracach literackich i życiu prywatnym. Pomimo stosunków jakie go ciągle z przeciwną dworowi partją w. hetmana łączyły, uległ on łatwo wpływowi, jaki młody król na wszystkie umysłowe znakomości wywierał, wszedł w bliskie stosunki z magnatami a nawet z familią Czartoryskich. Był on jednym z tych, którzy wnieśli do nas z nad brzegów Sekwany strój, obejście i zamiłowanie francuzkiej literatury. Spędziwszy znaczną część życia we Francyi, którą jakby za drugą przybrał ojczyznę, poznawszy dwory: wersalski i lunewilski, zbliżony do tamtejszych i krajowych znakomości, Jakubowski odznaczał się w salonach prawdziwie francuzkiem obejściem, dowcipem i galanterją dla kobiet, która przebija się nietylko w jego listach do ówczesnych arystokratycznych piękności i w utworach literackich, lecz nawet w dyplomatycznej jego z hr. de Broglie korespondencji, gdzie obok poważnych relacji, znajdujemy nie jeden szczegół o jakiejś zachwycają-

<sup>1)</sup> Z okazji śmierci Branickiego wyszedł wiersz kondolencyjny ofiarowany Jakubowskiemu, w którym czytamy:

Z wielu od dobrych płaczem zszedł, lecz w tój żałobie  
Nikomu oplukańszy równie jako tobie,  
Polski Wirgiliuszu (!), boś go z całej siły,  
Szczерze kochał i jemu byłeś miły.

(Ob. Zabawy przyjemne i pożyteczne u Grölla. T. VI, s. 45).

<sup>2)</sup> Dowód tego mamy w liście Ludwika XVI do p. Franciszka Frodefort de Marcellac, w którym król mianując tegoż kawalerem orderu św. Ludwika poleca mu, aby się udał do barona Jakubowskiego brygadiera kawalerji i wykonał przed nim obowiązującą przysięgę (Choisy 19 sierpnia 1776 r. *podpisano* Ludwik). Pozostały też po Jakubowskim pargaminowe dyplomy orderu św. Ludwika z okienkami.

cją księżnie lub hrabinie. Jako prawdziwy dworak posiadał on dar przypodobania się i zręczność w oddawaniu przysług zjednywających za-  
wsze serca ludzkie.

W jednym z listów do pobożnej Maryi Leszczyńskiej pisze, że się wybiera do Częstochowy dla polecenia opiece N. Panny Maryi całego domu królewskiego i obiecuje dla niej wynaleźć starą książkę królewicza Jakóba p. t. *Tarcza*. W. hetmanowi donosi z Paryża, że znalazł dla niego przepyszną tabakierę *de vieux lac* za 120 dukatów i kucharza, będącego poprzednio *chez madame la Dauphine*, którego mu już wszyscy zazdroszczą. Załatwia w Paryżu dla pani Krakowskiej rozmaite toaletowe interesa. Księżnie Sanguszkowej przywozi z Francji dla synów guwernera (znanego w literaturze Pyrrhis de Varille), wiersze swe dedykuje królowi, dostojnikom i znakomitym damom, pisze za panów polskich listy do książąt zagranicznych i t. d. Jak z jednej strony dowcip i wytworność obejścia uczyniły go pożądanym w salonach, tak z drugiej głębsze naukowe wykształcenie i prace literackie, zapewniając mu zaszczytne między uczonymi stanowisko, zjednały mu łaskę, a nawet przyjacielskie uczucia króla Stanisława Augusta. Był on też stale na czwartkowe obiady zaproszonym. „Tam (powiada Niemcewicz) obok Naruszewicza czytającego swe: *Dzieje narodu polskiego*, Ignacego Potockiego rozwijającego w logice pasmo rozumowań ludzkich, ks. Czartoryskiego dającego swe próby dramatycznych utworów, obok wyniosłych pień Trembeckiego, czytał Jakubowski swe tłumaczenia bajek Ezopa i Fedra.“

Portret Jakubowskiego znajdował się między wizerunkami uczonych, którymi Stanisław August jedną z sal zamkowych przyozdobił<sup>1)</sup>. W dowód swych względów dla podeszłego już wiekiem generała, król w r. 1774 wyprawił mu na zamek warszawskiin świetne imieniny, na które liczne grono uczonych i dostojnych osób zaprosił. Po skończonym obiedzie biskup Naruszewicz wypowiedział następujące wiersze:

Zabawny w mowie, w przyjaźni żywy,  
Dzielny w marsowym hałasie;  
Ojciec, małżonek, ziomek poczciwy  
I poeta na Parnasie.

Mars ci laurowe zbiera gałązki,  
Wojciechu! kwiatki Charyty,  
Muzy je swemi wiązą podwiązki  
Na podar niepospolity.

<sup>1)</sup> Portrety te malował pastellami malarz Marteau (Słownik malarzów Rastawieckiego).

Wdzięj na poważne ten wieniec skronie,  
A dłoń uściskaj dającą;  
Pan ci go daje, coć na swém łonie  
Mieści i kocha gorąco.

Pod takim darem czas bystre laty  
Tępiąc, twe lata odmłodzi.  
Masz serce Pańskie świadkiem twój cnoty,  
A rękę co ją nagrodzi <sup>1)</sup>.

Na to Jakubowski odpowiedział:

Śpiewasz mi zacny Sarbiewskiego bracie,  
W tobie to świeci nauk pięknych znamie;  
Muz wodzul bogdaj w ojczyźnie prałacie  
Mądry, przyjazny, szacowny Adamie!

Sam wysławiając najlepszego Pana  
I jego myśli dla kraju pożytków,  
Wielbisz przymioty polskiego Trajana,  
Godne w kościele pamięci przybytków.

Na odgłos twoich pień i rytmów echa,  
Którymi chcesz ku miłości króla,  
Każesz się ozwać wdzięczności Wojciecha,  
W którego sercu równa pała wola.

Niechajże za nas obydwu przykładem  
Obywatelów gmin idzie gorliwy,  
Zbawiennych starań Pana dojdą śladem,  
Iż wszech szczęśliwość cel jego właściwy <sup>2)</sup>.

Na sejmie ekstraordynaryjnym warszawskim (1773—1775) za zgodą stanów Jakubowski otrzymał zatwierdzenie na poprzednio już w jego ręku będące starostwo *Lesznnowolę*, w ziemi warszawskiej położ-

<sup>1)</sup> Ob. Zabawy przyjemne i pożyteczne r. 1774. Tom X, str. 106 „Bukiet w dzień imienin W. J. M. P. Wojciocha Jakubowskiego brygadiera wojsk francuzkich ofiarowany.“

<sup>2)</sup> Za przykładem danym w zamku posypały się dla generała powin- szowania pióra ówczesnych poetów, niektóre z nich ogłoszone drukiem jak np. Wiersz do IMP. Wojciocha Jakubowskiego bryg. gen. W. F. w dzień jego imienin przez Urbana Szostowicza, tłumacza pieśni Konarskiego (Zabawy przy- jemne i pożyteczne u Grölla w Warszawie).

żone, które po jego śmierci prawem dożywotniem przeszło na pozostałą po nim wdowę <sup>1)</sup>.

Nie pisząc penegiryku przyznajemy, że Jakubowski miał wady, właściwe dworakom, starał się zyskiwać względy możnych i często przypominał swe zasługi francuzkim ministrom; pamiętajmy jednak, że to był wiek XVIII, w którym filozofowie i kapłani składali hołdy przed wielkościami tego świata: cóż zatem dziwnego, że człowiek, którego karyera nastreżała tyle pokus światowych, nie gardził dostatkiem; przyznać mu jednak należy niemałą zasługę, że spędziwszy młodość we Francyi w epoce Woltera i Ludwika XV, uchronił się od zepsucia, zachował wiarę przodków i rodową poczciwość, czego dowodem są niemylnie współczesne świadectwa. Niemałą mu też chlubę przynosi przyjaźń takich ludzi, jak: hetmana Branickiego, księcia Józefa Jabłonowskiego, Andrzeja Mokronowskiego, Konarskiego, Krasickiego i Naruszewicza.

Znacznie już będąc posuniętym w latach, bo w 58 roku życia, Wojciech Jakubowski zawarł związek małżeński z Salomeą Łoską, córką Adama z Łosia Łoskiego, pułkownika wojsk koronnych i chorążego owruckiego i Maryanny z Wężyków Rudzkich a wnuczką Franciszka Alojzego z Łosia Łoskiego, regenta koronnego i podkomorzego warsz., znanego mówcy i poety, którego życiorys zamieściliśmy w r. 1864 w Bibl. Warsz. Obrząd ślubny odbył się w Warszawie 18 lutego 1768 r. Na kilka dni przedtém spisana była przechowująca się dotąd w oryginale intercyza, którą podpisał Stanisław-August i najznakomitsi dygnitarze Rzeczypospolitej z wyciśnięciem swoich pieczęci <sup>2)</sup>. Intercyzą tą zobowiązał się generał wyrobić dożywociem starostwo

<sup>1)</sup> Jakubowski przedtém t. j. od r. 1758 trzymał Lesznowolę w dzierżawie od Doroty z Broniszów Jabłonowskiej wojewodziny rawskiej, a to na mocy udzielonego jej przywileju. (Oblaty Grodu Warsz. ks. 63 str. 4, oraz intromisya do téj dzierzawy 1759. Oblaty Gr. Warsz. ks. 65, str. 179). Na sejmie 1773—1775 otrzymał w województwie wołyńskim na przedmieściu ostragskim folwarczek *Łopuszno* z dóbr pojezuickich z obowiązkiem płacenia czynszu do skarbu komisji edukacyjnej. (Sigillata 32 str. 290, d. 22 sierpnia 1774 r.). Miał téż kontraktem emfiteutyicznym nadane na lat 40 pół włóki gruntu w Mokotowie do starostwa warszawskiego należące (Sigillata 32 str. 13, 1768). W r. 1732 nabył dom od Ekstejnowej na Bielinie (miasteczku założoném w r. 1787, przez Fr. Bielińskiego marsz. w. k., a dziś wchodzącym w obręb Warszawy) Jur. Ms. Warsz. ks. 334, str. 321.

<sup>2)</sup> Podpisy to są jako *proszeni przyjaciele*: August ks. Czartoryski W. G. Z. R., Stan. Lubomirski M. W. K. Józef ks. Sanguszko M. W. W. Ks. L. Michał ks. Czartoryski K. W. W. Ks. L. J. A. z Prussów Jabłonowski W. N. — J. Twardowski wojewoda kaliski, Antoni z Prussów Jabłonowski w-da poznański, A. Mokronoski, S. I. G. Kaź. ks. Poniatowski podkomorzy koronny.

Leśnowolskie <sup>1)</sup> dla swój małżonki, jako też pensyę 2,000 liwrów, przyobiecana mu dawniej przez Ludwika XV na przypadek jego ożenienia <sup>2)</sup>. Małżeństwo to mimo znacznej różnicy wieku było szczęśliwe, Jakubowscy mieli dwie córki, z których jedna wyszła za Andrzeja Boskiego, druga za Krosnowskiego <sup>3)</sup>.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o literackich pracach generała. Od młodości pisywał wiersze, które jednak o ile wiemy, od roku 1760 zaczął ogłaszać drukiem. Te drobne i nieliczne utwory z większą jednak od wielu współczesnych wierszopisów łatwością i prostotą kreślone nikną wśród rymotwórczej powodzi zalewającej Stanisławowską literaturę. Najpierwszy ze znanych nam jego wierszy jest: *„Oda o mądrym królu, ofiarowany J. O. ks. J. Józefowi Aleks. Jabłonowskiemu, Lipskich nauk podporze. przez księdza And. Bela z łacińskiego przez brygadiera Jakubowskiego wiernie w ojczysty język oddane, w Warszawie 1761 r. in 8-vo z oryginałem łacińskim, jest jednak i wcześniejsza tego dzieła edycja in 16-mo bez roku.*

W roku 1778 wydał: *Stanisława Konarskiego śp. wiersze wszystkie z łacińskiego na polskie przełożone w drukarni J. K. M-sci i Rzeczypospolitej Scholarum Pijarum.* Na początku umieszczone jest: Życie Stanisława Konarskiego śp. krótko zebrane przez Wojciecha Jakubowskiego, Kawal. orderu S. Ludwika, Gen. Brygad. wojsk fran. (str. 6). Jestto wspomnienie cnót i zasług znakomitego męża, ręką przyjaciela skreślone (wyjątki z tego krótkiego życiorysu powtórzone zostały w wydanej w roku 1783 broszurze p. t. Pochwała Stanisława Konarskiego). Następuje wiersz pod tytułem: Na śmierć Stanisława Konarskiego żal przyjacielski przez I. G. B. W. F. (wydany także osobno in 4-vo stron 4). Przytaczamy go w całości:

Żal przyjacielski, nadgrobek Stanisławowi Konarskiemu Sch. Pija. przez W. Imci pana Jakubowskiego, brygadiera w wojsku francuzkiem.

H. ks. Sanguszko starosta ozerkaski, Bogusław Bronikowski pułkownik wojska saaskiego, Celestyn ze Szpanowa Czaplic, podkomorzy łucki, Jacek Ogrodzki, pisarz W. K. regent kancelaryi pokojowej J. K. Mości.

<sup>1)</sup> 1 marca 1768 roku, Jus communicatione super tenutam Lesznawola dictam in palatinatu Masoviae sitam. Gsao Salomeae de Łosie Łoska Gai Adalberti Jakubowski generalis exeroitum Regni Galliarum consorti legitima datur (Sigillata 32 str. 13).

<sup>2)</sup> Jakubowski pobierał kilka tysięcy liwrów ze skarbu francuzkiego oraz osobną z prywatnej szkatuły Ludwika XV pensyę za prowadzenie sekretnej korespondencyi. Otrzymywał też gratyfikacyę, lecz to wszystko było bardzo nierogularnie wyplacaniem.

<sup>3)</sup> Dotąd żyjący wnuk Jakubowskiego — p. Seweryn Boski udzielił mi wiele ciekawych jego rękopismów.

Siedm miast nagrobek pisze Homerowi,  
 Każde z nich sobie ród jego przyznawa;  
 Tu Konarskiemu dziś Stanisławowi,  
 Polska łyzy niesie, król, stany, Warszawa.

Poległ mąż wielki; religia traci  
 Podporę, filar, Apollo ozdobę.  
 Ojczyzna niech się pyta ziomków braci  
 O doskonalszą w tym wieku osobę.

Sam mądry, drugim dom nauk wspaniały  
 Wystawił, aby w młódz polską je wszczepił;  
 Kamienie z tych ścian będą powiadały:  
 Świątnicę sobie wdzięczności usklepił.

On pierwszy w kraju pochodnię zaświecił,  
 Wygnał nadgęte czczym wiatrem straszydło;  
 Polor attycki, rzymską jasność wzniecił,  
 Dał nowe czystej wymowy prawidło.

On Horacego lutni piastun miły,  
 Tak się pegazem lotnym wygórował;  
 Ledwie mu czyje mogły sprostać siły:  
 Moc i wdzięk mistrza swojego zachował.

W rządach Królestwa pierwszy się odważył  
 Na inną formę ustanawiać rady;  
 I już jej dobry obywatel zażył,  
 Zstarzałe zaczął usuwać zawady.

O! gdybyż dawniej Polska objaśniona  
 Przepisy jego chciała była chować,  
 Idąc za zdaniem prawego Solona,  
 Mogłaby w swoich zaszczytach wiekować.

On duchownego z świeckim łączył męza,  
 Zerwał z zuchwałych rozumów maskarę;  
 Dobył w ostatniej księdze swój oręża,  
 Poczciwych zwanych, Wiary zwałił marę.

Takim to ludziom stawiano kolosy  
 I jego postać medalem i biustem  
 Przejdzie w potomność przez snycerskie ciosy,  
 Da poznać, że żył pod mądrym Augustem.

O! ojciec czasów, w których żyjem rzędzie,  
 Ten człowiek z Twych rąk na wytwór lepiony,

Upadł, i także w wiecznych celów względzie,  
Abyś go nie dał, już model stłuczony.

Poszedł niezwrotnie pod śmiertelne głązy,  
Sam siebie od trosk, co cierpiał wybawił;  
Politycznego, gdy nie mógł zarazy  
Ciała znieść, przy nim swe zwłoki zostawił.

Atoli cnotą tu okryty leży,  
Świeci w około blaskiem płomienistym;  
Nie mógł mieć trwalszej na wieczność odzieży:  
Sława go niesie na wozie ognistym.

W tém wydaniu poetycznych utworów Konarskiego, tylko pieśń V i XXI jest przekładu Jakubowskiego; pierwsza z nich ma tytuł: „O niezwyciężoném przeciwnościami sercu Augusta III (str. 2), druga, Pieśń o mądrym królu podczas bezkrólewia R. P. 1764 (str. 9), wiersz gładki. Tę samą pieśń tłumaczyli: Onufry Korotyński, Eysymont pijar i Szostowicz, który najwięcej przełożył utworów Konarskiego.

Jakubowski zwykle swe wiersze umieszczał w piśmie peryodycznym wydawaném przez Naruszewicza i Albertrandego p. t.: „*Zabawy przyjemne i pożyteczne, w Warszawie u Grölla*“. Oprócz wspomnianego wiersza na cześć Konarskiego znajdują się następujące: W tomie IV, *Wiersz z okazji okropnego przypadku dnia 3 novembra, praktykowanego przez W. J. B. W. F.* Potém wiersz pod tytułem: *Żal przyjacielski nad stratą ks. Piotra Słowickiego, wizytatora ks. missyonarzędów p. W. J. B. W. F.* napisany z uczuciem. W tomie X-ym *Wiersz do Adama Naruszewicza*, jako odpowiedź na powińszowanie. W tomie XIII-ym „*wiersz O miłości*“, „*O cnocie*“, „*O dobroczynności*“. W tomie XV artykuł prozą p. t. *O przymiotach wymowy dla płci obojędnej* przez W. J. B. W. F. (str. 8). W piśmie tém autor dowodzi, że kobiety mogą z równém jak mężczyźni powodzeniem oddawać się naukom, przyznaje zaś im nad nami wyższość „z powodu wdzięków, przyrodzonego im rozumu, delikatnych myśli, czucia i wybornego smaku, który z sobą na świat przynoszą i że nie mają względem siebie téj podłej zazdrości (?), która mężczyzn sromotą okrywa.“ Liczne zamieszczone cytaty z czasów starożytnych i późniejszych okazują w piszącym znajomość literatury.

W wydawném przez Ad. Naruszewicza: „*tłumaczeniu wszystkich pieśni Horacyusza, przekładania różnych, 1773 r., u Grölla* w księdze III jest jedna pieśń przekładu W. Jakubowskiego.

Przełożył z francuzkiego i wydał dziełko p. t. „*Przyjaciel białych głów*“ Warszawa w drukarni Mitzlerowskiej 1760, w 8-ce (str. 143).

Najważniejszą zasługą literacką jest przekład bajek Lafontaine, który wydał pod tytułem: *Bajki Ezopa wybrane, wierszem francuz-*

kim przez de la Fontaine ułożone, a przez Wojciecha Jakubowskiego kawalera orderu s-go Ludwika, G. brygadiera wojsk francuzkich polskim językiem z przydatkami wydane w Warszawie 1774 w drukarni J. K. Mości y Rzeczypospolitej u księży Scholarum Pijarum (str. 277). Zbiór ten, zawierający 124 bajek, podzielił na 7 części, które różnym znakomitościom przypisał. O tym przekładzie przytoczymy następujące zdanie Niemcewicza: „Jakubowski w tłumaczeniu bajek Lafontaine, zachował wiele nieporównanej autora tego lubości i prostoty. Weźmy tylko pierwszą jego bajkę, a znajdziemy w niej prawdziwą cechę stylu Lafontaine.

*Konik polny i mrówka.*

Konik polny całe lato  
 Prześpiewawszy, głodny za to;  
 Z żywności całe obrany  
 A mroźnym wiatrem obwiany,  
 Nie miał biedny, wątły, suchy,  
 Ni robaczka, ani muchy.  
 Idzie głodny, krzyczy, biadał  
 Prosi u mrówki sąsiada:  
 —Pożycz, (wszak to nie podarek!)  
 Do przednówka kilka ziarek!  
 Wszystko, jakem zwierz poczciwy  
 Zapłacę ci przede żniwy  
 Ziarnem, czy chcesz gotowizną,  
 Dam ci lichwę wraz z iszczną.  
 Mrówka pożyczać nie rada,  
 (To najmniejsza u niej wada)  
 Pyta konika:—czém przecie  
 Bawiłeś się w ciepłym lecie?  
 —Dzień i noc wszystkim śpiewałem,  
 Wiém, że cię tém nie gniewałem.  
 Mrówka rzecze:—w letniój dobie  
 Nucąc, teraz tańczuj sobie.

„Kto weźmie w ręce Lafontaine, uzna, że trudno jest wierniej i z większą łatwością tłumaczyć; niemało innych bajek podobnie szczęśliwie jest przełożonych: szkoda, że Jakubowski nie zawsze miał na pamięci, iż łatwość i prostota nie powinny się tykać z niedbalsstwem. Nieraz rymy jego są zbyt jednostajne, zbyt powtarzane, zbyt prozopoliczne. Życzyć należy, aby zdolna ręka, zaniedbania te poprawiwszy, nową edycję bajek jego wydała“.

Nie można nic dodać do tak trafnej oceny tej pracy Jakubowskiego. Kończąc to wyliczenie znanych nam jego prac literackich, wyrazimy życzenie, że pożądanem byłoby wydanie wszystkich dypl-



matycznych korespondencyj generała, które stanowiąc bardzo ważny materiał dziejowy, dałyby nam poznać główną jego zasługę.

Do końca swego życia przebywał w Warszawie. W roku 1771 otrzymał z łaski dworu saskiego mieszkanie w pałacu saskim, które poprzednio zajmował pan de Haykin, rezydent tego dworu. Wyjednał mu takowe hetman Branicki w nagrodę usług, oddanych elektorowi. Ściany jego pomieszczenia zdobiły przechowujące się dotąd w rodzinie, dobrego pędzla obrazy, mianowicie portrety: królewskiej francuzkiej rodziny, hetmana Branickiego, Andrzeja Mokronowskiego i t. d. Jest także jedyny portret Jakubowskiego, który ma być umieszczonym w jednym z naszych pism illustrowanych.

Z Warszawy robił częste wycieczki do Leśnowoli. W tém wiejskim, przyozdobioném przez siebie ustroniu, odwiedzał go niekiedy Stanisław-August, a Naruszewicz i Krasicki wiele tam czasu spędzali. Ślawny biskup warmiński cenił i kochał Jakubowskiego, jak tego dowodzą wiersze, które mu dedykował <sup>1)</sup>, oraz zamieszczona o nim notatka w lipskim wydaniu Niesieckiego, gdzie go mężem zacnym i obyczajnym nazywa. (T. IV str. 432).

Oprócz tak wysokich stosunków, Jakubowski zawsze odznaczający się pobożnością, żył w przyjaźni z kilku światłymi swego czasu kapłanami, mianowicie z księdzem Piotrem Śliwickim, wizytatorem XX. misyonarzy i spowiednikiem królewskim. Ksiądz Łuskiński, który musiał znać bliżej Jakubowskiego, skreślił w Gazecie Warszawskiej bardzo zaszczytny jego nekrolog, który w przypisku podajemy <sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Dzieła Krasickiego. Wilno. Tom II, stron. 254, 255 i 294.

<sup>2)</sup> Z Warszawy dnia 8 grudnia 1784 r., suplement do Gazety Warszawskiej. „Znowu jednego utraciliśmy męża, w osobie ś. p. Wojciecha Jakubowskiego w wojsku francuzkiem marszałka pełnego i orderu Ś-go Ludwika kawalera, w przeszły piątek o południu z przykładnym do śmierci przez przyjęcie ŚŚ. Sakramentów przygotowaniem się, w tutejszej stolicy, w pałacu saskim w 73 roku życia swego zmarłego.

„Od wszystkich powszechnie ten mąż jest żalowany, bo téż powszechnie był szanowany i kochany, a naprzód od samego panującego monarchy, a to dla rozlicznych szanownych i miłych jego przymiotów. On w rzeczach politycznych (nawet zagranicznych dworów) wiadomy, on w naukach (czego w druku są dowody) dobrze ówiczony, on w kierowaniu interesów przezorny, on ku wszystkim ludzki i uprzejmy, on bez obłądy szczery, on w religii gruntowny i nigdy nieporuszony, on w obyczajach przykładny, naostatek w pobożności jawnie wszystkich dobrych budujący, a na złych języki niedbający, ani się (przykładem Pawła apostoła) Ewangelii niewstydzący. Te rzadkie przymioty i cnoty uoczyły go nietylko w ojczyźnie, ale i za granicą, mianowicie u dworu wersalskiego dobrze znajomym i szanowanym. Iż nie wspomnimy o tém, jakie miał na siebie względy od francuzkiej monarchini Maryi, córki Stanisława, króla pol-

Najpiękniej jednak uczcił jego pamięć Ignacy Krasicki w grobowym napisie, którym najwłaściwiej będzie pracę niniejszą zakończyć:

Pod głazem ostatecznym, który go okrywa,  
 Tu złożon Jakubowski dojrzałe zabrany;  
 A co rzadko w uczonym i dworaku bywa:  
 Czuły, wdzięczny, przykładny, miły i kochany.

## KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Kongres orientalistów w Paryżu. — Wystawa archeologiczna przedmiotów wschodnich w pałacu przemysłowym. — Sully, studjum historyczne p. Léguové członka akademii. — Poeta hiszpańsko-amerykański Don Garcia de Quevedo. — Pieśni liryczne, poemat El Proscrito. — Przedmowa Aleksandra Dumasa do nowego przekładu Fausta p. Bacharach. — P. Caraguel następcą Juliusza Janin w Debatach. — Nagrody rozdane przez Akademią francuzką. — Wyliczenie dzieł uwieńczyonych. — Nostalgia, przez Dra. Benoist de la Grandière. — W ślad drugich, podróż po Nubii i Egipcie p. Wiktora Meignant. — Panna de Scuderi, studjum biograficzne p. Rathery.

W zeszłym miesiącu odbył się zapowiedziany przez nas kongres orientalistów w Paryżu. Znaczenie jego przeszło wszelkie nadzieje. Mieliliśmy sposobność śledzić, nawet w szczegółach, rozwój

skiego i księcia lotaryńskiego. Królowie francuzcy Ludwik XV i terazniejszy Ludwik XVI, talenta jego już orderem 6-go Ludwika, już w wojsku swém urzędem najprzód półkownika, toż brygadyera, potem marszałka polnego, już naostatek znaczną coroczną pensją uwieńczyli i zawdzięczali. Słowom mówiąc: miał on wielki i czysty rozum i przeto pełen był zawsze gruntownej religii; te zaś dwie jasne i niezawodne pochodnie przed sobą zawsze mając, nigdy w swoim długim życiu nie zbłądził z tój drogi, która prowadzi ludzi do doczesnego i wiecznego uszczęśliwienia.“

prac kongresu, dzięki organizatorom, którzy zaprosili nas uprzejmie na posiedzenia. Zaszczyc ten winniśmy Bibliotece Warszawskiej za pomieszczoną w niej wiadomość o postępie nauk w Japonii i o pozycji tegoż narodu.

Sprawozdanie z czynności kongresowych okaże się niczadługo w bardzo ozdobnej i starannej publikacyi, wówczas to korespondent waszego pisma będzie miał obowiązek obznajmić z nią czytelników. My dziś zatrzymujemy się tylko na ogólnym poglądzie.

Wiadomo że kongres orientalistów pierwszym był w swoim rodzaju. Łatwo wytłumaczyć to opóźnienie. Aby cel kongresu mógł być osiągnięty w pełni, potrzeba było współdziałania nie tylko uczonych europejskich, ale samychże ludów Wschodu. Dziś wybiła godzina. Kongres orientalny świeżo odbyty w Paryżu nie był li tylko naukowym w abstrakcyjnym znaczeniu słowa: łączył on ludy zarówno w teorii, jak niemniej na polu zastosowań praktycznych. Pierwszy to kongres, co okazał całą doniosłość owych uczonych zebrań, cechujących naszą epokę, zebrań, które rozstrzygają najważniejsze zagadnienia społeczne ze stanowiska nauki. Wiadomo, że kongres orientalny paryżki odbył się pod opieką i można rzec na żądanie Japończyków. Szach perski zapisał się także między jego protektorami. Postowie Mikady i Nass-Redina przydzielali z kolei na posiedzeniach. Już to samo dowodzi, że charakter kongresu nie był czysto abstrakcyjny; nauka stanowiła główną jego podstawę, ale żądano też od niej, aby rozstrzygała pytania dotyczące się potrzeb dzisiejszych.

Obeność japońskiego posła, odezwa jego do członków kongresu, a raczej do reprezentantów cywilizacji europejskiej zwróciła powszechną uwagę. Odezwa ta, wynik usiłowań kilkudziesięciu milionowego ludu japońskiego, wytyka nowe drogi dla historii wszystkich ludów wschodnich, bo wszystkie z kolei prędkiej czy później muszą wejść pod ów sztandar, który Japonia podjęła z taką odwagą i trzymą tak wytrwale. Kilkakrotne okłaski przerywały mowę posła; okłaski te powtórzy cały świat ucywilizowany tak Wschodu jak Zachodu. Oto niektóre ustępy tej mowy:

„Wasza tu dzisiejsza obecność jest pierwszym dowodem publicznym w Europie, że Japonia weszła w spółnictwo celu i przyszłości z narodami Zachodu. Dotąd łączyły nas tylko stosunki polityczne i handlowe; dziś po raz pierwszy tworzymy związek intelektualny. Nie wątpię, że postęp naukowy w Japonii wzmocni się o tyle, że będziemy mogli ustalić z wami ów związek społeczny, jaki jedynie łączy narody między sobą, gdyż oparty na obaleniu ciemoty i przesądów.

„Pozwólcie mi zwrócić uwagę waszą na pytanie, którego rozstrzygnięcie okaże się pożytecznym dla was samych. Pismo japońskie przestało być w praktyce czysto alfabetycznym, stało się ideograficznym w wielkiej części. W tej mieszaniej formie wystarczało nam dopóki mieliśmy do wymawiania jedynie wyrazy japońskie; dziś

zaczynamy używać słów i idei europejskich: wyznajemy, że niepodobna prawie wyrażać ich pismem naszym. Musimy więc koniecznie zmienić nasz systemat pisania. My sami rozpoczęliśmy już badania w tym przedmiocie. Pozwalam sobie wskazać wam tę konieczność w nadziei, że zechcecie pomódz nam w tej pracy waszém światłem. Stawiamy tu w tej chwili podwalinę wzajemnego związku dla dobra wszystkich. Sądzę, że mój kraj więcej niż Europa skorzysta z waszej pracy, więcej bowiem potrzebujemy waszego współdziałania, niż wy potrzebujecie naszego.“

Tak przemawiał Sausima Naonoba poseł Mikady! Główném téż zagadnieniem kongresu było odpowiedzieć na żądanie narodu japońskiego, świetnie reprezentowanego przez posła. Zadanie było trudne, czego mieliśmy dowód zaraz na pierwszym posiedzeniu. Obecni Japończycy po kolei wymawiali dźwięki swego alfabetu: okazało się, że w Japonii tak jak i wszędzie eufonia miejscowa nadaje różne odcienia jednemu i temuż samemu dźwiękowi. Okazało się dalej, że i tam istnieją prowincjonalizmy, lubo nie tak wydatne i liczne jak u ludów aryjskich. Postanowiono więc wybrać osobną komisję dla ścisłego zbadania rzeczy i przedstawienia jój kongresowi. Alfabet został ułożony. Proces ten odbył się z niezwykłą uroczystością. Decydowali o rzeczy specjaliści, mianowicie pp. de Rosny, Douglas, Levallois. Podnosiło i to wagę kongresu, że Lepsius, znany lingwista berliński, który pierwszy ułożył alfabet międzynarodowy dla ludów europejskich, oświadczył w liście do prezesa, że zgodzi się na wszystko co kongres postanowi. Takie oświadczenie miało widocznie na celu chęć przyspieszenia jakiegokolwiek decyzji. Znakomici lingwiści różnych krajów uwiadomieni zostali telegrafami o pomyślnym rezultacie. Prawdziwa była radość w Yeddo w gronie osób stojących na czele nowego ruchu.

Ogólnie mówiąc, alfabet ustanowiony na kongresie paryzkim może być jeszcze zmienionym co do tej lub owej zgłoski; ale co już zostało zapisaném w historyi cywilizacji świata, oto że rząd japoński wymagał od kongresu paryzkiego ułatwienia swemu ludowi środków łączących go z ludami cywilizacji europejskiej. Japonia pośpieszyła z życiem nowych dla siebie zgłosek, gdyż to ułatwi jej dopełnienie gorących życzeń narodu, co do rozwinięcia dziennikarstwa. Kilka dotychczasowych dzienników politycznych posłużyło głównie na to, że dały poznać niedostateczność dawnego alfabetu japońskiego.

Japończycy idą śmiało dalej: wielu ich mężów stanu i uczonych pracuje usilnie nad przeprowadzeniem prawa, nakazującego użycie jednego z języków europejskich w wykładzie nauk w kilkuset gimnazjach i w kilkunastu uniwersytetach, których organizacja już zatwierdzona. Przyjmą zapewne język angielski z powodu blizkich stosunków z Ameryką.

Wszystko to zdumiewa zapewne. Największy jednak wzbudziło podziw publiczne oświadczenie generalnego konsula japońskiego, że

wkrótce, podobno nawet za kilka miesięcy, rząd japoński ma otworzyć w stolicy swojej wielki kongres religijny. Reprezentanci wyznań całego świata będą powołani do rozpraw z przedstawicielami wyznań, istniejących od dawna w Japonii. Jaki ma być cel praktyczny tego *colloquium*, generalny konsul nie powiedział. Najprostszy wynik zdaje się ten, że rząd zamierza wybrać religią jaką uzna za najlepszą; w takim razie byłaby to religia panująca. Wielkie pytanie, czy to może ułatwić rozwój prawdziwej cywilizacji, do jakiej dążą promotorowie dzisiejszego ruchu.

Przy myśli kongresu religijnego, tak blizkiego urzeczywistnienia, nasuwa się mnóstwo innych pytań. Ale sama już chęć wywołania rozpraw, chęć objawiona przez rząd tak publicznie, udowodnia, że mężowie stanu i uczeni japońscy uznają potrzebę religii. Fakt ten zadaje kłamstwo panującym w Europie opiniom, według których lud japoński ma być bezreligijnym, czysto racjonalnym. Takie jest mniemanie i o Chińczykach. Wprawdzie kiedyśmy zapytywali znajomych nam młodych Japończyków, czy zbierają się na modlitwy, odpowiedzieli jednomyślnie, że modlitwa wcale im nieznaną, że lud tylko prosty i nieokrzesany dopełnia pewnych obrządków religijnych. Wypadałoby ztąd, że rząd japoński chce utworzyć dla masy ludu jakąś religią, która byłaby wyrozumowanym zlepkiem wszystkich wyznań, a która zostałaby mogła prawdziwem narzędziem policyjnym. Nam się zdaje, że owe głosy młodych Japończyków kształcących się w stolicach Europy, są po prostu echem szkoły naszych ultraliberałów, pozytywistów. Jakkolwiekby, widoczną jest walka w sercu samejże Japonii, między ludźmi religijnymi, a wyznawcami czystego materyalizmu.

Mieliśmy przed oczyma dowód tej walki na wystawie płodów literatury i sztuki ludów wschodnich, utworzonej podczas kongresu. Jest tam między innymi przedmiotami malowany obraz piekła podług pojęć o niem jakoby Dantego. Zartem wprawdzie porównanie to uczynił p. Longperrier, członek instytutu, znakomity starożytnik. Kto wie, czy jaki Japończyk nie czytał Dantego i nie sformułował jego piekła, stosownie do kar używanych w Japonii? Ów obraz wielkich rozmiarów wzięty ze świątyni japońskiej, był przedmiotem bardzo żywych rozpraw na kongresie. Pojęcia chrześcijańskie, wiara w piekło, nie w smak tym pozytywnym szkołom, których wyznawcy radziby widzieć w Japończykach realizatorów swoich idei. Owo piekło japońskie niesłychanie ich razi. To też p. Silberman utrzymuje, że obraz piekła nie jest płodem geniuszu Japończyków, ale raczej Wogułów, których ślady widzi w północnej Japonii. Wnosząc z obrazu, zdaje się że Japończycy mają nie siedm, lecz ośm grzechów głównych: widać tu ośm zwierciadeł odbijających przestępstwa ludzkie. Kongres postanowił odfotografować to szczególne malowidło, które zasługuje na uwagę pod względem nawet artystycznego wyrobu.

To cośmy dotąd powiedzieli każe przypuszczać, że pytania postawione na kongresie paryżkim, dotyczyły najżywotniejszych stron życia społecznego na Wschodzie. Tak było w rzeczy samej; już przy badaniach religii różnych ludów, już przy określeniu ich rodowodu, migracyi, języków, mytów i innych cech życia ich dziejowego. Oprócz Japończyków i Chińczyków byli przedmiotem rozpraw Hindowie, Persowie, Assyryjczycy, Fenicyanie z Kartaginczykami, Egipcyanie, Mongoły, Ormianie, a nawet Grecy starożytni i nowożytni, jak niemniej Turanie otomańscy. W każdym przedmiocie przemawiali głównie specjaliści, przynajmniej oni zagajali rozprawy. Ztąd też nauki wschodnie bardzo wiele zyskały, a więcej zyskałyby jeszcze, gdyby niektórzy z członków nie zabierali głosu w tych nawet wydziałach, w których nie byli wcale kompetentni. Ale jest to złe nieuchronne na wszystkich naradach zbiorowych. Jest w niem przecież ta dobra strona, że tacy wielomówni panowie przez to samo, że nie trzymają się z całą surowością przedmiotu, dotykają czasem pobocznie pytań bardzo żywotnych dających wiele do myślenia.

Z zalem opuszczamy ważne rozprawy panów de Rosny, Longperrier, Halévy, Chebel, Dulaurier, Hervé St. Denis, de Ravisy, Jacolliot, Patkanowa, Eichhofa, Douglasa, Aleksandra Chodźko, księdza Langehof i innych. Zdziwiło nas nie pomału i nieraz pytaliśmy się będąc na posiedzeniach naukowych, dlaczego ziomkowie nasi w ogóle tak mały przyjmują w nich udział? Odmawiają sobie nie tylko pożytku, lecz i prawdziwej przyjemności.

Ostatnie postanowienie pierwszego orientalnego kongresu zapewniło mu trwałość; przyjęto bowiem za zasadę, że komitet organizacyjny nie rozwiąże się do czasu ustalenia nowego w innym z kolei kraju. Na przyszły kongres wybrany został Londyn. Okazało się wielu przeciwników Londynu, a to dla przebywającego tam Max Müllera. Mamyż podać rękę, mówili Francuzi, Max Müllerowi, który z powodu klęsk naszych śpiewał hymny radości w samymże Strasburgu, w obozie tryumfujących nad nami wrogów? Niektórzy przekładali Rzym. Przeciwni kongresowi we Włoszech to było tylko, że Panamari najznakomitszy orientalista włoski był ministrem królestwa, a więc człowiekiem politycznym. Inni zwracali oczy na Szwajcaryą, uprzywilejowane miejsce tylu kongresów pokoju i niepokoju. Z kolei naturalnie odbędą się przyszłe kongresa i we Włoszech i w Szwajcaryi i w innych krajach: na ten raz obrano Anglią. Prezydentem następnego zebrania będzie p. Birch egyptolog angielski. Komitet w części już utworzony wkrótce ogłosi programat na rok 1874. Aby ułatwić uczestnictwo w kongresie uczonym mniej zamożnym, ogłoszoną została suskrypcya. Organizatorowie dzisiejszego kongresu mają rozporządzać zebraną sumą. Jestto myśl płodna w pożyteczne następstwa.

Do tych, którzy najwięcej zasłużyli się w urządzeniu paryżkiego kongresu należy p. Ludwik Ciołek Zieliński; uznał to publicznie prezes p. de Rosny na posiedzeniu członków rady.

Na ostatniem publicznem zebraniu jeden z członków wyliczając dzieła i pisma, które w ostatnich czasach zajmowały się Japonią i Chinami przyszedł z kolei do Biblioteki Warszawskiej. Wzmianka ta wywołała powzeczny oklask.

Dlaczego pierwszy kongres orientalistów odbył się w Paryżu? wyjaśniła to mowa pośła Mikady. Japończycy zagrożeni przez Anglią, Amerykę i inne jeszcze państwa, wiedzą doskonale że z pomiędzy mocarstw europejskich sama tylko Francya szczerze im jest przychylną. Wiedzą niemniej, że ani klęski jakie przeszedł francuzki naród, ani fałszywe idee niektórych stronnictw odstępujących od tradycyi narodowej, nie zdołały i nie zdołają odebrać Francyi ducha inicjatywy w pytaniach mających na celu postęp całej ludzkości.

Nie zależna od kongresu lubo ściśle z nim połączona wystawa archeologiczna Japonii, Chin, Siamu i Korei otwartą została w pałacu przemysłowym, jak to powyżej wspomnieliśmy. Pan Cernuschi Włoch przebywający w Paryżu jest jej organizatorem a właścicielem tysiąca kilkuset okazanych przedmiotów, pp. Meritens i Chevrillion wzbogacili ją własnymi téż zbiorami. Jedyna to w swoim rodzaju kolekcya; kosztowała ogromne sumy tak z powodu różnaitości, jak wyrobu artystycznego drogocennych dzieł sztuki jakie obejmuje. Da ona pochoć do mnóstwa publikacyj archeologicznych, lingwistycznych, religijnych, antropologicznych i t. p.

Obok wystawy Cernuschi'ego widzimy bogatą kolekcją japońskiego jedwabnictwa, oraz piękny księgozbiór orientaluy p. de Rosny. Uczony prezes ukazywał sam członkom kongresu dzieła, które uważał za najgodniejsze ich uwagi. Uderzyły nas szczególnież przepyszne malowidła przy drukach i rękomismach, wyższe pod względem harmonii i wykonania od europejskich chromolitografii. Literatura satyryczna okazuje się bardzo bogatą u Japończyków, sąsiedzi ich Chińczycy nie mają już tego geniuszu, lubo w innych względach byli przez długie wieki inicjatorami cywilizacji japońskiej. Różnicę jaką wskazaliśmy tłumaczy dobrze teoria Monteskiusza. Według niego satyra może tylko kwitnąć w krajach, posiadających arystokracyą rodową. Wiadomo, że społeczeństwo chińskie oparte na zasadach patriarchyalizmu-komunistycznego, nie zna wcale podobnej arystokracji, gdy tymczasem Daimosy japońscy przez długie wieki reprezentowali wiernie stan naszych panów feudalnych.

Bronzy chińskie, korejskie i japońskie zwróciły szczególną uwagę członków kongresu. Nigdy jeszcze w Europie nie widziano posągu Budy w tak kolosalnych rozmiarach. Ten, którego widzieliś-

my na wystawie, wysoki na piętnaście stóp, pochodzi ze świątyni *wiecznego szczęścia* w Mazouro. Siedzi on na liściach z lotusu w najwyższym skupieniu ducha. Wewnętrzna próżnia posągu napełniona była odcinkami papieru, na których pobożni kreślili imiona przodków swoich. Każdy odcinek naznaczony pieczęcią Bonzy.

Inny znów posąg przedstawia świętego budystańskiego Sama Dizo, który poprzedza dusze grzeszników do bram piekieł. Na jego plecach wyczytano imię artysty i datę 1716 r. Piękność wyrobu obudziła powszechny podziw.

Pod względem archeologicznym z całego zbioru Cernuschi'ego największe ma znaczenie wazon chiński ogromnych rozmiarów, sięgający dynastji Chang, która zgasła na dwanaście wieków przed erą naszą. Napisy na nim hieroglificzne wyobrażają to człowieka z podniesioną ręką, to góry, to jakiś inny przedmiot.

Niepodobna wyliczyć wszystkich sprzętów, malowideł, tkanin jedwabnych, emalii, fotografowanych tablic i t. p. tworzących zbiór p. Cernuschi. Z przedmiotów żywych uderzyła nas w akwaryum rybka szczególnego kształtu, koloru czarnego z czerwonym, pierwszy raz przywieziona do Europy.

Właściciel tej bogatej kolekcji buduje w Paryżu wspaniałą pałac na pomieszczenie swego muzeum. On sam przyjmował członków kongresu i ukazywał im swoje zbiory, dodając skromnie że się uważa za prostego magazyniera.

Bibliografia francuzka liczy tysiąc kilkaset dzieł poświęconych jednemu z najpopularniejszych królów Henrykowi IV, w tych wszystkich niemal dziełach imię wielkiego ministra Sullego przyswicoa żywym blaskiem. A przecie rzecz godna uwagi, żaden dotąd z historyków francuzkich nie napisał dokładnego zyciorysu tego znakomitego męża. Spostrzeżenie to czynią wydawcy nowej pracy p. Lé-gouve pod tytułem: *Sully*.

Uczony akademik nie myśli zapełnić tak wielkiego niedostatku w literaturze ojczyźnej i europejskiej. Mówimy europejskiej, boć Sully trudnił się sprawami całej Europy, badał je i poznał gruntowniej niż wszyscy mężowie stanu i historycy współcześni, jak tego dowodzi najlepiej plan federacyi państw, czyli powszechnego rozbrojenia. Mimo szozupłych jednak rozmiarów, książeczka Lé-gouvé'go nadzwyczoaj jest ważnem zjawiskiem, wskazuje bowiem przyszlemu historykowi Sullego te drobne na pozór strony jego życia, które uchodzą najczęściej uwagą pedantycznych erudytów.

Autor ukazuje Sullego od lat dzieciennych. Opowiada pierwsze spotkanie jego z młodziuchnym księciem Bearnu. Chłopiec jeszcze był mały, kiedy ojciec przywołał go do siebie.



— Maksymilianie — rzecze — jesteś młodszym moim synem: prawem rodu brat twój odziedziczy po mnie ziemie i włości, ale pragnę wzbogacić cię w inny sposób, otworzyć ci drogę do zaszczytów i ohwały. Za kilka dni jadę do Paryża i ty pojedziesz ze mną, przedstawię cię królowej Nawarry i w obec niej oddam cię jej synowi; przygotuj więc sam, bez pomocy nauczyciela zręczną mowę, którą wyrzeczesz ofiarując księciu twe usługi.

Nastąpiło wkrótce przedstawienie. Sully miał lat jedenaście, Henryk skończył zaledwie rok szesnasty. Dziecię ukłękło przed młodzieńcem i wypowiedziało mowę z takim uczuciem i prostotą, że rozrzuwniony Henryk podniósł je z ziemi, przycisnął do serca i po-przyśiągł mu wieczną przyjaźń.

Dotrzymał słowa młody książę, pokazała to przyszłość. Henryk i Sully to dwaj współbudownicy jednego dzieła, dwaj towarzysze jednej pracy; myśl ożywia ich jedna, serca ich ściśle połączone. Nigdy król nie cięży nad ministrem, nigdy minister nie wdzięra się w prawa króla; pomimo łączących ich węzłów każdy przecież zachował zupełną samodzielność.

Za główny temat do swego studyum wziął Lëgouvé dziesięć życzeń Henryka IV. Życzenia te zapisane w dziele Sullego: *Economies royales*. W około nich snuje autor ciekawą swą opowieść.

Dnia jednego w roku 1596, Henryk IV chodził zadumany po tarasie zamku w Gaillon. Nagle przywołał Sullego i rzecze doń:

— Jestem dziś w szczęśliwem usposobieniu oiała i umysłu. Odbieram oto pomyślne wieści z Prowancyi, muszę ci wyznać rzecz o której nigdy nie mówiłem. Weź to i odczytaj!

I wydobyl z zanadra złożony papier. Sully otworzył pismo: ujrzał dwie karty nakreślone ręką Henryka z tytułem „Dziesięć moich życzeń“. Tak, wyrzekł król, te dziesięć życzeń to zadanie życia mojego, przedmiot wszystkich prac moich, cel, który ścigam od chwili jak poznałem sam siebie!

Powtarzamy z autorem owe dziesięć życzeń Henryka, malujące tak wybitnie tę wielką w dziejach postać.

„Pierwsze moje życzenie, aby podobało się Bogu wspierać mnie stale w tém życiu i udzielić miłosierdzia gdy przyjdzie kres ostatni.

„Drugie, abym nie był nigdy kaleką, ale pozostał zawsze krzepkim tak na ciele, jak w duchu.

„Trzecie, abym utrzymał religią i stronnictwo, w obronie których walczę, dla których szafuję życiem i mieniem mojem.

„Ozwarte, aby mnie Bóg uwolnił od żony mojej (Małgorzaty) i pozwolił pojąć inną odpowiednią mi rodem, któraby miała humor słodki i uprzejmy, kochała mnie i zjednała sobie nawzajem moją miłość; dała mi zdrowe dziatki dość wczesnie, abym je mógł wychować po mojemu na dzielnych i prawych książąt.

„Piąte, abym mógł osiągnąć koronę Francyi, skoro mój poprzeknik jest bezdzietny; abym w pasmie długich i pomyślnych rządów

mógł przywrócić dawną świetność temu królestwu, wspierać i uszczęśliwiać moje ludy, przyczynić dobra i chwały tym, którzy mi wiernie i zacień służą będą.

„Szóste, abym odzyskał moje królestwo Nawarry, albo przynajmniej zdobył Flandryą i Artois i tytułem zamiany połączył te kraje z Francją.

„Siódme, abym stoczył pomyślną bitwę z królem hiszpańskim w odwet za wszystkie moje krzywdy i wystąpił do boju z Turczyńcem na czele chrześcijańskich zastępów, współzawodnicząc w sławie z Don Juanem austriackim, by imię moje zasłynęło chwałą po świecie.

„Ósme, abym mógł zniweczyć nie religią reformowaną, gdyż wyznawcy jej służyli mi wiernie, ale stronnictwo Hugonotów, na którym wspierają się nieprzyjaciele moi, rozdmuchując w kraju pożar wojny domowej, a nadewszystko abym je zniweczył bez gwałtu i przesładowania.

„Dziewiąte, abym mógł wykonać przed śmiercią wielki zamiar, który mi tkwi w głowie, nieznaną jeszcze nikomu. Nic ci nie powiem o nim, dopóki pokój powszechny ustalony w królestwie nie dostarczy mi środków niechybnych do urzeczywistnienia myśli moich.

„Dziesiąte, abym ujrzał kiedyś w mocy mojej trzech nieprześlagnanych wrogów: de Bouillon, d'Épernon i la Tremoille, nie w celu pomsty za czarne zdrady jakich doświadczałem od nich wielokrotnie, ale żebym mógł zniewolić ich serca łaską i przebaczeniem, zjednać sobie ich miłość i zaciętych nieprzyjaciół przemienić w wierne sługi.“

Wiele z tych życzeń miało się spełnić dla Henryka, w urzeczywistnieniu ich Sully czynny i gorący brał udział.

Nie naszą rzeczą wdawać się w szczegóły; ograniczymy się na kilku wybitniejszych zarysach malujących ścisły związek wielkiego króla z równie wielkim ministrem.

Pan Lógouvé opierając się na zapiskach Sullego: *Economies royales*, przytacza co chwila pełne życia rozmowy dwóch bohaterów swoich, które według niego przypominają rozmowy Donkiszta z Szanszo Panszą. Przepraszam za porównanie—dodaje autor—Donkiszot uosobia wyobraźnię, Szanszo Pansza zdrowy rozsądek: nie też dziwnego, że znajduje się trochę Donkiszota w każdym wielkim mężu wojennym, trochę Szanszo Panszy w każdym wielkim dyplomacie.

Powtarzamy jedną z tych rozmów.

Był to w Rennes roku 1598, wkrótce po rozwodzie Henryka z Małgorzatą. Król rozkazał przywołać Sullego, wziął go pod rękę i poprowadził do ogrodu.

—Widzisz mnie—rzecze—panem tego królestwa, spokojnego wewnątrz, bezpiecznego zewnątrz od sąsiadów, skoro traktat w Verwins już podpisany. Ale dla kogo przydadzą się moje prace i trudy, jeśli nie zostawię Francji następców? Przejrzyjmy więc razem wszystkie dziewice, jakie mógłbym pojąć w małżeństwo, czy to w obrębie królestwa, czy poza jego granicami. Zacznijmy od dal-

szych. Infantka hiszpańska, jakkolwiek szpetna przypadłaby mi może, gdybym z nią razem poślubić mógł Niderlandy. Nie odrzuciłbym także księżniczki angielskiej Arabelli, gdyby uznaną była następczynią tronu; ale i król hiszpański, i królowa Elżbieta dalecy od zamiarów moich. Wspominano mi księżniczki niemieckie, nie pomnę ich imion, ale kobiety z tej sfery nie dla mnie. Gdybym pojął z nich jedną, mniemałbym, że mam przy sobie kufę wina; a wreszcie słyszałem, że była kiedyś we Francyi królowa z tego narodu Izabela bawarka, która zrujnowała całe państwo; to mnie odstęcza od nich wszystkich. Bratanka książęcia Florencyi dosyć podobno piękna, ale przodkowie jej byli kupcami, a królowa Katarzyna pochodzi z ich rodu; dość już jednej Medyceuszki! Przejdźmy teraz do swoich: jestci tu moja siostrzenica, księżniczka de Guise, wprawdzie dorodna, łagodnego umysłu, ale boję się, czy nie zanadto kocha stryjasków swoich, i czyby nie choiała obracać wody na ich mły z krzywdą własnych dzieci, wrzecie gdyby została rejentką. Są także dwie panienki z domu du Mayne, ale jedna za bardzo czarna, druga za młoda, prawie dziecko. Księżniczka Luksemburska jest hugonotką, księżniczka de Conti nie w moim guście, a zresztą kto mi zaręczy że będą miały synów, że będą słodkie i przyjemne, że potrafią rządzić krajem na wypadek méj śmierci?

Podeczas gdy król mówił, Sully nie wyrzekł słowa, patrzył tylko w oczy panu swemu, chcąc wyczytać w nich myśl ukrytą.

Henryk umilkł.

— Panie—odpowiód Sully—z tego wszystkiego wnoszę tylko, że pragniesz wejść w związki małżeńskie, żadna jednak kobieta na ziemi nie odpowiada chęciom twoim. Na to jedyny widzę sposób.

— Jaki?—zapyta żywo Henryk.

— Potrzeba ogłosić w całym królestwie—odrzecze minister z zimną krwią—niechaj wszyscy ojcowie i matki dorodnych córek od siedemnastu do dwudziestu dwóch lat, przywiodą je z sobą do Paryża. Należy niemniej prosić jaką doświadczoną, a roztropną matronę, aby osądziła, czy wybrana dziewica posiada trzy wymagane warunki.

Długo rozmowa toczyła się w ten sposób. Henryk długo krążył, nie śmiejąc przystąpić otwarcie do rzeczy. Wyznał nakoniec, że pragnie zaślubić piękną Gabryelę d'Estrée. Sully położył veto.

Król posłuchał rady ministra, zaślubił Maryę z Medyceuszów. Włoszka jak wiadomo nie przyniosła mu w wianie ani słodkiego umysłu ani pokoju domowego. Pożycie królewskiej pary było pasmem burz nieustannych. Sully jak mógł zażegnywał te gromy.

Wielki zamiar Henryka, pomysł zfederowania Europy, najgorętszy cel jego pragnień, zarówno jak pragnień Sullego, nie miał się wcale spełnić. Śmierć króla stanęła mu na przeszkodzie. Nie umniejsza to przecież zasługi dwóch nieśmiertelnych mężów. Nie doszłoby dla nich chwały, że podjęli wielką myśl i przekazali ją

w puściznę przyszłym wiekom? Zamiar ten polegał na urządzeniu Europy jako wielkiej federacyi chrześcijańskiej, na związaniu ścisłym przymierzem wszystkich państw w celu zagwarantowania ich wzajemnego bezpieczeństwa. Stały pokój miał być owocem tego porządku rzeczy; ale ten dobroczynny pokój musiał być okupiony wielką europejską wojną. Henryk gotował się do niej, gromadził pieniądze, ćwiczył wojsko, zawiązywał przymierza. Tym zabiegiem poświęcił ostatnie lata życia swego. Sully był mu w nich dzielną radą i potężnym ramieniem.

Autor opisuje wymownie wielką boleść ministra, gdy nóż Ravallaca, utkwiał w sercu królewskiem i osierocił go po dobrym panie i przyjacielu.

Sully przeżył Henryka o trzydzieści lat z górą. Rządy Maryi Medyceuszki, otoczonej gronem włoskich ulubieńców, zanadto były mu wstrętne, aby mógł brać w nich czynny udział. Usunął się więc do dziedzicznych dóbr swoich i w ważnych tylko wypadkach, wzywany do rady, której nie słuchano, pojawiał się na dworze. Z ochmurném obliczém, w szatach przestarzałego kroju, wyglądał w wytwornych salach Luwru, jak żywy anachronizm, istny duch Banka przy uczcie hamletowskiej. Razu jednego za ukazaniem się starca, dworska młodzież jęła szydzić z jego ubioru i postawy. Piers Sullego zakłapała gniewem.

— Panie—rzekł do Ludwika XIII—kiedy nieboszczyk król mój a ojciec wasz niepożytej chwały przyzywał mnie na radę, wydałaś z sali błaznów.

Zawstydzony Ludwik zgromił surowo niewczesne żarty dworzan.

Pięknie zakończy Lógouvé swoje studjum odezwą do młodej Francyi, zbyt pochopnej do przepominania zasług praocjów swoich i do sądzenia dawnych ludzi miarą dzisiejszych pojęć.

„Każdy—mówi on—ktokolwiek zasłużył się dobrze krajowi, czyli ten człowiek żył trzy wieki, czy trzy dziesiątki lat temu, czyli nosił koronę królewską, czyli szatę kapłana, koleczugę rycerską, czy bluzę prostego wyrobuika, człowiek ten jest naszym praocjem. Henryk IV, to brat Wercyngetoriksa, bo jeśli pierwszy był bohaterem Galii, drugi wydzwignął Francją z upadku!”

Pozbiérajmy więc i skupmy razem wszystkie rozpierzchłe iskierki chwały naszej, zwiąźmy je w jeden snop promienisty i rzucmy go w oczy nieprzyjaciółom naszym, jako znamie przyszłej świetności! Chcemy—li widzieć Francją republiką, zapalmy jak najwięcej gwiazd na niebie Rzeczypospolitej!”

W liczbie nieszczęśliwych, a niewinnych ofiar komuny paryskiej, widzimy imię, znane w literaturze dwóch światów, imię hiszpańsko-amerykańskiego poety Don Garoia de Quevedo. Słynny

ten pisarz i dramaturg przyplacił drogo obciwość wrażeń: przechadzając się po ulicach paryzkich przy łunie pożarów i huku dział w smutnej pamięci dui majowe, ugodzony w pierś kulą, skonał 6 czerwca 1871 roku.

Garcia de Quevedo należy w części do téj świetnej plejady poetów, którzy jak Marmol rozbudzili hiszpańsko-amerykańską literaturę i tchnęli w nią potężny płomień, jaki ją dziś ożywia; w części mówimy, gdyż Quevedo, lubo zaczerpnął twórczą siłę pod gorącym słońcem ojczyzny swojej, przeżył większe pół życia zdala od niej. Ztądto zarówno Hiszpania, jak Rzeczypospolite południowej Ameryki liczą go z chlubą między poetów swoich.

Heriberto Garcia de Quevedo urodził się w 1819 roku w mieście Coro należącym do Rzeczypospolitej Venêzuela. Miał on w rodzie bogate tradycje poetyczne; prapraojcem jego był sławny poeta hiszpański XVII wieku Francisco de Quevedo y Villegas; po matce pochodził z rodziny francuskiej.

Podczas pamiętnych zapasów o niepodległość, w pierwszej połowie obecnego wieku ojciec Heriberta przywiązany do rządu hiszpańskiego nie stanął pod chorągwią Rzeczypospolitej. Ztądto po ostatniej klęsce wojsk hiszpańskich usunął się na wyspę Puerto-Rico, gdzie w 1825 roku przybyła do niego małżonka z sześciolatnym synem. Na téjto wyspie odebrał chłopiec pierwsze nauki szkolne; później ojciec wysłał go do Francji, nakoniec do Hiszpanii, gdzie odbył kilkoletni kurs prawa. Professorowie liczyli go wszędzie do rzędu najzdolniejszych uczniów.

Obciwy wiedzy, jak w ogólności cała dzisiejsza młodzież Ameryki południowej, Quevedo puścił się w świat na dalekie wędrówki. Przebiegł całą niemal Europę i Amerykę, zwiedził Azję mniejszą i część Afryki. Dalekie podróże prowadzone w celu naukowym rozwinęły mu umysł, wzbogaciły mu zasób wiedzy i wyobraźnię. Zamiłowany od młodu w poezji zbadał na miejscu arcydzieła greckiej i łacińskiej literatury; znając dokładnie języki nowoczesne wczytywał się pilnie w źródłowe utwory tak Niemców i Anglików, jak Francuzów i Włochów. Po tak gruntowném przygotowaniu Quevedo wystąpił samodzielnie jako poeta. Liryczne próby jego, drukowane po czasopismach madryckich, zwróciły nań uwagę najpoważniejszych krytyków; szczególny zapal obudziła piękna oda jego do Kolumba, i pochwała poświęcona Włochom, budzącym się z wiekowego letargu. Od ulotnych utworów poszedł wkrótce na szersze pole poezji. Z innym poetą hiszpańskim Zorillo napisał dwie poetyczne powieści: *Maryja* i *Pentopolis*. Później utworzył sam trzy poemata: *Delivium*, *La secunda vida* i *El prosoripto*. Forma w nich piękna, urozmaicona; pomysł głęboko filozoficzny, oddany w barwie samodzielnej.

Dramata Quevedy przedstawiane były z wielkiém powodzeniem na teatrach madryckich. Z tych najgodniejsze uwagi: *Nobleza con-*

*tra nobleza, Don Bernardo de Cabrevas, Paź i rycerz, Koriolan, Isabella de Medicis.*

Lubo urodzony na drugiej siewiata półkuli Garcia Quevedo, już to w skutek wychowania, już z wrodzonych popędów okazywał się raczej Hiszpanem niż Amerykaninem. Przebył on w Madrycie burzliwe czasy przewrotów po roku 1850. Popchnięty mimowoli na drogę zapasów politycznych objął redakcją dziennika: *Wiek dziewiętnasty*; stanął energicznie po stronie porządku społecznego widząc w nim jedyną rękojmię prawdziwego postępu. W chwilach stanowczych nieraz porzucał pióro a chwycił za oręż i nadstawiał pierś w obronie swoich zasad. Podczas krwawej walki na ulicach Madrytu w roku 1856 padł ugodzony kulą. Gdy przyszedł do zdrowia mianowany reprezentantem Hiszpanii przy rządach Wenezueli i Equadoru pośpieszył do ziemi rodzinnej. Odwołany w roku 1861 przebywał odtąd stale w Paryżu jako pełnomocnik rządu hiszpańskiego. Tu zajął się wydaniem licznych prac poetycznych. Ledwie że je zebrał w dwa wielkie tomy, kiedy zaskoczyła go wojna a po niej gwałty komuny, której stał się ofiarą.

Przytaczamy tu w przekładzie kilka lirycznych pieśni Quevedy.

#### POWRÓT WYGNAŃCA.

Długo się, długo tułał sierota  
Między obcemi,  
Wreszcie w domowe zapukał wrota  
Na ojców ziemi.

Witaj mi duchu błogosławiony!  
Strzecho ty nizka,  
Jakże tu pusto! czemu wylony  
Płomień ogniska?

Tu mi ubiegły, za temi płoty  
Dziecięce chwile;  
Tużem ja zaznał tyle pieszczoty,  
Radości tyle!

Gdzieś ojeze, matko, wy czujni stróże  
Mych rannych latek?  
Ze ścieżki mojej strąciły burze  
Ostatni kwiatek.

Pamiętki w duszy snują się tłumnie,  
Łza oko ślepi;  
Żegnaj mi strzecho, w cichutkiej trumnie  
Będzie mi lepiej!

## Sen majtka. (Ballada).

Noc zapada, kipią wody,  
 Łódź spienione fale porze,  
 Z wiosłem w ręku majtek młody  
 Patrzy w niebo, patrzy w morze.  
 Coraz ciszej pluski wiosła  
 W tonu mętnój biją fali,  
 Gdzie żeglarza myśl uniosła?  
 Gdzie go niesie coraz dalej...?

On zobaczył brzeg szeroki  
 Tam daleko, a nad brzegiem  
 Góra sięga pod obłoki,  
 Upowita białym śniegiem;  
 Niżej łąka cudnie świeża,  
 I zielone drzewin sploty,  
 I u mętnych wód wybrzeża,  
 Rozesłany piasek złoty.

W cieniu klonów na dolinie  
 Widzi białe chaty ściany,  
 Słyszy potok co tam płynie  
 Po kamieniach rozpląsany.  
 I cóż błysło mu przed okiem?  
 Zaskrzypiały drzwi od sieni:  
 Ojciec, matka, drżącym krokiem,  
 Za próg wyszli pochyleni.

A tu bliżej, bliżej jeszcze,  
 Gdzie o piasek fala trąca,  
 Pierś młodziana zbiegły dreszcze...  
 Stoi siostra kochająca;  
 Wiatr jój lica muska hoże,  
 Rozpostarła wszerek ramiona,  
 A za siostrą kto?... mój Boże!  
 Cudne dziewczęcę... ona... ona!

Zakipiały nagle wody,  
 Jak pod silnym rzutem wiosła;  
 Kędyż, kędyż chłopiec młody?  
 Fala na dno go poniosła!  
 — Tonie człowiek! czy widzicie—  
 Brzmi gwarliwy okrzyk ludzi—  
 Próżna trwoga, snem to życie,  
 Ze snu tylko śmierć rozbudzi!

Bezustanne klęski południowej Ameryki uplątanéj w pasmo wojen domowych, które tak obrazowo skreślił Marmol w „Amalii,” wywołały bolesny okrzyk z piersi oddalonego syna. Przytaczamy ten wiersz Quevedy:

## AMERYKA.

Zielona Ameryko! ty strefo bogata,  
Raj ziemski śmiertelnemu przypominasz oku;  
Na twoich żyznych polach, oazo wszechświata,  
Szczęście mieszka w młodości niezwiędłym uroku.

Ziemio cudów! ach! miłość zrodziła cię święta,  
Twe ścieżki czarodziejskim potrząsnęła kwiatem,  
Ciebież nienawiść synów rozdziela zawzięta?  
Jakiż cię straszny obłęd czyni własnym katem!

Kto wzrokiem cię ogarnął tak krzepką, tak młodą,  
Komuż serce miłością ku tobie nie spłonie?  
Zgadnież kto, że wewnętrzna targana niezgodą,  
Sama nóż obosieczny zatapiaś w twém łonie!

Te zdroje, co krętami zbiegają potoki,  
By zasilić bezdenne oceanu fale;  
Olbrzymie góry twoje, co grzbiet pod obłoki  
Upowity mgłą siną podnoszą zuchwale;

Te czarne jaskiń paszcze—wiekowe zagadki,  
Zkąd wrząca bucha para z płomieniem zmiészana,  
Tytaniczne tych wielkich kataklizmów świadki,  
Któremi bił w tve łono straszliwy gniew Pana;

Te kratery wciąż morzem ognistém kipiące,  
Gdzie w bezdennych kuźnicach, zléwa się powoli  
Kamieni drogocennych i kruszców tysiące,  
Źródło ludzkiej potęgi i ludzkiej niedoli:

Wszystko w tobie olbrzymie! Kiedy na głos Boski  
Podniosłaś grzbiet z chaosu do życia zbudzona,  
Pan wyrzył na twém czole płomiennemi zgłoski  
Wymowne swéj miłości i mocy znamiona!

A jednak zbieżmy przestrzeń od końca do końca,  
Gdzie z nieba promień światła padł na ludzkie plemię,  
I kędyż nam dopatrzeć przed obliczem słońca,  
Tak jak ty nieszczęśliwą, jak ty grzeszną ziemię!



Oóto za szaf umysłem twych synów pomiata,  
I zawichrza im serca siłą tajemniczą?  
Ze ciebie Ameryko, ty edenie świata  
Przemienił dziś w szatana, ostoje zbrodniczą!...

Z większych utworów Quevedy na szczególną zasługuje uwagę poemat: *El proscrito*, zbiór epizodów z tragi-komedyi XIX wieku. Forma poematu fantastyczna: są w nim i sceny dyalogowane, i liryczne pieśni i obrazy, jest i swobodny humor i sarkastyczna ironia. Poeta usiłuje schwyć życie na gorącym uczynku i oddać je w najrozmaitszych barwach, tak jak się odzwierciadla w jego wyobraźni. Oto treść poematu:

Alfred bohater powieści, oddany szczerze książkom i nauce, umysł ma prosty, serce szlachetne, pełne zapału. Pokochał piękną Adelę i ona była mu wzajemną, ale kiedy już mają stanąć przed ołtarzem, narzeczona zaczyna się wahać. Zapytuje sama siebie, czy mąż uczony i poważny da jej szczęście, za jakim wzdycha? Nudzi ją towarzystwo z pedantem, który przy książce o wszystkim zapomina; co gorsza Alfred ubogi: praca literacka obiecuje mu więcej sławy niżli pożytku. Hrabia Artur stokroć zabawniejszy, a do tego bogatszy! I Adela porzuca Alfreda dla hrabiego.

Hrabia Artur nie poślubi jednak Adeli. Wietrznica opuszcza go, ugania się za szczęściem, którego nie znajdzie; zawiera nowe związki. Obaj zdradzei, spotykają się: ma już przyjść do krwawej rozprawy, ale wytrzeźwiony z obłędu Alfred uważa, iż w takim wypadku lepiej zostawić szpadę w pochwie. Dwaj przeciwnicy poprzysiegają sobie wieczną przyjaźń.

Alfred, aby tём lepiej zagoić rany serca, rzuca się z zapalem na pole sztuki i literatury. Tworzy historyczne dramata. Jako sumienny pisarz przedstawia dziejowe postacie w charakterze, jaki w istocie miały. Taka ścisłość nie przypada do smaku dyrektorom teatru; idzie im przedewszystkiem o efekt, chcą bawić, a nie nauczać widzów. Nie mogąc skłonić autora do ustępstw, zrywają z nim umowę.

Zawiedziony znów Alfred, bierze się gorliwie do dziennikarstwa. Tu cięższe czekają go próby. Jako człowiek prawy, gani to, co zasługuje na nagane, podnosi to, co godne pochwały. Wydawcy krzyczą na gwałt.

— Zważ pan—wołają—ze ten, któregoś pochwalił, jest naszym przeciwnikiem, ten zaś, z którym obszedłeś się tak ostro, to korespondent nasz, ulubieniec publiczności! Chcesz-li zachować miejsce, musisz pisać w myśl naszą.

Alfred nie może pisać wbrew przekonaniu, opuszcza redakcyą. Wciągnięty w stosunki z wielkim światem, znajduje w wytwornych salonach ludzi płytkiego umysłu, zimnych samolubców i oszczerców. Niezlomny w uczuciach jest drugim solą w oku; wszyscy uciekają od niego, jak od zarazy.

Miesza się w sprawy polityczne, marzy o reformach społecznych. Gdzie rusz spotyka ludzi dumnych, słońiących się maską patryotyzmu, wściekłych demagogów, mieniących się ludźmi postępu, zapaśnikami wolności. Każdy pragnie władzy, aby wzbogacić się lub pomścić. Alfred, nowy Katon, dla wszystkich jest przeszkodą, celem wzgardy i prześladowania.

Walka z losem przywodzi go do rozpacz: w chwili szalu, dośiada dzikiego bieguna, pędzi jak wicher w ustron samotną, otoczoną przepaściami. Gotów rzucić się w otchłań, kiedy nagle ręka starego myśliwca chwyta konia za ugle.

— Stój szalony, wstrzymaj się!—woła myśliwy krzepkim głosem, nakazującym uszanowanie. Alfred cofa się z nad przepaści.

Tym myśliwym, był hrabia Wilfryd. Dworzec jego piętrzy się na pobliskim pagórku. Hrabia zabiera nieznanego, otwiera mu gościnne progi. Tam przy ognisku czeka na ojca młodzieuchna Marya, od roku sierota po matce.

Nie dorosła to dziewczeczka, lecz pełna niewysłowionego uroku.

Kształtne rysy jój oblicza,  
Cera śnieżna, włoski płowe;  
Skromność bije z lic dziewicza:  
Jój usteczka koralowe.

A jój oczyl... patrz w te ooczy,  
Ujrysz niebo w morskiej fali;  
Smutek czasem je pomroczy,  
Lecz gniew nigdy nie zapali.

Niech uśmiechnie się w swobodzie,  
Gdy wzrok ojca ją popieści,  
Błyśnie dołek na jagodzie  
I znów ginie gdzieś bez wieści,

A jój głosik wypieszczony,  
Tak głęboko w serce wnika;  
Śłodziuchnemi dzwoni tony,  
Jak w dąbrowie pieśń słowika!

Nie mówi poeta, jak długo Alfred pozostał w cichej ustroni hrabiego Wilfryda; to wiemy tylko, że pokochał szalenie Maryą, która pojawiła się oczom jego, jak niebiańskie zjawisko. Opuszcza w końcu gościnne progi, pośpiesza do rodzinnego gniazda; uściśnie tam drogą matkę po długim z nią rozstaniu, po tylu łzach i boleści. Gdy opuszczał ognisko, zostawił przy niem ojca, dziś go już nie zastanie! Przybywa nakoniec.

Ubogi domek widzi na oczy,  
 Z pod dachu siny wybiega dym;  
 Mało mu z piersi serce nie skoczy,  
 On się urodził, wzrósł w domku tym!

Tu kolébeczka stała pod ścianą,  
 Ciepłoż, ach miękko, spać było tu!  
 Gdy nad dziecinką swoją spłakaną,  
 Śpiew matki wzywał Anioła snu!

Przystępuje syn pod okno i słyszy cichą piosenkę; o! inna to piosenka; głos matki ochrzypł: snąć troska przyciska jej piersi.

Nademuż tyle  
 Przewiało burz!  
 Stracone chwile  
 Nie wrócą już.  
 Tam cicho tobie  
 W grobowym śnie...  
 W łzach i żałobie  
 Płyną mi dniel  
 Smutnaż ja wdowa,  
 Gdzie spocząć mi?  
 Zamić zimowa  
 Me oczy ćmi;  
 Płomień ogniska  
 W popiele zgaś,  
 Gdy cię przyciska  
 Grobowy gład!

W ciche me gniazdo  
 Uderzył grom,  
 Za jasną gwiazdką  
 Nie gonić snom!  
 Łzy nie wystarczą,  
 Sercu brak sił;  
 Ach! tyś mi tarozą  
 I mocą był!

Wdowo żałośna!  
 Bogu się zdaj,  
 Powróci wiosna,  
 Odkwitnie maj!  
 Życia zawody  
 Pierzchną jak dym,  
 Wieczne cię gody  
 Czokają z nim!

Radość z powrotu syna ożywia zbolące serce matki, ale cisza macierzyńskiego domu nie wystarcza sercu młodziana. Wybiega on co dnia nad morze, rozmyśla o Maryi, patrzy w słońce chylące się do zachodu. Śpiewa na jego cześć hymn, przypominający wykrzyk Wedy.

Z jak wspaniałym majestatem,  
O świeczniku boży!  
Z cicha kroczysz po nad światem,  
Wśród modrych przestworzy.

Gdy porankiem błysniesz ziemi,  
Ognistemi pióry,  
Budzisz ze snu czary twemi,  
Morza, lasy, góry!

W ślad za tobą ślemy oko  
Przez powietrzne fale,  
Gdy się kąpiesz tam wysoko  
W eterów kryształach!

A wieczorem, kiedy bledną  
Twoje blaski złote,  
Co pocieszy ziemię biedną  
Po tobie sierotę?

Żal stęsknioną duszę bodzie,  
Myśl i serce pyta:  
Czy porankiem tam na wschodzie  
Twój promyk zaświta?

Kiedy Alfred smutno pogląda w zachodzące słońce i rozmyśla o Maryi, spostrzega nagle dziesięcioletniego chłopczyka; biedak szuka czegoś na piasku pobrzeżnym, a szuka tak pilnie, że nie spostrzega, iż fale coraz to bliżej przystępują ku niemu. Już woda odebrała mu stopy. Widzi to Alfred, podbiega, wyprowadza chłopca za rękę. Tu poeta zmienia formę; w miejsce liryzmu, wprowadza smętny dyalog.

*Alfred.*

Mrok zapada; biedne dziecko  
Czemu błądzisz sam nad morzem?  
Fala porwie cię zdradziecko...

*Chłopiec.*

W miłosierdziu niam bożem.  
Ja się modłę tu i płacę...

*Alfred.*

Tyś sierotą?

*Chłopiec.*

Tak, dwa lata;  
Poszedł ojciec w grób ze świata,  
Już go nigdy nie zobaczył  
Matka tylko mi została....  
Biedna matka!

*Alfred.*

Tyś ubogi?

Mów ze śmiało...

*Chłopiec.*

Panie drogi!

My żyjemy w nędzy wielkiej;  
Ułowione te muszelki  
To wieczerza nasza cała!

*Alfred.*

Czy daleko ztąd mieszkacie?

*Chłopiec.*

W tej niziuchnej oto chacie,  
Tam, pod lasem; pan tu, pewno  
Gdzieś z dalekiej przybył strony?

*Alfred.*

Jam w tych stronach urodzony!  
Nikt ze ręki wam nie poda  
W tém sieroctwie?

*Chłopiec.*

U bogaczy

Serce twarde, istne drewno!

*Alfred.*

Wcześniej wątpi dusza młoda...  
Więc nie macie tu nikogo?

*Chłopiec.*

Czasem dziadok przejdzie drogą,  
Zwróci kroki tu zebracze  
I w próg chaty zakołacze;  
Nie otrzyma u nas chleba,  
My go biedni łakniem sami;  
Toż jałmużnę dajem łzami,  
A i takiej biednym trzeba.

*Alfred.*

Mowisz, dziecko, jakby człowiek  
Z dawna świadom nędz żywota.

*Chłopiec.*

Dobry panie, jam sięrota,  
Łez mi siła ściekło z powiek;  
Nędza w człeka zmienia dziecię,  
Gdy je chłoszcze wciąż po grzbiecie.

*Alfred.*

Ty mi wyznaj troski twoje,  
Oczyś sam jeden?

*Chłopiec.*

Jest nas troje.

*Alfred.*

Poprowadźże mnie do chaty.  
Kędyż matka?

*Chłopiec.*

Poszła z rana

Do miasteczka zapłakana,  
Ma tam krewnych: dom bogaty!  
Z ich ścian, panie, kapie złoto;  
Ale serca jakby skały!  
Jam tu przybiegi... szukam... oto  
Trzy muszelki, plon mój cały!  
Dla mnie droga każda chwilka,  
Chciałem złowić rybek kilka;  
Szkoda czasu... żal się Boże!  
Słonko zaszło, dzień ucieka,  
Na me prośby głuche morze  
Jak bezbożna pierś człowieka!

Alfred dotknięty nieszczęściem dziecka, czuje ku niemu silny pociąg. Towarzyszy mu do ubogiej chaty, przyrzeka dać pomoc rodzinie. W nędznej, pustej izdebce znajduje kobietę w łachmanach; półnagie dziatki, drżące od głodu i zimna, leżą na garści słomy. Rysy kobiety, przy blasku łuczywa, uderzają Alfreda szczególnem podobieństwem; głos jej dobrze mu znany: to lekkomyślna Adela! Szlachetny młodzian przepomina zdrady, od tego dnia opiekuje się biedną rodziną.

Ledwie że odetchnął przy domowem ognisku, nowy cios uderza boleśnie w jego serce. Matka jego dogasa z wolna, wnet ostatnia godzina jej uderzy.

Zbolały syn klęczy u wezgłowia konającej. Oto ostatnie słowa świętej niewiasty:

O! nie nademną już płakać tobie,  
Raczej nad sobą ty zapłacz sam!  
Dobrze mi będzie w mym cichym grobie,  
Słodkie pociechy Bóg złożył tam!

W łzach i pokucie wykapan szczerój,  
Skrzydła do lotu rozwiął duch mój;  
Wolny w pogodne uleci sfery,  
Gdzie płynie żywy miłości zród.

Czém śmierć, mój synu? To słupek zatknięty  
Gdzieś na rozstaju krzyżowych dróg:  
Po jednej stronie piana i męty,  
Po drugiej prawda, światło i Bóg.

Twoje sieroctwo tylko mi gniece  
Piers macierzyńską, jak ciężki głąz;  
Lecz Bóg twą tarczą będzie tu dziecię,  
Nim tam na wieczność połączy nas.

Idźże przez twarde życia manowce,  
Ramię do czynu, w moc serce zbrój;  
Jak ci tchórzliwi nie czyn wędrowce:  
Co w puszczy namiot rozbili swój.

A gdy orkany szamocą ziemią,  
Kiedy odwieczny zatrząsł się gmach,  
W cieniu zielonej oazy drzemią  
I rozkosz w błędnych ścigają snach.

Serce mi krzepnie, głos w piersi kona...  
Oczy już blady przysłonił cień...  
Już z mego ducha spada zasłona:  
Tam nieśmiertelny wschodzi mi dzień.

I wyciąga dłonie obie  
Po nad synem... tehu jój brak...  
Chce wyszepnąć: pokój tobie!  
Chce nakreślić krzyża znak;  
W pół się usta już rozwarły,  
Syn pobożnie wlepia słuch:  
Zmilkła... nagle z ust umarłej,  
Błogosławiąc ubiegł duch.

W tymże czasie, kiedy zbolały syn zamyka oczy dobrej matce, umiera daleki jego krewny, milionowy bogacz. Alfred nie znał go wcale, nie słyszał nawet o nim. Starzec umarł bez testamentu i ogromny majątek spada niespodzianie na młodziana. Sprawy pieniężne powołują go do Ameryki. W przeprawie spotyka go okropna burza morską.

Chyżo okręt mknie po fali,  
Wiatr pomyślny wzdyma żagle;  
Aż tu skrzydła zwija nagle:  
Nie postąpić kroku dalej.  
Nad milczącym wód obszarem  
Słońce skwarnym błyska żarem.

Duszno... majtkom temu nie starczy...  
Pierś ich zdjęły trwogi, dreszcze;  
Jakież widmo tam złowieszce  
Po słonecznej przemkło tarczy?  
Czarna chmurka zbiegła rychło...  
Aż tu druga w ślad jój kroczy...  
Sternik utkwił w chmurę oczy...  
Milczą ludzie, morze ścichło...  
Głucho milczy przestrzeń cała,  
Jakby z trwogi skamieniała!

Ale spokój to zwodniczy:  
Słońce kirem się powleka,  
Morskie wały poczerniały,  
A wtém głuchy, tajemniczy  
Grzmot się ozwie gdzieś z daleka...  
Po przestrzeni w górze całej,  
Jasne węże zamigocą,  
Hukną wichry z wściekłą mocą,  
Morze niebu odpowiada  
Straszne hasło: biada! biada!

Wtém przez szczerbę w czarnej chmurze,  
Niby zboczon w krwi purpurze  
Zbłąkan promień z tarczy słońca,  
Na przestrzeni padł bez końca.  
I Lewiatan powstał żywo,  
Płomienistą wstrząśnie grzywą;  
Kłęby ognia, krwi potoki  
Miota z paszczy pod obłoki!

Burza ucisza się. Alfred stawia stopę na ziemi Nowego Świata, obdarzonego tak szczerze ręką Opatrzności, o którym marzył od lat



tylu..... świata równości i swobody! Lecz pomалу złudzenie pierzcha; widzi z jednej strony lud potężny, bogaty, osiadły na własnym gruncie, a przecież chciwy na złobycz, nastający na prawa słabszych i młodszych republik! Z drugiej znów strony widzi w łonie tych, ledwie powstałych społeczeństw, zagnieżdżony, ohydny bezrząd. Wyrzuca z piersi gorący okrzyk, przeciwko niewolnictwu murzynów i powraca do Europy.

Spotykamy go w przepysznym salonie wiedeńskim. Wśród blasku i woni kwiatów, wśród płasających par, przechadza się samotny i roztargniony. W tym świetnym tłumie, wszyscy mu nieznani. Nagle jasne zjawisko przesuwają się przed nim, spostrzega Maryę i hrabiego Wilfrida.

Alfred bywa w domu dawnych przyjaciół. Dnia jednego przechadzając się z Maryą po ogrodzie, wyznaje długo tajoną miłość. Piękna dziewica ucieka zatrwożona; Alfred odchodzi w rozpacz.

Nieszczęśliwa miłość przyprawia go o ciężką chorobę. Jednej nocy, gdy lekarz z hrabią Wilfridem czuwają przy łożu chorego, z kilku słów wyrzuconych w gorączce, odgadują stan jego duszy. Marya cierpi także i wiednie, jak kwiat. Lekarz objawia ojcu, że straci córkę i przyjaciela, jeżeli nie pozwoli na ich związek.

— Moja córka przyrzeczona innemu—odpowiódł smutno hrabia.

Patrząc jednak na boleść córki, przewidując niechybny skon Alfreda, ojciec zmienia postanowienie: młoda para połączy się niebawem.

Nadzieja szczęścia przywraca zdrowie Alfredowi. Dnia jednego wieczorem, kiedy jest sam w pokoju, drzwi się otwierają: wchodzi ktoś nieznamy, wyzywa go na pojedynek! To narzeczony Maryi. Dotknięty gorzkim wyrzutem, Alfred przyjmuje wyzwanie; biją się osłonięni półmrokiem wieczornym. Alfred rozbraja przeciwnika, oddaje mu szpadę; krew jeszcze nie popłynęła: bój nieskończony. Przeciwnik, ujęty wspaniałomyślnym czynem, odrzuca na bok oręż, daje poznać nazwisko swoje: to hrabia Artur! Alfred rzuca się w jego objęcia. Bratni uścisk zakończy całą sprawę, jeden do drugiego nie ma w sercu urazy; oddali sobie wet za wet: Artur zabrał nigdyś Adele, Alfred poślubił Maryę.

Stanęli oboje przed ołtarzem... szczęście ich zupełne. Czemuż Alfred tak pobladł? czemu łzy płyną mu z pod powiek? Marya patrzy z trwogą w oczy małżonka.

Co tobie, drogi? zapyta skrycie,  
Czemu, ach! czemu dziś toniesz w łzach?  
Tyle nadziei wróży nam życie!

— Jam cierpiał tyle... mnie szczęścia strach!

Po ślubie Alfred z Maryą idzie na omentarz, modlą się u grobu rodziców, błagają zmarłych o błogosławieństwo na przyszłe dni żywota.

Na tém kończy się powieść, ale autor uchyla jeszcze zasłonę.

Dziesięć lat przeminęło, jak sen, w niezmaconej zgodzie i miłości. Sen skończył się, jak wszystko, prędkiej, później skończyć się musi. Alfred w jednej chwili traci drogą małżonkę i dwoje dzieciak; nie upada jednak na duchu: żyje i cierpi, bo żyć i cierpieć powinien.

I znów dwa lata upłynęło. Autor ukazuje znów bohatera swego na łożu śmierci. U wezgłowia czuwa ostatni przyjaciel, siwy kapłan. W chwili skonu, oblicze chorego ożywia się niezwykłym blaskiem. Jasne widzenie staje mu przed oczyma. Ujrzał szerokie błonie, pokryte zielenią i kwiatem: tu niezuane łyzy, tu panuje wiekuisty pokój i wiekuista miłość. Z pośród lekkiej, bieluchnej mgły, występuje matka, żona i dzieciak dwoje. Porwał się z łoża, wyciągnął ku nim ramiona i głowa opadła znów na wezgłowie, jęknął z cicha i skonał!

*Vanitas vanitatum et omnia vanitas!* temi słowy kończy poeta swoją powieść!

Też same słowa powtórzyć można nad grobem poety, autora powieści, zmarłego w pełni lat i sławy, w całym rozkwicie poetycznego talentu, a, co smutniejsza, w chwili posuchy literackiej, jaka dotyka Hiszpanią, uplątaną w pasmo domowych wojen. Quevedo lubo zrodzony w Venezueli, czuł się w sercu Hiszpanem: to też Hiszpania liczy go do rzędu poetów swoich i ohlubi się słusznie jego chwałą.

Na spokojnym widnokregu beletrystyki paryżkiej pojawił się nagle kometa z płomienistym ogonem, meteor straszny, tajemniczy! Mówimy tu o przedmowie Aleksandra Dumasa, do nowego przekładu *Fausta* przez profesora Bacharach.

Niełatwo doprawdy określić tę przedmowę, obejmującą do sześćdziesiąt stronic. Wszystkie dzienniki i pisma żywo się nią zajęły; wątpimy jednak, aby najręczniejsza ręka zdołała rozwikłać ten poplątany motek, pełen niewątpliwie złotych strzępków, ale obok tego, najeżony tysiącem sofizmatów i paradoksów, słowem prawdziwie chaotyczny, jak wszystko, co wychodzi z pod pióra Dumasa, gdzie prawda staje zawsze obok fałszu, piękno obok brzydoty.

Pan Bacharach, professor niemieckiego języka w jednym z liceów paryżkich, usiłował wtajemniczyć Dumasa, przed laty trzydziestu w cuda geniuszu Götego i w piękności *Fausta*. Czy uczeń przejął się zapałem mistrza swego? nie wiadomo. Czy *Faust* jest w oczach jego arcydziełem geniuszu? trudnoby za to ręczyć.

Zapytajmy świętego krytyka, jakim sposobem tworzy się arcydzieło; odpowie nam, dając nieomylną receptę:

„Weź starą legendę zużytą i sponiewieraną, jakimi są nasze legendy o żydzie tułaczku i Poliszynelu; weź potem z gazety sądowej jedną ze zbrodni zbyt często, niestety, popełnianych, zbrodę nędzną,

opuszczonej, która zabiła własne dziecko; dołącz do tego trochę wspomnień własnej młodości; zmieszaj to wszystko dobrze, a stwórzysz arcydzieło. To rzecz najprościejsza w świecie”!

„Potrzeba tu jednak niezbędego warunku: musisz być geniuszem. Tu zaczyna się trudność.”

Czy Göte był geniuszem? czy stworzył arcydzieło? Dumas przyznaje to; lecz arcydziełem jest tylko pierwsza część *Fausta*, druga, według niego, to potwór literacki.

Nie dowierzamy jednak i w szczerotę pochwał, jakimi autor obсыpuje część pierwszą. Słowa jego zakrawają na mistyfikację; bo i jakże, pytamy, wytłumaczyć sobie taki naprzykład ustęp:

„Paryż, który ma dwa teatry, utrzymywane kosztem rządu, powinienby wymagać, aby teatry te przedstawiały od czasu do czasu obce arcydzieła, nieprzerobione krojem francuzkim, ale jak mistrz, *pojął je i wykonał*, bez sztucznych draperyj, jakimi Ducis, dla przyzwyczajenia, przysłał tu i owdzie Szekspira. Mielibyśmy tym sposobem zagraniczne muzeum i wiedzielibyśmy jak sądzić owe arcydzieła, które wielbimy lub krytykujemy częstokroć na oślep, utrzymując, żeśmy je czytali, że je znamy. Przysłałoby Francji, która uważa się za kraj najbardziej literacki w świecie, zbudować taki pomnik geniuszom wszystkich wieków i krajów.”

Wyobraźmy sobie dramat, jak go *pojął i wykonał* Göte, na deskach teatru francuzkiego. Któryżby Francuz dosłuchał filozoficznych dyalogów *Fausta* z *Mefistofelem*? Któryżby nie parsknął śmiechem podczas horowodu czarownic? Którażby francuzka nie splonęła ze wstydu, słuchając cynicznych wyrażań kusiciela? Rada Dumasa nie jestże złośliwą ironią?

Pan Bacharach w krótkim wstępie przyznaje sam, że uczeń jego wypowiedział wojnę dramatowi, a szczególnie Götemu; że gwałtowne pociski, jakie miota, zrania, nie jednego z zagorzałych zwolenników niemieckiego poety.

Dumas widzi w *Fauscie* najżywotniejsze usposobienie pysznego i samolubnego autora. Chłoscze razem utwór i twórcę; wsysa im się do szpiku kości. Zobaczmy oto konkluzją ważną ze wszystkich względów.

„Skrzywdziłbym, mówi krytyk, człowieka takiego jak Göte, gdybym go sądził z estetycznego tylko stanowiska. Autor ściśle zespolony z dziełem swoim tworzy z niemi solidarną całość. Poskrop *Fausta*, znajdziesz pod nim Götę. Nie poprzestał on na obmyśleniu i napisaniu tragedji; rzekł niemniej i napisał: *Faust*, to ludzkość; ludzkość, to ja! Jest zatem w poemacie nie sam tylko Göte, są w nim wszyscy ludzie bez różnicy narodu i plemienia. Jestem w nim i ja, mam zatem prawo szukać się w poemacie, który obejmuje mnie wraz z drugimi. Wystarczy mi takie zrozumienie ludzkości, jak ją *pojął* i określił poeta? Nie wystarczy bynajmniej! Co do mnie, są-

dzę i pragnę widzieć ludzkość większą, niż mi ją Göte ukazuje po sześćdziesięciu latach badań i doświadczenia.

„Ludzkość, jak ją maluje poeta, może być odpowiednią jego plemieniu, mechaniczną ludzkością urzędników i żołnierzy, którzy sądzą, że świat przyjmie ich ideę, dźwigać będzie ich jarzmo, przemawiać ich językiem. Nie taka, zaprawdę, ludzkość nasza. Ten stary Bóg, jak go zowie Mefistofeles nie jest bynajmniej Bogiem naszym. Niéma on związku z prawdziwym Bogiem, z Bogiem wszechświata, z Bogiem nieskończoności, z nieomylnym początkiem i celem wszelkich stworzonych istot. To Bóg autorów, którzy nie wiedzą jak zakończyć swoją tragedję, to *deus ex machina*, poruszany sprężynami jarmarcznych teatrów, albo jasełek norymberskich. Ludzkość nasza wyższych domaga się warunków; nasz Bóg rozleglejsze ma prawa. Słowem jest coś, o czém nie wiedział Göte i za co musi pokutować: że geniusz i miłość wystarczą, aby dobrze zacząć *Fausta*, lecz nie wystarczą aby go dobrze skończyć. Na to potrzeba sumienia i wiary.

„To też potomność pod której sąd Göte poddał dzieło swoje, uczyni, co do niej należy. Wyryje na tablicy spisów: Göte urodzony w Frankfurcie roku 1749, zmarły w Weimarze 1832, wielki pisarz! wielki poeta! wielki artysta!

„A kiedy fanatyczni czoiściele formy dla formy, sztuki dla sztuki, miłości bądź co bądź i materializmu zażądają od niej, aby dodała: wielki człowiek! potomność odpowie: nie!”

Większość, zapewne, zgodzi się na taki sąd o wielkim poecie niemieckim, ale na co nam przynajmniej zgodzić się niepodobna, to na powód jaki stawia paradoksalny krytyk: czemu Göte nie posiadał zmysłu moralnego, t. j. sumienia?

Zmysł moralny, według Dumasa, istnieje lub nie istnieje w człowieku. Jestto prosty przypadek *affaire de conformation idiosyncratique*, równie nie zależny od woli naszej jak oczy błękitne albo czarne, wzrost wysoki lub niski!

Na takie *dictum acerbum* niéma co odpowiedzieć. Nie pierwszy to raz Dumas rzuca światu w oczy ten sofizmat. Na jego podstawie wsparta znana rozprawa *L'homme-femme*, która przed rokiem tyle sprawiła hałasu, a w której autor dowodzi, że fatalność, nie zaś wola czyni kobietę kapłanką, matroną domowego ogniska, albo też prostytutką ulicznicą!

---

W końcu sierpnia *Debaty* pomieściły po raz ostatni odcinek podpisany imieniem Juliusza Janin. Słynny krytyk, który przez czterdzieści lat bez przerwy rozbraiał utwory teatralne w poniedziałkowych artykułach, usunął się z widowni; miejsce jego zajął p. Caraguel znany oddawna w dziennikarstwie.

Następca Janina rozpoczyna pierwsze sprawozdanie serdecznym uczuciem poprzednika. Słowa jego zasługują na uwagę, malują bowiem różnicę dzisiejszej publiczności, od tej, która niegdyś podjęła na tarczy wielkiego publicystę i okrzyknęła go księciem krytyków.

„Do najmiłszych wspomnień życia mego, mówi Caraguel, należy pamięć tych chwil, kiedy młodzież mojego wieku z gorącym zapalem przystępowała co poniedziałek jakby do uczty, do nowej krytyki Janina. Wspomnienia te przenoszą mnie daleko. Skandale dzienne, bulwarowe przygody, zakulisowe plotki mało nas wtedy poruszały. Wszyscy za to umieliśmy na pamięć wiersze Wiktora Hugo, Lamartina i Musseta; pieściliśmy smak estetyczny prozą Balzaka i George Sand, a pomiędzy półbogami naszego Olympu, Juliusz Janin zajmował jedno z miejsc najpierwszych. Ten umysł tak świątły i żywy, to słowo skrzydlate, ów styl tak lekki na pozór, a przecież tak głęboki i wyrobiony, wszystko to trzymało nas jakby w zaklętym kole. W dniach szczególnego natchnienia kiedy mistrz, co się często zdarzało, prześcigał sam siebie, w tych dniach czuliśmy się szczęśliwi, dumni jego tryumfem! Dla młodzieży rozmiłowanej w sztuce i poezji, jaką była ówczesna młodzież, najwyższą było radością posłyszeć zdanie o literaturze wypowiedziane z taką werwą, z takim wdziękiem, ze smakiem tak wytwornym. Nie zgadywałem wówczas, że tak ciężka puścizna spadnie kiedyś na moje barki.

„Nie pora jeszcze, dzięki Bogu, objąć w jedną całość długie i tak bogate literackie zawód Juliusza Janin. Dziś pragnę tylko z pełnym czci pokłonem, pozdrowić słowem: *Ave Caesar!* potężnego szermierza, który opuszcza arenę dramatyczną; znakomitego pisarza, który przez długie lata był chwałą dziennika naszego. Nastąpił on po ludziach wielkiego talentu i zasługi, jak Geoffroi, Hoffman, którzy podnieśli tak wysoko krytykę teatralną. Nie pomnę kto powiedział, że w świecie sztuki i literatury, spadkobierca powinien zabić tych po których dziedziczy. Janin spełnił to wymaganie, nikt przecież nie odda mu wet za wet. Ten kto przychodzi po nim, dosyć już znajdzie trudności, aby udźwignąć godnie zaszczyt jaki go spotkał. Czasy zresztą bardzo się odmieniły. Daleko za nami szczęśliwe chwile o jakich dopiero co wspominałem. Wówczas był duch opinii publicznej, który dziś, niestety, nie istnieje. Publicysta złączony był ściśle z czytelnikiem spójnością myśli i uczucia, jeden oddziaływał potężnie na drugiego, dawał mu siłę i natchnienie; pomiędzy nimi istniał jakoby prąd elektryczny rodzący iskry i błyskawice! Jakąż to potęgę życia, jaki szlachetny zapal widzieliśmy wówczas tak w młodzieży, jak i w dojrzałych czytelnikach, zamiast niezdrowej i niedorzecznej ciekawości dzisiejszej! Nowa książka, nowy dramat, ważny to był wypadek w ówczesnym świecie. Każdy śpieszył na teatr nie po to, aby widzieć i być widzianym, nie po to, aby z pierwszych krzeseł przypatrzeć się bohaterom wczorajszego lub jutrzejszego skandalu: pośpieszano tam dla samego dramatu, przez miłość sztuki.

„Nie chcę bynajmniej występować jako nudny pedant i moralista, nie wypowiadam wojny nikomu. Warunki życia nie te są jakie były, chyba ślepy nie dopatry tego. Tysiące nowych dróg rozwarło się dla czynności ludzkiej, nowy prąd szarpie ją na wszystkie strony. Umysł rozpraszany na drobiazgowo szczegóły nie umie się skupić jak dawniej. Dobrze to, czy źle? nie myślę wyrokować, ale widzę jasno i nie jeden widzi to ze mną, że dzisiejsza generacja strzeże się entuzjazmu jakby niebezpiecznej zasadzki, że dawny zapał ostygł, jeżeli nie wygorzał do iskierki. Nie mamy więc powodu żałować tych, którzy zapragnęli użyć spoczynku drogo okupionego, nie zrywając przecież z pracą umysłową; którzy, ustąpiwszy z szranek, choć zasiąść między widzami i patrzeć na zapasy nowych gladiatorów. Mają do tego prawo, naszym zaś obowiązkiem powtórzyć słowo starożytnego mędrca: laboremus!“

Piękny ten wstęp daje otuchę, że nowy sprawozdawca występuje do walki pod tym samym sztandarem, pod jakim poprzednik jego dobrze zasłużył się literaturze. P. Caraguel nie myśli schlebiać nowym wymaganiom i zabawiać tylko czytelników, on zamierza walczyć w imię dobra, piękna i prawdy, skoro tak śmiało wypowiada swój program.

Imię pana Klemensa Caraguel znane, powtarzamy, oddawna tak w dziennikarstwie jak i w literaturze francuskiej. Urodzony w roku 1819, od lat przeszło trzydziestu występuje jako niezmordowany szermierz pióra. Wziętość jego datuje szczególnie od roku 1848, kiedy został współpracownikiem humorystycznego pisma *Charivari*. Artykuły tego zdolnego publicysty zaprawne solą ataką, pełne życia i prawdziwego dowcipu, mimo lekkiej na pozór formy, miały zawsze wysoką doniosłość tak polityczną jak moralną.

Znany niemniej p. Caraguel jako autor dramatyczny. Wybor-na jego komedia: *Le Bougeoir, Stoczek*, grana najprzód w Odeonie, przeszła później do Teatru francuskiego. Jako powieściopisarz dał się poznać w kilku wyższej wartości publikacjach: *Les soirées de Taverny*, *Messieurs les Cosaques* (z ilustracją), *Souvenir d'un volontaire garibaldien*. Od r. 1865 pracuje stale przy redakcyi *Debatów*.

Akademia francuzka na posiedzeniu w dniu 28 sierpnia rozda-wała zwykle konkursowe nagrody za najlepsze dzieła wykonane w ostatnich czasach, jak niemniej za najpiękniejsze czyny. Imiona laureatów z dziedziny inteligencji wymienił sekretarz akademii p. Patin, dołączając krótkie sprawozdanie z dzieł uwiecznionych. Skromniejsze zaś i mniej znane imiona wybranych, którym przyznano nagrodę cnoty, wypowiedział z uczuciem dyrektor akademii p. Rousset. Nie naszą rzeczą ściagać pasmo tych cichych poświęceń, które przebrzmiałyby bez wieści, gdyby ich nie wywoływały co roku na widowię nagrody wielkich filantropów, jak Montyon, Sourian i pani Lasne.

Zostawiając na boku czyny, podajemy tylko cyfry statystyczne, tak bardzo wymowne same przez się; cyfry, które świadczą, zarówno o hojności dawców, jak o zasługach obdarzonych, słowem o pocho-  
pności ku dobremu całej Francyi. Podano do konkursu na rok 1873  
zasłużonych jednostek dziewięćdziesiąt pięć, akademia nagrodziła  
osób trzydzieści medalami i kwotami wynoszącemi 18,700 franków.  
W tej liczbie przy imionach czterech mężczyzn, widzimy imiona dwu-  
dziestu sześciu obdarowanych kobiet.

Zkąd ta przewaga kobiet nad mężczyznami na polu cichych  
cnót i nieznanych ofiar? Zostawiamy to pytanie do rozstrzygnięcia  
filozofom i psychologom. Niech nam tylko będzie wolno dodać  
uwagę, że wbrew teoryom zwolenników emancypacji, stanowisko ko-  
bięty w społeczeństwie nie jest *tak bardzo* upośledzone, skoro pozo-  
stało jęj dosyć wolności do pełnienia czynów zasługujących na cześć  
i uznanie całego narodu.

Przejdźmy teraz do literatury. Pierwszą nagrodę poezyi otrzy-  
mał p. Albert Delpit za obrazek poetyczny p. t.: *Zal, opowiadanie  
plebana wiejskiego* (Le Repentir). Przedmiot poematu nadzwyczaj  
dramatyczny, wzięty ze smutnych wypadków roku 1871. Autor  
przedstawia ostatnie chwile Komunarda pojednanego na łożu śmierci  
z Bogiem, ojezyczną i ludzkością. Obszerny rozbiór tego utworu,  
a może i całkowity jego przekład zostawiamy do przyszłej kroniki.

Drugą nagrodę (accessit) przyznała akademia bezimiennemu  
autorowi pięknego poemaciku p. t. *Wigilia pierwszego października  
1872 w Alzacyi*. Poeta kreśli z wielką siłą uczucia pożegnanie  
Alzatów z własnym krajem. Napróżno ziemia rodzinna, która prze-  
stała być ojczyzną, woła na synów swoich, aby jęj nie rzucali.  
Umarli poruszają się w grobach; czują, mówi poeta:

Że kości ich w francuzkiej już nie leżą ziemi,  
Że bohatérski sztandar nie wieje nad niemi!

Trzeci poemat *Lilianna* otrzymał zaszczytną wzmiankę. Jestto  
tkliwa historia dwóch sere, zakończona bohatérską śmiercią młodego  
cudzoziemca walczącego pod chorągwią Francyi w czasie wojny  
ostatniej.

Inne dwie nagrody, po tysiąc pięćset franków, przyznano panu  
Deroulédó za tomik poezyi p. t. *Pieśni żołnierza*, pełne werwy i za-  
pału i pani Barutel za zbiór: *Kwiaty letnie*, odznaczający się wytwor-  
nym wdziękiem i harmonią.

Na polu powieściopisarstwa otrzymała takąż nagrodę panna  
Zeneida Fleuriot za piękny romans p. t. *Orzeł i Gołębka*. Obrazy  
w powieści pełne życia, charaktery skreślone wybornie, rozwijają się  
z całą swobodą. Myśl wyższa ożywia piękny utwór. Podobną na-  
godę przyznała akademia panu Müller, za *Obrazki wiejskie* (Recits  
champêtres). Są to trzy przesliczne powiastki: Tajemnica Małgorza-

ty, Żniwiarka i Koszykarz, wysnute z życia wieśniaków francuzkich z nieporównanym wdziękiem. Autor jak widać zżył się z ludem, zna jego wady i uprzedzenia, hojnie okupione wielką siłą uczucia i prostotą.

Z pomiędzy powieściopisarzy otrzymał nagrodę 2,500 franków hrabia de Beauvoir za trzytomowe dzieło p. t. *Podróż w około świata*. Młodziuchny autor (nie miał więcej nad lat dwadzieścia) kiedy w roku 1860 przedsięwziął wędrowkę w towarzystwie młodego księcia Penthièvre, syna księcia Joinville. Zwiedził z nim dalekie krańce Wschodu; przebywał długo w Chinach i Japonii, przebiegł Australią i Amerykę. W ciągu kilkoletniej podróży zapisywał codziennie doznane wrażenia, za powrotem zaś ułożył z tych zapisków ciekawe dzieło, pełne młodzieńczej wyobraźni i dojrzałego sądu. Przejdźmy nakoniec do dzieł innej treści. Pierwszą nagrodę Gaubert w ilości 20,000 franków rozdzieliła w tym roku akademia pomiędzy dwóch laureatów, z których jeden, Nettement, autor wielkiego dzieła w ośmiu tomach *Historja Restauracyi*, umarł przed trzema laty. Pozostała rodzina weszła w prawa zmarłego. Drugą połowę nagrody otrzymał p. Picot za znakomitą pracę historyczną, w czterech tomach p. t. *Historja Stanów generalnych* od roku 1355 do roku 1614. Autor wziął sobie za cel wykazać o ile zgromadzenia narodowe wbrew powszechnemu mniemaniu, wpłynęły na postęp społeczeństwa francuzkiego; o ile dawały pochop do pożytecznych reform pod rządami takich królów jak Karol V, Ludwik XII, Henryk IV; takich ministrów jak Sully i Richelieu.

Mniejszą nagrodę Gaubert, przysądzono panu Perrens za dwutomowe dzieło: *Kościół i państwo we Francyi pod Henrykiem IV i rejenicy Maryi z Medyceuszów*.

Nagroda Theruanne, ufundowana w celu zachęty do badań historycznych, rozdzieloną została pomiędzy pana Aubertin, za dzieło pod tytułem: *Duch publiczny w XVII wieku* i Daniela Hern (panią Agout) za *historję początków rzeczypospolitej w Niderlandach* między rokiem 1581 a 1625.

Nagrodę Bordier, 3000 franków, otrzymał professor szkoły normalnej, Jerzy Perrot za cenione powszechnie studyum pod tytułem: *Wymowa polityczna i sądowa w Atenach przed Demostenesem*. Autor należy do najznakomitszych grekofiłów dzisiejszych; przebywał on długi czas w Grecyi, gdzie miał sposobność zbadać na miejscu pomniki cywilizacyi tego starożytnego społeczeństwa.

Obok tego dzieła postawmy inne, zarówno uwieńczone, *Historję wymowy łacińskiej przed Cyceronem*, w dwóch tomach. Jestto zbiór notat zmarłego profesora Sorbony, Berger, ułożony w ocałość przez ucznia jego pana Cuchiwal, dziś także profesora w jednym z kolegiów paryzkich. Przy obecnem zaniedbaniu klasycznych nauk, akademia wielką wagę przykładu do dwóch wspomnianych



dział o literaturze greckiej i łacińskiej, jak to widać ze sprawozdania sekretarza.

Nagrodę Lambert przeznaczyła akademia panu Karolowi Nisart za ważne studyum nad ludowym dyalektem (patois) Paryża i okolicy. Autor poświęcił siedm lat na ułożenie odpowiedniego słownika; rękopis przygotowany do druku, złożony był w ratuszu, z którym spłonął przed dwoma laty.

Do ukoronowanych dzieł należy niemniej znakomity przekład *Historji literatury hiszpańskiej*, amerykańnina Ticknora w trzech wielkich tomach. Tłumacz, pan Magnabal, dopełnił tę pracę komentarzami dwóch erudytów hiszpańskich pp. Gayangos i de Vedia, oraz własnymi uwagami.

Dwie inne prace z dziedziny literackiej odebrały także zasłużoną nagrodę. Pierwszą z nich jest dwutomowa *Historja teatru francuzkiego przed epoką odrodzenia, oraz w XVI i XVII wieku* pana Edwarda Fournier; druga, *Historja poematów bohaterських we Francji z XVII wieku*. Autor tego ostatniego studyum, pan Duchesne, professor literatury, wziął sobie za cel otrząsnąć z prochu niepamięci całą seryę poetycznych utworów, zabitych niegdyś przez nieprzełaganą krytyka Boileau. Ta praca głębokiego erudyty wielką ma doniosłość; wzbogaciła bowiem historję literatury mnóstwem zapomnianych dziś imion, a co więcej daje otuchę niejednemu z wytrwałych zapaśników pióra, że prędzej czy później zasługa jego zostanie uznana, imię jego godnie uczozone.

W wydziale nauk ekonomicznych dwa dzieła otrzymały nagrodę. Pierwszą z nich popularna książka Maurycego Block p. t. *Petit Manuel d'économie pratique*, traktująca w sposób dostępny dla prostych umysłów najważniejsze zagadnienia dzisiejsze; drugiem, dziełko księdza Tounissoux, *Les Bourgeois et les Ouvriers*. Są to rozmowy socyalisty z człowiekiem zdrowego rozsądku, wykazujące główne podwaliny, na których wspiera się gmach społeczny.

Zasłużyły niemniej na chlubną wzmiankę trzy inne prace tego wydziału: rozprawa księcia d'Ayen; *Le Revenu, le Salaire et le Capital*; broszura Alfreda de Courcy, *Querelle du capital et du travail*, nakoniec dzieło pana Michaux, *Etudes sur la question de peines*.

Długi szereg dzieł nagrodzonych, jakże wymownie świadczy przeciw tym, którzy zbyt pospiesznie ztrącają Francją z piedestału, na którym postawiła ją praca wieków, czyniąc ją przewodnią gwiazdą cywilizacyi europejskiej.

---

Akademia medyczna uwieńczyła nowe dzieło doktora Benoist de la Grandière pod tytułem: *La Nostalgie ou le mal du pays*. Dzieło to nadzwyczaj zajmujące nietylko ze stanowiska czysto lekarskiego,

gdyż choroba opisana w niém dotyka bardziej duszę niżeli ciało i otwiera pole do ciekawych badań psychologicznych.

Autor utrzymuje, że Nostalgia niegdyś bardzo upowszechniona u wszystkich ludów, zacierą się powoli w miarę wyrabiania się idei kosmopolityzmu. Francuzi przecież stanowią w tym względzie wyjątek; choroba ta przybiera u nich najsilniejsze cechy. Podczas kiedy Anglicy, Niemcy, Włochy, Hiszpanie i inne dalsze ludy, nie wyłączając Chinczyków, rozpraszają się chętnie po najdalszych stronach świata, Francuz oddał się ze wstrętem z domu. Zrosły on niejako z ziemią rodzinną; gdy ją opuści, marzy tylko aby czémprędzej wrócić do niej. Jak ptak wygnany z gniazda nie umie on przysiąść spokojnie na obcym brzegu, wyżyć pod obcym niebem. Wspomnienie pól i lasów a zwłaszcza domowych progów i ogniska, składa w duszę jego zaród niezwyčajonej tęsknoty, która pomалу przemienia się w rzeczywistą i niebezpieczną chorobę.

Podczas oblężenia Paryża—mówi autor—biedni mobile bretońscy najsmutniejszy przedstawiali obraz. Złamani na duchu, przygnębieni, odmawiali po szpitalach wszelkiej pomocy lekarskiej. Zgaste ich oko zapalało się tylko żywszym blaskiem na głos kapłana z własnej wioski. Trudno im było wyżyć zdala od swych ołtarzy, od skał, od dolin pokrytych wrzosem i macierzanką, od krewnych i przyjaciół. Nostalgia przybierała w nich najzgubniejszy charakter; tracili chęć do wszelkiego pożywienia, upadali na siłach, a najłżejsza choroba zmiatała ich odrazu do grobu.

Autor maluje w przejmujący sposób stan człowieka, dotkniętego tą szczególną słabością. „Nostalgia objawia się osłupieniem i ponurym smutkiem. Chory traci zwykłą wesołość i energią, nie widzi co się dzieje około niego, nie ma odwagi spojrzeć w przyszłość. Nierad sam z siebie, gniewa się na wszystkich i na wszystko, staje się niesmiałym i bojaźliwym. Zajęcia, które wykonywał niegdyś z radością, zobowiązania, którym się najchętniej poddawał, budzą w nim niesłychaną odrazę. Ozuje w duszy próżnię niczém niezapełnioną; myślą starganą przyczepia się gorączkowo do utraconych przedmiotów, krąży wśród nich, jakby w zaklętóm kole. Rzekłby kto, że wyobraźnia jego, nie śmieć zestąpić w świat rzeczywisty z idealnego świata, w którym się zabłąkała. Ucieka od ludzi ze wstrętem, słowa pociechy rozdrażniają go, traci wiarę w szczerłość współczucia. Przychodzi nakoniec do zupełnego upadku, życie wygasa w nim do iskierki, dusza przestaje walczyć, wola traci wszelką działalność; człowiek w stanie takim umiera wprzód, nim przysypano go ziemią.”

Smutny to obraz. Na tę dotkliwą chorobę, autor wskazuje liczne środki; najskuteczniejszym z nich praca wytrwała i mozolna, a zwłaszcza praca, utrzymująca chorego w związku duchowym z temi, których zmuszony był opuścić.

Z pomiędzy nowych publikacyj, zasługuje na uwagę dzieło p. Wiktora Meignant pod skromnym tytułem: „*W ślad drugich* (Après bien d'autres). Jest to opis podróży po Nubii i Egipcie. Autor maluje żywymi barwami obraz krajów, które przebiega, wydatnia każdy rys charakterystyczny w zwyczajach i obyczajach afrykańskich ludów, tak mało w ogólności znanych. Umiał turysta, puszczając się w ślad drugich, odkryć nie jedną żywotną stronę, zebrać nie jeden świeży kłos na polu wydeptanym stopami poprzedników.

Wyszła niedawno, w bardzo ozdobnym wydaniu, książka pod tytułem: *Panna de Scuderi*. Jest to zbiór notat, wierszy i listów tej powieściopisarki i poetki XVII-ego wieku. Przedmowa pana RATHERY obejmuje ciekawy życiorys, jak niemniej krytyczny rozbiór prac, zupełnie dziś zapomnianych, sławnej niegdyś autorki *Cyrusa* i *Klelii*. Ostatni list z roku 1701, pisała panna Scuderi w dziewięćdziesiątym czwartym roku życia, do biskupa d'Avranche, ostatniego niedobitka z drugiej generacji jej przyjaciół. „Nie mogę już wcale chodzić — pisze, ale umysł zupełnie mam krzepki.” Umarła w sześć tygodni potem.

W listach panny Scuderi, styl nierównie żywszy i bardziej malowniczy, niż w jej rozwlekłych romansach, nad którymi lży wylewały sentymentalne panie z czasów Ludwika XIV. W jednym z nich dowcipnie opisuje podróż do Rouen „na wozie tryumfalnym, uprzężonym w cztery kościste rumaki, które mogły służyć za wzor malarzom, chcącym popisać się znajomością anatomii.” W innym znów dowcipnie maluje Marsylskie towarzystwo. „Ciekawe prowansalski, przybiegały do niej hurmem, patrzyły w nią, jakby w cudowny obraz.” Kobieta autorka, niesłychanie była zjawiskiem w owych czasach. Ulubioną zabawą tych pań, była gra w karty, zwana *bosicle*, wcale nieznana wtedy w Paryżu. Sumienny autor, napróżno szukał tej gry w dykeyonarzu Littrego i w słowniku akademickim. Co do nas pewni jesteśmy, że to dzisiejszy bezik.

# POEZYJE

## WINCENTEGO POLA.

PRZEZ.

A. Tyszyńskiego.

(Dokończenie) <sup>1)</sup>.

Bohaterką dramatu: „*Powódź*“ jest *Zofia* sierota, a raczej jej służąca *Olena*. *Zofia* jest wychowanką *starościny*, a jej opiekunem jest brat *starościny* kasztelan który był zarazem *mostowniczym*. Synowiec kasztelana *Podkomorzy*, przedmiot zajęcia się *Zosi* i starający się o jej rękę dostał od *starościny* odmowę, z powodu iż zamiast *starościnnie*, oświadczył się pierwój samej pannie. Próżne były przedstawienia *mostowniczego*, prócz uprzedzeń *starościna* miała charakter cierpki i jakoby żał do świata przez to, iż jeszcze przed laty jedyną jej pociechę, jedyną synka porwali cyganie i ztąd sama została sierotą. *Podkomorzyc* odejchał z sercem ściśnioném, stryj jego z kompromitacją, a wtém następuje *powódź*. Cała ludność, gdzie kto zaskoczonym został wskakuje na lódzie, wskakuje i zaskoczona *Zosia*, a za nią jej wierna *Olena*. W powodzi tej rozgrywa się kilka scen oryginalnych, w których wszędzie rejdowdzą cyganie. *Zosia* i cyganie, *Olena* i cyganie, cyganie i *Zazula*, *podkomorzy* i *Zosia* i t. p. Skutek ich taki: iż w czasie tych scen *podkomorzy* podsłuchał iż syn a ulubieniec od serca królowej, czy też głównej wróżki cyganów *Zazuli* mówił pacierz i wykazuje się dalej iż sama *Za-*

<sup>1)</sup> Z powodu wyjazdu z Warszawy autora i stałego osiedlenia się w rodzinném gnieździe, dokończenie tej rozprawy otrzymaliśmy po wydrukowaniu zeszytu na miesiąc październik r. b.: podajemy je więc w tej formie jak nam zostało nadesłano.

P. R. B. W.

zula nie jest właściwie cyganka, lecz siostra księdza, a ów jej syn nie jest jej syn, ale ów porwany u starościny. Starościna do której w czasie powodzi ponowił daremny atak mostowniczy, z powodu zginienia wychowanki w nowej zostaje rozpaczy, lecz zjawia się podkomorzyc, który jej wraca najprzód Zosię z Oleną (bohaterką w walce z powodzią i w walce z cyganami) a następnie jej syna, a za te dary otrzymuje wreszcie obrączkę o którą prosił. Jest tu w rozwinięciu tych scen wielkie bogactwo i rysów charakterów, dyalogów i sytuacji, ale w krótkim przeciągu dnia tyle tu natłoczonych wypadków, tyle długich wzajemnych zeznań i opowiadań, tyle nagłych odkryć i t. p. iż sceny przychodzące jedna po drugiej zdają się nie scenami z prawdy, lecz z fikcyi. Słowo wszędzie jest gładkie, nie jedna myśl i psychologicznie nie z rzędu zwykłych; kasztelan np. wymawiając starościnie jej zimne serce i stratę Zosi, mówi:

Nie na przygodę ja się siostrę żalę,  
 Bóg dał tak serce jak stworzył te fale;  
 Lecz na to, siostrę, żem ja tego dożył,  
 Że Bóg cię siostrą taką zimną stworzył,  
 Że całe życie twoje wieje chłodem,  
 Że wszystkich, wszystkich co do cię należą  
 Tak obłożyłaś duszy twojej lodem,  
 Że im i nie żyć — więc do grobu bieżą.

W obrazach i dyalogach cyganów widne znowu i malowność i lekkość.

*Cygan.* Póki wody, hulaj duszo  
 Z wieczora do rana!  
 Bo jak wody się osuszą  
 Powieszają cygana.  
*Chór.* Hu, ha! hu, ha!  
 Dzisiaj cygan gra! etc.

Ale te i tym podobne szczegóły piękne, przez ogólne nieprawdopodobieństwo scen do których należą, są stracone dla sfery piękna i nie dają nam dzieła sztuki. Zdaje się, iż sam autor uczuł niewłaściwość swego talentu do tego rodzaju kompozycyi i nie powrócił już do ram dramatu.

Poezye drobne Pola składają cały osobny tom w wydaniu wiedeńskim. Poezye te podciągnięte tu są pod wiele malownych tytułów jak np.: *Wiele-mało przeboleło; Cierpienia bez ceny, treny nie treny; Z klasztoru i z boru;* lecz cała też prawie większej ich części poetyczność, jest tylko w tych napisach. Zbiór ten jest najslabszym zabytkiem prac poetycznych Pola. Wiersz wprawdzie wszędzie tu gładki, myśl wszędzie poważna, moralność chrześcijańska; lecz powtarzanie zbyt znanych powszechnie myśli, lub odbijanie zbyt znanych obrazów stają się powodem, iż większa ta część wierszyków jest już nie ową żywą poezyją, ale liryczną lub opisową martwą gawędą. Że jednak w tej

wielkiej ilości i obrazków i myśli spotkać się musi nieraz i nie jeden obrazek prześliczny i nieraz mniej zwykła myśl, to być musiało u Pola, a do takich między innymi liczymy te miejsca, w których poeta tłumaczy i określa źródła istotnej poezji i tém samém własnej.

Uczucia i natchnienia, uważa, idą od ducha a ostatecznie od Ducha duchów, którego byt objawia nam i rozjaśnia praktycznie *miłość*, teoretycznie *religia*; gdy zaś te oba pierwiastki w przekonaniu poety w przeszłości naszej były w połączeniu, przeto zarazem jako źródło trzecie, a raczej źródło łączne poezji (jak u nas) kładzie uczucie krajowe.

Bo czém tylko przeszłość świeci  
I co blask po ziemi świeci,  
To poczęło się w *miłości*;  
Na dnie duszy i *sumienia*,  
Stało siłą poświęcenia,  
A nam przeszło w krew i kości.

Aby się przejąć źródłem poetycznym, uczuć natchnienie, trzeba się udać właśnie pod wyjątkową władzę Ducha duchów, a wyzuć co najwięcej z wrażeń wewnętrznych.

Na *pustyni* Mojżesz staje,  
Który Boży zakon daje.  
Na *pustyni* Eliasz siedział,  
Z puszczy wyszedł i Jan chrzciciel,  
Z puszczy Pan nasz i Zbawiciel.  
Aby dusza nie wychłódła,  
Trzeba ciągle iść do źródła;  
Bo największy Bóg w stworzeniu:  
Najdzielniejszy duch w skupieniu.

Ale raz i rozszerzywszy w ten sposób poznanie Boga i zasłużywszy na natchnienie Boże, aby uprzedmiotować tak wzbogacony duch, należy znowu zatopić się jak najgłębiej w tę przedmiotowość czyli zewnętrzną, t. j. we wszystkie szczegóły i odcienia szczegółów, dzieł Bożych, bo wtedy

I ujrzysz prawdę w życiu *roślinnym*,  
I w tém *zwierzątku* które bez grzechu  
I ujrzysz prawdę w dziecku niowinném.  
*Po wszystkiej ziemi znajdziesz ład wszelki,*  
Bo świat jest Boży, a Bóg jest wielki.

Takie są określone własnymi słowy autora źródła jego poezji i widzieliśmy że charakter jój odpowiada właśnie temu określeniu. Ostatni wniosek jaki więc nam wypada uczynić o istocie poezji Wincentego Pola jest jasny:

W poezjach Pola tkwiło, jak to widzieliśmy wierne odbicie rysów zewnętrznych i wewnętrznych krajowych, więc tkwiła *prawda*.

Główném źródłem tych kreśleń równie rysów wewnętrznych (w *tradycjach*) jak i zewnętrznych (w *pieśniach*) była *miłość*.

W sposobach zaś tych kreśleń czyli w budowie dzieł tej gałęzi którą uprawiał, jak to poznaliśmy także, kwitła *piękność*. Rzecz owszem prawie można, iż Pol uprawiając poezję, uprawiał nie samą nawet poezję t. j. nie jedną tylko sztukę *piękną*, lecz wszystkie. Raz bowiem utwory jego to istotne utwory *pedzła* (Pieśni o ziemi, o domu), to znowu utwory *dluta* (Mohort), a słowa w jednych i drugich i we wszystkich poezjach Pola to *muzyka*.

*Prawda, miłość i piękno* to kryteria żywotności dzieł sztuki.

Poezje Pola nie umrą więc, wróżyć to można, w historii sztuki.

## KORRESPONDENCYA.

Lwów, 10 paźdź. 1873 r.

Prowincya nasza, pomimo, że ma dwa uniwersytety, a od niedawna nawet akademię nauk, zajmuje pod tym względem jedno z najpośledniejszych stanowisk. Nieporadność i apatya, do rozpaczki doprowadzająca każdego, kto do walki z nią występuje, stanowią charakterystyczne cechy usposobienia tutejszego ogółu. We wszystkich naszych usiłowaniach nie dostrzedz ani porywu zapału, ani rozsądnej wytrwałości; działamy i zachowujemy się, jak gdybyśmy żyli tylko duiem dzisiejszym, liczyli tylko na chwilowe, doraźne skutki. Ślamazarni aż do ospalstwa, oględni aż do tchórzostwa, rozsądni aż do zobojętnienia się na wszystko, co wychodzi z zakresu codziennych życia potrzeb, dyplomatuzyjący tak dalece, że już sami sobie przestaliśmy wierzyć, zrażamy się i zniechęcamy dla byle trudności, nużymy się po pierwszój walce z przeszkodami i zapadając w zwykłe nam niedoleństwo, zostawiamy pieczę o dobru mężów zaufania. Jak gdyby jakaś duszna atmosfera ciążyła nad nami i tłocząc nam piersi, powstrzymywała swobodniejszy oddech i żywsze bicie serca, tak tu martwo i glucho, tak wszystko tu leniwie i ociężale porusza się. Możnaby z razu myśleć, że uylitaryzm, będący zasadą tutejszych polityków, przeniknął we wszystkie sfery naszego społeczeństwa i skierowawszy jego usiłowania ku interesom materyalnym, zobojętnił na wszystko, co się nie da zredukować do liczby. Miałoby to przypuszczenie pewną słusność, gdyby nie to, że jak dla nauki i dla literatury, tak samo jesteśmy obojętni i dla handlu, i dla przemysłu krajowego.

Mając w propinacyi najgłówniejsze źródło dochodów, a w aferach giełdowych nadzieję szybkiego wzbogacenia się, nie troszczymy się bynajmniej o podniesienie bogactwa krajowego.

Rozmówłani w spokoju, który więcej jest podobnym do drzymki poobiedniej, jak do wypoczynku po pracy, ani wiemy, ani wiedzieć chcemy o tém, co się dzieje na świecie. Jakie nowe zdobycze przynosi postęp czasu ludzkości, jakie nowe prawdy zajaśniały na widowni, to nas mało interesuje. Jeżeli zaś doleci nas jaka wieść głucha o walkach na polu ducha o nowe prawdy, o nowe drogi życia, przeraża nas ona jak zwiastunka klęsk i nieszczęścia. W obec prądów dzisiejszego postępu, jesteśmy nie jak ów brzegliniasty, z którego każda fala płynącego nurtu odrywa jakąś czastkę i wciąga ją w swój ruch; ale raczej jako skała granitowa, od której żeby oderwać jaką okruszynę, potrzeba ustawnego działania w długim przeciągu czasu, nieskończonej ilości fal.

Jakaż może być przyczyna tego tak opłakanego stanu Galicyi? Wieleby tu o tém potrzeba było mówić, gdybyśmy chcieli gruntownie zastanowić się nad tą kwestyą; mając wszakże pisać o ruchu naukowoliterackim, uważam za dostateczną, gdy nadmienię pokrótce o dwóch tylko najważniejszych okolicznościach, które jakkolwiek datują nie od dzisiaj, dotąd przecież nurtują nasze społeczeństwo i podważają podwaliny jego bytu. Takiemi są: jezuicki ultramontanizm i system edukacyi krajowej.

Znane są zasady i tendencye ultramontanizmu, znane są również środki i cała polityka, jakimi się posługują Jezuici, w celu spropagowania tłumów. Rozpisywać się więc o tém byłoby zbyt cieżkim. Dość powiedzieć, że protektorką tych apostołów najzgubniejszej dla nas doktryny, podszywającej się pod naukę Chrystusa, jest cała tutejsza arystokracja. Zastępy jej wyznawców, zwabionych bądź nadzieją przemycenia się za jej pomocą do sfer arystokratycznych, bądź przynętą smacznego kąska, jakim się można pożywić u szarego końca pańskiego stołu, są nader liczne. Stanowią tu one jedyną partycyą, która ma jakieś znaczenie i siłę, inne bowiem podobne są do niewielkich kupek ruchomego piasku, który za lada wiatru powiewem, przenosi się z jednej na drugą, aż póki nie znajdzie się jakaś zewnętrzna okoliczność, co go zatrzyma na miejscu i pozwoli mu porość w trawę, chciałbym powiedzieć w pierze. Łatwo zrozumieć, w jakim stopniu całe to stronnictwo nienawidzące postępu, czynne i nieprzebierające w środkach, zamożne we wszystkie sposoby demoralizowania ciemnych i słabych umysłów, przyczynia się do zubożenia naszego społeczeństwa na najżywotniejsze jego sprawy.

Co się tyczy edukacyi krajowej, to jakkolwiek ostatnimi laty została ona nieco podźwigniętą z upadku, do jakiego doprowadził ją dawny system Bachowski, dotąd przecież pozbyć się jeszcze nie może swój choroby centralistycznego formalizmu, który pragnie urobić i przerobić wszystko podług jednej oficjalnej modły austriackiego biurokratyzmu. Choroba ta, tém jest dolegliwszą i niebezpieczniejszą, że nawet temi środkami, jakie są w naszym posiadaniu, nie chcemy, czy nie umiemy



zapobiegać jój skutkom, powstrzymywać w samym zaczątku zgubne jój następstwa. Jak wiadomo, niższe i średnie zakłady naukowe, stoją pod zarządem tak zwanój rady szkolnej krajowej. Jakkolwiek udzielona krajowi autonomia, zakreśla działalności téj instytucyi dość ciasne granice, mając wszakże prawo inicjatywy w kwestyach pedagogicznych, a zupełny samorząd w obsadzaniu posad nauczycielskich i administracyi szkół, mogłaby i w tym nawet zakresie, jaki jój dozwolony, zrobić bardzo wiele do zupełnego podźwignięcia krajowej edukacyi. Na nie-szczęście nie zawsze pojmuje ona należycie swe zadanie. Składają się z członków po połowie wyznaczonych od rządu i wybranych przez naród, mieści w swém łonie najróżnorodniejsze, nierzadko sprzeczne z sobą żywy. Większość jój stanowią ludzie starój daty, wysłużeni profesorowie, wychowawcy dawnego systemu, przesiąknięci do szpiku kości rutyną starego porządku, niezdolni pojąć ducha czasu, ani wnikać w potrzeby kraju. Reszta albo należy do teoretyków, niemających dostatecznej znajomości rzeczy, jaką tylko z praktyki nabyć można, albo zgola są ludźmi bez żadnego znaczenia. To téż wybitnym charakterem téj instytucyi jest niedoświadczenie, brak zupełny taktu. Ztąd główne wady, tamujące rozwój tutejszego szkolnictwa, pozostają z małym wyjątkiem w tym samym stopniu, co i dawniej. Położenie tak zwanych suplentów, czyli zastępców profesorów, szkodliwe dla nichże samych, a więcej jeszcze dla krajowej edukacyi, w niczem nie uległo zmianie. Niezawodnie, że zaprowadzanie zmian w ich stanowisku prawnym, przechodzi kompetencją rady szkolnej krajowej; ale za to od niej całkowicie zależy w swóm postępowaniu, względem nich kierować się tą zasadą, że im więcej władze szanują i poważają nauczycieli, tém skuteczniej mogą oni wpływać na uczniów, że im większa da się możność nauczycielom kształcenia się i wzbogacania swój wiedzy, tém staną się oni pożyteczniejszymi w swym zawodzie.

Drugą przeszkodą, utrudniającą postęp krajowej edukacyi, są książki szkolne. Książka szkolna aby była dobrą, powinna odpowiadać dwóm kardynalnym warunkom: musi być napisana językiem czystym i poprawnym, stylem prostym i jasnym; a następnie musi zadość czynić wymaganiom pedagogicznym, t. j. być zastosowaną do wieku, dla którego się przeznacza; mniej zwracać uwagi na wzbogacanie pamięci dziecka wiadomościami, chociażby najpożyteczniejszemi, ale przede-wszystkiém dążyć do tego, aby obudzić w nióm samodzielność, rozwijać jego siłę umysłową i w końcu rozniecić zamiłowanie do nauki. Zapatrując się z tego stanowiska na książki używane w tutejszych szkołach, zmuszeni jesteśmy powiedzieć, że rzadko która odpowiada swemu przeznaczeniu. Większa część tych książek jest przetłumaczona albo przerobiona z niemieckiego. Dla Niemców mogą one być bardzo dobre, ale dla dzieci, których usposobienia i nastroj umysłu wcale jest inny, są jak najmniej odpowiednie. Dzieła treści poważnej, mając

na celu naukę, mogą, a nawet powinny nieraz pomijać miejscowe warunki; wcale inaczej ma się rzecz z książkami szkolnemi, które są nie czém inném, jak pedagogiczném narzędziem, zmuszoném stosować się do natury i szczególnych właściwości umysłu dzieci. Dodajmy, że pisane są językiem, który nie odznacza się ani poprawnością, ani jasnością. Jest to niemieczyzna, przebrana w polskie wyrazy.

Nie mam zamiaru pisać o wszystkich książkach szkolnych, zaprowadziłyby to nas bardzo daleko. Uważam wszakże za konieczne, zastanowić się nad kilkoma. P. Sawczyński przetłumaczył krótką historią powszechną Weltera. Pod względem języka nie mamy nic do zarzucenia; co się zaś tyczy treści i układu dziełka, pod tym względem potrzebowaloby ono być z gruntu przerobioném, przynajmniej dwa jego tomiki, zawierające historią średniowieczną i nowożytną. W tych bowiem częściach, jest ono właściwie historią Niemiec, uwzględniającą do pewnego stopnia dzieje innych narodów. I jak szkodliwy wpływ wywierają podobne książki, do jak wypaczonych pojęć stają się powodem, wyjaśnia przykład następujący. Jeden z tutejszych profesorów gimnazyalnych, odpierając powyższy zarzut przeciwko używaniu w szkołach podręcznika Weltera, wygłosił takie zdanie: jak w wiekach starożytnych przewodnikami narodami w dziejach ludzkości byli Grecy i Rzymianie i dlatego niemi tylko zajmuje się historia owych czasów, o innych narodach słabą zaledwie wzmiankę robiąc; tak w czasach późniejszych, miejsce Greków i Rzymian zajęli Niemcy. Oni są prawdziwemi reprezentantami ludzkości, jój cywilizacyi, i o nich też przedewszystkiém, historia powinna pisać.

Do nauki języka polskiego używają się: grammatyka Lercla, najnie-doleżniejsze streszczenie grammatyki Małeckiego, jak dla układu, tak i dla języka zasługująca na spalenie; wypisy polskie, składające się z pięciu olbrzymich tomów, odznaczające się przedewszystkiém tém, że są zbiorom wyjątków, których najczęściej ani styl, ani treść nie zaleca. Stosuje się to szczególnie do prozy, która przepelniona jest ustępami z tłumaczeń p. Rogalskiego, artykułami z Księgi świata i z dzienników politycznych, podających opisy walecznych czynów wojsk austriackich z ostatnich wojen włoskich. Z jakim niedbalstwem i pominięciem wszystkich względów pedagogicznych, wypisy te są ułożone, dowodzi najlepiej ta okoliczność, że każdy wyjątek w nich zamieszczony, zachowuje pisownią autora, z którego jest wzięty. Jeden i tenże wyraz pisze się inaczej na téj stronnicy, a znowu inaczej na tamtéj. Łatwo zrozumieć, jak dalece obalamuca to dziecko, zaprawiające się na nich do ortografii. Dlatego też cieszyć się należy, że rada szkolna przystąpiła nareszcie do usunięcia téj wadliwości naszego szkolnictwa poleciwszy p. Sawczyńskiemu ułożenie nowych wypisów. Spodziewać się można, że w sposób odpowiedniejszy będą dobrane w nich wyjątki i artykuły i że jednolita zaprowadzona będzie pisownia. Ma się także drukować historia powszechna, napisana przez profesora Benoniego, który świeżo wydał atlas geograficzny Galicyi, ułożony podług metody ułatwiającej

naukę geografii. Czy historia p. Benoniego przeznaczona jest do zastąpienia historii Weltera, używaną w szkołach niższych, czy Pütza w szkołach wyższych, tego nie wiemy; w każdym razie należałoby pomyśleć o zastąpieniu obu tych podręczników nowemi, chociaż bowiem historia Pütza jest książką wyborań pod wszystkimi w ogóle względami, ale grzeszy zbyt dużą suchością i dlatego nie może rozbudzić szczególnego zamilowania do historii w dzieciach polskich, których umysł inaczej jest uorganizowany, jak dzieci niemieckich. Dziwić się należy, że zamiast Pütza, nie zaprowadzono w tutejszych szkołach historii Webera, przetłumaczonej przez Zaráńskiego. Trudno znaleźć drugie takie dzieło, któreby tak odpowiadało wszystkim warunkom szkolnej książki, któreby wdzięk opowiadania umiało łączyć w takim stopniu z bogactwem treści, gruntownością poglądów i układem, zadośćczyniacym wymaganiom tak nauki jak i pedagogiki.

Pierwszym, elementarnym, że tak powiem, objawem umysłowego życia społeczeństwa, świadectwem jego współdziałania w powszechnym ruchu cywilizacji, są czasopisma naukowo-literackie. Za ich tylko pośrednictwem wchodzi jeden naród w stosunek umysłowy z drugimi, przez nie tylko dowiaduje się o objawach postępu, o nabytkach nauki, o prądach czasu, o nowych kwestjach i usiłowaniach, słowem o wszystkiém, co się dzieje w świecie, o czém bezkarnie nie można nie wiedzieć. Gdzie nie ma takich czasopism, tam nie masz życia, tam panuje obojętność na najwyższe zagadnienia czasu, tam apatyczna musi być stagnacja, prowadząca naród do ciemnoty i błędów, przystrajanych zazwyczaj przez próżność i głupotę w pozory cnót narodowych. Inaczej i być nie może. Jak bowiem człowiek pojedynczy, zerwawszy z ludźmi i zamknawszy się w osamotnieniu, staje się idyotą, a co najmniej dziwakiem; tak i naród, usuwając się od ogólnego życia ludzkości, wypierając się współczesnych sobie objawów cywilizacji, tak złych, jak i dobrych, skazuje siebie na kołowaciznę, która go zmusza do obracania się w ciasnym kółku pojęć i wyobrażeń przeżytych, pozbawionych treści i nieodpowiadających warunkom czasu.

W Galicyi są czasopisma naukowo-literackie; utrzymują się one wszakże przy życiu nie poparciem ogółu, któremuby podtrzymywanie ich leżało na sercu, ale hojnością wydawców lub ich zainteresowaniem się do pewnych doktryn, których te pisma są organem. Do takich czasopismów należą: Przegląd Polski, Przewodnik Naukowy, Przegląd Lwowski, Strzecha, Przegląd lekarski, Szkoła, Prawnik, Biblioteka umiejętności przyrodniczych. Pierwsze między nimi miejsce zajmuje bezwątpienia Przegląd Polski. Jest to organ krakowskiej partii, znaną pod nazwiskiem Stańczyków. Jako pismo literacko-polityczne porusza wszystkie kwestye, rozstrzygając je na swój sposób, ze sta-

nowiska, nad którym warto się zastanowić. Ulegając dziecinnemu strachowi przed skrajnymi doktrynami i dążnościami czasu, podejrzewa o nie każdy nowy objaw życia, zostając pod wrażeniem ostatnich wypadków, zażegnywa każdy żywszy ruch społeczeństwa i w swych obawach o wszystko, co przypuszczalnie, w dalekiej bardzo konsekwencji, mogłoby sprowadzić jakieś złe następstwa, zachodzi tak daleko, że możnaby mniemać, że za dewizę swego postępowania wziął znane powszechnie przysłowie: „Kto śpi, ten nie grzeszy.” To też wszystkimi sposobami stara się on ukoić nasze społeczeństwo do snu, do którego zbyt go zachęcać nie potrzeba. Z zasady ultramontańskiej wypiera się wspólni z ultramontańską partją, ściągając na siebie zarzut moderantyzmu; hołdownik tradycyi, chłoszcze i gromi narodowe wady, nie szczędząc zjadliwego sarkazmu; wielbiciel poezji w historii, jest jej wrogiem w życiu i dlatego zdradza pewne sympaty do pozytywnego kierunku. Cześć dla praktycznego rozsądku, wstręt do rozumowych zaciekań się nad zagadnieniami, które chciałby uczynić wyłącznym przedmiotem wiary, hamowanie uczucia i fantazyi, którymby pragnął narzucić więzy salonowego konwensu: to są charakterystyczne cechy Przeglądu Polskiego. Redakcyja jego składając się z ludzi zajmujących przedniejsze stanowiska w literaturze, odznacza się pewną starannością.

To też nierzadko spotkać się w nim można z artykułami niepośledniej wartości, jakkolwiek z drugiej strony, zajęty przeważnie swą tendencyą, umieszcza czasami i takie ramoty, jak rozprawę p. Żulińskiego o antropologii, która wstęp dla siebie wyjednała głównie tóm, że o kwestyach filozoficznych dyskutuje w sposób teologiczny. Obok rozpraw ściśle naukowych znajdują się w nim i utwory tego rodzaju, co Teką Stańczyką i Wędrówką po Galilei, utwory będące satyrą zjadliwą, w których dowcipnie i z humorem w dosadnych barwach przedstawiane są stosunki tutejszego społeczeństwa.

Przewodnik naukowy wychodzi raz na miesiąc, jako dodatek do Gazety Lwowskiej, organu urzędowego, zostającego pod redakcyą znanego ze swych powieści Władysława Łozińskiego. Bez wyraźnej tendencyi, przestrzegając tylko swego charakteru oficjalnego, zawiera on przeważnie artykuły naukowej treści, wychodzące z pod pióra profesorów tutejszego uniwersytetu.

Przegląd Lwowski, organ tutejszych jezuitów, redagowany przez ks. Podolskiego z zakonu Zmartwychwstańców, odznacza się gwałtownością, posuwającą się nieraz do brutalstwa, nie pogardzającą nawet takimi wyrazami, jakich używają przekupki na targowiskach. Walcząc w obronie ultramontanizmu jezuickiego, napada z fanatyczną zaciekłością na wszystko, co się z nim nie zgadza, nawet na oświatę ludową, nazywając *ludolubcami* tych, co się nią zajmują. Jestto pismo literacko-naukowe. Znaleźć w niem można powieści, rozprawy historyczne, traktaty filozoficzne o filozofii i t. d. Większa część tych utworów pisana jest właściwym bogobojnym ojcom stylem, któryby można uważać

klakowatym, ponieważ na czytającym robi wrażenie klaków przeżuwanych.

Na szczególniejszą zasługuje uwagę Biblioteka umiejętności przyrodniczych, wychodząca w zeszytach miesięcznych, pod redakcją znanego z wybornych tłumaczeń Ludwika Masłowskiego. Obecnie podaje ona w tłumaczeniu znakomite dzieło W. Wundta: „Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej“, które zjednało sobie sławę europejską. Jestto wykład psychologii ze stanowiska nauk przyrodniczych. Wiadomo, że do ostatnich czasów, psychologia, uważana za gałąź nauk filozoficznych, posługiwała się wyłącznie obserwacją wewnętrzną i zewnętrzną i dostarczone sobie na tój drodze materiały uporządkowywała podług systemu, jaki jój podawał ten lub ów system filozofii spekulacyjnej. Obecnie starają się ją wyzwolić z pod zależności spekulacji i postawić na stanowisku samodzielném, uważając ją za naukę doświadczalną, traktując ją podług metody, jakiej się używa w fizyologii i innych umiejętnościach przyrodniczych.

O innych czasopismach niema nic szczególnego do nadmienienia, tém bardziej, że sam ich tytuł wskazuje, jakie jest ich zadanie i czém się zajmują. Przeznaczone dla specjalistów, wywiązują się z zadaniem, jak mogą.

Wypada nadmienić jeszcze o Strzesze, która jest czasopismem beletrystyczném; odznacza się szczególniej techniczną stroną wydawnictwa.

Zbyteczném byłoby dowodzić, że takie instytucye, jak uniwersytety, biblioteki publiczne i czytelnie, stanowią najpotężniejsze dzwignie oświaty. Skuteczność wszakże ich bywa większa lub mniejsza, stosownie do urządzeń ich i stanowiska, jakie zajmują. Galicya ma dwa uniwersytety: krakowski i lwowski. Mając zamiar obszerniej o nich napisać, ograniczam się tu na kilku uwagach. Uniwersytet krakowski, który odegrał w naszej literaturze dość znaczną rolę w okresie poprzedzającym rok 1860, obecnie zeszedł z pola, jak sterany życiem weterana, i większe znajduje upodobanie w nabożnych rozmyślaniach, jak w studiach ściśle naukowych. Jak swemi naukowemi pracami, o których mało co słyhać, tak i wykładami, nie zwraca on szczególniej na siebie uwagi. Kilku młodych professorów krząta się wprawdzie, dając tém świadectwo o jakimś życiu, ale cóż kiedy to ich krzątanie więcej ma na celu stronnice widoki partyi, jak naukę, która po nad wszystkiemi stać powinna stronnictwami. Do takich należą pan Tarnowski professor literatury polskiej, jeden ze zdolniejszych krytyków naszych i pan Szujski professor historii polskiej, a oraz poeta. Kilku zdolnych ludzi znajduje się także między docentami, a mianowicie Skiba.

Wcale inny charakter ma uniwersytet lwowski. Nie mając takich jak uniwersytet krakowski tradycji, mniej czuje się skrzepowanym w obec prądów dzisiejszego czasu, dlatego też inny zeń duch wieje. Większa część profesorów należy do ludzi postępowych, do uczonych, którzy mając naukę na celu, śledzą pilnie za tém, co się gdzieindziej na tém polu dokonywa. Dźwigając się z upadku w jakim dotąd pozostawał, nie miał jeszcze czasu rozwinąć swój czynności, z czego mu też zarzutu czynić niepodobna, pomnąc że dopiero od lat kilku przestał być przytuliskiem Niemców, którym mniej na sercu leżała nauka, jak karyera. W każdym razie tacy profesorowie jak Żmurko, Radziszewski, Kreutz, Małecki i Węclewski mogliby być ozdobą każdego uniwersytetu.

Urządzeniu austriackich uniwersytetów możnaby zarzucić, że są niedostępne dla publiczności. Na wykłady profesorów można tylko uczęszczać za wyraźnym pozwoleniem rektora.

Biblioteki uniwersyteckie są otwarte dla publiczności; że korzystania z nich obwarowane są pewnemi wymaganiami, temu się dziwić nie należy, nie są też one zbyt uciążliwe, tém bardziej, że zarządy ich chętne są w robieniu wszelkich możliwych ułatwień. Przy bibliotekach tych pourządzane są czytelnie, gdzie w rannych godzinach każdemu wolno pracować, nie potrzebując przechodzić przez żadne formalności.

Mamy jeszcze trzecią bibliotekę, Zakładu Osolińskich. Jestto biblioteka nosząca nazwę narodowej, a więc publicznej, przyznać wszakże potrzeba, że publiczność z niej mało może korzystać. Wypożyczanie książek utrudnione niepotrzebnymi formalnościami, zakrawającemi na biurokratyzm. Czytelnia zaś urządzona najgorzej: najprzód otwarta jest tylko w godzinach rannych, kiedy każdy zajęty jest pracą służbową; powtórne, wybranym tylko dozwolony jest wstęp do właściwej czytelni, odznaczającej się konfortem: inni śmiertelnicy wysyłani są do niewielkiej sali, gdzie się zbiera gwarliwa i niespokojna rzesza czytelników, składająca się po większej części z uczniów i innych amatorów powieści. Ze wśród tego tłumu ruchliwych i niespokojnych czytelników wszelka praca poważna jest niepodobną, każdy zrozumie łatwo. Liczne żądania publiczności, ażeby zarząd biblioteki urządził czytelnię w godzinach wieczornych, pozostały bez skutku.

Ruch księgarski w Galicyi jest dość rozwinięty. Firmy znaczniejszych księgarni znane są powszechnie. Przy każdej mniej więcej księgarni pourządzane są wypożyczalnie książek. Za pewną opłatą miesięczną lub roczną można z nich korzystać, szkoda tylko, że wypełnione są po większej części beletrystyką i że nie zawsze można się w nich spotkać z nowościami, te dopiero po pewnym, dość znacznym przeciągu czasu, bywają zamieszczane w wypożyczalniach. Ztąd dla śledzącego za ruchem literacko-naukowym nie pozostaje nic innego,

jak kupować za gotówkę każdą nową książkę, z którą pragnie się poznać, lub o której chciałby napisać. Każda prawie z tutejszych księgarni jest nakładową. Od czasu do czasu pojawiają się nowości literackie. W każdym razie do wydawania dzieł poważnej treści biorą się niechętnie. Do pewnego stopnia można ich usprawiedliwić z tego; trudno bowiem żądać, by księgarz rozpoczynał jakie wydawnictwo, któremu strata grozi. Zachęta pod tym względem należy do publiczności. Najczynniejszą w wydawnictwie, acz najmłodszą, jest księgarnia „Polska“ wydająca swym nakładem Dzieje Szlossera. Obecnie wyszedł jój nakładem utwór dramatyczny pana Bronisława Komorowskiego: „Krok“, o którym tak pochlebnie pisała w swym czasie Gazeta Narodowa. Wychodzi także „Szopka“ Lenartowicza. Taż sama księgarnia ogłosiła konkurs na dramatyczne utwory dla dzieciennego teatru. Z dwunastu utworów nadesłanych, dwa uznano za odpowiadające warunkom konkursu. Mały Nauczyciel, p. Maryi Grabowskiej z Częstochowy otrzymał pierwszą nagrodę, druga została przyznana p. Władysławie Izdebskiej z Warszawy za „Naszynik Babuni“. Utwory te, zarówno jak niektóre inne z nadesłanych, które chociaż nagrody nie otrzymały, ale zasługują na uznanie, ma wydać swym nakładem księgarnia Polska.

Księgarnia Gubrynowicza wydaje znakomite dzieło: Estetyka popularna Lemckego. Wartość jój naukowa znana jest powszechnie. Wydanie ma być wspaniałe, ozdobione licznymi rycinami.

\*\*\*

## Wystawa powszechna w Wiedniu.

### III.

Z podania więcj nieco szczegółowszego opisu rotundy usprawiedliwia mię i to jeszcze, że rotunda w pałacu przemysłowym jest tém, czém sala honorowa w pałacu sztuk pięknych, to jest wybierano do niej rzeczy niby najcenniejsze i urządzono wystawę kolektywną, w innych zaś wystawę ugrupowaną podług krajów. Ale jak na wystawie sztuk pięknych poza obrębem sali honorowej, tak w pałacu wystawy przemysłowej, poza obrębem rotundy znajdziemy wszędzie pełno rzeczy nierównie piękniejszych, bardziej zasługujących na honorowe miejsce. Bo też do rotundy najwięcej trafiło takich, co się o to najpierwiej upomnieli, takich co mogli z łatwością zdobyć się na większą, pompatyczniejszą wystawę, większo szafy obstalować, większemi szybami oszkląć, większą masę towaru nagromadzić, a zatem swoi domowi, to jest Austriacy, przedewszystkiem Wiedeń i jego okolice, a za nimi inne Niemcy, jakeśmy z opisu widzieli.

Francya ulokowała tam tylko to, czego z powodu wielkich rozmiarów nie mogła umieścić w galerii głównego gmachu: swoje wyroby fabryczne z brązu i miedzi i odlowy brązowe wielkich rozmiarów.

Francya, nie rozsiewając zbyt wiele swoich przedmiotów, ale grupując się w jednym miejscu, pięknie się przedstawiła.

Przechodząc główną galeryą widzimy tu i owdzie pęki chorągwi narodowych ubierających państwowe herby z napisami: Francya, Włochy, Anglia i t. d. Ale nie potrzeba zawsze podnosić głowy szukając tych chorągwi, herbów i napisów, ażeby wiedzieć jakiego to kraju wystawę mamy przed oczami: gdzie najwięcej elegancyi, gustu, przepychu, tam wystawa Francyi. Najpiękniejsze materye jedwabne, aksamity, atłasy, meble, lustra, a nadewszystko wyroby z brązu tu najwytworniejsze. Celuje między temi Drouard, a także Poutrot i Vallon, którego specjalnością są zwierzęta. Wykonanie bardzo staranne, piękność wyrobu szczególna, ale też i ceny szczególne: np. za obrazek myśliwski, zabita słońkę czy przepiórkę (dobrze nie pamiętam), wiszącą na gwoździu umieszczonym na eliptycznej płycie brązowej stopę szerokości i półtory stopy długości mającej, ceniono 90 franków.

Porcelany francuzkie zanadto chorują na orient, naśladowac na nich wykręty i arabeski brudnymi najczęściej kolorami, cenionymi przez znawców, a raczej amatorów Wschodu.

Najpiękniejsze dywany (gobeliny) przedstawiła Francya. Wy różnią się tu Dublin z Paryża, chociaż i kilku innych ma przesłiczne wyroby.

Włochy też się odznaczają świetnością wyrobów jedwabnych, aksamitów, atłasów, koronek bardzo pięknych. Mają u siebie wszystko, tylko na szkło i porcelanę zdają się być uboższymi.

Do osobliwości naukowych w oddziale włoskim można zaliczyć petryfikowane części ciała ludzkiego, opracowane przez profesora Marini.

Ale żaden kraj nie był w stanie ozdobić tak świetnie swojej wystawy jak Włochy, którzy wielki rezerwoar fontanny, stojący w środku głównej galeryi w oddziale włoskim, otoczyli masą rzeźb przesłicznych.

Włochy zawsze najbogatsze w arcydzieła dłuta i wystawa rzeźb tak dalece obfita, że chociaż niemi zapełnione wszystkie sale włoskiej wystawy sztuk pięknych, a jednak jeszcze ubrali niemi najpyszniej swoją wystawę przemysłową w pałacu głównym, przeznaczając na to rzeczy równie piękne jak te, które widzimy w pałacu sztuki.

Tyle życia, tyle gorących namiętności, tyle najpłomienniejszych uczuć i myśli wlały Włochy w te piękne kamienie, że nie można przypatrując się tym wszystkim rzeczom nie być zachwyconym tak cudownym prawie ożywieniem martwego przedmiotu, siłą genialnego talentu.

Najpiękniejszemi tu Piattego z Florencyi „Angelica“, uchodząca od napaści Ruggiera, niosąca do ust talizman, mający ją uczynić nie-widzialną. W układzie wdzięk nadzwyczajny, a usta, oczy i cała jej śliczna twarzyczka zdaje się drgać życiem.

Bardzo piękna „Ewa“ prof. Rossi i wszystkie inne tegoż. Ładne także roboty Pessiny'ego, Rittera Garnerio i „dziewica u kąpielii.“ Rzeźby Pozzi z Milanu należą także do piękniejszych.



„Dzieci“ Barcaglia szczególnie piękne: jedno wybiega z wody, a może z pod tój fontanny która za nim stoi, i ma na sobie koszulkę do nitki zmoczoną, którą z minką nie miłego uczucia usiłuje zdjąć z siebie. Rzeczywistość tu naśladowana wybornie. Inne tegoż z wyrazem dziecinnych grymasów równie piękne i udatne.

Do najcelniejszych należą jeszcze Monteverdego „Kolumb chłopięciem“ z książką w rękę, głęboko zadumany, jak gdyby w tej dziecinnój główce już nurtowała myśl o nieznanym świecie. Michał-anioł rzeźbiący Satyra, z wyrazem twarzy godnym natchnionego mistrza podniósł oczy do góry, ażeby duchem się przysposobić do dalszej pracy.

Słowem obchodząc wkoło ten wielki rezerwoar obstawiony tyłoma najpiękniejszymi arcydziełami, można swoje żądze piękna do syta nakarmić, nawet umęczyć, pod wpływem tylu silnych, coraz nowych wrażeń zadowolenia i podziwu.

Nie łatwo jest pojąć dlaczego zdarzają się ludzie nie mający szczególnego upodobania do arcydzieł pędzla, a jednak gorąco zamilowanych w arcydziełach dłuta. Oglądając jednak te kamienie tak ożywione, tak wdzięczne, pojmuje się że to uczucie jakie na nas sprawiają, jest inne od tego jakie wywiera artystyczne płótno.

Anglia, wiemy dobrze że celuje w dobroci materiału, staranności i mocy wyrobu, to też doskonale to się uwidoczniła we wszystkich wystawionych przedmiotach. Przepatrując je nabiera się odrazu przekonania o trwałości każdego wyrobu, a zupełne wykończenie w drobnych nawet rzeczach wszędzie widoczne.

Gust nie może być zły, bo jest prosty, nie ekscentryczny, unikający jaskrawości. Wszelkie galanteryjne wyroby z metalu piękne; porcelany nie szczególne pod względem gustu i koloru. Skóry zaś, sukna i korthy, których tu massa, wszystkie tak piękne, że miernoty tu niema, idzie tylko o wybranie najlepszych z pomiędzy dobrych. Między wybornymi skórami angielskimi, jako ciekawość, doskonale wyprawiona skóra hipopotama na półtora cala gruba.

Fotografie angielskie w większej połowie nierównie gorsze od naszych warszawskich.

Między wszystkimi krajami Europy, Anglia i Francja przedstawiają najwyraźniejsze typy cywilizacji przemysłowej: pierwszy cechuje powaga, drugi jaskrawość bijąca w oczy, a jednak obok tego gust i elegancja. To też potrzeba bardzo wiele gustu, ażeby te tak rzadko z sobą dające się łączyć cechy, gust z jaskrawością pogodzić.

Austria bardzo świetnie się przedstawia na wystawie. Przemysł we wszystkich prawie prowincjach austriackich olbrzymio się dźwiga: wyjątkiem Galicya, gdzie ten w zupełnym prawie uśpieniu.

Pierwszym punktem gdzie się centralizuje działalność przemysłowa austriacka jest Wiedeń, który i pod względem przemysłowym także jest stolicą. Ostatnimi laty ilość fabryk różnego rodzaju tak szybko wzrastała, że dziś wypada go zaliczyć do najpierwszych miast przemysłowych w Europie. Za Wiedniem idzie jego okolica, potem Czechy,

dalej Węgry, następnie Morawia, Szląsk i inne prowincye, a między ostatnimi Galicya, która zaświadczyła o wielkiem swoim ubóstwie. Chociaż zwykliśmy usprawiedliwiać się że to kraj przeważnie rolniczy, to przecież dziś już pojmujemy że i rolnictwo bez przemysłu kwitnąć nie może, że surowe produkta rolne wyprowadzane z kraju w tak znacznej ilości ażeby zaspokoiły wszystkie potrzeby w przedmiotach jakie daje produkcya przemysłowa, zmniejszają warunki dobrobytu o tyle, o ile wywóz surowych produktów rolnych stosunkowo, jest większy.

Zadnego wyraźnego typu przemysłowość austriacka przedstawić nie może: jaka jest mieszanina narodowości, taka jest mieszanina gustu i innych przymiotów wyrobu. Z tórn wszystkiém przemysł przedstawia się w wielkości ogromnej, a gust ogólnie więcej zdaje się przechylać do francuzkiego.

Ponieważ Austria ma wystawę u siebie w domu i wielką przez to łatwość ulokowania swoich tam przedmiotów, zatem nie trudno znaleźć między niemi takie, które niczem się szczególném nie odznaczają. Galanteryjne sklepy z ulicy Kohlmarkt, Graben, mają tam swoje wystawy, nie zawsze zasługujące na szczególne uznanie. Ale nierównie więcej jest rzeczy bardzo pięknych, najchlubniej świadczących o stanie fabryki i jej rozmiarach.

Czechy tak wslawione oddawna swojemi wyrobami ze szkła, dziś najzupełniej usprawiedliwiają powszechną i tak dobrą o nich opinię. W tym rodzaju przemysłu niewątpliwie trzymają pierwszeństwo.

Czeska wystawa już zdała polyskuje masą żyrandoli, świeczników i innych najrozmaitszych przedmiotów ze szkła, całemi piramidami ustawionych. Taka masa, bo aż kilkudziesięciu wystawców świadczy że to jest rzeczywiście najglówniejszy przemysł narodowy. Wszystkie piękne wyroby zliczyby trudno. Przymiotami ich czystość szkła, kształtność wyrobu, rozmaitość największa i piękne malowidła, w których celują najbardziej: Pelikan, Harrdch, Grohmann, Rasch, Cheinosta. Porcelany i rysunki na nich najpiękniejsze ze Steinhöhnan, wcale nieźle także Conrath'a i Hauptmanua z Teplitz. Najpiękniej rzeźbione kryształy Mosera Ludwika z Karlsbad; najartystyczniejsze emalie na szkle i porcelanie Mandlera z Leitmeritz.

Chociaż wyroby szklane nazwałem przemysłem narodowym czeskim, jednakże z nazwisk widzimy, że właścicielami najpiękniejszych i największych fabryk są przeważnie niemcy.

W wystawie węgierskiej żadnego wyłącznego kierunku nie widać: wszystkiego mają po trosze albo nawet sporo, w dobrym gatunku, świadczą o dość już wysoko posuniętym rozwoju przemysłu.

Kraj, który umiał zdobyć sobie pewną niezależność i pierwszorzędne stanowisko w cesarstwie, musi mieć dość potężne zasoby bogactwa materyalnego; to też widoczne że przemysł w wielu rzeczach może zaspokoić potrzeby miejscowe, a dobroć wyrobu często wyrównywa wiedeńskim albo paryzkim.

Nie można powiedzieć ażeby przemysł węgierski stał już wysoko, jednakże wzrost szybki bardzo jest widoczny.

W ogóle cesarstwo austriackie na wystawie powszechnój pokazuje, że jego przemysł zajmuje pierwszorządne miejsce w Europie, a masa wszelkiego produktu jest nie równie większa od tój jaka krajowi potrzebna. Zbyt zatem poza jego granice wprowadza znaczną masę obcego grosza i powiększa dobrobyt państwa.

To samo można powiedzieć i o nowém cesarstwie pruskiem: mają wszystko swoje w gatunku dobrym, jednakże pod względem przemysłowym w porównaniu z Austrią, Prusom nie należy się pierwszeństwo.

Berlin téż jest miastem przemysłowém, ma piękne wyroby galanteryjne, jedwabne, sukienne, skór, etc. i jako państwo militarne pochwaliło się bardzo pięknym wyrobem broni: Technera i kolektywna wystawa fabrykantów berlińskich jest jedną z najpiękniejszych.

Inne niemcy z mniejszém lub większém powodzeniem, ale znowu dobrze prezentują swój przemysł. Tu i owdzie zdarzają się wyroby szczególnie piękne, jak np. wspólna wystawa materyi jedwabnych i aksamitów z Grefeln, aksamitów z Wiersen etc.

Belgia należy do tych państw, które najlepiej świadczą o postępie pracy przemysłowej. Ma wiele świetności francuzkiej obok sumiennosci wyrobu i bogactwa.

Niderlandy za to, chociaż to kraj dostatni i z tak wysoką kulturą rolniczą, nie okazują wysokiego rozwoju przemysłowego i chociaż nie jedno mają dobre, jednak nie widać ażeby własna produkcyja mogła krajowi wystarczyć.

Szwecya ubrała swoją wystawę figurami naturalnej wielkości z drzewa, wyobrażającami lud szwedzki: wysokiego wzrostu błądyni, rysów kształtnych, cery białej, w białych i czarnych sukmanach, a kobiety wielkimi okrągłemi blachami brązowemi na piersiach i często krzyczącą jaskrawością stroju okazują gust wschodni, przypominający ich fińskie pochodzenie.

Obfite kopalnie żelaza dostarczają Szwecyi masę pięknego materiału, z którego jak widać dobrze korzystają i okazują rozmaite z niego wyroby bardzo dobre.

Sukna w niewielkiej ilości, najczęściej grube ale dobre; cieńszego sukna i niezłych kortów nie wiele. Futra mają bardzo piękne jak wszystkie kraje najbardziej na północ posunięte, skór najwięcej reniferowych, t. j. północnych jeleni, które dla mieszkańców podbiegunowych są całym bogactwem i są tóim, czóim dla nas krowy, konie i owce razem, bo mieszkawiec północy używa ich do zaprzęgu, niemi się żywi, ich skórąmi odziewa.

Wyroby jedwabne stocholmskie ładne i gustowne, porcelany niezłe, wyroby gipsowe bardzo delikatne i ładne, płótna ze lau i konopi dobre.

Na wystawie szwedzkiej tak jak i w Szwecyi: rzeczy najprostsze niezbędne do zaspokojenia najskromniejszych potrzeb mieszkańca ostrego

klimatu, z wygodą i smakiem przyjętym od Francuzów, razem z językiem który w klasie wykształceńszej stał się jakby drugim językiem własnym.

Norwegia prawie że nie gorzej się przedstawia: ma też dobre wyroby żelazne, robi doskonale armaty, które sama chyba nie myśli straszyć nikogo, nalówki i wódki; bardzo skuteczne lekarstwo dla ludu zamieszkującego tak zimne okolice, na którego pochwałę dodać wypada że są wstrzemięźliwi i nie uchodzili nigdy za pijaków; dalej produkta chemiczne, dobre świece stearynowe i t. d. Dowiadujemy się nawet z wystawy, że jeżeliby np. balwany morskie wyrzuciły jakiego eleganta na skały Norwegii i obdarły mu ubranie, to może sobie na to miejsce uszyć ładny kostium zaraz na miejscu, bo znajdzie dobrych krawców w Chrystyanii. Lud ten tak prostych obyczajów, gdzie ludzie stanu tak niedawno jeszcze w grubych prostych sukmanach zasiadali na ławach sejmowych, pod ogólnym wpływem Europy zaczyna się przyzwyczajać do większych wygod i bardziej miękkiego życia.

Tak dalece pobieżny zrobiłem przegląd innych krajów Europy, ażeby nieco dłużej się zastanowić nad wyrobami naszego kraju, potem opisać wystawę Cesarstwa, przejść do opisanie wystawy Wschodu i porzucić pałac główny przemysłowy ostatecznie w celu opisanie wszystkiego co jest poza jego obrębem. Pozostała reszta chociażbym najpobieżniej nakreślił, to w takim razie dalecy jesteśmy do końca.

Wystawa przemysłowa Królestwa nie jest zbyt ubogą: niektóre gałęzie nie są rozwinięte, inne za to wcale poważnie się przedstawiają, przyjmąwszy rozmiary zdolne zaspokoić potrzeby kraju i nadto znaczną resztującą część wysłać poza jego granice.

Takim jest u nas cukrownictwo na przykład, które doszedłszy do rozmiarów dość znacznych, teraz nieco się wstrzymało w dalszym swoim wzrastaniu, z powodów bardzo ważnych a o ile groźnych dla tej gałęzi, dopiero przyszłość pokaże. Tą przyczyną jest wyczerpująca ziemię produkcja buraków, dająca coraz gorsze rezultata. Narzekania plantatorów coraz większe, a największe w Gostyńskim dlatego, że cukrownictwo tam najpierw i najobszerniej się rozwinęło. Zaliczki jako pozosta ratują jeszcze cukrowników, bo nie jeden bierze z musu, a drugi dlatego że tak łatwo wziąć co chętnie dają, inni nakoniec uprawiają buraki w tych samych co dawniej rozmiarach, bo weszli już w taką rutynę płodozmienną, która gdy się ustali, to tylko z wielką stratą dla majątku może być na inną zmieniona. Właściciele cukrowni zatem nie bardzo się dotąd straszą tym odgrażaniem się dostawców surowego produktu, którzy chęliby użyć jakichś pressyjnych środków dla podniesienia ceny korca. Sam tegoczesny upadek interesów i zasobów rolnika, pozwala nie bardzo zważać na te postrachy.

Dobrze jest jednak że ten przemysł u nas się rozwinął, bo gorzejby było jeżelibyśmy cukier potrzebowali sprowadzać z zagranicy. Równie pomyślnóm jest dla nas, że fabrykacja ta jest wysoko udoskonalona. Z powodu zaś wyczerpania ziemi musi przyjść do tego, że w końcu ceny

na buraki się podniosą i dostawa będzie się odbywać z dalszych od cukrowni okolic, przy ułatwieniu transportu ze strony zarządu cukrowni. Przyjdzie czas także na staranniejsze urządzenia kompostów i nawozy sztuczne, które przy troskliwszej uprawie niezawodnie się oplacą.

Z wielu znanych nam dobrze firm, których wyliczanie może byłoby zbyt zbytecznym, fabryka Józefów najczęściej uderzała oko rozmiarami wystawy: z cukru była ułożona piramida, obstawiona pojedynczemi głowami i baryłkami z rozmaitego gatunku piaskiem. Dobrocią jednak nie wyróżniała się tak bardzo: równie dobrych, a może lepszych było wiele. Oceniają to sędziowie, znawcy słodyczy.

Drugą gałęzią zaspokajającą potrzeby kraju i wyrabiającą towar na zbyt zagraniczny, jest fabrykacja z wełny, sukna, kortów, rypsów etc. Znajdują się w wystawie w okazach bardzo licznych.

Najpiękniejsze i najgustowniejsze sukna i korty barona Zacherta, potem Moesa z Choroszczy mniej gustowne; sukna Fidlera z Opatówka, dalej Rephana z Kalisza; Zimmermana z Tomaszowa kolorów czystych, białe i piaskowego szczególnie dobre. Niezłe także Knoth'a z Tomaszowa, ale nie gustowne. Gustowniejsze i więcej dychtowane wyroby z Supraśla. Niezłe Majerhofa z Piotrkowa. Gertz z Dobrzyna i Tatar miał okazy niezłe, nie najlepszego gustu.

Wyrób skór o którym już wspomniano, często piękny, przyjął też rozmiary dość znaczne, nie wystarczające jednak w zupełności na potrzeby miejscowe.

W wyroby jedwabne kraj nasz niezmiernie ubogi: prawie cała masa tego rodzaju materji przychodzi z zagranicy, wyprowadzając na to sporo gotowego grosza. Tylko do rypsów i innych materji wełnianych używa się w części jedwabiu, jak w tego rodzaju fabryce Worowskiego i innych. Hentschla w Łodzi rypsy i serwety wcale niezłe, gustu miernego. Rypsy na meble Fiala z Łodzi w deseniach zanadto jednakowe. Moenkego z Łodzi chustki perskie wcale niezłe.

Perkalów i płócienek brak nam wielki. Na wystawie, jeśli się nie mylę, były płócionka jednego tylko Kindlera z Pabianic, niektóre bardzo ładne. Żyrardów dobrze przedstawił się na wystawie: kolekcye serwet i płótna były bogate. Wystawę ozdabiał portret Girarda założyciela fabryki, tak zasłużonego nie tylko naszemu krajowi, ale całemu światu przez wynalezienie mechanicznych warsztatów tkackich.

Mamy w kraju kilka większych fabryk papieru. Na wystawie J. Epstein z Soczewki dał papier zaledwie średniej dobroci, w niewielu odmianach.

Braknie nam bardzo fabryk papieru listowego, który w wielkiej masie przychodzi do nas z zagranicy.

Kwiaty Edwarda Lotha z Warszawy wcale niezłe, kapelusze rzyżowe także.

Pudelka galanteryjne do cukrów braci Grosslück z Warszawy dość starannie wyrobione, niektóre bardzo gustowne; różnorodność wyrobu nie wielka.

W osobie Adolfa Kantora, Warszawa ma wybornego introligatora. Jego wyroby odznaczają się na wystawie: niektóre ozdoby bardzo piękne, tylko największej książki figury złożone są nie ładne.

Minheimer Jan okazał śliczne wyroby pieczętarskie. W sztuce krawieckiej Juszczyk nagrodzony na wystawie powszechnej w Paryżu i tu zapewne będzie nagrodzony, bo równość szycia i staranność odrobienia jest bardzo widoczna. Pomiędzy wielu rzeczami, jako osobliwość, wywieszono palto od deszczu schowane w pugilaresie zwykłych rozmiarów, chociaż dość wielkim i w drugim większym ubraniu do morskiej podróży.

Szczepańskiego z Warszawy trzewiki i pantofle w wielkim wyborze należą do piękniejszych na wystawie.

Wiemy zresztą że o ładne ubranie i ładne obuwie w Warszawie nie trudno, ale wiemy i to, że o nasze własne i dobre rękawiczki bardzo trudno. To też na wystawie z niemi nikt się nie popisał. Jak się zdaje jeden tylko Kiepmann z Warszawy dał niepozorne pudełeczko rękawiczek, w których ani odrobienie, ani materyał zachwycić nie może.

Wyroby z blachy Waltera z Warszawy niezłe, chociaż (latarnie np.) niezbyt starannie odrobione.

Tkaniny metalowe różnego rodzaju i siatki druciane Neumana z Warszawy tak piękne, że równych tym (plócien metalowych przynajmniej) na wystawie nie było.

Jachimek i Sosnowski z Warszawy dali jedną tylko strzelbę bardzo starannie wykończoną, w guście angielskim, bez żadnych dodatków ozdobnych i błyskotek.

Garnki kamienne Cybulskiego z fabryki Chmielów i inne naczynia bardzo piękne różnej miary, w doborze wielkim; niektóre wyroby ozdobione figurami polskiego ludu, a parę w stylu wschodnim.

Pierwszeństwo w sztuce cukierniczej (na wystawie) należy się Ludwikowi Koch za pomnik Janowi Sobieskiemu bardzo ładnie odrobiony, z cukrowej imitacji białego marmuru. Tegoż kwiatów dobrych tylko kilka, inne nie szczególnie.

Bukiet z cukru Romana Zilma znośny.

Konfekty Kanarka w Warszawie, na sposób ruski, cukier lodowy, cukierki angielskie, migdały w cukrze, nie wypróbowanej przezemnie dobroci. Dobrze ze się pojawiły, bo niedawnemi czasy wiele z podobnych wyrobów w całej swojej massie przychodziło do nas z zagranicy.

Wyroby Wedla dość dobre: jako właściciel parowej fabryki czekolady, z nią przeważnie wystąpił. Ubrał wystawę medalionem z czekolady, na którym naturalnej wielkości popiersie hrabiego Berga otoczone wieńcem z dębowych liści.

Perfum i wszelkiego rodzaju kosmetyków, swoich własnych, mamy teraz dosyć. Oprócz nowej firmy Pulsa, którego nie znalazłem na wystawie, mamy dawniejszą Sommera, mającego dość obfitą wystawę swoich wyrobów, ale najobficiej, w największym wyborze przedstawiają się wyroby perfum z Uładówki.

Wyroby materiałów aptecznych i innych przetworów Spiessa, firmy niedawno rozwiniętej, która pozyskała już dla siebie uznanie sumiennosci, ma na wystawie i dobre, i liczne okazy swojego wyrobu. Oleje Szellera z Warszawy i terpentyna Rakowskiego także dobra.

Hirszman, Kijewski i Scholtze, fabryka przetworów chemicznych, na większą skalę, która na naszych wystawach rolniczych, dwa razy otrzymała medal złoty, dość poważnie się przedstawia, a okazy (grenlandzkich kryolitów, soli potażowych, ammoniakalnych etc.) zdają się być doborowemi.

Kleczkowski, którego buliony dobrze już znane w Warszawie, ma z nich na wystawie całą piramidę, ozdobioną krajobrazem dalekiej północy, (Pinega gub. Archangielska). Wyrabia bulion z jeleni północnych (reniferów); a przeważnie z wszelkiej dziczyzny. Fabryka urosła do takich rozmiarów, że wyrób odbywa się już w trzech miejscach i używa się do tego maszyn parowych. Za swój bulion ma już dwa medale i list pochwalny od zebrania naturalistów i lekarzy w Krakowie i na wystawie wiedeńskiej niezawodnie otrzyma nagrodę.

Wielki bilard Troszla z Warszawy, bardzo starannie odrobiony. Feista wyroby szcztokarskie tak piękne i wystawa tak obfita, że nie ma sobie równego na wystawie.

Szkoło Hordliczków w różnaitości niewielkiej, nie miało rywala, bo drugiej takiej fabryki w kraju nie mamy, ale najlepsze firmy czeskie, dały gnostowniejsze wyroby. Szkła białe, matowe, były piękne.

Lak Kadisona z Warszawy, w osobnej wystawie, różnaitości bardzo wielkiej. Podobne fabryki bardzo są pożądane, bo dotąd wszystek prawie lepszy lak sprowadzano z zagranicy.

Świece stearynowe Hocha z Warszawy, ułożone w piramidę, mają pozór bardzo dobry i robią nadzieję, że nie będą potrzebowały szczypców, tak jak inne świece stearynowe krajowego wyrobu.

Wróblewski z Warszawy dał świece woskowe i wielką ilość pięknych stoczków, często z ładnemi też ozdobami. Hr. W. Poletyło przysłał meble gięte do Wiednia, gdzie sławny Thones ma swoją ogromną, uprzywilejowaną fabrykę, ale bo też i wyrób nie wiele, albo i nic nie straci na porównaniu z Thonesem.

Wagi dziesiętne Weliaminowa Woroncowa, otrzymały nagrodę na ostatniej wystawie warszawskiej, a teraz ta sama firma występuje z wagami aptekarskimi różnej wielkości, odrobionemi ozdobnie z wielką akuratnością.

Optyczne przyrządy Pika, licznie przedstawione dowodzą, że i starannie mogą być wykończonemi wyroby tego zakładu, którego największą wadą są wysokie ceny.

Tegoż etnograficzna kolekcya bardzo dobra, jako pomocniczy środek do nauczania geografii, i minéralogiczna niezła, jeżeli tylko cena jest przystępną.

Chwat mniej dał okazów: na większą uwagę zasługują jego chirurgiczne instrumenta.

Nasi uczeni dali też na wystawę kilka wynalazków nieznanych jeszcze światu, np. Jastrzębowski swój gnomograf, wykonany przez Pika, a Drzewicki kompas, przyrząd do kontrolowania drogi żelaznej, regulator paraboliczny i inne, które byłyby bardzo pożytecznymi dla dróg żelaznych, jeżeliby się okazały praktycznymi.

Warszawskie fotografie trzymały pierwsze miejsce na wystawie. Najwięcej zwracały na siebie uwagi, jako najpiękniejsze, cztery portrety wielkich rozmiarów z pracowni Mieczkowskiego, z których dwa wykonane były na węglu, a do dwóch tylko użyto soli srebra, wszystkie jednak równie dobre, tak co do kolorytu, jak i miękkości cieniowania. Oprócz tego Mieczkowski przedstawił historią własnego postępu w sztuce fotografowania, zaczawszy od najlichszych daguerotypów i kończąc na tém co dziś na wystawę podaje.

Kloch i Dutkiewicz mieli też wiele ładnych fotografii: Miller i Kostka parę bardzo ładnych.

Heliominiatury Eli'ego były tak piękne, co do żywości kolorów i delikatności cieniowania, że równie pięknych na wystawie nie było.

Drzeworyty, litografie i cynkografie Regulskiego, Fajansa, Walkiewicza, redakcyi Kłosów świadczyły, że tego rodzaju sztuka nie jest u nas na niskim stopniu.

Jako zdobycz dla nauki, godne szczególnej uwagi preparata mikroskopijne tuberkulozów, starannie opracowane w 40 okazach, przez D-ra T. Heringa z Warszawy. Jest to wykazanie pierwszych zarodków patologicznych na płucach człowieka, przy dobrych warunkach, nie rozwijających się dalej, albo też w dalszym postępie wyradzających się w wyraźne suchoty.

Przyrodzenie obdarzyło nasz kraj nie zbyt szczupło. Marmury kieleckie, zebrane i przedstawione w 60 okazach przez A. Welkego, bardzo piękne. Kamień węgielny z Piotrkowskiego, węgiel i cynk z Gzichowa, Zagorza, Będzina, wcale niepoślednich gatunków. Cement portlandzki z Grodzca, wyrówna najlepszym tego rodzaju cementom. Wystawiony z niego wzór w rodzaju ołtarzyka, dowodzi, że jest zdatny do najdelikatniejszych tego rodzaju wyrobów.

Taką jest całość wystawy naszego kraju. Dość szczupła jest jeszcze i zadowolnić nas w tym względzie nie może, ale i to już jest pocieszające, że postęp w rozwoju przemysłowym widoczny.



# PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Egipt w czasach nowożytnych, przyczynek do historii cywilizacji obecnego stulecia, oraz do charakterystyki Wschodu i Islamu przez Maurycego Lüttke (Aegyptens neue Zeit etc. Leipzig. Brockhaus 1873, dwa tomy).*

Pan Lüttke, jeśli nas pamięć nie zawodzi, urzęduje jako konsul niemiecki w Aleksandrii; w każdym razie dzieło jego jest owocem osobistych, naocznych obserwacji, sądy jego są głosem naocznego świadka. Po krótkim szkicu niezmiernie długiej historii Egiptu sięgającej IV tysiąca lat przed narodzeniem Chrystusa, znajdujemy tu opis kraju, ludności, rządu, finansów, polityki, życia egipskiego szczególnie w Kairze, dzieje dynastji Mehmeda Alego i charakterystykę dzisiejszego władcy, Khediwe'go Izmail-Baszy. Z wielu względów najbardziej godną uwagi Europejczyka jest ludność koptyjska. Koptowie są potomkami owych starożytnych Egipcyan, u których się uczyli mądrości Mojżesz, Tales, Pytagoras, Herodot i Plato; rysy ich twarzy dziś jeszcze żywo przypominają prastare malowidła świątyn i pałaców tebańskich. Gdy z Palestyny wyszła wiara Chrystusowa, Koptowie najrychlej ją przyjęli, najgoręcej ją do serca brali (wiadomo że w pustyniach Tebaidy powstało życie pustelnicze i klasztorne) i pomimo dwunastu wieków ucisku muzułmańskiego, dotąd przechowali ją wytrwale, dotąd noszą wypalone na rękę znamię krzyża. W jakimże jednak typie ukazują się dzisiaj oczom europejskiego badacza? Niestety! w nader smutnym. W szerokiej sukni i turbanie Kopt różni się od Araba lub Turka z powierzchowności, tylko ciemno-kawowym lub czarnym kolorem ubrania; odznacza się wprawdzie zdolnościami umysłowemi, które mu otwierają drogę do urzędów, szczególnie sekretarskich, rachmistrzowskich, poborowych, ale nie posiada żadnego wykształcenia humanitarnego, zatracił zamiłowanie do nauk, jest obłudny, cheiwy, skryty, nieufny, ponury. Ta demoralizacja charakterów jest gorzkim owocem długowiecznego ucisku i niesprawiedliwych rządów muzułmańskich. Koptowie, niegdyś przejęci nienawiścią do Greków byzantyńskich, sami ułatwili Arabom podbój Egiptu, ci atoli nie



a nawet zabić bez sądu i sprawy. Szczególnie niebezpiecznie było opisać się z zamożnością, kosztownym strojem, pieniędzmi. To też Koptowie i muzułmanie są zarówno na pieniądze łakomi, ale je starannie zagrzebują w ziemi, ciesząc się nie używaniem lecz posiadaniem ich.

Obecnie Egipt jest na drodze reform. Nowa era zaczęła się od panowania Mehmeda-Alego, założyciela dziś panującej dynastyi. Ten niepospolity człowiek, przysłany przez sułtana z małym korpusem Albańczyków na służbę do baszy Kosrewa w 1800 r., zrećnie korzystając z nieustannych zatargów pomiędzy mamelukami i baszami, oraz z buntów wojska i ludności Kairu, potrafił w ciągu lat pięciu pozyskać popularność u ludu, oraz wpływ nieograniczony na wojsko; poczem opanował cytadelę Kairu, sam został baszą. Pamiętnym jest dla Egiptu szczególnie dzień 1 marca 1811 r., kiedy Mehmed zaprosił wszystkich bejów mamelukich (a było ich 480) na uroczystość mianowania syna swego Tussun-Baszy wodzem wyprawy wysyłanej do Arabii. W świątecznych szatach i bogatych zbrojach bejowie tłumnie wjechali w kręte i wązkie przejścia cytadeli; wtém pada na nich grad kul tak rzęsisty, że zanim się opamiętali, zanim zdążyli skierować wstecz konie, już masa trupów zawałiła drogę. Albańczycy wystrzelali ich wszystkich, nie narażając się nawet na niebezpieczeństwo walki. W tym czasie Mehmed chodził blady, krokiem niespokojnym w swoim pałacu; odetchnął dopiero wtedy, gdy mu zaczęto znosić głowy pomordowanych bejów. P. Lüttke skreślił dokładnie wszystkie późniejsze przedsięwzięcia administracyjne, wojenne i polityczne Mehmeda, świetne zwycięstwa nad Turkami syna jego Ibrahima, interwencją mocarstw europejskich, która zmusiła dumnego Baszę poprzestać na stosunku hołdowniczym do Porty, rzec się Azji mniejszej i Syryi. Przesuwają się następnie w opowieści Abbas-Basza, Said-Basza i nareszcie obecnie panujący z tytułem Khedywa Izmael-Basza, syn sławnego Ibrahima. P. Lüttke przyznając mu świetne wychowanie salonowe, nabyte w czasie długiego pobytu we Francyi, nie zbyt wysoko trzyma o jego przymiotach monarszych jako administratora i cywilizatora. Cywilizatorstwo Khedywa jest czysto powierzchowne i ogranicza się w gruncie do wprowadzania mód francuzkich, do ubierania lokajów w wytworne liberye, do budowania i meblowania pałaców z bajecznym przepychem. W Kairze jest opera włoska i teatr francuzki, na którym produkują się najdrastyczniejsze utwory paryzkich repertuarów, a ponieważ damy haremowe nie rozumieją nadsekwańskich dowcipów i dwuznaczników, więc drukarnia rządowa w Bulaku wydaje tłumaczenia na język arabski. Ale w zarządzie kraju wszystko idzie po dawnemu: zdzierstwo, przedajność urzędników, „bakszysze,“ samowola przechowują się w takiej samej mierze, jak w innych krajach wschodnich. Co prawda, nie jest to bynajmniej łatwem zadaniem zaszczepić cywilizacyą europejską w narodzie muzułmańskim. Dostojni agowie i bejowie, dowiedziawszy się, że w parlamentach europejskich po lowej stronie zasiadają członkowie opozycyi, rzucili się wszyscy ku prawej

stronie sali i minister stanu miał nie mało kłopotu, zanim przekonał, że można siedzieć i na lewicy, nie ściągając na siebie gniewu Khedywa. Komedya parlamentarna odbywa się według regulaminu, lecz gazeta rządowa nie ogłasza dyskusji.... dla prostój racyi, że jej nigdy nie bywa.

Dzielo p. Lüttke pomimo pewnego zaniedbania w redakcyi (jedne i te same uwagi powtarzają się czasem po dwakroć), jest bardzo interesujące dla historyków i polityków.

T. K.

*Jędrzej Śniadecki. Teorya jestestw organicznych w obec dzisiejszych pojęć o życiu, przez Zygmunta Kramsztyka.*

Stuletnia rocznica Jędrzeja Śniadeckiego w głuchém milczeniu ubiegła. Miałżeby naród zapomnieć jego zasług na polu wiedzy narodowej i koło wychowania publicznego położonych? miałżeby obojętnością spłacać najświętszy dług, jaki potomność względem swych kierowników zaciąga? Szczęściem tak nie jest.

Wprawdzie i pod tym względem o wiele nas ubiegli nasi sąsiedzi Zachodu, wszelako na usprawiedliwienie nasze znaleźlibyśmy nie mało okoliczności łagodzących. Nie odrazu bowiem narody dochodzą do poszanowania nauki i uczonych, ani téż w jednaki sposób uczczenia swe wyrażają. W społeczeństwach początkowych, gdzie pojęcia religijne nie przybrały jeszcze pewnej formy, spotykamy tam wyłączne panowanie siły fizycznej i ubóstwianie swych bohaterów za życia i po śmierci. Wszakże prawo silniejszego, oparte na fantazyi osobistej a zatém z natury swój wielce niestałe, nie może zadowolnić umysłu ludzkiego. Ztąd narody na najniższym nawet szczeblu będące, usiłują prawo temu dać gruntowniejszą podstawę, przyoblec je wyższą siłą moralną— poddać zasadom religii.

W tym drugim okresie czczą wyłącznie duchownych i świętych.

Atoli w dalszym ciągu rozwoju społecznego, prawo moralne samo przez się nie wystarcza narodowi. Zasada ciągłej ofiary i poświęcenia, wychodzi z trybu życia codziennego. Niepokojny i badawczy umysł ludzki wyszukiwał sobie innych dróg, bardziej zgodnych z potrzebami życia. Tym sposobem obok idei poświęcenia powoli wyrabiała się idea obowiązków społecznych, ujętych w następstwie w prawa społeczne, czyli, obok religii powstawała wiedza. Źródłem dla pierwszej było uczucie, źródłem zaś drugiej, rozum. Obiedwie one wzajem się dopełniały i jedna bez drugiej istnieć nie mogły. Prawo moralne jest, że tak powiem, cementem w gmachu społecznym, wszakże kształt samój budowie nadaje wiedza. Jak wszelka budowa bez cementu istnieć nie może, tak również mając cegłę i cement, bez określonego planu, budowy wznieść nie zdołalibyśmy.

Wspaniały jest zaiste widok pięknej budowy architektonicznej, lecz stokroć wspanialszą jest budowa społeczna narodu, gdzie indywiduala zastępują cegły; prawo moralne, cement; a wiedza narodowa, artystę budowniczego. W tym okresie dopiero naród dochodzi do samowiedzy i wówczas oddaje hołd nauce i geniuszom swoim.

Czy doszliśmy do tego ostatniego okresu, do należytego pojmowania obowiązków społecznych, do samowiedzy narodowej? zostawiam to do rozwiązania czytelnikowi.

Nie pozostaje wszelako wątpliwości, że na tej drodze pracy organicznej postępujemy. Dowodem tego są wydawnictwa, na wielką skalę podjęte wielu naszych narodowych pisarzy, rozwój obecnego piśmiennictwa w bardziej wszechstronnym kierunku rozbudzony, wreszcie coraz głębsze studia naszej przeszłości, aby w niej odnaleźć ogniwa łączące naszą wiedzę z wiedzą ogólną europejską. Takiem to przodującym ogniwiem w rozwoju nauki o życiu, okazał się nasz Jędrzej Śniadecki.

Myśl uczczenia jego pamięci, jak każda dojrzała idea, powstała naraż u wielu. Nie jest przeto wcale objawem chwilowym, raczej planem dojrzałego rozmysłu.

Warszawskie Towarzystwo Lekarskie pierwsze postanowiło w nowym swym gmachu powitać najpierwszego z polskich lekarzy-filozofów, ozdabiając jego posągiem salę posiedzeń. Następnie decyzyą tegoż Towarzystwa, wyznaczonem zostało premium za najlepszą rozprawę o dziełach Jędrzeja Śniadeckiego. Zupełnie niezależnie od Towarzystwa Lekarskiego, znany miłośnik naszej przeszłości T. P..... podjął się nowego wydania wyczerpanych w handlu księgarskim dzieł Jędrzeja Śniadeckiego. Możnaż bowiem temu mężowi trwalszy pomnik wystawić?

Z dzieł jego młode pokolenie się dowiędzie czém był Jędrzej Śniadecki w epoce swojej, i o ile ją wyprzedzał; czém wreszcie była Wszechnica Wileńska w rodzinie uniwersytetów europejskich.

W samą tedy porę, przybywa nam rozprawa p. Z. Kramsztyka o głównej pracy Jędrzeja Śniadeckiego, o której słów kilka tutaj powiedzieliśmy zamierzaliśmy.

Przedmiotem niniejszej pracy, mówi autor w przedmowie, jest straszczenie zasług Śniadeckiego dla fizjologii i to tylko dla fizjologii ogólnej. Z tej strony postanowił p. Kramsztyk dać poznać genialną postać Śniadeckiego dla szerszego koła publiczności. Innych stron autor całkiem nie dotyka, chco go uwydatnić tylko jako fizjologa. Przyznać należy, że najlepszą cząstkę autor sobie wybrał.

Lubo o istocie samego życia niewiele dziś więcej wiemy od mędrców starożytnych, atoli w ciągu ostatnich trzydziestu lat, tak wielkie zdobycze zubożyły naukę o życiu w ogólności (biologię), że ta gałąź wiedzy zupełnemu przekształceniu uległa. Niedawno jeszcze znakomici myśliciele: Linneusz, Cuvier i Bichat będący źródłem ówczesnej nauki; stoją dziś daleko przez innych ubiegnięci. I gdyby dziś zechciał kto-

kolwiek idąc za przykładem Linneusza i Cuviera twierdzić o różnicy roślin i zwierząt, stałości gatunków i nagłych przewrotach ziemi, lub zgodnie z Bichâtem przeszło 20 różnych tkanek utrzymywał, niewątpliwie okazałyby przeto wysoki stopień zacofania w tej mierze.

Gdy tak się rzecz ma z największemi koryfeuszami nauki, jakizby los spotkał naszego rodaka, który ani za życia, ani też po śmierci nie posiadał równej wziętości? jakie miejsce znalazłaby jego teoria jestestw organicznych, wobec dzisiejszych pojęć o życiu?

Śniadecki należy do tych wyjątkowych ludzi, co wyprzedzają znacznie swą epokę, którzy będąc z przyrodzenia obdarzeni silną i jasną dedukcyą, w odległej przyszłości widzą ukryte przed innemi światła. Z tego względu nauka dzisiejsza o życiu stwierdziła tylko na drodze doświadczalnej wnioski, przed siedmudziesięciu laty w jego nieśmiertelném dziele wypowiedziane.

„Najważniejsza prawda, do jakiej w nauce o życiu przyjść można było, powiada nasz myśliciel, jest ta, że życie jest jednym i nigdy nieustającym procesem organicznym, albo nigdy nieustającą assimilacją.“ Albo dalej gdy mówi: „życie jest wypadkiem wzajemnego działania materii ożywniej, nieożywniej lub nieorganizowanej, na też materię ożywną i organizowaną, jest pewnym egzystowania materii sposobem i w niej tylko miejsce mieć może.“ Czyż nie to samo dzisiejsza szkoła pozytywistów utrzymuje, podług której życie jest tylko wynikiem zetknięcia się organizmu ze środkiem otaczającym, a zatem zależy od wzajemnego działania materii ożywniej na ożywną. Niemniej głębokie i jasne zapatrywanie się widzimy z tego co mówi dalej: „Życie w materii ożywniej w powszechności jest ciągłą przemianą formy, w danej formie ciągłą przemianą materii.“ Niepodobna nam tu wyliczać wszystkich jego rozumowań o życiu, które oddawna już uzyskały prawo obywatelstwa w nauce, przynosząc komuś innemu niezasłużone pierwszeństwo.

Śniadecki żyjąc w epoce witalizmu, w czasie panowania teoryj: Huntera, Bichâta, Newtona, J. Müllera, w pojęciach swoich o sile żywotnej wznosił się znacznie wyżej nad współczesnych. W owej epoce odrodzenia nauk, w epoce że tak powiem, fizycznego i umysłowego zalewu Europy przez Francję, w tej powszechniej powodzi nikły tysiące śmiertelników na zawsze; jeden tylko nasz Śniadecki, stojąc na stanowisku podnioslejszóm, uniknął ogólnego zatracenia.

Siła żywotna podług niego, to początkowo nadana siła organizacyjna; życie zaś, to ciągła organizacja (assimilacja). Cóż inszego powiada dziś najpierwszy z fizyologów-filozofów Klaudyusz Bernard: „Życie to ciągłe tworzenie (La vie c'est la création). To co jest wyłączną cechą życia, nie należy ani do chemii, ani do fizyki, ani do żadnej innej kategorii działaczy; jestto idea przewodnicząca (l'idée directrice) tym wszystkim przeobrażeniom żywotnym. W każdym zarodku organicznym, mówi dalej, jest idea twórcza (l'idée créatrice), która się rozwija i ujawnia przez organizację. W ciągu całego życia istota orga-

niczna zostaje pod wpływem tój idei, która sama tworzy i kieruje“ (l'Introduction à la médecine expérimentale p. 119, 129, 151).

Widzimy z tego, że pojęcia Śniadeckiego siły żywotnej, wiele się zbliżyły do pojęć Klaudyusza Bernarda. O tyle jeszcze dziś dla nas tajemniczą jest siła kształtująca (organizacyjna i krystalizacyjna), o ile nieznaną siłą samego powinowactwa chemicznego i w ogóle istota każdej siły przyrodzonej.

Pierwsze wydanie „Teoryi Jestestw“ nastąpiło w czasie, gdy jeszcze nauka embryologii nie istniała prawie, a zatem i morfologia która z niej w następstwie rozwinęła się, nie była całkiem znaną Śniadeckiemu. Nic przeto dziwnego, że nieznając nauki przekształceń pojedynczych organów, nie mógł także wyjaśnić możności przeobrażeń całego organizmu, czyli przeobrażeń gatunków. Teorya Darwina powstać mogła tylko, na podstawie późniejszych odkryć. Śniadecki utrzymywał stałość gatunków, lecz jednocześnie przyjmował stopniowe ich ukazywanie się. „Formowanie się jednych jestestw organicznych, mawiał on, będzie wstępem i przygotowaniem do formowania innych, a życie całej organizowanej jedności, nietylko ciągłym procesem organicznym, ale i ciągłą zamianą jednych części w drugie. W takowym zaś ogólnym i nieustannym materji ożywniej obrocie, formowanie się członków organicznych jest porządnie następne i bytność jakichkolwiek następnych supponuje koniecznie bytność, tuż poprzedzających i tak porządnie aż do *najpierwszych*. Tak, że gdyby jestestwa organiczne całkiem zniszczone być mogły i rozpocząć się na nowo miały, tedy musiałyby koniecznie rozpocząć od najpierwszych wielkiego tego szeregu członków, po uformowaniu się których następowałyby tuż z nich powstające i tak dalej, aż do ostatnich. Lecz co się dzieje w ogromnej całego świata machinie, toż samo, *tyl samym porządkiem*, i podług tych *samych praw* odbywa się i w każdej pojedynczej budowie. Każda roślina, zwierz, każdy człowiek, rozpoczynają się w szczupłej bardzo cząstce, w jednej kropli płynu, w której raz rozpoczęty bieg życia swoim porządkiem idzie coraz dalej, wyrabiając i rozwijając coraz nowe soki i narzędzia, dopóki naroszcie do ostatniego kresu doskonałości, wzrostu swego nie dojdzie.“

Idea stałości gatunków w umyśle Śniadeckiego była głęboko zakorzenioną. Widząc niepodobieństwo wyprowadzania i utrwalania nowych rass, ze skrzyżowania odległych od siebie gatunków; wreszcie jako chemik spostrzegając stałość pierwiastków przyrodzonych natury, mógł w tón upatrywać stałość gatunków. Pod tym względem nie wyprzedził swój epoki. A jednakże w kwestyi obrotu materji, po mistrzowsku przez niego skreślonej, sam niejako daje podstawę dla późniejszej teoryi descendency. „Można, mówi on, całą ożywną część świata naszego uważać za *organiczną jedność*, której rodzaje i gatunki są rozmaitemi członkami, ale tak nawzajem pomiędzy sobą związanemi, iż jedno nieuchronnie są potrzebne do bytności drugich, iż sobie pomagają i usługują nawzajem, iż jedne przygotowują żywność drugim i życie swoje w nie że tak rzekę przelewają. Żo zatem życie tych ostatnich jest *kontynuacją*

i *ulepszeniem* życia pierwszego. W takowym zaś względzie będzie formowanie się jednych jestestw organicznych, wstępem i przygotowaniem do formowania się innych, a życie całej organizowanej jedności, nietylko ciągłym procesem organicznym, ale ciągłą zamianą jednych części w drugie.“ Przytoczyliśmy tu tylko krótki ustęp, ażeby dać poznać całą głębokość jego pomysłów. Z zupełną zatem słusnością powiada p. Kramsztyk (s. 41): „obieg materji to jedna z najważniejszych prawd w przyrodzie. U Śniadeckiego napotykamy nie pierwsze niepewne świadectwa, jakie poprzedzać zwykły wielkie rewolucje w nauce, ale prawdę zupełną, z całą jasnością i w całym jój obszarze ujętą w systematyczną całość. Jako odkrywca tak wielkiego prawa, Śniadecki zajmuje pierwsze miejsce, pomiędzy pierwszymi myślicielami świata.“

Niemniej pojmował on jasno walkę o byt. „Wszystkie zwierzęta powiada, zajęte są ciągle wyszukiwaniem, zgromadzaniem sobie materji, ubiegają się za nią, wojnę jedne z drugimi tworzą, niszczą się i pożerają nawzajem. Ten to ostateczny zamiar, to prawdziwa przyczyna wszystkich starań i zabiegów człowieka; to prawdziwe źródło jego przemysłu, który rośnie lub opada w miarę jego potrzeb; ten powód jego chciwości, zazdrości, ambicyi, chęci celowania nad innych: jedném słowem, wszystkich jego namiętności i poruszeń.“

Zarówno w kwestji obiegu materji, jak i w pojęciach walki o byt, Śniadecki staje na stanowisku dzisiejszej nauki.

Piękny ustęp o sile słonecznej, wygląda tak, jakby był z dzieła prof. Tyndalla wyjęty. „Słońce, powiada, jest jedną z istotnych i koniecznych przyczyn życia roślinnego, czyli jedną z sił życie to stanowiących. Bez niego materja ożywcza całą powierzchnię ziemi zajmująca, organizowaćby się i żyć nie mogła. Bez niego, żadne przyzwyczajenie, żaden process organiczny, a zatem i życie miejscaby mieć nie mogło.“

Jeżeli holdując ówczesnym niektórym teoryom, Śniadecki staje w sprzeczności z zasadami tegoczesnemi, łatwo to pojąć i wybaczyć mu można. Natomiast możemy podziwiać geniusz człowieka, który tak jasne postulaty postawił w nauce biologii, na lat kilkadziesiąt przed odkryciem komórki przez Schwanna i Schleidena!

W ogóle p. Kramsztyk małuje z życiem i ze znajomością rzeczy, stanowisko Śniadeckiego, w obec dzisiejszej nauki o życiu. Atoli przedstawiając go jako fizyologa, gdyby zechciał wprzód wykazać znaczenie jego dla ówczesnej fizjologii i porównać go ze współczesnymi mu fizjologami; postać Śniadeckiego przez toby się bardziej uwydatniła i łatwiej ocenić moglibyśmy stanowisko jego w ogólnym rozwoju wiedzy. Dziś na tém polu wszyscy inni współcześni mu koryfeuszowie nauki, wychodzą bardzo nie szczęśliwie. Z całej owój epoki najwięcej zasług dla biologii położył Lavoisier. Genialny twórca chemii z równym prawem mógłby się nazywać twórcą biologii. Cała bowiem dzisiejsza nauka o życiu, ugruntowana stoi na jego nieśmiertelnej zasadzie, że „*między przyrodą organiczną a nieorganiczną, nic się nie tworzy i nic nie ginie.*“ Maż co



wyłosił i udowodnił podobną zasadę, dokonał stokroć większej rewolucji w dziedzinie myśli, niż owa wiarołomna siostrzyca, która go na śmierć skazała. Najgodniejszym jego następcą był nasz Śniadecki.

Sądzymy przeto, że nieobojętnóm będzie dla naszej publiczności dowiedzieć się jakie znaczenie ma „Teorya jestestw organicznych“ w obec dzisiejszych pojęć o życiu.

„Te wspomnienia (pisze autor w piękném zakończeniu) nie mają na celu ukołysać tylko dumę narodową. Mają one wspomnieniem świetniejszej przeszłości rozbudzić szlachetną, chęć naśladowania, mają obudzić odwagę myśli naukowej w narodzie i jedną nicią tradycyi przyszłość naszej nauki, powiązać z temi gwiazdami przeszłości.“

Dr. W. Szyszło.

*Homo versus Darwin, czyli sprawa o pochodzenie człowieka;  
z angielskiego przełożył D-r Bonifacyusz Nemo. Warsz. 74.*

Przed lordem C. toczy się sprawa, t. j. spór o pochodzenie człowieka. Spór ten wiodą *Darwin*, rozwijający swoją dziś tak słynną teorią i *Homo*, który jęj przeczy i ztąd też napis książeczki („Człowiek przeciw Darwinowi” *Homo versus Darwin*). Treść dziełka rozwiniętą jest w sześciu posiedzeniach. W pięciu pierwszych, strony bronią swęj sprawy, w szóstém lord C. objawia wyrok. Wykład sprawy prowadzony jest żywo i zajmująco, i może zarówno zadowolnić i Darwinistów, i przeciwników ich; główne bowiem zasady teoryi Darwina, o pochodzeniu wyrażone tu popularnie i wiernie, a na każde twierdzenie Darwina, człowiek odpowiada dobitnie. Darwin w obronie swęj sprawy, powtarza treść przedostatniej swęj publikacyi: „Pochodzenie człowieka” i wykazuje kolejno, iż szczegóły fizyczne formacyi istoty ludzkiej, dojrzałego jęj składu, oraz umysłowe i uczuciowe, znajdują się wzystkie, jakby w zarodku w istotach niższych i wnosi ztąd, iż jak cały świat istot tak ostatecznie i człowiek jest objawem stopniowego rozwicia się pierwszej niegdyś życiem obdarzonej istotki. Człowiek nie przeczy wcale, iżby między człowiekiem i gatunkami zwierząt, nie istniały podobieństwa i wielkie; lecz dodaje, iż *podobność* nie jest *tożsamość*, iż od czasów nam znanęj historyczności nie mamy dowodu, iżby gatunek jeden, przemienił się w inny, a nawet, iżby zaszły jakieś odmiany nasze w jednym gatunku: że przeto wniosek Darwina jest bezdowodnym, a nadto, iż jest przeciwnym nauce Biblii, która mówi, iż człowiek stworzonym został aktem oddzielnym na podobieństwo Boże, a nie jakiejś istoty niższęj. Lord C. w wydanym wyroku, podzielił wnioski człowieka i kończąc dodał, iż jakkolwiek sam Darwin zaprzecza, iżby miał być ateistą, ale „praktyczny Darwinizm jest ateizmem i to ateizmem najokropniejszego gatunku, niedającym żadnej nadziei.”

Nie będziemy tu wdawać się w szczegóły i wywodów i sporów dwóch przeciwników (nie ta treść bowiem zdaje się być celem głównym książeczki), powiemy zaś tylko, iż Darwin broni każdego z swych twierdzeń loicznie i jasno, a na każde z tych twierdzeń odpowiada mu człowiek także i loicznie i jasno. Czy jednak każdy czytelnik zgodzi się na ostateczne wnioski i wyrok lorda C., wypada wątpić. *Homo* istotnie wprawdzie i wykazał i dowiódł Darwinowi, iż każde twierdzenie jego jest ostatecznie hipotezą albo sofizmatem; lecz nawzajem i Darwinista rzec może, iż każde twierdzenie człowieka jest ostatecznie także tylko hipotezą albo sofizmatem. Weźmy np. odpowiedź człowieka główną i wmieszczającą w siebie całość sprawy. Mówi on, iż niedawno odkryte w starym Egipcie egzemplarze gatunków istnących przed 3000 lat, są podobne bez żadnej zmiany do egzemplarzy tych gatunków dziś istniejących, wnosi więc, iż jest to fakt pozytywny, że *bieg czasu nie sprawia żadnej zmiany w gatunkach*. Darwin odpowiada wprawdzie, iż co nie sprawia lat 3,000, to sprawić może 300,000, ale mu człowiek na to: „Zero przemnożone przez trzykroć, a nawet przez trzykroć milionów, w wypadku daje nam zawsze zero.” Odpowiedź jest loiczna, ale przyjaciel Darwinizmu rzec może, iż jest ona więcej dowcipna niż słuszna, różnice bowiem w rozwiciu gatunków od czasów nawet historyczności, nie są konieczne na zero. Rozwój istot na ziemi upatrywanym być winien w ostatnim, wypadkowym utworze tego rozwoju, t. j. w człowieku; różnica zaś między przymiotami, dziełami, bytem pierwotnych ludzi a ludzi dzisiejszych, czyliż jest zerem? różnica ta, może nawet rzec Darwinista, dobitnie nam owszem zwiastuje przerodzenie z czasem i tego ostatniego rodzaju istot (ludzi) w nowy duchowy rodzaj. Lord C. mówi w wyroku, iż „Darwinizm jest ateizmem,” czemu? Ponieważ Biblia nas uczy, iż człowiek stworzonym został „aktem oddzielnym, Wszchemocą Bożą.” Przedmiotu tego, jako związanego tak ściśle z harmonią ogólnego poznania ludzkiego dotykaliśmy nieraz i tu jeszcze raz go dotknijmy. Ci, którzy utrzymują, iż teoria Darwina jest kontrastem z opowiadaniem Biblii, nie powiedzieli nam nigdy, jak pojmują praktycznie ten fakt stworzenia według opowiadania Biblii. Czy w owym dniu 5-ym i 6-ym Genesis, co chwila obok jednego gatunku zjawiał się podobny mu drugi przez samorodztwo? czyli tóż co chwila, (jak wyrażał, szydząc z dziecińczych pojęć ludzkich ś. Augustyn) zjawiała się jakaś wielka materyalna ręka i kładła na ziemię nowy utwór? <sup>1)</sup> Ale i samorodztwo, i materyalność w Istocie Bożej, nie są to wcale brzmienia chrześcijańskie. Nauką chrześcijańską jest owszem, iż Bóg jest *Duchem*, jego działanie duchowe, więc niewidzialne, oraz iż jest

<sup>1)</sup> Kilka wyrażonych tu uwag czytelnik może znaleźć w bliższym wyjaśnieniu, w artykule umieszczonym w Nr. 82 Gazety Polskiej z r. b. pod napisem: *Hipoteza Darwina jest czy nie jest antychrześcijańską?*

stworcą i rządzcą tego wszystkiego, co tylko i w jakikolwiek sposób się staje. Czyli to więc stworzenie pierwszego człowieka, dopełniło się przez zwane tak samorodstwo, czy w sposób jakiego domyśla się Darwin, czy też w jakiś sposób trzeci i czwarty, na jaki nie wpadł dotąd umysł żadnego naturalisty; o każdym z tych sposobów, czyliżby można rzec, iż nie byłby on sprawą Wszechmocy Bożej? Co do nauki *Genesis* dodajmy jeszcze, iż według brzmienia jej słów, ciało ludzkie utworzył Bóg z *mułu* ziemi, (t. j., jak uważa większy przyjaciel Biblii, niżeli Darwin, naturalista angielski *Mirart*, z materyi *już istnącej*, symbolicznie nazwanej mułem), oraz iż w ciało to, Bóg natchnął następnie  *ducha*  na podobieństwo swoje. Brzmienia Biblii nie są więc nawet w zbyt wielkim kontraście z teorią nową. Nie twierdzimy wprawdzie, iżby autor *Genesis* był Darwinistą, lecz jak mówi tenże, dopiero wspomniany D-r chrześcijański. „Być może, iż Mojżesz, pisząc *Genesis*, słowa swoje brał w sensie literalnym, ale ten Duch, który dyktował słowa te Mojżeszowi, wiedział i o tych wszystkich znaczeniach, w jakich następnie będą mogły być brane“ (*Confess. VII*). W XVI i XVII wieku był dosyć powszechny alarm, iż system Kopernika jest kontrastem z nauką Biblii, w tej bowiem czytamy słowa „stój słońce!“ system zaś uczył przeciwnie, iż gwiazda ta stoi zawsze. Uznano jednak następnie, iż owe wyrażenie historyczne Biblii, znaczyło właściwie tylko: „Zatrzymaj się światłości słoneczna!“ bez przesadzania sposobu, w jaki to stać się mogło i nie stawało przeszkodą systematowi. Toż samo jest dziś i z teorią Darwina. Biblia mówi, iż Bóg stworzył człowieka, lecz nie objaśnia „jak,“ mówi o tém, jako o akcie oddzielnym, lecz nie przesądza ani sposobu, ani czasu nastania tej oddzielności.

Ci namiętni przeciwnicy teorii Darwina, którzy w każdym przeciwniku jej widzą przyjaciela religii, a w każdym jej stronniku nie-przyjaciela religii, nie oddają tej ostatniej dobrej przysługi; jeśli bowiem hipoteza tu Darwina, jak niegdyś Kopernika, znajdzie z czasem swego Keplera i swego Newtona i okaże się, że nie jest tylko hipotezą, tedy ich dowodzenia usilne, iż jest ona wręcz zaprzeczeniem Biblii, nie pójdą wcale na korzyść bronionej sprawy.

W ocenianiu i rozjaśnianiu dzieł myśli Bożej, winniśmy raczej ciasne pojęcia nasze możliwie rozszerzać i wznosić, nie zaś na każdy widok naruszania tej jawnej ciasności ich, wznosić alarmy.

Żałujemy, że pisarz tego ukształcenia naukowego i tój zdolności, jak tłumacz obecnego dziełka, zajął czas swój przekładem książeczki, zajmującej wprawdzie, napisanej szykownie i z dodatnim według zadania celem (etycznym i religijnym), ale która właściwie mówiąc, ma cel skrzywiony.

*Sztuka, zarys jej dziejów, zarazem podręcznik dla uczących się i przewodnik dla podróżujących.* 104 drzeworytów. W Krakowie w drukarni „Czasu“ 1872. Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych. (W 8-ce str. IV, 401 i CL. XXIX). *Zabytki sztuk pięknych Krakowa*, I pomniki architektury od XI—XVIII wieku ze stanowiska historii sztuki, objaśnił Władysław Łuszczkiewicz. — W Krakowie w drukarni Leona Paszkowskiego 1872 r. (w 8-ce str. 96).

Nie mieliśmy dotąd książki, któraby dawała pojęcia o tém czém jest sztuka, i gdzie szukać wyraźnych jej śladów. Znakomite estetyczne dzieła Libelta i Kremera, są zbyt mało upowszechnione i dostępne tylko małemu gronu lubowników. Autor skromnie zaleca swą pracę, chociaż nie małego znaczenia, gdy pisze: „Największą pochwałą dla mojej książki będzie, jeżeli ją krytyk sumienny, dobrym elementarzem nazwie.“

Piśmiennictwo polskie niema tego ogromu zasobu monografii, ani prac przygotowawczych, jaki w zakresie badań posiadają Włosi, Francuzi, Niemcy i Anglicy; dzieła przeto ich uznanej wartości, za wzór naszemu autorowi służyć musiały. Wymienia je szczegółowo w swym wstępie, korzystał nadto z prac rodaków, którzy o sztuce pisali jak Libelt, Kremer, Kraszewski, Siemieński, Sobieszczański, Rastawiecki, Podczaszyński, Struwe, Lewestam, Klaczko, Buszard i inni.

Pomimo to książka prof. Łepkowskiego nie jest kompilacją: jset samoistną pracą opartą na mnóstwie źródeł, uznanej wartości. Tysiące notat, streszczających ważniejsze dzieła weszło w tę księgę, umiejętnie użyte i pomieszczone. Samodzielne poglądy autora, znajdujemy najwybitniejszymi w dziale pierwszym jego dzieła. Dzieli się ono na dwie niezależne części: pierwsza zawiera wiadomości wstępne, pierwotną sztukę w kolebce, znamiona i cechy stylów, zarysy dziejów sztuki, i dodatkowo do nich żywoty najznakomitszych budowniczych, rzeźbiarzy i malarzy. Druga część ma skorowidz dziejów sztuk pięknych z epoki chrześcijańskiej i wykaz miejscowości, w których znajdują się najcenniejsze zabytki sztuki.

Ze szczególném zamięrowaniem opracowane są tu czasy przedhistoryczne i style chrześcijańskie, style ostrolukowe i rzecz o budowlach z drzewa, które mistrzowskim ołówkiem Matejko odtwarza i przechowuje od zagłady. Po raz pierwszy, w pogląd na zabytki sztuki wchodzi i naszego kraju pomniki, o których gdzieindziej głucha cisza. A dobrym znawcą w tym przedmiocie jest sam autor. I tu nie mała zasługa jego. Cudzoziemcy dopióro bowiem od wydania „*Wzorów sztuki średniowiecznej*“ Aleksandra Przezdzieckiego i Edwarda Rastawieckiego, zaczęli poznawać co jest u nas w tój gałęzi.

Dla podróżnych szacownym jest wykaz miejscowości, w których się celne zabytki sztuki mieszczą, szczególnie w Włoszech, Hiszpanii, Francji, Niderlandach i inn. Nie pominął i własnego kraju, Czech, Ślązka, Morawy i Spiżu. Te wzmianki mogą niejednego zatrzymać w drodze, ażeby spojrzeć na drogocenne zabytki przeszłości, które się potrafiły dochować.

*Elementarz* więc ten sztuki, ma większe zalety, niż je sam autor wykazuje: dodajmy do tego, że pomimo suchości przedmiotu, umiёт z właściwym sobie talentem, tak jak i w poprzednich archeologicznych badaniach, ożywić ciepłem uczucia, i poezją opromieniać. Przywiązanie do przedmiotu który wziął za cel główny prac swoich, sprawia, że czytelnik znajduje powab i zajęcie nie małe, w odczytywaniu tych stronnic, mozolną pracą i studjami poprzedniami lat długich obmyślone i zapisane.

Wydanie staranne, a pomimo ilustracyi 104 drzeworytami troskliwie odbitemi, cena niska, co właśnie zaleca *wydawnictwo* krakowskie.

*Zabytki sztuk pięknych Krakowa* prof. Władysława Łuszczkiewicza, są jakby dalszą księgą powyżej wzmiankowanego dzieła. Autor ogranicza się, jedynie na samym Krakowie, tym grodzie starym, który w swych murach przechował dotychczas wszystkie cechy średniowiecznego miasta. Gruntownie znający swój przedmiot, jeszcze w roku 1869 wydał obszerną rozprawę p. n. „*Wskazówka do utrzymywania kościołów, cerkwi i przechowanych tamże zabytków przeszłości*.” (Kraków w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, w 8-ce str. 67). Skłoniła go do téj pracy zacna myśl, ażeby naukowemi wskazówkami pokazać wartość zabytków sztuki przechowanych dotąd po kościołach naszych i uchronić je tym sposobem od zepsucia lub zagłady. Zaprawdę, to co nam przyszłość dochowała w zabytkach sztuki, zamknęło się dziś głównie w naszych kościelnych gmachach.

Ruiny zamków, pałaców, dworów, ratuszów, trochę połamanych mieczów i buław przechowanych po zbiorach prywatnych i publicznych, oto spuścizna naszej świeckiej sztuki na polu sztuki i rękodziel: duchowe tylko życie narodu, przetrwało nieskażenie pomnikami w obrębie kościołów miejskich i wiejskich.

Stróżami ich są duchowni: w tym celu, wskazówkę powyższą opracowaną pod kierunkiem oddziału sztuk i archeologii w b. Towarzystwie naukowym krakowskim, rozsyłano bezpłatnie po parafiach i plebaniach. Drzeworyty wśród tekstu, objaśniają sam przedmiot dokładniej.

W rok później Józef Kremer ogłosił drukiem studia swoje nad gmachem *Sukiennic*, i o *Bramie Floryańskiej*, wymownie podnosząc właściwe znaczenie tych budowli średniowiecznych. Na tle historycznym rozwija wspaniały obraz Krakowa, rodzinnego swego miasta, na którego obszernym rynku stały *Sukiennice* wzniesione przez Kazimierza Wielkiego. Gmach ten łączy się ściśle z dziejami handlowemi tego grodu.

Przedmiot ten głównie zajął uwagę autora *Listów z Krakowa*, gdy zaczęto myśleć w roku 1867 o odbudowaniu *Sukiennic*, które grożą ruiną, przy zachowaniu troskliwém wszystkich cech jego z XIII wieku.

Drugą historyczną budowlą Krakowa jest *Brama Floryańska*. Z jakimże rozmiłowaniem nasz myśliciel ją opisuje, i widok z niej otwierający się na rynek miasta.

„Budynek ten rotunda—pisze—wystrzelił w siedm śmigłych wieżyczek, opasał się od góry wypustem wydatnym, i wieńcem siwych sporników, a od dołu i znowu wyżej, i znów najwyżej, czernią się rzędy strzelnic groźnych. Zabytek ten, niby rycerz dawny, stojący na straży, butny a poważny, orężny a gracyjny. A po przez bramę, jakby po przez ostrołukie ramy, wędrowiec widzi obraz magiczny: jesto świątynia Boga-Rodzicy, nasz kościół *Panny-Maryi*. On w modrzej dali zanurzony w powodzi światłości, opływa go *gloria*, ku niebu jakby nadziemskie tony *hajnatu* wlatuje słynna na świat wieża: wieża na wysokościach eterycznych unosi ze sobą wieniec wieżyczek smukłych, a jeszcze wyżej rozbija się strzałą napowietrzną; tam płonie korona złocisto-gwiazdzista na tle niebios błękitów. Gdy tak zdała roztoczony obraz malowany lazurem i słonecznym promieniem, tuż przy wędrowcu w samej bramie mroczno, wieczorno, przy ścianie w niszy mrugają promykami kagańce, oświecając cichy, uroczysty wizerunek Matki Boskiej: on od wieków czcią mieszkańców Krakowa. Ta Boża Matka patrzyła na długie szereg pokoleń, które tędy przeszły. Pobożność ubrała wizerunek w kwiaty sztuczne, ale stroją go jeszcze inne, żywe, bo duchowe kwiaty: są to *legendy* ludu, powieści cudowne wiążące losy i dole miasta z tym wizerunkiem Matki Zbawiciela. W poprzek wnętrza bramy napis woła: „*Sub tuum praesidium confugimus*“.

Z jakim zamiłowaniem Kremer te zabytki budownictwa maluje a Wincenty Pol, rozpatrując wnętrze kościoła Panny Maryi, unosi się nad arcydziełem dłuta Wita Stwosza, z takim samym, naukowo rozpatruje *Zabytki sztuk pięknych Krakowa* professor Łuszczkiewicz.

Czas jest po temu, gdy na polu sztuki zajmujemy już poczesne stanowisko arcydziełami Jana Matejki, Artura Grottgera i świetnego grona tylu malarzy i rzeźbiarzy; gdy w samym Krakowie zabrano się z niezwykłą energią, do ocalenia starożytnych zabytków od zniszczenia.

Kłęski pożaru, przez ciąg pięciu z górą wieków nawiedzające gród ten starożytny, wiele drogocennych pomników w popiół obróciły. Za naszej pamięci najstraszniejszy w 1850 zarówno wiele kościołów jak gmachy i ulice całe w gruzy zamienił.

Dawna katedra pali się po dwakroć, zanim w roku 1320 staje świątynia dzisiejsza. Krakowski zamek i każdy niemal kościół, niszczy ogień razy wiele i to w różnych epokach. „Ale daleko—mówi autor—sroższym niszczycielem stylu budowy jest właśnie to, co je następnie tworzy, to jest: usiłowania ciągłego postępu, dążność do coraz doskonalszej konstrukcyi i zdobności budowy, nowe stylowe pojęcia. Przetło

zniszczone ogniem kościoły romańskie w epoce ostrołukowej burzą do szczytu, a stawiają na nowo w młodszej, odpowiedniej wiekowi formie; jak znów ostrołukowe budowle przerabiamy, odmładzamy w renesansowe lub barokowe budynki, skoro przyjdzie czas ich odnowy w owe epoki. Tento najzaciętszy nieprzyjaciel dzieł budownictwa u nas, w Krakowie niszczy w XVII wieku wiele budynków romańskich, iż nam przychodzi dziś już nie po charakterze artystycznym, ale po materyale i konstrukcyi dopatrywać się ich pochodzenia. Niech więc nie dziwi się czytelnik, gdy kościołowi mającemu zewnątrz wybitną cechę XVII wieku, przyznajemy co do układu planu i wątku ścian właściwe średniowieczne miejsce: z artystycznych badań przechodzimy tu w archeologiczne. Przychodzi nam téż ogarniać z dobudowań późniejszych, nie jeden artystyczny utwór średniowiecznego budownictwa, a z dekorowań wewnątrz, aby okazać styl właściwy gmachu.“

Z tak wybranego stanowiska, autor daje nam „Systematyczny wykaz zabytków budownictwa Krakowa, na podstawie dziejów sztuki” i rozdziałami wykazuje zabytki stylu *romańskiego*: peryod końcowy tegoż stylu, przechodzący w *ostrołukowy* od 1200—1250 roku. Zabytki stylu ostrołukowego (gotyckiego) z epoki *odrodzenia* (Renessansu): *Barocco* i *Roccoco* obejmujący wiek XVII i XVIII; ostatni IX rozdział, poświęcony jest połowie XIX wieku, do roku 1850, czyli do pogorzeli miasta Krakowa.

Mamy więc w tém szacowném dziele zebrane wszystkie pomniki architektury od XI—XVIII wieku, któremi Kraków się chlubi.

Autor zapowiada, że w następnym tomie opisze nam zabytki malarstwa i rzeźby starego grodu od XIV do XVIII stulecia: uzupełni przez to wydaną już pracę, a my zapoznamy się bliżej z drogocennymi pomnikami pędzla i dłuta, jakie w jego murach troskliwość od zniszczenia i zraty uchroniła.

R.

*De typographia in Claro Monte Czenstochoviensi. Librisque in ejusdem officina ab anno MDCXXVIII usque ad MDCCCLXIV impressis. Autore Stanislao Josepho Siennicki. Varsaviae MDCCCLXXIII.*

Po tym łacińskim tytule następuje drugi polski: „Drukarnia na Jasnój Górze w Częstochowie i wyszłe z téj officyny druki od roku 1628—1864 przez Stanisława Józefa Siennickiego zebrane i w Warszawie pod pracę i prasę drukarską podane 1873 (w 18—ce str. 83).

Ostatnich lat kilka wzbogaciło niemało bibliografię polską. Oprócz olbrzymich rozmiarów bibliografii Karola Estrejchera, D-ra T. Żebrawskiego z działu matematyki i fizyki, o których zdaliśmy w naszym piśmie już obszernie sprawozdania: oraz prac w tej gałęzi Cypryana Walewskiego i D-ra Wisłockiego; przybywa nam zajmujący przyczynek w tej małej ksiązeczce.

Godzimy się z autorem, że dawniejsze druki częstochowskie są coraz rzadsze, a typografia ta wydała niemało książek w okresie 236 lat, które obejmuje w swym spisie. Nie wszystkie tu dzieła odbijane są w spisie tym są pomieszczone, ale zawsze, liczymy to wydawcy za zasługę że podjął się tak mozolnej pracy, która do dokładnego obrazu dziejów literatury krajowej przydatną być może. Ze wstępu dowiadujemy się, że wiele książek treści nabożnej, obejmujących zbiory modlitw i pieśni do śpiewu przy obchodach kościelnych były po kilkadziesiąt razy przedrukowane, a każda edycja, w ogromnej się liczbie egzemplarzy rozchodziła.

R.

### *Przewodniki rzemieślnicze.*

W roku bieżącym do Biblioteki rzemieślnika polskiego składającej się z samych przewodników każdego oddzielnie rzemiosła, przybył nowy p. t. *Przewodnik dla mularzy*, czyli krótki zbiór najcelniejszych wiadomości do nauki mularstwa należących z 214 drzeworytami w tekście. Według najnowszych źródeł z zastosowaniem się do potrzeb miejscowych, ułożył Władysław Hirszel budowniczy wolno-praktykujący. Jak ważnym jest dla kraju naszego wydawnictwo tego rodzaju, to najlepiej wskazuje sam autor we wstępie:

„W krajach stojących na czele przemysłu w Europie, mianowicie Anglii, Francji i w ościennych nam Niemczech, niezależnie od licznych zakładów specjalnych, w jakich młodzież tamże we wszystkich ręko-



działach i rzemiosłach kształcić się może; literatura miejscowa bogaci się ciągle coraz to nowym zastępem dzieł i podręczników praktycznych, które poświęcających się tej ważnej sprawie dobrobytu ogólnego utrzymują zawsze na wysokości postępu, jaki w tym kierunku bez przerwy się dokonywa. U nas, przemysłowcy w ogóle, a szczególnie rzemieślnicy i rękodzielnicy, pod względem środków teoretycznego a poniekąd i praktycznego wykształcenia, znajdując się w daleko mniej przyjaznych okolicznościach, zmuszeni są drogą odwiecznej rutyny doskonalić się w obranym zawodzie: brak zaś książek kształcenie się ułatwiających, czyni taką drogę długą, mozolną, a postęp wolny i niepewny. Potrzeba technicznych dzieł i podręczników, szczególnie w obecnych czasach stała się u nas nagłą, kiedy znaczna część młodzieży, wyższe nawet naukowe uzdolnienie posiadająca, pod wpływem zdrowych pojęć otrząsnawszy się z prastarych przesądów, coraz to więcej do przemysłu i rzemiosł garnąc się zaczyna, pojmując że tym sposobem nie tylko najłatwiej zdobywa się dobrobyt własny, ale co więcej przez wytworzenie sił właściwych, podnosi bogactwo i znaczenie całego kraju.“

Od r. 1862 rozpoczęło się wydawnictwo Biblioteki rzemieślnika polskiego. I tak z kolei wychodziły następujące przewodniki: Przewodnik dla garbarzy: ułożył A. Rogalewicz, nauczyciel gimnazjum realnego. 1862, Warszawa.

Przewodnik dla stolarzy: obejmujący cały zakres stolarstwa. Według najlepszych dzieł obcych, z zastosowaniem się do potrzeb i zwyczajów stolarzy polskich, ułożył Jan Heurich budowniczy wolno-praktykujący. Warszawa, 1862.

Przewodnik dla giserów: ułożył Aleksander Miecznikowski inżynier-mechanik, nauczyciel gimnazjum. Warszawa, 1864.

Przewodnik dla kowali ze stosownymi drzeworytami, ułożył Aleksander Miecznikowski.

Przewodnik dla cieśli: ułożył Jan Heurich.

Wkrótce wyjdzie z druku:

Przewodnik dla ślusarzy, ułożył Dąbrowski.

Przygotowane do druku:

Przewodnik dla piekarzy.

Przewodnik dla szewców.

Wydanie każdej z tych książek, z powodu mnóstwa drzeworytów, praktycznie wykład wyjaśniających, niemałego potrzebowało nakładu, a pomimo to, nabycie przewodników ułatwione jest przez oznaczenie cen nadzwyczaj niskich. Taniaść i użytek przyciągają kupujących, a Przewodniki dla kowali, dla cieśli, dla ślusarzy z handlu księgarskiego w zupełności już wyczerpięte. Nowe edycje tych książek pomnożone i ulepszone, bardzo są potrzebne. Myśl tego wydawnictwa prawdziwie szlachetna, a wykonanie pracowite i użyteczne. Jestto dowód nowego poświęcenia się i ofiar wydawcy, który co raz więcej liczy zasług, bo zawsze przybywa pierwszy z pomocą, ile razy jej wymaga społeczeństwo nasze

i ludzkość. Jestto także dowód, że największe fundusze oddane na dobro publiczne nietyle przynoszą użytku, ile jedna myśl, która praktycznie pobudza do kształcenia się i podnosi pracę. A. J. S.

## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

### WARSZAWA.

*Warszawa. Październik 1873 r.* Zamierzone wydawnictwo wszystkich pism Józefa Korzeniowskiego przez S. Lewentala, przy ilustracji *Kłosów*, zbliża się do końca. Obliczone na X tomów, nie potrafiły wszystkiego objąć, chociaż w ścisłym druku, i potrzeba było dodać dwa nadto tomy; stosownie do pierwotnego prospektu, prenumeratorem *Kłosów* otrzymują takowe bezpłatnie. Tom XII i ostatni zawiera „kurs poezyi,” drobniejsze utwory poetyczne i przekład dramatu Szekspira: „Król Jan.” Możeby się znalazło miejsce i na pierwszy akt „Ryszarda,” który pismo nasze drukowało. Usunięto z tej edycji tragedią oryginalną J. Korzeniowskiego: „Pelopidowie,” stosownie do życzenia na rękopiśmie przez zmarłego autora zapisanego. Studya o tym znakomitym pisarzu, wypracowywa I. Hodi i te zostaną zamieszczone w *Kłosach*. Nakładca *Tygodnika Ilustrowanego* J. Unger, ogłosił w tém piśmie, że w podobnym sposobie, jak kończące się wydawnictwo dzieł Korzeniowskiego, z początkiem roku 1874 rozpocznie druk wszystkich prac Zygmunta Kaczkowskiego, z którym już zawarł odpowiednią umowę. Zwracamy uwagę wydawcy, że pomiędzy powieściami tego pisarza, do bardzo cennych utworów należą jego studya o *Kobiecie polskiej*, które miała nigdyś wydać „Spółka księgarska” w Żytomiérzu i rękopism od autora nabyła. Kilka ustępów z tej szacownej pracy Biblioteka Warszawska drukowała. Tak dzięki szczęśliwój myśli wydawcy *Kłosów*, ruch książkowy, przy rozwoju prassy peryodycznej, rozwinął się na większe rozmiary i po tej danój inicjatywie, ukazały się poezye L. Kondratowicza (Wład. Syrokomla) *Ramotki* Wilkońskiego przy „Tygodniku Ilustrowanym” przy „Bluszczu” zbiór powieści J. I. Kraszewskiego i przepyszne wydanie *Biblii* w przekładzie Jakóba Wujka z ilustracyami Gustawa Dorego.

— Z wydania wszystkich pism Kazimierza Brodzińskiego, mamy już piąty tom, który wyszedł obecnie z pod prassy. Tom ten obejmuje dokończenie literatury polskiej, tojest prelekcyę, jakie miał Brodziński w Uniwersytecie Warszawskim od r. 1822 do r. 1830. Prelekcyę te

zapełniają trzy tomy, to jest trzeci, czwarty i piąty. J. I. Kraszewski, który od tylu lat tworami literackimi, pracami naukowymi i niezwykłą działalnością we wszystkich kierunkach dziwi, a razem jedna sobie serca publiczności naszej, ma prawo znowu do wdzięczności czytelników za wydanie zupełne pism Brodzińskiego. Z upływem prawie pół wieku, ówczesne wiadomości z literatury naszej, poglądy estetyki, nie mają już pierwotnej wartości i siły, są tylko stopniem, z którego wznosił się i wznosi cały nasz świat umysłowy. Lecz pomimo to, poezye śpiewaka Wiesława, dążenia jego, nawet poglądy mają tyle uczucia, natchnienia i myśli wyrosłych z własnego zagona, że nigdy wartości nie tracą, a język Brodzińskiego, przy dzisiejszém skażeniu i lekceważeniu tej własnej szaty, liczyć się będzie zawsze do wzorów czystości, dokładności i prostoty. Dlatego niepodobna pozwolić, aby jakakolwiek praca Brodzińskiego, chociażby napozór mniej cenna, ze zbioru tak kompletnego usuniętą być miała, i tą myślą powodowany zacny wydawca, zmuszony został do powiększenia liczby tomów, niż pierwotnie zamierzył. Dziś już zamiast sześciu, będzie VIII tomów i to nie wiadomo jeszcze czy się wszystkie w nich pisma Brodzińskiego pomieszczą.

— Korrespondent Gazety Warszawskiej z Rzymu, mówiąc o zgasyłm Guerrazzi, pisze:

„Guerrazzi był nie tylko znakomitym poetą, lecz i znakomitym krytykiem. Pomijam różne jego arcytrafne zdania o literaturze włoskiej i zagranicznej, przypomnę jedno tylko, które nas bliżej obchodzi i pisarza naszego dotyczy. Czytałem własnoręczny list Guerrazzego do p. Hektora Marcucciego o Lenartowiczu. Wiadomo, iż Marcucci jest niepospolitym tłumaczem literatury zagranicznej na język włoski. Przy pomocy rodaków naszych, przetłumaczył on wiele poezyj Lenartowicza i wydał je w ozdobnym tomie. Przekład ten wielkie wrażenie we Włoszech sprawił. Wszystkie czasopisma włoskie, powitały jednogłośnie chorem polskiego wieszczka, objawionego im przez Marcucciego. Guerrazzi przeczytał uważnie tę księgę, a potem pomieniony list wystosował do tłumacza. List ten został już lub będzie wkrótce ogłoszony przez p. Artura Wołyńskiego w jednym z czasopism warszawskich. Guerrazzi, mistrz i znawca całą gębą, nazywa Lenartowicza prawdziwym i pierwszorzędnym poetą. Zarzuca mu tylko powtarzające się niekiedy niewykończenia rysunku, przerwy w zarysach, brak ciągu w idealnej linii. Guerrazzi zmieniłby dzisiaj swe zdanie, gdyby mógł być odczytać *Wandę, Założenie Poznania i Gniezno*, trylogią, która będzie nosiła ogólną nazwę *Białego Boga*. Jest to pierwsza wielka epopeja polska, nieustępująca pono największym epopejom obcych narodów. Stawi ona Lenartowicza obok Mickiewicza, a wyżej Słowackiego i innych, którzy się nie zdobyli na równie wspaniałym pomnik.“

— Pismo wiedeńskie: „*Oesterreichische Buchdrucker-Z-tng.*” pochlebnie oceniając druki polskie przesłane na wystawę powszechną, wychwala szczególnie pisma ilustrowane warszawskie, jak „Tygodnik

Illustrowany“ i *Kłosy*. O ostatniej ilustracji pisze. „Salomon Lewental wystawił wiele okazów, po największej części dzieł illustrowanych, których tekst wprawdzie nie zewszystkiem zadawalnia, ale za to ilustracje wykonane są i drukowane z wielką starannością, jak np. czasopismo *Kłosy*. Obraz jubileuszowy tego czasopisma „Mikołaj Kopernik” drzeworyt ogromnych rozmiarów, można uważać za wyborny pod każdym względem i polecieć jako wzór naszym drukarzom.“

— W dniu 13 października r. b. odbyło się pierwsze posiedzenie komisji historycznej akademickiej, na którym dyrektor p. Szujski zdał sprawę o kończącym się druku prac rozpoczętych przed wakacjami, po czem wniósł i umotywował potrzebę druku zebranych materiałów p. t. *Acta Alberti et Alexandri Regum Poloniae*, podnosząc gorliwość p. Adolfa Pawińskiego z Warszawy, który mu w tej mierze przyszedł z pomocą. Następnie zastanawiano się, w jaki sposób i jakimi środkami możnaby korzystać z materiałów nagromadzonych w dawnych archiwach polskich.

— Uczony archiwista w Kaliszu *Józef Szaniawski* wydrukował obszerną rozprawę p. n. *Mapy topograficzno archeologiczne*, w piśmie miejscowym *Kaliszanin*. Nad tym przedmiotem pracowało b. Towarzystwo naukowe krakowskie, a głównie Dr. *Józef Łepkowski*; następnie gorliwie się tym przedmiotem zajął ś. p. *Aleksander Przędziecki* i wzór takiej mapy archeologicznej na kongresie w Bolonii przedstawił. Praca *J. Szaniawskiego* nie upowszechniła się nawet między samymi archeologami, bo nie została oddzielnie wydana, co należało dla nauki uczynić.

— Do ciekawych zabytków sztuki polskiej należy odszukana w bibliotece Uniwersytetu w Monachium, przez profesora *J. Łepkowskiego* książka do nabożeństwa, pisana po polsku na pergaminie, ozdobiona wytwornemi malowidłami i wspaniale oprawna. Malowidła przedstawiają polskie twarze i widoki. Prof. *Łepkowski* po zbadaniu rzeczy na miejscu przekonał się, że ów modlitewnik był pisany i malowany dla *Zygmunta Starego*, co wyraźnie powiedziano w przemowie dedykacyjnej.

— Po wyjściu na początku roku bieżącego sprawozdania z brukselskiej sessji kongresu antropologiczno-archeologicznego: *Congrès international d'anthropologie et d'archéologie préhistoriques. Bruxelles*: ukazał się teraz wydany przez profesora *Capelliniego* gruby tom, we wspaniałej edycji, z wieloma ilustracjami relacy Sessji bolońskiej. Spotykamy się tutaj z rozprawami ś. p. *Aleksandra Przędzieckiego*, oraz z wiadomością o poszukiwaniach p. *Zawiszy* w jaskiniach *Ojcowskich*. W tomie tym ogłoszono *A. Przędzieckiego*, rzecz o zabytkach krzemiennych znajdujących w okolicy *Płocka* i *Krzemieńca*, o bronzach zawieszonych do *Bolonii*, w celu ich okazania na kongresie (z muzeum Uniwersytetu *Jagiellońskiego*), oraz o *palafacie* odkrytym przez prof. *J. Łepkowskiego*

w roku 1865 w Czeszewie. Wówczas przedstawiał Przeddziecki nowy system mapy archeologicznej, projekt komisji archeologicznej b. Towarzystwa naukowego krakowskiego, rozwinięty pod jego przewodnictwem. Cały ten projekt jest wydrukowany w powyższym sprawozdaniu z sessji bolońskiej, z dołączeniem do obszernego wywodu, tablicy znaków litografowanych. Życzyłoby należało, ażeby tę pracę rozpowszechniono, która z polskiej naukowej instytucji wyszła, a obecnie jest przedmiotem poważnych studyów przez wszystkich badaczy, dla powzięcia uchwały w gronie wyłącznie po temu wyznaczonej komisji. Składa się ona z zaproszonych pp. E. Cartailhac'a (z Tuluzy), Dr. Hildebrand'a (ze Sztokolmu), J. Silvé (z-Lizbony), Dr. Marinoniego (z Medyolanu), profesora Smidt'a (z Kopenhagi) i hr. Wurmband'a (ze Styryi).

— Dr. Grünhagen professor historii w Uniwersytecie wrocławskim, znany badacz dziejów Szlązkich, w swoim sprawozdaniu z naukowej podróży do Krakowa wydanem w 1-m zeszycie IX tomu: *Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens*, charakteryzując uczonych krakowskich, mówi o Józefie Majerze prezesie akademii umiejętności że: „nazywa się po niemiecku bez konsekwencji.“ Ostrzega zaś, że professor Bratranek „tylko jedynie samo nazwisko ma nie niemieckie.“ W rozprawie tej ciekawe są opinie niektórych uczonych krakowskich, poufnie Dr. Grünhagenowi wynurzone.

— Obok kongresu międzynarodowego archeologicznego, którego posiedzenia odbyły się w *Neuschatel*, Paryżu, Norwich, Kopenhadze, Bolonii i Brukselli, Rosya urządza posiedzenia zjazdu archeologów osobne, z których pierwsze było już w Moskwie, drugie w Petersburgu, trzecie zaś ma się odbyć w roku przyszłym w Kijowie pod przewodnictwem hr. Suwarowa, a pod opieką Wielkiego księcia Następcy tronu. W programie do dyskusji zamieszczone są także zabytki znajdujące się na ziemiach dawniej Polski po roku 1382. Na zjazd ten hr. Suwarow rozesłał zaproszenia w języku francuzkim i do wielu uczonych polskich.

— W piśmie czasowem „*Mittheilungen der K. K. Central-Commission*“ (Wiedeń 1873 r.), są w drzeworytach kształty form dziesięciu glinianych naczyń grobowych, znalezionych w różnych okolicach Gubernii kijowskiej i podolskiej. Do drzeworytów tych dołączony w kilkunastu wierszach wykaz, gdzie która z tych popielnic wykopana, oraz ich wymiary. Wiadomość tę udzielił Dr. Stanisław Krzyżanowski wydawca i redaktor Roczników archeologicznych w Krakowie.

— *Akademia techniczna* we Lwowie, należy do rzędu najwyższych instytucyj naukowych. Składa się ona obecnie z trzech szkół specjalnych (fakultetów): 1) ze szkoły inżynierji (budowy komunikacyj lądowych i wodnych); 2) szkoły architektury i 3) szkoły chemiczno-technicznej. W niedalekiej przyszłości przybędzie jeszcze czwarta szkoła specjalna, dla budowy machin i przemysłu mechanicznego. Kurs nauk w tych

trzech szkołach, jest odpowiednio pięcio, cztero i trzyletni. Wykład odbywa się w języku polskim.

Warunkiem przyjęcia do Akademii technicznej jest ukończenie zupełnego kursu nauk i zdanie egzaminu dojrzałości w szkole średniej, krajowej lub zagranicznej, klasycznej lub realnej; tylko od kandydatów, którzy ukończyli gimnazjum klasyczne, wymaga się złożenia egzaminu wstępnego z rysunków.

Oplata szkolna (czesne), wynosi rocznie 30 złr. (18 rs.), oprócz jednorazowej opłaty imatrykulacyjnej, w kwocie 5 złr. (3 rs.). Za użytkowanie laboratorium chemii ogólnej lub chemii technicznej, płaci się rocznie 30 złr. (18 rs.). Od opłaty czesnego można być uwolnionym.

Rok szkolny trwa od 1 października, do 31 lipca roku następującego; wpisy odbywają się od 1 do 8 października. Chcący być przyjętym po tym terminie, musi wnieść podanie do kolegium profesorów w pierwszych dniach piętnastu, a po upływie tych piętnastu dni do Ministerstwa oświaty.

Egzamina w ciągu studyów nie są obowiązkowe; wszelako każdemu studentowi wolno w końcu roku szkolnego zgłosić się do egzaminu z tych przedmiotów, których słuchał w ciągu roku i żądać świadectwa postępu, a po ukończeniu zupełnego kursu nauk, w którejkolwiek ze szkół specjalnych, przystąpić do egzaminu na dyplom inżyniera dróg i mostów, architekta lub inżyniera-technika.

Na początku każdego roku szkolnego ogłasza się program nauk, zawierający oraz szczegółowe informacje i sprawozdania z roku poprzedzającego. Programu dostarcza rektorat Akademii na każde żądanie.

Z programu na rok 1873/4 widzimy, że ciało naukowe składają: rektor dr. Feliks Strzelecki, prorektor J. N. Franke, dziekan szkoły inżynieryi Wład. Zajączkowski, dziekan szk. budownictwa Julian Zacharjewicz, dziekan szkoły chemiczno-technicznej Aug. Freund; profesorowie: Wawrzyniec Zmurko, Józef Jägerman, Karol Maszkowski, om. Zbrożek, H. R. Ginsberg, Stan. Ziemiński, Jul. Niedzwiedzki, Leonard Marconi. Pomocnicy profesorów: Stefan Koźma, dr. Raban, dr. Canstein, Fran. Stiegler, Jan Amborski; dwaj asystenci. W roku szkolnym 1872/3 było słuchaczy 291 (13 nadzwyczajnych), pozostało z końcem roku 251. Dołączona na końcu programu kronika akademii, zawiera ciekawe szczegóły, odnoszące się do dziejów téj instytucji.

— W Paryżu wyszedł dramat p. t. „*Un moment de Toute Puissance*,” na tle tylokrotnie już obrabianej historii Dymitra samowładca. Autor ma być polskiego pochodzenia (Falkowski), jak donosi krytyk w „*J. de Debats*,” Louis Ratisbonne, który wykazuje wysoką

wartość tego dramatu, pod względem historycznym. Zdaniem jego, utwór podobny dawno już nie ukazał się w literaturze francuzkiej. Równocześnie w Krakowie p. Szujski opracował ten sam temat w dramacie „Maryna Mniszchówna,“ który niebawem ma się ukazać na scenie.

— W mieście Chicago w Ameryce Północnej założyli mieszkający tam Czesi i Polacy polsko-czeski cmentarz i kaplicę, którą dnia 10-go sierpnia b. r. uroczyscie poświęcono, przy udziale różnych polskich i czeskich stowarzyszeń, przez X. J. Molitora. Podczas nabożeństwa w kościele Św. Wacława w Chicago, śpiewał chór polskich i czeskich śpiewaków, poczem nastąpiło polskie i czeskie kazanie, a w końcu po południu, ogólna zabawa w pobliskim lasku.

— *Amazonki, Sarmaci, Jazygowie i Polacy*, badania Wilh. Obermüller'a (Amazonen etc. Berlin 1873 str. 45 w 16-ce). W przedmowie autor przytacza z uznaniem list pewnego historyka niemieckiego, który, studiując Eddę, przyszedł do wniosków, wcale nie pochlebnych dla przeszłości plemienia germańskiego a i teraz nawet zaleca większą oględność w rozprawianiu o narodowości niemieckiej. „Masa ludności jest w jednej trzeciej celtycką (wälsch), w drugiej słowiańską i zaledwo pozostała część trzecia należy do rasy niemieckiej.“ Zapuściwszy się w zestawienie tajemniczych wzmianek Herodota, Strabona, Justyna, Jornanda etc. z doniesieniami podróżników hiszpańskich XVI wieku (np. Franciszka d'Orellana) i nowocześniejszych, autor dowodzi że Polacy a szczególnie Polki (dla których autor nie tai swego uwielbienia) pochodzą od Amazonek, zamieszkałych niegdyś nad Donem. W opowieści jego przesuwają się mnóstwo ludów barbarzyńskich, a wszystkie są mu wybornie znane pod względem etnograficznym, geograficznym i historycznym. Rozcina z bohaterką odwagą wszelkie węzły gordyjskie, tak np. decyduje że Lechowie byli plemieniem ujarzmionem przez Sarmatów i że imię ich tak samo jak imiona Lygiów, Lugiów, Ligurów, Sykulów, Szeklerów, Syginnów oznacza „ciemnoskórych, czarnowłosych, czarnookich, małych ale żywych Atlantydów.“ Szlachta pochodząca z plemienia sarmacko-scytyjskiego, mianowicie od Roksolanów czyli Rac-Ułanów, nazwa zaś od wyrazu celtyckiego sluagh, szermierz. Śmiałych pomysłów broszurka ta zawiera bardzo wiele, wątpliwy wszakże, czy przydadzą się one oględniejszemu badaczom pierwotnej historii słowiańskiej.

— *La Terreur, études critiques sur l'histoire de la Révolution française par Wallon membre de l'Institut. Paris Hachette 1873, 2 t.* Jestto szereg rozbiórów rozmaitych dzieł nowszych o rewolucji francuzkiej (pp. Mortimer-Ternaux, E. Quinet'a, de Goncourt, Daurban etc.), drukowanych już poprzednio w czasopiśmie *Correspondant*.

Rozbiory są ułożone i powiązane w ten sposób, że się z nich układa opowieść historyczna.

— *Dziennik Gentza* (Tagebüchér von Friederich von Gentz, 1-er Band. Leipzig. Brockhaus 1873). Sławny w początkach bieżącego stulecia publicysta Gentz, jeden z najczynniejszych kaznodziej reakcyi po-napoleońskiej, przyjaciel Talleyrand'a, agent literacki Metternicha, prowadził starannie swój dziennik, poczynając od 1800 roku. Z papierów pozostałych po znanym Varnhagen'ie v. Ense, spadkobierczyni tegoż, p. Ludmilla Assing wydała obecnie tom I sięgający do 1815 r. Uwydatnia się tu lekkomyślność, próżność, kłopoty pieniężne Gentza, ukazuje się w niezbyt pochlebnej charakterystyce dwór austriacki z owej epoki, znajduje się niemało ciekawych szczegółów do historii politycznej, szczególnie 1809 do 1815 roku.

— Ukazał się drugi poczet *Krytyk i mów Huxley'a* (Critiques and adresses. London Macmillan et C-o). Są to przemowy w rozmaitych towarzystwach naukowych lub drukowane dawniej po czasopismach artykuły z dziedziny nauk przyrodniczych, etnologii, a nawet polityki (np. „Nihilizm administracyjny“).

— *A. Spür* podnosi zaczęte przez Kanta zadanie, określić naturę i prawa myślenia, uczynić „próbę wkrzeszenia filozofii krytycznej“ w dziele, noszącém tytuł „Myślenie i rzeczywistość“ (Denken und Wirklichkeit. Leipzig. J. G. Fintel. 1873). Jest przeciwnikiem kierunku metafizycznego w filozofii. Wykazuje rdzenną różnicę pomiędzy zasadniczym prawem myślenia (że wszelka rzecz być musi zawsze jednakową) i doświadczeniem, które ciągle stawia przed oczyma różnicę i niejednostajność.

— Bogatym zasobem wiadomości i trafnością poglądów filozoficznych odznacza się *Encyklopedia prawna* Gustawa Sandzyordży (Studi elementari die enciclopedia giuridica dal Caval. G. Sangiorgi). Autor charakteryzuje naprzód urządzenia państwowe ludów starożytnych, potem nowożytnych i przechodzi do konstytucyi włoskiej; następnie wykłada prawo administracyjne, sądownictwo, prawo cywilne, handlowe, fabryczne, rolne, leśne, międzynarodowe i nareszcie karne; tu oświadcza się przeciwko karze śmierci i pragnie zastąpić ją kolumnami rolniczymi.

— *A. C. Burnell* przetłumaczył na język angielski jedną z najbardziej czytanych dziś jeszcze Wed, mianowicie *Samawidha*. Lud Hindostanu z niej właśnie czerpie po większej części swoje pojęcia religijne, swoje przesady i zabobony (tytuł: The Samavidhanabrahmana, of the Sama Veda. London. Trübner). *Max Müller* wydrukował *Rig-Vedę* w dwóch tekstach (pada i samhita; tytuły: The hymns of the Rig-Veda etc. London Trübner).



-- P. Witold Skarżyński ze Spławia otrzymał w Berlinie stopień D-ra filozofii z predykatem: *summa cum laude*. Pierwszy to Polak na polu ekonomii politycznej, poddał się w Berlinie temu egzaminowi.

— Ludność mazurska w Prusiech Zachodnich o wiele jeszcze dotąd przewyższa ludność niemiecką. *Bromberger Ztg.* podaje, że w powiatach: Szczytnickim, Olsztyńskim, Nidborskim i Ostrudzkim ludność polska wynosi 73 procent ogólnej ludności; w powiatach zaś: Jansburskim, Leckim, Sonborskim, Oleckim i Ełskim 76 procent.

— Cezar *Cantu* wydaje nowe dzieło o historii Włoch w XIX wieku; zaczynając od roku 1814 p t. *Del l' indipendenza italiana*.

— *Darwin. Romans komiczno-tragiczny* w listach do pewnego pesymisty p. *Aleksandra Jung'a*- (Jena. Costenoble 1873, 3 tomy.) Z wielkim talentem, raz z wzniosłym zapałem, to znów z niepohamowanym komizmem autor porusza najważniejsze kierunki filozoficzne i przedstawia wpływ ich na życie naszego czasu, postępując się formą romansu.

† Zmarł w Londynie w końcu września r. b. *Edmund Strzelecki*, słynny i znany powszechnie ze swego dzieła o Australii. Dziennik *Wiek* podaje o zgasłym rodaku obszerniejszą wiadomość: „Odkrył on złoto w nieznanych przedtém okolicach Australii i nazwał najwyższą przez siebie zmierzoną górę: Mount Kościuszko.“ Żył lat 77, był członkiem Towarzystwa geograficznego, doktorem prawa i członkiem wielu towarzystw w Anglii. Sygurd Wiśniowski w dziele swoim p. n. *Dziesięć lat w Australii*, podaje o Strzeleckim wiele szczegółów.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójoicki.

Wydawca Józef Berger.

# HRABINA KOSEL.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

*J. I. Kraszewskiego.*

Tom II.

(Dokończenie).

## XII.

To była pierwsza próba hrabinéj Cosel, uwolnienia się z narzuconych jéj więzów. Płakała po biednym, młodym zapaleńcu, który dał za nią życie, ale zarazem nad sobą. Słudze kazała się dowiedzieć, gdzie pochowano Henryka i zanieść na jego grób wszystkie ścięte w ogródku kwiaty. Po tym wypadku, zmieniło się niemal wszystko we Stolpen. Po Wehlenie komendę objął surowszy od niego, ale mniej zdolny Bierling, człowiek namiętny, gwałtowny, samowolny, dumny, mający wszystkie wady starego żołdaka, któremu się wiodło lepiej, niż zasłużył. Świeży wypadek, zrazu niezmierną surowość wywołał. Hrabinie z wieży krokiem ruszać się nie pozwolono, zmieniono dawną straż i Zaklice kazano powrócić do swego pułku.

Korzystając z upojenia komendanta, który co wieczora, po odebraniu kluczy, bezprzytomny padał na łożo, Zaklika nim odjechał, poszedł pożegnać panią Cosel.

Znalazł ją nawpół obłąkaną i we łzach, mówić nawet nie mogła.

— Jakto? już i ty mnie opuszczasz? ty? ze strachu? — zawołała z oburzeniem.

— Ja, nie z własnej woli ztąd idę, odezwał się Zaklika cicho. Kazano mi wracać do pułku — muszę. Odchodzę dlatego tylko, ażebym lepiej mógł służyć.

— A ja! mam tu wieki czekać — płacząc wołała Cosel... umierać powoli.

— Rozkazuj pani — dodał Rajmund smutnie — zrobię co każesz, nie mnie to nie będzie kosztować.

Po chwili namysłu, Cosel wstała z suchemi oczyma.

— Nie, tak jest dobrze, tak musi być — rzekła — idź, myśl sam, co masz czynić: ty to będziesz wiedział lepiej — mnie rozum opuścił, Bóg opuścił, ludzie — wszystko; lecz pamiętaj, jeśli i ty mnie zdradzisz, pomsty na ciebie wołać będę do Boga: przeklnę cię.

Zaledwie chwilę mogła trwać ta rozmowa, którą sługi zdradzić, usłyszawszy, miałyby sobie za obowiązek, nie było czasu do stracenia: hrabina wskazała Zaklice drzewo w Pilnitz, pod którym sama zagrzebała wyjeżdżając, w przewidywaniu potrzeby późniejszej szkatułkę małą, kosztowne zawierającą brylanty. Zaklika miał je wydobyć, starać się spieniężyć i sumę ze sprzedaży mieć na potrzeby hrabiniej, jeśli się ucieczka powiodła. Zaklika ledwie miał czas wysłuchać rozkazów, gdy szmer na wschodach zmusił go do spiesznej ucieczki.

Przez lat kilka potem, wierny sługa nie mógł nic więcej uczynić nad to, iż dawał znaki życia i przez przekupniów oznajmywał o sobie. Surowość byłaby może wreszcie ustała, gdyby nie nowy, podobny zupełnie pierwszemu wypadek, powtórzony i równie nieszczęśliwie zakończony, jak pierwszy.

Tym razem hrabina była pewną, iż ucieczka powieść się musi: nakazała Zaklice czekać na siebie w oznaczonym miejscu na granicy z końmi i pieniędzmi. Niespokojny kapitan znalazł

jakiś pretekst dostania się do Stolpen i widzenia na chwilę z hrabiną.

Zwrócono jój wiele swobody, a téj użyła na zjednanie sobie porucznika Helm'a, który tak samo, jak Wehlen, rozkochał się do szalu w pięknej zawsze hrabinie.

Ta miłość nieszczęśliwego była może poetyczniejszą niż pierwsza, gwałtowniejszą i więcj wypróbowaną. Trwała ona lat dwa, nim hrabina, poznawszy człowieka, wywiedziawszy się o całym planie jego, zbadawszy charakter, przystała na to, aby raz jeszcze probować szczęścia.

Porucznik Helm, oprócz wdzięku pani Cosel, był ujęty umysłem jój, wymową, poetycznością, gdyż w tym czasie zatopiona w biblii, zaczytana w prorokach, rozmiłowana w księdze świętej Starego zakonu, Cosel stała się niby natchnioną wieszczką i prorokinią. Mowa jój, strój, ruchy, spojrzenie, zdradzały stan umysłu niezwyčajny, któremu towarzyszyło takie zaufanie w sobie, taka wiara głęboka i powaga niezachwiana, iż ją to czyniło zjawiskiem, mogącym nie słabego człowieka jednego, ale tłumy za sobą pociągnąć.

Już ci, co ją słyszeli dawniej mówiącą o swém nieszczęściu, na łagodném w Pilnitz wygnaniu, zachwycali się jój wymową z uczucia płynącą, urokiem słowa, tragicznością postaci. Późniejsze nieszczęścia w dziesięćkroć powiększyły wrażenie, jakie wywierała na ludzi. Zaklika zdziwił się, ujrzawszy ją tak wielką: nadzwyczajną znalazł w niej zmianę. Była to ta sama piękność, ale z surowszym wyrazem twarzy, na której cierpienie wyryło swe piętno, nie śmiejąc dotknąć rysów, ani ująć wdzięku. Żywość ruchów ustąpiła teraz powadze, słowa nabrały jakiegoś namaszczenia, jakby z tajemniczego jakiegoś źródła płynęły. Wydawała się kapłanką jakąś i Pythonissą. Zaklika zastał ją z ołówkiem, zatopioną w biblii. Zmierzyła go oczyma i podała rękę do pocałowania. Staremu srodze łzy zakreśliły się w oczach.

— Widzisz — rzekła — żyję, Bóg mi przedłużył dni wątku, a nie uczynił tego nadaremnie. Wiem, że tych wszystkich przeżyję, co mnie przesładowali, i że im kiedyś przebaczę. Bóg mi życie przedłużył, aby mi oczy otworzyć na wielkie prawdy dla innych zakryte. Ja muszę być jeszcze wolną, mam wielkie do spełnienia rzeczy.

— A, pani—przerwał nieśmiało Zaklika—czyliż się nie obawiasz, by znowu...

— Ja się nie obawiałam nigdy i nie obawiam niczego— rzekła spokojnie.— Ten człowiek jest moim, władam nim, zrobi co mu powiem, a ja mam teraz jasnowidzenie środków i dróg. On mnie nie zdradzi i los mnie nie zdradzi!

Rajmund zamilkł. Umówiono dzień i miejsce na granicy. Nie śmiał wypytywać ani o środki, ani o plan, drżał w duchu, lękał się o swoją panią, przewidywał, że to może los jej pogorszyć.

Odprawiła go skinieniem monarchini, z zupełnym spokojem ducha. Helm, którego widział krótko, wydał mu się tak zapalonym, tak rozmarzonym, jak biedny Henryk, który padł ofiarą młodych swych marzeń. Posłuszny rozkazom Zaklika, wzięwszy urlop, gdyż służby wojskowej nie rzucił, znajdując w niej pewne zabezpieczenie—z końmi i Wendem, którego najął, stanął zawczasu na granicy.

W nocy tegoż dnia, Cosel przybyć tu miała. Z niecierpliwością niewypowiedzianą, Zaklika stanął na straży; w ciszy niczém nieprzerwanej upłynęła noc, nadszedł brzask... on czekał napróżno. Cały dzień następujący zszedł na czatach i noc jeszcze następna, i trzecia. Nikt nie przybył, nie było wieści. Czwartego dnia kupcy, jadący od Stolpen, w gospodzie rozpowiedzieli, że zamknięta w twierdzy hrabina, już po wysłiznięciu się z zamku, wraz z oficerem, który jej ucieczkę ułatwił, pochwyconą została.

Tyle tylko mógł się dowiedzieć o niej i natychmiast powrócił na kwaterę, aby wiadomość mieć o wypadku i skazówkę tego, co mu czynić wypadało.

Niestety, opowiadanie było prawdziwe. Zaklika pojechał na miejsce do Stolpen. Nie potrzebował iść do zamku, w całym miasteczku nie mówiono o czém inném. Helm przez rok cały pracował nad wygrzebaniem pod murami wązkiego przejścia, które wprost wiodło za twierdzę od strony, gdzie nawet straż nie chodziły. Tu choć urwisko stromem było, zniżyć z niego wyczył się. Otwór zręcznie zasłonięty był zewnątrz lekko ułożonemi kamieniami. Podpojone strażę, niebytność komendanta, wszystko się zdawało zapewniać powodzenie ucieczce.

W ciemną noc dżdżystą, hrabina po mężku ubrana, wysunęła się z wieży niepostrzeżona, Helm czekał na nią w trzeciem podwórzu, z którego otwór miał ich na wolność wyprowadzić. Wszystko się tu powiodło szczęśliwie, kamienie po cichu odjęte zostały, hrabina pierwsza wysunęła się z gruzów, Helm szedł za nią. Pomimo ciemności i kilkokrotnego upadku, oboje się spuścili wzdłuż bazaltowych słupów do podnóża. Na gościńcu nie opodal czekać miały konie wierzchowe. Nim do nich doszli, na zamku uderzono na alarm.

Sługa, która weszła wypadkiem do sypialni pani Cosel, lękając się o swą panią, bo ją przez cały dzień, jakby rozgorączkowaną widziała, zobaczywszy okno otwarte tylko i łóżko puste, sądząc, że mogła się w przystępie szału rzucić z piętra na skały... narobiła krzyku. Co żyło zerwało się, komendant, żołnierze, pospólstwo w miasteczku.

W obszukiwaniu po zamku, dostrzeżono otwór pod murem... puściła się pogoń w téj chwili. Człowiek, który z końmi miał czekać, powrócił z nimi co rychléj do miasteczka.

Cosel i Helm, nie wiedząc gdzie się schronić, za radą jéj puścili się polami ku blizkim zaroślom, sądząc, że tam się ukryć potrafią; ale komendant, któremu szło o głowę, bo wiedział, że straciłby ją pewnie, gdyby mu ten więzień wymknąć się potrafił; spędził całą ludność, zapalono pochodnie, konnych wysłano na drożyny i miedze i nim się na brzask zabrało, odkryto zbiegów. Hrabina i Helm mieli pistolety, raniono żołnierza w obronie, lecz na strzał wnet nadbiegli inni, i pomimo oporu, wzięto znowu więźniów.

Tak samo, jak pierwszym razem, oficera oddano pod sąd wojenny.

Helm miał jednak krewnych i powinowatych u dworu, udano się do króla i do świetnej naówczas gwiazdy do hr. Orzelskiej o opiekę i łaskę. Nic to nie pomogło.

Skazany na rozstrzelanie, Helm zawieziony został do Drezna, gdzie wszelkie tego rodzaju egzekucje odbywały się na Nowym Rynku, naprzeciw głównego odwachu.

Nowy rynek sławny był z takich krwawych widoków, na których nigdy nie zbywało ciżby, a nawet pięknych pań, przypatrujących się z ciekawością łamaniu kołem, ścinaniu

i wieszaniu. Tym razem młodego wojskowego tylko rozstrzelać miano, a mimoto ciekawych było wiele, gdyż historia młodzieńca, szalenie rozkochanego w Cosel, który jak opowiadano, w więzieniu kokardę jej całował, rażno gotując się na śmierć dla swego ideału, zajmowała żywo szczególnie kobiety.

Około południa uderzono w bębny, wyszedł oddział wojska, wyprowadzono Helma... Oczy wszystkich skierowane były na pięknego złotowłosego młodzieńca, który nie stracił fantazyi idąc na śmierć. Z zamkowego skrzydła nawet widać było wyglądające głowy pań ślicznie ufryzowanych. Kilka powozów z liberyą wspaniałą, ustawiły się tak, aby ostatni akt dramatu życia ludzkiego dobrze z nich widzieć było można.

Helma, który prosił aby mu oczów nie zawiązywano, postawiono przy murze, odkomenderowani żołnierze nabili broń, oficer który miał dać znak do strzału stanął... ofiara już była gotową, gdy od zamku konno nadbiegł wojskowy, adjutant króla, z przebaczeniem.

Nie znałby ludzi ktoby sądził, że akt ten łaski powszechną wzbudził radość: wielu znalazło się zawiedzionych, przybyli bowiem na krwawe widowisko, a odeszli z niczem i nie mieli co opowiadać w domu. Helma nazad wprowadzono do koszar. Powozy rozjechały się w różne strony, ciżba rozpląnęła się zwolna po ulicach.

Na zamku w Stolpen, oprócz podwojonych znowu straży i przedsięwziętych środków ostrożności, nie się nie zmieniło. Przysłano dowódcę nowego, obwarowano niektóre furty i słabsze mury, nietknięto jednak hrabinę, ani ścieśniono téj małej cząstki swobody, jaka jej była dana.

Cosel pokutowała dosyć w sumieniu swém sądząc i będąc pewną niemal, że druga już ofiara padnie nadaremnie i cieniem swym prześladować ją będzie. Nierychło bowiem doszła tu wiadomość, iż Helmowi król raczył przebaczyć.

Nikt nie wiedział jaki los mu był zgotowany.

Zaklika, powróciwszy na dawną swą kwaterę, jakiś czas pozostał na niej nie ruszając się nigdzie, aby podejrzeń nie obudzać...

Czuł on że teraz kolej przyszła na niego i mężnie się gotował do tego, co za swój obowiązek liczył.

Ale dojrzałszy od tych co go poprzedzili, ich doświadczeniem nauczone, chciał być pewien, iż ostatnia próba ucieczki się powiedzie. Nie zrażało go to wcale iż Wehlen życiem, a Helm przypłacił całą przyszłością swą, szlachetną chęć ratowania uciśnionej, niemal oszalałej niewolą kobiety.

Przez czas pobytu w Stolpen i okolicy, kapitan miał zręczność rozpoznać tak zamek, wszystkie jego stare budowy, podziemia, chody, lochy, nawet innym niedobrze znane, iż mógł tu lepiej niż ktokolwiek gospodarzyć. Zastanawiał się tylko nad tém, czy zręczniejszemu mu będzie jako wojskowemu w zamku ucieczkę przygotować, lub uwolniwszy się od służby osiąść czasowo w miasteczku i zwolna się przysposobić do uwolnienia hrabinéj.

Po głośnym wypadku z Helmem, jakiś czas wypadają nie dawać znaku życia, ażeby nie ściągnąć podejrzeń na siebie. Zaklika więc dał tylko przez zwykłego posłańca znać iż żyje i przybędzie, a sam czekał uspokojenia.

Kilka tak upłynęło miesięcy.

W załodze na Stolpach miał towarzyszków wojskowych znajomych sobie dobrze, pojechał ich odwiedzić.

Między innemi był tam i przyjaciel jego, niejaki von Kaschau, dobra dusza, ale hulaka nie pomierny, z którym zawsze o Polsce mawiali, bo w niej kilka wypraw odbył i języka się był nawet poduczył.

Pod pozorem więc Kaschaua pojechał Zaklika na zamek. Stary żołnierz nudził się strasznie, więc ledwie go nie zdusił w uściskach, zobaczywszy u bramy i natychmiast ze sobą do komendanta poprowadził, aby mu tu wolny pobyt wyrobić.

Komendant, który miał rany na nogach i ciągle prawie chory leżał, Kaschauem się wyręczał i byle mu spokój dano, zezwalał na wszystko. Dwaj więc przyjaciele poszli do mieszkania Kaschaua na gawędę przy kuflu piwa.

O czémże się miała wszczać rozmowa jeśli nie o niewolnicy, z której przyczyny czuwać ciągle musiano.

— E!—rzekł stary żołnierz—nie chcę ja sądzić co drudzy robią, a zwłaszcza król JMość pan nasz miłościwy, ale co do mnie, nie rozumiem téj srogości nad kobietą i téj obawy! Co ona dziś komu uczynić może? Tyle chyba, że jeszcze się



kto jak ów Helm zakocha, bo zawsze piękna i piękna. Nic jój zmienić nie mogło, ani więzienie, ani łąy i męczarnie.

— A gdybyście ją byli widzieli w blasku jój chwały, jak ja, gdym przy dworze był—rzekł Zaklika—dopieroabyście poznali niebezpieczeństwo.

Myślicieź że król się lęka jój pistoletów? a! nie, obawia się oczów jój i władzy jaką miała nad nim, bo wie że gdyby godzinę z nim mówić mogła, u nóg jójby leżał prosząc o przebaczenie...

Kaschau się rozśmiał.

— Tak, a wyszedłszy położyłby się u nóg panny Dieskau albo Osterhausen: stary, z pozwoleniem, bałamut!

— Radbym téż ją zobaczyć—odezwał się Zaklika—bo to zawsze ciekawa rzecz, taką kobietę widzieć, a godną jest politowania.

— Któż ci broni? we dnie jój nie wykradniesz!—rzekł Kaschau—idź się pokłoń dawnemu bóstwu.

Otrzymawszy to pozwolenie Zaklika poszedł na wieżę ś-go Jana.

Na drugiem piętrze był pokój Anny Cosel, gdy zapukał, długo nie otrzymał znaku życia i odpowiedzi. Uchylił drzwi z bojaźnią i widok którego w życiu swém nigdy zapomnieć nie mógł, przedstawił się oczom jego.

W pośrodku izby był stół, zarzucony książkami i papierami. Cosel ręką jedną na nim wsparta, drugą trzymając na ustach, stała nad rozwartą ogromną biblią... i dumiała. Ubrana była tak niezwyčajnym smakiem, iż Zaklika uląkł się czy przytomną była. Miała na sobie suknie szerokie czarne, z rękawami długimi, pas na którym stały kabalistyczne znaki, a na czarnych włosach po wschodniemu zawiązaną chustkę, w którą wpleciony był zwitek pargaminu, zapisany także głoskami hebrajskimi.

Piękną była w istocie, lecz niepodobną do owój Cosel, która przyjmowała króla duńskiego w stroju brylantami osypanym. Surowsze zdawały się jój rysy, czoło zmarszczone, a małe usta nabrały wyrazu zadumy i jakby pieczęcią milczenia stały zamknięte.

Już Zaklika wszedł i stał w progu, a ona słysząc kroki nie oderwała oczów od książki, ciągle nieruchoma z wzrokiem wlepionym w karty, jak posąg trwając w osłupieniu.

I nierychło oczy zwróciła; jakby wypadkiem zatrzymały się one na Zaklice, ręka od ust się oderwała, zdumienie odmalowało w twarzy.

— Duchem jesteś czy żywą istotą?—zapytała.

— Wierny sługa, przychodzę po rozkazy—rzekł Zaklika.

— Są więc jeszcze słudzy wierni, i ja, niewolnica, mogęż jeszcze rozkazywać komu?

— Mnie—odpowiedział Zaklika—dopóki żyję.

— Jakżeś się tu dostał? tu już nikogo nie wpuszczają?

Zaklika na mundur swój ukazał.

— Po tamtych kolój na mnie—odezwał się—ja postaram się być rozumniejszym, a może będę szczęśliwszym.

Cosel się uśmiechnęła boleśnie.

— O! nie—odpowiedziała—wszystko w życiu ludzkim jest z góry napisane, przeznaczone, nieodmienne, nikt się ze swych wyroków nie wyłamie.

— A dlaczegóż nie miałyby być wyrokiem moim, że ja hrabinie zwrócę swobodę?

Potrząsa głową.

— Dlatego że ja w inny sposób będę wolną—rzekła. Dawniej ciemną byłam, teraz widzę jasno we własnem przeznaczeniu, czytam je w téj księdze. Łaski niema na świecie, jest tylko konieczność, żelazna, niezłamana, nieuchronna; trzeba się jój poddać, ją badać i uczyć się jój: w jednym Starym Zakonie mądrość cała.

Niespodziany ten zwrot rozmowy, zamknął usta Zaklice: nie wiedział co mówić dalej.

— Zostaniesz tu?—zapytała Cosel.

— Sam nie wiem? mam-li zostać? powiedz pani? jam na wszystko gotów...

Cosel szybko kilka kart w księdze przewróciła.

— Trzeba się wyroczeni poradzić—rzekła—czekaj: nie tak!

Zamknęła kłamry książki, podniosła oczy do góry i począła szeptać jakby modlitwę; potem rozwarła biblią nagle, spoj-

rzała na prawą stronę jój: oczy padły na księgi Jozue, rozdział dziesiąty, i głośno czytać poczęła:

„I znowu rzekł im: „Nie lękajcie się, ani się trwóźcie, ukrzepcie się i bądźcie mocnymi: tak albowiem uczyni Pan wszystkim nieprzyjaciołom waszym, przeciwko którym walczycie...“

Zamyśliła się. — Tak, rozumiem — poczęła po chwili — mocną będę z tobą, ale nie poczynać nie trzeba, a czekać głosu Bożego. Ale jakże możesz ty tu pozostać?

Zaklika, którego ta biblii wyrocznia zmieszała, nierychło zebrał się na słowo.

— Starać się będę o to, gdy potrzeba — rzekł — w ten lub inny sposób, dostanę się na zamek lub do miasteczka. Nikt mi tu mieszkać nie wzbroni! Ale mamże pozostać w służbie i wojsku, czy zrzucić?

— Zrzucić tę liberyę ohydną, ten kaftan niewoli Amalecytów — przerwała żywo Cosel. — Niewierni są, poganie, bałwochwalczy, gwiazdo-kłóńce.

Znowu zamilkł Rajmund.

— Potrzeba mi niewielkiego czasu — rzekł ciszej po chwili — ażeby dostać uwolnienie, sprzedać szarżę, zebrać co mam i przybyć do Stolpen. Kaschau który tu jest z załogą, przyjaciel mój stary; mam dobry pozór, ani mi innego potrzeba.

— Kaschau? — spytała Cosel — jak inni niewolnicy, sługa nieprawości, oprawca.

Zamknęła biblię i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Wracaj więc — rzekła — ani się lękaj o mnie; ja wiem że z przeznaczeniem walczyć nie powinna, ani ciebie do walki z niem szalonej będę wyzywać. Aleś ty jeden człowiek, który mi służysz wiernie. Twoje przeznaczenie, Bóg w nagrodę lub za karę splótł z mojem, musisz cierpieć razem, a w chwili tryumfu pójdziesz za mną się nim napawać.

Z tego nastroju trudno było rozmowę sprowadzić, Cosel jakby przejęta czytaniem biblii, zapomniała o tém co ją otaczało. Zaklika postawszy u drzwi i oznajmiwszy że jeszcze przyjdzie po rozkazy, wyszedł smutny.

W dziedzińcu u studni czekał nań Kaschau.

— Cóżś z nią mówił? — zapytał.

— Stałem u drzwi napróżno i rozmówić się nie mogłem —szepnął Zaklika—zastałem ją nad biblią; czekałem dosyć długo; nie mogła przerwać czy modlitwy czy zadumy: przyjdę raz jeszcze.

— Wątpię, żebyś szczęśliwiej trafił — dodał Kaschau — ona w księgach świętych szuka pociechy teraz, a raczej rozrywki. To i lepiej... A jakżeście ją znaleźli? zmienioną?

— Zapewne — odparł Zaklika, nie chcąc się z tém wydać że ją później widywał—jakże niema nią być? Cosel królowa musi być odmienną w pamięci od Cosel niewolnicy, a jednak panią ona i dzisiaj.

Tak dzień skończyli chodząc po wałach i dokoła murów a rozmawiając z Kaschauem o Krakowie w którym po dwakroć był przy królu, i o wojnie. Gdy bramy zamykać miano, pożegnawszy przyjaciela do jutra, Zaklika wyszedł do gospody w rynku, by tam przenocować. Usłużny gospodarz Niemiec, widząc wojskowego nadskakiwał mu wielce, i chciał bawić opowiadaniem... lecz kapitan pożegnał go wkrótce. Nazajutrz gdy otwarto bramy wroczył do Kaschaua, który go ze śniadaniem czekał.

Cosel była w ogródku przy kwiatkach, skinęła na przechodzącego. Tego dnia ubiór jej był zwyczajny i mowa nawet odmienną: weselszy promień igrał na czole.

— Patrz—rzekła—to są teraz moje dzieci. Moje własne mi wydarto! Co za okrucieństwo! matce odebrać jej własność. W godzinach długich niewoli, myślą tylko odgaduję, jak porosły? Nie poznałabym ich pewnie, a oneby się odemnie odwróciły z przerażeniem.

Prosiłam by mi je choć widzieć dano! Niestety! dzieci to króla nie moje! Powiedziano mi że ich widzieć i znać nie będę! I jest istot troje, tak moich jak tylko dzieci matce być mogą, których te oczy nie zobaczą i te ręce nie uścisną! Czujesz ty to—? rozumiesz... jak się serce pękać musi.

Gdyby mi je Bóg zabrał, szukałabym ich na łonie Ojca Niebieskiego; ziemski ojciec ich, wróg mój, stoi między mną a nimi...

Litościwszy Bóg dał kwiatki, te mi się śmieją za dzieci. A! gdybym im mogła posłać choć po kwiatku. Nie, odrzu-

ciłyby je ze wstrętem! One się matki lękać będą, im powiedzą że nie żywa lub gorzej niż umarła, obłąkana, szalona...

Zaklice się łyzy w oczach kręciły.

Rzadko wspominała Cosel o swych dzieciach, jak gdyby się wspomnienia ich lękała. Domówiwszy tych słów zamilkła.

— Idź—rzekła—idź i powracaj. Radziłam się losów biblijnych i wyroczni liczb, powrócić powinienes i dotrwać tu. Skinęła jeszcze głową i ręką, ruchem królowej pożegnała Zaklikę.

Nie miał więc już tu co robić dłużej. Dla niepoznaki zabawił z Kaschauem godzinę i pod pozorem służby, przed południem go pożegnał. Przechodząc podwórze już nie zobaczył Cosel przy kwiatkach, stała w górném oknie, ubrana jak wczoraj z książką w ręku, zadumana, rozmarzona. Nie rzuciła nawet okiem na niego, tak cała była w sobie i czytaniu zamknięta.

Nie pytając jakie go tu losy czekać miały, Zaklika posłuszny, wróciwszy na kwaterę w Oszaciu, zajął się uwolnieniem ze służby. Łatwo mu przyszło pozbyć się munduru i stopnia. Zabrał co miał i jednego dnia smutnej jesieni, zajechał na gospodę do Stolpen, oświadczając gospodarzowi, iż tu na ustroniu myśli zamieszkać.

Trafiał się dworek do nabycia tanio, i kapitan kupił sobie chatę z ogrodem, w której za miesiąc już wraz z Kaschauem gospodarowali.

### XIII.

W r. 1727 we trzy lata po nieszczęśliwój z Helmem ucieczce, Stolpen, zamek i miasto, już znowu, zapomniawszy o tém co przeżyły, dawnym spokojnym trybem wiejskiego żywota, jednostajnego i cichego, wegetowały jakby wśród pustyni.

Na świecie, na dworze, przy królu wiele się zmieniło rzeczy. Hrabina Cosel była prawie pomszczoną, nie wiedząc o tém ani się starając o to. Do jój smutnego schronienia jedna za drugą dochodziły wieści żałobne, nieprzyjaciele jój znikali z tego pola lub ze świata.

Nowi ludzie, twarze, kobiety i faworyci wyrastali na ich miejscu.

W pośród tych ruin jeden tylko król August Mocny, stał zawsze wspaniale rzucając złotem, szukając zabawy, a znaleźć jej nie mogąc...

Piękna Marynia Denhoffowa, może lękając się losu Cosel, napróżno usiłując króla przywiązać do siebie, w ostatku bezpieczniejszém sądziła pójść za mąż. Król się temu nie sprzeciwiał wcale. Bawił się najweselój zawsze na lipskich jarmarkach i przekładał znajomości krótkotrwałe, nad więzy coby dłużej krępować go mogły. Tak cudnej piękności, ale milcząca i jak posąg bez życia, Erdmuta Zofia Dieckau córka tajnego radcy Dieckau z Czeplina, zachwyliła go na chwilę i wydał ją król prędko za mąż za nadwornego swego marszałka von Lossa, znajdując że jak bryła ze śniegu zimną była. Tak potem zakochał się August w Henryecie Osterhausen, której bierne posłuszeństwo go znużyło, a synowa wygnała ją do klasztoru, zkąd później Stanisławski żonę ją wywiózł do Polski...

Po tych wszystkich przemijających zapalach, nastąpiło panowanie Anny Orzelskiej, córki Henryetty Duval, dawne świetności przypominające.

Anusia Orzelska w huzarskim mundurze złotem szytym, z orderem Orła białego, jeździła z królem na mustry wojsk i polowania... Król przy niej odkwitał młodością. Nowe pokolenia zjawiały się na dworze. Hrabia Rutowski jaśniał obok siostry swojej; starzy faworyci do grobu się kładli. Fürstenberg, który swym zakładem z Hoymem, sprowadził hrabinę na dwór drezdeński, a później stał się jej najzjadlejszym prześladowcą, nie żył oddawna, z wielkich łask pana zwolna schodził w zapomnienie. Towarzysze jego ministrowie piérwsi przeczując co go czekało, wyparli ze swój rady, odejmując mu wszelkie czyny, udział w państwa sprawach: król się odwracał od niego. Nie pozostawało mu jak z alchemią, bigoteryą i myślistwem siedzieć w lasach w Wernsdorfie i na łowach rozmyślać o niestałości łaski pańskiej.

Ten co namiestnikiem będąc, wszystkich z góry wiódł i przez panią Reuss całemu dworowi chciał panować, a nawet samemu panu, zszedł do zupełnej nicości. Po śmierci żony ma-

rzył jeszcze o kardynalskim kapeluszu i wybierając się na jarmark do Lipska, pojechał na świat lepszy... tak cicho iż król, który właśnie jarmarkował, nierychło się o zgonie dawnego faworyta dowiedział. Był to gorzej niż upadek głośny, było to przeczyćcie siebie samego.

Nawet hrabinę Reuss wprzód mu kuzyn Lützelburg odebrał. Wpływ tego kółka, w którym Hilchen, Reuss, pani Reichenbach jej siostra i panie Schellendorf i Callenberg królowały... znikł zupełnie. Rozpierzchło się to i powymierało.

Vitzthum nie żył także od roku, a kilka lat wprzód oddalony od króla przebył w Szwecyi; za niego i za siebie czynną niezmordowanie była żona, owa siostra Hoyma, którąśmy widzieli dopomagającą Annie Cosel do łask królewskich, a wprzód pracującą nad jej strąceniem. O ile sam Vitzthum był nieznanym, o tyle ona, pani Rachela jak ją zwano, pracowała za dwoje, a przybrawszy sobie z nicości wyciągniętego Watzdorfa, twarz w twarz stawiała do boju nawet z Flemmingiem. Nienawiść jej ku feldmarszałkowi zrodziła się z niechęci i kobiecój intrygi przeciw pani Przebendowskiej, którą Sasi dla ułatwienia sobie zwali panią Brebentau... W czasie poselstwa męża w Szwecyi Vitzthumowa pałac mu budowała na rogu Kreuzgasse, który później Rutowskiemu się dostał. Vitzthumowa uchodziła za najbogatszą panią w Saksonii, a wszystko co miała zebrała sama.

Vitzthum skończył tragicznie.

Na rok przedtém będąc w Warszawie z królem, przy którym szambelanem i adjutantem znajdował się naówczas niejaki markiz de St. Gilles, pono nie przyzany syn sardyńskiego króla Wiktora Amadeusza, a wedle zwyczaju swojego grając dnie i noce, powaśnił się z nim u kart w królewskim przedpokoju. Vitzthum miał lat pięćdziesiąt kilka, St. Gilles dwadzieścia i parę. Gra była gruba, zapalczywy młody przegrywał; zaczął przeciwnikowi przymawiać: od słowa do słowa przyszło do łajania i razów. Hałas się stał, król się dowiedział, faworytowi starszemu dał naturalnie słuszość, zgromił włocha i skazał go za obejście się grubiańskie na trzymiesięczne w lipskiej twierdzy więzienie. Była to kara i łaska, gdyż komendantem w lip-

sku podówczas był hrabia Castelli, wuj markiza. Zakazano mu się jednak na przyszłość pokazywać u dworu.

St. Gilles odsiedziawszy trzy miesięczne więzienie, zbiegł tajemnie do Polski i dostawszy się do Nadarżyna, posłał Vitzthumowi wyzwanie. Nie mógł go on nie przyjąć, nakazał wszystkim jak najsurowiej milczenie, aby się król nie dowiedział i nazajutrz d. 13 kwietnia 1726 r. przybyć obiecał.

Wieczorem Vitzthum u córki (ks. Lubomirskiej) był na kolacyi, bawił się jaknajweselęj i do północy grał w pikietę. We dwie godziny potém jechał potajemnie do Nadarżyna, wzięwszy z sobą jednego tylko sekundanta, hr. Montmorency.

Z rana między piątą a szóstą stanął na miejscu, posłał do markiza z oznajmieniem oficera Freneuse i że naówczas obyczajem było z konia się strzelać, siadł na koń. Zapaśnicy wyjechali przeciw sobie z wielkiem męstwem, powoli, a zbliżywszy się na strzał, markiz strzelił i ugodził Vitzthuma tak śmiertelnie, iż trupem z konia się zwałił. W téjże saméj chwili strzelił Vitzthum także, ale kula jego drasnęła tylko policzek markiza i perukę. S. Gilles nie wiedząc co począć z sobą, uciekł do Warszawy i szukał schronienia w klasztorze Teatynów. Król rozżalony nakazał nie zważając na prawo schronienia, marszałkowi St. Gilles'a odebrać z klasztoru. Klasztor otoczyło półtorasta żołnierza, w téj saméj chwili St. Gilles za laika przebrany umknął na Berlin i Lipsk do Włoch....

Ciało zabitego, we wszystkie dzwony na cześć mu bijąc po drodze, wywieziono do familijnych grobów.

Taki był koniec pierwszego faworyta. Flemming trzymał się jeszcze, on jeden umiał się stać potrzebnym i obronić od losu, który spotkał innych jego współzawodników...

Budował naówczas pałace, sprzedawał, handlował dobrami i złoto na beczki mierzył. Pozbywszy się Schulenburga, odradziwszy królowi oddanie dowództwa wojsk genialnemu synowi Maurycemu saskiemu, marzył Flemming o księstwie kurlandzkiem dla siebie, a o żenieniu pięćdziesiąt ośmioletniego Augusta z siedmnastoletnią księżniczką pruską, która przymierze między Saksonią, Polską (na dziedziczną przerobioną i rozdzieloną), a Prusami umocnić miała. I gdyby August II zgodził się był na to małżeństwo, przyszłoby było do skutku.



Niecny Löwendhal, który hrabinie Cosel winien był wyniesienie swoje, trzymał się jeszcze, ale z każdym dniem tracąc na słowie i znaczeniu i walcząc z silniejszym stokroć od siebie Flemmingiem, trwoniąc łątko zdobyte mienie, pędził ku widocznej już ruinie.

Watzdorf nareszcie, ów „chłop z Mansfeldu” przerzucając się na różne strony u dworu, dostarczając pieniędzy, frymarcząc z Flemmingiem, nie rzucał klamki dworskiej, choć król na niego patrzeć nie mógł, ale go potrzebował.

Na dworze króla ten sam zawsze panował szął zabaw i potrzeba nienasycona rozrywek. Przybycie Orzelskiej pobudziło do nowych wystąpień tak jak przed kilką laty ożenienie syna, odznaczyło się bajecznym zbytkiem i przepychem...

W pośród tych najróżnorodniejszych rozrządzeń, które królewska fantazyja sama sobie dostarczała, przychodziły chwile, w których August miał się za wielkiego wojownika i wojskowych łąknął popisów.

W tym roku, król wiosny pięknej w Pillnitz zażywał, wojsko stało obozem, strzelano z dział i próbowano półkartaunów siły. Hrabia Wackerbarth towarzyszył Augustowi. Mówiono o twierdzy Königsteinie i o czynionych próbach na skałach, na których się ona wznosiła. Półkartauny w proch rozsypywały kamienną podstawę twierdzy.

— A jednak — rzekł Wackerbarth — znam miejsce i kamienie, którychby ono nie wzięło: za to ręczę.

— Gdzie? — zapytał August.

Wackerbarth spojrzął na króla, zdawał się zafrasowany tém że mu się to słowo wyrwało i milczał.

— Gdzie? — powtórzył król.

— W Stolpen na bazaltach tamtejszych, które są jak żelazo twarde, kule nie mogą.

— W Stolpen! — zawoła August i twarz mu się okryła chmurą — a, w Stolpen!

Była milczenia chwila, król się przechadzał niespokojnie, znać było iż go jakaś fantazyja dręczyła, której zadość uczynić nie chciał czy nie mógł.

— W Stolpen! — powtarzał kilka razy. — Moznaby kartau-nów na skałach tamtych spróbować.

Wackerbarth spojrział trwożliwie na króla, który jakby ubodnięty tém wejrzeniem, zawołał:—Dlaczego nie mamy kul na bazaltach spróbować? przecież zamku nie obalimy? a kilka strzałów....

Wackerbarth zmilczał, jakby czekając rozkazów i niedowierzając im. August widocznie oziębłością jego był dotknięty i chciał się wyższym nad pewne względy dziecinne, które mu ktoś mógł przepisywać, okazać.

— Poślij waćpan do Stolpen—odezwał się—dwa działa, każ mi przygotować baterye naprzeciw tych słupów, będę sam jutro rano próbie przytomny. Tak, z rana—dodał—póki gorąco nie przyjdzie, bo dnie już bywają skwarne. Odwrócił się od niego i poszedł.

Rozkaz króla spełnił się zawsze mimo wszelkich przeszkód możliwych, we mgnieniu oka. Na całą noc wysłano rozkazy i działa do Stolpen... Zaklika spał w swym dworku samotnym, gdy o północy rozruch nie zwykły stał się w miasteczku. Konni, wozy, wojskowi z głośnemi krzyki wjeżdżali z pośpiechem wielkim i zuchwałością żołdacką. Kapitan wychylił z okna głowę nie mogąc pojąć co się stało i sądząc że jaki nieznany nieprzyjaciel wtargnął w Saksonii granice. Z języka jednak poznał Sasów, którzy swém *Herr Jeses!* powtarzaném nieustannie zdradzali się łatwo. Zobaczywszy oficera kapitan ośmielił się go po koleżeńsku zapytać—co się stało? i z kąd pośpiech był tak wielki.

— Król! N. Pan!—krzyknął oficer pędząc ludzi—król przybywa jutro, to jest dziś rano tu będzie.

— Król? w Stolpen?

— Tak jest i jeśli macie ludzi ślijcie ich z łopatami, trzeba naprędce usypać baterye do rana. Będą strzelać do słupów i próbować kul siły.

— Gdzie?—krzyknął zdumiony Zaklika.

— A! gdzie! tu na górę zamkową!—śmiejąc się powtórzył oficer—czyż mnie nie rozumiecie.

Rozmowa się przerwała. Zaklika pochwyił co najprędzej odziewać. Uszom swym nie mógł dać wiary! król, król strzelający do zamku, w którym więził tę nieszczęśliwą ofiarę od lat

tylu, jakby na urągowisko. Rzecz była nie do uwierzenia, nie do pojęcia. Król w Stolpen!

Jaka chwila do przebycia dla hrabinéj! włosy powstały mu na głowie; omackiem począł chwytać odzież, ubierać się bez przytomnie, machinalnie. Chciał biedz, oznajmić jéj o tém, przygotować ją, nakłonić do przeżycia téj próby na którą miała być wystawioną.

Zaklika miał łatwy wstęp do zamku, zdawało mu się że w tym zamęcie powszechnym wciśnie się i na coś przecie przydać może. Los Cosel ścisnął mu serce, łzy dobywały się z oczów.

— Król! król! — powtarzał machinalnie — a! to nie może być! W ostatniej chwili zawstydzi się, zboleje, nie przyjedzie. To nie może być.

Co się z nią stanie?

Szarzało na dworze gdy zamykając swój dworek, Zaklika wybiegł jak oszalały pędząc pod zamek.

Na zamku wszystko było rozbudzone, wiadomość że król przybywa jak piorunem odpoczywających żołnierzy i starszyznę poruszyła. Z miasta, z wiosek sąsiednich żołnierze gnali płazami ludność z chat powypędzaną do sypania baterji naprędce. Płacz, krzyki i głośno wydawane rozkazy rozlegały się dokoła. Konni krzyżowali się na drogach, wszyscy potracili głowy.

Jedną baterję już sypać zaczęto w zwierzyńcu przy tak zwanéj Röhrpforte, drugą na Hanewaldzie, w ogródku skarbowym (Amts-Frohns Gärtehen)...

Gdy Zaklika do bram przypadł na rozcież otwartych, w zamku wszystko było na nogach. Czyszczono, zamiatano, znoszono gruz, komendant chrypnął od wołania, oficerowie nie wiedzieli od czego poczynać. Około wieży św. Jana cała służba żeńska i męzka hrabinéj Cosel, stała w najdziwniej ponarzucanych ubraniach, tak jak się ze snu zerwała sądząc że na zamku się pali. Stali w osłupieniu, pytając jedni drugich, nie wiedząc co się stało i co przygotowywać mogło. W otwartém oknie błada pokazała się Cosel, Zaklika wbiegł po wschodach pół żywy załamując ręce.

Spotkała go w progu Cosel z zaciśniętymi ustami, całą drżąca.

— Król!—zawołała—król! a! rozumiem!

— Król do mnie przybywa...

— Pani—przerwał Zaklika—król przybywa kul swoich dział na słupach u góry probować.

Cosel się rozśmiała.

— Prosty! naiwny człowieku!—zawołała—i ty w to wierzysz? Ja śniłam o nim od tygodnia. Duch mój błędził nad nim i pociągnął go ku sobie. Szukał pozoru... Chce mnie widzieć. On wie że ja go kocham, że mu przebaczę. On jest wolnym, on chce mnie poślubić jak dał słowo. Niech mnie ubiorą jak do ślubu, jak na największą uroczystość. Chcę być piękną! Chcę mu przypomnieć tę Annę, przed którą klękał...

— Król!—powtórzyła z zachwytem—mój król! mój pan! I uderzyła w dłonie.

Zaklika ze spuszczoną głową, osłupiały, stał niemy.

— Wołaj sługi moje—dodała—niech przyjdzie Lina, niech dobędzie z kufrów suknie.

I rozpuszczone włosy czarne, które jęj na białą szyję spadały, ująwszy w dłonie, biegała po ciasnej izdebce.

— Wołaj mi sługi coprędzěj! on może przybyć co chwila! a ja nie będę gotową. Mój król! mój pan... August!

Zaklika wybiegł, zawołał na sługi, a sam siadł na wschodach i niemy, zbołały, pół martwy, nie mógł już z miejsca się ruszyć.

W zamku wrzawa była niezmierna. Dniało! Liczono minuty, liczono sekundy, nielitościwe bicze smagały dla pośpiechu pracujących, baterye rosły w oczach, ale i dzień rosnał straszliwie. Najpiękniejszy w świecie ranek majowy wschodził ponad dolinami i góry, z których lekkie mgły wstawały ku niebu. Drzewa pachniały rosą skropione, dyszały wonią łąki rozkwitłe; cała natura, jak dziecię w kolebce szczęśliwe, budziła się z uśmiechem na ustach. Wśród tego wielkiego spokoju natury, w zamku jak w poruszoném osiem gnieździe syczało, ruszało się, roiło.

Żołnierze kładli mundury i zbroi kawałki, starszyzna do-  
brywała najświeższych rynsztunków, komendant dowiedział się z przerażeniem, iż, przeciwko obyczajowi, z Pillnitz ani stół, ani

kuchnia królewska, ani zapasy przybyć nie miały, a tu przecież N. Pana przyjąć czémś należało. Co tu znaleźć coby ust pańskich było godném? Wzięto naturalnie kilka sztuk ze zwierzynca, znalazła się flaszka wina, ale jak obozowa prostota zastawy stołu, miała się wydać w oczach pana tak do wspaniałości nawykłego. Rzeczywiście jeden był tylko stary kieliszek z herbami saskimi, godzien ust pana, a misy i talerze i reszta ubóstwo gospodarza przypominała. Księża z kościoła pożyczli obrusa, gospoda dostarczyła wiele, bez reszty musiano się obejść.

Półkartauny stawiono na przeznaczonych do nich wprędce usypanych bateriach. Było już po czwartęj, czas upływał z szybkością przerażającą... lada chwilę można się było spodziewać N. Pana, który zapowiedział, że z Pillnitz dodnia wyjedzie. Komendant posłał na wieżę „siedmiu wierzchów“ wyrostka, aby mu dał znać gdy na gościńcu od Pillnitz tuman pyłu zobaczy.

Artylerzyści wcześniej celowali półkartauny tak, aby kule na pewno w słupy bazaltowe biły. Zabawka ta wydawała się im wcale pańską, bo na nic nieprzydatną, ale fantazyi musiał król dogodzić. Utrzymywało się tu od dawnych wieków podanie między ludem o jakimś bajeczném oblężeniu, w czasie którego odbite kule na napastników padały.

Wszystko stało w porządku i komendant lustrował szczupłe swe siły, gdy z wieży chłopak dał sygnał.

W téj saméj chwili burmistrz, ławnicy, mieszczanie z chorągwiami i w paradzie, niosąc zardzewiałe klucze od szpichlerza wójta miejskiego, wystąpili na gościniec; na dzwonnicy ludzie oczekiwali znaku ażeby powitać Pana biciem we wszystkie swe dzwony. W miasteczku co żyło świętecznie ubrane, zalegało rynek i ulice.

Tuman kurzu widny z daleka, zbliżał się żywo; nareszcie dostrzeżono jadącego przodem wyciągniętym kłusem dorodnego, pięknego, wspaniałej postaci mężczyznę. Za nim gonili adiutanci, szczupły dwór i kilku zaproszonych gości. W oddaleniu drugi orszak, jakby doganiając pierwszy pośpieszał.

Milczenie głucho zaległo szeregi... oczekiwano. Coraz widoczniej rozeznac było można niebieski żustokor króla z haftowaną na nim gwiazdą Orła białego.

W bramie król ledwie skinął burmistrzowi i ławnikom schylonym do saméj ziemi; biegł wprost drogą na zamek. Tu u wrót stała załoga, bito w bęben i komendant wyszedł z raportem. Lecz król zdawał się pomieszany, niespokojny i w złym humorze. Nie odezwał się nawet do nikogo. Zwrócił konia ku baterji przy Röhr-Pforte w zwierzyńcu i popatrzał chwilę nie mówiąc nic; potem ruszył pod twierdzę na Hannevalde. Przed tą baterją najpotężniejsza massa czarnych słupów, jakby związanych w pęk ogromny wznosiła się. Widać ztąd było wieże, mury i okna Śto-Jańskiej wieży, w których powstać biała migąła. Ale król nieśmiało podnieść oczów. Po krotkiej chwili zawrócił do zwierzyńca.

W téj chwili dobiegł właśnie Wackerbarth z Drezna i towarzyszył królowi roztargnionemu, zaszepionemu widocznie. Wackerbarth stanął z tyłu nie mówiąc nic. Augustowi śpieszno było; dał znak: przystąpili artylerzyści do dział i ogromny huk dał się słyszeć, odbity przez okoliczne góry.

Ucho czujne byłoby z nim razem pochwyciło krzyk dziwny, jakby rozpaczy i boleści. Król wszakże i towarzyszący mu nie mogli usłyszeć, ani zobaczyć nic, gdyż cała ich uwaga zwróconą była na półkartaunę i bastyon, do którego podstawy dawano ognia.

Pierwszy strzał skierowany na mur bazaltowy, wprawdzie wybił w nim dziurę, ale żelazna kula rozbryznęła się na kilka sztuk. Komendant przyniósł ją N. Panu, August popatrzał i głową ruszył w milczeniu. Drugi strzał wymierzono już na same słupy rosnące z ziemi u stóp bastyonu; kula została strzaskana i kilka tylko kawałków kamienia odpadło, znać dawniej nadkruszonego.

Kazał król, jakby zapalając się coraz, strzelać raz trzeci i czwarty na skały nieco wyżéj sterczące; skutek był ten sam: kule się roztrzaskiwały, a kamień opadał tylko w tém miejscu gdzie go trafiły... słupy wytrzymały. Za każdym strzałem, pękające kule i kamienia odłamy leciały w górę i opadały, nie raniąc nikogo, jednego tylko królewskiego konia przy Röhr-Pforte trzymanego, uderzył kamień w nogę i trochę skaleczył. Za trzecim téż strzałem, kawał rozbitéj kuli około sześciu funtów wazący, przeleciał przez mury na miasteczko i padł na sło-

downią, przebijając dach, sufit i rusztowania, aż do ziemi. Komendant zobaczywszy to, pobiegł zaraz zbadać szkodę i kulę z kawałkami drzewa przyniósł przy najpowinniejszym raporcie N. Panu, który raczył ją oglądać.

Nie strzelano już nawet z baterji na Hannelwalde, król miał téj próby dosyć.

Od pierwszej chwili, gdy posłyszała Cosel o królu, była jak nieprzytomną; najprzód serce jój chwyciła nadzieja, że August stęskniony dla niój tu przybywał. Ubrała się z gorączkowym pośpiechem, z największém staraniem, patrzyła długo w zwierciadło, uśmiechając się sama sobie.

— A! nie, to nie może być inaczej—szepiała—jestem pewna, przybywu dla mnie. Mógłżeby strzelać do tych murów w których ja siedzę zamknięta, dla zabawki. A! nie! to koniec mojej niewoli, to mojego tryumfu początek.

Biegała od okna do okna. Z jednego widać było pillnitzką drogę i na niój Nider-Thor. Postrzegła tumany pyłu, serce jój biło, płakała. Wtém dały się słyszeć dzwony, bębny. król wjeżdżał... cisza. Przycisnęła serce dłonią, czekała. Zdawało jój się że go usłyszysz na wschodach, że go ujrzy we drzwiach, pełnego łaskowości i litości. Długo trwało potém milczenie złowrogie... i strzał się rozległ... strzał i krzyk. Cosel upadła na ziemię. Nagle porwała się jak wściekła, rozjuszona, z rozrzuconemi upadkiem włosami i pobiegła do stolika.

Ręce dygoczące ze wzruszenia odmawiały jój prawie usługi; odsunęła szuflady, rozwinęła jedwabne chusty, dobyła pistolet, który ją nigdy nie opuszczał i ukryła go w szerokim sukni rękawie.

Jak obłąkana przybiegła do okna najbliższego, rozglądając się w prawo i w lewo. Z téj strony słyhać było trzaskające strzały i skały gruchotane, których odłamy dolatywały do okna. Cosel wyprostowała się, oczy jój pały ogniem, ręce drżały, pierś się podnosiła gwałtownie. Czekwała.

Za każdym strzałem chwyciła się za głowę i serce, jakby niewierząc uszom, nieufając oczom. Śmiech dziki błąkał się po ustach, a lzy napełniały powieki.

Za czwartym strzałem ucichło.

I długo było cicho; Cosel się nie ruszała z miejsca, w prawej ręce trzymając i cisnąc pistolet.

Już prawie znużona tém oczekiwaniem paść miała, gdy na drodze pod oknem tentent konia dał się słyszeć. Cosel wysunęła się do pół... patrzyła.

To był on! on! August! Jechał sam pędząc konia drożyną pod murami.

Krzyknęła: podniósł głowę, stanął i rękę przyłożywszy do kapelusza, niemy, blady, stał rwąc konia, który mu się wyrwał.

Hrabina wychyliła się ku niemu z okna jakby się rzucić chciała.

— Królu! panie! litości!

August nie odpowiedział, Cosel się uśmiechnęła.

— Litości od ciebie się spodziewać! okrutniku nikczemny, ty co słowa łamiesz i karzesz za nie tych co się o nie upominają! Litości! od ciebie? Co dla ciebie ludzkie życie, czém serce ludzkie dla ciebie? Cosel niewolnica gardzi tobą, brzydzi się, przeklina. Ciebie i pokolenie twe, i kraj i imię.

Giń nikczemny!

W téj chwili dobyła pistoletu i... strzeliła do króla.

Głucho rozległ się strzał ten po zamku i śmiech: Cosel padła. Król jak osłupiały, usłyszawszy świst kuli która mu kapelusz drasnęła, oprzytomniał; skłonił się z uśmiechem i konia puścił cwałem.

Nie dziw że potem nieprzyjawszy śniadania u komendanta, chmurny, natychmiast nazad do Pillnitz odjechał <sup>1)</sup>.

#### XIV.

Gdy Zaklika przerażony strzałem i hałasem wszedł do pokoju Cosel, zastał ją bladą, bezprzytomną, leżącą na ziemi. Koło niej wystrzelony dymił pistolet. Domyślił się wszystkiego. Sługi nadbiegły także ratować panią, która zdawała się jakby umarłą.

<sup>1)</sup> Bei dieser Gelegenheit, habe Sie nach dem Kurfürsten geschossen (Stolpen Stadt und Schloss 66).



Ludzi wielu słyssało strzał, August wszakże nikomu o nim nie powiedział i zamilczał. Domyślano się ztąd, iż o nim rozpowiadać nie należy.

Nie rychło poruszona tym wypadkiem hrabina, wróciła do sił i dawnego trybu życia. Wiedziała ona iż teraz nie ma się już czego spodziewać: los jój był rozstrzygnięty na wieki.

Nie dziw téż że wśród téj długiéj, jednostajnéj niewoli, w umyśle jój chwilami czuć było jakby obłąd jakiś, jakby zwichnięcie i szały.

Napozór jednak poddając się swojemu przeznaczeniu, Cosel i potém r. 1727 nie wyrzekła się nadziei oswobodzenia. W rok potém, mając przez Zaklikę znaczną sumę ze sprzedanych klejnotów, usiłowała nie radząc się go, nie mówiąc mu nic, wyrwać, przekupując otaczających. Jednego dnia późnéj jesieni, spuściła się z mieszkania swojego na wieży, mając przyrzeczoną pomoc do wdrapania się na mur przy ogródku. Żydzi handlarze, których do tego użyła, kazawszy sobie zapłacić sownie, niezręcznie posiłkowali jój do téj ucieczki. Już była na drugiéj stronie muru, który po lekkiej drabinie ze sznurów miała odwagę przebyć, gdy warty usłyszawszy ruch u stóp wieży, załogę zaalarmowały. Komendant przypadł, i nim hrabina miała czas oddalić się cokolwiek od zamku, pochwycono ją odprowadzając nazad do mieszkania, u którego odtąd znowu stały warty.

Nie wzbraniano jednak przybywającym do Stolpen widywać się z nią, a trochę późniéj we dnie do ogródka wychodzić.

Zaklika siedział ciągle w miasteczku nieobudzając szczęściem podejrzenia, gdyż zachowywał się spokojnie i w ostatnim wypadku posądzanym nawet być nie mógł. Cosel dawała mu różne rozkazy, ale dotąd nie żądała nawet pomocy do ucieczki.

W następnym roku podrażniły nieszczęśliwą niewolnicę, wiadomości o obchodzonym świetnie, świetniéj może niż kiedykolwiek karnawale w Dreźnie z powodu przybycia Fryderyka Wilhelma wraz z synem Fryderykiem (Wielkim). Pobyt ich tutaj trwał cztery tygodnie.

W kilka dni po przybyciu Fryderyk pisał ztąd do Seckendorfa: „Tutejsza magnificencya jest tak wielka, iż sądzę, pe-

wnie u Ludwika XIV nie mogła być większą, a co się tyczy rozwiązłego życia, wprawdzie jestem tu dopiero od dwóch dni, ale muszę powiedzieć prawdę, że nic podobnego w życiu nie-widziałem.“

Magnificencye te trwały cały miesiąc, rozpoczęte dnia 13 stycznia. Króla pruskiego przyjmował Flemming w Elsterwerday i ztąd wysłano po syna Fryderyka, którego August zapraszał.

Nazajutrz król z synem z maskarady odbywającej się u feldmarszałka, przyszli powitać przybywającego. Następnie dnie spływały na nużących zabawach, komedjach, baletach, pokazywaniu zbiorów i kosztowności. Na rynku wyścigi dnia jednego, potem gonienie do pierścienia, ciskanie dziryków i t. p. Nie przeszkodziło zabawom że wybuchł pożar w Zekauzie, zmusił gości do ucieczki z mieszkania. Sadzono się na karuzele, w których król występował po polsku w galonowanej sukni złotej z białymi i niebieskimi piórami. Myślistwo, oglądanie zamków nie ustawały. Cosel wiedziała o tych wszystkich wymysłach, które się powtarzały z dawniej jej dobrze pamiętanych.

Orzelska bałamuciła Fryderyka W., który był nią mocno zajęty, a król zazdrośny wypłacał się figlami. Dlatego to później o nim pisząc Fryderyk, mówił: „Król polski jest ze wszystkich w świecie monarchów najfałszywszym i wzbudzającym we mnie wstręt największy; nie ma czei ani wiary, oszukaństwo jest dlań jedynym prawem... własny interes a różnienie drugich, ciągłym staraniem. Ale raz mnie tylko potrafił podejść i więcej nie zdoła.“

Pomimo tych uczuć obu Fryderyków pruskich dla Augusta, najczuliej się ściskano, a trzpiotano. Jednego dnia król August z księżną Teschen, grał rolę gospodarzy i prowadził zabawę, w której występowali chłopci francuzcy (żona księcia następcy), włoscy komedjanci (Orzelska), górnicy (Rutowski i p. Manteufel z domu Bładowska), w ostatku chłopci norwegscy (Feldm. Fleming i żona jego z domu x. Radziwiłłówna). Król pruski był przebrany za *pantalona*, a Fryderyk W. za *norweskiego chłopca*!!

Król szczególnież odznaczał się nadzwyczajną uprzejmością dla swych gości i niesłychanego bogactwa strojem, okrytym brylantami. Pomiędzy niemi jaśniał nabyty przed piętnastą dniami blisko dwóchset karatowy brylant najczystszej wody.

Odbywszy całą miesięczną tę zabawę na dworze drezdeńskim, król pruski pisze poufnie do Seckendorfa: „Jestem w Dreźnie, skaczę i tańczę, a zmęczony daleko więcej, niż gdybym codzień po dwa jelenie uszczuł. Wracam do domu znużony przebytemi tu przyjemnościami.

Z pewnością żyje się tu nie po chrześcijańsku, ale Bóg mi świadkiem, że w tém żadnej przyjemności nie czułem, i powracam tak czysty, jak przybyłem.“

Zabawom tym nie było końca.

Najwspanialszą i ostatnią pono był obóz w Mühleberg nad Elbą, który trwał miesiąc cały, który poeci opiewali, ale téż i wyśmiewano się z niego pocichu.

Miejsce na obóz samo, oczyszczone z lasu, zajmowało mil trzy obwodu.

Spędzono chłopów i górników i w pień go wycięto. Dwadzieścia tysięcy piechoty i dziesięć jazdy polskiej i saskiej stało obozem; wszystko nanowo wyekwipowane i na francuzki sposób wyegzercytowane. Najwspanialsze były kawalergardy grands mousquetaires konni, granadyerowie konni, gwardya konna, spahi i kozacy, a z piechoty janczarowie i batalion lejbgwardyi grenadyerów Rutowskiego.

Janczarowie mieli mundury z lamy złotej, a Rutowskiego batalion z najogromniejszych ludzi, zachwycił króla pruskiego nad wyraz wszelki. Król miał główną kwaterę w Zeithen, w drewnianym, naprędce wzniesionym, ale olbrzymim budynku, o dwóch piętrach z suterunami, okrytym zewnątrz płótnem malowanym. Do malowania tego, sprowadzono umyślnie sześciu dekoratorów z Włoch. Na chorągwi powiewało godło: *Oliv Martis*. Oprócz pałacyku, król miał dwa ogromne namioty.

Z gości przyjmował August znowu króla pruskiego z synem i mnóstwo cudzoziemców, piętnastu posłów samych, a sześćdziesięciu dziewięciu hrabiów i trzydziestu ośmiu baronów.

Z Francyi przybył nawet Marechal de Saxe.

Więcej się tu bawiono, muzyki słuchano, tańczono i spalono ogni sztucznych, niż popisywano z wojskami. Na jednej z uczt tutejszych, podano sławny ów olbrzymi paszтет, czy ciasto, długie na szesnaście łokci, a sześć szerokie, na które poszło siedmnaście szefli mąki. Przywieziono je na wozie ośmią końmi ciągnionym, a cieśla musiał je krajać. Wszystkie te pomysły, płodny w nie August sam wynajdował i wykonaniem ich się zajmował. Sławny Zucchi sztychował później ku podziwowi potomnych, historią Mühlbergskich cudów; opiewał je König, poeta nadworny, a Fryderyk W. z nich szydził nie-litościwie.

O wszystkiém tém donoszono i rozwożono wiadomości po kraju, lud i słudzy je chciwie powtarzali, a Cosel także słuchać musiała, gorzko uśmiechając się fetom, które świętokradzko, bez czucia powtarzały kropla w kroplę te, jakie August dawał dla niej.

Jątrzyła ją ta obojętność króla, rozbudzając chęć wyrwania się z więzów i pomszczenia może na nim swój niedoli a jego niewiary.

Przychodziły na nią takie dnie szału i niepokoju, a potem znowu bezsilności.

Kilka razy miała już na ustach powiedzieć Zaklice: „na ciebie kolój.“ On też spodziewał się tego i czekał. U niego zawsze w gotowości było wszystko—sam jeden był, mógł umrzeć.

Przez lat tyle pobytu w Stolpen, miejsce i ludzie byli mu doskonale znani. Myślał po każdej nieudanej wyprawie, jakby przyszłej zapewnić powodzenie. Był to jedyny przedmiot, którym się zajmował. Wyzywał ją jednak na niebezpieczeństwo nie chciał: czekał.

Jednego dnia, gdy żydzi razem z innym towarem przynieśli jój hamburgską gazetkę, w której było opisanie ostatnich zabaw czasu bytności króla pruskiego, a między innymi karuzelu, niegdyś dla niej po raz pierwszy wymyślanego, Cosel oburzyła się, oczy jój, jak zwykle, gdy bywała poruszona, zaiskrzyły się; odczytała dziwnym stylem napuszczonym, opowiadanie... zmięła je i zdeptała.

Zaklika na to nadszedł.

Chodziła długo zamysłona.

— Masz jeszcze ochotę życie swoje ważyć dla mnie?—zapytała pocichu.

— A! zawsze—poprostu odparł Zaklika.

— Masz jaki sposób ratowania mnie?

— Będę go szukał.

— Żal mi ciebie, najwierniejszym mi byłeś—rzekła—ale nie żałuję siebie: gotowam zginąć sama. Muszę się ztąd wyrwać... muszę.

Rajmund stał zamyślony.

— Potrzebujesz wiele czasu?

— Nie mogę się obrachować—odezwał się Zaklika... trzeba raz tak począć, aby dokonać co się zamierzyło.

Skinęła Cosel, Zaklika wyszedł i nie zachodząc do nikogo, wysunął się poza zwierzyniec, potrzebując sam na sam myśli zebrać. Rozmaite plany miał oddawna, wszystkie one najlepsze mi się zdawały, a jednak każdy miał jakąś wadę.

Wszystkie poprzedzające próby chybiły przez to, że się zawczasu o ucieczkę dowiedziano; należało tę obwarować, aby nie została odkrytą, aż gdy Cosel dostanie się za granicę: potrzeba było zatrzeć ślady ucieczki i omylić pogonie.

Nieszczęściem Zaklika nikogo nie miał do pomocy, oprócz kilku wiernych, znajomych Wendów, bojaźliwych i niezręcznych. Rachować mógł na ich uczciwość, lecz wcale nie na przebiegłość.

Pora, w której ucieczkę wykonać należało, zdała mu się ta najlepszą, gdy jak najmniej spodziewać się jęj mogli na zamku.

Powiedział więc sobie: we dnie.

W bramach zamku ścisłej kontroli wchodzących i wychodzących nie utrzymywano, puszczano przekupuiów do hrabinek, do komendanta i mężczyzni nie zwracali żadnej uwagi. Wnosił więc, że Cosel w chmurny lub słotny dzień, nad wieczorem, okryta jego płaszczem wojskowym, z czapką na oczy nasuniętą, śmiało wyjść mogła i straży jęj nie zaczepiła. On zaś sam miał o kilka kroków iść za nią i przeprowadzić za zwierzyniec do koni wierzchowych, któreto dosiąć mieli i puścić się zaroślami i lasem bez drogi w góry. Lasy łączyły się naówczas ze zwierzyniecem królewskim. Konie miał w pogotowiu trzymać Hawlik.

Przez kilka dni Zaklika ważył i rozważał.. nic lepszego znaleźć nie mógł.

Przyszedł więc do hrabinęj, poddając jęj myśl swoją.

Chwyła się jęj gwałtownie, znajdując bardzo szczęśliwą.  
— Pierwszy dzień dżdżysty, nie ma czego zwlekać — zawołała — trzeba probować. Jestem decydowana się bronić, spodziewam się, że i ty nie dasz się wiaść im gołą ręką.,, trzeba się więc uzbroić.

— Ja mam nadzieję, że to nie będzie potrzebném.

Cosel nic nie odpowiedziała.

Przez dni kilka niebo było wypogodzone i jasne. Zaklika przychodził codzien, czyniono przygotowania; przewidując że tu już nie powróci, sprzedał zabezcen swój dworek i spieniężył co tylko było można.

Naostatek niebo się chmurami zaciągnęło późno we czwartek i zdawało się że na dni kilka stała się słota zapowiada. Zaklika umyślnie płaszczem okryty kręcił się wchodząc i wychodząc z twierdzy, ucząc żołnierzy iż na zapytanie odpowiadać nie lubi. Szły próby jak najlepiej. W piątek padał deszcz od rana; gdy zaczęło zmierzchać, wszystko było w pogotowiu. Sługi Cosel otrzymały uwolnienie do miasteczka.

Okryta płaszczem żołnierskim, z czapką na głowę nasuniętą, zgarbiona, Cosel posunęła się ku pierwszej bramie św. Donata i nikt na nią nie zwrócił uwagi; w drugiej żołnierz popatrzył i przepuścił nic nie mówiąc.

W kilka minut potém prawie podobnie okryty Zaklika spieszenie szedł przez bramę pierwszą, w której nie spotkał nikogo. W drugiej żołnierz zaczął mruzczyć.

— A wiele was tu jest? tylko co jeden, już drugi?

Zaklika odsłonił mu twarz.

— Dyabeł cię zna—odezwał się żołnierz—tylko wiem że jeden wszedł a dwóch wychodzi.

— Jakich dwóch?

— Juściżem nie ślepy.

Zaklika nie zważając posunął się ku wyjściu: żołnierz go zatrzymał.

— Ależ mnie tu wszyscy znają—rzekł śmiejąc się—czegoż chcecie?

— Idź się tłumacz do komendanta, a nie, to cię nie puszcę.

Zaczęli się z sobą kłócić, zrobił się gwar, nadbiegł wachmistrz. Podskarżył mu się grzecznie Zaklika, że tego jeszcze nigdy nie bywało: puszczono go.

W kilka chwil znikł w zaroślach za zwierzyńcem, ale żołnierze mruzcą.

— Cóżes do niego upatrzył?—zapytał wachmistrz.

— Na straży muszę liczyć ilu wchodzi a ilu wychodzi: jeden w takim płaszczu wszedł a dwóch ich wyszło? I ten pierwszy taką miał minę, jakby on wcale żołnierzem nie był.

A nuż Cosel?—dodał śmiejąc się.

— A no! pleciesz!—rzekł niespokojnie wachmistrz. Stał się, pomyślał i poszedł ku wieży św. Jana. Tu dowiedział się od posługacza kuchennego, że kobietom wszystkim dane było pozwolenie na miasto.

Wbiegł na drugie piętro, pokój był ciemny i pusty; na trzecim też nikogo. W ogródku szukać w deszcz śmiesznym było, wachmistrz głowę tracił i pobiegł do komendanta. Ten wybiegł z ludźmi najprzód pod wieżę, przeszukano wszystkie kąty, a czas upływał. Zaczynało dobrze zmierzchać. Nie uległo już wątpliwości iż Cosel uciekła. Uderzono na gwałt i komendant z ludźmi, rozdzielwszy ich na kilka oddziałów, wybiegł w pogoń zrozpaczony.

Cosel tymczasem biegła do koni, które w znanym jej miejscu stać miały: omyliła się w pośpiechu i zbłądziła... Zaklika dobiegł do nich, gdy jej jeszcze nie było. W rozpaczę puścił się szukać nie śmiejąc nawoływać, bo już bicie na alarm słychać było.

Straciwszy czasu nie mało spostrzegł ją stojącą pod drzewem, już w zwątpieniu; pochwycił ją za rękę i doprowadził do koni. Cosel odzyskawszy przytomność umysłu rzuciła się na siodło, Zaklika chwycił konia za cugle, gdy ludzie z załogi nadbiegli i otoczyli ich. Nie mógł się bezbronnice dać wzięść Zaklika i wołając na nią aby uchodziła, stanął z pistoletami i szablą do walki.

Kilka strzałów zahuczało i świsnęło, i poczciwy Zaklika rażony kulą w samo czoło, jęcząc powalił się na ziemię... W tej-

że chwili żołnierz chytał konia hrabinę, która napastnika trupem położyła, ale tuż przyszedł drugi i trzeci i poddać się było koniecznością...

Komendant nadbiegł gdy już dwa trupy zimne leżały na ziemi skrwawionę, a trzeci ranny dogorywał.

— Pani hrabino—zawołał—licz pani ile życia ludzkiego jęj wycieczki daremne kosztują!

Na to nie odpowiedziała nic hrabina.

Skoczyła z konia i zbliżyła się do leżącego trupa Zakliki. Bładami usty pocałowała go w krwawe czoło. Rękę trzymał machinalnie przyciśniętą do piersi, gdzie był złożony powierzony mu akt przyrzeczenia królewskiego, który Cosel zdjęła z niego i zabrała z sobą.

Odprowadzono ją na zamek milczącą i pogrążoną w myślach, z których nie prędko wyszła. Siedziała po całych dniach zanurzona w Biblii i obudzała litość nawet w tych, którzy jak najobojętniej na los jęj patrzali. Zaklice kazała sprawić po grzeb, na który posłała pieniądze.

— Mnie go nikt nie sprawi—rzekła—nawet dzieci, bo te mnie nie znają. Sama jestem na świecie.

Cosel w chwili gdy się to działo miała już lat 49. Piękność jęj, jak świadczą wszyscy współcześni, oparła się latom i cierpieniom; była jeszcze piękną, a rysy twarzy zachowały wdzięk dawny i oczy nie straciły blasku.

Od tęg pory przestała wychodzić do swego ogródka, otoczyła się książkami, czytała Biblią, studyowała kabałę; kazała sobie księgi hebrejskie tłumaczyć: zabijała czas nie mogąc zabić siebie. Były to ostatnie lata panowania Augusta II, który je spędził naśladowując pilnie pierwowzór swój Ludwika XIV. Świetne zabawy i przepych ustąpiły nieco fantazyi budowli olbrzymich, zakładaniu gmachów, wznoszeniu pałaców.

Drezno drewniane dotąd i dość niepozorne miasto, rozkazano albo przebudowywać z muru, lub domy sprzedawać. Wzniesiono najprzód ratusz na starym rynku: Flemming, Vitzthum, Wackerbarth, Sułkowski, musieli wznosić pałace. Od Flemminga odkupił król pałac japoński wprzódy holenderskim zwany, zakładano ogrody, wznoszono koszary, projektowano monumenta; stał już piękny zwingier, cacko w swoim rodzaju,



który miał być tylko podwórcem do olbrzymiego pałacu nowego. Piękne drzewa pomarańczowe, które dziś zdobią latem zwinger, mają bajeczną historję swoją. W tym roku 1731 król naukową ekspedycję wysłał do Afryki, jako balast wrzucano w okręt 400 świętych drzew, które do robót tokarskich miały być użyte; spróbowano je posadzić, większa ich część ożyła.

W okolicy Drezna wznosiły się zamki Moritzburg, Hubertsburg, domy letnie w Pillnitz i t. p.

W r. 1731 przedstawiono z wielkiem powodzeniem operę *Cleofida o Alessandro nelle Indie*, w której występowała po siedmkroć piękna Faustyna słynna śpiewaczka, a po siódmém przedstawieniu mąż jęj uznał właściwem udać się do Włoch dla dalszego muzycznego wykształcenia.

Chociaż Sasi nie wiele mieli praw o któreby się upominać mogli i śmieli, a August nie dopuszczał marzeń o swobodach podobnych tym, które mu Polskę obmierzyły; wszakże sejm saski dla samęj reprezentacyi zebrać w tym roku pozwolił i z wielką ceremonią odbył się on w sierpniu, a Lubomirski, Sepieha, Czartoryski i podkanclerzy lipski byli świadkami jak to się tu te obrady cicho, porządnie, pięknie i programowo odbywały.

Jesienią król pojechał do Polski, przyjmowany przez wielu dygnitarzy w Łowiczu i zamieszkał w Willanowie. Tu obchodzono św. Huberta. W następnym roku świetny znowu karował z gospodarstwami obchodzony był w Dreźnie. Król znowu ruszył do Polski, zkąd dwanaście par zubrów wyprawiono do zwierzyńca w Krejern, ale te bezpotomnie tu wygasły. N. Pan nie lubił plotek, postąpiono sobie surowo z p. majorem d'Argelles, który paskwile z Paryża słał do Warszawy. Złamano mu szpadę nad głową, oprawca go opoliczkował, potwarcze pisma w gębę mu zatkał, a potem na całe życie posłano go do gdańskiej fortecy.

W Dreźnie budowano niezmiernie, zaczęto hotel inwalidów na wzór paryzkiego i wiele innych budowli. Willanów téż dla króla odnowiono i tu zebrał się na podziw polski obóz na wzór onego głównego pod Mühlbergiem.

Nie pomogło to jednak wcale na chroniczną chorobę i sejm został zerwany. Szlachta wcale się na królu nie znała, a król téż cierpieć jęj nie mógł. Pocieszając się jechał Au-

gust z Friesenem i Brühlem oglądać gmachy, które dwa tysiące robotników wznosiło: pyramid-gmach, japoński pałac, koszary, kościół, twierdzą. Król się starzał, choć chciał zawsze młodego udawać. Jeszcze w r. 1697 gdy padł był popisując się przed księżną Lubomirską, stłukł sobie nogę niebezpiecznie. Kazano mu się szanować, o czém wcale nie myślał. W roku 1727 musiano zgangrenowany palec u nogi obcinać, a Weiss chirurg który się podjął operacyi głowę ważył, gdyby się nie udała. Powiodła się jednak szczęśliwie, pomimo to z trudnością mógł się już na nogach utrzymać i rozmawiając z damami, na taborecie przysiadł.

W ostatnim roku w Lipsku jeszcze obchodził ulubiony swój jarmark noworoczny, oglądał przyprowadzone konie, potem karnawał uroczyste w Dreźnie otworzył, a że sejm się zbliżał, ruszył do Warszawy na d. 16 stycznia.

Droga zimowa, uderzenie w nogę przy wysiadaniu, spowodowały gangrenę i we trzy dni król nie żył. Dziwna rzecz, że w takim życiu do lat sześćdziesięciu trzech mógł wytrzymać.

Przywodziłszy wyżej wiele zdań o Auguście mniej więcej zgodnych w ocenieniu jego charakteru.

W kilka lat po zgonie hr. Schulenburg wezwany przez Voltaire'a, napisał o Auguście II:

„Pewną jest rzeczą, że król August polski był jednym z monarchów najwyżształceńszych, jakich sobie wyobrazić można (vollendesten); posiadał sąd o rzeczach sprawiedliwy i dar rozróżniania największy, nadzwyczajną zręczność i energię, był bardzo pracowity i tak pilny (?) jak prywatny człek, który się chce czegoś dobić; kto go w różnych okolicznościach nie widział, ledwieby mógł uwierzyć do jakiego stopnia umiał udawać i dyssymulować; zdolny był bardzo pojąć wszystko i wedle swego sposobu widzenia rzeczy się kierować. Oprócz tego rozumiał wojnę wielką i małą, siedząc na koniu doskonale zdejmował plany, wszelkiego rodzaju fortyfikacye znał dobrze, napaści i obrony twierdz, wybornie w każdym wypadku umiał należyte rozporządzenia wydawać i instrukcyje, naostatek znał artyleryjską naukę jak ci, co się jęj z powołania oddają.“

Jedyny syn Augusta, który dziwne odebrał wychowanie między wyznaniem protestanckim a katolicyzmem trzymany, aby wedle potrzeby mógł jedno z nich wyznawać; na lat kilka oddalony był z Saksonii i w tej podróży przez Jezuitę Salerno, ostatecznie został nawrócony. Na dworze Ludwika XIV znajdowano go bardzo skromnym, bojaźliwym i rozsądnym. Dopiero w 1717 r. ogłoszono publicznie nawrócenie go na wyznanie katolickie, któremu pozostał wiernym. Stwierdziło to ożenienie z księżniczką austriacką Maryą Józefą. Po siedmioletniej niebytności młody kurfirst powrócił do Drezna z żoną.

August III różnił się od swojego ojca obyczajem i charakterem najzupełniej: był pobożny, skromny, nadzwyczaj leniwy, ale lubił też zabawy, a szczególnie polowania. Przyznawano mu rozsądek i zdrowe rzeczy pojęcie, lecz wstręt do wszelkiego zajęcia.

Panowanie Brühla i Sułkowskiego zwiastowało się już zawczasu, bo w ostatnich latach Augusta II; przypuszczano jednak raczej że drugi z nich będzie owym wszechwładnym ministrem, jakim się później stał pierwszy.

Gdy wieść o śmierci Augusta II doszła z Warszawy do Saksonii i obwieszczano ją po całym kraju, odbierając przysięgę na młodego kurfirsta, komendant ówczesny fortecy Stolpen sam ją przyszedł oznajmić hrabinie Cosel.

Stała długo niema i osłupiona, potem załamała ręce rozpaczliwie i rzuciła się płacząc na ziemię.

Niewola, okrucieństwo, zapomnienie, doznane krzywdy, nie mogły jej niewieściemu sercu odjąć miłości, jaką miała dla niego. Odtąd znowu był jej ukochanym Augustem, a wszystko złe poszło w zapomnienie!

W pięć czy sześć dni z Drezna przybył niejaki Hennicke, który później tak świetną zrobił karierę, kazał się zameldować do hrabiny Cosel, w poselstwie od kurfirsta. Siedziała jak zwykle nad książkami swojemi, gdy się ukazał w progu.

— Jestem przysłany do Waszój Ekscellencyi—odezwał się—od Najmiłociwszego Pana, aby jej dobrą nowinę zwiastować żeś pani wolną i możesz gdzie się jej podoba zamieszkać.

Cosel ręką potarła po czole.

— Ja? wolną?—zapytała. A na cóż mi dziś wolność...? Ludzie mi, ja ludziom i światu stałam się obcą. Gdzież pójdę? Nie mam kąta, zabrano mi wszystko! z kim żyć będę? nikt mnie nie zna? Chcecież mnie wystawić na pośmiewisko, aby tę hr. Cosel, przed którą wszyscy skłaniali głowy, palcami wytykano?

Hennicke milczał.

— A! nie!—nie!—powtórzyła—nie, wolności nie chcę, nie mam gdzie się podziać; proszę, zostawcie mnie tu. Przyrosłam do tych murów, wszystkie łzy moje w nich wylałam, nie umiałabym żyć gdzieindziej; zostawcie mi ten kąt, proszę: nie pożyję długo.

Hennicke odpowiedział tylko że N. Panu odniesie prośbę hrabiny.

Łatwo się domyślcć, że dozwolono jój tu pozostać. Hrabina w r. 1733 miała lat pięćdziesiąt i trzy. Po tylu przecierpianych kolejach, nie spodziewała się już długiego życia.

Ale nikt nigdy nie odgadł swoich przeznaczeń.

Hrabina Cosel urządziła się wygodnie na wieży ś. Jana i przytykającym do niej ogródku. Główném jój zajęciem i ulubioném czytaniem były książki hebrejskie, literatura Wschodu, kabała. Otaczała się téż ciągle żydami i przez nich otrzymywała wszystko, czego potrzebowała. Pensya jój wynosząca trzy tysiące talarów, starczyła na utrzymanie, na zakupno książek i wykupywanie niepoczciwych, satyrycznych medalów, które August II, o zakład z nią poszedłszy, wybijać kazał. Kupowała także rzadkie talary z herbem jój i króla. Uprosiła je sobie wówczas u niego, kiedy jeszcze sądziła, że ma prawa żony. Bito je w nadzwyczaj małej ilości. Po śmierci Cosel, kilkadziesiąt sztuk tych monet, znaleziono w jój fotelu.

W więzieniu i na swobodzie zachowała zawsze dumę i sposób obejścia się królowój. Miejscowych urzędników, duchownego i innych, zwała: „ty“. Osobom które Stolpen zwiędzały, oświadczać kazała „swą łaskę“. Po siedmnastu latach niewoli za życia Augusta II, przeżyła hrabina tutaj całe panowanie Augusta III i Brühla, obie kampanie szląskie i wojnę siedmioletnią całą.

Godna uwagi, że pierwszy strzał który padł, rozstrzygając o przyszłych losach Saksonii, rozległ się o mury tego zamku. Pruski generał Warnery, wypalił pierwszy do fortecy, zajętej przez kilku inwalidów, opanowując ją samotrzeć.

Fryderyk W. w czasie wojny, wypłacał regularnie hrabini Cosel jej pensyą, ale w tej lichéj monecie, którą zwano efraimitami. Z gniewu hrabina ówieczkami do ścian poprzybiła wszystkie te talary.

## XV.

W czasie wojny siedmioletniej w roku 1762 i zajęcia Drezna przez Austryaków, książę de Ligne, który naówczas był pułkownikiem dragonów, jeździł umyślnie do Stolpen, aby hrabinę zobaczyć. Oświadczyła mu przy piérwszém widzeniu się, iż przedsięwzięła wszystkie religie poznać i poznawszy je, wybrała żydowską. Wprzódy była ona protestantką, jak hrabina Königsmark i Marechal de Saxe. Oświadczyła téż księciu, że jeszcze za życia Augusta II mogła była wolność otrzymać, ale wolała w Stolpen zostać, bo jej nikt już na świecie nie znał, a nigdy się spodziewać nie mogła ażeby żyła tak długo.

Przy rozstaniu miłemu gościowi darowała hrabina biblię, która, jak wszystkie inne jej książki, cała była okryta przypiskami, grubym czerwonym ołówkiem, co ją wcale nieprzyozdabiało. „Szukała tego skarbu, pisze książę de Ligne, tak uroczyście, z taką troskliwością, żem sądził, iż chyba mnie najdroższymi dyamentami obdarzy.“

Książę de Ligne widział ją 82 lat mającą. Wkrótce potem otrzymał od niej list ledwie dający się wyczytać, a trudniej jeszcze zrozumieć i powiada o nim, że go wysylabizować nie potrafił, tak był pełen mistycznych i magicznych formuł.

Z innych źródeł wiadomo, że sławnemu swego czasu orientaliście superintendentowi Bodenschatz, kazała dla siebie tłumaczyć *Pirke aboth*, książkę rabiniczną. Posłała mu na to dwadzieścia talarów, a list podpisała jako Borromeus Lobgesang. W kilka dni to zrobiwszy, Bodenschatz otrzymał sześć dukatów i najpiękniejsze podziękowanie. Później żądano od niego tłumaczenia innych traktatów, płacąc mu za arkusz po

luidorze. Bodenschätz zaciekawiony, chciał wiedzieć dla kogo to robi; powiedziano mu, że listy jego adressowane do Drezna, posłaniec ze Schmidefeld zabiera i odpowiedzi przynosi, a o więcej się dowiadywać nieżyczono. W końcu ów nieznaną korrespondent zaprosił p. Bodenschatza do Drezna, ofiarując mu podróż zapłacić. Jakoż znalazł go w istocie w Dreźnie. Cosel wystąpiła na przyjęcie go w zupełnym stroju arcykapłana starego przymierza. Kobięcą twarz poznał zaraz Bodenschätz.

Widywali się później częściej, hrabina przyjmowała go bardzo uprzejmie, dopytywała o różne objaśnienia talmudu, o księgi hebrejskie i rabiniczne pisma.

Hr. Cosel, Bodenschatza miała się starać przez ojca swój synowej, hrabiego Holzendorfa, ówczesnego prezydenta rady konsystorza, zrobić miejskim proboszczem w Stolpen. Nie przyszło to dlatego tylko do skutku, że go własny książę Bairentz zażądał.

Bodenschätz zraził się też tém, że hrabina wyrażała się bez pohamowania o wierze chrześcijańskiej. Oprócz tego żona pastora, mimo sześćdziesięciu lat pani Cosel, która jeszcze była bardzo piękną, uczuła zazdrość i nie puściła go.

Naostatek w roku ósmdziesiątym piątym życia, d. 2 kwietnia 1765 r. zmarła na zamku w Stolpen... a współcześni zostawili świadectwo, iż zwłoki jej zachowały jeszcze ślady tej nadzwyczajnej piękności, którą tak długo słynęła.

Śmierć była cichą... pogrzeb także. Dnia 5 kwietnia ciało złożone zostało w kościele zamkowym, bez kamienia, bez oznaki żadnej, w miejscu, o którym nikt nie wzmiankuje.

Troje dzieci zostawiła po sobie, przyznanych przez króla: hrabiego Fryderyka Augusta Cosel urodzonego w r. 1712, generała jazdy, szefa gwardyi i pana na Zaborze nad Odrą w Szlązku... (pod Zieloną górą).

Jego to pałac nosił imię Cosel.

Cosel żonaty był z panną Holzendorf i zmarł w r. 1770, zostawując jednego syna, który zszedł bezpotomnie. Córka jedna, starsza Augusta Konstancya, wydana za hr. Friesen'a, wniosła mu w posagu Königsbrück, a umarła w 1724 roku. Młodsza Fryderyka ur. w 1709, poszła za podskarbiego Frydery-

ka Krystyana Moszyńskiego. Mąż jęj zmarł w r. 1737, ona przeżyła go o lat prawie pięćdziesiąt i za panowania Brühla, ona panowała nad Saksonią. Beczkę złota kosztował ją pałacyk, zwany Moszyńskich, który został niedawno zrzucony.

Takie były losy tęg kobiety, którą najsurowięj sądząc, na tle czasu, w jakim żyła, wśród ludzi, z jakimi obcowała, niepodobna jęj odmówić pięknego, szlachetnego, wzniosłego charakteru. Wśród powszechnego zepsucia, narażona na tysiące umyślnych pokus, wyzywana, aby się swęj dostojności wyrzekła, Cosel wolała niewolę, męczarnie, niż wyrzeczenie się tego, co zdawało jęj się honor zabezpieczać. W czasie najzłośliwszych plotek, nikt nie śmiał i nie mógł nic przeciwko nięj powiedzieć.

Miłość jęj dla Augusta, który nigdy żadnęg kobiety nie kochał, przetrwała lata i w chwili jego zgonu, jeszcze z nową gwałtownością wróciła. W samych tych kabalistycznych obłędach biednęg kobiety, czuć umysł czynny, niemogący wyżyć i bez zajęcia, i sięgający najwznioślejszych zagadnień, któreby niezrozumiałe jęj życie wytłumaczyć mogły.

Nie sądzimy, abyśmy w końca potrzebowali zapewniać czytelników naszych, iż cała ta historia hrabinęg Cosel we wszystkich zarysach, wypadkach, charakterach, jest jak najściślej prawdziwą. Taką ją nam podały mnogie pamiętniki epoki: Haxthausen, Pöllnitz, Loen i inni.

Wyobraźnia nie potrzebowala dodawać prawie nic, do tak bogatego materiału, ale go tylko wypełnić. Jest to jedna strona epoki i panowania, które się i nam czuć dało, widziana z Saksonii i z profilu. Król August nie ma w nięj pięknęg roli, ale ta, jaką mu nadają dzieje, jest ściśle prawdziwą. Wielu szczegółów pełnych charakteru, któreby dzieje ścierpiały, powieść znieść nie mogła.

Dwa te panowania saskie, jak już za Stanisława Augusta zdrowsze umysły uznawały, oddziały na kraj nasz w najzgubniejszy sposób. Dwór saski popsuł obyczaje polskie, widzimy tu rodziny niegdyś najzaciejsze, ubiegające się o piętno smrotne łask królewskich, Bielińskich, Denhoffów, Pocięjów

Lubomirskich. Zbytek i potrzeba rozrywek płochych, niepomierne bankietowanie z Augustem, przychodzą do Polski, ale z saską dynastyą nie giną. Wielcy mężowie lat dawnych, ustępują słynnym intrygantom, miłość kraju zmienia się w prywatę wyzyskującą wszystko; frymark szczeni się wszędzie, marnotrawstwo kraj niszczy. Blask dworu i elegancya jego, na umysły słabe i zawsze do naśladowania skłonne, fascynacyjny wpływ wywierają. *Regis ad exemplum* żyją wszyscy; niewidziane dawniej w rodzinach polskich zgorszenia, przechodzą niepostrzeżone, społeczność chwieje się w posadach. Smutny to widok tém bardziej, że tak napozór wesołą i świetną ma fizyognomią.

Niemniejszemi ofiarami okupiła Saksonia świetności te dwóch panowań: jednego rozrzutność samowolną, drugiego niedołność i opieszałość zdumiewającą. Naśladowca Ludwika XIV, zadał cios śmiertelny własnemu krajowi. Sasi przypisują zwykle staraniom o koronę polską, wojnom dla utrzymania się przy niej toczonym, finansową swą ruinę i osłabienie. Przekonać się można jednak łatwo z pobieżnych nawet rachunków, że nigdy korona, wojny, sejmy, polityczne targi nie kosztowały Augusta II tyle co jego zabawy, fajerwerki, obozy, balet, opera, brylanty i pałace ulubienic.

Marnotrawstwo było olbrzymie, nieprawdopodobne i wprzódy jeszcze nim Brühl począł wysysać Saxonią, Hoymy, Beichlingi, Fürstenbergi, wyciągnęli z niej dawną jej zamożność. Ani Sasi nam, ani my im, nic do zazdroszczenia nie mamy: oba kraje padły ofiarą fantazyi Augusta Mocnego. Saksonia tylko rychléj obyczajowo dzwignąć się i pod wpływem otaczających ją Niemiec odrodzić mogła—nam na to dłuższego dla wielu a wielu przyczyn, potrzeba było czasu.

Zamek w Stolpen pusty dziś, zamknięty, śliczna ruina milcząca, stoi wspinając się wieżami swemi do góry. Zachował się jeszcze dosyć cało i wieżę ś. Jana, pokoje hr. Cosel, jej ogródek, wszystko to pokazuje grzeczny odźwierny, sprzedając małą książeczkę, służącą za przewodnika. Cicho tu i głucho. Oryginalną fizyognomią nadają zamkowi ogromne wieże słupów czarnego bazaltu, wyrastające z ziemi wszędzie. Do nichto strzelał August II niepomny, że tam wśród nich



zamknięta siedziała kobieta, której zatrul życie. Na cmentarzu i w kościele u stop góry, próżno pytać o grób Cosel: nikt o nim nie wie.

## POSIADŁOŚCI ANGIELSKIE W INDYACH.

Ustęp jaki tu podajemy częścią w streszczeniu, częścią w przekładzie, wyjęty jest z najświeższego dzieła pana Fryderyka Hellwalda (die Russen in Central-Asien. Augsburg. Butsch 1873) o którym Bibl. Warsz. dała krótką wzmiankę w zeszycie październikowym r. b. Autor opierał się na źródłach urzędowych i naukowych, a pracę swą zestawia ze źródłami angielskimi i ze sprawozdaniami sławnego podróżnika Hermana Vambery. Nadto materiał historyczny z wielką starannością zbadał. Z dwunastu pierwszych rozdziałów można się dowiedzieć bardzo wiele ciekawych a prawie nowych szczegółów, o morzu Aralskiém, rzece Syr-Daryi i Amu-Daryi, o wyprawach rosyjskich na Samarkand, Kokan, Afganistan i Chiwę, jakoteż o stanie geograficznym i etnograficznym tych dalekich krajów.

Autor w trzynastym rozdziale uprzedza zaraz z góry, że zabierze stanowisko bezstronne względem rywalizujących ze sobą państw: Rosyi i Anglii i zaczyna od opisu znaczenia téj ostatniej w Indyach. Znaczenie to zmniejszyło się i osłabło ze zmniejszoną powagą polityki kolonialnej. Sam już bowiem fakt ten naprzykład, że w roku 1849 wywóz Anglii do Ameryki okazał się *dwanaście razy* większy a niżeli do jéj posiadłości indyjskich, dowiódł nie wielkiego pożytku kolonii znajdujących się poza obrębem państwa, tómbardziej téż że zazwyczaj każda kolonia poczuwszy się na siłach, odłącza się od kraju ojczystego i dąży do niepodległości. Angielskie kolonie w Australii <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Ciekawo w téj mierze szczegóły podaje pan Sygurd Wiśniowski w swojej dwutomowej podróży po Australii.

Nowej Zelandyi i Kanadzie, są już dziś na tej drodze, a wątpić o tém nie można—dodaje autor—że za ich przykładem pójdą i Indye Wschodnie. Niema więc czego zachwycać się polityką Anglii kolonialną zwłaszcza téż w Indyach, gdzie angielscy squaterzy (poszukiwacze złota) osiedleńcy, kupcy i nawet missyonarze, barbarzyńskiem obchodzeniem się z miejscową ludnością wyniszczają ją systematycznie, gdy równocześnie filantropi londyńscy głośno deklamują za ludzkością, wolnością i tolerancją. Zbyt się téż rozczulać nie trzeba—twierdzi dalej autor—nad kroplą krwi rozlanój, boć historia rozwoju ludzkości i pojedynczych narodów uczy, że idealne dobro ustąpić zawsze musi materyalnym korzyściom, i że wszystkie pięknie brzmiące hasła, rugują się z drogi tam, gdzie chodzi o własny byt. Zasadę tę Bismarkowską przyjął autor bez zastrzeżenia, widocznie jak dobry patriota niemiecki. Lecz trudno zaprzeczyć, że Anglicy chcąc pozostać panami zdobytego kraju, musieli się również pozbyć wszelkich skrupułów. Atoli powstanie Sipoyów w roku 1857, odkryło nagle oczom wszystkich błędy rządów angielskich w Indyach, a to co tamże odtąd zaszło, nie ulepszyło bynajmniej położenia. Zazwyczaj przypisują wyższe znaczenie cywilizacyjnemu posłannictwu Anglii w Indyach, aniżeli ono na to zasługuje. Już w roku 1870 lord Napier w raporcie swym do ministrów, datowanym z Magdali, przyznaje „że rząd nigdy mniej jak w chwili obecnej, nie powinien liczyć na przychyłność ludności indyjskiej“, a od tego czasu jeszcze się pogorszyły okoliczności; że przyczyny tego niezadowolenia należy upatrywać głębiej aniżeli w ustanowieniu podatku dochodowego, że jest nią raczej to, iż klasa europejskich urzędników których drugą ojczyzną stały się Indye, prawie już zupełnie wymarła“. Wspomnienie zaś—dodaje lord Napier—wyświadczonych przez nas dobrodziejstw w uwolnieniu Indyan od ich ciemężycieli, zatarło się już wraz ze zgasłym pokoleniem; dzisiejsze bowiem pokolenie wie tylko o ograniczeniach i ucisku, jaki znosić musi. Lord przyznaje dalej, że dzisiejsi urzędnicy ani nie rozumieją ani nie chcą rozumieć potrzeb ludu, że panowanie Anglii było tylko w niektórych stronach Indyi dobrodziejstwem, że nareszcie ukształceni i ambitni Indyanie, pragnęliby brać większy udział w urzędach i posadach, aniżeli im pozwalają. Faktem jest przeto, że owych przesławionych kolonatorów angielskich, dziś po stu latach przeszło, więcej nienawidzi ludność indyjska i to indyjska i mahometańska, aniżeli za czasów lorda Clive'go i Hastings'a. Indye przerobione w państwo brytańskie mieczem, *muszą téż być mieczem rządzone*. Dzisiaj podtrzymują rząd angielski w Indyach nie Nizam z Hyderabadu, nie Radża z Travancore i inni, których interesa związane z angielskiemi; ani nie wierność muzułmańskich lub budystyczno-bramińskich ludności, ani téż nie owych 115,000 krajowych żołdaków; lecz głównie i jedynie 70,000 doborowego europejskiego wojska, które skoncentrowawszy się w strategicznych punktach, trzyma na wodzy Sipoyów. Zwiększenie sieci kolei żelaznych i telegrafów, umocniło i zabezpieczyło, co prawda, militarne stanowisko Anglików; lecz nie

nie uczyniło więcéj;—tak że dzisiejsza ich potęga w Indyach, opiera się równie jak niegdys, na mieczu.

Wódz naczelny Napier ostrzega w powyższym raporcie rząd swój o inném jeszcze niebezpieczeństwie, a mianowicie o niezmierném uzbrajaniu się sąsiednich krajów. Oto naprzykład książę Seindza, trzyma dobrze uzbrojoną i wyćwiczoną armię, którą każdéj chwili znającém się na rzemiośle żołnierstwem zdwoić może, a który zarazem jest w stanie wyruszyć w pole najmniej z 40 dobrými działami. A daléj wskazuje siłę wojenną Nepalu, składającą się z dwudziestu siedmiu pułków, uorganizowanych według angielskiego systemu, i z 2,000 artylerzystów. Dodaje, że siła ta może być w czwórnasób zwiększouą i opatrzoną bronią, którój dostarczają krajowe arsenały Katmandy, i że prócz tego leży w pogotowiu w arsenale Nepalskim 100,000 karabinów. Daléj, że kraj ten ma własną puszkarnię, mogącą dostarczyć 12 i 8 funtówki, że w arsenale jest już 400 dział w zapasie, i że Nepaleńczycy niebardzo radzi prowadzić wojnę podczas upałów, chętnie się jéj podejną w chłodniejszój porze, co dla Anglików w tak górzystéj okolicy, niemalém stać się może niebezpieczeństwem. Nareszcie, że Holkar potajemnie urządził gisernię dział za pomocą parowéj maszyny, a książęta Guikowar, Ali-Morad, Young-Bahadur i król Awy, postarali się o gwintowane armaty i ulepszone karabiny. I więcéj jeszcze dodaje tym podobnych szczegółów. W obec takich faktów obawiać się trzeba nienadarmo, témbardziej że zamordowany wice-król (lord Maryo) posługiwał się systematem bardzo niepopularnym w armii i stanie urzędniczym, to jest oszczędzaniem każdego szylinga ażeby tylko dokończyć wspaniałe publiczne budowy, od ukończenia których, stanowczo zależeć miała moralna i materyalna przyszłość Indyi. Wspominał o tém zabity wice-król w ostatnim swym memoryale w ten sposób: „Byłoby nie do darowania, wydać grosz jeden więcéj aniżeli jest konieczném. Chodzi tu zaś o wyższe względy, aniżeli o osobiste interesa urzędników lub wojskowych. Każdy szyling wydania materyalnego i moralnego bytu tutejszego ludu“. Słowa te pełne prawdy nie zmieniają potrzeby wydatków na wojsko, które są polityczną koniecznością. Lord Northbrook jako następca lorda Maryo, objął rządy w bardzo krytycznéj chwili. Ma on do wyboru pomiędzy dwoma kierunkami: albo musi wstąpić w ślady poprzednika, albo pominąć tamtego chwalebne cele i starać się jedynie o zapewnienie potęgi Anglii. Bądźco bądź, nie zastał on kraju tego w pomyślnych stosunkach. Cały albowiem system rządzenia w Indyach, polega na bardzo chwiejnych podstawach. Najwyższa władza w sprawach indyjskich, tkwi pozornie w parlamencie krajowym, atoli nie udało się temu nigdy wywierac innéj kontroli jak tylko uominálną. Parlament wreszcie powierzył władzę ministrowi-sekretarzowi stanu dla Indyi, którego wszakże czynności sprawdzać, niéma nigdy dosyć czasu ani ochoty. Tenże minister, wychodząc z praktycznego stanowiska, jest względnie do Anglii nieodpowiedzialny, względnie zaś do Indyi, absolutnym panem. Sekretarz

stanu był dotąd bezwarunkowo rządzą, czyniącym to co mu się podobało, bo nawet te mało znaczące przeszkody które za rządów kompanii indyjskiej tamowały go cokolwiek, teraz za rządów korony całkiem znikły. Konieczność odwoływania się ustawicznie do parlamentu celem odnowienia przywileju, do czego głównie dały powód spory handlowe, poddały kompanię wschodnio-indyjską mięszaniu się częstemu angielskiego parlamentu; ta pewność zaś, że jej działania i politykę przedziej lub później badać będzie rząd metropolii, wpłynęła dobroczynnie na rządy kompanii; lecz od czasu przejścia zarządu do korony kontrola parlamentu ustała. Tymto sposobem, mógł sekretarz stanu założyć swoje *veto* przeciw wszelkiemu prawu, które indyjski zarząd uważał za konieczne. Kto inny marnował znaczne summy indyjskich dochodów na zadowolenie natrętnego jakiego krajowego książytką; trzeci znowu okładał podatkiem indyjskich poddanych dla pokrycia kosztów gościnności, na które wyekspensowała się Anglia przyjmując jakiego mocarza europejskiego i t. p. i t. p. Publiczność indyjska i jej prassa mogły protestować ile się im podobało; głos przebrzmiewał wobec nieodpowiedzialnego ministra. Obecnie zaprowadzono nieustający komitet do spraw indyjskich w łonie parlamentu, ale nie budzi on zaufania nawet w Indyach. Z tego już widzimy, że potrzeba tu zasadniczej reformy, i że trudno wymagać iżby krajowcy zadowoleni byli z urzędów, z których nie zadowoleni są sami angielscy koloniści. Czytamy też w jednej z indyjskich gazet: „Gubernator Bengalu patrzy na krajowych sędziów i urzędników jak na psów i szakali, i tak też z nimi się obchodzi. Bezustannie usiłują zatamować drogę pobieraniu wyższych nauk; nie życzy sobie ażeby krajowcy uczyli się i cywilizowali, i ażeby nabrali idei takich jakie mają Europejczycy, mianowicie co do rządzenia państwem; a życzy sobie ażeby nami rządzić jak zwierzętami i t. p.“ Niezawodną jest rzeczą, że też opinię podziela wielu Europejczyków.

Właściwość stosunków, czyni już niepewnym panowanie Anglii w Indyach. To panowanie opiera się oprócz na wyż wspomnioną siłę wojenną, głównie na niezmiernym uroku jaki wywiera potęga Anglii na wyobraźnię krajowców; urok zaś ten będzie zniszczony w tym momencie, w którym raz pobici zostaną.

Trzeba pamiętać, że ludność Indyj wynosi 200 milionów głów, któremi rządzi 156,000 zaledwie Europejczyków. Cyfra ta nie zbliża się nawet do cyfry armii takiego europejskiego państwa, które ma choćby tylko piątą część mieszkańców Indyj, a w którym przecież nie potrzeba być na baczności przeciwko krajowcom.

Tak jak zdobycie tego kolosalnego, przez wszystkie wieki chciwio pożądanego kraju, było głównie owocem chytrego wyzyskiwania domowych kłótni, chęci przewodzenia wielkich i niezadowolonych uciśnionych, tak również i dalsze panowanie utrzymać są zdolno, jedynie na mądrem korzystaniu z kłótni krajowców. Indye nie są kolonią. Żaden Anglik nie udaje się tam na stałe osiedlenie. Synowie Albionu po to tylko

śpieszą do Indyj, ażeby zyskać w wojsku lub na urzędzie złoto i zaszczyty, albo w handlu bogactwa, a potem dopiero z zarobionego majątku używać w ojczyźnie. Są oni tylko dzierżycielami kraju, ale nie jego obywatelami. Krajowcy nigdy nie uznali prawa podboju, z niechęcią znosząc jarzmo, i jeżeli tego jarzma zrzucić nie są w stanie, to przyczyną szukać nie w sile wojskowej zbyt słabej, ale w domowych klótniach i sporach. Anglicy zastali kraj niezadowolony i ugięty. Kraj podległy małym krajowym despotom, nie przeszkodził rozgospodarowaniu się muzułmańskiego państwa Wielkiego Mogoła. I ono było obcym, uciskającym fanatyzmem swojej religii, narodowy obyczaj, narodowe uczucie i sposób myślenia. Wyrugowali muzułmanów łatwo Anglicy, a miejsce religijnego fanatyzmu zastąpił handlowy egoizm, miejsce nietolerancyi religijnej zastąpił bezduszny, chciwy łupu i kupiecki egoizm. Takie gwałtowne panowanie musiało paść od pierwszego zamachu, i padło w krwawém powstaniu z roku 1857. Rząd kompanii zastąpił „rząd królowej.“

Indye jako „kraj koronny“ nie są już przedmiotem *szlującym dla wyzyskania* kupców; dziś stanowią one jedną z najgłówniejszych podstaw potęgi Anglii, politycznej, handlowej i przemysłowej. W tym też kierunku usiłują Anglicy obecnie oddziaływać, ale zanadto stoją osamotnieni, więc mogą jedynie siłą zaczerpnąć w swój wyższej kulturze. Ale frazesom zwać się będzie i niczem więcej, gdyby ktoś chciał utrzymywać, że oni istotnie siły znajdują w tej kulturze. Prawdą jest, że ponieśli błogosławieństwa cywilizacyi nad brzegi Indu i Gangesu, że szanują gdzieś indziej zwyczaje krajowców, że usiłują podniesieniem dobrobytu zaskarbić sobie ich życzliwość i utłumić nienawiść narodową i religijną; ale co byłoby wyborem gdyby się miało do czynienia z Europejczykami, nie jest niém w zetknięciu z Azyatami. Zazwyczaj pomijają tę głęboką etnograficzną różnicę, i prawieby się śmiać można z tych słów pewnego dziennika: „Jeszcze przez jeden peryod ludzkiego życia, takiej umoralniającej pracy, a Indye będą nietylko najpiękniejszym klejnotem Anglii, ale zarazem jedną z najpierwszych jej prowincyj.“ Dość na obalenie tych szumnych słów, przypomnieć powstanie Kukasów w roku 1872, co do którego zapewniali angielscy oficerowie, że miało się do czynienia nie ze zwykłą ruchawką, ale z powstaniem na wielką skalę, i że pokój utwierdzić się dał jedynie wzbudzeniem postrachu.

Rzeczywiście uciszono powstanie, „zdmuchnięciem“ 49 najoporniejszych. Lecz gdy 4 lutego r. b. ujrano w Indyach poraz pierwszy zorzę północną, szepłali sobie krajowcy do ucha: „Czerwone plamy na niebie to krew, która się poleje w wielkiej bitwie. wydaną przez potężny naród Anglikom.“ I wnet w kraju Kukasów setki rodzin wybiegły w pole; mężczyźni zrywali swe turbany z głowy i tańcząc dziko krzyčili, że światło na niebie oznacza powrót *Rama-Singa*.

A zatem angielskie egzekucyo nienawiele się przydały z Kukasami. Najlepiej wreszcie co do kwestyi muzułmańskiej w Indyach, objaśnienia nas zasłużył badacz i znawca gruntowny, Herman Vambery. Od trzech lat—powiada on—fanatyczni Wahabowie wypuszczają z siedziby

swojej w Patnie, rewolucyjne szmermele. Raz rozniecają między górskimi pokoleniami maleńki bunt, to znowu jeden zapaleniec z pośród nich, otwarcie podmawia pułki Spahisów do wojny z niewiernymi. W obec tej gry niebezpiecznej Anglia zachowuje się biernie; a są nawet tacy, którzy się ludzą tą utopią, iż trzeba się postarać o zastosowanie szkół, urzędów i administracyi do mużułmańskiego kroju, jakoby zaszczipione w ten sposób instytucye, niezawodnie mużułmanom się podobaly. Nazwać można szaleństwem podobną ułudę z Azyatami. Zadowolniliby się ich jedynie tém, jak słusznie twierdzi Vambéry, gdyby wszyscy Anglicy, począwszy od dolin Kaszmiru aż do przylądka Camorin, zabrali swoje manatki i wywędrowali na zawsze. To pewna, że jeżeli Anglia chce dać sobie radę ze swymi mużułmańskimi Indyaninami, niech się raz wyrzeczy konstytucyjnych eksperymentów, i niech raz w azyatyckich swych posiadłościach, po azyatycku działać zacznie. Przytem niech nie zapomina, że zasadniczą podstawą Islamu jest zwalczanie „niewiernych.“ Według przeto p. Vambéry, panowanie angielskie w Indyach wisi na włosku, a więc nie trzeba żadnego popelniać błędu, iżby upadku nie przyspieszyć.

My również—mówi autor—nie wierzymy w długie panowanie Anglii we Wschodnich Indyach. Atoli w Anglii inne mają przekonanie.

Tam uważają bowiem nie już stratę Indyj, ale najmniejsze niebezpieczeństwo z tej strony, jako istotny i ogólny upadek całej monarchii; dlatego myśl sama utraty tak dalece trwoży, że zawsze z prawdziwym niepokojem oczekują wiadomości, przywożonych statkiem z brzegów Hughly. „Indye za jakąbądź cenę“ taką jest dewiza starzejącego się Albionu. Nie chcą tam jeszcze rozumieć, że handel Anglii z kilkoma niepodległymi państwami indyjskimi, wzniesie się kiedyś nadzwyczajnie; dobrzeby jednak było żeby nareszcie pomyślano o tém, bo dzisiejsza jałowa polityka tego, przez system nieinterwencyjny coraz bardziej upadającego kraju, gotowa na sobie spełnić samobójstwo polityczne. Gdy jednak dotąd każdy Anglik uważa posiadanie Indyj jako *conditio sine qua non* wielkości swego ojczystego kraju, a rzeczywiscie utrata tychże, stalaby się dziś dla Anglii niepowetowaną stratą; więc łatwo zrozumieć można, czém są dla niej postępy w Azyi państwa rossyjskiego, jedyne mocarstwa, zdolnego wpływ jój nietylko przeciwważyć, ale nawet zniszczyć.

Anglicy w nieszczęsnej wyprawie na Afganistan w r. 1872 otrzymali nauczkę, iżby się więcej nie mieszać w sprawy Azyi środkowej. Zrobili z tego zasadę, przeczco może w błąd popadli, tak jak to się zawsze dzieje gdy w sprawach ludów i państw, kierować się chce zasadami. Wszakże korzyści, jakie wojska rossyjskie osiągnęły w Kokanie i u źródeł starego Jaxartu, nie pozostały bez wpływu na Indye Wschodnie i Anglię. Ujawniła się myśl, że przestrzeń dosyć jeszcze wielka, rozdzielająca Rossyę od Anglii w Azyi, coraz się zmniejsza, i że ostatecznie nie zawsze skończyć się będzie mogło na dyplomatycznych rokowaniach. W przejściu Syr-Daryi, której brzegi są ostatnim punktem północnym pochodu

Alexandra Macedońskiego, zyskali Rosssyanie na północy tę wielką przestrzeń, do której dotarł niegdyś wielki ten wódz. Droga ztamtąd do Indyi była jeszcze dosyć oddaloną i nie bez niebezpieczeństw; i dzisiaj też Rosssyanie nie myślą jeszcze alarmować granicznej załogi angielskiej w Pishawer, ale już od tego czasu posunęli się znacznie ku granicom angielskim. Krótko mówiąc: Rosssya i Anglia „styka się“ coraz bardziej na Wschodzie, i dlatego w Londynie patrzą z niejaką trwogą na posuwanie się powolne ale pewne Rosssyi od jeziora Aralskiego. Większa część jednak angielskiej publiczności, czy pewna że da sobie radę w Indyach z tém mocarstwem, czy też nieprzypuszczająca takiej wytrwałości w gabinecie St. Petersburgskim, była najzupełniej spokojną, aż do chwili pierwszych zwycięstw Rosssyi. Partya optymistów jaka się wytworzyła, owszem serdecznie cieszyła się z postępów Rosssyi jako z przyszłego sąsiedztwa państwa europejskiego, i z możebności zbytu towarów tamże. Wreszcie olbrzymi łańcuch Himalajów, Karakarum i Hindukuszu, uważali za dostateczny wal obrończy. Temi też poglądami kierował się rząd w Londynie i Kalkucie, otrząsłszy się z nich dopiero po tak nagłym zdobyciu Chiwy.

Zdecydowała się Anglia przy dalszém posuwaniu się Rosssyi na Kabul, nieść pomoc Afganom, wzmocnić granicę, i nie szczędzić ani wojska ani pieniędzy. Nie nadarmo zwiędził granicę Sir W. Mansfield w roku 1868; linia kolei Lahora-Pishawer miała się przerodzić w linię strategiczną, jakoteż miano połączyć kolejną Kotri z Multanem w dolinie Indu, nareszcie zajęto się nie na żarty systemem obrony, fortami, magazynami, arsenalami i t. p. Również liczba dział Armstronga, miała być w Indyach zwiększoną. Lecz nie tylko wojskowe i administracyjne koła, ale i europejska publiczność w Indyach, domagały się przekroczenia północno-zachodniej granicy, ażoby stanąć Rosssyi w poprzek i zająć zarazem pozycję w Afganistanie. *Times* radził obronę Indyj w Afganistanie i z pomocą Afganów, chociaż jeszcze wątpliwa rzecz czy radził trafnie. Wodzowie jednak i urzędnicy czuli się zaniepokojeni, to też wyobrazić sobie można ich przestrasz, gdy przyszła wiadomość w lecie w r. 1868 do Kalkuty, że w okręgach północno-zachodnich wybuchło powstanie większych rozmiarów.

Na wzgórzach Hazary, 30 mil od Abboty, panuje chan Agror'ski. Dla bezpieczeństwa i kontroli nad kontrabandą soli, zaprowadzili tu Angliacy stację policyjną, bardzo dla chana niedogodną. Z jego natchnienia zdaje się, przekroczył granicę w lipcu 1868 silny oddział Afganów, zniszczył stację, na co chan jakkolwiek angielski wazal, patrzył spokojnie. Angliacy pod dowództwem ksiąźątka krajowego, bronili się mężnie, cofnąwszy się dopiero po doznaniu ciężkiej straty. Ponieważ komisarz obwodu Pishawer tuż, tuż byli, więc udało się ściągnąć oddział i zdobyć napowrót stację. Pociągnięto chana do odpowiedzialności, a ponieważ mieszkańcy wsi byli oczywiście w porozumieniu z nieprzyjacielem, wysunięto przeto znaczny korpus ku Abbotcie. Wyprawę stanowiły cztery pułki Sypojów, dwa europejskie pułki piechoty, kilka szwadronów jazdy i bateria górska pod wodzą generała-majora Wilde;— siła zna-

czna jak na wyprawę tak oddaloną w górach. Gdy jednak już w kilka dni później, zbuntowało się kilka szepców, musieli Anglicy popróbować swych Snidder-karabinów, których skuteczność, jak się angielski raport wyraził lakonicznie, była „uspakajająca.“ Przypomina to skuteczność francuzkich chassepotów pod Aspromonte. Wkrótce się pokazało, że potrzeba wyprawę przeciągnąć od 4—5 miesięcy, a równocześnie powiększono korpus ekspedycyjny do 20,000, czyli do liczby nieustępującej oddziałowi wyprawionemu przeciw Abissyńczykom. Pojedyncze oddziały wojska, zmuszone były w gwałtownych marszach biedz na plac bitwy; tak naprzykład pułk piechoty zrobił drogę z Pendżabu (37 mil angielskich) w 16½ godzinach. Nie długo zaś po pierwszej bitwie, przekonali się urzędnicy znajdujący się w bliskości Agror, że cała dolina Agror w pełnym znajduje się powstaniu. Niemaló uderzyło wszystkich, że ciągle nowe wojska posuwały się naprzód; te zaś które stały w dolinie Pishawer, miały rozkaz nie ruszać się z miejsca, gdyż rekruci złożeni z krajowców z tamtych stron uciekać z szeregów zaczęli,—i że powstańcy dzielny stawiali opór. Rozgłaszali oni, że mają po swojej stronie Akhunda (arcykapłana), ze Swat i zostającego pod angielskiem zwierzchnictwem Maharadszacha Kaszmiru. Nie było prawdą iżby Kaszmir powstanie popierał, gdyż Maharadszach wysłał natychmiast w posiłkach na plac boju, 4 pułki z odpowiednią artylerją.

Nieprzyjaciela wypchnięto przy pierwszym starciu z doliny Agror, a po kilku dalszych utarczkach przywrócono pokój, co wielką radość sprawiło w Anglii, lecz na miejscu inaczój się na stan rzeczy patrzono. Ściągania wojsk miały się i dalej odbywać bez przerwy, a władze miejscowe uznały obecność korpusu 20,000 za niezbędną, co za słuszne uznał wódz naczelny. Rzeczywiście, trzeba się było jeszcze przygotować na dalszy opór. Arcykapłan ze Swatu podniecał sąsiednich Afganów, tak, że wojska angielskie musiały poruszać się coraz dalej. Nieprzyjaciel tymczasem, wzmacniał przejście w dolinę Terrek (przy wyjściu z doliny Agror). Tym sposobem 28 września, sztab angielski przeniósł swą kwaterę do Oghi. Poczém Akhund uznał za stosowne poddać się Anglikom, co też uczyniła większa część Hazaradzów i niepodległych Swatów, gdy przeciwnie wódz powstańców, awanturnik Firosi-szach, zwrócił się z małym orszakiem do Bucharyi. Anglicy rozpedziwszy nieprzyjaciela, obsadzili najwyższe szczyty gór czarnych i zdawało się że bunt ostatecznie został stłumiony, gdyż zwyciężone plemiona prosiły o pokój. 17 października uważano powstanie na granicy Afganistanu za ukończone, a w styczniu 1869 było nióm istotnie.

Jakkolwiek nieznaczną wydać się mogła ta wyprawa, to przecież dla zrozumienia postawy Anglii w Indyach, należy objaśnić niektóre idee, przy tej okazji powstałe. Albowiem podczas gdy wojskowość była za energicznym posunięciem się ku Afganistanowi, w Anglii gdzie przeważa system nieinterwencyi, sądzono wręcz przeciwnie. Polityka manchesterska Ryszarda Cobdena od czasów wojny krymskiej, nie tylko nie przyniosła korzyści ojczyźnie, nietylko nie rozwinęła narodowego



przemysłu ale go zmniejszyla, zmniejszając zarazem powagę polityczną W. Brytanii. System nieinterwencji ma za sobą oszczędność milionów, jest też *napozór* liberalny, a przedewszystki<sup>em</sup> *nadzwyczaj wygodny*, odpowiada zatem ideałowi bogatego mieszczaucha angielskiego, który nierad być stropiony pytaniem: „A co potem?“. Kto sobie przypomni usposobienie opinii w Anglii, opozycję dziennikarstwa gdy chodziło o pieniądze na wyprawę abissyńską, przyzna słuszność temu orzeczeniu. Nie straci ono na sw<sup>o</sup>j sile nawet przez to, że po odniesionym tryumfie, wszyscy i najbardziej przeciwni przedt<sup>em</sup>, spoglądali z dumą na wawrzyny, jakie sobie zdobyła W. Brytania w dalekiej Afryce. Lecz gabinetowi St. James, nie można wyrzutu czynić z polityki manchesterskiej. Gdyby nawet angielscy mężowie stanu nie dali się obalamucić uludnej zasadzie, gdyby nawet dostrzegli byli, że przyszłość kraju na t<sup>em</sup> cierpi, że przedewszystki<sup>em</sup> historia nie o zasadach wiedzieć nie chce, że zasadami się nie rządzi, ponieważ te tylko w oznaczonym czasie i w pewnych stosunkach wpływ wywierać mogą; gdyby to wszystko byli widzieli i wiedzieli, c<sup>o</sup>ż jednak począć mieli w obec wyraźnej woli og<sup>o</sup>łu? W kraju, gdzie wola narodu tak jest stanowczą i tak się w czynach ujawnia, jak to ma miejsce w Anglii, byłoby niesprawiedliwością czynić odpowiedzialn<sup>ym</sup>: ministerjum. Naród nie chce kurateli, czuje się sam dosyć mocny do wyrażenia przewodnich idei w sprawach państwa, zatem gabinet spełnił swoją powinność, jeżeli był tylko organem wykonawczym t<sup>ej</sup> woli og<sup>o</sup>łu.

I ówczesny też wice-król Indyi, Sir John Lawrence, trzymał się w zagranicznej polityce systematu nieinterwencji, czyli „mądr<sup>o</sup>j polityki“, jak się wyraziła *Daily News*. Nawet mówiono, że dopóki lord ten wice-królem zostanie, dotąd Anglia nie pomyśli o nowych przyłączeniach. Było w t<sup>em</sup> powiedziane za wiele, bo przy całej wstrzemięźliwości w nieprzyłączaniu nowych krajów, nikt przecież odnośnie do stosunków indyjskich, nie może tego postawić jako niewzruszonej zasady. Byłoby to odmówić takiemu wręcz, politycznego rozumu. W czasie zaś owego powstania, był już Sir Lawrence jedną nogą w Europie, gdyż kończył się pięcioletni peryod jego rządów i wyznaczono mu już następcę w lordzie Maye.

Gdy przeto nadeszła wiadomość o wypadkach w Hazarze i gdy posłyszano o ogromnych siłach wojska, koncentrowanych z niezmierną jak na Indyje szybkością, zrobiło się wcale niemiło nie jednemu manszesterczykowi, bo przynależać musiał, że czas „masterly inactivity“ Sir Johna, już minął niepowrotnie i że trzeba będzie znowu prowadzić w Indyach politykę aneksyjną na wielką skalę, do czego pochop daly postępy Rosyi w Azji. Daly się słyszeć zdania z Anglii, że potrzeba jak najrychlej zająć Afganistan, jako punkt obronny przeciw potędze rossyjskiej, a pozór do *casus belli* wynaleźć bardzo łatwo. Przeciwni byli temu liberaly angielscy i inni mężowie stanu, przeczuwając że polityka taka przysporzy Anglii tysiące kłopotów.

Przeciwnicy znowu polityki manszesterskiej utrzymywali, że Anglia na tej granicy od roku 1829, czyli od zajęcia Sikhs i Pendżabu, a więc w 19 latach musiała już 22 wojen prowadzić, które to wojny nie do wielkich doprowadziły rezultatów, bo nie zdołały nawet należycie osłonić granicy dłużej na 800 mil angielskich, a od obrony tych zawisła przecie kwestya bytu Anglii. Północno-zachodnią bowiem granicę indobrytańskiego państwa, tworzą okolice góryste, poza którymi rozciąga się urodzajna indyjska równina. W tych górach żyje szczep afgański, pozornie tylko od ojczystego kraju zawisły, a w rzeczywistości trudniący się od dawna rabunkiem w tej błogosławionej dolinie. Szczip ten jest sąsiadem nieucywilizowanym, niepoprawnym, trzymającym się tradycyi, jakoby niegdyś ich przodkowie byli panami Indyi. Oni też pozostaną na zawsze wrogami Anglii i dlatego fanatyzm rozszerzał się łacno między nimi. Co więc, istnieje między nimi sprzysiężenie iżby Anglików wyprzeć z Indyi, co doskonale zrozumieli komisarze tam wysłani, oświadczając że nie zawojowawszy raz tego plemienia, niema co myśleć o utrzymaniu spokoju na granicy Pendżabu. Ci tedy muzulmanie w celach swych nie mało uczynili postępy, tak że Anglikom trudno będzie wytrwać w systemie nieinterwencyi; owszem sądzić trzeba że będą zmuszeni prowadzić z nimi taką walkę, jaką prowadzi Amerykanie z czernowonoskórnymi. Poza tódm dzikiem plemieniem stoją właściwi Afganie, a poza tymi daleko potężniejsze państwo. Potrzeba więc koniecznie przyłączyć te przejścia góryste, ważne ze względów strategicznych, celem położenia raz końca „małym wojnom.”

Musiano też w tej mierze zasięgać rady doświadczonego lorda Napiera, a czy rada była potrzebną okazało się z zajęcia Buharyi przez Rosyę, co bardzo niemile oddziało na rząd angielski. Przez to zajęcie bowiem obawia się Anglia tego najwięcej, iżby niespokojne żywioły w Indyach, z tego nie skorzystały i nie szukały poparcia. Zdaje się przeto, że rząd zerwał stanowczo z polityką manszesterską; zerwał zaś z konieczności. Dowodzi tego energia z jaką usmierzył powstanie luszaków w r. 1871/2. Szczip ten, z którym Anglia nieraz już miał zatargi, skorzystał z zamieszek birmanów w r. 1871, ale mimo meżtwa wnet uległ przewadze angielskiego oręża. Pogłoska wyprawy Rosyji na Chiwę obudziła na nowo niepokój tych nawet, którzy dotąd patrzeli na sytuację bez obawy. Rozpoczęte dyplomatyczne układy skończyły się na ugodzie, że Rosyja nie zajmie Balch'u stolicy Balch-Turkestanu, księstwa położonego między Chiwą a Afganistanem. Odtąd zaczyna jednak prasa angielska wyraźniej objawiać swe pretensye, chociaż wątpić trzeba, czy się jój to na co przyda.

Gdyby piorun, uderzyła Anglię wiadomość w styczniu bieżącego roku, o zawartym między Persyą a Rosyą układzie, co do zajęcia doliny Atreku na południowej granicy Chiwy, lecz potrzeba się było pogodzić z faktem spełnionym. Dyplomatyczne bowiem *veto* nie na wieleby się już przydało, choćby nawet dawniej już postarała się była podbić Afganów. Ale i to kwestya, czy Afganistan dałby Anglii bezpieczniejszą

granicę od Pendżabu; zdaje nam się nawet, mówi autor, że lepiej iż ma przed sobą aniżeli za sobą przejścia Chejbijskie. Gdyby bowiem przypuszczenie to prawdziwem było, że Rossya pragnie się dostać do Pendżabu, musiałaby przedierać się przez te niebezpieczne górskie drogi. Ostatecznie bowiem i pod względem strategicznym, zaprzeczyć się nie da, że Anglia silniejszą jest nad Indem aniżeli nad Oxusem. Wzmocnienie militarne tych przejść Chejbijskich, jest przeto bardzo dla Anglii ważne. W razie atoli starcia się dwóch mocarstw, widocznem jest że Anglii z trudnością przyszłoby się oprzeć Rossyi, wzmocnionej licznemi szczepami sprzymierzonych azyatyckich ludów, a wtedy nie zbyt wielką tamę stanowiłaby ustalona przez Anglię, granica państwa afgańskiego. Tak jednak jak rzeczy dziś stoją, nie zdaje się iżby Rossya myślała o wtargnięciu wprost do Indyi, przynajmniej dopóki by nie zabezpieczyła sobie szerszej podstawy operacyjnej, a mianowicie przez zajęcie krajów od jeziora Kaspijskiego do Belut-Tagh, a nawet ważniejszych przestrzeni chińskiego wschodniego Turkestanu.

Co jest daleko gorszem dla potęgi brytańskiej w Indyach, to jest że utracą ona tam coraz więcej wpływu; ale jak temu zaradzić, nie wiemy. Trzeba było starać się o przeszkodzenie w czasie sposobnym ku temu, lecz i to pytanie czy Anglia posiadała dosyć na to sił i złota? Jeżeli z jednej strony najrzeczywistszą jest rzeczą, że Rossya stała się najniebezpieczniejszym rywalem Anglii w Indyach, i że w przyszłości rozszerzy daleko swoje panowanie w Azji, to wszakże pewnem jest, twierdzi ciągle autor, że niema ona dzisiaj najmniejszego interesu starać się o przyspieszenie, dziś już istniejącego rozkładu panowania Anglii w Indyach. W posuwaniu się Rossyi w Azji leżą cele *trojakię*. Jeżeli jako pierwszy uważać będziemy zdobycie Indyi, to zdaje się ono nietylko najnieprawdopodobniejsze i najdalsze, ale i najmniej mogące przynieść korzyści; dwa inne zaś są: możebność rozwiązania kwestyi wschodniej i hegemonia handlowa w Azji.

Posłannictwo cywilizacyjne Rossyi względem ludzi azyatyckich zdziczałych i zabobonnych, zwać się może niemalém zadaniem, a przypuścić trzeba, że się tego posłannictwa rzec niema przyczyny. W obec niejednokrotnych ciężkich przeszkód, jakie plan ten spotykał na swój drodze w Europie, droga azyatycka staje się powolniejszą ale pewną. Wiele tu pomogą Rossyi tak szczególne okoliczności, jako dzierżenie w swęj mocy Kaspijskiego morza i jeziora Aralskiego, również to że mała wyspa Aschurade leżąca naprzeciw perskiego miasta Asterabadu, jest stacją floty rosyjskiej, i nareszcie posiadanie strategicznego punktu Bucharyi, z którego rozchodzą się linie karawanowe we wszystkich kierunkach....

Mniej nas tu obchodzą dalsze wywody polityczne autora, który wreszcie powiada, że Anglicy mogliby przeciwdziałać wybudowaniem kolei Eufratu. Kolej taka od Śródziemnego morza do Eufratu, byłaby zdrowszą i łatwiejszą aniżeli droga przez Suez i morze Czerwone. Gdy bowiem téj drogi lękają się podróżni dla niezmiernych upałów,

linia Eufratu nie tylko że przechodziłaby najzdrowsze okolice, ale nadto skróciłaby drogę do Indyi o cały tydzień. W roku 1867 angielskie towarzystwo chcące kolęj tę pobudować, weszło w układy z Portą. Droga miała prowadzić ze Skutari naprost Konstantynopola, przez Małą Azyę do Aleppo, ztamtąd do Kalat Dochaber w dolinę Eufratu, z tej w bok ponad Tygrysem aż do Bagdadu, a ztamtąd jak się zdaje, znowu ponad Eufratem aż do Basry nad Schat-el-Arab, gdzie już dochodzą indyjskie parostatki. Od tego jednak czasu nic nie było słyhać o tym projekcie, i dopiero niedawno gabinet Gladstone oświadczył, że zabezpiecza żadaną od rządu angielskiego gwarancję pięcioprocentową, za kapitał mający być użyty na pobudowanie kolei. W listopadzie zaś 1872 roku, kolęj Eufratu stała się przedmiotem żywych rozpraw, które poznać warto.

W ogóle wyrażono przekonanie, że rząd nie zaryzykuje się zanadto dając przeciwgwarancję pięcioprocentową tureckiej pożyczki, lubo przeciwnicy projektu utrzymują, że Anglia nie wiele zysku mieć może w zwykłych okolicznościach z takiej kolei, która ostatecznie przewozić tylko będzie pasażerów, wojsko i jego pakunki do Azji Wschodniej. Na co znowu tamci odpowiadają, że choćby tylko dla tego celu, dla możliwych tego rodzaju ewentualności, warto już poświęcić zysk pieniężny. Przypuszczają dalej, że ta kolęj sama lat kilka przynosić będzie zaledwie tyle ile trzeba ażeby pokryć koszta, a licząc przewóz pasażerów i wojska, wynosiłoby 2—300,000 funtów szterlingów rocznie; że przeładowywanie towarów będzie tak kłopotliwe, iż lepszy byłby dla handlu między Europą a dalekim Wschodem, kanał Sueski. Główny argument którym odradzają danie gwarancyi, jest ten, że mogą wyniknąć polityczne zawiłkiania w niwecz obracające wszelkie obliczenia, którym jedynie zapobiedzby się wówczas dało: wspólném działaniem wszystkich wielkich mocarstw i zneutralizowaniem téjże kolei. Na co znowu obrońcy linii Eufratu odpowiadają, że naturalnie niepodobna iżby rząd zabezpieczył akcyonaryuszów przeciw wszelkim możebnym wypadkom politycznym, chyba że zechce na swoje ryzyko płacić w przyszłości 500,000 funtów rocznie i przytém zgodzić się na pozostawienie kolei innemu mocarstwu, lub téż że zechce bronić całości doliny Eufratu orężem. Nieinaczej—odpowiadają tamci—bronić jęj orężem, będziecie musieli w każdym razie.

Kontrowersye te są poniekąd słuszne, ale kapitaliści nie zgodzą się inaczej, chyba że będą mieli absolutne poręczenie swych kapitałów; sprawa zaś ta cała wydaje się autorowi już cokolwiek spóźnioną, gdyż, twierdzi on,—pomijając dziwaczny stan polityczny Turcyi, trudno wiedzieć jakim sposobem można się będzie przedostać przez olbrzymie góry cylickiego Taurusu? a co gorzej stokroć jeszcze, jak sobie poradzić z dziką całkowicie okolicą na południe od rzeki Chabur, wpadającej do Eufratu? Na lewym bowiem mezopotamskim brzegu, ciągnie się na wzór morza pole zasiane samém tylko dzikiem zielskiem, zamieszkane tylko przez dzikich osłów i niedających się schwytać strusiów. A na tych

równinach wyją straszliwie wichrowate burze. Burze te zatopiwszy nieraz już okręty i statki, mogą równie zniszczyć kolój. W zamian za to znajduje się w pobliżu Hit smołowiec, którym dobrze palić można w parowym kotle, a który tańszym jest od angielskiego węgla kamiennego, co się znowu kolei wielce przydać może. Zmarły egiptolog Dr. J. Braun nie zgadzał się również na tę kolój, lubo przyznać musiał że byłaby ona najkrótszą drogą do Indyi. Czy jednak wymiana towarów między Europą a Indyami byłaby tak wielką, iżby się opłaciła kolój, któraby nic nie zarabiała w całej dolinie Eufratu, mając z jednej strony syryjską puszcze a z drugiej dziczyznę mezopotamską, o tém powinni by najlepiej wiedzieć przedsiębiorcy. Dr. Braun sądził dalej, że towary któreby się wiozły koleją z Basry do Konstantynopola, musiałyby chyba składać się z brylantów i drogich kamieni, jeśliby miały pokryć koszta. Towary zaś zajmujące dużo miejsca jak kawa i bawełna, powinnyby się trzymać drogi morskiej jako najtańszej, bo wreszcie niewiadomo czy kolój w pośród bagien i powodzi u Eufratu jest możebną i czy Basra (Bassora), jedno z najniezdrowszych miejsc w Azji, służyć może za stacyą; towary zaś takie jak: indygo, herbata, jedwab, mają najlepszą i najtańszą drogę na kanał suezki. Jeżeli więc, sądził Dr. Braun, kolój ta ma się tylko ograniczyć do Indyi, które nie chcą handlu zamiennego ale tylko gotówki w srebro, to się bezwarunkowo nie opłaci. Lecz całkiem inaczej rzecz ta się przedstawia, gdy kolój przechodzić ma przez ziemie, z których się przez to nowe bogactwo wydobyć może. I tego nie mógłby Dr. Braun zaprzeczyć, że kolój przechodząca przez ogromne przestrzenie, tylko nie przez ciasną kredową dolinę Eufratu, doszłaby w kilku latach do takiej wydajności w zbożu i wełnie, iżby jeszcze marznącą i głodną Europę zapatrywać była zdolną. Co prawda, tenże sam egiptolog, jeszcze w r. 1868, uważał kanał suezki jako chimere.

Wróćmy teraz do najpozytywniejszego zadania Rossyi, do jój dążenia ku hegemonii handlowej w Azji. Chodzi to o jój najważniejsze materyalne interesa. Jeszcze w r. 1857 radził gen. Chrulew w memorjale do ks. Baryatyńskiego w tym celu, założenie ruskiego „Towarzystwa handlowego rusko-azyatyckiego“ któreby miało przywilój usztyftowania dla swój obrony i ułatwienia komunikacyi, dwa pułki jezdne z należącemi do tego wielbłądami i kilkoma baterjami, i któreby mogło wybierać sobie oficerów z armii ruskiej. Dalej, iżby to Towarzystwo mogło założyć nad brzegiem jeziora aralskiego kilka fortów, a na jeziorze zbudować kilka kanonierek. Plan ten wykonano w następnych czterech latach, a Towarzystwo zostało założone przez bogatego właściciela ziemskiego Kokerewa, porobiwszy na tój drodze w Azji środkowej znaczne postępy. Było to potrzebne Rossyi już dla rozszerzenia dotychczasowego handlu w Turkestanie. Rzućmy okiem na stosunki Turanu.

Rolnictwo i hodowla bydła, stanowią wyłączny zarobek tój ludności. Obfity nadmiar produktów przysyłają do Rossyi i do sąsiednich chanatów, gdzie się dostaje w ręce nie trudniące się rolnictwem. Brak sił roboczych i kapitału wyjaśnia niski stopień przemysłu. Bazary

sprzedają nędzne własne wyroby; ręce kobiece i dzieci trudnią się czyszczeniem bawełny, przędzeniem i t. p. Sartowie są skrzętnymi handlarzami, tak że towar przechodzi kilka rąk zanim się dostanie do właściwego konsumenta. Pomiedzy zaś mongolsko-tatarsko-koczowniczą ludnością a Sartami, istnieje bardzo korzystny, dla tych ostatnich, handel zamienny. Ten handel wewnętrzny porusza znaczne kapitały, lubo trudno podać nam tu cyfrę obrotu towarów Turkestanu, Taszkentu, Karnaku, Kokandy i t. d.

W Turkestanie, zajmuje ważniejsze handlowe stanowisko miasto Buchara, aniżeli Kabul na południu Paropanis: tworzy ono *punkt centralny* rzeczywistego azyatycko-turańskiego ruchu handlowego, z kąd też wychodzą karawany do Chin, Indyi, Persyi, Syberyi i Europy. W ten sposób Buchara staje się wielkiem targowiskiem, na którym i europejskie towary współubiegają się z azyatyckimi i gdzie w bazarach obok płodów ruskich, francuzkich i niemieckich, wystawione są na sprzedaż i towary angielskie przechodzące przez Kalkutę, Kurradzi i Kabul. Z Buchary rozwożą je w strony wewnętrznej Azji i tam na produkta krajowe wymieniają.

Niemniej ważny od Buchary jest Taszkent, właściwe centrum handlowe Turkestanu, które w ożywionym stoi stosunku z Kokandem, Bucharą i Kaszgarą z jednej, a z Persją, Afganistanem, Kaszmiem i Indjami z drugiej strony. Żyje on wyłącznie z handlu: 1) z Rossją i stepami kirgizkimi, to jest jego główny handel; 2) handlem transiowym z Kuldży i Czuczaku do Kokandu i Buchary. Ten ostatni konkurować musi z miastami handlowymi południowego Kokandu, z Andidzanem, Uschą i Margilanem, a szczególnie z Kaszgarą. Wszystkie znaczne miasta południowego Kokanu, leżą na jednej wielkiej handlowej drodze z Kaszgarą do Buchary, a zwłaszcza też do zachodniej Azji. Z Rossją i północno-zachodniemi Chinami, stoją w handlowym związku głównie za pośrednictwem Taszkentu. Ta płodna część Kokanu posyła własne produkta jako: bawełnę, jedwab, suszone owoce i t. p. głównie i przeważnie do Rossyi, i to za pośrednictwem kupców taszkendzkich. Kupcy z Andidzanu, Margilanu i Kokanu prawie wcale nie wchodzi na ruskie terytorium, lecz za to do Kaszgaru, gdzie wszystkich Kokańców zważają Adidzanami, tak jak Rossyan Taszkenci w sybirskim stepie. Dla ludności tych krajów byłaby z pożytkiem konkurencya Rossyan z Taszkendami, ponieważ przez popyt cen, wzrosłyby produkta wytwarzane przez tę ludność. Nie potrzeba przeto więcej się rozwodzić nad ważnością dla ruskiego handlu posiadania Taszkentu. Dość tu kilka cyfr przytoczyć. Handel Rossyi z wewnętrzną Azją był długi czas stosunkowo nieznaczny. W dziesięcioleciu od 1857—1861, wyniósł wywóz 1,500,000, dowóz 2,701,150 rubli. Inne komory orenburskie nie podadzą większych cyfr. Od roku 1861 zaś przyczyniła się do tego i meksykańska wojna, handel szybko wzrastał. W obec mało znacznego stosunku z europejskim Zachodem, obiecuje rozszerzenie zakresu handlu na Wschód, przywrócenie równowagi między handlem przywozowym

a wywozowym. Tak np. potrzebuje obecnie Rossya dla swych fabryk, bawelny za 20 milionów rubli, które musi płacić gotówką. W zdobytych zaś krajach i wreszcie Azji środkowej, znajdują się niezmierne zapasy bawelny, o które zaraz wzniósł się popyt tak, iż skutkiem tego lepiej się sprzedawały ruskie fabrykaty. W r. 1863 wynosił już wywóz rossyjskich towarów za linię orenburską i sybirską 4,904,925 rubli, dowóz 9,760,727 rs. W r. 1865 wywóz 6,574,170, a dowóz 12,091,149 rubli.

Co się tyczy transitu do Kaszgaru i ztamtąd, to udało się Kokańcom uzyskać monopol handlowy z Kaszgarom, od którego Bucharowie i wszyscy nie-Kokańcy wyłączeni zostali. Rzut oka na mapę okazuje, że przy kierunku pochodów karawanowych w środkowej Azji, południowe miasta Kokanu odnośnie do handlu chińskiego, mogą korzystnie konkurować tylko przez Kaszgar z Taszkentem i Bucharą; z tego też względu stał się Kaszgar kwestyą żywotną dla kapitalistów południowego Kokanu, mniej zaś dla Taszkentu; lecz i z tego umiała skorzystać Rossya. Zawarty bowiem układ z kokańskim chanem, mocą którego ruscy kupcy mogą przez kokańskie terytoryum swobodnie przeciągać do sąsiednich posiadłości, a nawzajem i Kokańcy przez ruskie terytoryum, nie oznacza nic innego, jak tylko że otwarta została Rossyi droga do Kaszgaru i Jarkandu.

Jestto jedna z dróg do zdobycia hegemonii handlowej w Azji, ale ta jeszcze nie wystarcza.

Turkestan jest dziś jeszcze środkowym punktem dla ludności koczowniczej, która spokojnym i pracowitym mieszkańcom miast jakoteż rolnikom, narzuca swoje jarzmo. Bo przez kraj ten przechodzili nie tylko zdobywcy mongolscy, ale i po wszystkie wieki karawany; ponieważ jestto *miejsce przejściowe* pomiędzy wschodnią Azją z jednej, a Europą z drugiej strony; pomiędzy zaś Kaukazem a Uralem, leżą wielkie wrota otwarte dla wędrowek narodów, wojsk zdobywczych i karawanów.

Gdyby więc już posiadanie Syberyi nie było zwróciło uwagi na kraj sąsiedni, już i z tego względu Turkestan stał się ważnym dla Rossyi. Połączony ze Syberyą nabrał on podwójnej wartości, ponieważ umacnia stanowisko Rossyi w Azji, a dla puszczy sybirskich staje się 'bogatym śpichrzem. Co się udało Rossyi zdziałać szczęśliwie z pomocą Syberyi, to się jęj uda w szerszym zakresie skoro jest panem środkowej Azji. Jeżeli powiodło się Rossyi poprowadzić przez Syberyę, bramami Kiachty i Maimaczinu największą kontynentalną drogę handlową do Chin, to tembardziej teraz, gdy nabierające coraz większego znaczenia kraje nad Amurem sięgają aż do Issi-Kul, i gdy rossyjska granica zbliżyła się o kilka dni marszu ku Pekinowi, wybija się już na wierzch myśl otwarcia państwa od Zachodu. Tym sposobem dałoby się przez nieznanne dziś jeszcze wewnętrzne kraje południowej Mongolii, poprowadzić nowy gościniec, któryby idąc od południa zawiódł do krajów Amuru, i połączył je bezpośrednio z bogactwami Azji wewnętrznej. Plan ten po ostatnich

wypadkach w Chinach, staje się coraz prawdopodobniejszy. Jak wiadomo, skutkiem kombinacji politycznej europejskiej, rozszerzyła się Rosya nad brzegami morza Ochockiego. Gdy bowiem podczas krymskiej wojny wojenna ruska flota ściganą była przez flotę francuzką aż do wód chińskich, schronić się musiała w zatokę, stanowiącą ujście rzeki Amuru, gdzie była blokowana. Admirał rosyjski zażądał od gubernatora sybirskiego pomocy. Ten posłał mu natychmiast wojsko, które wspomagało żołnierzy floty. Po upewnieniu się przeciw nieprzyjacielowi, zaczęli oficerowie rosyjscy badać bieg rzeki i przekonali się że jest spławna, i że może się stać korzystną dla przemysłu. Zbadano też pobliskie okolice, a rezultat tych badań był tak zadawalniający, że admirał rosyjski zdał z tego sprawę osobiście. W następstwie osiedlili się tu Rosyianie, lubo rząd chiński nadarmo żądał zburzenia fortyfikacyj leżących od strony południowej nad Amurem.

W Anglii przełęczono się znowu w kołach politycznych i handlowych, tego rozwielenia się Rosyji na granicy północnej Chin. Właśnie na pasie granicznym chińskim, leży miasto Kałgan albo Tchangchia-ku zawsze do Chin należące, jakkolwiek się tam dla kupiectwa osiedliło wielu Mongołów i kilkudziesięciu Rosyan, obecność których była Chińczykom wcale niemiłą. Otóż niedawno doniesiono z Honkong, że do tego miasta wkroczył oddział ruskich żołnierzy dla zawarowania bezpieczeństwa konsula, na co również rząd chiński zgodzić się będzie musiał.

Wiadomo jest, jak ważnym jest dla Anglii handel z Chinami, i z jaką podejrzliwością patrzy się ona na postępy Rosyji na południowym brzegu Amuru. Jakkolwiek Anglicy wyzyskują w bezprzykładny sposób Chinę na drodze przemysłu, przecież wydaje się im krzyżącą niesprawiedliwością wszelki postęp Rosyji tamże, na drodze lądowej. A jednak od 200 lat mniej Rosya w Chinach postąpiła, aniżeli Anglia w dwudziestu latach.

Ukazanie się rosyjskiego wojska w Kałganie o tyle jest jeszcze ważniejsze, że nastąpiło w chwili gdy buntownicy Chin zachodnich, wystali deputacyę do Londynu prosząc o opiekę. Oba mocarstwa silnie się obwarowują: Anglia ma na oku Yünnan, Rosya brzegi Amuru.

Co do stanowiska obu mocarstw w Chinach, pisze osoba dobrze poinformowana z Szangai: „Jeżeli W. Brytania ze swego stanowiska jako pioniera we wschodniej Azji gotową jest ustąpić, to dwa narody: młoda republika (północna Ameryka) i Rosya, zajmą jój miejsce niezawodnie w Chinach! Nam się jednak nie zdaje, iżby Rosyji i Ameryce chodziło o wywieranie wpływu w Chinach w tych celach, w jakich to Anglia czyniła, gdyż ma go już dzisiaj w stopniu, jakiego niema żadne inne państwo.“ Wyznanie to Anglika wcale jest ciekawe.

Rzuciwszy znowu okiem na mapę, ukaże się trudne położenie Anglików w Azji. W Turkestanie postęp Rosyji posuwający się ku Himalajom, a przypominający plany rozległe Piotra W. i Napoleona I. Na granicy zachodniej indyjskiej, Persya powodująca się sprzymierzeńcem



potężnym; na wschód wrogie państwo Birmanów, któremu Anglia wydarła niegdyś dwie prowincje Arakan i Pegu, a poza królem birmańskim kolos Chin, który zostaje w takim stosunku z Birma, w jakim jest Rossya z Persyą. Niebezpieczeństwa tego położenia nie domyślano się wcale przed kilku jeszcze laty, aż do powstania Kukasów. Odtąd dopiero przejrżeli Anglicy że Rossya posuwa się zwolna naprzód na drodze przemysłowej, przedewszystkiem zaś że umie stokroć lepiej od nich assimilować się z tą ludnością.

Wyprawa angielska w roku 1872, była skierowaną właśnie przeciw Chinom i ich forpoczcie: Birmie. Celem głównym téj ekspedycyi luszajskiej, było wyszukanie nowych dróg handlowych pomiędzy państwem birmańskiem a krajem Yunnan, który się oderwał od Chin. Przeto dałby się najlepiej sparalizować wpływ Chin. Kraje zaś Yunnan zamieszkane przez ludność skłonną do kupiectwa, zbadał Cooper który towarzyszył brytańskiej ekspedycyi do prowincyj południowych państwa niebieskiego w roku 1869. Sułtanowi birmańskiemu zdawało się wtedy, że Anglicy chcą po prostu państwo jego złączyć ze swoim, skutkiem czego w porozumieniu z cesarzem chińskim, podniecił górzyste wojenne plemiona do oporu przeciw wspólnemu wrogowi. Dowiedział się o tém rząd angielski z przejętego listu, w którym sułtan turecki w imieniu cesarza chińskiego, pragnął dostarczyć luszajom 60,000 karabinów.

Sprawozdanie Coopera o prowincyi Yunann ukazało się w sierpniu, a wkrótce już potem zaczynała się przygotowywać ekspedycya ku granicy wschodniej.

Ta polityka agresyjna Anglii, zdaje się wymierzoną przeciw potężnemu współzawodnikowi, lecz nie ukazuje się ona w zbyt różowém świetle, bo oddalona od metropolii, otoczona wrogami i potężnym rywalem, musi się dobrze obliczać z siłami.

Przepotężny ruch, wstrząsający cały *świat wschodnio-azyatycki*, zwać się może istnym *wstrząśnięciem ludów*, od którego runąć mogą chwiejące się dawne podstawy. Od ostatnich lat dwudziestu, wszystko poruszyło się niespokojnie w Chinach, nawet Tybet starał się wyswobodzić z poddaństwa chińskiego. Stara chińska polityka, która zamykała porty i granice lądowe, już się zużyła; Rossya mądrze skorzystała z nieporadności Chin, zdobywając prowincje Amuru, Mandżurję aż do Korei; podbijając Kałko-mongołów i posuwając handel aż do wnętrza Azji. Od Mandżuryi i północnych ziem swych oddziaływa na Chiny, reguluje wpływy zachodnio-europejskich państw morskich, i zmusza do pewnego zatrzymania się polityce angielskiej w Indyach. Gdy dodamy, że wschodni Turkestan zostający w luźnym tylko stosunku z Chinami, już także jarzmo zrzucił, to widzimy że tysiącletnie państwo napół zgniłe, dwojako się dziś przedstawia. Albo dzisiejszy młody cesarz chiński, uległszy potężnej przewadze idei naszego kolejami zdrtowanego świata, wstąpi na drogę reform i roztworzy swoje kolosalne, dla handlu świata niezmiernie ważne państwo, przez co mu nada europejską cywilizację, albo tóż Chiny w posiadach swych zachwiane, znośić będą

musiały odpadanie pojedynczych prowincyj na rzecz najbliższego i najpraktyczniej spełniającego swe zadanie mocarstwa, na rzecz Rossyi. Można teraz zrozumieć, dlaczego tak ważnym jest dla Chin posiadanie Turkestanu, jako ogniska łączącego środkowy azyatycki świat z europejskim, i jako punktu najsposobniejszego do wystąpienia do boju w daną chwilę.

Chodzi wreszcie Rossyi o stosunki do Chin i o spożytkowanie wielkiego tego targowiska. Nad Amurem zyskała już Rossya „pokojo-wą bramę wejścia i wyjścia“, przez którą teraz już życie przelęwa się pełnym strumieniem, podczas gdy równocześnie projektowaną jest kolęj z Moskwy przez złotodajny Ural do ujścia mandzurskiej niedyś rzeki. Już teraz figuruje Rossya pomiędzy importującymi państwami na bardzo jeszcze ograniczonym targowisku Japonii, z 1½ millionów franków rocznie; jest tu pierwszą po Ameryce. Gdy nadto pomyślimy, że Wschód wielką część kursującego po świecie srebra ściąga do siebie, bardzo mało z niego oddając, przezco potężnie oddziaływa na europejskie stosunki waluty, to się ukazuje jasno, niezmierne pole działalności w wszelakim kierunku takiego państwa, którego granice niezbyt oddalone od wschodnio-azyatyckich centrów przemysłowych. A dalej przypomnijmy sobie, że już ukończoną została wielka kolęj kontynentalna, która łączy państwa nowęj Anglii z złotodajną Kalifornią, że w roku 1866 urządzono żeglugę parową pomiędzy San Francisco i Hakodadi w Japonii, że więc Rossyi pozostaje otworzyć drogę przez azyatycką część świata, która się stanie kolosalnym gościńcem handlowym. Wię też dobrze Rossya, że właśnie w tych dalekich stronach, handel, jako czynnik coraz przeważniejszy dobrobytu całego ucywilizowanego świata, doczekać się tam może znakomitego rozwoju. W tym też celu ułatwia sobie zadanie na drodze dyplomatycznej, przez zawarcie traktatu handlowego z Chinami i Japonią. I tego przelękli się Anglicy, uważając traktat ten tak pokojowo brzmiący, za kryjący coś więcej jeszcze w swych paragrafach. Cokolwiekbądź, faktem jest, że na mocy jęgo, wolno Rossyi wnięszać się w sprawy Japonii w charakterze pośrednika, gdyby ta zagrożoną była przez którekolwiek z państw zachodnich. Doniosłości zaś takiej stypulacyi, nikt nie zaprzeczy.

Wprawdzie przynaglony mikado przedstawieniami przestraszonych dyplomatów europejskich, wysłał pełnomocnika do Chin celem rewizyi traktatu, lecz podobno mikado wiedział dobrze, iż rząd chiński na rewizję nie przystanie; co też rzeczywiście nastąpiło. Zresztą dziś Chiny posiadają niemało agentów europejskich wszelkiego rodzaju, sownie wynagradzanych, którzy je uczą i objaśniają; i minęły już te czasy, gdzie europejskie wyprawy miały tylko do czynienia z tłuszcza ązbrojoną zaledwo w łuki i strzały.

Traktat ścisły zawarty między Chinami a Rossyą, daje tęg ostatnię prawo bronienia swęgo sprzymierzeńca w razie zaczepki ze strony państw innych; Chiny wprawdzie na rewizję traktatu nie przystały, ale wątpię trzeba czy taka zaczepka nastąpi. Zbierając w jedno wyżę

powiedziane, wypływa: że polityka rossyjska ma trzy cele w Azji, nie wykluczające się nawzajem bynajmniej: pierwszy czyli zdobycie Indyj jest najnieprawdopodobniejszy; drugi czyli usiłowanie rozstrzygnięcia tutaj kwestyi wschodniej, jest możebny, i nareszcie trzeci, zdobycie przewagi handlowej w Azji a przeto i ogarnięcie handlu świata, jest pewny.

L.

## W I N C E N T Y P O L.

### WSPOMNIENIE A. E. ODYŃCA <sup>1)</sup>.

Mądre to jest *dictum* francuzkie: *le mieuux est l'ennemi du bien*. Otrzymawszy uprzejme wezwanie pańskie, abym skreślił moje wspomnienia o wspólnym ś. p. przyjacielu naszym, serdecznym, zacnym, szlachetnym człowieku, a przytém prawdziwym wieszczu narodowym, wyznaje: iż chciałem zrobić to bardzo dobrze, i niestety, skutkiem właśnie téj chęci, nie tylko nie zrobiłem nic dotąd; ale co gorsza, przekonałem się ostatecznie, że w ten sposób i na tę skalę, nic zrobić nie mogę. Zniżam tedy kamerton własnych moich wymagań, i w prostéj formie prywatnego listu, chcę opowiedzieć panu, co mi przyjdzie na pamięć z onych kilku uroczych miesięcy, cośmy z Polem niegdyś w Dreźnie przeżyli, a które dla obu nas, przez całe dotąd życie, były tém miłym i drogiém wspomnieniem, które myśli nasze i serca nierozzerwaniem ogniwóm łączyło; chociaż my się nigdy już potem osobiście nie zeszli, a nawet przez całe często lata nie bywali w listownych stosunkach. Pan sam mówiłeś mi kiedyś, że to samo słyszałeś nieraz z ust Pola; on zaś po otrzymaniu pierwszego mego listu z Warszawy, gdy się tam na stały pobyt przenieśli, pisał, a raczój dyktował do mnie, pod datą 14 czerwca 1867 roku ze Lwowa.

„Mój drogi Panie Edwardzie!

„Zaledwiebyś uwierzył, ile mię uszczęśliwiło odnowienie stosunków z tobą! Jakież to wspomnienia i uczucia wywołał w duszy

---

<sup>1)</sup> Pan Ludwik Dębiński w Krakowie, zajmuje się napisaniem obszernéj biografii Wincentego Pola; na jego żądanie A. E. Odyniec napisał niniejsze wspomnienie w formie listu o zgasłym poecie, które jako ważny przyczynek do życiorysu twórcy *Mohorta*, podajemy.

mojej twój list! Gdzie ztąd do owąd? Już nawet myślą trudno przebieść powtórnie tę drogę, na której początku postać mi twoja świeci. W uczuciu straconej pikiety stojąc na stanowisku mojem przez lata, pojdziesz jaką otuchą napawa mię przyjaźń twoja, słowo twoje! Gdybym cię w życiu jeszcze kiedy ujrzał, wyzaliłbym się przed tobą! Gdybym na twojej piersi głowę złożył jak niegdyś młodzieńcem, wypłakałbym całą boleść życia! Gdybym mógł przemówić do ciebie, poniosłbym ci słowo pociechy! Ale papierowi żalić się nie będę. Płakać pono już nie trzeba, kiedy Bóg wziął oczy; a pociechę czerpiemy oba z jednego źródła: z Boga i uczucia dopełnionego obowiązku. Więc przyjm żal niewyżalony, łzę niewypłakaną, pociechę niewystożoną, i wdzięcznego serca zapewnienie, że między żywymi, ciebie tylko jeszcze odszukuje dusza, uczuciem *Janusza Nowiny*."

Na jeden zaś z następnych listów moich, odpowiada także ze Lwowa pod dniem 22 lipca tegoż roku 1867.

„Na ostatni punkt twego listu odpowiadam: że gdyby to nie z tobą była sprawa, odpowiedziałbym: „I nie wódź nas na pokuszenie.“ Żądasz odemnie abym opisał nasze drezdeńskie czasy. Myślę o nich często; ale czy podołam temu zadaniu? Chyba że jako starszy po służbie każesz mi to zrobić, to zrobię i złożę się twoim rozkazem.

„Osoby i stosunki nie trudno będzie opisać, ale trudno się wznieść do tego wysokiego nastroju ducha, który ówczesne koło drezdeńskie ożywiało. Trudno będzie dać dzisiejszemu pokoleniu wyobrażenie oddechu tej atmosfery duchowej, która nasze pokolenie otaczała. Komu to mówić dziś o tém, cośmy wnieśli i dali? z jaką miłością, jakim sercem? Komu to mówić, co z tego świat zrobił, i czém to zapłacił? W każdym razie taki ustęp z pamiętników, dopiero chyba z trumny podać można żyjącemu pokoleniu. Ale kiedy chcesz, kiedy żądasz tego po mnie, to zrobię. Jedyną i pierwszą zachętkę, jaką w życiu do zawodu poetycznego otrzymałem, otrzymałem od ciebie. Masz tedy prawo żądać, abym zrobił co każesz. Ale dajże mi i tym razem radę, czy mam to pisać prozą czy wierszem? Może cię to pytanie zadziwi? Ale racz wszakże rozważyć, o co cię proszę i pytam.“

Nie umiałem na to odpowiedzieć, i zostawiłem wybór formy do woli i natchnienia jego samego. On zaś w jednym z następnych listów swoich z Krakowa, proponował mi formę korespondencyi ze mną, abyśmy wspólnie niejako w ten sposób, wspólne nasze wspomnienia z owego czasu spisali, gdyż myśl ta zajmowała go żywo i ciągle. W innym liście powiada: „Na nas jako na ostatnich już prawie żyjących dziś z owej epoki, cięży niejako obowiązek dopełnienia tego, czego inni dopełnić nie mogli, albo dopełnić nie chcieli. Ale ja rzeczy nie lubię odkładać, a obu nam spieszyć się wypada. Do pisania formalnych pamiętników nie zostawia mi czasu troska o chleb powszedni. Ale wszystko może być pamiętnikiem i wszystko może

syntetycznie dzisiaj ogarnąć i objaśnić kilka listów. Ja cię zaczeplię a ty mi odpowiesz i nawzajem, i tym sposobem będzie się mogła złożyć i wyswiecić całość obrazu.“

Przystałem na ten projekt, i czekałem zapowiedzianej inicjatywy. Tymczasem nieszczęśliwa jego operacya oczu, potem nowe stosunki domowe, nie dozwoliły mu widać przyprowadzić tego do skutku; aż śmierć nakoniec zniweczyła wszystko. Otrzymawszy więc wezwanie pańskie, poczułem się w podwójnym niejako obowiązku, aby myśl jego za siebie i za niego wykonać. Ale im bliżej wpa-trzyłem się w przedmiot, tém coraz mocniej poczuwałem trudność, o której Pol w liście swym mówi: aby go w prawdzie jego duchowej przedstawić; i zrozumiałem dlaczego się wahał, czyby raczój ku temu formy poezyi nie użyć? W istocie, w słowie chyba poezyi możnaby było bez przesady chcieć wydać tę poezyę uczucia i życia, jaką się właśnie przedewszystkiém ten nasz wspólny pobyt w Dreźnie odznaczał. Ztąd tóż poszło, że wszyscy jego uczestnicy tak żywo i tak rzewnie pamiętali o nim. Masz pan dowód tego w drukowanych listach Mickiewicza i Ignacego Domejki, prozą przytoczonych tutaj listów Pola. Daruj więc pan że opisać go, jakbym chciał i jakby trzeba było, nieumiejąc, poprzestaję na prostym, prozaicznym szkicu.

Do domów oddawna już zamieszkałych w Dreźnie, między innymi należał dom pani Ewy z Koszutskich Dobrzyckiej, matki lady dworu tegoż nazwiska, najczcigodniejszej matrony. Dom Józefów hrabiów Żubieńskich, dom pani generałowej Dąbrowskiej (wdowy po Henryku), dom księstwa Sapiehów, hrabiny Kossakowskiej, państwa Komarów (rodziców pani Delfiny Potockiej) która wtedy przy nich mieszkała) hrabianki Anieli Czackiej i t. d. i t. d. W niektórych z tych domów były też młode i piękne, pełne wdzięku i uroku osoby, jak np. panna Bronisława Dąbrowska, panna Antonina Szczaniecka i inne. Z imion sławnych nowoprzybyłych, wolę nie wymieniać żadnego, aby przez zamilczenie nieubliżyć innym, a wszystkim wymieniłem niesposób. A wreszcie pan zkądinąd możesz wiedzieć o tém.

Ale wspólnym niejako węzłem, który wszystkich jednoczył, ale duchem, który, bez przesady rzecz można, wszystkim jakby swą barwę i nastrój nadawał: była pani Klaudyna z Działyńskich Potocka. Komuż to imię nie jest znane w kraju? I w niej też to największa trudność do skreślenia obrazu téj epoki w Dreźnie. O czémkolwiekby się mówilo, wszystko musi się o nią opierać; wszystko lub się od niej zaczyna, albo staje się przez nią i kończy się na niej. Tymczasem dla tych, którzy ją sami znali, wszelkie słowa będą za blade; dla nieznających zaś jój osobiście, a zatem niemających i nie-

mogących mieć wyobrażenia o duszy tego nastroju, wszystko mogłoby łatwo wydać się za jaskrawém, przesadzoném lub urojoném. W istocie legendarna ta postać, tak się wyróżnia od ogółu ludzi, i tak się w każdym kierunku nad zwyczajny ich poziom podnosi, że w legendzie też chyba lub w poezyi, mogłaby ująć odrazu za prawdziwą, jako ideal; bo choć nim była prawdziwie w życiu rzeczywistém, codzienném, (przynajmniej w tój epoce w Dreznie); ludzie zwykle nie łatwiej może wierzą powieściom o takiój wyższości ducha, jak i o zjawianiu się samychże duchów. Z niezachwianą stałością i mocą duszy i charakteru, łączyły się w niej zarazem stodycz, łagodność, cierpliwość i pokora siostry miłosierdzia. Rozum jasny, trzeźwy, praktyczny w okolicznościach codziennego życia, przybierał wszystkie tęcze barwy poezyi, ilekroć sam, jak tęcza, podniósł się nad ziemię i szerszy widnokrąg ogarniał, albo się w tajemniczy świat ducha zagłębił. A wszystko to było owiane takim urokiem wdzięku i uczuć niewieścich, takim blaskiem estetycznego i towarzyskiego wykształcenia, że połączenie w jedułej osobie tych tak sprzecznych napozór rzeczy (nieśmiem powiedzieć przymiotów czy zalet) nie da się ani pojąć, ani wytłumaczyć przeznic innego, jak chyba przez ten cudowny stau duszy, którą strata najdroższych uczuć i nadziei ziemskich, tak nagle i tak całkiem zwróciła ku Niebu, że bezwiednie dosięgła do tój wysokości, gdzie się już tajemniczy wpływ Łaski zaczyna, i wybranych jakby widomą aureolą otacza. Na dowód tego co tu mówię, mógłbym przytoczyć panu tysiąc faktów, drobnych często napozór, ale świadczących zarówno i zarazem, jak o tém, czém była w sobie, tak i o tój dziwnój potędze i wpływie, jaki bezwiednie wywierała na drugich. Mówię bezwiednie, bo do najbardziej może charakterystycznych, i zdumiewających w niej rysów, należała dziecinna prawie w obec obcych nieśmiałość, i ta przerażająca (jak ją nazwał Mickiewicz) pokora, jaka się objawiała zarówno w jój słowach przy wypowiedzeniu swojego zdania w zwyczajnej towarzyskiej rozmowie, jak i w każdój, często najniższej postudze bliźniego, którą na każde zapotrzebowanie, niosła zawsze i wszędzie, z zupełném zapomnieniem o sobie. A mimo to, tajemniczy ten wpływ jój na drugich, tak był wyraźny i potężny, że mu ulegał zarówno prosty wiarus, który go czuł tylko instynktem, jak i najwyższy umysł, (np. Mickiewicza), który umiał zdać sobie sprawę z natury i z powodu swych wrażeń.

I tu już muszę koniecznie przytoczyć panu parę faktów, abys pan z nich sam przez się o wartości i prawdzie tych słów moich osądził.

Byłem raz u pani Potockiej o godzinie 11-ój rano, i zastałem ją tak cierpiącą na straszny ból głowy, że właśnie pragnęła pojsć się położyć, kiedy wszedł prosty jakiś zagrodowy szlachcic litewski, ale na twarzy którego malowała się poczciwość i boleść. Byłem pewny, że przyszedł prosić o wsparcie i że sobie zaraz odejdzie. Tym

czasem on, ujęty widocznie uprzejmością przyjęcia, usiadł i widać było, że o prędkim wyjściu niemyśli. Napomknąłem więc ostanie zdrowia gospodyni, a kiedy i to nie pomogło, gotowałem się ostrzedz go otwarciej, aby jój długo nie utrudzał. Ale tu ona spojrzała tak błagająco, ale razem i tak rozkazująco, że rad nierad zaciąłem usta, i nie mogąc poskromić niecierpliwości, wyszedłem: we dwie godziny potem, idąc na obiad do jój matki, pani wojewodzinéj poznańskiej Działyńskiej, która w tym samym domu niżej piętrem mieszkała, wstąpiłem wprzód do niój saméj aby się o zdrowiu dowiedzieć: i ujrzałem ją bladą i nieruchomą jak posąg z marmuru, z twarzą wspartą na dłoni, słuchającą cierpliwie tegoż samego człowieka, który jój jakieś długie historye o sobie opowiadał. Tu już nie mogłem wytrzymać, i zwróciłem jego uwagę na stan zdrowia nieszczęśliwéj słuchaczki. Porwał się z przerażeniem, bo sam wreszcie stan ten obaczył, a całując na pożegnanie jój rękę, rozplakał się jak dziecko, przepraszając zaś że się tak długo zapomniał, dodał na usprawiedliwienie swoje, że to była pierwsza chwila pociechy, jakiej doznał, po zostawieniu w domu żony i siedmiorga dzieci. Ma się rozumieć że odszedł zaopatrzony hojnie na dalszą podróż, a mnie obowiązało najmocniej, ażebym o téj scenie ani słowa nie wspomniał przed matką.

Po przybyciu do Drezna przyjaciela naszego Ignacego Domejki, zaprowadziliśmy go wraz z Adamem na większy niż zazwyczaj wieczór do pani Dobrzyckiej. A był też z nami i drugi gość nowy, Litwin, sąsiad mój wiejski, pan Stanisław Paszkowski, dziedzic znacznej fortuny, sławny myśliwy. Był to typ dawnych Litwinów, czcicieli drzew dębowych i lasów, twardych i nieugiętych jak one; najdoskonalszy kontrast z tklwym i łagodnym Domejką, który nadto jest znany, ażebym miał potrzebę charakteryzować go więcej, mówiąc o jego uczoności lub charakterze moralnym, które mu i na drugiej półkóli świata, w nowéj jego ojczyźnie, cześć ogólną i miłość zjednały. Owóz obaj ci panowie poraz pierwszy, na tym wieczorze widzieli panią Klaudynę. Zazwyczaj ino mówiąca, tą razą była nią mniej może niż kiedy. W chwili wyjścia na wieczór, otrzymała nader smutną wiadomość, ale zamknęła ją w sobie, ażeby drugim gościom weselości nie mącić. Dowiedzieliśmy się o tém dopiero nazajutrz, ale w ciągu całego tego wieczoru, ona sama najmniejszém słowem nie zdradziła wrażenia, które tkwiło w jój duszy. Usiłowała owszém okazać się wesolą i nikt z tych, co ją widywali codziennie, nie w niój dziś nadzwyczajnego nie widział. Tymczasem przy wyjściu z wieczoru, słyszę jak idący przedemną obok z Adamem Domejko z poruszeniem mówi do niego: „Powiedz mi, znasz ją lepiej, co to za kobieta? Partałem na nią jak na świętą; chęć mię brata uklęknąć przed nią i prosić o błogosławieństwo.“ A w téjże saméj chwili, idący obok ze mną Paszkowski, mówi do mnie: „Straciłem, ty wiesz, wszystko!

Ale patrząc dziś na tę panią, myślałem, że nie żal mi przecie tego, kiedym mógł przeto widzieć taką kobietę.“ A nie mówił on tego o piękności twarzy.

Zdaje mi się, że dość będzie na tém, aby poprzednie słowa moje, od zarzutu przesady ochronić.

Ale niech téż pan w ogólności tego, co o tém tu mówię, nie bierze za zбочenie od głównego przedmiotu tego listu; jest ono owszem z nim w prostym i jak najbliższym stosunku. Towarzystwu to bowiem i przyjaźni pani Klaudyny, Pol, równie jak my wszyscy, zawdzięczał mianowicie ten niewysłowiony urok ówczesnego naszego pobytu w Dreźnie, pod którego ogólnym wpływem szczupłe, odrębne kółko nasze, nie „jedną tylko chwilę tak górnice, (a przynajmniej tak mile i poetycko) przeżyło“, że i najwięksi, i najszczęśliwsi poeci, mogliby nam jój słusznie zazdrościć. Kółko to do przybycia Pola, składało się wyłącznie z nas czterech: Adama, Garczyńskiego, Domejki i mnie. Górecki zaglądał często, gdy mu się podobało; inni zaś, jak np. Orpiszewski, Czetwertyński Janusz i inni, bywali tylko proszonemi gośćmi. Otóż cała moja zastuga względem Pola, o której on w listach swoich do mnie wspomina, jest chyba ta, że mnie się to szczęściem zdarzyło, wprowadzić go niejako do tego naszego kółka i zapoznać z Adamem i z panią Klaudyną. A i w tém nawet pierwsza inicjatywa, należy się właściwiej Domejce, a najwłaściwiej samemuż Polowi. Ze jednak pierwsza ta chwila poznania się jego ze mną i zapoznania przezemnie, jest rzeczywiście charakterystyczna, więc ją tu panu szczegółowiej nieco opowiem.

Dnia jednego raniutko, Domejko przyszedł do mnie z jakimś nieznajomym młodzieńcem ładnym, ożywionym, wesołym, który zaraz z pierwszego wejrzenia, sympatycznie mi się podobał. Był to Wincenty Pol. Domejko przedstawił mi go, jako ucznia Wileńskiego Uniwersytetu, a więc przez powinowactwo kolegę i jako swego towarzysza w Rastenburgu, (jeżeli się nie mylę), zkąd sam przed tygodniami kilku przybył pocztą do Drezna.

Pol znał w Wilnie wielu jeszcze z dawnych moich kolegów i przyjaciół; a trzebaż było czego więcej, aby się między nami odrazu koleżeński stosunek związał? Wspomnienia wspólnych znajomych i okolic wileńskich, pierwszym zaraz rozmowom, nadały poetycki charakter, co właśnie było powodem Domejce, że pierwszy zaczął mówić o tem, co już widać wprzód słyszał od Pola, to jest że Pol znał i zostawił w Rastenburgu młodego poetę niejakiego *Janusza Nowinę*, i także ucznia Wileńskiego Uniwersytetu, którego wiele wierszy sam umiė na pamięć. Prosiłem więc o niektóre i Pol ochozo spełnił to żądanie. Ale zaledwie przedeklamował kilkadziesiąt wierszy, te już tak mi się podobały, że wnet po dokończeniu pierwszej sztuczki, żal mi było, że ich Adam razem nie słyszy, i przeto zaproponowałem Polowi, aby pójść zaraz do niego, (który mieszkał tuż przez ulicę, okno w okno ze mną), i aby tam już deklamacją dalszych kontynu-



wać. Przysłał na to z wielką radością, bo i tak miał odemnie zejść do niego z Domejką; a ja ubierając się co prędzej, powtarzałem machinalnie dopiero co słyszane wiersze, które odrazu utkwily mi w pamięci. Pol tak był tém uradowany widocznie, że zaczął mię ścisnąć serdecznie, co przypisałem przyjaźni jego dla pana *Nowiny*; on zaś przypisywał to mojej pamięci i współczuciu dla młodszych braci w Apollinie. Ale ani mi na myśl nie przyszła prawdziwa tych uścisków przyczyna.

Przyszedłszy do Adama, zastaliśmy go jeszcze w łóżku, bo wtedy właśnie pisał ostatnią część *Dziadów*, a pisząc zazwyczaj w nocy, rankiem sobie bezsenność nocną wynagradzał. Po pierwszym przedstawieniu, bez dalszych preambulów, przystąpiłem do *pana Nowiny* i Pol bez żadnych ceregielów, zaczął nam deklamować dalsze *pieśni Janusza*. Wpływ ich na Mickiewicza, był jak słońca na kwiecie, kiedy go ono stopniami z nocnego uśpienia obudza. Wstał wreszcie i okrywszy się płaszczem, zaczął śpiesznie nakładać fajkę, aby już z całą uroczystością słuchać deklamacyi dalszej z tego, co dotąd już słyszał, rokując świetną, poetycką przyszłość talentowi *pana Nowiny*. Gdy zaś na zapytanie moje, dlaczego ten *pan Nowina* nie przyjechał razem do Drezna, dowiedzieliśmy się od Pola, że nie ma czém przedsięwziąć podróży. Myśl nagła zabłysła mi w głowie i słowa nie mówiąc nikomu, porwałem za kapelusz i pobiegłem do pani Klaudyny. Zadziwiła się, widząc mię tak rano, ale gdy jednym tchem wyrecytowałem jej wszystko o *panu Nowinie*, o jego wierszach, i co o nim samym słyszałem: pani Klaudyna, wystuchawszy z zajęciem, powstała nie mówiąc słowa i wyszła do drugiego pokoju. W minut parę wróciła, trzymając w ręku, między dwoma mniejszemi palcami, 50-cio talarowy papierek i mówiąc: „No, niechże ten pan Pol pośle to zaraz temu *panu Nowinie*, żeby zaraz przyjeżdżał do Drezna; a my już tu będziemy myśleli, co z nim zrobić dalej.“ Kwadrans nie upłynął, kiedy już byłem z powrotem na *Töpfer-Gasse*, gdzie przyjaciel *pana Nowiny*, czekał na mnie z dalszą deklamacją jego wierszy. Podając mu przyniesiony papierek, powtórzyłem słowa dawczyni i chciałem zaraz dać Polowi ćwiartkę papieru, aby list do niego napisał, który ja sam, jako lepiej znający drogę, miałem zanieść i oddać na pocztę. Ale tu Pol zmieszany widocznie, zacerwił się cały, jak rak aż po uszy, i nie biorąc z rąk moich papierka, zaczął się ekskuzować, jękając i przeproszać nas za udanie: gdyż *Janusza Nowiny* nie było na świecie, a on sam był autorem wierszy, które mówił, i o których w ten sposób chciał się pewniej prawdziwego zdania dowiedzieć. Łatwo pojąć, jakie wrażenie i skutek sprawiło na nas to wyznanie, a sama ta chwilowa mistyfikacya, dopomogła wiele ku temu, że i w obec Adama, który nie był tak skory do poufanych stosunków, figlarny mistyfikator stanął odrazu na stopie wileńsko-universyteckiego koleżeństwa. Musiał tylko na ekspiacją swojego

kłamstwa, iść ze mną *stante pede* do pani Klaudyuy i oddać jój własno-  
ręcznie przeznaczony dla Janusza Nowiny papiérek.

Narracyą podstępny ja wziąłem na siebie; on zaś spełniwszy  
naznaczoną mu przez panią Klaudynę pokutę, tojest, aby i dla niój  
téz zaraz kilka wiérszy swoich powiedział, otrzymał absolucyą zupełną,  
a w dalszym ciągu stosunku, życzliwość jój i przyjaźń. Wprost  
ztamtąd zaprowadziłem go do Garczyńskiego, który téz ma się  
rozumieć, przyjął go po bratersku i następnie zapoznałem ze  
wszystkimi damami, chociaż nienadaremnie przeczułem w nim odrazu  
nader niebezpiecznego rywala.

Od téj pory p. *Janusz Nowina*, jakeśmy go zawsze nazywali, stał  
się inteligentną częstką naszego kółka, codziennym, (gdy był  
w mieście) towarzyszem naszym; gdyż po kilkakroć z polecenia pani  
Klaudyny w różne strony na dni kilka wyjeżdżał.

A teraz cóż mam panu powiedzieć o tém kółku naszém? To  
chyba, że choć często bywaliśmy zapraszani na wieczory, zwykle  
jednak, gdy specjalnej inwitacyi nie było, zbieraliśmy się o 7-mój  
u Adama, który miał najobszerniejsze mieszkanie, lub u mnie, który  
lepiej przyrządzałem herbatę, i pogadanka przeciągała się nieraz  
dobrze po północy. Ale co do charakteru tych pogadań, to niechaj  
to już pańska wyobraźnia dopełni. Ja chyba dodam to jeszcze, że  
nigdy żadnych pedanckich rozpraw ani dysput nie było; wzajemna  
zaś życzliwość i ufność nie krępowały w niczém swobody i szczerości  
zdania lub uczucia. A chociaż często z tego wynikała szermierka  
myśli i słowa, niekiedy prowadzona z zapałem; ale że osobistość  
nigdy w niój nie miała udziału, więc choć się zdania w końcu nie  
zgodziły, serca zawsze pozostały w jedności. Była to zwłaszcza  
wieczna historia dysput z Garczyńskim o Heglu i w ogólności o filozofii  
niemieckiej, której on był gorliwym adeptem. Pola zaś Adam lubił  
bardzo jeszcze i za to, że był niewyczerpanym w opowiadaniu różnych  
starych przygód i anegdot szlacheckich, a w dowcipie i żartobliwych  
conceptach, godnie sekundował Domejce.

Prócz tego to była chwila, gdy każdy z nas, według swój skali,  
był właśnie w wencie i werwie poetyckiej, i co kto we dnie lub w nocy  
poprzedniej napisał, przynosił do osądzenia na wieczór.

Adam, przerwawszy tłumaczenie *Giaura*, pisał właśnie ostatnią  
część *Dziadów*; Garczyński przerabiał i kończył swojego *Wacława*;  
Pol kontynuował *pieśni Janusza*: a ja, skończywszy tłumaczenie  
*Czoicielei ognia*, zacząłem zaraz *Korsarza*, założywszy się najprzód  
z Garczyńskim i Domejką o butelkę czterozłotowego St. Julien, a prze-  
pieśń pierwszą, wytłumaczę za tydzień. Wygrałem zakład, a prze-  
ciwnicy moi, przez wspaniałomyślność, kupili każdy po butelce  
talarowego *Chateau Lafitte*, które ma się rozumieć, wypiliśmy wszyscy  
razem na intencyą dalszego powodzenia pracy. Mickiewicz w listach  
swoich pisze o tych czasach w Dreźnie: „Ach! jak tam mile prze-  
pędziliśmy te kilka miesięcy! Jak czułem, że nieprędko już będziemy

mieli taką epokę spokojności i pogody! Zdaje się, że jak magnetyzowany z oczu towarzyszy ciągnie się, tak ja z was nabierałem ognia i ochoty.“ Jak te chwile wspominał Pol, pan tam wiesz najlepiej, bo sam kiedyś mówiłeś mi o tém. Ja zaś powtórzę chyba słowa jego do mnie: „Gdzie ztąd do owąd?“ i dodam: „Gdzie on? gdzie oni?“ Jeden tylko Domejko jest jeszcze na ziemi, a i ten w świecie nowym, na drugiej półkuli!

Przychodzą mi więc na myśl słowa *Ostatniego Minstrela* Walter-Skotta i daruj pan, że je tutaj przytoczę:

„Ja tylko jeszcze starzec nad mogiłą  
Stoję i płaczę, wspomniawszy co było;  
I że już ucho moje nie usłyszy,  
Zajrzanych niegdyś pieśni towarzyszy;  
Bo zawiść moja zgasła razem z nimi  
A żal mi tylko został na tój ziemi.“

Oprócz zawiści, której Bogu dzięki nie było, jest to w istocie wierny dzisiaj mój obraz. A więc, aby skończyć weselę, opowiem panu jeszcze jedną anegdotę, która nas wszystkich kiedyś wielce ubawiła, a przypomina też jeden z najmilszych epizodów ówczesnej naszej epoki drezdeńskieję.

W początkach kwietnia 1832 r., wszyscy pięciu odbyliśmy wspólną pielgrzymkę do Szwajcaryi Saskiej, którą przebiegliśmy piechotą. Na *Bastai* trzech jakichś młodych, czystej krwi Warszawiaków, jeden z gitarą na błękitnej wstążce przez plecy, weszło z szykiem i szyrmem i zasiadło koło nas przy osobnym stoliku; a słysząc nas mówiących po polsku, zawiązało z nami rozmowę. Ani my, ani oni, nie wiedzieliśmy nawzajem, kto jesteście; ale wnet gitarzysta z własnej woli swojej, raczył nas zawiadomić łaskawie, że jest „poetą romantycznym“ z Warszawy i w ślad zatém z tegoż tytułu, zaczął paplać trzy po trzy różne górno-sentymentalne frazesy, z wyraźną intencją zaimponowania nam przez to. Cytował wyjątki z *Dziadów* i unosił się nad niemi i w ogóle nad Mickiewiczem, jakby chował nas nauczyć i wskazać, jak go trzeba czuć i rozumieć. Koledzy jego, znać było, że go mieli za mędrca i wieszczą i byli tylko, jak echem słów jego; ja zaś z Domejką i Polem wyciągaliśmy go coraz dalej na słówka, choć tó w końcu Adama nudziło, a Garczyńskiego gniewało. Aż nakoniec, sam gitarowy minstrol, także z własnego natchnienia, raczył nam oświadczyć ochotę zaśpiewania nam nowęj swojej piosenki, którą jak się wyraził, pod wpływem „tęsknot wygnania ułożył.“ Prosiłiśmy go ma się rozumieć, a on skrobiąc palcami po strunach, zaczął z najlepszą fantazją i śmiałością śpiewać mój własny wiersz, p. t. *Oddalony*, drukowany już pod mojem imieniem, a zaczynający się od słów:

„Rozwesel lice cudzoziemcze młody,  
Poprzestań tęsknić za rodzinnym krajem“ i t. d.

Potrzeba było użyć całej siły nad sobą, aby nie parsknąć od śmiechu, widząc zwłaszcza przytém minę i sentymentalną fanfaronadę śpiewaka. Wysłuchaliśmy jednak cierpliwie, a nie mając ochoty kompromitować ani jego, ani siebie, pożegnaliśmy co prędzej tych panów, nie pytając o ich nazwiska, aby nawzajem nie powiedzieć swojego. Mickiewicz tylko zastanawiał się głęboko nad tém, „zkaż on mógł wiaść tę gitarę?“

Bo jużciż trudno było przypuszczać, aby ją wynieść miał z kraju, jak Eneasz Penaty z palącej się Troi; a zaś w dzisiejszém jego położeniu kupować najprzód gitarę!... była to taka cecha romantyków warszawskich, że w zestawieniu ich z tamecznemi także klasykami, posłużyła nam za przedmiot do długiej, długiej rozmowy. Ale przebacz pan długość tego listu, jeśli się wyda zadługi!!

---

## WYSTAWA MIĘDZYNARODOWA SZTUK PIĘKNYCH.

PRZEZ

*Aleksandra Lessera.*

Pogląd ogólny.—Wpływ sztuk pięknych na rozwój przemysłu.—Medale dla artystów.—Główna sala honorowa.—Oddział rosyjski.—Oddział austriacki.—Oddział węgierski.

Wyznać trzeba że wystawa obecna jest imponującym zjawiskiem i śmiało z poprzednią, międzynarodową, porównaną być może, z wyjątkiem rozkładu miejscowości, który mniej jest korzystnym, przezco znacznie utrudnioném jest wynalezienie i porównanie jednorodnych przedmiotów rozmaitych krajów. Oddział zaś przeznaczony dla sztuk pięknych mniej pozostawia do życzenia, a nawet przewyższa co do liczby i wartości przedstawionych dzieł sztuki, wystawę paryżką.

Mamy tu sposobność ocenić, jak ważne stanowisko zajmuje sztuka między innymi okazami pracy i wiedzy ludzkiej; nadto wpływ téjże na uszlachetnienie i podniesienie prac przemysłowych. Między innymi, uwydatnia się to szczególnie przy znakomitych wyrobach z brązu, złota, srebra i drzewa, których piękne formy i rzeźby dopełniające całości, zawdzięczamy zdolnym artystom; nie mniej to powiedzieć można przy wyrobach z porcelany miśniejskiej i sewrskiej, majolikach, naczyniach z gliny i szkła, również co do mozaiki, kamei i gobelinów. Piękny rysunek ornamentów niemało się téż przyczynił do podniesienia wartości materij liońskich, szalów indyjskich i tureckich, nawet wyrobu koronek Belgii i Szwajcaryi; również niezbędnymi są dobrzy rysownicy przy innych przedmiotach ściśle do użytku zastosowanych, jak naprzykład, przy zegarach i wyrobach mechanicznych różnego rodzaju.

Wykazaliśmy tu dotykalnie praktyczny użytek sztuki do przemysłu; o ile zaś sztuka wyższa, sama przez się, wpłynąć może na podniesienie ducha, każdy jest w stanie osądzić, kto kiedykolwiek znakomite dzieło sztuki oglądał, co się potwierdza, że oddział sztuk pięknych w Wiedniu najwięcej jest zwiedzany, i to przez osoby wszelkich stanów.

Wystawa ta złożona ze znakomitych dzieł sztuki różnych narodów, dać może należyte wyobrażenie o obecnym jej stanie i postępie, chociaż niektórzy artyści nawet znakomitsi, jak naprzykład: Wilhelm Kaulbach, Makart, Gallais i inni, prac swoich większych nie nadesłali. Dodać tu także muszę, że dokładne ocenienie lepszych obrazów staje się nieraz trudnym z powodu niekorzystnej miejscowości albo umieszczenia w złém świetle, nawet w takim razie, gdy zawieszonym jest obok słabszego obrazu, który bądź przez swe rozmiary, bądź przez efektowny koloryt więcej na siebie zwraca uwagę. Dla tychże powodów wybaczą mi szanowni czytelnicy, jeżeli nad pojedynczymi dziełami zbytnie unosić się nie będę, postaram się jednakże wypowiedzieć bozstronnie moje zdanie, którego jako osobiste, nikomu narzucać nie myślę.

Co się tyczy nagród rozdanych na wystawie, to przemysłowcy są pięcioma stopniami medali obdarzeni, artyści zaś otrzymali jeden stopień medalu, to jest *medal sztuki*, który jednak w tak znacznej liczbie został udzielony, że w niektórych salonach zwłaszcza w austriackim i niemieckim, jedynie obrazy z podpisem, *hors de concours*, który oznacza dzieła sędziów, premiiowanymi nie zostały. Uważamy za niestosowny powyższy sposób premiowania artystów, w stosunku do przemysłowców, gdyż zdaje nam się, że daleko łatwiejby było wyznaczyć jednakową nagrodę za produkcję przemysłu, jak np. dla fabryk cukru, jak za dzieła artystów, których talent, fantazyja i zdolności techniczne, bardzo są różnorodne, co w żaden sposób jednakową nagrodą ocenionemi być nie mogą. Dla tych powodów medali sztuki cytować tu nie będę.

Wiadomém jest, że w pawilonie sztuki, większe lub mniejsze salony dla każdego kraju są przeznaczone, stosownie do produkcji jego artystycznej; w środkowej zaś największej sali, odpowiednio jak w rotundzie pawilonu przemysłu, umieszczone są znakomitsze dzieła różnych narodowości.

\*

\*

\*

Z przedsiönka zdobnego w posągi z marmuru i bronzu wstępujemy najprzód do téj wspaniałej sali, której trzy główne ściany prawie wypełniają trzy kolosalne obrazy: *Cabanel'a, Pilotego i Wiertza* wraz z innemi mniejszych rozmiarów. Środkowy wielki obraz Karola Pilotego, profesora w Mönachium, przedstawia „*Tusnelde w pochodzie tryumfalnym Germanika*.” Przed cesarzem siedzącym pod baldachinem zdobnym w kwiaty, a otoczonym kobietami swego dworu, prowadzą germańskich jeńców płci obojój, między temi w pośrodku, postępuje Tusnelda małżonka wodza zwyciężonego, w dumnej postawie prowadząc za rękę syna swego *Tumelnikusa*. Za nią jedna z dziewic z sajdakiem u boku, zrozpaczona opiera się na ramieniu swéj matki, inna znów okuta w kajdany, z oburzeniem spogląda na Rzymiankę z niéj szydzącą; przed niemi jeńcy germańscy pod jarzmem przechodzący, oraz sędziwy kapłan pogański ze związanemi rękami, którego rzymski żołnierz za brodę ciągnie, prowadząc niedźwiedzia. W dali widzimy przez tryumfalną bramę przy okrzykach ludu, wjeżdżającego wodza Rzymian, na wozie ciągniętym przez jeńców germańskich. Przód obrazu wypełniają trofea złożone przy ofiarnym ołtarzu, przy którym leżą bardowie, z potrzaskanemi lutniami.

Z tego opisu widzimy, że zajmujący ten temat dobrze jest pojęty; w ogóle obraz ten odznacza się harmonijnym kolorytem i staranném wykończeniem. Z zacięzionego otoczenia pięknie występuje główna grupa kobiet ubranych w jasne szaty i futra, z których najwięcej ma wyrazu dziewczica rudowłosa, nie mniej téż wyraziste są rysy jeńców germańskich naprzód idących i znakomicie uwydatnionym jest wzjad tryumfatora, a świetność tego obrazu, oraz naturalna wielkość przedstawionych figur, sprawia nawet pewne złudzenie. Oceniając ten obraz ze stanowiska ściśle artystycznego, powiedzieć można, że pomimo jego wielkich zalet, brak tu w całej kompozycji pewnej energii i ruchu, a piękne kobiety przedstawione zbyt są delikatne, nie są to owe silne niewiasty germańskie, które nieraz obok swych mężów w boju z Rzymianami walczyły.

W każdym jednak razie przyznać trzeba Pilotemu, że był pierwszym z nowoczesnych malarzy niemieckich, którzy się piękném i śmiałym malowaniem odznaczyli, oraz wielką zasługę, że w tym kierunku wielu zdolnych artystów wykształcił, których prace na wystawie znakomite zajmują miejsce.

Drugi większy obraz od poprzedniego, bo 30 stóp wysoki *Ca-hancla z Paryża „Tryumf Flory“* przenosi nas w powietrzne sfery. Bogini kwiatów ciągniona na wozie, otoczona chórem sylfid, rzucających kwiaty lub igrających w powietrzu. Tak jak w poprzednim obrazie wszystkie figury mogłyby być ustawione, tak tu wszystko unosi się w przestrzeni obszerniej. Figury tu są ożywione i znakomicie rysowane nawet w najtrudniejszych skróceniach; koloryt łagodny, pomimoto plafonowy ten obraz owalny, w porównaniu z poprzednim wydaje się zupełnie bladym, nawet zbyt jasnym. Zdaje się jednak że ta ujemność zniknie, a nawet na korzyść obrazu wypadnie, gdy tenże podług swego przeznaczenia zapełni miejsce sobie wyznaczone w salonach Luvru. Obraz ten nie daje dostatecznego wyobrażenia o prawdziwej zdolności tego mistrza, wolelibyśmy raczej tu oglądać *„Raj ubracony“*, który podziw na wystawie międzynarodowej paryzkiej słusznie wywoływał.

Trzecim obrazem największym, aż 40 stóp wysokim jest *„Strącenie aniołów“* Antoniego Wiertza, niedawno zmarłego belgijczyka. Widzimy tu walkę siły ludzkiej z nadziemską, i otwierającą się pod niemi okropną przepaść, w którą strąconych z nieba, szatany w swe szpony porywają. Walka ta imponujące robi wrażenie, lecz proporcya obrazu za wielką jest na tę salę, gdyż całość tej zawikłanej kompozycyi zaledwie w oddaleniu objąć można; tak niezwykajne rozmiary są powodem, że wszystkie inne obrazy w otoczeniu maleją, nawet figury w kompozycyi Pilotego, chociaż te są naturalnej wielkości.

Artysta ten obdarzony bujną fantazyą, marzył tylko o wielkich pomysłach, któreby w stosowném miejscu, np. do przyozdobienia kościoła mógł wykonać; lecz nie mając ku temu sposobności, wybudował własne muzeum i tylko dla siebie malował. Nareszcie zbytne natężenie umysłu i brak stosownego pola do popisu, spowodowało osłabienie mózgu i zawczesną śmierć artysty.

Kompozycye Wiertza przypominają nieco utwory fantastyczne i sposób malowania Rubensa, którego wielkości jednakże doścignąć nie zdołał.

Dla dopełnienia przeglądu honorowej sali wspomnąć jeszcze należy o znaczniejszych tu umieszczonych obrazach: z tych obok Wiertza widzimy większych rozmiarów obraz ziemka naszego *Henryka Siemiradzkiego*, który był uczniem akademii petersburskiej, wydoskonalił się w Paryżu i Rzymie, już dlatego zasługuje na nasze uwzględnienie, że dotąd mniej znany, z tak zaszczytną pracą na wystawie europejskiej wystąpił. Treść obrazu o którym mowa wziętą jest z poematu Tołstoja, nam nieznanego, który zapewne opisuje dzieje z żywota Magdaleny. Na tarasie ocienionym rozłożystemi drzewami i winogradem, wesołe towarzystwo rozkoszuje się winem i przy dźwiękach muzyki skocznym tańcom się oddaje. Wtém tą drogą przechodzi Chrystus ze swymi uczniami i za Jogo ukazaniem się kilka kobiet naprzód występuje, z których szczególnież jedna

czarnowłosa w bogate szaty ubrana, spostrzegłszy mistrza, z ręki kielich wypuszcza i zawstydzona do pokory się zwraca. Koloryt tego obrazu jest łagodny i świetnością się odznacza, wybór też tematu i umiejętny rozkład obrazu, znamionuje utalentowanego i myślącego artystę, którego zalety wysoko oceniany. Co się zaś tyczy kierunku tego artysty, życzylibyśmy widzieć tu styl więcej zastosowany do treści obrazu; między innymi postać Chrystusa daleko większe robiłaby wrażenie, gdyby cokolwiek naprzód była wysuniętą, niż przed nim stojąca jawnogrzesznica, która też w bogate fioletowe jedwabie ubrana, zanadto przypomina kobietę strojną dzisiejszych czasów. Miejscowość też i inne szczegóły obrazu zbyt efektownie są wykonane i stosowniejsze były do tematu średniowiecznego lub rodzajowego, niż do obrazu ściśle historycznego poważnej treści; jestto jednak zarzut, który nie jednemu artyście szkoły francuskiej zrobićby można, a na której to drodze p. Siemiradzki się znajduje.

Do lepszych obrazów zaliczyć też można obraz *Robert'a Fleury* (syna) w Paryżu: „Ostatni dzień zburzenia Koryntu,“ gdzie u stóp ołtarza, kobiety wraz z dziećmi rozpaczając oczekują niewoli, gdyż właśnie w téj chwili wkracza do zburzonego miasta konsul Mumnyusz ze swymi zwyciężkami hordami. Obraz ten odznacza się ożywioną kompozycją, pięknym rysunkiem i staranném wykonaniem.

Inny wielki obraz *Feliksa Clement* „Śmierć Cezara“ a znany nam już z wystawy paryzkiej, przedstawia zamordowanego Cezara przez Brutusa i jego sprzymierzeńców. Kompozycya ta dramatyczna pojętą jest w klasycznym stylu, lecz formy zbyt akademiczne odejmują temu utworowi urok prawdziwego życia, nadając mu raczej pomóżor sceny teatralnej. Poprzedni obraz chociaż dobrze jest malowany, mniej świetnym się wydaje obok większych tu wystawionych dzieł sztuki, ostatni zaś zupełnie jest szarym w kolorycie. Przyznać jednak należy tym dwom artystom francuzkim wyższe wykształcenie naukowe i gruntowną znajomość historyi.

Wspomnąc tu jeszcze wypada o pięknym obrazie *Gionnetego* z Wenecyi, przedstawiający chwilę, gdy Marya królowa węgierska uwięziona w Castelnuovo oswobodzoną zostaje przez Giovannego Barbarigo; znakomicie jest malowany również, uwolnienie jeńców chrześcijańskich w Tunisi przez cesarza Karola V, obraz pędzla znającego artysty *De Kajser* dyrektora akademii w Antwerpii. Z mniejszych obrazów odznacza się też świeżością kolorytu „Obrzęd kościelny w zakrystyi w Brúgo“ malowany przez *Ludwika Isabey* w Paryżu.

Na czwartej ścianie tejże sali, miejsce główne zajmuje obraz *Canona* rodowitego Węgra, symbolicznie zestawiający pojęcia Starego i Nowego testamentu. Na wzniesieniu siedzi prawodawca Starego zakonu z tablicami dziesięciorgo przykazań, trzymając na kolanach Dzieciątka Jezus, na którego ukazanie się obok stojący św. Jan Chrzciciel wskazuje, u nog zaś klęczy w adoracyi dwóch Ojców koś-



ciola, w otoczeniu świętobliwych teologów. Obraz ten pełen powagi co do układu rysunku i kolorytu, przypomina najlepsze utwory dawniej szkoły włoskiej.

Przy tym obrazie pomieszczone są portrety naturalnej wielkości cesarza austriackiego, pędzla znanego artysty niemieckiego *Leubacha*, cesarzowej, malowanej przez *Winterhaltera*, niedawno zmarłego w Paryżu. Zasluguje też na uwagę portret pięknego rysunku i układu pani Pinchot z dziećmi w stroju dawnym florenckim *Cabanela*, jako też damy, pędzla panny *Jacquemart*. Zaliczam też do portretów *Leona Ferrault* obraz dziewczycy zadumanej w parku z książką w ręku, odznaczający się łagodnym kolorytem jako też powabnym światłocieniem.

Portrety Fryderyka elektora brandeburskiego na koniu, jako też Fryderyka W. malowane przez *Camphausena*, umieszczone z obydwóch stron obrazu *Pillotego*, zabawne robią wrażenie z powodu kontrastu strojów ówczesnych z dawniejszemi. Zwycięzkie zaś bitwy prusaków niżej zawieszane, nie posiadając artystycznego powabu, nie zwracają wcale na siebie uwagi.

\*

\*

\*

Przejdźmy teraz pojedynczo oddziały różnych krajów poczynając nasz opis od działu ruskiego, w którym pojedyncze obrazy artystów z naszego miasta znalazły pomieszczenie. Malarstwo ściśle historyczne bardzo słabo jest tu reprezentowane, może powodem tego jest że artyści tamtejsi zbyt są zajęci wykończeniem miejscowych prac publicznych, czego dowodem są niektóre wystawiane kartony służące mające za wzór do mozaikowych obrazów, a wykonać się mających do kościoła św. Izaaka w Petersburgu. Kartony te wprawdzie bogatą fantazyę artysty i znajomość stylu kościelnego wskazują, lecz zbyt są manierowane, dlatego głównie, że wszystkie głowy tu przedstawione, za wielkie do siebie mają podobieństwo.

Z obrazów historycznych zasługują na uwagę: obraz *Wasilego Wereszczagina*, św. Grzegorz karze chciwość złota rozkazawszy skarby zmarłego przechować wraz z nim do grobu. Obraz ten piękny jest układem, starannie i z gustem wykończony, przypominając nieco kierunek w sztuce artysty Siemiradzkiego. Obraz *Bronikowa*, Pytagorejczycy hymn śpiewający, zbyt blade jest malowany, lecz drugi tegoż artysty przedstawiający sąd dożów weneckich, nie równie lepszy od poprzedniego tak w kolorycie jak i modelowaniu.

*Gerson* z Warszawy wystawił obraz wielkich rozmiarów z figurami pół naturalnej wielkości, Jagiełły, który Kiejstuta wraz w Witoldem więzić każe. Wyznajemy jednak, że nie zupełnie odpowiedział naszym oczekiwaniom, gdyż pomimo starannego układu obrazu, wydaje się takowy zbyt szarym i jednostajnym zwłaszcza co się tyczy kolorytu wszystkich twarzy; przypuszczamy wprawdzie, że obraz ten nie korzystnie jest umieszczonym i że z bliska lepiej się

wydawać może, lecz tak jakeśmy go teraz widzieli, zdaje się że figury nie dość się rozchodzą, gdyż brak im powietrza, w każdym zaś razie kłęcząca figura Kiejstuta jest za małą, a rysy twarzy Biruty nie są kobiece. Mniejszy zaś obraz tegoż, znany już dawniej w Warszawie, który przedstawia Jana Sobieskiego, jak drzewka sadzi w Willanowie, bardzo się tu pięknie wydaje.

*Millera* z Warszawy obraz: król Stanisław przyjmujący artystów w Łazienkach, świetny w kolorze; pod względem jednak kompozycji i rysunku wiele pozostawia do życzenia, zwłaszcza że nie wszystkie figury dobrze są ustawione, a dwie z boku stojące zbyt są wielkie w stosunku do innych. Portret mężki tegoż pędzla do lepszych w téj sali wizerunków policzonym być może, szkoda tylko że tenże jako téż i poprzedni obraz za wysoko jest umieszczonym. Obraz przedstawiający Piotra W. wraz z cesarzewiczem Aleksym, malowany przez *Gay'a* do słabszych utworów historycznych należy.

*Karola Kuhn'a* historyczno-rodzajowy obraz, na którym Hugo-nota przypina biały krzyż do swego kapelusza, w wigilię rzezi św. Bartłomieja, dowcipnie jest przedstawiony, szczególnież dwa inne mniejsze rodzajowe obrazy tegoż artysty: „Chore dziecię i Dzieci bawiące się z kotkiem“ bardzo starannie i ładnie są malowane.

Z wizerunków najlepszym jest *Jana Köhlera* portret mężczyzny w niedźwiedziem futrze. Miernym jest natomiast obraz tegoż artysty „Chrystus na krzyżu.“ Popiersie Hiszpana, pędzla artysty *Gromme* wielkie ma zalety, przypomina nawet lepsze prace Holbeina: „Dwie wieśniaczki“ *Charlamowa*, zapewne są to studia włoskie szeroko malowane, wskazujące zdolnego artystę. Kobiętę w całej postaci w bogatym stroju ladowym z okolic Kurska, z wielką prawdą przedstawioną przez *Szedowa* również do portretów policzyć można. Bardzo się téż podoba większej publiczności „Modląca się staruszka“ *Gorawskiego*, z powodu wykończenia nawet najdrobniejszych zmarszczek, na twarzy i u rąk, przypominająca dawne obrazy hamburskiego malarza Dennera.

\*

\*

\*

Jeżeli w tym oddziale nie wielu znajdujemy malarzy zamiłowanych do stylu idealnego malarstwa historycznego, tém większa liczba artystów rodzajowych odznacza się bystrym poglądem, a nawet humorystyczną satyrą.

Obraz *Kiepiņa* przedstawiający ogorzałych wieśniaków ruskich ciągnących statki nad brzegami Wołgi, zwraca na siebie uwagę, gdyż ciągnącym jest co do kolorytu; figury te rozmaitego wieku w najtrudniejszych wysileniach, doskonałe są rysowane, nawet w najtrudniejszych skrótach, u niektórych tylko nogi są za małe. Wyrazistością typów i dobrym humorem zaleca się obraz *Perowa* „Łowiącego ryby“ i drugi „Wypoczywających strzelców“ z których jeden przygody swe opowiada. Utalentowany ten artysta odznacza się głów-

nie bystrym darem spostrzegawczym. Zasługuje też na uwagę *Prianisznikowa* „Wędrujący zebracy“ i obraz *Karola Beckera* „Dziewczynka z laską“ która dobrze jest malowaną, nie mniej *Karola Jansona* z Finlandyi: „Grających w karty marynarzy.“

Prace *Rizzomiego* znane nam z wystawy międzynarodowej paryskiej, odznaczają się subtelnym wykończeniem i takowe po większej części przedstawiają obrządki w refektarzach kościelnych, lub nabożeństwa w bożnicach. Najślabszym z jego obrazów jest koncert dyletantów. *Korwin Milewski* z Wilna również wymalował dwa obrazy, modlących się polskich żydów. *Makowski Konstanty* w dużym obrazie przedstawił z talentem uroczystość ludową podczas zimy: jest tu wiele scen zajmujących z życia wziętych, które charakteryzują zwyczajnie miejscowe. Piękne są też obrazki rodzajowe *Makowskiego Włodzimierza* z Moskwy, jako to: „Dzieci w kostki się bawiące“ i „Amator słowików.“

Najlepszym malarzem bitew i koni jest obecnie w Rossyi professor Kotzebue, były uczeń Piotra Hess w Monachium, obraz jego: „Potyczka awangardy pod Karstulą 1809 r.“ zbyt wysoko jest umieszczony ażeby go dokładnie rozpoznać można, w ogóle jednak jest nieco szarym w kolorycie, dlatego też nie może być policzonym do najlepszych prac tego artysty. Mniejsze obrazy Willewalda bitew pod Bronnizi, Grochowem i pod Gravelotte nie mają wielkich zalet, gdyż konie słabo są rysowane, a malowanie zbyt jest miękkie; przypuszczamy jednak że dawniejsze prace tegoż artysty były lepsze.

Pięknym kolorytem, śmiałą kompozycją i malowniczością stroju odznacza się duży obraz Gruzińskiego „Górale kaukazy“ którzy za zbliżeniem się wojsk rosyjskich opuszczają wioskę, zabierając z sobą całą swoją chudobę; wykończenie jednak tego obrazu mogłoby być staranniejszém. Duży obraz Charlemagne'a „Suwarów w Medyolanie“ widzieliśmy już w Paryżu; ogólny rozkład tego obrazu, jako też oświetlenie bardzo jest dobre, a wykończenie staranne prócz koul, które nie dosyć są wymodelowane.

Co się tyczy pejzaży, to prace Ajwazowskiego dawniej już były znane za granicą, z wystawionych odznacza się szczególniej „Wzbranie morze przy Wezuwiuszu“ i „Noc w Capri“ obraz przedstawiający spokojne morze, nieco jest manierowanym. Do najlepszych w tejże sali policzonym też być może puszczanie lodów na Nowie, *Aleksandra Bogoljubowa* i tegoż widok Kronsztadu, obrazy z wielkiem poczuciem malowane. Również „Naabrzeże morskie“ *Eugeniusza Dückera* i lesista okolica *Lindholma* z Finlandyi. Zasługują na uwagę *Piotra Suchodolskiego* „Okolica bagnista“ i ziomka naszego bawiącego w Monachium, *Swieszewskiego* „Jezioro Nemi.“

Rzeźbiarstwo nie poślednie w tój sali zajmuje miejsce, są tu nawet odznaczające się wyższemi zaletami, jak np. grupa z białego marmuru *Kameńskiego* „Matka pochylona nad dzieckiem, które pierwsze kroki stawia“ grupa ta nietylko że bardzo pięknie jest mode-

lowaną, ale nawet uwydatnia typ narodowy, zwłaszcza w rysach twarzy chłopczyka. Również zasługuje na uwagę *Popowa* „Rybak neapolitański“ przygrywający na mandolinie. *Brodzkiego* ziomka naszego są trzy prace: grupa z marmuru „Pierwsze podszepty miłości“ znana nam z wystawy paryzkiej, bardzo starannie wykonana, biust zawalowanej dziewicy, zatytułowany „Skromność“ mniej sztuką, jak sztuczną techniką się odznacza; nareszcie kobieta w postawie siedzącej wyobrażająca politykę osobliwszego pomysłu, która w ożywionym ruchu depcząc worek z pieniędzmi, usta sobie przysłania, a mając na kolanach wszelkie honorowe oznaki, przytrzymuje na łańcuchu psa, który chce się rzucić na obok stojącego kota.

Posąg młodej męczennicy w katakumbach *Kucharzewskiego* z Warszawy, znany nam był po części z małego powtórzenia z brązu, które nabytém zostało przez nasze Towarzystwo Z. S. P.; posąg z marmuru staranniej jest wykończony, palma zaś którą w ręku trzyma dziewczina jest stosunkowo za małą. Również znaną nam jest statuetka z gipsu naszego artysty *Pruszyńskiego*, która bardzo pięknie jest modelowana i zasługuje na wykonanie z trwalszego materiału. Dwa portreta mężkie z gliny palonej „terra cotta“ *Czyszhoffa*, zalecają się wielkiem życiem i talentem.

Są tu też mniejsze odlewy różnych zwierząt, z których odznaczają się konie w rozmaitych postawach barona *Klodta*, którego prace już dawno zyskały sobie sławę europejską.

Przejrzawszy wystawione obrazy w tej sali, żałować należy że tylko prace dwóch artystów z Warszawy, malarstwo nasze tu reprezentuje; sądzimy iż większa liczba śmiałoby tu miejsce znaleźć mogła, zwłaszcza przy stosowniejszém rozlokowaniu dzieł sztuk pięknych, gdyż prawie połowę tej sali zajmują rysunki i pomysły architektoniczne na białym papierze rysowane, które nie mało efektowi obrazów szkoda, a gdzieindziej korzystniej mogłyby być pomieszczone.

Co się tyczy obrazu *Siemiradzkiego*, o którym wspomnieliśmy wyżej, dodać należy, że gdyby w tej sali był umieszczony, byłby bezwarunko pierwsze miejsce tu zajął.

Największą przestrzeń w pawilonie sztuki, zajmuje na wystawie dział austro-węgierski, jako miejscowy, następnie połączonych krajów niemieckich i Francji.

Państwo austriackie, dotąd żadną właściwą szkołą malarstwa poszczycić się nie może, pomimo to jednakże, wielu zdolnych artystów posiada, między którymi są znakomitości, które tej wystawie szczególniejszy blask nadają. Do tych zaliczamy szczególniej *Jana Matejkę* z Krakowa, który tak z powodu wielkiego talentu swoich tendencji, jak i niez mordowanej czynności, uzyskał ogólne uznanie tak za granicą, jako też w kraju.

W pierwszej sali oddziału cesarstwa Austriackiego, główne miejsce zajmują cztery wielkie obrazy historyczne *Matejki*, których temata dostatecznie czytelnikom naszym są znane, gdyż szczegóło-

wego ocenienia, główne pisma udzieliły. Powody te mogłyby nas zwolnić od wszelkich dalszych spostrzeżeń nad temi obrazami, ale ponieważ musimy mówić o innych obrazach, będących w tej sali, nie możemy pominąć obrazów, które już, jak wyżej wspomnieliśmy, główną tego salonu ozdobę stanowią.

Obraz Skargi, z figurami pół naturalnej wielkości, był pierwszym dziełem, które imię Matejki głośnym uczyniło, posiada bowiem wszystkie zalety temu artyście właściwe; koloryt jednak nie ma jeszcze tej świetności, jaką w późniejszych jego obrazach widzimy, gdyż jest ciemny i ponury, pomimo to obraz ten budzi powszechne zajęcie.

Wielkie obrazy Unii i Stefana Batorego, odznaczają się pięknym rysunkiem, wielkim życiem przedstawionych postaci. Świetny jednak koloryt obrazów, nie dość się uwydatnia w tej sali, ponieważ umieszczone są zbyt wysoko w połysku światła, przez co szczegóły rysów twarzy, jako też inne akcesorya obrazów, które artysta zazwyczaj tak starannie wykończy, nie mogą być należycie widziane.

Unia zaleca się dramatycznym układem osób, z których szczególnie estetyczną pięknnością odznacza się młoda księżniczka Anna; zdaje nam się jednak, że postawa na przodzie klęczącego giermka, najmniej jest zastosowaną do całości kompozycji. W obrazie Stefana Batorego przedstawione historyczne postacie, zdają się być za życia portretowane, wraz z ubiorami i uzbrojeniem; obraz ten jednakże mniej wydaje się harmonijnym, z powodu szarego tła, które w miejscu, gdzie widoczną jest głowa siwego konia, nie dość w tył odchodzi, a może też, że barwy czerwone, które na prawym brzegu, bardzo korzystnie są umieszczone, nie mają odpowiedniego koloru na przeciwniej stronie tego obrazu. W każdym jednak razie osoby na przodzie obrazu będące i grupa pod namiotem, znakomicie są malowane; postawa tylko nóg siedzącego Batorego, chociażby nawet taką była w naturze, nie dość jest estetyczną w obrazie. Cena każdego z tych dwóch obrazów, jest 50,000 fl.

Obrazowi Kopernika, już mieliśmy przyjemność bliżej przyjrzeć się w Warszawie i należycie ocenić. Dodać tu wypada, że figury w trzech ostatnich obrazach, są naturalnej wielkości.

Podług ogólnej opinii z czterech wystawionych w Wiedniu obrazów historycznych Matejki, najwięcej cenionym jest obraz Unii, który odznacza się wielką harmonią kolorów; najmniej zaś zrozumiałym dla profanów, jest obraz przedstawiający Kopernika w chwili natchnienia.

Portrety Matejki w różnych salach są umieszczone. Wszystkie posiadają pewną oryginalność i wskazują myślącego artystę, który, jako malarz historyczny, stara się uchwycić właściwy charakter przed-

stawionój osoby, a szczegóły rysów twarzy uwydatnić w rysunku, chociażby w przesadzie. Sposób ten pojęcia portretów, niekiedy twarzą męzkim więcj charakteru nadaje, w kobiecych jednakże nie zawsze na korzyść wypada.

Portret damy o wyrazistych rysach twarzy, w czarnej sukni i białym, koronkowym kołnierzu, odznacza się dystynkcyą postawy i pięknem wykończeniem, zwłaszcza rąk, przypominając portrety Van Dyka, nawet co do tła z adamaszku wyblakło-różowego; lecz właśnie to tło różowe, nadaje karnacyi ciała, koloryt nieco chorobliwo-żółtawy, co zapewne nie było intencyą artysty. Inny mniejszy z włosami z czoła rozczesanemi, za mało ma kobiecego powabu.

Wiele ma łagodności portret młoděj damy w niebieskiej sukni z rozpuszczonemi włosami, opartėj o fotel żółtym adamaszkiem kryty, na którym jest rozrzucone okrycie gronostajowe. Portret pięknej małżonki artysty w postawie siedzącėj, w stroju panny młoděj, tak dla wyrazistości twarzy, jak i starannego wykończenia draperyi, powszechne budzi zajęcie. Cały obraz jest jasny w kolorze, półcienia jednak fioletowe więcj są rażące w tym obrazie, jak w innych pracach tego artysty, układ też rąk znakomicie malowanych, więcj dla mężatki, niż panny młoděj zdaje nam się odpowiednim. Obraz trojga dzieci tego artysty, tak co do układu, jak i wykończenia, jest znakomitým dziełem. Portret młodego mężczyzny bardzo jest pięknym. Szczególniej zaś odznacza się mistrzowskim wykończeniem portret mężczyzny z brodą w czarnej, adamaszkowém, krajowém ubraniu, podobno deputowanego Smolki. Artysta wyraził tu dobitnie charakter wyższego człowieka, którego cierpienia za wcześnie przygnębiły. Portret ten w każdėj galeryi obok Rembrandowskich dzieł miejsce zająć może.

*Angeli* rodem z Oedenburga w Węgrzech, ulubionym jest obecnie w Wiedniu, z powodu swego wielostronnego talentu, gdyż również ładnie maluje obrazy historyczne, rodzajowe, jako też portreta. Z tych ostatnich zasługuje szczególniej na uwagę portret dwojga dzieci naturalnej wielkości, z których chłopczyk w zieloném aksamitnym, a dziewczynka w białém atłasowém ubraniu. Większy jego obraz w stylu historyczno-romantycznym: „Mściciel swego honoru“, cieszy się należyty m rozgłosem; przedstawioną tu jest scena we Włoszech, gdy podczas rozkosznej uczy, jakiś patrycyusz uzbrojony, wpada do pałacu i na miejscu zabija swego przeciwnika, w obec przerażonych gości. Pomysł z wielkím życiem jest uwydatniony, niemniej charaktery twarzy, ubiory i uzbrojenia osób, i inne przybory miejscowości, jak najstaranniej są malowane. Utwór ten jednakże do obrazów ściśle historycznych policzonym być nie może. „Od-mowa rozgrzeszenia“, obraz rodzajowy tego samego pędzla, wielkiena widzu sprawia wrażenie. Wieśniaczka włoska zrozapczona, napróżno prosi na kolanach o przebaczenie poważnego kapłana, który strwożony i z surową twarzą, opuszczając konfesyonał, odmawia

rozgrzeszenia, a z jego rysów rozpoznać można, że do podobnego postępku ważną miał przyczynę. Akwarella ta średnich rozmiarów, wielką ma wartość artystyczną.

Dla odgadnięcia charakterów i zwyczajów wieków dawnych, nieraz artyści zapatrują się na obrazy średniowieczne, które przedstawiają osoby lub zdarzenia ówczesne: niektórzy nadto starają się naśladować styl malowania z owych czasów, ażeby swoim utworom właściwą nadać barwę. Z tych, ci tylko korzystać mogą, którzy umieją przywłaszczyć sobie zalety właściwe dawnym mistrzom, nie zaś ich wady, które po większej części pochodzą z nierozwiniętej w owym czasie dokładnej wiadomości perspektywy, światłocienia i wydoskonalonej techniki malarstwa.

W tym kierunku widzimy tu prace dwóch następujących malarzy. *Blas Eugeniusz*, bawiący obecnie w Wenecyi, przedstawił Orszak ślubny średniowieczny, w kościele Ś-go Marka i Ustęp z Decamerona Bocaccia; *Koller* zaś, przebywający w Brukseli, obrał temata do swoich obrazów z życia cesarzy niemieckich.

Jeden z tych przedstawia odwiedzinę cesarza Karola V-go u bogatego mieszczanina augsburksiego Tuggera, u którego, jak wiadomo, wielkie summy pożyczka, potrzebne na wyprawę tunetańską. Gdy razu jednego cesarz zaszczycił go swoją obecnością, wspaniałomyślny gospodarz, aby okazać swemu dostojnemu gościowi, że ufa mu na słowo, podczas uczyt wrzucił rewersa cesarskie w ogień, na kominku rozżarzony cennym naówczas drzewem cynamonowym. Cesarz odwiedzając tę grzeczność, odtąd Tuggera i jego rodzinę, wyniósł do godności hrabiowskiej.

Drugi obraz odpowiednią scenę przedstawia, to jest cesarza Maksymiliana z Dürerem. Gdy cesarz przyglądając się w ratuszu norynberskim rozpoczętemu malowaniu alfresco, „Wjazdu tryumfalnego,“ polecił jednemu ze swoich dworzan przytrzymanie drabiny na którą Dürer wstępował; widząc jednakże że ten się waha, miał wyrzec: „Prędziej z chłopa barona, jak z barona artystę Dürera stworzyć mogę.“

Trzeci obraz wyobraża „Margaretę wychodzącą z kościoła,“ znaną scenę z Fausta Göthego.

Obrazy tych dwóch artystów dobrze są wystudowane i wielce zajmujące; gdyż dokładnie uwydatniają charakter owego czasu, i prawie tylko tém od siebie się różnią, że u pierwszego artysty widocznym jest wpływ pierwotnej szkoły włoskiej, gdy w drugim uwydatnia się i kierunek dawnej szkoły niemieckiej.

Sławny artysta historyczny *Steinle* z Frankfurtu, który z Owerbeckiem i Fülrichem do najlepszych malarzy obrazów religijnych policzonym bywa i który w sklepieniach chóru kolońskiego katedry kolosalnej wielkości aniołów alfresco malował, wystawił tylko piękną akwarellę z tragedji Szekspira, „Kupiec wenecki“, a którą otrzymał 15,000 fl. Jako malarz portretów artysta *Lambach* uzyskał już

wielką wziętość, na którą też rzeczywiście zasługuje. Wizerunki jego zalecają się prostotą i wielką charakterystyką, również miękkością kolorytu przypominającą sposób malowania dawnych mistrzów, zwłaszcza Rembránda. Między wystawionemi odznacza się głównie portret damy w brunatnej aksamitnej sukni, niemniej portreta Liszta i Wagnera.

Zajmującym też jest portret zasłużonego w sztuce *Amerlinga*, przez artystę samegoż malowany, również wizerunki pędzla *Schrotzberga* i *Oeconomo*.

Zwracają uwagę powszechną znawców portrety *Rodakowskiego Henryka* ze Lwowa, którego prace dawniej już w Paryżu premjowane były. Jest tu portret własny artysty, bardzo charakterystyczny, również damy w pewnym wieku, zapewne matki jego, i księcia Czartoryskiego w krajowym stroju. Szczególniej odznacza się nadzwyczajnym powabem i wdziękiem, portret młodej damy, w czarném ubraniu. Wszystkie te portrety wiele mają charakteru, i świetnie występują z otoczenia, z powodu przytłumionego tła, i niezbyt drobiazgowo wykończonój draperyi. Zwracamy tu uwagę że obrazy te są prawie jedynemi w téj sali, które medalu artystycznego nie otrzymały; wyłączenie to jednakże objaśnia nam umieszczony podpis „*hors de concours*“ który oznacza dzieła członków należących do grona sędziów przysięgłych.

W innéj sali widzimy pędzla tegoż samego artysty wielki obraz historyczny z figurami, prawie pół naturalnej wielkości; jestto tak nazwana „*Wojna kokosza*“, fakt dość ważny w dziejach naszych. Jestto chwila gdy Jan Tarnowski w obec Zygmunta I, jego małżonki Bony i zgromadzonych dworzan, ogłasza z ganku akt królewski potwierdzający szlachcie dawne przywileje. Ogólna kompozycya obrazu dobrze jest pojętą, a pojedyncze postacie należące się uwydatniają, siedzącego króla, obok stojącej małżonki, i hetmana czytającego przywileje; ugrupowanie jednak figur obocznych pozostawia cośkolwiek do życzenia, gdyż za blisko obok siebie są ustawione, i nie dość mają powietrza. Szczególniej zaś wypadaloby więcej uwydatnić szlachtę której się przywileje nadaje, gdyż kilka główek które przez szczeliny w dali zaledwie dojrzyć można, nie są dostatecznemi do oznaczenia zgromadzonój szlachty. Malowanie w tym obrazie jest szerokie, nie zaszkodziłoby jednak więcej połysku na materyach jak np. na szubie aksamitnej królewskiej, i na granatowój sukni królowej. Cena tego obrazu oznaczoną jest na 15,000 fl.

Mówiąc poprzednio o portretach nie możemy pominąć ś. p. *Kaplińskiego*, którego dwa piękne męzkie portrety w stroju narodowym średniowiecznym, jako też i *Grabowskiego* ze Lwowa znajdują się na wystawie.

W obecnym praktycznym czasie, niezbyt uganiam się za ideałem piękna, malarstwo rodzajowe szerokie ma pole do popisu



zwłaszcza że takowe łatwiej może być zrozumianém i ocenioném przez profanów. Z tego téż powodu nieraz artyści wyższych zdolności temu rodzajowi sztuki się poświęcają, a przedstawiając sceny z życia potocznego z należą starannością, zyskują licznych zwolenników, którzy bardzo hojnie te prace wynagradzają, czego dowodzą ceny oznaczone, lub téż już nabyte obrazy. Do lepszych obrazów rodzajowych w tym oddziale, zaliczamy prace następujących artystów.

*Schöne* wymalował targ rybi w Chioggia. Ożywiona ta sprzedaż rozmaitych ryb i raków morskich, odbywa się pod kolumnadą zacienioną rogożą i płachtami wszelkiego rodzaju, przez które tylko w dali słońcem oświetlone domy dostrzedz można: scena ta z natury wzięta, bardzo starannie jest wykonana. Nie mniej téż jest efektywnym inny obraz tego artysty „Modlących się żydów w przedsionku synagogi“ których światło zapalonych świec przez drzwi napótotwar-te oświetla. Obrazkiem pełnym życia i humoru jest targ na gęsi w Krakowie, będący własnością Akademii Sztuk pięknych w Wiedniu.

W wyższym stylu jest pojęty obraz rodzajowy *Kurzbauera* „Schwythane zbiergi“. Jestto młoda panna, która się swemu ukochanemu uprowadzić dała. Oczekując w chacie wieśniaczek na zmianę koni, przez matkę dopędzoną zostaje, która wchodząc do komnaty, spojrzeniem pełnym oburzenia a może i litości córkę swą przestrasza i upokarza, młodzieńcowi zaś spojrzenie to dodaje energii, gdyż jak się zdaje nie myśli on rozłączyć się ze swą ukochaną. Obecna w tej chacie rodzina wiejska, zdziwiona, z niecierpliwością oczekuje rozwiązania tego zdarzenia, również jak i stary sługa który towarzyszy swęj pani, pocztylion nawet który gotów do drogi, ciekawie przez drzwi zagląda. Obraz ten subtelnie malowany, dramatyczne sprawia wrażenie.

Genialnym artystą w właściwym sobie rodzaju malowania jest *Pettenkofen*, który przedstawia sceny ludu węgierskiego i obyczaje cyganów na stepie lub w puszczy, z świeżością barw i wielkiem życiem. Prace te choć drobnych rozmiarów, wielką mu zjednały sympatyę u Wiedeńczyków, i również poszukiwane i cenione jak Mesoniera w Paryżu, czego najlepiej dowodzi, że 21 sztuk umieszczonych na wystawie, wszystkie już są prywatną własnością. Z tych najsympatyczniejszym jest obrazek nie większy jak stopę kwadratową mający objętości, nabyty za 25,000 fl. a wyobrażający węgierskich ochotników, rozochoconych, którzy na bryczce zaprzężonej czterema końmi, pędzą przez stopy w dniu gorącym, zostawiając za sobą tumanu kurzu. Chociaż obrazki te odznaczają się wielkimi zaletami, wyznajemy szczerze że nie jesteśmy zwolennikami tak kosztownych małych okazów w szerokich ramach, dla których dokładnego obejrzenia potrzebaby było szkła powiększającego.

*Kotsis* ze Lwowa wystawił mały obrazek rodzajowy starannie wykończony, przedstawiający staruszkę, która pokazuje dziewczynce jak się kurczęta z jaj wylęgają.

Z malarzy bitew odznaczają się: *Karol Blaes*, *Emale* i *L'allemand*, obrazy tychże przedstawiają współczesne bitwy i głównie specjalistów zająć potrafią.

*Huber* dobrze maluje zwierzęta domowe jakoto: trzody owiec lub krowy, obraz jego osiołków przy młynie doskonale jest malowany.

Z licznych krajobrazów zalecają się głównie *Russa* dużych rozmiarów pejzaż z wiatrakami w Rotterdamie, odznaczający się mistrzowską techniką i powietrzną perspektywą. Wielki wiatrak na przodzie wraz ze szczytami staroświeckich domów holenderskich, w ciemnym tonie doskonale odchodzi od horyzontu, a liczne młyny i niebo pokryte chmurami śnieżnej białości, należyty sprawia efekt. Cena tego obrazu 8,000 fl. W innym obrazie tegoż pędzla, Zamek Fürstenberg w Burgeis w Tyrolu, doskonale uwydatnione są stare mury w blasku słońca, obok ocienionych drzew i krzewów.

*Fiedler* z Berlina przebywający obecnie w Tryeście, przedstawia główne okolice Wschodu; obraz jego granitowe łomy dawnych Egipcyan, przy blasku zachodzącego słońca, jest znakomitą dziełką, głównie ze względu trafnego kolorytu.

Obrazy ziomka naszego *Gryglewskiego*, obecnie w mieście naszym bawiącego, należycie nam są znane. Sala Salomona w Łazienkach królewskich powszechnie się na wystawie podobała, gdyż z powodu trafnego naśladowania natury, jako też subtelnego wykończenia z bliska widziana, sprawia wielkie złudzenie oka. Inny obraz, Sala w Podhorcach, zapewne te same posiada zalety, które jednakże nie mogły być należycie ocenione z powodu że obraz ten w półcieniu był umieszczony.

\*

\*

\*

Przejrzawszy celniejsze obrazy, głównych sal austriackiego oddziału, pominąć nie możemy i bocznych pokoi, w których umieszczone są rysunki, akwarelle i sztychy. Tu przedewszystkiem wspomnąć wypada o siedmiu rysunkach zawczasie zgasłego *Artura Grottgera* ze Lwowa, którego wielki talent zbyt późno, bo prawie na schyłku życia należycie ocenionym został. Są to rysowane z wielkim uczuciem pojedyncze grupy osób różnego stanu i wieku, rozpowszechnione w swoim czasie przez liczne fotografie.

Co do akwarelli, pierwsze miejsce bezwarunkowo zajmują prace *Ludwika Passiniego* Wiedeńczyka, obecnie w Berlinie bawiącego. Z dziewięciu jego obrazów najwydatniejsze są: Lektor publiczny w Chioggia, pod gołębem niebem, pośród przysłuchującego się z ciekawością ludu włoskiego, którego fizyognomie, postacie i ubranie jakby fotografią są uchwycone, a głębokość kolorytu w niczym nie ustępuje olejnemu malowaniu. To samo powiedzieć można o zgromadzonych kanonikach w chórze kościelnym, którzy nadto odznaczają się dystynkcyą; bogate ich szaty biskupie, dym kadzideł

i wszystkie inne szczegóły miejscowości, wykończone są z wielką starannością.

Akwarelle *Tepy* ze Lwowa, obok poprzednich zaszczytne zajmują miejsce. Są to postacie pojedynczych figur ludu galicyjskiego, z tych odznaczają się głowa wieśniaka, dziewczki z okolic Truskawiec, chłopców powracających ze szkoły wiejskiej i dwóch żydów w dawnym ubraniu: są to piękne studia z wielkim poczuciem z natury malowane.

Przyznać trzeba, że *Kossak* z Krakowa tą razą znakomicie wystąpił z pomysłami swemi odznaczającemi się zawsze wielkim ożywieniem osób jako też koni. Humorystyczne jego obrazy, jak np.: Omnibus warszawski i targ koński w Krakowie, chwilowo zająć mogą. Główną jednakże uwagę znawców ściągają cztery większe obrazy akwarellowe, które z powodu poważnej treści i pięknej kompozycji, jako prawdziwe dzieła sztuki uważane być mogą. Takimi są: Stanisław Rewera Potocki, jadąc w karecie do Lwowa, otoczony swemi dworzanami otrzymuje w darze od wieśniaka buławę, którą tenże tylko co wyorał, a którą Potocki przyjmuje jako dobrą przepowiednię. Powrót konia Szreniawity, Stadnina Mohorta i Atak pułku ułanów hrabiego Trani pod Custozą. Obrazy te odznaczają się starannością i wielkim wykończeniem.

*Walerego Eliasza* z Krakowa rysunek Wallenroda z Halbanom i bitwa pod Raskawicami, mają swoje zalety, ta jednakże z poprzedniami co do kolorytu i rysunku koni równać się nie może.

Między wystawionemi sztychami znajdujemy też trzy ryciny *Redlicha*, rodem z Warszawy, wykonane dla naszego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Są one starannie wykończone, spodziewamy się jednak że prace tego młodego artysty nabiorą z czasem więcej przezroczyści i głębokości w cieniach.

\* \* \*

Nie wspominamy tu wcale o rzeźbach austriackich artystów, gdyż że które wykonane zostały do wewnętrznego przyozdobienia gmachu tymczasowego wystawy, już same przez się wymagałyby dłuższego opisu; wyjątkowo tylko zwracamy uwagę na dzieło dłuta *Gadomskiego* z Krakowa: jestto statua z kararyjskiego marmuru Mikołaja Kopernika, naturalnej wielkości, która dobrze jest pojęta i należyte sprawia wrażenie. Postać ta siedząca ze wzniesionemi w górę oczyma, lewą ręką o glob się opiera, prawą zaś trzyma książkę na kolanach, u nóg leżą: nakreślony nowy system słoneczny, cyrkiel i gałązka laurowa. Rysy twarzy są wyraziste a ręce starannie wykończone, ubranie zaś jest toż same, jakie zazwyczaj na dawnych portretach Kopernika widzimy, tylko poruszenie głowy nie dość wydaje się swobodnym z powodu braku wymodelowania tylniej części szyi. Cena tej rzeźby 40,000 fl.

Co się tyczy innych krajowych rzeźbiarzy, to w katalogu wystawy spostrześliśmy, że: *Trembicki* z Krakowa modelował małe grupy Górali, Krakowiaków, jako też dziewicę wianek rzucającą, a *Lipiński Stanisław*, także z Krakowa, statuetkę z gipsu „Opuszczoną,” *Hoszowski* zaś ze Lwowa biust hr. Gołuchowskiego.

\*

\*

Ponieważ w oddziale austriackim znajdują się niektóre prace artystów węgierskich, wypada nam również z sali przeznaczonój wyłącznie dla sztuki węgierskiej, przytoczyć choć niektóre odznaczające się w tym oddziale obrazy. Znaczna część rysunków kartonów i obrazów przedstawiają temata z dziejów miejscowych albo też zwyczajów tego narodu. Artysta *Than* oprócz pięciu kartonów treści historycznej, do obrazów mających się wykonać w przedsiönku Narodowego muzeum w Peszcie, wystawił kilka obrazów olejnych, z których największy przedstawia chwilę, gdy król Władysław II zwany Kumanem, po bitwie w 1273 r. ustępuje swoich jeńców cesarzowi Rudolfowi habsburskiemu. Obraz ten odznacza się dobrą kompozycją, harmonijnym kolorytem i znajomością dziejów dawnych, w którym też figury jak i konie starannie są wykończone. Duży obraz *Vastaga*, „Przejażdżka weselna wieśniaków wołoskich“ bardzo jest ożywiony. Uwydatnia też należycie typy, zwyczaję jako też piękne ubiory ludu miejscowego; malowanie jednakże nie dość jest starannem.

Z pejzażów *Ligetiego*, romantyczne sprawia wrażenie „Powrót z polowania do wspaniałego grodu Vajda Hunyad;“ zamek ten przedstawionym tu jest takim, jak zapewne za dawnych czasów wyglądać musiał, a towarzystwo strzelców także w odpowiedniem ubraniu średniowiecznem. Pejzaż ten znakomicie jest malowany, niemniej też dopełniająca ten obraz grupa jeźdźców z koćmi i psami, które są pędzla innego artysty, to jest *Wagnera*.

Utalentowany artysta *Munkaczy* już ma ustalone imię jako malarz rodzajowy. Obrazy jego, wagabundów i staruszki robiącej masło, odznaczają się mocnóm oświetleniem, szerokiém, śmiałym malowaniem, a nadewszystko uderzającą prawdą, w czém znać wielkie podobieństwo do francuzkiego malarza Breton'a.

Znane są publiczności naszej prawie wszystkie z wystawionych prac artysty Horowitza, który przeszło od lat dziesięciu w naszym mieście powiększając część przebywa, gdzie też należyte zyskał uznanie. Portrety jego zaliczają do najlepszych w oddziale węgierskim. Głównie podoba się wizerunek pani E. w czarnej atłasowój sukni, który ma wiele życia i starannie jest wykończony; jakotóż portret w półcieniu małej Paryżanki w kapelusiku, bardzo miękko malowany.

W ostatnim czasio wystawiony też był, zalecający się podobieństwem portret w półfigurze hrabiego *Andrassy* w świetnym

węgierskim czerwonym stroju z zarzuconym przez plecy białym dolmanem sobolami podbitym. Zwracały też uwagę obrazy rodzajowe tegoż pędzla jakoto: Modlących się żydów w synagodze w dniu rocznicy zburzenia Jerozolimy, który wielką prawdą i subtelnością wykończenia się odznacza i *La petite coquette* obraz w zupełnie odmiennym stylu malowany.

Prawdziwym talentem odznaczają się wystawione kartony *Mihala Zychi*, z których jeden przedstawia Fausta w swojej fantastycznej pracowni, drugi zaś Wizję reformatora Lutra, o której niesie podanie, że gdy w zamku Wartburga pracował nad przekładem biblii, w nocnej porze czując się niepokojonym, w oburzeniu miał rzucić kałamarnicą o ścianę, na której czarne ślady dotąd podróżnym pokazują. Otóż w tej wizji przedstawił artysta papieża z kardynałami rzucającego klątwę na odszczepieńca. Karton ten pięknie rysowany, wskazuje szczególnie wielką zdolność do kompozycji. Podobno prace tego samego artysty wielkie zyskały uznanie w Petersburgu, gdzie też bardzo poszukiwane bywają.

W oddziale węgierskim zasługują jeszcze na uwagę pejzaże z motywów włoskich, pędzla znakomitego artysty *Marco*, który wraz z śp. *Kochem* i *Prellerem* uważani są za głównych reprezentantów tegoczesnego malarstwa krajobrazów w stylu poważnym.

STOSUNKI  
I WZAJEMNA KORRESPONDENCYA  
WESPAZYANA KOCHOWSKIEGO Z JANEM GAWIŃSKIM.  
Z WSPÓŁCZESNYCH RĘKOPISMÓW ZEBRANA

PRZEZ

*Adama Rzężewskiego.*

Do wybitnych bardzo przedstawicieli literatury naszej XVII wieku należy Wespazyan Kochowski. Szlachecki jego republikanizm owiany mistyczną cokolwiek mgłą religijną, nadaje mu charakter typowy i sprawia, że pragnący poznać tę epokę naszej przeszłości, na nim przedewszystkiém wzrok swój zatrzymać musi. W oddzielném studyum, wydaném w roku zeszłym, staraliśmy się w krótkich rysach zcharakteryzować, o ile możności tę osobistość; tu dajemy kilka szczegółów z przyjacielskich jego stosunków z Janem Gawińskim, znanym sielankopisarzem. Nie mają wprawdzie te szczegóły wielkiej doniosłości historycznej, nie wiele także dają materiału biograficznego, ale natomiast, charakteryzując domowe i prywatne życie poetów, dają pojęcie o ich przyjaźni, swobodzie ducha i szczerzej nieraz wesołości. Korrespondencya ich nadto zestawiona ze sobą, pozwala zrobić porównanie pomiędzy ich poetycznym talentem dokładniej, aniżeli wszelkie z góry postawione teorye.

Kochowski i Gawiński, obaj małopolscy ziemianie <sup>1)</sup>, poznali się z sobą, na szkolnej jeszcze ławie, a wiadomo, że przyjaźń tam

---

<sup>1)</sup> Po dowody na rozmaite szczegóły życia Kochowskiego odsyłam czytelnika do wspomnionej swojej pracy: „Studia nad literaturą polską XVII i XVIII wieku—I Hieronim Wespazyan Nieczuja z Kochowa Kochowski,“ Warsz. 1871 r.; szczegóły zaś, odnoszące się do Gawińskiego, podam w przygotowującym się do druku nowém studyum.

zawiązana, bywa najtrwalszą i zarazem najmilszą. Przeszedłszy razem sandomierskie jezuickie kolegium, przenieśli się na Akademię krakowską i tu już poetyckich sił swoich próbować zaczęli. Treść państwowa i wypadki cały kraj obchodzące były pierwszym przedmiotem natchnienia ich muzy i pomiędzy innemi śmierć Władysława IV oplakiwali zarazem. Kochowski tylko pierwsze te próbki układał w mowie ojczystej, Gawiński zaś więcej traktujący sztukę, jako rzemiosło, uciekł się do języka łacińskiego <sup>1)</sup>.

Wojny kozackie i szwedzkie, srożące się po całym kraju, nie pozwoliły szlacheckiej młodzi zajmować się wyłącznie nauką. Kochowski, pierwszy idąc za przykładem wojskowo służących stryjów i braci, rozstał się z Minerwą; Gawiński później znacznie z pospolitem ruszeniem wybrał się na Ukrainę. Kiedy zamglony wojnami horyzont Rzeczypospolitej wyjaśniać się począł, obadwaj poeci zwyczajem ówczesnym zaczęli szukać karyery przy pomocy łaskawych mecenasów i protektorów. Gawiński, wprzód porzuciwszy służbę wojskową, przystał do boku księcia Karola Ferdynanda synu Zygmunta III, który był płockim, a później wrocławskim biskupem i zostawał przez czas dość długi przy nim, jako jego sekretarz. Później na mocy téjże protekcji otrzymał miejsce podżupka w kopalniach wielickich. Kochowski dziesięć lat traktując żołnierkę, w skutek dopiero familijnych wypadków wrócił na zagon ojczysty i pośrednio tylko, bo przez panegiryk swój *Munus civile*, na powitanie króla Michała napisany, ściągnął na siebie uwagę dostojnika Jędrzeja Olszowskiego, biskupa chełmińskiego, podkanclerzego, a później prymasa. Skutkiem stosunków z Olszowskim, uzyskał urząd sekretarza królewskiego, a w 1672 r., dostało mu się także miejsce podżupka w Wieliczce. Tu po długim rozstaniu i przejściu wypadków rozlicznych, spotkali się znnowu młodzi przyjaciele. Gawiński trzema epigramatami wiuszuje téj godności Kochowskiemu.

*Do J. M. P. Vespasiana z Kochowa Kochowskiego  
o podżupkostwie.*

Pan ci dał i ochotę, abyś chwały jego  
Piórem świata ogłosił, i co jest godnego;  
Pan ci daje i żupy, a tyś jest powolnym:  
Tak wprzód miał cię pisarzem, dziś włodarzem solnym.

<sup>1)</sup> Kochowski lir. I. Gawiński 2 ody łacińskie na śmierć Władysława IV, napisane w pierwszej Gawińskiego młodości, a później we własnoręcznym jego rękopisie: p. t. *Helikon* przepisano.

*Na toż, do tegoż.*

Pióra twema z dobroci pańskiej chęć ci była,  
 Że cię do prac codziennych Minerwa budziła;  
 Więc za toć żupy daje i jej prace. Zaczém  
 Czyniąc cię wprzód pisarzem, dziś czyni kopaczem.

*Na toż, do tegoż.*

Pan cię możnym uczynił, więc i pańskie chwały,  
 Które dowcip twój wszystek na to powołały.  
 Czyni zatem podstępkiem, gdzie z głębokich dołów  
 Sól wychodzi, okrasa przednia wszelkich stołów,  
 Gdy mowę w tobie wzbudził i okrasił. Mówcą  
 Cós był przed tém, dziś jesteś pański krasomówca <sup>1)</sup>.

W czasie pobytu w Wieliczce, Kochowski wykończył i do druku przygotował swój pamiętnik (Hypomnema). Gawiński w przytoczonym przez nas wierszu łacińskim <sup>2)</sup>, nie omieszkiał powitać téj jego pracy.

Dworska atoli karyera nie uśmiechała się naszym poetom: i Kochowski, i Gawiński nad wysokie progi i śliskie posadzki, przełożyli zacisze domowe, gdzie orząc zagon ojczysty, poezyi i naukowój pracy poświęcali swe wczasy. Pierwszy osiadł w dziedzicznej swój wsi Goleniowach, drugi w Wielomowicach. Kochowski wziął się do poważnej pracy dziejowój, a Gawiński, narzekając na przykrości żywota dworskiego, w sielankach opiewał wsi i natury powaby. Nie zapomnieli jednak o sobie i Gawiński przepisując nanowo do druku swoje sielanki, na czele dedykacją ich Kochowskiemu umieścił. Wiersz ten pozostały w rękopiśmie dla kilku szczegółów ciekawych, przytaczamy tutaj w całości:

Chęć dożywotnia z kwitnących lat wszczęta,  
 Ktorą Pieris między nami święta,  
 Z podobnych zabaw ku tobie zrządziła,  
 A tać się przez wiek szczerze cny świadczyła;  
 Taż dziś w sercu mém wznieciła pobudkę,  
 Abym ci tę tu prostą niby dudkę,  
 Przy helikońskiej przecież kniei wszczętą,  
 A sielańskimi duchami nadętą  
 Poświęcił, dziewic parnaskich kochanie,  
 Wielki poeto mój Wespazyanie.

<sup>1)</sup> Rękopism: Helikon.

<sup>2)</sup> Przytoczone moje studjum str. 133.



Nie, żebym się popisywał z cienką,  
 Cny Apollinów kapłanie, fletenką;  
 Lecz ody twojej powagą ujęty,  
 Która między jest liryckimi sprzęty,  
 Abym pokazał coś w niej tam ułożył,  
 Ze mi toż w ucho moj Apollo włożył,  
 Co żywot wiejski, a co Bazyliki,  
 Stan dworskiej niesie z ich tam hołdowniki <sup>1)</sup>,  
 A czy ja, którym téj obojój cery  
 Świadom, gdy nie wprzód dworskie maniery  
 Przy słońcu mojem Karle Ferdynandzie  
 Nim na obłoki wiecznych mroków zańdzie  
 Służąc od pióra przez mu czas niemały,  
 W wieku mym niegdy młodszym coś się zdały.  
 Ale dziś w starszym, gdy uważam sceny  
 Dworskiego stanu; uważam Syreny  
 Scylle, Hyjeny, Jowisza pióruny  
 I tym podległe, którzy bliżej łuny '  
 Z gromów jego. Więc znowu o jako  
 Szczęśliwi trzykroć i po wielorako,  
 Którzy przy wiejskiem obejściu i progu  
 Pełni dóbr żyją ufający w Bogu.  
 Tę tedy dumę przy dziedzicznej skale,  
 Pod bokiem siedząc ku ziemiańskiej chwale  
 Przy brzegu wiślnym, kiedy wyśpiewuję,  
 A echo w skałach na nią odgłosuje,  
 Tęć o ozdobo Parnasu polskiego  
 Daję, posyłam, krom respektu wszego:  
 Prócz, by na potem swego doszła wdzięku  
 Przyjm, popraw, poświęć w swych ją mistrzu rękę <sup>2)</sup>.

Bywając często w Krakowie, odwiedzali się wzajemnie, a w 1683 roku, Kochowski w lecie zjechał do Krakowa, aby osobiście dopilnować druku pierwszego swego Klimakteru. Drukarz Schedel na czas pobytu jego, dał mu podmiejskie jakieś mieszkanie i ztąd pisze Kochowski do Gawińskiego, prosząc aby go odwiedził:

Muie wielce Mci Panie Gawiński,  
 Mój Mci Panie i Bracie!  
 Janie, co nad Wandala prostosutym brzegiem  
 Siedzisz przemijających wód niejako szpiegiem.  
 Ja, com w Krakowie tęsknił, podczas wiosny w marze,  
 Terazem na czas opadł w poduciajskim Tybarze.

<sup>1)</sup> Kochow, lir. III 5, gdzie także narzeka na stan dworski.

<sup>2)</sup> Rękop. Gaw., Holikon.

Zdrowiać życzę i wszelkiej przybysza Fortony,  
 Przyjaciel twój przyjaźni skutkiem upewniony.  
 Wiem, dziwnać, co tu czynię? podczas kanikuły,  
 Gdy ztąd każdy wyjeżdża w gospodarstwie czuły,  
 Ja opak, ale to wiedz, że i moje tóż staje  
 Miłe, z którego Ceres na rok obrok daje,  
 Lecz przecie miłsze Muzy. Siła sierp bogaci,  
 Ale i na kastalskiem żniwie nikt nie traci.  
 Niechaj chciwi w zbieraniu złota myśl swą topią,  
 Niech im go maurytańscy Gryphi mnogo kopią.  
 Wyście mnie skarb o Muzy! wyście zbiory memi,  
 Po Bogu nad was nie mam miłszego na ziemi!  
 I dla was terazniejszej odbiegam Cerery,  
 Miasto kłosów w snop wiązać drukarskie litery.  
 Zaczem pocziwy Janie tych zabaw niepróżny,  
 Wzywam cię, nawiedz proszę; poeta podróżny,  
 Stoż tam, gdzie ni zwierza nie znajdziesz, ni człeka,  
 Lecz przecie Kraków możesz obaczyć z daleka,  
 A jeno z miękkięj głowę wyniosę pościeli,  
 Widzę, że mocą słońca złotego się bieli.  
 A to mnie ten obdarzył rezydencyą miłą,  
 Co jego patron raczył panny złotą brylą <sup>1)</sup>.

W.M.P. Życzliwy brat i powolny sługa Kochowski wp. z Kochowa.

*Responsya Gawińskiego.*

Rad Kraków ludzi widzi z daleka li z blizka,  
 K'sobie wabi, przyjmując w swoje stanowiska,  
 A tóż człek nie jest drzewem, by na jednym tyle <sup>2)</sup>  
 Grząnął miejscu i trawik jakieźkolwiek chwile.

<sup>1)</sup> Koniec ten Kochowskiego listu, świadczący o jego humorze, dziś jest trudną do rozwiązania zagadką. Ponieważ zaś nie znam dokładnie okolic Krakowa, nie podejmuję się jej na niepewno wykladać i zostawiam ją domyślności czytelnika. Słowa tylko:

A to mnie ten obdarzył rozydenoyą miłą,  
 Którego patron raczył panny złotą brylą,

zdaje się, że nie mogą się do kogo innego odnosić, jak tylko do drukarza Schedla, który miał imię Mikołaj, a wiadomo, że święty Mikołaj, arcybiskup Miru, słynął ze swęj szczerobliwości, i że lud chrześciański szczerobliwość tę opostaoyował rozdaniem przez niego złotem; wprawdzie koniec odpowiedzi na ten list Gawińskiego, wikła znowu tę ogzegę, ale w braku innęj, przytoczonęj się trzymamy.

<sup>2)</sup> Znaczeniu tylko.

- Ruszy człeka potrzeba i niechajby nity  
 Dyamentowemi był k'miejscu przybity  
 Powstanie, choć mu przypnie w takim wsiadać razie  
 I spieszyćby na lotnym, gdzie trzeba Pagazie.
- Poeto mój! żeś przybył w ognie Syryjowe  
 Do Krakowa, opuściwszy zabawy domowe,  
 Gdyć Ceres żniwa zrządza a sporzy obroku  
 Na cały rok obficie, wielkiej gębie Roku
- Nic mi nie dziw, gdyż i tu, a o tymże czasie  
 Klio można pracuje przy drukarskiej prasie,  
 Głosząc wojny i różne fortuny igrzyska,  
 Brzemię wzięwszy łacińskich stron ta latopiska.
- Więc gdyć Ceres pracuje w domu, tu Apollo,  
 Tuś z nim winien, a Ceres w domu rządzić rolę,  
 Ty dziejopis, a podczas rymopis nasz wierszem  
 Zabawić się, a Ceres w domu z Lytyersem.
- Ceres wieńce z kłosów ci gotuje na głowę,  
 Spół z żeńcami, a Muzyć korony laurowe;  
 Ceres na rok żyć daje, Muzy wiekopomne,  
 Żyć ci w pismach gotują na czasy potomne.
- Z twych pism cnota i dzielność zapłatę odnoszą,  
 I co zdrowe przed szkoda, lub po szkodzie głoszą,  
 Ty dziedzictwo Lachowe wszech ojczyznę zdobisz  
 I na tę pospolitą wszystkich matkę robisz.
- Prawda, lub Iliady licha swego zbęda,  
 Lub boutownik z Synony w twych kartach osiada,  
 Lecz tamże hektor polski, Leonidae, sławni  
 Światu wszemu, z dzieł swoich przez cię będą jawni.
- Tak, chwałę, żeś przyjechał i wziął na się Spartę,  
 Sam drukarską przezierać i limować kartę.  
 Słodki Arg stałby niechby był dozorem,  
 Ty sam Thezeu sobieś wszędź prawdy i dróg torem.
- Chwałę i to, nie łączysz się z prostym gminem,  
 W żądach mienia dóbr wszelkich, lecz Latony synom  
 I z Muzami umawiać się, sądzisz po nad wszystki,  
 Po Bogu skarby ten skarb i wielkie pożytki.
- Kto ma wiele i może mienia mieć, nie kładę  
 W tym ja szczęścia żadnego: ale z tym wyjadę,  
 Kto ma umysł bogaty i których usłyszę  
 W tym szczęściu być, tym w Korynt snadno w nijsć przy-
- A że stoisz tam, kędy ni zwierza, ni człeka, [piszę.  
 A na Kraków poglądasz z ogrodów z daleka;  
 Chwałę i w tym wygodę. Do szyków, do boju,  
 Szturmów ostrych, takiego potrzeba pokoju.
- Więc i temu dziękuję, co dał stancją to tę,  
 Którego patron dawał pannom bryły złote,

Co imienia tegoż jest a czestnik, co zyskiem  
 Plód swój wzbudza, barć pszczelnic co w puszczech  
 [bartnikiem <sup>1)</sup>].

Humor, swoboda i dowcip przy czarze, znane nam z drukowanych Kochowskiego i Gawińskiego fraszek, nie rzadko spotykają się i w rękopiśmiennych źródłach. Gawiński podochocony nie zapomina o swoim przyjacielu:

— Chłopcze naléj, to za zdrowie.

— A za czyje? Za mojego  
 Kochanego Kochowskiego <sup>2)</sup>),

a Kochowski także pod wpływem tychże samych czynników ułożył dowcipnie i zrecznie wiersz łaciński na pochwałę Bachusa i wiersz ten Gawińskiemu przesłał w upominku. Przytaczamy tu część jego:

Vinum dulce, cor per mulce,  
 Te non bibunt mali Turcae

Solum christianitas.

Nec personae tamen vites,  
 Sed barones et nobiles,

Ubi culta civitas.

Bachus divus, nec nocivus  
 Quem adorat et Gradivus

Et phalanges armatae.

Prudens sapit, egens rapit  
 Misterium iste capit,

Qui utitur sedate.

Gawiński wiersz ten przełożył, z którego dajemy początek:

Witaj wino moszczu słodki,  
 Prze twe ugłaszcz serca środki;

Cię nie piją Turkumanie,  
 Lecz sami chrześcianie.

Przecież nie gmin tałałajstwo,  
 Lecz książęta, szlachta, państwo,

Lub rad osoby publiczne,  
 Gdzie miasta polityczne <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Oba listy w rękop. Helikon.

<sup>2)</sup> Rękop. Helikon.

<sup>3)</sup> W rękop. Helikon jest inny przekład dwu strof pierwszych, więcój zbliżony do formy oryginału, ale jeszcze mniejszej wartości.

Bachu święty, dwakroć wszczęty  
 Królmi między i panięty  
 Czczony po wszystkim świecie,  
 I którego Mars za swego  
 Ma rodaka i huf jego  
 Czci w wojskowym namiocie. etc.

Na dokonaniu przekładu nie poprzestał Gawiński, owszem, odpowiedział Kochowskiemu bardzo długim wierszem polskim, podług tejże miary ułożonym, gdzie dla większej sztuczności rym jeden na *anie* ustawicznie się powtarza. Dla przykładu przytaczamy jego początek:

Drogi moj Wespazyanie,  
 Posyłam ci w przywitanie  
 Czołobitnią mą, w oddanie  
 Do rąk, gdzie masz mieszkanie.

A ty, jak na Watykanie,  
 Poetów wielki kapłanie  
 Siedząc, masz niewypowiedzianie  
 Ztąd ukontentowanie i t. d. <sup>1)</sup>.

Rozumié się samo przez się, że taka sztuczność wiązania, spowodować musiała brak myśli i zdrowego sensu i najsluszniej téż Gawiński siebie ocenia, kiedy ku końcowi powiada:

Tu masz Bacha pożegnanie,  
 Ty zaś poeto spytanie  
 Dasz mi. Trzeźwie czy pijanie  
 Pisałeś li to Janie <sup>2)</sup>.

W dzisiejszych czasach kiedy produkcyja literacka tak się wzmo-gła, kiedy prassy drukarskie nastarczyć zaledwie mogą potrzebom interesów bieżących; trudno znaleźć czas na przedruki i wydania starych naszych pisarzów, a przynajmniej wybierać z nich tylko co ważniejsze rzeczy należy. Rękopisy Gawińskiego, jakkolwiek dokładne i dobrze przechowane, wątpię żeby znalazły nakładcę, krytyczna bowiem praca

<sup>1)</sup> Rękop. Helikon.

<sup>2)</sup> Rękop. Helikon.

nad niemi nie wynagrodzi się wcale odpowiednią korzyścią; dlatego też sądzimy, że nie obojętną dla miłośników przeszłości naszej rzeczą będzie przedruk tych kilku słabych wprawdzie pod względem wartości, ale za to charakterystycznych bardzo dla epoki samych urywków.

## KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Początki państwa niemieckiego, przez profesora Zeller, tom drugi; *Karol Wielki i Otton*. — Zmarły poeta włoski Aleksander Manzoni. — Pamiętniki Paul de Kocka. — Książka zbiorowa p. t. *Le tombeau de Théophile Gautier*. — Ostatni poemat Wiktora Hugo: *La liberation du sol*. Przedstawienie w teatrze *Maryi Tudor*. — Jan król saski, tłumacz Boskiej komedyi Dantego. — Skarbiec Pryama w Troi, odkryty przez archeologa Schliemana. — Pożar Wielkiej opary francuskiej. — *Uczeń Kleomena*, obrazek dramatyczny p. Franciszka Mons. — Camorra, melodrama p. Nuss. — Zmarli powieściopisarze: Gaboriau i Ernest Feydeau. — *A propos posagu*, scena z życia domowego, przez akademika Légouvé, odczytana na posiedzeniu pięciu połączonych akademij.

Ukazał się niedawno drugi tom ważnego dzieła: Założenie państwa germańskiego, przez profesora Zeller, ostatniego rektora wszechniicy francuskiej w Strasburgu. O pierwszym tomie tej publikacji mówiliśmy w jednej z dawniejszych kronik. Drugi tom obejmuje dwa wieki (od r. 800—1024), dwa wieki niesłychanych burz i przewrotów, wśród których zarysowały się nowoczesne państwa.

Olbrzymia postać Karola Wielkiego zaczyna tę epokę, zamyka ją postać Ottona Wielkiego, który wprowadził Niemców w nową kolej dziejową.

Oddawna już uczeni różnej narodowości podnoszą pytanie, czy Karol Wielki należy do historii Niemiec, czy też do historii Francji? Państwo jego było-li germańskiem, czy raczej gallo-rzymskiem? Historycy wszystkich krajów, które składały wielką dziedzinę Karolomana, Włochy, Belgowie i Holenderzy, szczególnie zaś Niemcy i Francuzi wydzierają sobie nawzajem tego wielkiego męża. Niemcy najzaciętsi w swych rozszewleniach; niedawno oto historyk Waitz w dziele: *Deutsche Verfassungsgeschichte* włączył do dziejów Niemiec całą historią instytuoyi Merowingów i Karlowingów, a nawet galskiego kościoła. Pan Zeller bezstronnie patrzy na rzeczy: nie zabiera on Karola Wielkiego wyłącznie dla Gallii, lecz nie przyznaje zarówno, aby był wyłącznie germaninem. „W epoce, kiedy

Karloman pojawił się na widowni dziejowej—mówi on—nie było jeszcze w Europie potworzonych narodów; były tylko rozpieczęte rody czyli plemiona. Wszystkie kruszce pomieszane były w wielkim piecu, nie na dnie jeszcze nie osiadło; jeżeli zaś którakolwiek aglomeracya ludów mogła wówczas zasłużyć na imię narodu, przez pomieszanie krwi, a co ważniejsza, przez połączenie w tradycyi historycznej, to chyba stara Gallia, przyszła Francya, złożona z Gallów, Rzymian i Franków, do której należał Karloman.“

Żadne poszukiwania tak w Belgii, jak w Niemczech i Francyi nie wykazały stanowczo, gdzie i kiedy urodził się bohater; wiadomo tylko, że musiał przyjść na świat nad wyższą Meuzą, gdzie była główna rezydencya Pepinów. Frankowie, lubo z pochodzenia germańskiego, od tak dawna zamieszkiwali ziemię galskie wraz ze szczątkami zwyciężkich Rzymian, że ich uważano raczej za plemię pomieszane, niż czysto teutońskie. Pepin, ojciec Karola, przebywał częściej w Neustryi niż w Austrazyi, kości jego spoczywają w Tours; matka, królowa Berta, opiewana przez trubadurów była rodem z Gallii, urodzona w Laonie; krew gallo-rzymska płynie więc w jego żyłach. Od dziecka wychowuje się w kapitularniej szkole Merowingów, na sposób łaciński, pod wpływem neustryjskich zromanizowanych biskupów. Kiedy zasiadł na tronie, widzimy przy nim Anglika Alkuina, Piotra z Pizy, Pawła diakona z Pawii, św. Benedykta z Auiano: wszyscy zrodzeni byli lub wychowani w dawnych prowincyach państwa rzymskiego. Przyjaciele jego Niemcy, jak Eginhart z Moguncyi i Adalhart, opat Korbii, przesiąkli niemniej na wskrós łacinizmem. Jeżeli Karol mówi narzeczem Franków, jeżeli zbiera pieśni starogermańskie, mówi zarówno dyalektem romańskim, upowszechnionym w Galii (ową *lingua romana rustica*, z której ma się utworzyć wkrótce francuzki język); przedewszystkiem zaś mówi i pisze po łacinie, poprawia sam łaciński przekład Ewangelii.

Zapytajmy oto tradycyi ludowych po obu stronach Renu, a zobaczymy gdzie postać bohatera wcielona w pieśń lub epopeę, przeżyła dziesięć wieków, gdzie stała się mytem narodowym. Professor Gaston Paris w historyi poetycznej Karlomana wykazuje dowodami, że jeżeli pamięć wielkiego króla przetrwała w Niemczech, to tylko w krótkich, oderwanych legendach; we Francyi przeciwnie dała pobudkę do niezliczonych epopei i rymowanych kronik. Nic w tém dziwnego—mówi Paris—Niemcy ukonstytuowani w osobne państwo pod Karłowingami, nie widzieli w Karolu narodowego założyciela swój potęgi, bo też większa część Germanii podbita była zwyciężkim jego orężem i przyłączona do jego zachodnich posiadłości. Saksonia, którą Karol zdobył po długoletnich walkach, Fryzja i Bawaryja upokorzone, odarte z dawnych praw swoich, widziały w nim raczej zdobywcę, niemal wroga; później dopiero pod wpływem uczonych nastąpiła reakcyja na rzecz Karola Wielkiego.

Pan Zeller bada wszechstronnie czyny bohatera i wykazuje z najściślejszą loiką, że geniusz jego nie był wcale germańskim, że instytucje zaprowadzone przezeń były wyraźnie gallo-romańskimi. Te naprzykład obrady na polu majowym, gdzie rycerstwo pospołu z biskupami i opatami radziło o potrzebach państwa i kościoła, nie przypominają wcale owych nocnych sejmów germańskich, kędy zbrojne drużyny odpowiadały na głos wodzów uderzając mieczem po tarczach. Same *kapitularze* spisywane wskutek obrad, przeciwnie były zupełnie ideom ówczesnych Germanów, którzy nie znali praw pisanych, a rządziли się wyłącznie prawem zwyczajowym.

Patrzmy oto na najważniejsze dzieło Karola Wielkiego, w którym objawia się najpotężniej osobisty jego charakter; patrzmy na to dzieło, którym on panuje aż do dni naszych u wszystkich ludów cywilizacji europejskiej (mówimy o odnowieniu cesarstwa rzymskiego): mógłż ta myśl zrodzić się w Germanii? mógłż wypłynąć z charakteru cywilizacji i z tradycji ludów germańskich VIII wieku? Idea cesarstwa, jaką pojął i urzeczywistnił Karloman, nie była to idea czystego zaboru, w celu dogodzenia miłości własnej walecznego i pysznego wodza! Monarchia Karola była wprawdzie odnowieniem pogańskiej Romy, ale przeważa w niej duch wysoko chrześcijański, który użył formy Rzymu dawnego, bo ta forma odpowiadała ówczesnym potrzebom i pojęciom.

Dzisiejsi pangermaniści czepiają się idei Karlomana, gdyż za brakło im w własnym duchu poczucia tradycji, która by uprawniała ich zaborcze zachcianki. W tém to właśnie czepianiu się imienia Karola Wielkiego, widzimy najsilniejszy dowód, że dążności pangermanistów nie mają za sobą ani powagi historycznej, ani uświęcenia chrześcijańskiego: słowem, że oparte na sztucznej podwalinie. Nadużycie nauki, sfalszowanie wiedzy, mogą obafamucić jakąś część społeczeństwa, na czas dłuższy lub krótszy; ale szalbierstwa tego rodzaju wymyślone niestety przez uczonych, nie zniszczą prawdy wieków, nie stargają wątku tradycji, która w czasie właściwym oświecona krytyką historyczną, zajaśnieje tém większym blaskiem i skruszy potęgi, wyrosłe na kłamstwach i obłudzie.

Posuwając teorye uzonych niemieckich do ostatecznych konsekwencji, czyżby i Słowianie nie mieli prawa liczyć Karola W. do swoich narodowych monarchów? Alboż nie walczył z nimi, równie jak i z Niemcami? Któż zresztą potrafi oznaczyć granice Słowian i Niemców w ziemiach objętych nazwą Germanii?

I jakież wynik z tych wszystkich badań? Oto, że Karol Wielki prawem krwi pochodzący z plemion mieszanych, był przedewszystkiem narodowym monarchą dla ludów szczepu gallo-romańskiego; Francuzi też najlepiej go pojęli, najwierniej w pasmie całych swych dziejów szli drogą przez niego wytkniętą. Ale z charakteru geniuszu swego jest Karol W. przewodnikiem wszystkich ludów cywilizacji europejskiej, a to tak dalece, że w jego imieniu, przy jego idei, łączą się



wszystkie te ludy i łączyć się będą coraz to silniej, w miarę rozpoznawania swęj cywilizacyi i rozwijania jęj na prawach tradycyi historycznej.

Pan Zeller przebiega z kolei dwa wieki krwawych klęsk i bezrządu po śmierci Karlomana. Zakończy dzieło obrazem Ottona I.

Otton Wielki, to prawdziwy typ cesarza rzymskiego w duchu szczerze germańskim. Jakaż to sprzeczność, gdy go postawimy przy Karlomanie! Jakże odmienne społeczeństwo, w którym żyją, jak różne pobudki kierują ich działaniem! Przy Ottonie wszystko od dyoha znowu Odynem i krwawemi Nibelungami; świat cofnął się nie o dwa, ale jakoby o sześć wieków! Kapitulacje Karola Wielkiego wyrobione pod wpływem praw rzymskich, odrzucone zostały z pogardą, zastąpione zwyczajowem prawem barbarzyńców. Karloman walczył głównie z ludami pogańskimi, Otton zwraca głównie oręż na ludy ucywilizowane, z ogniem i mieczem przebiega Szampanią, pomyka pod sam Paryż, margrabiów swoich wyprawia na Słowian, uprawnia najsrozsze ich okrucieństwa. Dytmar mówi tłumacząc Ottona i jego następców, że „potrzeba traktować Słowianina jak wołu, dając mu żuć trawę; jak osła okładając go batogiem po grzbiecie.“ Oto tradycya z owych czasów! Dzisiejsi historycy niemieccy pochwalają takie działanie; jeden z nich mówi wyraźnie przypominając wznowienie sądów bożych: Otton działał jako prawdziwy Sakson, nieodrodny Germanin, to jest zgodnie z ideą i uczuciami swego ludu!

Otton również jak Karloman koronuje się w Rzymie, ale jakże odrębne okoliczności towarzyszą dwom aktom! Kiedy poważny Leon III namaścił chryzmatem ozoło Karola, lud rzymski przyklasnął z miłością i nadzieją; kiedy zaś Otton wstępował z papieżem Janem XII do grobu Piotra św. nie zaniedbał wyrzec do giermka: „Skoro klęcząc będę odmawiał modlitwę, trzymaj miecz nad głową moją. Wiem ja, że moi przodkowie doznawali często złęj wiary Rzymian; mądry szuka zbawienia w przezorności.“ Przezorność w ściśle pogańskiem znaczeniu słowa, mająca jedynie na celu widoki osobiste, pychę i miłość własną, oto główny charakter pierwszego rzymsko-niemieckiego cesarza!

Karol Wielki i Otton—mówi w konkluzyi pan Zeller—przedstawiają nierównie więcej sprzeczności, niż zbliżenia tak w osobistym charakterze, jak w działaniu. Ich czyny tak dalece odmienne, że cesarstwo germańskie nie tylko że nie jest dalszym ciągiem państwa Franków, jak to utrzymywano, ale stoi z nięm w zupełnem przeciwieństwie. Karloman posuwa naprzód cywilizacyą wieku swego; Otton zaś cofa ją w wielu względach; tamten ustala jedność kościoła, stara się zreformować go, ukazując mu najgłębsze poszanowanie; ten wzrusza jego podstawy, psuje go, panuje nad nim. Cesarstwo Karlomana jest państwem chrześcijańskiem w całym znaczeniu tego słowa; pytać należy, ażali takim było cesarstwo Ottonów i Barbarossów, mimo pysznego tytułu świętego rzymsko-germańskiego imperyum?

W ostatniej kronice tegorocznej trudno abyśmy nie wspomnieli imienia wielkiego poety, nad którego grobem Włochy zawiesili tyśiące wieńców, wyspiewali tyśiące pieśni, a co ważniejsza, przy którego trumnice tyłu z nich przepomniała półwiekowych uprzedzeń, a zapłakało szczerą łzą, miłości, odradzającą serca.

Każdy zgadnie, że mówimy o Aleksandrze Manzoni, zmarłym kilka miesięcy temu w Medyolanie. Żaden poeta nie otrzymał podobnej owacy, jaką naród włoski uczcił swojego wieszcz. Setki tyśiący ludu, odprowadziło zwłoki jego do pysznej bazyliki; wszystkie ciała naukowe z całych Włoch wysłały reprezentantów na obchód pogrzebowy. Florencyja próżno błagała o zaszczyt pochowania zmarłego w panteonie narodowym Santa Croce; Medyolan nie ustąpił praw swoich. Obleczonego kirem pochował drogie zwłoki; jedną z ulic nazwał ulicą Manzoni, jeden z teatrów uczcił témże imieniem. Dom poety zakupił na własność i zamienił w pamiątkowe muzeum; otworzył subskrypcyą na pomnik *wielkiemu Lombardowi*. Szkołkę nawet, gdzie poeta uczył się małym dzieckiem, miasto ozdobiło tablicą marmurową.

Niepodobna wyliczyć wszystkich broszur, książek i rozpraw poświęconych w tych czasach Manzoniemu tak we Włoszech, jak w Niemczech i Francyi. Biografowie i krytycy rozmaicie oceniają literackie jego utwory, sądząc je na miarę własnych przekonań tak religijnych, jak politycznych. Wszyscy jednakże zgadzają się na jedno, uznają w poecie człowieka wielkiego i niezłomnego charakteru.

Urodzony w Medyolanie roku 1784, Manzoni wcześniej rozpoczął zawód swój literacki. Było to w chwili ogólnego rozbudzenia umysłów. We Włoszech Alfieri nowy rzucił blask na przystającą literaturę kraju swego. We Francyi Volney i kilku pozostałych jeszcze encyklopedystów, patrzyło na przewrót społeczny, do którego dali tak silny popęd. W Niemczech Goethe i Schiller świecili już na literackim widnokręgu. Pierwsze próby Manzoniego zjednały mu poklask i opiekę wielkich współczesnych koryfenszów. W dwudziestym roku dostał się do Paryża, gdzie zawiązał przyjaźń ze sławnym lingwistą Faurielem. Wkrótce potem poznał Goethego, z którym połączyły go nierozzerwane węzły.

Młodzięczy umysł poety nie mógł oprzeć się potężnemu w tych czasach wpływowi Wolteryizmu. Po zaciętej walce wewnętrznej, jaką odbył sam z sobą, powrócił do wiary, stał się gorącym katolikiem i pozostał nim aż do śmierci.

Wystąpił najprzód jako liryk. Hymny o *Narodzeniu*, o *Męce Pańskiej*, o *Zmartwychwstaniu* i *Zestaniu Ducha S-go.*, postawiły go odrazu w rzędzie niepospolitych poetów; Goethe wysoko podnosił te utwory. Poemat wielkich rozmiarów *Urania*, zjednał mu niemięj poklask ziomków i cudzoziemców.

W kilka lat potem, około roku 1820, dał się poznać jako autor dramatyczny. Dwie jego tragedye *Adelochi i Carmaniola* ztąd szczególnie zasługują na uwagę, że noszą piętno rodzącego się romantyzmu. W pierwszej, poeta dobył z historii wspaniały przedmiot, upadek Longobardów i podbicie Italii przez Karola Wielkiego. Barbarzyński król Franków, potęgą geniuszu odgaduje, czém będzie dla przyszłości cywilizacya starożytnego świata, podniesiona idea chrześcijańska; obraca oczy na Rzym, podejmuje zarazem krzyż i berło. W lirycznych ustępach odbija szczególnie talent poety. Nic piękniejszego nad chór opiewający śmierć Ermengardy, odrzuconej małżonki Karlomana.

W drugiej tragedyi wychodzi na widownią Karmaniola, sławny kondotier wenecki w zapasach z podejrzliwym i zawistnym patrycyatem. Zbawca Rzeczypospolitej, pada ofiarą nienawiści i pychy.

Obie te tragedye wywołały wielką burzę na widnokręgu literackim tak we Włoszech, jak w obcych krajach. Ugo Foscolo zarzukał poecie, że zbyt niewolniczo trzyma się wątku historycznego, nie pozwalając bujać swobodnie fantazyi. Tym sposobem bohaterowie jego, nie dorastają w dramacie olbrzymich rozmiarów, jakie nadała im tradycya ludowa. *Quarterly Review* londyński schłostał surowiej jeszcze te utwory, zarzucając autorowi, że odstępkuje od reguł sztuki dramatycznej, uświęconych zwyczajem. Oburzony Goethe silnie wystąpił w obronie przyjaciela: oświadczył w obec literackiej Europy, że Manzoni stanął w rzędzie pierwszych poetów współczesnych; dziękował mu publicznie, iż się odważył skruszyć zastarzałe pęta szkołarstwa i pchnąć sztukę w nieznaną dotąd tory. Wówczaso Manzoni, wzmocniony powagą Goethego, napisał w języku franouzkiem ważną rozprawę krytyczną o jedności miejsca i czasu.

Polémika ta, nowy dała rozgłos poecie; bardziej jeszcze rozniosła imię jego sławna oda *Cinque Maggio* na śmierć Napoleona. Nic wspanialszego nad widok owego orła z rozwiniętymi skrzydłami, jak szybuje po niedościgłych okiem przestrzeniach, jak z ponad lodowisk alpejskich przelata na żyzną dolinę Egiptu, z Pireneów na winogradowe Renu wybrzeża. Tę sławną odę tłumaczono na wszystkie niemal europejskie języki; na niemiecki przełożył ją sam Goethe.

Najdzielniej przecież ustaliła sławę poety powieść *Promessi Sposi*, ta nieśmiertelna epopea prozą, jak ją zowie francuzki krytyk Buchner. Postawiono słusznie ten romans obok pierwszorzędných arcydzieł Walter-Scota. Nie zaraz jednak krytycy włoscy poznali się na wartości utworu. Nikt nie jest prorokiem między swemi; nie był nim Manzoni dla ziomków. Powieść, wysnuta z życia wieśniaków lombardzkich, nie przypadła Włochom do smaku. Dla kogo, pytali krytycy, mógł ją pisać autor? Dla prostego ludu zbyt jest niezrozumiałą, dla ukształconych czytelników zanadto trywialną! Romantycy znów w pierwszym zapale nowatorstwa, widzieli w po-

wieści zbyt wiele klasycznych wędzideł, za mało szubienic i mordów, nie dość walk i gonitw turniejowych. Treść powieści nadzwyczaj prosta. Autor przeprowadza garstkę wieśniaków lombardzkich z nad Como przez długie kłęski głodu, moru, najazdów i spustoszenia. Wszyscy cierpią za winy kilku niedbałych i opieszłych samolubów, bo w rodzinie ludzkiej nie ginie; tak dobre, jak złe, rodzi słodki albo-li gorzki owoc; winy jednostek przywodzą ludy do upadku; cnoty jednostek dobywają z odmętu najgłębiej upadłe społeczeństwa: miłość i ofiara wybranych, doprowadza światy do bożej harmonii.

Nie zrozumieli Włochy wysokiej myśli filozoficznej i społecznej. Jaką autor oddał w powieści prostą napozór, lecz wyrobioną z najwyższym artyzmem. Zrozumieli to przecież Francuzi i Niemcy; okrzyk ich uwielbienia przedarł się przez grzbiety Alp i rozbudził Włochów z letargu. W rok po ukazaniu się *Narzęzonych*, krytyk Pietro Giordani zawołał na ziomeków piorunującym głosem: „Ukorcicie głowy, świat głosi chwałę naszego mistrza, podziwia nieśmiertelne arcydzieło! Myż jedni pozostaniemy obojętni?” Hasło to poruszyło serca do gruntu. Powstały roje naśladowców; poeci zapukali do piersi ludu i wytrysły z niej żywe źródła. Malarze i rzeźbiarze, podejmowali na wyścigi z genialnej powieści Manzoniowego owe typy wieśniaków tak malownicze, a tak nowe; odtwarzali je dźwiękiem i piędzlem; kompozytorowie muzyczni brali treść romansu na libretta do oper. I niebawem ów lud wieśniaczy, niedawno jeszcze tak wzgardzony, wystąpił na widownią i zajął w świecie sztuki miejsce, jakie mu należało.

Nasz Brodziński w nieśmiertelnym *Wiesławie*, w *Odpuszczeniu Czerniakowskim*, uczynił to samo nad Wisłą, co Manzoni nad Como, poprzedził on nawet włoskiego mistrza. Nie myślimy porównywać Wiesława i *Narzęzonych*, ale gdy się wpatrzymy głęboko w oblicze obu poetów, gdy zapuścimy wzrok w samo wnętrze ich ducha, w ich pobudki, boleści, zawody i nadzieje, nie jedno zaprawdę podobieństwo dopatrzemy pomiędzy Brodzińskim a Manzoniem. Sławny program życia, jaki poeta włoski nakreślił sobie w młodości, nie byłże dla obu niemyślnym drogoskazem? Zobaczmy oto ów program: „Ozuó, myśleć, poprzesztawać na matém, nie odwracaó oczu od wytkniętego celu, zachowaó rękę czystą, rozum czysty, ducha niepodległego, nie wchodzić w umowy ze złemi, nie przyniewierzyć się prawdzie świętej, nie schlebiać występkom, nie sztydzić nigdy z cnoty!”

Obaj poeci doszli do kresu, pilnując się wiernie tych zasad i dlatego potomność z najwyższą czcią uchyla głowę przed ich grobem.

Brodziński, urodzony w lat dwa po Manzoniem, poprzedził go do grobu o lat blisko czterdzieści. Nie dano mu było doczekać tych słodkich dla serca pociech, jakie ubłogosławiły ostatnie lata poety lombardzkiego.

Manzoni z prawdziwą prostotą przyjmował zasłużone hołdy tak ziomków, jak cudzoziemców. W progi jego domu garnęli się uczeni i artyści całego świata. W lat kilka po ukazaniu się *Narzeczonych*, Walter Skott przybył umyślnie do Medyolanu aby poznać genialnego ucznia swego.

— Waszeto dzieło!—rzecze skromnie poeta, ofiarując egzemplarz wielkiemu szkockiemu pisarzowi.

— Jeżeli tak—odpowiedział Walter Scot—*Promessi Sposi* są niewątpliwie koroną wszystkich moich romansów.

W ostatnich latach oddał się Manzoni gorliwie lingwistycznym badaniom. Celem usilnych jego pragnień było sprowadzenie do jedności mnóstwa narzeczy i podrzeczy, które wieki wyrobiły we Włoszech. Jednostajność języka była w jego mniemaniu najpewniejszym warunkiem utrwalenia jedności narodowej i politycznej. Zajęty tą pracą, przebywał czas jakiś we Florencyi. Tam unikał towarzystw naukowych, ale za to przysłuchiwał się pilnie na targu rozmowom tokańskich wieśniaków; przebiegał wieś i miasteczka okoliczne, zaglądał do chat kmiecyh; słowem czerpał żywą wodę z tych krynic, z których zasilali się Dante i Boccacio. Więcej, jak mówił, nauczył się od prostych winiarzy i rolników, niż od wszystkich pedantów szkolnych.

Owozem tych długiach zabiegów było dwutomowe dzieło: *Sulla lingua italiana*. Wydał je Manzoni, mając lat osmdziesiąt. Później jeszcze, w r. 1868 przedstawił Akademii raport w tymże samym przedmiocie: była to ostatnia jego praca.

Paryż, który od niejakiego czasu przepominał zwykłej wesołości w obec niezabliźzionych ran i niepokojów przyszłości, rozśmiał się znowu szczerym, swobodnym śmiechem. I cóż wywołało ten wybuch wesołego humoru? Oto zagrobowy głos najpopularniejszego z autorów francuzkich powieściopisarza, który przez lat pięćdziesiąt ożywił cały naród. Mówimy o Paul de Kocku i jego świeżo wydanych pamiętnikach.

Paul de Kock przepląsał, prześpiewał życie całe, rzekł zapewne nie jeden z czytelników; nigdy chimura nie padła na to pogodne czoło, nigdy boleść nie zapuściła żądła w to puste serce. Mylą pozory! Wesoły humorysta cierpiął, jak cierpi każdy człowiek, może więcej od wielu; czara, jaką spełniał po kropli, starczyłaby nie jednemu na Lamartinowskie jeremiady, na Bajrounowskie przekleństwa. Paul de Kock tymczasem spełniał je sam przed Bogiem, łzy i gorczyce zachowywał głęboko na dnie serca; ludziom dawał, co miał najlepszego: uśmiech miłości i pokoju.

Tom pamiętników, który mamy właśnie przed sobą, wesoły i żartobliwy, jak wszystkie powieści Paul de Kocka; ale fakta, o które

mimochoodem potrąca autor, wymowne same przez się, pokazują nam drugą stronę medalu! Zobaczmy czém było to szczęście.

„Urodziłem się, mówi Kock, w r. 1793, w czasach najstraszniejszego terroryzmu, w czasach, kiedy każdy bądź wielki, bądź mały, nie wiedział, wstając rano, czy z głową na karku położy się wieczorem!”

Urodziłem się w maju; w marcu roku następnego, ojciec mój konał pod gilotyną!”

„Przyznajmy, że jeśli mam swobodny umysł, jeśli od pół wieku rozweselałem i bawię publiczność, nie zawdzięczam tego wpływom jakiegś dobroczynnej wróżki, któraby od kolébki mojej odganiała chmury, jak to bywało w klechdach.”

Zobaczmy dalej: konwencya, która skazała na śmierć ojca naszego humorysty, niewinnego holendra Kocka za dawną zażyłość z Dumourierem, wydarła wdowie całe mienie, nawet kołyskę niemowlęcia! Przywiedziona do nędzy ostatniej, biedna matka, aby wychować lepiej dziecię, weszła w powtórne związki. Drogo przypłaciła ufudę. Mąż jej urzędnik w wydziale skarbu, zawołany był graczem; całe wieczory trawił za zielonym stołem, przy rulecie lub kartach.

„Ojcym brał mnie czasami z sobą—mówi Kock—podczas gdy rzucał złoto pełną garścią, ja czekałem na niego pod stuletniami kasztanami w ogrodzie Palais royal. Godziny pędko ubiegały w gronie wesołych rówieśników. Jeżeli ojczym wygrał, wstępowałyśmy do kawiarni, gdzie rażno przygrywała muzyka; jeżeli przegrał, biegliśmy do domu pędem strzały.”

„Mówiąc między nami—dodaje—lata dzieciństwa mego nie ubiegły po różach. Pensa ojca topniała w jego ręku; ztąd okropne sceny domowe! Kiedy wygrywał, sypało się wszystko jak z rogu obfitości; piliśmy słodkie wino i jedli wyszukane potrawy, bywaliśmy raz po raz w teatrze; ale kiedy w końcu miesiąca kupcy nasyłali rachunki, a ojciec wracał z pustą kieszenią, bywałozto krzyku i tartasu!”

Łatwo pojąć, jak szło wychowanie. W siódmym roku chłopiec zaczął chodzić do szkółki. Dnia jednego wrócił z wielkim guzem na czole. Widok ten doprowadził matkę do wściekłości; ryczała—mówi Kock—jak rozjuszona łwica. Zaprzysięgła, że syn nie przestąpi szkolnego progu i dotrzymała słowa.

Sprowadzono nauczyciela. Był to człowieczyzna potulny i cichy z baranią twarzą i łagodnym baraniem charakterem; wprowadzie zalewał czasem głowę, ale za to mało wymagał. Jak zabrakło pieniędzy, płacono mu obiadem.

„Pocziwy bakałarz zaczął i doprowadził do końca moje edukacyę, wyznaje z pokorą Paul de Kock. Dlatego, kiedy surowi krytycy, dysekując moje romanse, wyznali z doktorską powagą, że autor ich nie odbył klasycznych nauk, mieli zupełną słusność. Nie umiał-

·bym zaprawdę przetłumaczyć Horacego, jak Jules Janin, ani Homeca, jak pani Dacier; nie probowałbym nawet. Co do stylu, odpowiem tym, którzy zarzucają mi zaniedbanie, iż wybierając do powieści moich osoby z niższego społeczeństwa, trudu, abym kazał im mówić stylem akademickim. Koniec końcem, nie myślę sam bronić mojej sprawy, powiem tylko, że takim jakim jestem, publiczność przyjęła mnie, czytała, czyta i długo czytać będzie jeszcze, chociażby dlatego, aby zbadać epokę tak daleką już od nas i rozśmiać się swobodnie. Rozśmiać się! tej przyjemności nie dadzą zakosztować sławni dzisiejsi romansiści!

„Otóż więc, dodaje, przysięgam, bez najmniejszej przechwałki, wbrew delikatnym krytykom, którzy przewali mnie romanso-pisarzem kucharek, że patrząc na liczne wydania i przekłady książek moich, co dowodzi, iż wiele kucharek jest na świecie, muszę wyznać, że rad jestem z siebie i drngich i życzę towarzyszym pióra, aby w moim wieku to samo powiedzieli o sobie.”

Słowa te pisał autor w siedmdziesiątym trzecim roku życia, zaczynając pamiętnik!

Wróćmy do młodzieńczych kłopotów Paul de Kocka. Śmierć nauczyciela przerwała naukę, gdy uczeń doszedł lat piętnastu. Matka pamięta guza, ani wspomnieć dała o szkole. Jedynym odtąd mentorem był dla pasierba ojczym w godzinach wolnych od biurowych zajęć i od rulety. Nie wiele było takich godzin! Ale ohejwy nauki ohtopic, za każdy grosz, jaki mu wpadł w rękę, kupował książki po straganach i połykał je wieczorami. Wkrótce poznał Kornela, Rasina i innych klasyków; Moliera wyuczył się na pamięć; płakał nad Malwiną i Amelią Mansfeld; śmiał się z Pigault Lebrunem. Ten to wesoly powieściopisarz, wywarł stanowczy wpływ na młody jego umysł: Kock postanowił się puścić tymże śladem. Jakoż, mając lat ośmnaście, pochwycił w rękę pióro i dotrzymał je przez lat sześćdziesiąt, aż do śmierci.

Pierwszym owocem jego pracy był dwutomowy romans: *Dziecię mojej żony*. Długo i szeroko opowiada autor kłopoty i zawody, jakich doznał przy pierwszém wystąpieniu. Gdzież tu znaleźć wydawcę młodemu pisarzowi bez imienia? Prózno obiega księgarzy, darmo naraża się na tysiące bolesnych upokorzeń! Rzuci wreszcie do szafy nieszczęśliwy rękopism, dostaje się do domu bankiera, pracuje wytrwale i za pieniądź ciężko uzbierany, wydaje pierwsze dzieło. Niestety! nikt nie kupuje książki. *Dziecko mojej żony*, z pupek księgarskich przechodzi do sklepików na obwijanie pieprzu. Kock przysięga, że nie tknie pióra więcej; ale takie przysięgi, pisane zwykle na wietrze i na wodzie.

Po dwuletnim spoczynku, młody autor utworzył melodramę: *Pani de Valnoir*. Pierwsze oklaski pogodziły go z piórom.

Powrócił znowu do powieści. *Georgetta* rozgłosiła imię Paul de Kocka, bardziej jeszcze rozgłosił je *Brat Jakób*. a najwięcej *Sąsiad*

*Reymond.* Wydawcy nastreczali się sami. Paryż zanosił się od śmiechu, odczytując obrazki pełne prawdy, wyrwane żywcem z jego serca. Kock, jak mówił sam, więcej czerpał z tego, co widział, i co słyszał, niżeli z własnej wyobraźni. Talent jego polegał głównie na trafuém udgadywaniu serc, na podchwytowaniu śmiesznej strony słabości ludzkich. Nie wymyślał on przygód do licznych swych powieści, ale brał je z rzeczywistego życia: otwierał oczy, wycęzał słuch, a to, co widział i słyszał, dostarczało mu dość wątku do rodzajowych obrazów, jakie kreślił jednym pociągiem pióra.

Paryż śmiał się, patrząc w oblicze swoje, odbite niby w zwierciadle czarnoksiężnika. Śmicch ten rozlegał się po całej Francyi, wybiegał za jej obręb. okrążał wszystkie kraje, a ten, co poruszał do śmiechu tysiące ust, połykał częstokroć gorzkie łyzy, dotykany naprzemian to ręką bożą, to nieprzebręganą ręką braci ludzi. Trudnoby zliczyć te wszystkie pociski, które były gradem w serce biednego Kocka. Nieraz, z początku zwłaszcza mozolnego zawodu, pióro wypadało mu z rąk skrzepłych od głodu i od zimna. Nieraz miłość własna, ciężką znosiła chłostę, gdy mu rzucono w oczy najniesłuszniejszy zarzut niemoralności. Wiedział Kock, że nie przebierał w słowach, że uazywał rzeczy po imieniu, ale wiedział téż i wyznawał z ręką na piersi, że nigdy nie zgorszył nikogo, że nie przystaniał nigdy złego w uludne szaty, że trucizny nie zaprawiał nigdy ponętną dla smaku ambrozyą!

W zabawny sposób określa sam liczne przykrości, jakich doznał w skutek niesprawiedliwych sądów. *Georgetka*—mówi—rozgłosiła imię moje, ale *Gustaw czyli Ladaco*, zaczął naprawdę moją reputacyą. Nie wszyscy go chwalili... o nie! wiele osób znajdowało, że moja książka bardzo lekka; mieli po części słuszność, ale wyznam także, iż nie wyrzucam sobie i nie wyrzucam mojej zbrodni. Szczerze mówiąc romans, który nosi tytuł *Gustaw czyli Ladaco*, nie może mieć nic wspólnego z *Telemakiem*, chyba ów ustęp, kiedy syn mądrego *Ulysesa*, rozmawia w grocie z uroczą nymfą *Eucharis*. Ej doprawdy, *Telemak* wówczas o mało, że niewart mego *Gustawa*. Koniec końcem, pojawienie się tej książki, wywołało przeciw mnie straszną burzę, nie tylko po dziennikach, ale i w najbliższym otoczeniu mojem. U jednej oto z przyjaciółek mojej matki, gdzie na pół drzemiąc, grywałem czasami po centymie w bostona, pani jedna nie chciała siedzieć naprzeciwko mnie pod pozorem, że ją przestraszam. Na innym zebraniu, inna pani dojrzałych lat, którą przez grzeczność zaprosiłem do kontredansa, zemdląła, kiedym dotknął jej ręki. Zdało się jej, wyznała potem, że palce moje piekły ją, jak węgiel rozpalony, jak ręka szatana ani mniej, ani więcej! Śmiałem się z tych komedyj, ale raz, kiedy w pracowni przyjaciela mego malarza, ktoś wyraził się o *Gustawie*, że wart, aby kat spalił go na placu *Grevy*, musztarda uderzyła mi do nosa i nie wiele myśląc, wymierzyłem prztyczka w nos niegodziwemu potwarzy."



Pociski te dotykały boleśnie Paul de Kooka; dotykały go nie-  
mniej procesa z wydawcami, którzy wyoiskali go, jak cytrynę,  
wzbogacając się mozolną jego pracą. Dotykały go jeszcze więcej  
długoletnie a obłudne politowania dziennikarzy, iż zasługa jego nie  
océniona, że czerwona wstążeczka nie zdobi jego boku. Na te pociski  
odpowiadał on pustym śmiechem. Ale były inne ciosy, w obec  
których serce jego zamierało z boleści. Biedny Kock, on, co  
pobudzał do śmiechu cały Paryż, płakał krwawo nad trumienkami  
pięciorga dzieci, płakał u wezglowia konającej matki, u śmiertelne-  
go łoża drogiej żony! Rzewne wspomnienie poświęca tej wiernej  
towarzyszce, z którą przeżył tyle trosk i pociech, tyle zawodów  
i nadziei.

„Muszę z kolei rzeczy—mówi on—potraćić o najcięższą boleść  
mego życia, o śmierć mej biednej żony. Oh! bo ja kochałem drogą  
moją Elizę! Kochałem ją... nie w taki sposób, jak tyłu mężów  
kocha wybrane przez siebie towarzyszkę: nie słowami, nie czczemi  
frazesami... kochałem ją, nie mówiąc nigdy o tém. Potrzebowałem  
mówić, że serce moje do niej wyłączenie należy, że jej szczęście jest  
szczęściem mojem? Wątpiłaż ona o mnie? Kto była? kiedy ją  
posłubiłem i cóż komu do tego? zaco mogę ręczyć, oto, że była  
najzaczniejszą z kobiet, że ją wielbiłem całą duszą. Przeżyła ze mną  
wiele, bardzo wiele smutnych dni! Ileżto razy drżała zimą przy  
wygasłym ognisku, gdy brakło pieniędzy na kupno drzewa! Ileżto  
razy w lecie chwyciła piersią chłód wieczorny przez otwarte okienko,  
bo nie miała sukni ani kapelusza, aby wyjść na ulicę! I nigdy  
z ust jej nie wybiegło słowo skargi ani żalu!”

Trzydzieści lat przeżył jeszcze Kock po tej stracie. Zimę  
spędzał w Paryżu przy bulwarze St. Martin, w domu, który zajmował  
od lat pięćdziesięciu; wiosnę i lato w Romainville w ślicznej ustroni  
pełnej kwiatów, którą przez pamięć Waltera Scotta, mienił swoim  
Abotswort. Miłość dwojga dzieci, osładzała mu późne lata. Patrzał  
z ochlubą na syna, puszczojącego się odważnie w jego ślady, na pole  
literackich zapasów. Ze łzami wspomina o poświęceniu córki, która  
po kilkakroć odmówiła ręki starającym się o nią, aby nie opuścić  
ukochanego ojca.

Pracowity starzec nie porzucał pióra; trudy i zawody życia,  
nie zgasiły w nim werwy młodzieńczej. Rzucał w świat corazto  
nowe książki; przyjmowano je ze śmiechem zadowolenia i gorącym  
oklaskiem. A było ich nie mało: Kock naliczył do czterechset  
tomów powieści, do dwustu komedij, wodwilów i melodram swego  
utworu.

W końcu życia, czekał go jeszcze najdotkliwszy pocisk.  
U kolebki dziecka gilotyna, u grobu starca pożarna głownia komuny!  
oto dwa słupy graniczne, między którymi ubiegł ten żywot, tak  
napozór wesoły i swobodny. Zobaczmy, jak syn opisuje ostatnie  
jego chwile.

„Ojciec pracował nad pamiętnikiem od 1870 roku. Wypadki polityczne wytrąciły mu pióro z ręki. Któż mógł wtedy spokojnie pracować w obec klęsk, walących się na Francją?

„Podczas oblężenia, oprócz powszechnych nieszczęść, osobista troska męciła spokój biednemu ojcu. Dowiedział się, że własność jego w Romainville spustoszona, lasek wycięty, dom zrabowany ze szczerem.

„Po ukończeniu wojny pruskiej, wiadomo co się stało. Nowa powstała wojna stokroć okropniejsza od pierwszej, wojna bratobójcza, wojna Francuzów przeciwko Francuzom.

„Przez dwa miesiące ohydneho panowania komuny, ojciec nie wychodził wcale z domu. Często go odwiedzałem. Przepędzał dnie całe w fotelu koło okna nieruchomy, milozący, smutny! On smutny! ileżto cierpieć musiał!

„Kiedy wojna wrzała na ulicy, siostra błagała próżno, aby szukał bezpieczniejszego schronienia.

„Gdzież mam iść?—mówił. Dziś wszędzie zabijają!

„Teatr Porte St. Martin gorzał o kilka kroków. Głuchy na wszelkie błagania, ojciec rzucił się na łożo w sypialni oświeconej łuną pożaru.

„Dajcie mi tu skonać!—mówił błagalnym głosem.

„Nie umarł wtedy jeszcze. Kule i płomienie ocaliły go, ale zgryzota podkopała mu życie do gruntu.

„Uplłynął czerwiec, porządek zdawał się przywrócony. Ojciec chciał odwiedzić Romainville.

„Ojciec—mówiłem—zostaw to na rok przyszyły.

„A to czemu?

„Bo nie jesteś dość silnym, aby znieść obraz klęski.

„Potrafię być filozofem, ty innie znasz!

„A potem... wszak Prusacy są jeszcze w Romainville.

„To i cóż? albowiem Prusacy nie lepsi od bandytów komuny?

„Pojechaliśmy; zapłukałem na widok wyciętego w pień lasu.

„Ba, rzekł ojciec z bolesnym uśmiechem, to odrośnie!

„Kazał przywieść sprzęty z Paryża. Przywołał robotników, aby odnowili spalone drzwi i okna; ogrodników, aby najspieszniej posadzili drzewa i kwiaty w ogrodzie.

„Od rana do nocy napędzał do roboty stolarzy, ślusarzy i cieślów, jakby przeczuwał, że godziny jego policzone.

„W połowie sierpnia nagle siły go opuściły, oddawna już nie jadł i nie pił. Siostra przywiozła go gwałtem do Paryża. Uwiadomiono mnie: przybiegłem z jednym z najświetniejszych lekarzy... Nie zapomnę nigdy w życiu okropnej chwili, kiedy znakomity medyk uprowadził mnie na bok i wyrzekł smutnym głosem: Czuję twoją boleść, drogi panie, ale niema już rady; ojciec za chwilę skona...

„Umarł 29 sierpnia 1871 r. Tegoż samego dnia przed pięćdziesiątu a ty spał po raz pierwszy w sypialni, w której wyzionął ducha.

„Pochowano go na cmentarzu w Romainville, w miejscu, gdzie był las, tak mu niegdyś ulubiony. Gmina zobowiązała się czuwać wiecznemi czasy nad grobem. Przyjeliśmy z wdzięcznością tę ofiarę jako hołd oddany przez lud wielkiemu pisarzowi ludowemu.“

Paul de Kock osiągnął pierwszy tom pamiętników do śmierci żony swojej. W drugim tomie zamierzał mówić głównie o pisarzach współczesnych; wojna nie dała dosnuć wątku. I w pierwszym tomie jednak autor potrąca tu i owdzie o jakąś znakomitą postać. Zobaczmy jak opowiada poznanie z Chateaubriandem.

„Powieść *Sąsiad Reymond* uważana była powszechnie za jeden z najlepszych moich utworów. Chateaubriand (który lubo poeta nie gardził wesołym śmiechem, w czem wyższy był od Lamartina) zaszczycił mnie, pochwalając ten romans. Zdarzyło się to na trzy lub cztery miesiące przed rewolucją lipcową. Byłem u wydawcy *Lad-vocat*, kiedy wielki pisarz wszedł do księgarni. Odchodziłem właśnie, ale księgarz zatrzymał mnie, przystąpił do poety.

— Panie Chateaubriand — rzecze — pozwól przedstawić sobie autora tej książki, którą nazwałeś pan najzabawniejszą, najweselszą, najszczerzej galską, jaką czytałeś. Oto autor *Sąsiada Reymonda*.

— Pan Paul de Kock! — zawołał Chateaubriand przystępując do mnie z miłym uśmiechem. Jakżem szczęśliwy, że mogę poznać pana. Tak jest, *Sąsiad Reymond* to przesliczny romans, wyborne studyum obyczajów paryzkich. Ależ ja czytałem i inne romanse pańskie, znam je prawie wszystkie; a jeżeli nie wszystkie zadowolily mnie do tego stopnia, jak *Sąsiad Reymond*, oceniam w nich prawdziwą wesołość, niekiedy może jaskrawą, lecz nie gorszącą nigdy. Idź dalej tą drogą kochany panie, a zapowiadam ci, że zajmiesz godne miejsce wśród powieściopisarzy francuzkich.“

Wróżba ta silnym była bodźcem dla autora, ledwie rozpoczynającego swój zawód. Starzec wspomina ją z uczuciem serdecznej wdzięczności.

Z równem zajęciem przypomina chwilę, kiedy poznał znakomitego pisarza Karola Naudier w téjże samej księgarni.

„Rozmawiałem z przyjacielem — opowiada — gdy wszedł człowiek wysokiego wzrostu, z żywym nadzwyczaj okiem, z wielkim nosem i nieco złośliwie uśmiechniętymi usty. *Lad-vocat* pobiegł ku niemu.

— Czy znasz pana Naudier? — zapytał mnie przyjaciel.

— Wcale nie!

— Ależ on cię zna i to oddawna.

— Ba, i któż ci to mówił?

— On sam... poczekaj, opowie ci to zaraz.

„I pobiegł do Naudiera, szepnął mu coś na ucho. Naudier przystąpił do mnie uradowany.

— Tak jest, panie Paul de Kock, mam przyjemność znać cię od lat dwudziestu.

— Czy to być może? panie...

— Spotkałem cię sto razy, dziesięć razy... może więcéj! Jesteś-  
my teraz w roku 1833... wszak prawda? Otóż w czasach, kiedy bul-  
war du Temple miał jeszcze właściwy swój charakter, swoje baraki  
z woskowemi figurami i menażeryą, swoich skoczków i sztuk-  
mistrzów..., czy pamiętasz jednego z nich?

— Zozo? któżby go nie pamiętał?

— Zozo, tak Zozo. Między rokiem 1810 a 1820, lubo naten-  
czas bardzo młody, byłeś jednym z najzagorzalszych wielbicieli na-  
szego arlekina.

— Tak, w rzeczy saméj, mieszkałem w bliskości i nie było  
dnia, żebym nie biegł patrzéd na jego farse.

— Otóż i ja—ciągnął Naudier—lubo starszy, lubo mieszkałem  
nieco dalej, przepadałem za naszym Zozo. Codzién zatrzymywałem  
się przed jego budką i śmiałem do rozpuku z jego figlów. Nic  
dziwnego, że pozostały mi w oczach fizyognomie zagorzałych spekta-  
torów. Kiedy więc miesiąc temu pokazano mi ciebie w teatrze, po-  
znałem cię od razu. Ha, to to Paul de Kock, zawołałem, znamy się  
od wieków. Nie rzekliśmy do siebie ani słowa, ale przysięgnę, że to  
pocziwy człowiek, bo się doskonale śmiać umiéł!“

Spotkanie z Dumasem synem nie tyle zadowoliło Paul de  
Kocka. Było to o wiele lat później na krótko przed rozpoczęciem  
pamiętników.

„Wydawca mój Souverain—mówi dowcipny starzec—wspomi-  
nał mi, że Aleksander Dumas syn, chce koniecznie poznać się ze  
mną.

— A czemuż nie?—odrzekłem—gotów jestem zadosyć uczynić  
jego woli.

— Kiedy tak, zapraszam was obu na śniadanie.

— Przyjmuję zaprosiny!

W kilka dni potém udałem się do umówionéj restauracyi. Sou-  
verain już mnie czekał, Dumas przybył niebawem. Grzeczność rów-  
nie jak rozum we krwi jest u Dumasów, wiedziałem o tém oddawna  
z nie jednego spotkania z ojcem; ale co mnie serdecznie ubawiło, to  
sposób w jaki Dumas syn studyował mnie przy śniadaniu, podczas  
gdy ja studyowałem go wzajemnie z mojej strony. Zachowałem do-  
tąd dzięki Bogu dobry żołądek i wyznaję, że lubię dobry stół. Wy-  
nika ztąd, że kiedy mnie zaproszą na śniadanie, biorę się do rzeczy  
na seryo. Souverain jako uprzejmy gospodarz, podał mi spis potraw;  
wybrałem z nich co mi najwięcej przypadało do smaku: ostrygi  
ostendzkie, poledwicę z trufkami, sałatę homara, potrawkę z kuropatw,  
szparagi, wszystko to zakropione winem Sauterne, a potém starym  
Burgundem. Dumas tymczasem, który jadł jak ptaszek i mieszał do  
wina jakąś wodę mineralną, patrzył na mnie z uśmiechem i wołał co  
chwila:

— Wyborniel wyborniel to mi prawdziwy Paul de Kock, *bon vivant*, jak go sobie wyobrażałem; doskonały!

Ale wesołość współzawodnika mego wybuchła najsilniej przy deserze, kiedy zapytany czy pozwolę sobie jeszcze czem służyć, prosiłem o plumpuding z arakiem, a po serze o kieliszek szampauna.

— Szampan! plumpuding!—zawołał Dumas—mam kompletnego Paul de Kocka!

Milczałem, bo w słowach jego nie widziałem złej woli. Ale jakąż to wyborańską raketę rzucił mi autor *Damy kameliowej*, aby mu odpowiedzieć:

— Tak, mój paniel masz twojego Paul de Kocka, kompletnego jeszcze w siedmdziesiątym roku, równie jak ja mam mego Dumasa, kompletnego już w czterdziestym! Każdy z nas jest wiernym odbiciem swjej epoki: ja jem i piję dotąd; ty już nie nie jész, ani pijesz! A jeżeli od rzeczy fizycznych przejdziemy do intelektualnych, od żołądka do serca, załóżmy się, że moja starość więcej warta od twojej młodości; bo ja wierzę jeszcze w to wszystko, w co błogo wierzyć człowiekowi na ziemi, ty zaś, o ile sądzę z pism twoich, nie wierzysz w nic dobrego!

„Ale, powtarzam, pan Aleksander Dumas syn zbyt był uprzejmy dla mnie, abym miał obrażać się za sąd cokolwiek szydery o mojej osobie. Jako wet za wet pozwolę sobie dziś jedną uwagę co do niego. Mówiąc między nami, przypuszczałem, że spotykając się z Paul de Kockiem, Dumas syn, choćby przez ciekawość dawnych czasów, powinien był wyciągnąć na słowo starego romansistę. Otóż, przez cały ciąg śniadania, on sam rozprawił bez ustanku. Rad byłem temu, gdyż mówi bardzo dobrze, a ja z natury nie jestem wielomówny. Kiedy jednakże Souverain zapytał mnie przy pierwszym spotkaniu, czy się dobrze zabawiłem na bankiecie. Tak jest!—odrzekłem—bankiet był doskonały, ale pytam się czemu pan Dumas chciał mnie poznać? Można było zamiast mnie, postawić za stołem mój portret, a byłby mnie poznał tak samo!“

Bez przechwałek, z całą prostotą, przypomina starzec gorące oznaki współczucia, jakie odbierał z różnych stron, a które były dlań słońcem i rosą w ciągu długiego, częstokroć mozolnego zawodu. Rad był, gdy sławny pisarz angielski Lytton Bulwer, najprzód w liście, potem w artykule sławnego edyńskiego Przeglądu, pochwalał styl jego pełen wdzięku i życia, gdy wykazywał filozofię praktyczną, wypływającą z koniecznych jego obrazków, prądem nierównie silniejszym, niż z obmyślanych utworów wszystkich współczesnych powieściopisarzy. Cieszył się niemniej Kock odebrawszy wiadomość, że papież Grzegorz XVI chętnie czytywał jego książki. Była to według niego wymowna odpowiedź krytykom, którzy chwytając go za pojedyncze słowa, rzucali mu w oczy zarzut niemoralności!

Z Wiktorem Hugo nie miał jak widać bezpośrednich stosunków, nie przynajmniej o nich nie wspomina. Zapisuje tylko zabawną przygodę, złączoną z imieniem wielkiego poety.

Syn Paul de Kooka, Henryk pracował w administracyi poboru celnego. Dnia jednego w r. 1846, przyszło z Martyniki dwanaście okseftów araku, z podpisem: do Pana W. Hugo w Paryżu.

Naczelnik bióra, wielki miłośnik literatury, wykrzyknął z radości na ten widok:

— Henryku! patrz... dwanaście okseftów pod adresem Wiktora Hugo.

— Dwanaście! tam do licha! ileż one litrów obejmują?

— Cztery tysiące pięćset! O mój Boże! co z niemi zrobi wielki pisarz!

— To jego rzecz, do mnie należy tylko zawiadomić go o przesyłce! Jakież to szczęście jeżeli sam przyjedzie pokwitować z odbioru! Ja tak pragnę go poznać! Dałbym chętnie dwadzieścia franków, żeby choć raz spojrzeć mu w oczy!

Posłano natychmiast awizacyę do mieszkania Wiktora Hugo. Wbrew nadziejom naczelnika Hugo-chwalcy, poeta nie przybył sam, ale przysłał intendenta swego. Ten opłacił cło i zabrał jedną beczkę, resztę pozostawił na składzie. Po trzykroć toż samo się powtórzyło. Hugo nie raczył się ukazać. Naczelnik darł włosy z rozpacz.

Upłynęło pół roku, wyprawiono trzecią beczkę wielkiemu poecie; aż tu pięknego poranku jakiś pan zjawia się w biurze, pyta o naczelnika.

— Przychodzę — rzecze — zapłacić cło za dwanaście okseftów araku, przysłanych mi z Martyniki pod cyfrą W. H. przed sześciu miesiącami.

— Bardzo dobrze, racz pan wymienić swoje nazwisko.

— Wincenty Hugo.

— Wincenty Hugo!

Naczelnik zbladł jakby rażony gromem. Przegląda wręczone mu papiery, prawda staje mu przed oczyma.

— Cóż się stało? — pyta przybyły — czyby jaka przygoda miała spotkać mój arak?

— Nie... a raczój tak! adres pański wszak nie był oznaczony?

— Bynajmniej... ja nie mieszkam w Paryżu, przyjeżdżam tylko co rok dla interesów handlowych.

— Nieszczęście, wielkie nieszczęście!

— Jakież?

— Żeśmy o tém nie wiedzieli. Gdyby przynajmniej napisano Wincenty Hugo wielkimi literami!

— To i cóż?

— Nie byłbym sądził że ten arak należy do Wiktora Hugo... poety. Zważ pan sam! czytam na przesyłce: do pana V. Hugo w Paryżu; oczywiście, to Wiktor Hugo! a że niema i nie może być ani w Paryżu, ani we Francyi, ani w Europie, ani w świecie całym, jak jeden Wiktor Hugo, zawiadamiam go o nadeszłym araku!

— I on go odebrał?

— Nie wszystek... szczęście nie wszystek! odebrał dopiero trzy beczki, około tysiąca litrów!

— A więc mój panie, skoro wydałeś panu Wiktorowi Hugu to, co wcale do niego nie należy, administracya odpowie mi za przesyłkę. To rzecz już nie moja, ale mojego adwokata.

I Wincenty Hugo odszedł najspokojniej; naczelnik stał chwilę osłupiały. Potem przechodząc nagle od bałwochwalstwa do pogardy, wymyślał na poetę, że on jeden sprawcą nieszczęścia.

Przyszło niebawem do procesu. Wincenty Hugo zaskarżył administracyą przed trybunał handlowy. Wiktor Hugo tłumaczył się, że w tej ogromnej przesyłce araku, widział dowód pamięci jakiegoś nieznanego czciociela. Nieraz się zdarzało, iż z najrozmaitszych stron świata przysyłano mu różnego rodzaju upominki. Arak mógł zatem należeć do ich liczby. Sąd uniewinnił poetę; administracya celna skazaną została na zapłacenie trzech beczek strwożonych.

Biedny naczelnik surowo zgromiony za nieogłędność, sypał ognistemi piorunami.

— Gdzie u dyabła Wiktor Hugo podział tysiąc litrów araku?... Ha! niegodziwiec!

— Wytkumaczył to przed trybunałem—rzecze Henryk—zamienił go u kupca na Bordeaux.

— Jakto? zamienił! a więc to nie poeta, ale handlarz, episier! Przysyłają mu prezent, on przynajmniej taksądzi i wymienia... piękna wdzięczność!... O! nie głupim już uwielbiać wielkich ludzi! to za drogo kosztuje.

Do charakterystyki Paul de Kocka dodajmy jeszcze parę ostatnich rysów. Nienawidził głównie dwóch rzeczy: podróży i tytoniu. Wstręt do podróży wypowiada nadzwyczaj energicznie.

„Może to dziwactwo, ale byłem zawsze jakby przykuty do mych progów. Najdalsza podróż moja była do Beaugency pod Orleanem, w dwudziestym trzecim roku życia. Niecierpię włóczęgi, nienawidzę hotelów, nie znoszę dylizansów! Ale powiecie mi, kto dziś podróżuje dylizansem? alboż to nie mamy dróg żelaznych? Otóż wagony jeszcze mi nieznośniejsze. Brrr!... ta machina co wiecznie zgrzyta, warczy, świszczy, dmucha, pluje. Kurz zaślepia mi oczy, dym kopci mnie całego! Dodajmy wyskoczenie z szyny, pęknięcie kotła i tym podobne wypadki!... Jeździłem do Ohelles i mam tego już dosyć!“

Silniej jeszcze Kock wypowiada wstręt do tytoniu. Jeżeli kolej żelazna grozi życiu jednostek, tytuń według niego zagraża upadkiem całemu narodowi.

Z przyjemnością wspomina starzec jak się zabawiał lud paryzki za jego młodych czasów, dopóki nie znał a przynajmniej nie używał *jadowitego ziela*. Przytaczamy tu ten charakterystyczny ustęp:

„W roku 1826 kwitło w Paryżu stowarzyszenie pasterzy syrakuzanskich. Składała je młodzież rzemieślnicza z najrozmaitszych

warsztatów. Krawcy, perukarze, szewcy, kapeluśniki, czapkarze, episery, okazywali się zapamiętałymi czocielami Apollina i Erato. Wchodząc do towarzystwa, każdy przybierał imię Licydasa, Korydona, Palemona, Tyrsisa i innych bohaterów sielanek. Na zebraniach często poetycznych i lirycznych, kobiety wcale nie bywały aby nie odwracać uwagi pasterzy, gdy deklamowali swoje idylle i śpiewali swe pieśni. Ale w dniu uroczyste, kiedy obchodzono święto *Wielkiego Pasterza*, Licydasy i Korydony przyprawdzali swoje Idalie i Amyathy, i płasali z niemi na zabój.

Mój krawiec, który był pasterzem syrakuzańskim, przysłał mi zaproszenie na taką uroczystość, jako autorowi dramatycznemu. Uczta odbyła się w Belleville, w miejscu zwanem *wyspą miłości*. Było to w lipcu wieczorem. Przybyłem w chwili, kiedy przed rozpoczęciem tańców, towarzysze śpiewali chórem pieśń na cześć Sylwandra *Wielkiego pasterza*, którego tron wznosił się w ogrodzie, na malowniczym wzgórku. Przy nim stała dziewica uwieńczona w róże i myrty, przedstawiająca Arethużę, opiekunkę korporacji. Chór udał się wybornie. Pasterki nie przypominały może piękności syrcylijskich, były to szwaczki i kwiaciarki z ulicy St. Denis i St. Martin, ale ślicznie im było w białych jak śnieg sukienkach, w wielkich kapeluszach słomianych, z pękiem różowych albo błękitnych wstążek, z laseczkami pasterskimi w ręku. Po odśpiewanym chórze całe grono pasterzy defilowało w koło bożka Sylwandra i nymfy Arethuży przygrywały na hebanowych flecikach, wykładanych kością słoniową. Wesoły humor towarzyszył uroczystości.

„Koniec końcem, Towarzystwo pasterzy syrakuzańskich mimo śmiesznego ceremoniału i liryczno-poetycznej pretensjonalności członków swoich, nie miało w gruncie nic złego. Ci robotnicy, którzy zbierali się na śpiewy i tańce, przybierając sielankowe imiona, więcej byli warci od tych, którzy dziś przy kielichu wina rozprawiają o prawach obywatelskich. A potem dawne zabawy ludowe miały tę przewagę nad dzisiejszemi, że nie narażały się na uduszenie. Lud pił wówczas jak i dziś pije, ale nie palił fajki ani cygara. Poszedłem przez ciekawość trzy lata temu, na bal koło rogatek. Nie widziałem nic... kłęby dymu zapełniały salę... Zatkanem nos i uciekłem czem prędzej! Biedny paryzki ludu! postradałeś zmysł powonienia, że podniecasz go bezustanku jadowitą wonią tej przeklętej rośliny, zwaną tytuniem. Lud powiół mi, że każdy dziś w Paryżu pali tytuń bogaty i ubogi, artysta i kupiec, pan i robotnik. A ja odpowiem: temci gorzej! bo według mnie nałóg to niegodziwy, on wszystko w nas popsuł i poplątał: i uprzejmość, dobry ton, i rozum i tradycyjną grzeczność francuzką! Może ktoś to weźmie za paradoks, ale jestem przekonany, że jeżeli od trzydziestu lat Francuzi nie zadowoleni z niczego, jeśli tak dziś niespokojni, tak burzliwi, to dlatego że nie wypuszczają z ust fajki ani cygara. Tytuń pobudza ich do złości i do szału. Niech



tylko przestaną palić, a staną się znów tém czém byli, inteligentnym i dobrym ludem.“

Upředzenie Paul de Kocka musimy w wielkiej części położyć na karb starości, skorój do poetyzowania dawnych czasów. Przepomniał starzec, że ci którzy śpiewali *Carmagnole* w około spadłej pod gilotyńą głowy ojca jego, nie palili fajek, ani cygar!

Mówiliśmy już nieraz, że w tym Paryżu, tak pozytywnym, tak anti-poetycznym według ogólnego mniemania, istnieje przecież liczne grono prawdziwych czcicieli ideału. Obok krzepkich karczowników na polu czysto naukowym, są tam i poeci, są i miłośnicy poezyi, są nawet wydawcy którzy zasilają świat literacki, coraz to nowemi kłosami z dziedziny poetycznej. Głównym wydawcą takim jest Alfons Lemerre. Ostatnie dzieło jakie wydał, zasługuje na szczególną uwagę z wielu względów. Mówimy tu o książce in 4-to z pięknym stalorytem pod tytułem: *Le tombeau de Théophile Gautier*.

Słynny ten pisarz, zmarł jak wiadomo przed rokiem. Zaledwie że go złożono w grobie, wszyscy niemal poeci francuzcy umyślili uczcić brata w pieśni na swój sposób, wznosząc mu pomnik trwalszy i szacowniejszy, niżli marmurowy grobowiec, który pokrywa jego ciało. Wszyscy zatém, i wielcy i mali, przynieśli swoją cegłę do ogólnej budowy. Na czele świeci imię Wiktora Hugo.

Teofil Gautier poeta, krytyk, powieściopisarz, podróżnik, zasłużył niewątpliwie na ten hołd, a zasłużył nań z wielu względów. Niezmordowany szermierz pióra, w ciągu lat czterdziestu nie wypuszczał go z ręki; gorący miłośnik ideału, kochał, czcił i szanował sztukę, gonił za nią, cierpliwie i wytrwale, poświęcił życie dla niej!

Zbiór ulotnych poezyi Gautiera bardzo mały; obejmuje zaledwie tomik, ale każda pieśń jego, każdy obrazek wyrzeźbiony z estetycznym smakiem, zaprawny kolorytem pełnym życia. Słusznie też zbiór ten nosi tytuł: *Emaux et Camées*. Ta doskonałość formy sprawiła, że całe młode pokolenie poetów, ogłosiło Gautiera mistrzem swoim i poczęło wytrwale podążać w jego ślady. Pod jego to chorągwią, tak zwana szkoła *Parnasistów* wzięła sobie za cel, silnie oddziaływać przeciwko zbytniej licencyi, jakiej pozwalał sobie romantyzm. Gautier utworzył zatém nową szkołę, szkołę pośrednią między wyuzdanym romantyzmem, a dążnością skrajno-pozytywistyczną, jaka opanowała od niejakiego czasu wiele najzdolniejszych nawet umysłów. W takiej to fazie literatury francuzkiej, widziny ciekawy objaw psychiczny: Gautier który nie był wcale geniuszem, uznany jest jako twórca nowej, nadzwyczaj ważnej szkoły. Cała zagadka tłumaczy się tém, że odpowiedział potrzebom danej chwili, dążnościom młodego społeczeństwa. Szkoła jego ma przed sobą wielką przyszłość, romantyzm tak użyteczny w swoim czasie, począł

już przybierać fałszywy, a więc niebezpieczny kierunek; usiłował bowiem istnieć wtedy jeszoze, kiedy znikły przyczyny które go wywołały i usprawiedliwiały.

Poezje Teofila Gautier robierzemy w jednej z następnych kronik; dziś powiemy tylko kilka słów o książce poświęconej mu, jako pomnik grobowy.

Książka ta składa się z dziewięćdziesięciu poemacików, różnych form i rozmiarów, pióra osmdziesięciu trzech pisarzy, w językach: francuzkim, niemieckim, angielskim, prowansalskim, włoskim a nawet łacińskim i starogreckim. Francuzki łatwo zgadnąć, przemaga nad innemi, każdy poemacik poświęcony jest pamięci zmarłego. Odczytaliśmy wszystkie, oprócz greckich, i bynajmniej tego nie żałujemy: mogliśmy tym sposobem porównać młode talenta poetycznej Franoyi, poznać ich dążności, ich pragnienia, słowem z kiełkującego ziarna wróżyć, jakie plony rozwinąć może przyszłość. Niektóre z tych utworów są prostym panegirkiem; inne za to pełne barwy i myśli, wszystkie w ogólności zalecają się wytworną formą, godną mistrza, który je natchnął.

Rozmaitość prac Gautiera wpłynęła na urozmaicenie wierszy mu poświęconych. Jedni z poetów ścigają go w dalekich wędrówkach po starożytnym Egipcie, po klassycznej Grecyi i uroczej Andaluzyi. Inni wielbią w nim czciciela ideału, gwobra patrzącego wciąż w słońce, ledwie stopą przyczepionego do ziemi, obojętnego na wszystko, cokolwiek nie było sztuką. Inni przeciwnie w artyście szukają człowieka, przypominają z uczuciem, jak zaskoczony wojną, w obcym kraju powrócił do Paryża, aby wspólnie cierpieć z drugimi. Inni nakoniec wnikają w domowe życie mistrza, śledząc jego upodobania, wspominają nawet ulubione koty, nazywając je po imieniu.

Jeden z poetów Emil Blemont ciężko ubolewa nad dolą artysty, któremu padło udziałem zapełniać co kilka dni dziennikarski odcinek.

Wieszcz! twórczém od niebiosów obdarzony słowem,  
Jak Bóg pieśni Apollo z Olympu wygnany,  
Na kronik tygodniowych pastwisku jałowém  
Poeta.... Admetowe paść musiał barany!

Blanchecotte powołuje również braci poetów na grób zmarłego brata.

Przynoście tu wieńce

Wy w snach zamiłowani mędracy! wy szaleńco  
Dla których świat ten wszystek czczy, zimny i pusty!  
Co głosicie cześć piękna kapłańskimi usty,  
Co kiedy ziemia w brudnym tarza się odmiecie,  
Gonicie wieczne prawdy wytrwale i święcie,

Coście z życia targowisk piersiami pełnemi  
 Wyssali miłość skarbów nieznanym na ziemi;  
 Trawieni wiecznym skwarem i wieczną tęsknotą!  
 Których całym bogactwem samotności złoto;  
 Na polach ideału pracowici żenice,  
 Nieścież mu bratnią miłość i zielone wieńce!

Eugeniusz Manuel pyta zmarłego, byłeś ty szczęśliwy poeto?  
 I gorąco maluje polot ducha za niepochwyconym ideałem.

Komu szczodre nieba dały  
 Wieszcze ucho, oko wieszcoze,  
 Goni, chwytą ideały,  
 Ach! nie schwycił tylu jeszcze!

Pierś artysty wiecznie kona,  
 Całe piekło w sobie mieści:  
 Każda piękność w niej zrodzona  
 Tajemniczo z łez boleści!

Serce wieszca wciąż rozdarte,  
 Rzeczywistość sny rozstrąca,  
 Kreśli każdą księgę kartę  
 Krwią, co z piersi zbiegła wrząca!

Tam pobudka hasło dzwoni,  
 Tu łuk tęczy błysk nad głową,  
 Tyle dźwięku, tyle woni,  
 Gdyby wszystko zakląć w słowo!

Czyż te Boskie cuda świata  
 Myśl pochwyci, czyż ogarnie?  
 Pierzcha złuda, sen odlata,  
 Ach! to męka nad męczarnie!

I Akademia przyniosła swoje kłosa. Jules Janin dla oryginalności dał w przekładzie ustęp z piątej Elogii Wirgilego, jak Menelak z Mopsusem opiewają śmierć Daphnisa. Przekład mistrzowski, a jednak rzecz zakrawa, jakby na mistyfikacją. Trudno tłumaczyć własny żal cudzemi słowy, choćby nawet słowy Wirgilego. Ten ustęp, acz piękny, przypomniał nam zupełnie parodyę J. U. Niemcewicza:

Płaczoie małe amorki, płaczoie Alcyony,  
 Szambelan już nie żyje, szambelan zgubiony!

Wolimy prosty wiersz mało znanego poety Gabryela Mark, który w imieniu Auvernii składa skromny wieniec nad grobem.

W starym zamku na szczycie skały granitowej,  
 Pomnimy nasze z tobą wieczorne rozmowy,  
 Gdy się zbierzem w sklepionej sali, u ogniska,  
 Kiedy o stal pancierzów łuczywo połyska,  
 Mówim smutno do siebie: „On tu siadał z nami!  
 I serca trubadurów drgały pod grobami  
 Gdy przebiegał arweńskie parowy i wzgórza;  
 Nim gromy ognistemi sypnęła tu burza,  
 Skąpany w blasku słońca, w kroplach ranniej rosy,  
 Słuchał pieśni żniwiarek i poszczeków kosy.

Monnier tak odpowiada na sąd tych, którzy utrzymują, że Gautier zatopion w ideale, upojon miłością sztuki dla sztuki, nie spoglądał nigdy z wyżyn Olimpu na nędzny ziemski padół.

Mówią ludzie, że ty cały  
 W artystycznym wciąż zachwycie,  
 Utopiłeś w sztuce życie,  
 Zimny jak te lodozwały  
 Błyskające na Alp szczycie.  
 O nie! z ocz twych łzy tryskały,  
 Gdy twój cierpiał kraj!

Wiem, jak bladły twoje lica,  
 Tyś spółbolał z nami szczerze!  
 Z życia sztuka pochop bierze,  
 Skra boleści ją podsycal  
 W dnie klęsk naszych Gautierze  
 Łzą ściekała twa zrenica,  
 Więc cię płacze kraj!

Dajemy naostatek smętny ustęp z wiersza Wiktora Hugo, który rozpoczyna księgę całą.

Tak, śmierć błogie wrażenie na duszy mej czyni,  
 Kto wchodzi w próg grobowca, wchodzi w próg świątyni.  
 Ilekroć brat umiera, spostrzegam to jasno  
 Wnet ja po jego śladach stawię stopę własną!  
 Bracie! mego żywota czara dopełniona,  
 Pierś moja w samotności już pomału kona;  
 Szlak na tle mojej noocy gwiazdami się płoni,  
 Wnet hasło do pochodu zegar mi zadzwoni,

Drzy nie... wnet ją rozetnie twarde miecza ostrze;  
 Ten wiatr, co ciebie uniósł, znów skrzydła rozpostrze,  
 I do tych mnie poniesie, co w życiu tułaczóm  
 Kochali mnie na ziemi... Czekajcie... ah! zaczem  
 Drzwi grobu się zatrzasną i ja będę z wami!

Idźmy... bo takie prawol mnie złuda nie mami,  
 Mija wszystko i wiek ten zbliża się do końca,  
 I nad nim promienisty dogasa żar słońca;  
 Z wściekłym hukiem aż ziemskie zatrząsły się zręby,  
 Na stos dla Herkulesa wałą w lesie dęby!  
 Czarne śmierci rumaki zarzały z rozkoszą,  
 Bo wichry w głuchą przepaść pyszny wiek unoszą,  
 On wiek, co uprzągł w jarzmo grom i błyskawicę  
 Już kona...

Pomrok czarny padł mi na źrenicę,  
 A kiedy spojrzę w przyszłość, niestety zbyt blizką,  
 Uśmiecham się do grobu, płacząc nad kołyską!

---

Imię Wiktora Hugo świeci znów na afiszu teatru Porte St. Martin, świeżo podźwigniętego z gruzów po płomieniach komuny. Teatr ten przedstawia Maryą Tudor. Żaden z dramatów poety nie odpowiada lepiej sławnemu godłu: *brzydota piękném*. Nic ohydniejszego, czy to w dziejach, czy na deskach teatralnych, jak owa postać nieodrodnej córki Henryka VIII, którą historia napiętnowała strasznióm imieniem krwawej. Dramat ten utworzony przed laty czterdziestu należy do epoki słynnej w literaturze, kiedy romantyzm istny wulkan wybuchnął z całą gwałtownością; kiedy wyrzucał z łona swego potoki wrzącej lawy i drogocenne kruszce, i popiół i żuzle i błoto. Wówczas śmiałość młodego poety, szamoczącego się w zapasach z klasycyzmem mogła znaleźć gorących zwolenników i wywoływać grzmiące oklaski. Dziś zmieniły się rzeczy. Marya Tudor może zająć ważne miejsce w historii literatury dramatycznej, lecz na deskach teatru jest według nas prawdziwym anachronizmem.

---

Wiele z utworów Wiktora Hugo wywołuje silną protestacyą w sercu i sumieniu czytelnika; nikt jednak nie zaprzeczy, że dzisiejsze nawet prace siedmdziesięcio dwuletniego starca noszą piętno prawdziwego geniuszu. Ostatnim z jego utworów jest wiersz pod tytułem: *Liberation du sol*, napisany świeżo z okoliczności ustąpienia Niemców z Nancy, Verdun i Belfort. Dajemy w słabym przekładzie część tego poemaciku:

Nie! jam nie oswobodzon!... o nie!... kiedy głowę  
 Chcę podnieść, trącam czołem w sklepienie grobowe.  
 Duszno mi, czarna zmora na pierś moją padła,  
 Nocą patrzą mi w oczy okropne widziadła.  
 Tu widzę Metz, tam Strasburg, a dalej tam jeszcze  
 Naszą cześć potyraną i widmo złowieszce  
 Przyszłych walk, i wesołe hożej dziatwy grono,  
 I ten miecz, co rozedrze biednych matek łono;  
 Widzę w rażnych poskokach jasnowłose chmary,  
 Ich piosnka z rosą płynie w dalekie obszary,  
 Potrąca gór wierzchołki, tonie w głębi lasów,  
 Zwiastunka przyszłej chwały i przyszłych zapasów!  
 O! rychło czarny łucznik do ust róg przyłoży  
 I krew zakipi w żyłach onej dziatwy hożej,  
 I zaszcękną znów miecze i zarykną działa!  
 Bo gdy kopce graniczne przemoc rozorała,  
 Gdy lud patrzy w swe rany, niby Łazarz nowy,  
 Niech wiosna błyska słońcem, niech zarumia dąbrowy,  
 Niechaj ptastwo w skrzydełka trzepocze wśród kwiatów,  
 Ale te czarne stopy bomb, kul i granatów  
 Drżą jakoś gorączkowo, ich sen nie ugłaszczel  
 Ale te nieme działa roztworzyły paszcze,  
 Chwytają głos proroczy, co do serca spiżu  
 Tajemniczemi zgłoski przemawia w pobliżu.

Co? kiedy wam z ust płynie piosenka swobody  
 Nie słyszycie, jak łkają dwa nieszczęsne grody?  
 Nie widzicie wy roje śpiewaków słowicze,  
 Jak Alzat w Lotarynga wzrok utkwił oblicze?  
 „Braci!—mowi—niedola nasza zapomniana,  
 Oni bez nas szczęśliwi!“

O nie! na kolana  
 Paść nam przed waszą męką, nędzny kto się mieni  
 Oswobodzon, gdy czoło hańba mu rumieni,  
 Gdy Francyi kęs płaszcza odcięto przemocą,  
 Gdy Alzat z Lotaryngiem w bólu się szamoczą,  
 Gdy ku nam wyciągają z miłością ramiona,  
 Kiedy na szkolnych ławach w gromadkę skupiona,  
 Drobnicuchna dziatwa nasza podnosi głos słaby,  
 Rok dziewięćdziesiąt drugi układa w sylaby,  
 Gdy poznaje zawczasu, jaki zapał szczery  
 Ożywiał niegdyś Hosze i dzielne Klebery,  
 Gdy się uczy, jak w one chwały naszej lata,  
 Walczył lud bohaterski dla pokoju świata!

Myśl o was w sercu mojem wznawia rany świeże,  
 Wy groźne wały Metzu! wy Strasburga wieże!

Pruski orzeł, ptak nocy, zatopił w nas szpony,  
 O! tak potężnie z naszym byt zespolony.  
 Pierś nasza tak się zrosła, że z tych kłesk powodzi  
 Metz tylko ze Strasburgiem Francją oswobodzi!  
 Inne oswobodzenie kłamstwem jest i sromem,  
 To cień, co czarne skrzydła rozpostrze nad domem,  
 To plama, co splugawi naszych dziejów karty!  
 Co? my oswobodzeni? a kraj nasz rozdarty,  
 A narod nogą jedną w ciasnej ugrzązł trumnie?  
 A miasta nasze w zgliszczach! O! dopóty u mnie  
 Verdun okuty w więzy, a Belfort ofarą,  
 Póty Paryż świetnością nie odkwitnie starą,  
 Póki Strasburg w niewoli a Metz dźwiga pęta!  
 Nad nami wisi chmura ohydy przekłeta!

Winni jesteśmy w kronice naszej wspomnieć imię świeżo zmarłego króla saskiego Jana, imię to bowiem należy do dziedziny nauk literatury. Urodzony w roku 1801, był on ostatnim synem Maksymiliana zmarłego w roku 1838 i księżniczki Parmy; rodzonym bratem księcia warszawskiego Fryderyka Augusta, a prawnikiem Augusta III.

Król Jan położył wielkie zasługi w wydziale nauk jako biegły archeolog i protektor starożytników niemieckich; w wydziale zaś literatury imię jego świetniej jeszcze zabłysło. Nietylko Niemcy ale i Włochy uznają jednomyślnie, że przekład Boskiej komedyi dokonany przezeń wierszem metrycznym, należy do najdoskonalszych, jakie posiada literatura niemiecka. Przekład ten ogłoszony był w całości w roku 1839 pod pseudonimem *Philaethes*. Tłumacz wzbogacił swoje dzieło komentarzami wysoko cenionymi przez filologów i historyków: pracując nad niem przebywał czas długi we Włoszech.

Czytamy w niektórych dziennikach francuzkich, że król Jan po wstąpieniu na tron w roku 1854 powołał do siebie wydawcę swego przekładu i zapytał, ile pozostało mu egzemplarzy i czy ma widoki na rychłą ich sprzedaż. Księgarz oznajmia, że ma jeszcze siedem tysięcy; że sprzedaż dotąd szła powoli, odkąd jednak dostojny tłumacz wstąpił na tron, ogół rozrywa jego dzieła. Król na to: „Kiedy byłem prostym śmiertelnikiem podjąłeś znaczny nakład na wydanie prac moich: nie czytano ich dotąd. Dziś przez pochlebstwo kupują moje książki. To źle; przekład mój nie wart, wiem o tem.

Zostało ci siedm tysięcy egzemplarzy... Kupuję wszystkie: oto masz kwit do kassy.“

Oi którzy wymyślili tę powiastkę chcieli wykazać poczciwe serce króla Jana; niema w tém przecież ani słowa prawdy. Mamy oto przed sobą *Dante Alighieri's göttliche Komédie*, przekład Philalotesa w trzecim wydaniu z r. 1871; drugie zaś wydanie wyszło w roku 1865—66, to jest kiedy tłumacz był już królem od lat dziesięciu. Gdyby król Jan zniszczył w istocie pierwszą edycję przekładu swego, byłżeby pozwolił na drugą i trzecią dokonaną pod jego bokiem u Teubnera w Lipsku?

Wspominaliśmy już nieraz o sławnym archeologu Schliemanie, który zagorzałem miłośnictwem nauki posuniętem do fanatyzmu świadczy, że antykwarjusz Walter Scotta nie był wcale poetyczną fikcją. Schliemann z Homerem w ręku odkrył starożytną Troję, nie ulega to dziś najmniejszej wątpliwości. Co więcej Schliemann nie ulega to dziś najmniejszej wątpliwości. Co więcej Schliemann wbrew sceptykom, którzy nie wierzą w nic, czego nie mogą dotknąć własną ręką, dowiódł, że Homer nie był mytem, ale człowiekiem z krwią i kośćmi. Odkrycie to ważne pod względem historycznym, wydobywa bowiem na jaw szczątki starożytnej cywilizacji, zagrzebane od wieków pod ziemią, ma jeszcze i tę wagę, że przeciwdziała gwałtownemu prądowi nihilizmu, który z tak barbarzyńską energią napada dziś na starożytne tradycje, dlatego jedynie, że świadczą o przeszłości.

W końcu października na posiedzeniu Akademii Napisów i literatury, członek Akademii pan Revaissou odczytał list pana Raugabé byłego posła greckiego w Paryżu, znanego z prac literackich i archeologicznych. Tego to uczonego, który niedawno opuścił Paryż wracając do Aten, uprosił Instytut, aby zbadał rzecz na miejscu i ocenił archeologiczną ważność wykopalisk Schliemanna. Otóż pan Raugabé oświadczył w liście, że ujrzał skarb prawdziwy, zdumiewający, któremu nikt nie zaprzeczy najwyższej wagi. „Schliemann—mówi on—odkrył zwaliska Iljonu i udowodnił byt Homera.“ Wylicza następnie znalezione przedmioty, a zostawiając dalszym badaniom rozklasyfikowanie ich i oznaczenie, które rzeczywiście są zabytkami Troi, uznaje przecież stanowczo, że należą do najgłębszej starożytności i noszą piętno dawniejszych nierównie wieków, niż wszystkie znane dotąd pomniki sztuki greckiej. Pan Schliemann ma wkrótce ogłosić drukiem zbiór, który nazwał *Skarbem Pryama*, złożony z tarcz, amfor, bransolet i pierścieni. Do tych zabytków należy i starożytny klucz pałacu Pryamowego. Wszystkie te przedmioty, oddane w fotografiach, mają wzbogacić nową publikację.



Pożar gmachu opery francuzkiej o mało że nie spowodował nieodżałowanej szkody w świecie muzycznym. W bibliotece miejscowej złożony był egzemplarz *Dziewicy orleańskiej*, nowej opery pana Merment w jednym odpisie jaki istnieje. Artystoi powtarzali już próby tej opery, na której rychłe przedstawienie cieszył się cały Paryż. Szczęśliwym wypadkiem partytura ocalała.

Niektórzy przypuszczają, że ta właśnie *Dziewica orleańska* była głównym powodem pożaru. Za kilka dni Paryż miał ją zobaczyć przy boku Karola VII z białą w rękę chorągwią, która dziś porusza do żywego wszystkie umysły w kierunkach tak przeciwnych.

Z powodu tego pożaru opowiadają ciekawą przygodę czyniącą prawdziwy zaszczyt panu Heygel wydawcy kompozycyjn muzycznych. Przed kilku laty wydał on *Hamleta*, najcenniejszą operę p. Ambroise, Thomas: stosownie do umowy z kompozytorem, oprócz oznaczonego honorarium, wydawca miał mu wypłacić premium w ilości 25,000 fr. w dniu kiedy Hamlet doczeka się setnej reprezentacji. Otóż na kilka dni przed wypadkiem odegrano dziewięćdziesiąty-dziewiąty raz *Hamleta*. Z powodu spalonych kostjumów i dekoracyj, na setne przedstawienie długo może poczeka Paryż. Pan Heygel jednak, za którym przemawiała litera prawa, nie trzymał jej się bynajmniej, lecz wypłacił kompozytorowi umówioną kwotę, uwzględniając wypadek.

---

Ohwałą powszechnie obrazek dramatyczny pod tytułem: *Uczeń Kleomena*, utworu Franciszka Mons, młodego i nieznanego dotąd poety. Przedmiot wzięty ze świata artystycznego starożytnej Grecyi. Bohatorem sztuki, sławny rzeźbiarz Kleomen. Ateńczykowie powierzyli mu wykonanie dłutem posągu Wenery, który miał ozdobić nowozbudowaną świątynię. Mistrz naprózno szuka wzorów w około siebie; w piersi jego zbrakło twórczego technienia; wyobraźnia trawiona posuchą, nie zdoła oddać kształtów idealnej piękności. Zwątpienie ogarnia Kleomena. Nie zdoła przeżyć hańby własnej. Ohwyta się jedyne go środka, jaki zostaje pogańskiemu artyście w tak rozpaczliwem położeniu: postanawia zakończyć dni samobójstwem.

Wierny sługa Xantyp, na rozkaz pana podaje mu czarą pełną cykuty. Kleomen spełnia ją, ohciwie. Zaledwie że postawił na stole próżny puhar, wbiega do pracowni młodzian oudnego oblicza; błaga mistrza aby mu odkrył tajemnicę nieporównanej sztuki; pra-

gnie być jego uczniem. Niestety już zapóźno... chwile artysty policzone.

Młody uczeń, Nyzus, zostaje sam; znużonemu daleką drogą sen pada na powieki. We śnie wymawia imię Kleomena z najwyższym uczuciem. Słyszy to mistrz, który wrócił do pracowni. Przygląda się pilnie rysom młodzieńca, odgaduje prawdę: Nyzus przebraną jest dziewczyną.

Sliczna Nyza widziała Kleomena, kiedy niedawno w pełnym blasku chwały, podróżował po Azji Mniejszej. Serce jej uderzyło gwałtownie, postanowiła bądź co bądź zbliżyć się do wielkiego rzeźbiarza, pracować przy nim, służyć mu, a kto wie... może kiedyś pozyskać jego miłość. W tym celu, przebrana za młodzieńca, zakochała się w progi jego pracowni.

Kleomen znalazł doskonały wzór do posągu; twórcza iskra budzi się nagle w jego piersi, czuje, że stworzy arcydzieło. Niestety, puchar spełniony do kropli... cykuta jednakże nie działa.

Wydaje się w końcu podstęp starego sługi. W miejsce jadowitego napoju, dał on panu swemu odwar z ziół nieszkodliwych. Kleomen zamiast śmierci, znajduje kochającą i tkliwie ukochaną małżonkę: Ateny będą miały nieśmiertelne arcydzieło.

Udatny wiersz dodaje uroku dramatycznemu obrazkowi; Paryż przyklasnął mu żywo, krytycy wróżą poecie piękną przyszłość.

Zwraca uwagę inna jeszcze sztuka w rodzaju dawnych melodramatów pod tytułem *Camorra*, grana w teatrze Chatelet; autorem jej pan Nus, znany pisarz dramatyczny. *Camorra* jest to banda rozbójników, istniejąca rzeczywiście w Sycylii, nadzwyczaj rozgałęziona i silnie zorganizowana. Dzienniki wiele o niej pisały w różnych czasach. Dziś, pomimo ciszy pozorniej, iskra tli jednak pod popiołem i najzuchwalsi nawet podróżnicy, nie zapuszczają się bez straży w wąwozy kalabryjskie. Wśród owéjto *Camorry*, autor przeprowadza swój dramat. Oto jego treść w kilku słowach.

Rozbójnicy porwali z Palermo markizę Amyntę i starego Anglika Lorda Sopson. Co do lorda, który odgrywa w sztuce rolę humorystyczną, uczynili to zapłaceni przez własną jego żonę, pragnącą pozbyć się nieznośnego nudziarza. Biedny turysta, w podróżnym paletocie z parasolem w ręku, przebiega wąwozy w towarzystwie jednego z bandytów, dodanego mu do straży.

— Zważ pan tylko—mówi przewodnik—jak tu świeże, jak ukrzepiające powietrze. Ta przechadzka odżywi mu siły!

— Ja nie chcę świeżego powietrza! nie cierpię przechadzkil woła komicznie Anglik łamaną francuzczyzną.

Próżne krzyki i protestacye: biedny lord musi rad nierad podziwiać widoki Kalabrii.

Ale Sopson jest tylko epizodyczną osobą w sztuce. Ważniejsza w niej rola przypada pięknej Amyncie. Markiza ma poślubić młodego krewnego swego, kawalera del Carlo. Związki te nie na rękę hrabiemu Santa Fide, zakochanemu w niej, a raczej w ogromnym jej majątku. Ow hrabia Santa Fide, postać tajemnicza, jest niezem innym, jak hersztem Camorristów.

Na wieść o porwaniu Amynthy, narzeczony jej del Carlo, puszcza się w pogoń za złoczyńcami. Towarzyszy mu Francuz Piotr Mallet. Ten Piotr Mallet, przebrany za kramarza, dokazuje cudów waleczności. Obsypany częstokroć gradem kul, wychodzi zwycięsko z każdej próby. Nieraz oskoczony wkoło, rzuca się na ziemię, udaje zabitego, ale niechno bandyta przystąpi doń, aby go obedrzeć, Francuz wymierza rewolwer i powala go trupem. W końcu jednak biedny Mallet wpada w ręce rozbójników. Uszczęśliwieni z łupu, mają go już rozstrzelać, kiedy młoda Bianka przychodzi mu w pomoc i uwalnia go potajemnie.

Mallet walczy znowu z zaciętością; nie składa broni, dopóki nie zbrakło nieprzyjaciół. Własną ręką zabija herszta okrutnego Santa Fide, Amynthę oddaje narzeczonemu, sam poślubia prześliczną Biankę.

Wybuch Etny, wspaniale zakończy widowisko.

Niektórzy dopatrują w sztuce niejaki podobieństwo z Fra Diavolem. Jakkolwiekbaż publiczność ludowego teatru Chatelet, upodobała sobie melodramat, stary może pod względem formy, ale w gruncie rzeczy lepszy od wielu sztuk dzisiejszych, podkopujących z gruntu społeczeństwo.

Paryż stracił w tych czasach dwóch powieściopisarzy głośnego imienia. Obaj, niestety! zostawili smutny ślad przejścia swego w literaturze; obaj, lubo każdy na swój sposób, przyczynili się nie mało do zarażenia społecznej atmosfery chorobliwym miazmatem.

Jeden z nich, Gaboriau, pisarz ludowy, karmił czytelników swoich obrazami szkarad i zbrodni wszelkiego rodzaju, które brał żywcem z protokołów kryminalnych i przybierał w szatę powieściową. Jakaż to sprzeczność z poczciwym Paul de Kockiem!

Drugi, Ernest Feydeau, zimny i cyniczny realista, z szyderczym uśmiechem uchylał zasłony wytwornych salonów i buduarów i ukazywał najohydniejszą, zgniliznę, potrząśniętą z wierzchu kwiatami. Przed kilkunastu laty, bezcna powieść *Fanny*, rozpoczęła szereg tych ohydnych obrazów, któremi zbyt długo zabawił i truł czytającą publiczność. Pisarz ten uczony gruntownie, zaczął się zabrać do powieści, pracował z pożytkiem na polu archeologicznych badań; bodajby nie był nigdy opuszczał tego pola! Nauka winna mu kilka ważnych dzieł w tym przedmiocie, między innemi: historią obrzędów

żałobnych i opisy grobowców u ludów najgłębszej starożytności. Obszerne dzieło w trzech tomach, ozdobione stoma tablicami.

Jako powieściopisarz Feydeau utworzył własną szkołę. Do niejto należy Gustaw Flaubert, który skaził literaturę francuzką kilku powieściami, jak *Pani Bovari*, *Salambo* i t. p. Do téjże szkoły zaliczamy pawa Zolla, autora świeżej powieści *Brzuch Paryża*.

Na pogrzeb Ernesta Feydeau zebrało się liczne grono współpisarzy. Był tam i Aleksander Dumas, i Flaubert, i wielu innych. Kiedy zwłoki składano do grobu, nikt nie wystąpił z mową, wbrew przyjętemu zwyczajowi. Znak to nadzwyczaj charakterystyczny, świadczący o pomyślnym zwrocie umysłów na rzecz reformy moralnej w społeczeństwie francuzkiem.

W téj chwili wycytujemy w dziennikach, że Wiktor Hugo posłał do Frohsdorf hrabiemu Chambord wiérsz z powinszowaniem, z powodu śmiało wypowiedzianych opinii w ostatnim powszechnie znanym liście.

Oto początek wiérsza:

Gdy byłeś niemowlęciem, ja pacholę jeszcze,  
 Nad chwiejną twą kołyską pierwsze tony wieszczę  
 Śpiewałem ci na tryumf! Wtém burze powiały,  
 Poniosły mnie i ciebie na dwa szczyty skały!  
 Bo kto bity gromami w walkach stargał życie,  
 Temu los ściele gniazdo na opoki szczyciel  
 Pomiędzy nami przepaść wielka... niezgłębiona!  
 Tys purpurą królewską przyodził ramiona,  
 W rękę masz złote berło, a ja... mam włos siwy,  
 Ja mówię: postąpiłeś, jak człowiek uczoivy!

Lilia niech bieleje światłem nieprzydomioném,  
 Niech zostanie Kapetem, kto zrodzon Burbonem!

Ciekawe sprawozdanie o literaturze serbskiej w ostatnim numerze *Biblioteki*, pozwalamy sobie dopełnić wiadomością o nowéj tragedyi w pięciu aktach, znanego poety Matia Bana pod tytułem: *Marta Posadnica ili Pad Wielikog Nowgorodu*, Dubrownik, roku 1872.

Doroczne zebranie pięciu Akademij w dniu 25 października, ożywił tego roku w szczególny sposób pan Légouvé odczytaną sceną z domowego życia pod tytułem: *A propos posagu*. Niepodobna prze-

milcząc nam o tym obrazku, który zabawił całą inteligencją paryżką; szkoda znów zbytecznie go streszczać, bo nie ma w nim próżnego słówka. Dajemy więc w przekładzie ów szkic, nakreślony ręką biegłego mistrza, obsypany poklaskami członków instytutu i wyborowej publiczności paryżkiej.

## I.

Był czas, jak mówią stare podania nasze, kiedy kapelusik z różami, stanowił cały posag panienki: czas ten daleko już od nas.

Dziś posag odgrywa w małżeństwie nadzwyczaj wielką rolę i daje powód do niezliczonych scen to śmiesznych, to znów smutnych. Jedną z tych scen przedstawię wam w obrazku.

Wejźmy więc razem w Villeneuve St. Georges do gabinetu pana Desgranges, dawnego kupca, który zwinął interesa handlowe i żyje spokojnie, używając znacznego mienia. Młody architekt Henryk Grandval, stara się o córkę jego Magdalenę, kocha ją i nawzajem jest kochany. Dotąd wszystko rozwija się prosto; cóż kiedy ojciec Henryka postanowił bądź co bądź ożenić syna z panną dwukroćtysięczną, a pan Desgranges postanowił nie dać córce więcej nad sto tysięcy! Żona silnie nalega, aby ustąpił; córka prosi łagodnie: ojciec zaciął się i trwa niewzruszony, jak kamień. Ale poczciwa pani Desgranges należy do plemienia tych tkliwych matek, którym łzy stają w oczach i głos drży w piersi ilekroć wyrzekną: moja córka! Nalega więc, błaga, a widząc że nie złamie uporu, powstaje z oburzeniem.

— Mężu!—zawoła—mamże wypowiedzieć całą prawdę? Jesteś człowiekiem bez serca, bez wnętrzości!

— Słyszałem to już nieraz moja żono.

— Nie jesteś ojcem.... ale...

— Katem! czynię z niej ofiarę, jak Agamemnon z Ifigenią.

— Mężu!

— Żono!

— Czy wiesz, że twojem zimnem szyderstwem doprowadzasz mnie do wściekłości? Już tego za wiele!

— Przestań, matko, przestań! rzecze powstając Magdalena. Ja nie chcę być powodem waszych nieporozumień. . . A kiedy ojciec nie czuły na błaganie nasze, kiedy odmawia tego, co zapewni szczęście moje i Henryka... Łzy przerwały jej mowę.

— Ona płacze!—zawołała matka— biedna córeczka moja! . . . I to nie wzruszy cię potworze? Patrząc na jej łzy... słyszysz z jej ust, że na tem polega jej szczęście... i stoisz zimny jak głaz!

— Co chcesz, kochanko? Kiedy kobieta płacze, trzymam się zawsze na ostrożności.

— Jakto?

— Nie moja wina, że mam pamięć. Z początku małżeństwa tak często płakałaś, ile razy chciałaś mnie złamać, że przywykłem do łez kobiecych.

— O mój ojcze! — zawołała Magdalena — możesz wątpić o mojem zmartwieniu? Więc nie wierzysz mi, że ja kocham Henryka?

— Wierzę; zupełnie wierzę!

— Henryk tak dobry i rozumny: mówisz sam ojcze, że jako architekt ma tak piękną przyszłość przed sobą.

— Nie przeczę!

— Ojciec jego pan Grondval... jest człowiekiem...

— Najuczciwszym w świecie.

— A więc w takim razie?

— A więc? — przerwie matka.

— A więc niech idzie za niego! — odeprze ojciec. Daję obojętnie pozwolenie na związek, a do tego pozwolenia dołączam sto tysięcy posagu. Ale dwóchkroć nie dam: bądźcie pewni!

— Czemu? — zapytała matka.

— Czemu? dziwne pytanie! bo nie jestem dość bogaty, aby dać córce dwakroć bez wielkiego dla siebie uszczerbku.

— Zostanie ci jeszcze dosyć!

— Dosyć, to za mało!

— W naszym wieku coraz mniej mamy potrzeb.

— Przeciwnie, co rok przybywa nam jakaś potrzeba. Każda słabość naraża na wydatek. Wzrok mi słabnie, potrzebuję okularów... nogi słabną, potrzeba mi powozu... włosy wypadają, potrzeba mi peruki... a flanele? na nie same wydałem sto franków w roku zeszłym.

— Ależ... .

— Nie, nie! młodość niech będzie ubogą, rzecz słuszna. Potrzebaż jej dostatków, kiedy sama przez się tak wielkiem jest bogactwem? Starość to co innego.

— Nie jesteś przecie tak stary! — rzecze łagodniej żona.

— Ho, ho! kiedy zaczynasz słodko, to rzecz niebezpieczniejsza!

— No, pomówmy rozumnie — doda żona z przymileniem. O cóż ci idzie zresztą? Możemy ująć cósłkolwiek z naszych wydatków, odprawić naprzykład jednego służącego.

— Właśnie...

— Zgadzasz się? tém lepiej.

— Tém gorzej! jestem leniwy, potrzebuję dobrej usługi.

— Ociężesz, utyjesz nad miarę; posługuj sobie sam, ruch doda ci zdrowia, będziesz zawsze krzepki i młody.

— Nie idzie mi o to.

— Ale mnie idzie o twoje zdrowie. Możemy także śmiało zmniejszyć obiad o jeden półmisek.

— Wcale nie! znasz mnie... jestem łakomy.

— To grzech!

— Ale bardzo miły... Kiedy zbliża się godzina obiadowa, marzę zwykle... jaką mi też żona wymyśliła dziś leguminę... a muszę ci oddać sprawiedliwość, masz w tym względzie bardzo twórczą, wyobraźnię.

— Tak, tak—odrzuca żona z uśmiechem—rada że zdolności jej ocenione. Ale i cóż z tego?... jész za wiele, nabierasz zbyt wielu kolorów. Doktor ostrzega cię, pamiętaj... gotów jesteś sprowadzić sobie apoplektyczny atak, gdy tymczasem, żyjąc wstrzemięźliwie będziesz zdrowszy, spokojniejszy i lepszy.

— Tak, *mens sana in corpore sano!*

— Nie inaczej... gdybyś miał sens w głowie, powinienbyś podziękować Magdalenie, że zabierze dwakroć sto tysięcy, a przedłuży ci życie na długo.

— Ojcie, drogi ojcie!—zawoła córka.

— Posłuchaj tylko—doda żona, widząc, że mąż cokolwiek mięknie. Ja cię znam, wyborne masz serce! małeńkie codzienne ofiary będą dla ciebie szczęściem. Powiedz mi tylko, czybyś sobie nie dał upuścić krwi dla córki?

— Wiem, wiem... tak robią pelikany, ale inni mówią, że to nie prawda.

W tej chwili wchodzi do pokoju narzeczony. Magdalena biegnie ku niemu, prowadzi go za rękę.

— Chodź, panie Henryku!—zagadnie słodko—wesprzyj nas, ojciec zaczyna się nakłaniać...

— Co, ja?—rzecze pan Desgranges.

— Oh, panie!—zawoła młodzian ze wzruszeniem.

— Dobrze żeś przyszedł, umysł mój wytrzeźwiał przy tobie. Jakto? nie masz-że serca? otrzymałeś przywiązanie takiej dziewczyny ładnej, dobrej, starannie wychowanej i odrzucasz jej rękę, jeśli nie będzie miała więcej nad sto tysięcy?

— To ojciec jego—przerwie Magdalena.

— On śmie się targować... ależ ja wzięłam matkę twoją, choć o połowę mniej warta była od ciebie.

— Jakto?—zawoła żona.

— To znaczy, że miałaś tylko pięćdziesiąt tysięcy, a jednak woale się nie wahałam.

— Ja się też nie wahałam!—zawoła żywo Henryk.

— To ojciec jego, mój mąż.

— Tak, ojciec!—doda Magdalena. Pan Henryk nie dba o mój posag; powtarzał mi sto razy, że wolałby nawet widzieć mnie zupełnie ubogą.

— To prawda!—przerwie młodzian.

— Tak, tak... piękne słówka... i ja tak mówiłem, ale w duszy...

— Jakto?—zagadnie żona—a więc nie było prawdą?

— Co to jest prawda, oto, że największą niedorzeczność czynią ojcowie, żyjąc się ze wszystkiego.

— Ależ ojciec...

— Mam w tym względzie niezłomne przekonanie: ojciec powinien być bogatszym od dzieci.

— Mniejsza o to, kto bogatszy—dorzuci matka—alboż dom ich nie będzie naszym domem?

— Nigdy! ojciec nie powinien stawać się zależnym od dzieci, a to dla własnego ich dobra, aby nie uczynić ich niewdzięcznymi.

— Cóżes powiedział, ojciec?—zawoła Magdalena.

— Twoje serce oburzyło się na słowo!

— O tak, zraniłeś mnie boleśnie!

— Wierzę w szczerść twojego oburzenia... ale...

— Ale—przerwie Henryk—za kogo nas pan bierze?

— Za dzieci pełne serca, pełne uczuć najszlachetniejszych i dla tego nie chciałem was popsuć. Czyście słyszeli o królu Learze?

— Z tragedji Szekspira?

— Tak jest, więcież wy czém był ów Lear, oto starym głupcem, który zasłużył na wszystko, cokolwiek go spotkało. Co zaś do córek, Szekspir, wielki Szekspir pomylił się bardzo malując je z temi od początku. Należało wykazać raczej o ile ojciec sam popsuł je zbytnią szczodrobliwością. Weźmy rzecz po prostu, gdzie niema dobrodziejstwa, niema też niewdzięczności. A że mi nie idzie o moralne udoskonalenie wasze, nie chcę wyzuwać się dla was, aby wam nie stawiad pekusy.

— Ależ...

— Żadnego ale, rzecz skończona! Panie Henryku idź do ojca, złam jego upór, jeśli możesz. Tam do licha, łatwiej nie żądać stu tysięcy, niż wyliczyć je na stół.

— A jeśli nie przekona ojca?—zagadnie Magdalena.

— To znak, że nie dosyć cię kocha; w takim razie mniejsza o niego.

— Potwór... kat... samolub... materyalista!—zawoła pani Desgranges.

— Idź, idź!

— Żegnaj mi, panie Henryku!—rzecze Magdalena.

— Do widzenia—odpowie młodzian. Twój ojciec ma słuszność; nie byłbym godny ciebie, gdybym cię nie umiał wywalczyć.

— Dobrze ołtopcze! wracam ci mój szacunek. Nie dodam ani centyma do posagu, ale cię oceniam, jak na to zasługujesz. Idź... i powracaj!

## II.

W miesiąc potem odbył się ślub młodej pary. W rok pani Desgranges została matką chrzestną wnuczki, w trzecim roku pan Desgranges trzymał do chrztu ślicznego wnuka. Widzimy rodzinę znów zebraną w domu wiejskim w Villeneuve St. Georges.



Powiedzieliśmy że Henryk Grandval był architektem, ale młodym architektem, co znaczy zbyt niestety, że był architektem *in partibus*. Ze wszystkich artystów najniezwyklejsi niewątpliwie architektki. Poeta, jakkolwiek ubogi, znajdzie zawsze pióro, aby napisać wiersze; muzyk zdobędzie łatwo poliniowany papier, by nakreślić muzyczną kompozycję; malarz wynajdzie pędzel i kawałek płótna: trudniej znaleźć kamień ciosowy i plac do budowania. Nikt nie stawia domu dla zabawki, a i któż powierzy budowę młodemu architektowi? Biedny artysta zna swoją sztukę, ale cóż mu z tego kiedy niema gdzie i o czem pracować. Wyobraźmy sobie bobra na suchym łądzie! Ubodzy tylko właściciele, gdy mają wybić okno, albo załatać dziurę w murze, wzywają małego architekta, jak wołają początkującego lekarza w razie drobnej słabości. Takim był los Henryka Grandval.

Aby nagrodzić sobie nudne godziny pracy przy naprawie dziurawych dachów, Henryk rysował z talentem i malował akwarellą prześliczne plany; przy każdym konkursie na budowę gmachów publicznych występował z pięknymi pomysłami. Prace te świadczyły o zdolności i wysokiej nauce, ale miały wielką niedogodność, że kosztowały bardzo drogo. Trzeba było opłacać mierników i biegłych, słowem plany pochłaniały skromny dochód, zapracowany z mozołem na praktyczniejszem polu. Artysta oddawał na łup poezyi wszystko, co mu przyniosła proza!

Budżet małżonków składał się z posagu Magdaleny i z takiejże kwoty jaką ojciec dał Henrykowi. Dla zwyczajnych ludzi byłoby to zupełnie dostatecznym. Ale artysta miłośnik piękna!... Upodobania artystyczne bardzo wiele kosztują! Zdarzy się kupić piękny gobelin starożytny... jakże się tu oprzeć pokusie? Piszą o świeżo odkrytym pomniku... jakże go nie zobaczyć? Podróż artystyczna nie jest obowiązkem szanującego się artysty?

Co gubi szczególnie, to owe zniżone ceny, owe ogromne afisze porozlepiane na wszystkich murach, z takim naprzykład napisem: „Przejażdżka cało miesięczna po północnych Włoszech; wolno zatrzymać się w wielkich miastach: franków sto pięćdziesiąt.“ Sto pięćdziesiąt franków! jakże to tanio! Nic tak nie rujnuje jak to, co nam tanio przychodzi! Nasi młodzi małżonkowie często ulegali pokusom; dodajmy do tego, że mąż zakochany był w żonie, że pragnął widzieć ją zawsze ustrojoną; dodajmy utrzymanie dwojga dzieci, a łatwo pojmujemy, że w drugiej połowie każdego kwartału znajdowali się w kłopotach finansowych... które zakrzwawiały serce poczciwej pani Desgranges i ściągały z jej strony na męża powódź gorących błagań i grad najdotkliwszych wyrzutów.

— Mężul zaklinam cię—mówiła żona—dorzuć jej cośkolwiek doposagu!

— A, niech mnie Bóg uchwala! — odrzeczł pan Desgranges — wiesz sobie szczerze: mój systemat okazał się wybornym, nie myślę go zmieniać bynajmniej.

— Masz-że serce zostawiać ich w takich kłopotach?

— Jakto? oni w kłopotach?

— W najokropniejszych!

— Tém lepiej: mój zięć tém usilniej będzie się starał o robotę.

— Ależ robota nie przychodzi!

— Trzeba o nią kołatać; trudna rada!

— Mają, jak wiesz, nowe obowiązki...

— Chcesz powiedzieć nową pociechę.

Matka podniosła rozpaczliwie ręce w górę.

— Uspokój się kochanko! — rzecze mąż. Daj pokój wykrzyknikom, a pomówmy rozsądnie. Przypuśćmy, że trzy lata temu zamiast stu tysięcy posagu, dałbym córce dwakroć, jakieś chciała; i cóżby teraz było?

— Byłoby — rzecze matka napół z gniewem, napół ułagodzona, — że zamiast żyć w bezustannym braku, jak żyją od lat trzech, zamiast odmawiać sobie wszystkiego...

— Pozwólże mi, pozwól ja myśleć.

— Ty myślisz... daj mi wprzód skończyć. Oto ilekroć przychodzę do nich w godzinę obiadową, kiedy widzę ich stół tak skromny, jeden tylko półmisek mięsa, jeden jarzyny i nie więcej..., i kiedy wróciwszy do domu, patrzę na ciebie, jak zajadasz tłuste pulardy i kuropatwy...

— Co chcesz kochanko? człowiek się starzeje...

— Ale mnie to boli... ciężko boli, ilekroć u stołu zanoszę do ust smaczny kasek, czuję wtedy, jakby wyrzut sumienia...

— A ja nie sobie nie wyrzucam!

— To zgroza z naszej strony!

— Żono! uspokój się proszę... powróćmy do rzeczy, boś daleko od niej odeszła. Zważ tylko dobrze: mamy dziś 15 listopada; córka i zięć i z dwojgiem dzieci, i z dwojgiem służących, bawią u nas od 13 sierpnia, trzy miesiące i dwa dni, a zabawią tu jeszcze do 20 grudnia, to jest do chwili odjazdu naszego ze wsi.

— Do czegoż to przyszło! — zawoła żona — wymawiasz im, że zbyt długo bawią! że narażają cię na wydatki! Możebyś chciał wypędzić ich z domu? Stój! nie pozwalam na to!

— Żono!

— Co? mam się pozbawić widoku dzieci? to jedyna pociecha moja w życiu!

— Dziękuję za komplement!

— Znam ja cię... może powiesz, że dziecińki zanadto hałasują... biedne aniołki... one gwarzą tak słodko... bałykują po ziemi tak pociesznie.

— Alboż ja przeczę temu?—zawoła mąż zniecierpliwiony. Dajże mi wypowiedzieć co myślę i rozważ rzeczy sama. Dlaczego nasza córka i nasz zięć, bawią tu z dziećmi od trzech miesięcy i zabawią jeszcze do dwudziestego grudnia?

— Piękne pytanie! bo nas kochają, bo im dobrze z nami, bo wiedzą, że sprawiają nam przyjemność, bo są tkliwi, pełni uczucia.

— Nie tacy, jak ja!—przerwie mąż z uśmiechem. Niechże cię uściskam—doda, przystępując do żony.—Kocham cię, bo masz zawsze lat piętnaście.

— Lat piętnaście? co przez to rozumiesz?

— To, że jesteś i będziesz zawsze poczciwą istotą, naiwną, łatwowierną, jaką pokochałem i zaślubiłem niegdyś.

— Naiwną, łatwowierną!—przerwie żona z przekąsem. Alboż myślisz, że dzieci nasze...

— Tak kochanko, nie przeczę im zalet; ale czy sądzisz, że córka twoja ze swoją ładną buzią, którą lubi pokazać, bo drudzy radzi popatrzeć na nią, że twój zięć ze swym artystycznym upodobaniem, ze swemi obowiązkami, które narażają go na nudne codzienne przejażdżki, czy sądzisz, że chętnie opuszczają Paryż i zimowe uroki miasta dlatego tylko, aby po obiedzie grać w pikietę z ojcem, któremu słuch tępieje i z matką, której usta mogłyby trochę spocząć?

— Coż więc przypuszczasz? Jakiż według ciebie powód ich długiego pobytu?

— Przypomnij sobie kochanko—rzecze mąż z uśmiechem—kiedy byłaś młoda, i kiedy miałaś prześliczny warkocz, jak cieszyłaś się jadąc na wieś, że ci włosy wypoczną po fryzjerskiem żelazku. Tak też i dzieci nasze rale, że im wypoczną worek.

— Co śmiesz mówić? podobne przypuszczenie...

— Ja im tego wcale nie mam za złe, nie obwiniam ich o niedzięczność. Wiem, że gdyby dzieci nasze miały dwadzieścia tysięcy dochodu, zamiast dziesięciu, jakie mają, kochałyby nas zawsze, ale... z daleka. Mój zięć, naprzykład jest prawdziwym wzorem zięciów; nie znam doprawdy podobnego. Na każdą uroczystość domową, czy to urodziny, czyto rocznicę ślubu, przynosi mi prześliczny bukiet.

— Sądzisz więc, że sam interes?

— O, nie sam interes, wcale tak nie sędzę, ale do uczucia mięszą się cokolwiek i rachuby. On nie wie nawet o tém, ja to jednak zgaduję. Ztąd też pragnę, żeby mnie potrzebował i korzystam z tego, nie mając w sercu najmniejszej urazy.

— Nieszczęśliwe usposobienie twoje! wszystko odzieras z uroku poezji; nie dla ciebie świętego: sądzisz drugich według twój własnej miary.

— Wcale nie... to rzecz prosta. Starzy zazwyczaj nudni, trzeba to czemoś powetować; ja nagradzam nudy gościnnością.

— Powiedz lepiej, że dzieci uważają dom nasz za oberżę!

— Tak, nie inaczej, za oberżę pod złotym lwem, gdzie przyjmują dzieci bezpłatnie. Wydały oto za wiele na teatru, bale, koncerty.: „jedźmy, mówią, na wieś do papy, zabawimy tam z tydzień.” Wybierają się w dalszą podróż „jedźmy do papy na miesiąc, oszczędzimy trochę na drogę.” Dziecko cokolwiek słabe „zawieźmy je do papy!” I przyjeżdżają z niem razem, a my przyjmujemy ich najozuliej, przyciskamy do serca!.. Ojciec samolub rad dzieli z nimi tłuste pulardy i zające, i wszystko idzie jak najlepiej.

— Ha, straszny egoista! on oblicza każdą rzecz, spekuluje nawet na miłość rodzicielską!

— Przepuśmy wypadek przeciwny—ciągnie dalej pan Desgranges, nie zważając na wykrzykniki żony—przypuśmy, że dałem córce dwakroć, jak tego pragnęłaś. I cóżby teraz było? Oto zięć mój ze swoją zapaloną artystycznym głową, nie byłby zapewne bogatszym, niż jest, a ja byłbym daleko uboższym. Nie mógłbym ich przyjmować ani na tak długo, ani tak dobrze; muięjby też przyjeżdżali, boby im lepiej było w domu. Ho, ho! mój Boże, niechby tylko dzieci bogatsze były od nas, już od sześciu tygodni jesienne powietrze w Villeneuve zaszkodziłoby córce. Mgły z rzeki, nabawiłyby kataru małą dziatwę, zięć sprzykrzyłby sobie częste przejażdżki do Paryża. Otóż więc taka moja konkluzya; radzę, aby ojcowie wzięli ją pod rozwagę: chcecie zachować dzieci, zachowajcie pieniądze! Chcecie mieć przyjemność z małych wnucząt, zachowajcie pieniądze! Dzięki bowiem pieniądзом, ojciec pozostaje głową rodziny, dom rodzicielski pozostaje prawdziwem ogniskiem domowem, to jest zaszczytną dla starych ostoją, dla młodych miłym domowem, dla dziatwy ciepłym gniazdeczkiem, gdzie odzyskuje zdrowie i znajduje doświadczoną opiekę—słowem dla wszystkich, jest to jakoby *sanktuarium*, gdzie się przechowują tradycye, składają pamiątki, wyrabia miłość i poszanowanie na zasitek dla przyszłych pokoleń. Nazwij, jeśli chcesz oględność moją wyrachowaniem i samolubstwem, ja nazwę ją prawdziwą miłością rodzicielską, co uszczęśliwia dzieci i czyni je dobremi! Bo zważ tylko sama, mój zięć miał może najlepsze usposobienia, aby zostać zięciem wzorowym, ale bez oględności mojej te zalety zostałyby w stanie pączków. Kto sprawił, że zakwitły tak bujnie? Jużciż ja, nie kto inny! Koniec końcem nie dodam ani centima do posagu!

### III.

Nadszedł 30 listopada. Jesteśmy jeszcze w Villeneuve St. Georges. W domu pana Desgranges wielka uroczystość: on wesół i szczęśliwy. To dwudziestopięcioletnia rocznica zaślubin, srebrne wesele poważnych małżonków.

— Pamiętaj kochanko—ręce mąż z raną do żony—uczcieć godnie ten dzień tak drogi dla nas. Nie żałuj dziś niczego, przygotuj nam wytworną ucztę. Zaleciłem córce mojej, która nie wiem

poco wyjechała do Paryża, aby wróciła z mężem na czwartą. Znajdzie u siebie w pokoju nową suknię, niechże się w nią ustroi. I ty, jeśli mnie jeszcze kochasz, mimo tylu wad moich, ubierz się, jak możesz najpiękniej. Zaprosiłem na wieczór całe sąsiedztwo; włożę proszę cię wszystkie brylanty po mojej biednej matce. Te klejnoty przypominają mi wszystko, com ukochał na ziemi: matkę, która dała mi je dla ciebie, ciebie, która nosiłaś je dla mnie i dla niej i córce, która kiedyś nosić je także będzie. Rzekłszy to odszedł cokolwiek zadumany.

Dlaczego pani Desgranges nie odrzekła mężowi ani słowa? Dlaczego stoi, jak słup z głową spuszczoną w ziemię? Dlaczego córka, powróciwszy z Paryża, ciągnie matkę do pokoiku swego i ociera z łez oczy? Dlaczego zięć taki ponury? Dlaczego wchodząc do salonu matka tak trwożliwie obraca wzrok na męża? Dlaczego? Jedno słowo pana Desgranges, wszystko nam wytłumaczy:

— Jakto? nie włożyłaś brylantów?

Żona za całą odpowiedź rzuca się w objęcia mężowi, zanosząc się od płaczu. Córka klęka przed ojcem i zalana łzami, przyociska do ust jego ręce.

— Nie włożyłaś brylantów? cóżes zrobiła z niemi?

Matka i dzieci milczą.

— Nie odpowiadasz mi?— rzecze mąż surowo— a więc ja będę mówił. Sprzedałaś je, sprzedałaś, aby opłacić niemi nierozwagę twego zięcia! Tak jest, ponieważ wdał się w niepewne przedsięwzięcie, wszedł w spółkę z łotrami, który go oszukali, musiałaś dla opłacenia połowy długu, gdyż winien jeszcze dwanaście tysięcy franków, wydrzeć mi najdroższą pamiątkę po biednej matce mojej i zatruć mi goryczą ten dzień tak dla mnie uroczysty!

Matka wybełkotała kilka słów zaledwie dosłyszonym głosem.

— Dostyć już tego! oto służący wzywa nas do obiadu: idźmy.

Wszyscy poszli w milczeniu do sali jadalnej, obsiedli stół dokoła.

— Boże mój!—zawoła pani Desgranges, rozwijając serwetę.

— Co to jest?—zawoła Henryk.

I oboje biegają do ojca, ściskają go ze łzami.

Matka znalazła pod serwetą brylanty, Henryk znalazł dwanaście tysięcy franków na zapłacenie reszty długu.

— Mężu! ojczel wołają—naprzemiany.

— Dobrze, dobrze—odrzecze ojciec—nie nazwiecie mnie już samolubem! A więc oględność moja nie była, jak widać zbytęcną. Zrozumieliście nakoniec, że potrzeba, aby ojciec bogatszym był od dzieci! choćby dlatego tylko, drodzy moi... aby mógł niekiedy przyjść im w pomoc i uratować je od nieszczęścia! Tylko mój Henryku, nie powtarzaj już próby, bo i ja nie mógłbym jej powtórzyć!

## LISTY Z AMERYKI DO PRZYJACIOŁ W EUROPIE.

PRZEZ

*J. Horaina.*

### IV.

Po przybiciu do portu w Southampton, zrobił się wielki ruch na parostatku; koledzy moi podpokładowi tłumnie zaczęli opuszczać okręt udając się na ląd. I ja miałem ten sam zamiar, i to dla kilku powodów: najprzód byłem straszliwie głodny, a w Southampton uśmiechał się do mnie beefstek i to naprawdę angielski; powtóre nocleg na wygodném, a choćby i nie wygodném, ale zawsze angielskiem łożu: nareszcie zamiar kupienia dwóch, a choćby jednej angielskiej kołdry. Miałem to ja jeszcze na widoku kupienia pary angielskich brzytw; ale gdym rozważył że mię ojczyste dobrze goliły i ogoliły, wyrzekłem się tego sprawunku.

Dzieci na wyścigi wpraszały się mi towarzyszyć, nie mogłem zabrać wszystkich, ale jedno mogło mi być użyteczném. Wybór padł na córkę, która już jakotako mogła rozmówić się po angielsku, a zatém służyć za tłumacza. Chłopcom starszym zaleciłem, aby po kolei pilnowali naszego legowiska i rzeczy na niem będących.

Wyprosiwszy pozwolenie, błogosławieństwo, a co więcej trzy półimperyały od żony, bilet na opuszczenie okrętu od kapitana; zapewniwszy się kilkakrotnie, że przed południem dnia następnego *Baltimore* nie odpłynie, wysiedliśmy na ląd.

Tu spotkali nas najprzód przekupnie owoców. Zostawiłem malców moich płaczących, tak im się chciało towarzyszyć mi do Anglii; dla otarcia łez wypadało kupić i posłać im gruszek, jabłek i t. d. Zapytałem o cenę? Okazało się że nie droższe jak w Warszawie i to nawet w czasie cholerycznym. Wybrałem sztuk kilka-

naście i dobyteń półimperyała aby zapłacić; ale przekupień odpowiedział że nie wie wiele mi potrzeba zdać reszty. I ja sam nie wiedziałem. Przypomniało mi się, że w portmonetce mojej między rzadkimi numizmatami, niepoślednie miejsce zajmował srebrny rubel; odszukałem go i podałem przekupniowi. Ten zaraz dobył talara, przymierzył do niego rubla i zdał mi reszty parę szylingów i nie pamiętam już ile pensów. Powiedziałem Julci że będę ją czekał przy mostku okrętowym, a ona żeby wraz zaniosiła owoce braciszkom podpokładowym. W kilka minut była z powrotem; puściliśmy się więc w podróż w kraj i miasto nieznane.

Przeszliśmy jedną, drugą ulicę rozglądając się po sztyldach; domy piękne, ulice czyste, ludzie przyzwoicie ubrani, chodzą pewnym krokiem i śmiało sobie patrzą w oczy; ale sztyldu któryby wskazywał hotel, zajazd, traktyernią lub coś podobnego, nie widać. Na żadnym sztyldzie francuzkiego napisu, wszystko po angielsku!

Dobyłem pugilaresu i zapisałem notatkę: Southampton (w Anglii) miasto nie cywilizowane; na ulicach same tylko napisy w ojczystym języku; francuzczyzny ani śladu“. Zastanowiło mię jednak, że na wielu domach w których przez drzwi otwarte widać było zajadających i zapijających, był napis: „Public House“. Nie powiem jakem to sobie w prostocie ducha wytłumaczył, ale dostawszy ponownie pugilares, zrobiłem notatkę o niemoralności miast angielskich. Rozumie się, że nie zwracałem uwagi na te sztyldy mojej trzynastoletniej córki.

(Żona utrzymuje że tylko jedénastoletniej, zresztą odliczywszy kilka miesięcy których jęj niedostawało do skończonych lat trzynastu, przytęm *les mois de nourrice*, to może moja pani ma słuszność; nawet już teraz, po dwóch latach, i ja zaczynam przechylać się do opinii żony).

Zwróciliśmy w bok w trzecią, jeszcze paradniejszą ulicę. Rozglądam się na wsze strony, ażali nie ujrę gdzie: *Hotel de France*, *Hotel de l'Europe*, a choćby *Hotel de Saxe*... niéma i niéma, tylko wszędy *Public House*! Kiedyśmy się zatrzymali na rogu krzyżujących się ulic i rozpatrywali na cztery strony świata; we drzwiach jednego z takich domów, stojąca młodzianka i piękna jak anioł dziewczyna, przemówiła do nas słów kilka głosem prosto chwytającym za serce:

— Co ona mówi?—zapytałem Julci.

— Mówi że pewnośmy cudzoziemcy.

— *Yes, yes miss*. Byłyto pierwsze słowa angielskie, które przemówiłem w mojem życiu.

— Wstąpcie do nas, znajdziecie tu co zjeść, a jeśli wam potrzeba to i wygodny nocleg. Nie drogo to was będzie kosztować.

Gdybym był sam jeden, pomimo pięćdziesiątki, żony i paraliżu, poszedłbym bez wahania za głosem angielskiego anioła; ale wejść do *Public House* z córką, choć jeszcze dzieckiem, niepodobna!

— Podziękuj—rzekłem z westchnieniem do Julci—i poszliśmy dalej.

O kilka kroków spotkaliśmy jakiegoś gentlmana; odgadłem w nim policyanta, tylem się na nich napatrzył na stałym łądziel Rzekłem więc do córki: Zapytaj tego pana, gdziebyśmy mogli wstać posilić się i przenocować?

— Wstąpcie tam—I policyant, bo on to był istotnie, wskazał ów dom, przed którym jeszcze stała prześliczna panienka.

— Ale... ale... mówiłem z pewną niespokojnością, zapytaj czy to jest dom przyzwoity?

Policyant uśmiechnął się i rzekł dobrotliwie:

— Zapewneście Francuzi albo Niemcy? Nie rozumiecie szyldu, jestto szynk, tawerna (retail of liquors) jeden z porządniejszych; znajdziecie tu i pokój osobny dla noclegu. Kto jesteście?

Wymieniłem narodowość.

— Chodźcie dobrzy ludzie, ja was polecę.

Poszliśmy: szynkareczka, bo to ona była córką gospodarza, uśmiechnęła się do nas, ale jakoś tak czarująco, że mi się lubo zrobiło na sercu. Przypomniała się młodość, uśmiech Ludki, Salusi, kilku innych a nawet mojej żony, kiedyśmy się o siebie starali.

Miss Mary, takie imię Angielki, wskazała nam miejsce przy nie zajętym stole i zapytała: może czego życzymy zjeść?

— Póproś o befsztyk i herbatę.

Panna... (źle się wyrażam) anioł szynkowy angielski, skinął na garsona w fartuchu, przemówił coś do niego i dał dwie marki. Tymczasem policyant usiadł przy drugim stole i kazał sobie podać porteru. Nie upłynęło czasu więcej jak napisanie ostatnich pięciu czy sześciu wierszy, kiedy postawiono przed nami ogromną porcję befsztyku, bez kartofli, bez serdelowego masła, nawet bez włókien chrzanu i t. p. delicyi; ale za to podsunięto parę gatunków musztardy i cayenne. W parę minut przyniesiono imbryki z herbatą, gorącą wodę, cukier, mléko i biszkocty. Wszystko to, honorem wam za ręczam przyjaciele, było angielskie. Rzuciłem się chciwie do jadła, bo od owego nie legalnego śniadania na okręcie, nic prawie nie jadłem, a przeszło dwie doby.

Aby być zupełnie szczerym, powiem wam, że befsztyk, chociaż nieposzlakowanie angielski i pomimo głodu, wydał mi się zaledwo nie złym. Daleko mu do tego, który za dobrych czasów (?) spożywałem niegdyś w „Café Anglais“ w Paryżu, u Dussaut'a w Petersburgu, a nawet u Bocqueta w Warszawie. Julcia nie jadła, utrzymywała, że przewidując że ją wezmę z sobą do Southampton, podjadła na cały dzień przy drugiem śniadaniu na Baltimore. Herbatą była wyborna.

Kiedym zmiatał befsztyk, policyant przyniósł trzy szklanki porteru; postawił jedną przedemną, drugą mniejszą przed Julcią, a trzecią stuknął o stół i trzymając w ręku, czekał. Zrozumiałem o co



rzecz idzie, ja również powstałem, stuknąłem szklanką i poradziwszy się z córką, zawołałem głośno po angielsku: *To the health of Old England and of queen Victoria* (za zdrowie starłej Anglii i królowej Wiktoryi)! Wychyliłem do dna. Julcia, trochę się krzywiąc, także wypić.

Na to hasło powstałi wszyscy obecni; a było osób z dziesiątek. Każdy czém mógł napełnił swoją szklankę, podszedł do naszego stołu, stuknął, powtórzył toast i duszkiem wypił. Potem zaczęli nas ścisnąć za ręce jakby dziękując; Mary ucałowała Julcię, mnie zaś tylko ścisnęła za rękę! Nie upłynęło parę godzin jakśmy wstąpili na terytoryum angielskie i mieliśmy już przyjaciół! I jakoś różniój nam się zrobiło. Po chwili zaintonowano pieśń, zdaje się że to było: *God save the Queen*. Myśmy się przyłączyli do chóru. A powiadają że Anglicy są zimni, są obojętni! Szczęśliwy kraj, szczęśliwi ludzie, którzy tak kochają swoją dynastją.

Podjadłszy, podpiewszy, pośpiewawszy, poprosiliśmy aby nam wskazano nasz pokój.

Miss Mary, dziwna okoliczność że od czasów Mickiewicza wszystkie Marylki są piękne, a ta bodaj czy nie najpiękniejsza, wzięła pęk kluczków i poprowadziła nas na piętro. Zatrzymała się na korytarzu, pomyślała, i wyjąwszy zgrabny kluczyk z kieszonki, otworzyła drzwi.

Ażem osłupiał, tak tam było pięknie i dostatnio! Choć błota nie było na ulicach, mimowolnie obtarłem buty przed wejściem. Takiego komfortu, takiego przepychu w żadnym z hoteli na stałym lądzie nie widziałem, chyba później w Ameryce. We drzwiach była portiera, dwa okna przysłaniały błękitne firanki i wazony z kwiatami, między oknami stał fortepian, przy dwóch ścianach stały dwa łóżka za kotarami, komoda, stół, wielkie trumeau, gotowalnia, fotele, a wszystko to ozdobne, bogate i wygodne.

Kiedym ja to wszystko rozpatrywał, bo na etażerkach było mnóstwo pięknych i kosztownych cacek; dziewczęta szczebiotały z sobą, jakby dawno znajome. Potém miss Mary (czytaj Mery) zdjęła z poduszek nawlecзки, zabrała wierzchnią pościel i wyszła.

— Prawda ojczu, że tu pięknie—rzekła Julcia—czy będę ja z Manią kiedy miała taki pokoik?

— Wątpię moje dziecko. Ale lękam się że to nas będzie drogo kosztować. Czy wystarczy trzy półimperyały, które mama dała? Możeby lepiej było, abyśmy zapłaciwszy co należy, ztąd się wynieśli.

— Nie czyń tego ojczu, oni dobrzy ludzie, nas nie obędą.

— Zkądże ty wiesz o tém?

— O! ja wiem więcej, to pokój miss Mery i jej siostry, która przed tygodniem poszła za męża.

Wtém powróciła Mary niosąc świeżutką pościel i zaczęła pokrywać łóżka.

— Powiedz jój Julciu niech tego nie robi, myśmy nie przywykli do takich wygod, niech nam wskaże jak najtańszy pokoik. Powiedz żeśmy biedni emigranci do Ameryki.

Kiedy Julcia to powtórzyła, Mary spojrzała na nas poważnie i rzekła:

— Powiedz ojcu, że najbogatszemu lordowi trzech królestw nie ustąpiłabym mojego pokoju, ale to czynię dla cudzoziemców, przyjaciół Anglii i królowej.

Nie było co się sprzeczać. Ale przyszła mi myśl pusta.

— Zapytaj Julciu, które jój łóżeczko? i powiedz że ja chcę na niem się przespać.

Dziewczęta zaczęły śmiać się obie, a Mary odpowiedziała:

— Oto jest: na niem będzie spała miss Dziulja, a staruszek gołąbek na tamtém.

Niegodziwał. Była w tём alluzya do mojej siwizny.

Tak byłem znużony trzema bezsensnemi prawie nocami, że nietylko na łóżku pięknej Angielki, przespałbym się na łożu Prokusta. Ale trzeba było kupić kołdry, i cóż powiecie? chciało się rozglądnać po mieście angielskiem.

Mary oświadczyła że chce nam towarzyszyć, tylko się trochę przebierze. Jakoż dostała sukienkę nowej mody i wybiegła. Ja skorzystałem z tego czasu, odświeżając się umyciem twarzy.

Nie dłużej jak w kwadrans, powróciła wystrojona jak u nas marszałkówna, i to w dzień świąteczny. Przechodząc mimo tawerny (to lepiej brzmi jak szynk) usłyszeliśmy śpiewy z stukaniem w takt szklankami; zdaje się że to był inny śpiew narodowy: *Rule Britania*, a może co innego.

O przyjaciele!... Na podbicie takiego kraju, mało Napoleonów, nie dość Wilhelmów!

Wiedząc o co rzecz idzie, Mary zaprowadziła nas na ulicę, gdzie przedawano kołdry wełniane i tym podobne towary. Przed drzwiami magazynów rozwieszono były kołdry rozmaitego gatunku, a na każdej oznaczona cena. Mam słabość do kramów, gdzie jest cena stała (prix fixe) i gdzie nie trzeba udawać się do kupca aby się o niej dowiedzieć. Zacząłem rozpatrywać i trafiłem zupełnie na taką samą jaką przed czterema laty targowałem w Wiedniu, i nie kupiłem, bo żądano za nią dwadzieścia guldenów, a po długim targu ustępowano za ośmnaście. Tu cena była oznaczona, „dziewięć szylingów“, czyli 18 złp.; zatem czwarta część ceny wiedeńskiej. Oświadczyłem że tę właśnie chcę kupić. Komissant poszedł w głąb magazynu i po paru minutach, wyniósł mi paczkę zawiniętą w papier i obwiązaną. Wypadało przyjąć nie rozpatrując, ale ja tyle razy zawiedziony w życiu i oszukany nietylko przez kupców, a przez to stawszy się, niestety za późno, podejrzliwym; rozwinąłem towar, zacząłem porów-

nywać z wybranym modelem: gatunek, deseń, długość i szerokość były też same. Kupiec tymczasem uśmiechał się i patrzył na nas z politowaniem. Pocziwa Mary, jakby chcąc wytłumaczyć moją podejrzliwość, rzekła:

— Cudzoziemiec, Polak!

Podałem półimperyała. Kupiec popatrzał i oddał mi nazad, oświadczając, że zagranicznych pieniędzy nie przyjmuje. Ale Mary wraz oświadczyła, że jeśli zyczę, to mi natychmiast wymieni u wexlarza i wyciągnęła rączkę po złote. Tyle razy w życiu zawiedziony przez świętobliwych ludzi, Aniołowi nawet w wahaniem powierzylem mój pieniądz.

Niespełna w trzy „Zdrowaś Marya,” powróciła Mary i wręczyła mi garstkę srebrnej monety. Kiedym marudząc, bo to także jedna z mniejszych wad moich, odliczał dziewięć szylingów, Mary rozmawiała z kupcem; a kiedym nareszcie wręczył pieniądze, kupiec oświadczył, że dość mu ośm, i jeden szyling zwrócił mi napowrót.

Podziękowałem i przyjąłem: ale cóż powiecie przyjaciele? przykro smutno i boleśnie mi się zrobiło! Było to coś nakształt jałmużny dla biednych emigrantów. Przypomniało mi się, że przed paru miesiącami, kiedy mię pewna spółka, raczej koterya oszukała, bardzo grzecznie się wyrażam, na tysiąc górą rubli, powiedziano mi z sztyderstwem: „Naco ci wywozić pieniądze z ojczyzny.” Niech im Pan Bóg nie pamięta mojej krzywdy, bo i ja staram się zapomnieć!

Poprosiłem pięknej przewodniczki, aby nas odprowadziła innymi ulicami. Wszędzie czysto, schludnie, dostatnio; oblicza spotykanych zadowolnione i wesołe. Gdzież jest ta nędza angielska, o której tyle się nazytałem i nasłuchałem? Albo jój nie ma, albo się ukrywa? Po długich doświadczeniach i wędrowkach po świecie, doszedłem do przekonania, że nędza tam tylko wychodzi na jaw, gdzie ludzie nie chcą sami *uczelnie* pracować, a wolą żyć cudzą pracą i cudzym kosztem. A takich jest u nas nie 400,000, jak to w tych dniach wyczytałem w nowo-założonej waszój gazecie „Wiek”, ale więcej, o daleko więcej, nietylko między Izraelitami.

Przechodząc mimo cukierni, wstąpiłszy do niój. Kazałem... chcę mówić poprosiłem, aby mi odważono jeden funt cukrów i z galanterya, na jaką zdobyć się mogłem, ofiarowałem miss Mary. Ale nowe zdziwienie: piękna tawernianka, tak lepiój, odmówiła grzecznie podarku i z dobrotliwym uśmiejchem:

— Zanieś to lepiój żonie i dzieciom—powiedziała.

Gdzież jestem o bogi! Co to za kraj! Policyant częstuje porterem; nicznajomi ściskają za ręce; kupiec nieproszony ustępuje z ceny; szynkarka nie przyjmuje podarku. A wszak ja tylko o trzy dni drogi od Warszawy, a o cztery od Wilna!

Powróciliśmy do domu koło szóstój. Przechodząc mimo, zajrzałem do tawerny: pełno ludu; ale wszyscy siedzieli cicho, spokojnie i popijali coś gorącego, bo się ze szklanek kurzyło. Mary

przeprowadziła nas do swojego lubego pokoiku i zapytała, co myślimy z sobą, robić?

-- Spać—odpowiedziałem.

— Zaczekajcie jeszcze chwilkę; zaraz do was powrócę.

I w momencie wbiegła z tacą i szklankami: jedną większą, z gorącym ponczem, postawiła przedemną; drugą lampeczkę z winem grzaném i biszkoktami, przed Julcią.

— Wypijcie to, to zdrowo, was ogrzeje; a teraz dobranoc. Śpijcie dobrze, tu bezpiecznie—mówiła cudna dziewczyna i podała mi rączkę.

Nie chwalebę się przed wami czytelnicy, ale powiem, że mię silnie ścisnęła za rękę. Szczerą miałem chęć, polskim obyczajem, ucałować tę drobną i delikatną łapkę, ale musiałem się wstrzymać; mogło to ją obrazić; przytém Julcia świadek; nareszcie gdyby to była jaka najpódrzędniejsza sędzianka, choć sowietnikówna... a to tylko szynkarka. Dziewczęta ucałowały się najserdeczniej.

Zaryglowawszy drzwi na zasuwkę, wypiwszy poncz i wino, w kwadrans potem, układliśmy się za kotarami na łózkach i ja przynajmniej zasnąłem snem takim, jakiego ci życzę przyjacielu po przeczytaniu, a nawet w ciągu czytania tych moich amerykańskich listów.

Już dzień zaglądał w okna; wdzierał się nawet za kotary łózka, kiedym się nareszcie obudził. Nie mogłem sobie zrazu zdać sprawę, gdzie jestem, ani co się ze mną dzieje? I długoby tego było, gdyby nie dały się słyszeć szepty i przytłumione śmiechy dziecinne: rozchyliłem trochę kotarę; o parę kroków od mojego łózka siedziały przy stole dwie panienki, rozmawiały pocichu, coś piły z filiżanek i chichotały. Zacząłem się przysłuchiwać—nie rozumiem; przypatrywać—toż Julcia! Ale ta druga? trochę starsza i daleko, o daleko piękniejsza! Gdzieś ją widziałem... ale gdzie i kiedy? Może we śnie, może w jakiej galeryi, w ramach, może to ideał, o którym marzyłem w młodości, a może to i teraz tylko marzenie? Ależ jakie piękne! Nie przerywajmy, będziemy tak marzyć dalej:

„Godziny, dni, lata;  
Do końca świata i po końcu świata!”

Wszakże trzeba wygodniej się ułożyć do tak długiego marzenia! Poprawiłem się więc na pościeli i już chciałem na nowo zmruczyć oczy, gdy dziewczeczki powstały, a głos znajomy Julci przemówił:

— Dzień dobry ojczulku; czy dobrze spałeś? Już po dziewiątej. Ja z miss Mery od godziny rozmawiam, doskonale się rozumiemy. Teraz wyjdziemy; za chwilkę powrócimy; a ty się ubieraj; masz tu wszystko, co potrzebne: wodę do mycia, grzebienie, szczotki i kawa lub czekolada. Proszę nie zwlekać, bo mama czeka na okręcie, może się niepokoi?

Te słowa, które Julcia prędko wyrecytowała, przypomniaty mi rzeczywistość: jestem w Anglii w Southamton, w tawernie, żona i rodzina w porcie na okręcie; udajemy się do Ameryki i za trzy godziny okręt odpływał

Nie ma rady! ubrałem się prędko i już siedziałem przy kawie, gdy dziewczęta wróciły.

Do kawy podano masło, bułki, sér, szynkę; zmiotłem to wszystko, aż się Julcia przelękała mojego apetytu. Przypomniało mi dobre dziecko, że mama kazała nam kupić kawał ceraty dla Pawełka. Ach, bo ja, patrząc na Maryą, gotów byłem o bożym świecie zapomnieć. Ledwobym nie poszedł o zakład, że każdy z was czytelnicy, rozumie się płci brzydkiej, toż samoby uczynił, gdyby miał szczęście na mojem miejscu się znajdować! Dziewczęta pogadały z sobą i Mary wybiegła, a Julcia oświadczyła, że ceratę rychło przyniosą.

— Coś ty zrobiła niebacznal! Przynieść towar do mieszkania! toż każą nam podwójnie zapłacić.

— Nie bój się ojcze, to Anglia—kraj cywilizowany.

— Kraj kupieckil! Obdzierają pięć części świata, sprzedają opium Chińczykom, bałwany poganom, broń i proch ludożercom.

— Ale darmo rozdają Bible i książki naukowe Indyjanom: posyłają missyjonarzy do pogau, a obaczysz ojcze, że nas biednych wędrowców nie obedną.

Kiedysmy się tak sprzeczali, wbiegła Mary, a za nią 14-to letni chłopczyk, przynosząc mały zwitek orzechowój ceraty, której strona odwrotna przypominała flanelę. Rozwinąłem, nie mając łokcia, przemierzyłem dłonią; było z czemś dziewięć piędzi na długość, a sześć na szerokość, zatem prawie 3 i 2 łokcie. Gatunek, miękkość wyborne; słowem to właśnie, co nam było potrzeba. Zdziwiło mię tylko, że kupczyk nie przyniósł wielkiego tłumoka, z kilką lub kilkunastą okazami; nie zaczął nam z początku pokazywać gorszych gatunków, nim doszedł do lepszych: nie zachwalał, nie zachęcał, nie zaklinał się na świętości starego lub nowego testamentu, ale przyniósł to tylko i tyle tylko, cośmy żądali.

— Zapytaj o cenę!

— Szyling i dwa pensy.

— Tak tanio! siedmdziesiąt groszy? to być nie może. Zapytaj raz jeszcze!

— Ale tak ojcze, szyling i dwa pensy.

Chciałem już zacząć targować się o dwa pensy, alem się zawstydził. Pomyślałem w duchu: cóż ci wyspiarze pomyślą o naszym kraju, kiedy się będą targował o kilka nędznych groszy? Mogą pomyśleć, że nasz kraj ubogi. Nic! Dla honoru ojczyzny dobytek portmonetkę i nie targując się, zapłaciłem wszystko, co żądał.

Kupczyk wziął pieniądze, skłonił się grzecznie i nie podziękowawszy, wyszedł.

Teraz trzeba było przystąpić do obrachunku z tawerną, który mię trochę niepokoił.

— Zapytaj Julciu, ile trzeba zapłacić za nocleg i za wszystko, cośmy spożyli?

— Należy od was sześć szylingów; ale jeśliście biedni, to nic nie weźmiem, bośmy téj nocy przez was więcej, niż zwykle zarobili.

— A to jak?

— Wasz toast zachęcił gości; pili za wasze zdrowie, rozmawiali o was i o waszym kraju, a traktowali się tak szczerze, że jeszcze dotąd kilku spoczywa *w pokoju pijaków*. Ale to są wszystko porządne dzentlemeny—dodała z pośpiechem.

Odliczyłem prędko sześć szylingów; a że mi jeszcze zostało monezy z rubla i półimperyala, poprosiłem, aby nam podano najmniejszą porcją befsztyku, plumbpodding i herbaty. Chciało się *użyć* Anglii! A poprawdnie powiedziawszy, chciało się podjąć tak, aby to wystarczyło na parę tygodni, to jest do czasu, nim wylądujemy w Ameryce.

Na jednę z etażerek był papier listowy i wszystko, co potrzebne do pisania. Za pozwoleniem Mary, napisałem prędko list. Był to mój pierwszy z podróży, tylko nie do przyjaciół, a do przyjaciółki mojej żony i nas wszystkich. Powracając do okrętu, wręczyłem owe pismo z kilką pensami spotkanemu listonoszowi, którego mi wskazała Mary. Odtąd zamieniliśmy z ową przyjaciółką kilkanaście listów, a jednak nie wiem, czy ów list z Southampton rąk jój doszedł; jeśli tak, to wielki dowód poczciwości pana listonosza, bo nie mając czasu na kupienie i przyklejenie marki, dałem pieniądze.

Przyniesiono lunch, to jest drugie śniadanie: zrepetowałem wszystko. A ponieważ już była godzina jedenasta, zatem dopłaciwszy szylinga, zeszliśmy na dół. Ale tu mię wzięła ochota zajrzeć do *pokoju pijaków*; powiedziałem o tém Mary. Uśmiechnęła się, dostała z za paska świstałkę i gwizdnęła. Natychmiast zjawił się garson z tawerny.

— Zaprowadź tego dzentlemana i pokaż mu... wiesz ten pokój; a ty Dziulio nie idź tam; ja tam nigdy nie chodzę.

Zszedłem o kilka stopni na dół, garson otworzył drzwi: była to wielka izba sklepiona, przypominająca refektarze naszych starożytnych klasztorów; światło bardzo słabe, wdzierало się z góry przez małe okienka; przy ścianach i po środku, stało z tuzin łózek, z których trzy było zajęte, na dwóch leżeli pijacy rozebrani, na jedném ubrany. Spali i chrapali straszliwie. Przyznam się wam, że byłoby widok obrzydliwy, choć angielski. Nie mogąc rozmówić się z przewodnikiem, a chcąc wiedzieć, ilu téj nocy spało tu bohaterów bachusowych, pokazałem trzy palce z giestem zapytania. Zrozumiał to widać garson, bo mi pokazał 5 palców jednéj ręki, a trzy drugie; a potem

wskazał pięć łózek, na których pościel była rozrzucona. Nocowało więc tu ich ośmiu!

Bawiłem niespełna dobę na wolnej ziemi angielskiej; doświadczyłem dobroci, przyjaźni, rzetelności, nawet bezinteresowności jej mieszkańców; ale naostatku, widziałem na własne oczy i nędzę angielską! Wszakże i ta ostatnia, ledwo nie powiem, jest przyzwoitszą od takiejże w naszym kraju. Tu pijaki nie walają się po rynsztokach!

Gdybym umiał po angielsku, zapytałbym się o wielu szczegółach i miałibyście dokładny, a może i ciekawy opis zwyczajów tawerniarnych. Ale na ten raz, nie chciałem używać córki za tłumacza; a do tego zbliżało się południe i trzeba było powracać na okręt.

— Chodźże prędko ojcie — mówiła, postrzegłszy mnie Julcia. Mery chce nas przeprowadzić na okręt, poznać mamę i braciszków. Proszę nie zwlekać, bo inaczej mama odpłynie, a my tu zostaniemy.

— Cóż wówczas pocniemy?

— Ja nie wiem co ty pocniesz? co do mnie, przystanę do miss Mery na garsona.

W kilka minut wchodziliśmy na okręt. Od nas zapotrzebowano biletów. Piękna nasza przewodniczka przemówiła słów kilka do Cerbera okrętowego i ją wpuszczono. Bo też jak powiada, nie pomnę już który poeta, w niezbyt wyszukany rymie: „I drzwi i rygle piękna, przed tą, która jest piękna.“ Ach, gdyby nieboszczyk pan Orfeusz miał takiego przewodnika do piekieł, jak ja do okrętu, nie potrzebowałby rzucać kielbasy Cerberowi, a nawet Eurydykę wyprowadziłby cało i zdrowo na świat, bo patrząc na piękną Mary nie oglądałby się na własną, choćby najpiękniejszą żonę.

Ale moja już mnie czekała na pokładzie!

— Byłam o was niespokojna! Goście tak długo zabawili? Kto jest ta panna co z Julcią idzie?

— Widzisz moja duszko, jak dbam o wychowanie dzieci! Tę pannę, Angielkę, zgodziłem na guwernantkę do Julci; nawet bardzo nie drogo. Pojedzie z nami do Ameryki; zna trzy, a może i cztery języki; akcent wyborny, a co za głosek! Zajmie się także starszemi chłopcami, a może da Pan Bóg inną?

— Żartujesz, czy co?

— Jak ciebie . . .

Możebym dodał i „kocham“, ale Julcia podbiegła i wtrąciła swoje trzy grosze, chcąc mówić swoje półtora kopiejki.

— Niech mama nie wierzy, papa żartuje. To miss Mery moja przyjaciółka, córka gospodarza tawerny, gdzieśmy noc przepędzili, a to moja mama, także Mery.

Podaly sobie ręce i pogadawszy za pośrednictwem Julci, poszły do sali kajutowej, zapewne aby pokazać Angielce młodsze dziatki.

Patrzę, aż tu moje dwa starsze chłopaki leżą witać się ze mną. Uwolnili mnie od kołdry, ceraty, cukierków.

W tym czasie schodzili się pasażerowie okrętowi i przybywali nowi. Między innymi weszła na pokład rodzina, składająca się z czterech osób: mężczyzna lat pod sześćdziesiąt, szczupły, słuszny, szpakowaty, czysto wygolony, sympatycznej fizygnomii; dama młoda, przystojna, prawie piękna; panna także młoda i przystojna i dwunastoletni chłopczyk, dziwnie podobny do damy. Kobięty i chłopczyk wystrojone: mężczyzna przyzwoicie, ale skromnie ubrany dźwiagał *saque de voyage* i niósł klatkę z słowikiem, a za nimi szło kilku majtków noszących tłomoki, klatkę z zającami, drugą z sową i rośliny w wazonach.

Rozpisuję się tak obszernie dlatego, że rodzina ta grała rolę opatrnościową w nieszczęściach, które nas spotkały w pierwszych chwilach po przybyciu do Ameryki.

W tym czasie Tazio odniósłszy sprawunki do matki, wybiegł na pokład. Skoro ujrzał owego chłopczyka, podbiegł ku niemu, zaczął się z nim witać, ścisnąć, całować; oba byli uradowani. Pogadawszy z sobą, po niemiecku, podeszli do mnie i Tazio przedstawił mi ceremonialnie:

— Mój przyjaciel i kolega Ryszard Korner obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki: byliśmy w Dreźnie w jednej klasie. Mój ojciec.

Ścisnęliśmy się za rękę z dwunastoletnim obywatelem amerykańskim, ale rozmówić się nam było trudno, bo pan obywatel nie mówił ani po francuzku, ani po rusku, ani nawet po polsku. Wziąwszy od Ludka cukierki, podałem obywatelowi; wziął jeden nie patrząc, ukłonił się i pobiegł z Taziem do swoich rodziców. Tam także nastąpiło ceremonialne przedstawienie.

— Thaddeus Horain, mój przyjaciel i szkolny kolega; Thomas Corner, mój ojciec; Lady Corner, moja matka; Miss Lady Corner, moja siostra przyrodnia.

Tazio był szczęśliwszy, bo mógł rozmówić się z niemi choćby obu naraz językami.

Zostawiwszy Tazia rozprawiającego z Amerykanami, Ludka trzymającego cukierki i z zazdrością spoglądającego na brata; sam poszedłem do sali kajutowej. Niemam potrzeby mówić co mnie tam nęciło: domyślą się tego łatwo obu płci czytelnicy. Miss Mary siedziała między moją żoną i Julcią i w tej sprawie wydała mi się jeszcze piękniejszą. Damy rozmawiały z sobą przyjaźnie; Władzio był na kolanach u Angielki, Michaś tulił się u kolan. Kilku mężczyzn, pasażerów kajutowych chodząc po sali, niby od niechcenia *zérkali* na damy. To mi się nie podobało, bo wiedziałem że nie na moją żonę lub córkę.

Zegar wskazywał pół do drugiej, zadzwoniono na pokładzie, zrobił się ruch i Angielka zaczęła się żegnać z moją żoną i dziećmi. Uściskała Julcię, ucałowała chłopczyka, a mnie podała rączkę; a ja... a ja nie mogłem wytrzymać, i nie zważając na obecność magnifiki,



ścisnąłem łapkę tak szczerze, zacząłem całować tak serdecznie, że miss Mary krzyknęła „shoking!“ i wyrwała rączkę. Z całą rodziną, oprócz teści i Pawełka, odprowadziliśmy ją na pokład, gdzie Julcia przedstawiła jej dwóch starszych braci.

Zadzwoniono raz drugi i Mary ścisnąwszy nam ręce raz jeszcze, opuściła okręt. Podjęto most przechodowy, zadzwoniono raz trzeci, dała się słyszeć świstawka kapitana, potem sternika, kominy maszyny parowej buchnęły dymem i parą, i *Baltimore* się poruszyła.

Przed trzema dniami opuściliśmy stały ląd europejski, teraz opuszczamy wyspę. Prawdopodobnie starego świata już więcej nie zobaczę; nie zobaczę i Mary! Żegnaj się więc i z wami przyjaciele-czytelnicy, z tą tylko różnicą, że prawdopodobnie nie raz spotkam się z wami na kartach Biblioteki Warsz., a z piękną Mary, chyba na Józefatowój dolinie!

Pytanie, czy będzie tak piękną?

Teologowie dowodzą, że będzie wyglądać wówczas na lat 33, zatem siedmnaście lat przyjdzie jej dodać; i ja też będę wyglądał na lat 33-y, zatem przyjdzie mi tyleż ująć, aby się nasze lata zrównały. Powiadają że któremuś Polakowi pozwolono zabrać *nadzieję* do piekieł; ja moją zaniosę na Sąd Ostateczny, mający się odbyć na Dolinie Józefata.

## Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej 1).

Paryż, 9 listopada 1873 r.

Czytam w ostatnim tomie Biblioteki Warszawskiej (str. 134—140) recenzją książki: *Le monde Slave*, której rozbierać nie zamierzam. Tylko że w tłumaczeniu jednego z ustępów mojej książki znajduje się błąd, którego przepuścić nie mogę.

Na stronie 139 bezimienny autor recenzji tłumacząc słowa: „*La modeste érudition de M. A. Chodźko*” dał im znaczenie takie, że *nauka pana A. Chodźko jest skromna czyli mierna*; gdy tymczasem moje słowa znaczą, że p. A. Chodźko jest *razem uczony i skromny*: w czém pozwalam sobie odesłać pana recenzenta do słownika Littrego: „*Dictionnaire de la langue française.*” Tome III, pag. 58. Trajan cherchait le mérite *modeste* pour l'employer et le récompenser parcequ'il était *modeste* lui même (Voltaire).

<sup>1)</sup> List ten pisany po polsku, dosłownie na żądanie p. L. Loger umieszczamy.

Mam prawo ufać, że szanowna redakcyja umieści moje sprostowanie w przyszłym numerze Biblioteki.

*L. Leger, Docteur e Lettres.*

30 quai d'Orléans.

## PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

### *Początki Unii Lubelskiej przez D-ra Augusta Mosbacha (Poznań 1872)*

Unia Lubelska była owocem i wynikiem dwuwiekowej pracy Jagiellonów (1386—1569); pierwszy z nich bowiem, Władysław, wstępując na tron polski, wprowadzając chrześcianizm do Litwy i nakładając ją do połączenia z Polską, rozpoczął dzieło zjednoczenia, które w ciągu tych dwóch wieków, najrozmaitsze przechodząc fazy, ostatecznie zostało dokonane i w formach swych określonym przez ostatniego z Jagiellonów, na lat parę przed zgonem jego. Znanem jest powszechnie, jak bardzo Zygmunt August pragnął utrwalić to połączenie, usankcyonować go nowem; jakby przeczuwał, iż ze śmiercią jego, kraj rzucony na nowe tory, oddany sam sobie, pchnięty przez możnowładztwo szlacheckie w groźne z samym sobą zapasy, odbywać się mające przy każdej elekcji, więcej niż kiedykolwiek potrzebować będzie owęj spójni i łączności.

Historya tedy tój Unii, za rządów Jagiellonów, dzieje kolejnego zbliżenia się instytucyj, ustaw, to dzieje daremnych wprawdzie, lecz groźnych zrazu i niebezpiecznych dla jedności obu krajów usiłowań książąt litewskich, do wytworzenia odrębności państwowej i udzielnęj, niezależnej korony litewskiej, nowo bowiem zaprowadzony stan rzeczy, podkopywał stare ich możnowładztwo feodalne. Zbiegiem okoliczności, umiejętnem oraz przeprowadzeniem całej sprawy przez władzę królewską, te dążności zostały udaremnione.

W ten też sposób autor powyższego dzieła, a znany już zaszczytnie z innych prac historycznych, podał nam szczegółowy obraz tój dwuwiekowej pracy Jagiellonów. Dziełku swemu p. Mosbach dał tytuł: „*Początki Unii Lubelskiej*” rzeczywiście bowiem, począwszy od wstą-

pienia na tron polski Władysława Jagiełły, od zjazdu horodelskiego i pierwszych zobowiązań, przyjętych względem korony polskiej przez książąt litewskich, rozpoczyna się długi szereg prac przygotowawczych, które wreszcie doprowadzają do pamiętnego w dziejach polskich r. 1569.

Dzieło to p. Mosbacha, jakkolwiek w tym zakresie wielu już liczyć możemy pracowników, jest jednak pierwszym, obejmującym w jednolitym obrazie cały przebieg dziejowej pracy Jagiellonów, od początków Unii, t. j. od Władysława Jagiełły, aż do czasów Zygmunta Augusta, a opracowane na podstawie cennych źródeł, w ostatnich czasach wydanych, bogatym jest przyczynkiem dla historycznej literatury polskiej.

Wykazawszy założenie i zakres pracy p. Mosbacha, rozpatrzmy teraz treść jej w pobieżnym przynajmniej przeglądzie.

Jak wyżej już mówiliśmy, opowiadanie swoje rozpoczyna autor od chwili wstąpienia na tron polski Władysława Jagiełły. Król ten, objąwszy koronę polską, rządy Litwy oddał pokrewnym sobie książętom, zapewniając sobie ich wierność i uległość. Kolejno tedy jedni po drugich, wszyscy książęta litewsko-ruscy zaprzysięgają wierność królowi Władysławowi, małżonce jego królowej Jadwidze i koronie polskiej, a między niemi sam nawet dumny Witold, który po licznych walkach, zdradach i przeniewierstwach, objął dożywotnie wielko-książęce rządy na Litwie w 1392 r.; uchwała zaś zjazdu wileńskiego (18 stycznia 1401 roku), obwieszcza Unią którą ze strony korony potwierdza zjazd radomski, następnego roku odbyty.

Połączenie tedy Polski z Litwą było już faktem dokonany, niemniej przeto, co chwila znajdującym przeszkody do trwałego istnienia. Na związek ten niechętnie patrzył zawsze wrogi Litwie i koronie zakon Krzyżowców; mistrz krzyżacki Konrad de Jungingen, wszelkimi dokładał starań, aby zerwać go, na nic jednak nie zdały się liczne pisma i listy jego, którymi obsyłał wszystkie dwory europejskie, poczynawszy od papieża. Zawiść zakonu względem Polski, wydzierającej mu pole do łatwych zaborów pod pozorem szórczenia chrześcijaństwa, zakończyła się zawziętą walką i ciężką klęską zakonu (1410), również bezskutecznymi okazały się wszystkie zamachy i matactwa niemieckie. Z tych więc niebezpieczeństw, jednak ta wyszła zwycięzko.

Daliej przedstawia nam autor usiłowania coraz ściślejszego zespolenia. Na zjeździe jeszcze wieluńskim 1387 roku, Władysław Jagiełło obdarza bojarów litewskich swobodami, jakich używali w Polsce ich ródwiennicy.

Węzły te jednakże, znów o mało zerwane nie zostały przez dune osmdziesięcioletniego Witolda, chciwego coraz szerszej władzy, marzącego o oddzielną koronę litewską i zupełną niezależności. Do tych marzeń ambitnych, nie mało przyczyniły się intrygi i podżegania nienawidzącego Polskę Zygmunta, a po części także niechęć książąt i panów litewskich. Na zjeździe łuckim (1429), zachcianki Witolda rozbiły się o niewzruszoną stałość senatorów polskich i następnego roku zmarł

ów ambitny starzec, który pragnął choć umrzeć królem, tak go niepokoiła przewaga krewniaka, któremu hołdować był zmuszony, a nad którego, pod względem charakteru, rozumu i zdolności, bodaj czy nie-słusznie, wyżej stawiał siebie. Ustęp ten jednakże o rządach Witoldowych na Litwie, jego dążnościach i zamiarach, sporach z Władysławem i t. d., nader pobieżnie jest skreślony przez autora; prawda, że gdzieś indziej posiadamy już szczegółowe opisy tych sporów i nieporozumień, ale tutaj należało się bardziej wyczerpujące opracowanie, tém bardziej, iż Witold ważne zajmował tu miejsce i był jakoby przedstawicielem opozycji litewskiej, przeciwko unii z Polską.

Śmierć tego groźnego przeciwnika jedności litewsko-polskiej, usunęła grożące jej niebezpieczeństwo. Wprawdzie następcą po nim, Bolesław Swidrygajło z ramienia Władysława wyznaczony wielkim księciem litewskim, odziedziczył po Witoldzie dumne tamtego zachcianki i przeniewierzył się królowi mimo przysiąg i zawartych układów. Spór o Podole, o które książęta litewsko-ruscy rościli pretensye, a które wraz z Wołyniem było zawsze kłótnią niezgody od czasu jeszcze zaboru wareskiego, wywołał krwawe zatargi, skutkiem których nastąpił upadek Swidrygajły, a Kiejstutowicz Zygmunt brat Witolda, miejsce jego zastąpił. Nauczony smutném doświadczeniem swego poprzednika, Zygmunt zaniechał planów o niezależności; wydaném w 1432 roku zaręczeniem wierności uznaje się króla hołdownikiem i dożywotnym tylko księciem Litwy, następnego zaś roku (1433), aktem spisany w Trokach, oświadcza, iż Podole i Wołyń, uznaje za części nierozdzielne królestwa polskiego. Z drugiej znów strony, dostojnicy koronni na zjeździe w Nowym Korczynie zaręczali, że król dotrzyma przyrzeczeń, zrobionych Zygmunтови. Niedługo jednak cieszył się stary Jagiełło uregulowaniem spraw litewskich, zmarł bowiem wkrótce potem (31 maja 1434).

Z wstąpieniem na tron polski Władysława III, stan rzeczy nie zmienił się, a choć Swidrygajło sprzeciwiał się długo jeszcze na Litwie i Wołyniu, to jednak związek litewsko-polski utrwał się coraz nowemi przyrzeczeniami. W 1438 i 1440 latach, młody król potwierdza wszystkie prawa i przywileje, dane Zygmunтови, ten ostatni zaś odnawia swe układy aktem sporządzonym w Grodnie 7 marca 1439 roku. Rychło jednak potem śmierć Zygmunta, zamordowanego z poduszczenia może Swidrygajły, nowe wywołała niepokoje, albowiem panowie litewscy rozmaitych prowadzili pretendentów na wielkorządztwo litewskie. Skończyło się jednak na Kazimierz, bracie królewskim.

Tutaj autor nie zwraca dostatecznej uwagi na naturę władzy, jaką król powierzył nowo wybranemu księciu litewskiemu, a przecież takowa znacznie więcej już ograniczoną była od władzy, jaką na mocy królewskich przywilei posiadali Witold, Swidrygajło i Zygmunt. Tamci, jakkolwiek zaręczali swą wierność królowi, to z drugiej znów strony, otrzymywali także zaręczenia, iż nadane im prawa i przywileje, dochowane będą. Tymczasem Kazimierz pojechał do Litwy z władzą wielkorządcy tylko i namiestnika królewskiego, a gdy panowie litewscy wy-

nieśli go na stolicę wielko-książęcą i przysięgę mu na wierność wykonali, Władysław potwierdzić go nie chciał w tój godności.

Nowy tedy kierunek przyjęła polityka królewska względem Litwy, a który w następstwie czasu, Kazimierz rozwinąć miał jeszcze śmiałej, nie zważając nawet, iż takowy zachwiał chwilowo dobre stosunki Polski i Litwy. Władysław, nie potwierdzając Kazimierza w godności wielko-książęcój, usiłował w ten sposób bliżej zespolić oba kraje, zcentralizować władzę naczelną, która rozdzielona, dawała pohop do niezależnych dążności, do oderwania się może zupełnego Litwy. Krok to był śmiały, a choć konieczny, mógł przecież wywołać groźne niebezpieczeństwa, takowe jednak z większą mocą się objawiły, gdy Kazimierz, przyjąwszy koronę królewską, największych ofiar wymagał od Polski, zadośćuczynienia nietylko słusznym wymaganiom Litwy, ale nawet nieprawnym jej roszczeniom, ażeby zjednoczenie jeszcze chwiejne i niepewne uczynić silném i trwałem. W ten sposób zapatrujemy się na stanowisko Władysława względem brata, jako wielkorządczy litewskiego, w ten sposób tłumaczymy sobie zawiłe i często błędnie rozpatrywane stanowisko Kazimierza, jako króla polskiego względem Litwy, a fałszywie przypisywane mu poświęcanie interesów polskich dla ulubionój Litwy, uważamy tylko jako zręczną kombinacją polityczną, mającą przed sobą jeden tylko cel wielki.

Rządy Kazimierza na Litwie, następnie długoletnie panowanie na tronie polskim, jestto epoka niezmiernego znaczenia w dziejach Unii. W dziele jednak pana Mosbacha, nie znajdujemy ani dostatecznego rozpatrzenia spraw bieżących, ani nawet wyczerpania szczegółów. Z wątku opowiadania nie sposób poznać ani dążności Kazimierza, ani jego planów na przyszłość, ani stanowiska jakie zajął w obec licznój partyi separatystów litewskich i równie licznego stronnictwa niechętnych Litwie Polaków. Znaném jest przecież, że w skutek sprawy z księciem Bolesławem Mazowieckim, o mało rycerstwo polskie nie ruszyło by wspierać go przeciw nienawistnej Litwie; w pracy pana Mosbacha nic o tём nie znajdujemy, zaledwie wzmiankę tylko o zwołanym do Parczewa sejmie, a który rozszedł się nic nie działawszy.

Wielu historyków wręcz zarzuca Kazimierzowi przyjęcie spuścizny Witoldowój i dążność oderwania Litwy od Polski, we wszystkich tóż jego czynnościach widoczną upatrują niechęć dla korony. Czy zdanie to powszechne niemal, jest uzasadnione, szanowny autor historii Unii zdania swego nie wyraża. A przecież ciekawémby było wysledzić rzeczywiste plany Kazimierzowe w obec tak śmiałych zarzutów. Czy wzrastająca potęga Litwy, czy silne stanowisko, które wyrobił jój Kazimierz, zmuszając do ukorzenia się burzliwego Swidrygajły, utrwalając swe wpływy w dalekim Pskowie i Nowogrodzie, zawierając traktat przyjaźni z hospodarem mołdawskim, czy to wszystko mimowoli nie wzniecało w Polakach obawy, czy nie nasuwało myśli, że szczęśliwy książę, zapragnąłby zostać panem udziałnym? Od posądzenia do oskarżenia krok tylko jeden i tak przypisano Kazimierzowi zamiary,

jakich nie miał, jakich mieć nie mógł, bo czyżby chciał wyrzec się korony królewskiej dla korony, którą stworzyćby musiał, a która na długo chwijną i wątpliwą byłaby?

Kazimierz Jagiellończyk zostawszy królem polskim, nie zmienił bynajmniej swojej polityki względem Litwy; jak pierwój tak i teraz, pochlebiał i dogadzał wszystkim zachceniom podejrzliwych a nieufnych jeszcze bojarów litewskich, z widoczną nawet stronnością, bo chodziło mu przedewszystkiém o wstrzymanie rozpadającego się związku w skutek zaciętych sporów o Podole i Wołyń, które tyle lat trwały. Na ciągłych zjazdach i sejmach, rozpatrywano sporne kwestye. Kazimierz chciał doprowadzić do porozumienia niechętnych sobie, a ze strony polskiej, pragnął największych chociażby ofiar, aby związku nie naruszyć. Niemniej jednak stały znalazł opór, równie groźny, jak domagania się Litwy. Szły tedy w niepamięć—powiada autor, horodelskie zobowiązania i przyrzeczenia, bo możnowładztwo rusko-litewskie czyniło rozbrat z Polską, a usiłowaniom i zamachom takim, niejako przywtarzał sam Kazimierz, odstręczając od siebie serca panów polskich. Zapewne miał tu autor na myśli sejm piotrkowski 1449 r., na którym Kazimierz odmówił potwierdzenia praw koronnych, które wedle jego zdania, stanowiły uszczerbek dla swobód litewskich.

Długo trzymał się Kazimierz na stanowisku oporném, względem domagań się panów koronnych, których jawna niechęć dla Litwy, coraz silniejszą była, aż wreszcie na zjeździe piotrkowskim 1453 r., król zaprzysiął takowe, zapewniając, iż cokolwiek niesprawiedliwie od tego królestwa oderwano, to według możliwości usiłować będzie przywrócić i z całością państwa złączyć. Postanowienie to królewskie wymuszone było, o czém p. Mosbach nie wspomina, groźną postawą senatu polskiego, mówiono bowiem o obraniu nowego króla, gdy Kazimierz jeszcze się ociągał w potwierdzeniu ich praw i swobód, i że w obronie całości rzeczypospolitej senat i rycerstwo połączą się razem.

Rad nierad, Kazimierz uznawał wreszcie Podole i Wołyń za ziemie należące do korony, inaczej zrobić nie mógł, wiedział bowiem, że o Ziemię tę, Polska gotową jest zerwać unią litewską, że z orężem nawet w rękę, jak się odgrażali, pójdą panowie koronni przeciwko Litwie. Zażegnawszy tedy jako tako burzę w koronie, Kazimierz ujrzał się znowu w groźném położeniu ze strony Litwy. Posłowie litewscy, znalazłszy króla w Łęczycy (30 sierpnia 1456), ostro go upraszali, aby wrócił do Litwy i oddał Podole wedle obietnicy, inaczej oni dłużej cierpieć nie chcą owój krzywdy i orężnie odzyskiwać będą Podole i ziemie oderwane od Litwy. Nowy więc kłopot czekał króla, a do tego jeszcze nadchodziły niepokojące wieści: powiadano że Litwa znosi się z Krzyżakami, a wojewoda wileński Jan Gasztowt, naczelnik stronnictwa litewsko-ruskiego, pragnie obalić unią z Polską i wynieść na tron książęcy Semena Olelkowicza, który poślubił był jego córkę. Uwiadomiony o tém wszystkiém Kazimierz Jagiellończyk, nie chciał bardziej jeczce rozdrażniać tak dalece nieprzyjaznego stronnictwa,

odpisał posłów bez odpowiedzi, a wkrótce potem sam wyruszył do Wilna, dokąd przybywszy w kwietniu 1457 roku, nowe nadał swobody bojarom litewsko-ruskim. Chwilowo spory przycichły, rychło znów jednak nanowo się wszczęły, przezorna jednak rozważa Kazimierza, mimo tylu trudności, zdołała przecieżyć utrzymać unią, tyle razy na tak groźne niebezpieczeństwa narażoną.

Jak mówiliśmy powyżej, rządy Kazimierza Jagiellończyka stanowią najważniejszą może epokę w dziejach Unii, i oczekiwaliśmy od autora wyczerpania całkowitego przedmiotu, tém bardziej, iż znajdują się tutaj kwestye sporne, których rozstrzygnięcia dotąd nie mamy. Tymczasem mimo wielu ciekawych a nowych szczegółów, podanych tutaj ze źródeł nietykanych dotąd przez naszych historyków, znajdujemy liczne niedokładności, o których powyżej wspominaliśmy, a które chyba przez pośpiech autora wcisnąć się mogły do pracy z innych względów tak sumiennie i gorliwie traktowanej. Ale przepatrzymy dalej dzieje Unii i szczegóły owych zebrane przez autora.

Kazimierz umarł w Grodnie 1492 r., a skolatany pracą, przyciśniony wiekiem, w ostatniej chwili zabrakło mu dostatecznej mocy charakteru, aby oprzeć się namowom zawsze niechętnych Polsce Litwinów. Wyznaczając po sobie wielkim księciem litewskim Aleksandra, a królem polskim Olbrachta, Kazimierz tracił owoc kilkudziesięcioletniej pracy i Unia osłabiała się pomału tym nowym podziałem, który przypisać można chyba niedołężności króla w ostatnich chwilach jego życia. Jak zaś Litwa zapatrywała się na to zorwanie horodelskich zobowiązań, świadczy mowa litewskiego marszałka Litawora Chreptowicza, który wręczając nowemu księciu miecz i laskę, w ten sposób przemówił: „Stanieć to księstwo za wszelkie państwa: tylko ty oburącz nam panuj; w jednej miecz w drugiej trzymając laskę. Prosimy cię, abys nie włoskim, który jest obłudny, ani czeskim albo niemieckim obyczajem, ale prawdziwym litewskim i Witoldowym przykładem nami rządził i nas sądził. Inaczej i własność, i naszą zguby będziesz przyczyną (str. 78).” Tak przemawiali panowie litewscy w chwili obrania Aleksandra W. księciem litewskim, w kilka jednak lat później, odnowiono unią na sejmie wileńskim (24 lipca 1499 roku). Następstwem tego zbliżenia był pierwszy przyjazd posłów litewskich na elekcyą po śmierci króla Olbrachta, a przez co zapewnili koronę polską Aleksandrowi.

W dalszym ciągu swój pracy, autor kreśli szczegóły nadzwyczaj ważne i ciekawe, o wprowadzaniu magdeburgii i ziemskiego prawa polskiego do Litwy. Pracę tę, rozpoczętą przez Aleksandra, dalej prowadził Zygmunt, który obrany Wielkim Księciem, uznał i potwierdził wszystkie prawa i przywileje, nadane jój przez poprzedników jego. Otdąd już zjednoczenie nie było narażone na niebezpieczeństwo, przeciwnie nawet z dniem każdym wzmacniało się. Ostatnie wreszcie kartki, poświęca autor szczegółom rządów Zygmunta Augusta, jako Wielkiego Księcia

Litwy, aż do chwili objęcia przezeń korony polskiej, obiecując czytelnikom dopełnienie tej pracy, do ostatecznej unii 1569 roku.

Oczekując tedy z upragnieniem spełnienia obietnicy szanownego autora, kończymy nasze sprawozdanie, zaznaczając, iż praca p. Mosbacha, jako oparta na źródłach dotąd nietkniętych przez naszych historyków, niezmiernie jest ważnym materiałem do dziejów unii. Ale materiałem tylko, bo brakuje jej szerokich, samodzielnych poglądów, rozstrzygnięcia tych kwestyj wątpliwych, wreszcie sprawdzenia sądów, powtarzanych kolejno bez dotarcia do źródła owych. Fakta zebrane, nieznanie nieraz szczegółły wysledzone, rozwój społecznych urzędzeń na Litwie wykazany na podstawie ważnych danych, umiejętnie wreszcie nakreślone koleje, jakie w ciągu dwóch wieków przechodziła Unia polsko-litewska, oto są zalety pracy p. Mosbacha; ujemną zaś jej stroną jest brak krytycznego rozbioru tych tysiącznych faktów, które przesuwają się pod piórem autora. W każdym jednak razie „*Początki Unii Lubelskiej*” mają wysoką wartość dzieła źródłowego.

K. P.

*Wł. L. Anczyca „Obrazki dramatyczne ludowe“: Chłopi arystokraci.—Łobzowianie.—Błażek opętany.—Flisacy.* (W Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa, 1873—W Krakowie w drukarni Leona Paszkowskiego, w 8-ce str. 289).

*Lud.—Pieśni.—Podania.—Baśnie.—zwyczaje i przesady ludu z Mazowsza Czerskiego*, wraz z tańcami i melodyami, zebrał Kornel Kozłowski. Warszawa w drukarni Karola Kowalewskiego 1867 (w 8-ce str. 388). *O Huculach, rys historyczny* napisał X. Sofron Witwicki, wydanie wznowione, we Lwowie u Karola Wilda 1873 r. (w 12-ce str. 134).

Ośmdziesiąt lat dobiega, gdy pierwszy twórca teatru narodowego Wojciech Bogusławski, wyprowadził na scenę postacie ludowe, w słynnej operze *Krakowiacy i Górale*.

Bogusławski znający dokładnie tak jednych jak drugich, ze ścisłą prawdą umiał te dwa pobratymcze sobie plemiona do dramatycznego życia powołać. Przyjęła publiczność z zapalem tę nowość teatralną, gdzie obok rzeńskiego Krakowiaka stanął wysmukły Góral tatrzański. Utwór ten takiego doznał przyjęcia, że uczeń Bogusławskiego, a następnie dyrektor teatru we Lwowie Jan Nepomucen Kamiński, któremu zawdzięczyć trzeba utrzymanie sceny polskiej i rozwój jej wśród naj-



nieprzyjaźniejszego żywiołu niemieckiego, wstępując w ślady swego mistrza, jako dalszy ciąg, napisał *zabawkę* dramatyczną: „*Zabobon* czyli *Krakowiaczy i Górale*“, wprowadzając główne osoby też same. Utwór Bogusławskiego uważać należy, jako pierwszy objaw literacki wielce wpływowy, od pojawienia się bowiem takowego, zaczęto więcej zwracać uwagę na lud wiejski, i nabrano przekonania, że i polski chłopiek może się pojawiać na deskach teatralnych. Autor nie tylko w nim zachował język ludowy, nie tylko naśladował ale i żywcem przepisane z ust ludu podał nam piosnki, i ich melodye. Po dalszym ciągu *Krakowiaków i Górali* J. N. Kamińskiego, długo była osamotniona scena nasza z tych typowych postaci: pierwszy dopiero Fryderyk hr. Skarbek wprowadza je na nowo w swojej komedyi *Popas*, dla pokazania *rozumu chłopskiego*, którym sprowadza pożądaną zgodę w małżeństwie z wyższej warstwy społeczności, spieszącem do rozwodu.

W kilkanaście lat później J. Korzeniowski wyprowadził na scenę mieszkańców wyniosłych Tatrów, w jednym z najznakomitszych utworów dramatycznych w literaturze naszej p. n. *Górale Karpaccy*. Dramat to Szekspirowskiego zakroju, maluje nam Górali *Huculów*, co osiedli między Prutem a Czeremoszem, w całej prawdzie tragicznej.

Pan Wł. L. Anczyz w obrazkach swoich idzie śladami Bogusławskiego, i nie nastroja swoich utworów do tak wysokiego tonu. Są to rzeczywiście obrazki ludu galicyjskiego i okolic Krakowa, ujęte w formę dramatyczną, przedstawiające świat wiejski i jego społeczność. Autor zna dokładnie ten świat jak i postacie, które wyprowadza na scenę.

Na czele mamy szkic dramatyczny w jednym akcie ze śpiewkami: „*Chłopi arystokraci*“ jest też to utwór najwydatniejszy w tym zbiorze.

Główną w nim postacią jest *Katarzyna* żona kmiecia Wojciecha Koguciaka, która z powodu uwłaszczenia włościan w Galicyi, zaczyna grać rolę arystokratki, wedle swojego pojęcia. Piosnka którą śpiewa za pojawieniem się swoim na scenie, wybornie ją nam maluje:

„Kiej cłek pańskie grunta złapie,  
Przeniesiewa się do dwora,  
Będę siedzieć na kanapie,  
Będę sobie zawdy chora.

Bez cały dzień będę pila!  
Na obiad codziem gęsina:  
Harakiem się będę myła,  
Wiwat pani Kogucina!

Jak panowie z polityką,  
Z Wiednia se sprowadzę granie.  
Mnie zwać będą „dobrodzika“,  
Mego Wojtka „Jaśnie Panie!“

A gdy jadę do kościoła,  
Luberya konie zacina,  
Juz słyse jak naród woła,  
Wiwat pani Kogucina!

Wojtku! tobie fracek sprawie  
Sobie sal za reńskich dwieście;  
Bez lato w kąpielach bawie,  
W zimie będę siedzieć w mieście.

A gdy jestem za granicą,  
Wtedy myśląc zem grefina,  
Juz słyse jak Miemcy krzyca,  
„Wie geic Madam Kogucina!“

Do północka będę siadać,  
Do południa leżec w łózku,  
Po polsku nie będę gadać,  
Jeno zawdy po frajczuku.

Zapusec długie pazury,  
Gęba blada, kwaśna mina,  
Wierzchem jedwab', spodem dziury,  
Wiwat pani Kogucina!“!...

Tak rezolutna pani, codziennie dodając sobie animuszu wódką braną na kredyt u miejscowego arondarza, mając na wychowaniu młodą sierotę, a córkę zamożnego gospodarza, który zginął poszedłszy do wojska jak wieści przyniosły, postanawia pozbawić ją jój mienia. Jeden z jój synów *Szczepan*, stanowi tu wyborny typ chłopca galicyjskiego wziętego pod karabin, który wraca z zepsutym językiem i pragnie obełgiwać tak swą rodzinę, jak wszystkich krewniaków i znajomych. Główna siła komiki właściwej spoczywa na Katarzynie i tym jój synu. Pojawienie się feldwebela a ojca sieroty Marysi, ocala ją od przymusowego wyjazdu w obce strony na zatracenie, w czém głównie dopomaga niecnym zamiarom Mosiek arondarz; oddaje jój rękę drugiemu synowi Katarzyny, Marcinowi, którego ukochała, wraz z całym gospodarstwem i sam osiada na stare lata przy nich.

Nie będziemy podawali tu treści dalszych obrazków jak *Łobzowianie*, *Flisacy* i *Blażek opętany*, (którego treść podobną znajdujemy i w dawniejszych utworach innych pisarzy); w ogólności tylko powiemy, że wprowadzone postacie zalecają się wiernością, prawdą i z upodobaniem mogą być widziane na każdej scenie polskiej. Zaleca je piękny i czysty język, nieraz prawdziwy humor i dowcip, chociaż czasami rubaszny.

Od tych utworów literackich wywołujących lud na scenę, ale już nieco upoetyzowanych, przechodzimy do monografii etnograficznych. Pan Kornel Kozłowski daje nam starannie i umiejętnie opracowaną, obejmując okolice *Czerskie*. Dawna to siedziba Mazurów, a Czersk starożytniejszy gród od Warszawy. Lud też tych stron zachował wiele cech odrębnych od reszty zamieszkującej na Mazowszu, której szlachta rozsypawszy się po ogromnych obszarach od Wisły, Narwi i Buga, po za Dniepr z jednej strony, a z drugiej pod Tatry, w tych okolicach się rozrodziła od kilku wieków.

Po obszernym wstępie podaje nam zbieracz pieśni, wraz z opisem obrzędów przechowywanych, nie pomijając pieśni nabożnych i legend. Jestto pierwsza monografia, obejmująca tego rodzaju utwory poetyczne ludu, w osobnym dziale, i wdzięczni mu za nie jesteśmy, albowiem odpiera wymownie stawiany przed laty naszemu ludowi przez uczonego J. Papłowskiego zarzut ciężki, braku poczucia religijnego. Lingwista ten, nie znający ludu z bliska, a pisząc sprawozdanie o monografiach Oskara Kolberga, nieznajdując w nich pieśni pobożnych, wyprowadził powyższy wniosek, zapominając o tylolicznych zbiorach tego rodzaju utworów, jak *Kantyczek, kolend i pastorałek*.

Daliej, podaje nam pan Kozłowski „*Baśnie i gadki*“, wybitniejszej treści, zwraca uwagę na byt ludu, jego zwyczaje i przesady, a podawszy znaczenie z krajowego ptastwa w świecie ludowym, zakończy szanowną swoją pracę wymianieniem miejsc cudownych, które są przedmiotem czci religijnej mieszkańców tych okolic.

We wstępie znajdujemy bardzo ważną uwagę autora, którą podnieść nam należy.

„Wbrew ustalonemu powszechnie przekonaniu i dla zachęty tych, którzyby chcieli poświęcić trochę zbywającego im czasu dla nauki, powiemy, że nie jest znów zbyt trudnym zbierać pieśni i podania ludowe, zasługa ta jest większa od wyłożonej na to pracy i zachodu. Potrzeba tylko zamilowania i stosownego wzięcia się do rzeczy. Wprawdzie rozumiemy to dobrze jako rzeczy te szły z oporem i wielką trudnością tym, którzy jak Chodakowski, puszczały się na wędrówki po kraju, jeszcze gorzej tym, którzy jak Łukasz Gołębiowski, starali się poznawać lud z książek. Wieśniak nasz z charakteru wiekami wyrobionego i stosunku towarzyskiego, jeśli mało ma zaufania do najbliższych mu np. proboszcza lub dziedzica, nie ma go wcale do człowieka zupełnie dlań obcego, a którego wedle swojego wyobrażenia, już jako *surdutowa* uważa podejrzliwie, usuwając się tymbardziej i strzegąc, im więcej widzi usiłowania dlań niepojętego ku zbliżeniu, które mu się wydaje podejrzanom. Rzecz to bardzo naturalną, że co jest niezrozumiałem nie może budzić zaufania; dlatego też żądać niepodobna, żeby wieśniak wynurzał się i otwierał przed każdym z wędrowców, chciwych jego pieśni jego *serdecznego słowa*. Rodzimy klejnot, pieśń ludowa, zbyt jest szacowną i drogą, serdeczność z którego płynie nazbyt świętą, a żeby

niemi poniewierać. Lud to, jakoby wiedział instynktowo, umie cenić, dlatego by jego serce pozyskać, nie dosyć go ująć datkiem lub częstunkiem; potrzebaby z nim żyć, z nim cierpieć i z nim się cieszyć, złą i dobrą dolę z nim dzielać, jednóm słowem, pospołu i ciągle z nim przestawać.

„Jestto zadaniem nie dla uczonych, nie dla wędrowców, ale dla tych, którzy codziennie z ludem przestają, których jednoczy wspólny zawód rolnika, nie powiuno być rzeczą zbyt trudną wejść z tymże ludem w zażyłość i stosunki, bliższe i więcej serdeczne jak dotychczas. Szczególniej młodzi ludzie, synowie dziedziców, ze szkół do domu wracający, często bardzo przed rozpoczęciem swojego zawodu, mający najwięcej czasu swobodnego, mogliby najskuteczniej przyłożyć się do utworzenia wielkiego zbioru pieśni ludowych, podań i melodyi, którego wartość, gdyby tylko był zupełnym, dość wypowiedzieć nie można. Przed nimi bowiem, jak to z własnego doświadczenia mi wiadomo, wieśniak chętnie zaśpiewa, albo téż bajkę powie, na wesele poprosi, i do chałupy rad przyjmie. Pożądaneby było, gdyby kiedy młodzi miłośnicy nauki, powodowani myślą, którąśmy dopiero co wyrazili, pracę tę wspólnomi siłami poprowadzili.“

Myśl ta piękna i pożyteczna zasługuje na najsilniejsze poparcie i rozpowszechnienie; bo zaprawdę, tą tylko a nie inną drogą zdołalibyśmy od zatury uchronić i kwiat uczuć ludu w pieśniach żyjący dotąd, i fantazyę jego w powieściach i klechdach, a zarazem podania, drogocenne okrucy dla badacza przeszłości. Tą drogą pozyskaliśmy wielką księgę duchowego skarbu ludowego, o którym marzył, którego z upragnieniem wyglądał, znakomity myśliciel Hugo Kołłątaj.

A czas wielki zabrać się co rychléj a szczerze, do zbierania pieśni z melodyami, powieści i podań ludowych, albowiem przy zmianach stosunków rolniczych, giną one coraz więcej, wraz ze starożytnemi obchodami i zwyczajami, które początkiem swoim sięgają czasów przedchrześcijańskich. Z wielu już okolic smutne mamy przekonanie, iż wiele obchodów dawnych które przed dziesiątkiem lat istniały, już teraz w zapomnienie poszły i mnóstwo pieśni przygłuchło.

Spojrzymy teraz w daleki zakątek *Rusi Czerwonéj* po nad wybrzeża pełnego wspomnień historycznych *Prutu*, a za nim w kilku rzędach piętrzących się *Tatr*, pomiędzy górali *Huculów*, którzy te góry zamieszkałi.

Lud, jak i okolica długo nie znane ogółowi naszemu, chociaż to kraina może najpiękniejsza i najwięcej malownicza. Prut, jak niebieska wstęga, w ciągu kilkunastu mil przelęwa swe wody aż do Wołoszczyzny, a po prawój stronie wznoszą się i piętrzą jedne nad drugimi wspaniałe *Tatry*, którym króluję *Czorna-hora*, uwieczniona w pieśniach huculskich, a główna siedziba słynnego wodza opryszków *Dobosza*, który trwoga w XVIII stuleciu napelniał nie tylko całe nad-Prucie, ale zuchwale

zapędzał się po nad Dniestr i Stryj. Dotychczas lud tutejszy z dolin, zarówno jak Huculi, śpiewają pieśni, opowiadające szczegółowo chwile ostatnie jego życia.

Pierwszą wiadomość o tych górach znajdujemy w *Starych gawędach i obrazach* (Warszawa 184 ) którą autor, zbliższy na Huculów patrząc skreślił, poświęcając obszerny ustęp i słynnemu opryszkowi, znalazłszy jeszcze świeżą o nim tradycją tak w okolicach Kołomyi, Stryja, jak po nad Dniestrem.

Po nim Wincenty Pol, który obok poezyi, z upodobaniem prowadził studia etnograficzne, w wyborńm swoim dziele: „*Obrazy z życia i natury*“ (Kraków 1869 r.), opisał swą podróż w tę okolicę kraju, poszukując granicznych słupów od Węgier. Dopatruje w nich potomków Czarnogórców. Jakoż wiele rysów charakteru jak i zwyczajów i obyczajów zdaje się za tém przemawiać. Władysław Zawadzki w swoim studyum etnograficznm (*Kłosa* 1873 r.) odmalował nam wymownie Huculów, a równocześnie ksiądz Sofron Witwicki proboszcz obrządku grecko-katolickiego w Żabiu, daje nam powyżej wzmiankowaną monografię.

Obaj zwracają pilną uwagę na szczególny zwyczaj tych górali, który zdaje się znamionować ich pochodzenie ze stron dalekich. Posłuchajmy co mówi o nim, tak zbliżony „dusz pasterz“ jak się sam nazywa pleban Witwicki.

Zadawał on sobie niemało pracy, ażeby schwytać jakąś pewną tradycję o ich pochodzeniu, rozmawiał ze stuletniemi Huculami ale otrzymywał zwykle odpowiedź:

„*My tu wże dawno na tych werchach osiły.*“

Ale od kiedy? czasu oznaczyć nie umieli.

Daléj pisze:

„Trafiła mi się w poufnych z Huculami pogadankach, gdy robiąc u mnie, wieczorem koło ognia spoczywali, jako koniec całego mego badania słyszć te słowa:

*Ej! skały, skały, ta skały daleki. Ej! more, more, taj zymne, taj syne, taj duże daleke.*“

To wyrazy zwykle po ukończonej gawędzie, wstawszy z jakimś uroczym na twarzy wyrazem, z odkrytą głową, odłożywszy fajkę z ust, z okiem silnie wytyżonm w stronę zachodnio-północną, z piersi tęsknej, mimowolnie się Huculom wydobywają. Toż samo słyszałem od nich na *Poloninach*, przechodząc sam dwa razy grzbiet *Czarnéj-hory*, nocując z niemi na poloninach, *Fohorilec i Pretucznyi*, że po północy, co z toku gwiazd *małego niedźwiedzia*, u nich *wozem* zwanego, dokładnie poznają, wyczekując pojawienia się różanej jutrzeńki, skoro się niebo-sklonie purpurować zaczyna, wychodzą ze swój staji, najstarszy z nich wiekiem staje na przodzie, szuka nieco wyniosłego miejsca, i w długim, raczój tęsknym wyczekiwaniu, gdy inni zachowują prawie grobowo milczenie, powtarzają za staruszkim także te same słowa:

„*Ej! skały, skały, ta skały daleki. Ej more, more, taj zymne, taj syne, taj duże daleke!*“

poczem spostrzedz mogłem w ich oczach Izę po twarzy spadającą.

Cicho mówią modlitwę: „*Cariu nebesnyj utiszytelu*“ idą wspólnie do najbliższego potoku, a umywszy sobie lica, bierze jeden z *leginiów* (młodych parobków) *trembitę* owczarską, i na wezwanie przodkującego im „*Ej zatrembitaj tam naszym, pysznyj leginiu,*“ słyhać trzykrotne sygnalizowanie taką *trembitą*, które się jednocześnie na wszystkich szczytach karpackich krótko i tylko jako przeciągłe echo słyścić daje. Wracają znowu cicho do swego szałas, rozniecają silny ogień na stajce, i kładą się dalej na spoczynek aż pokąd wschód słońca silnie się nie okaże. Po tém zwołują owczarskie psy, idąc każdy do codziennej pracy. To samo spostrzegalem u nich w czasie mego potrójnego pobytu na *Burkucie*, chociaż to Huculi zachowują tajemniczo.“

Niektórzy w tym zwyczaju dopatrują ich pochodzenia ze Wschodu, z za morza. Badania może pilniejsze rozjaśni nam powody tego obrzędu tak rzewnego a połączonego z religijnem uczuciem, który tylko u nich się przechował, bo górale po polsku mówiący czyli *podhalanie*, wcale go nie znają.

Autor w dziesięciu rozdziałach monografią swoją zamyka, dołączając mapkę obecnej siedziby Huculów, obliczenie wysokości gór nad powierzchnią Czarnego morza, i ich pokłady geognostyczne na zasadzie najnowszej karty geognostycznej o Galicyi w cesarskim zakładzie państwa w roku 1861 wydanej, oraz ludność całego plemienia, rozsiadłego w 114 wsiach i 6-ciu miasteczkach w Czerwonój Rusi, do czego już wliczono i dziewięć wsi na Węgrzech, przez prawdziwych Huculów zamieszkane.

Szczegółów tu mamy wiele dokładnie malujących tych górali: żalować należy że ksiądz Witwicki, tak zbliżony do nich, nie postarał się o zbiór pieśni huculskich, które mają swoją wartość, a do charakterystyki tego ludu niezbędne. W miejsce tego dał nam utwory swoje, które jeżeli zaznajamiają nas z językiem huculskim, nie potrafią nigdy zastąpić prawdziwych pieśni ludowych. Tak lepsza, więcej poetyczna nawet jest prawdziwa ich dumka o *Doboszu*, niż ta, którą nam autor w przerobieniu swoim podaje. Nutę do swj pieśni nie ludową podaje, ale tę, jaka jest do pieśni opryszków J. Korzeniowskiego, w słynnym jego dramacie, „*Górale Karpaccy*“

Wywody historyczne jakie autor podaje, nie wytrzymują najlżejszej krytyki, lepiój ich było nie dotykać a ograniczyć się na własnych badaniach <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Pomieřly wielu domysłami, najmniejszego związku nie mającemi z temi góralami, autor przytaczając w gniewie zlorzeczenie Hucula: „*Aby tja pluta, taj smaha pobyła.*“

Pluta, wyraz powszechny ludowy oznaczający deszcz ciągły, wyprowadza od bożyszcza *Plutos*.

Pomimo to, jestto monografia wysokiej wartości, jako dopełniająca poprzednie Wincentego Pola i Władysława Zawadzkiego prace, które wzięte razem dają dokładny obraz charakterystyki Huculów, brak tylko ich pieśni.

Geolog Ludwik Zejszner, z niemałym mozołem dał nam z innych stron Tatrów zbiór pieśni górali *Podhalań*; ksiądz Witwicki, z większą łatwością, tak zbliżony do ludu, mógłby nas obdarzyć równie bogatym zbiorem pieśni huculskich. Takiego wzbogacenia badań etnograficznych mamy nadzieję, że podejmie się spełnić zacny kapłan i pracownik na niwie literackiej.

R.

*O najdawniejszych grobowcach królów polskich, przez Karola Boromeusza Hoffmana. Poznań. Czcionkami N. Kamińskiego i S-ki, 1872 (w 8-ce, str. 33).*

Grobowce królów polskich jedne mieszczą się na Wawelu w Krakowie, drugie dawniejsze rozrzucone są po rozmaitych miastach.

Pierwszą z monarchii, która zdołała chronologicznie urządzić wspólne dla królów miejsce spoczynku, była Francya, ale dopiero w XIII wieku, za panowania Ludwika św. Za jego czasów (r. 1264) kończyła się właśnie budowa, przed stukilkunastu laty zaczęta (r. 1154) pierwszjej w stylu gotyckim katedry św. Dyonizego (St. Denis) pod Paryżem. Ją to ów monarcha przeznaczył na królewski panteon, stanowiąc, aby odąd składano w nim wszystkich następców zwłoki, oraz spisywano nekrolog każdego, celem zachowania go w archiwach opactwa.

Ponieważ brakowało mu do uzupełnienia wielu jego poprzedników, kazał sarkofagi pierwszych szesnastu, z idealnemi ich postaciami, nowém dorobić dłutem. Tak urządzone muzeum kościelne, dotrwało aż do pierwszjej rewolucyi francuzkiej. Wiadomo, że wśród tój burzy szalona nienawiść przeszłości, nie przebaczyła ani zimnym głazom, ani martwym prochom królewskim. Dzisiejszy panteon w St. Denis jest tylko sztuczną restauracją dawnego.

Czém był Ludwik IX dla Francyi, tém był w sto lat później Kazimierz Wielki dla Polski. Za panowania tego króla, jak trafnie p. Hoffman wyraża, już się było ukonsolidowało dzieło Łokietka. Monarchia przywrócona, Kraków uznany za stolicę państwa, za miejsce koronacy i pogrzebów królewskich; zatóm poszło, że i kościół na *Wawelu* przeznaczonym został na wyłączne przytulisko prochów monarszych i tego przywileju poczynawszy od Łokietka, niemal aż do końca XVII wieku używał. Łokietka tóż pierwszy pomnik grobowy na Wawelu.

Kazimierz Wielki zaprowadzając ten nowy porządek rzeczy, nie chciał przenosić do Krakowa zwłok książąt poprzedzających Łokietka, spoczywających w innych miastach państwa, lub jak Ludwik św. zatraco-

ne ich pomniki idealnemi uzupełniać. Dość mu było nadwyreżone wyre-staurować i pozostawić w miejscu.

Autor dzieli grobowce polskie królów i panujących na trzy kate-gorye: *piérwsza*, obejmowała by czasy pierwotnej monarchii od Mieczy-sława I, do Bolesława Krzywoustego; *druga*, czasy rozdrobnionej mo-narchii na pojedyncze księstwa, od Bolesława Kędzierzawego do Włady-sława Łokietka; *trzecia*, czasy przywroconej monarchii od Władysława Łokietka do Jana Sobieskiego.

Autor nie dotyka drugiej kategorii, albowiem pomniki z tego okresu prawie zupełnie poniszczaly, na cztery bowiem panujące dynastye zachowało się tylko ośm grobowców, z tych najokazalszy ze wszystkich *Henryka Probus* w kościele św. Krzyża w Wrocławiu, a rozpoczyna rzecz swą od Dąbrówki żony Miecysława I, piérwszej z królewskiego domu pochowanej obrządkiem chrześcijańskim w Gnieźnie, której grobo-wiec w naszych dopiero czasach odkryto. Dalej przytacza groby Mie-cysława i Bolesława Wielkiego, którzy uczczeni zostali wspnianym po-mnikiem w katedrze poznańskiej, a rehabilitując pamięć Ryxy czyli Ryhezy, matki Kazimierza *Odnowiciela*, niesprawiedliwie poniżonej przez kronikarzy wbrew nawet podań Marcina Galla, opisuje jej grobo-wiec i szczątki: w czém zasługa główna Edwarda Raczyńskiego i Ale-kсандra Przeddzieckiego.

Najobszerniejszy ustęp poświęca p. K. B. Hoffman, pomnikowi gro-bowemu Bolesława Śmiałego w Ossyaku w Karyntyi.

Naruszewicz i Lelewel zaprzeczyli jego autentyczności, a zarazem nie wierzą ani w pokutę, ani w zgon Bolesława w Ossyaku; A. Przed-dziecki zaś, mnichostwo bohatérskiego króla, pokutę i śmierć właśnie w Ossyaku stara się udowodnić i obszerne studyum w dziele swém: „Ślady Bolesławów“ poświęca. Porównywając jednakże takowe ze świę-żém badaniem i poglądem p. Hoffmana, zgodzić się musimy i przyjąć jego wnioski, że grobowiec *Bolesława Śmiałego* żadnej wartości histo-rycznej niéma, a cała legenda o jego pokucie i śmierci w klasztorze, jest wymysłem Benedyktynów w Ossyaku i krytyki historycznej nie wy-trzyma.

Dla dziejów starożytności narodowych praca p. Hoffmana jest ważnym przyczynkiem, rozjaśniającym wiele dotąd zaciemnionych szcze-gółów. Rzecz napisana krytycznie, jak zarówno stylem jasnym i pię-knym językiem. Są to zalety, które dziś musimy uwydatniać w obec ciągłego każenia ojczytój mowy. Joachim Lelewel wydał w roku 1857 rozprawę swą: „Grobowe królów polskich pomniki“, p. Hoffman uzupeł-nia ją swoją monografią, teraz więc mamy najdokładniejszą wiadomość o wszystkich grobowcach królów polskich i ślady gdzie ich zwłoki spo-czywają.



*Historia Rosyi* przez K. Bestużewa Rjumina tom I 1872 r. str. 246 i 480. K. Biestużew Rjumin, Russkaja Istorya. Izdanie Kożanczykowa, S. Petersburg.

Autor jest professorem uniwersytetu petersburskiego i ułożył swą ksiązkę ze swych prelekcij. Pragnął on zestawić rezultaty, zdobyte w Rosyi przez naukę historyczną w ciągu półtorawiekowego jój rozwoju, wskazać na drogi, jakimi zdobywane były i zdobywają się te rezultaty, oraz wprowadzić do skarba źródeł, do jakich obecnie pracownik naukowy przystęp mieć może. Dlatego téż historia polityczna jest podana w nader krótkim szkicu, obszernie zaś są traktowane strony życia wewnętrznego, urzędzenia prawne, kościoł, literatura, stan materyalny, a przy każdej kwestyi, która była przedmiotem sporów naukowych, przytaczają się mniemania rozmaitych uczonych. Pomimo zwięzłości stylu, treść dzieła jest tak bogata, że autor musiał przekroczyć plan pierwotny i zamiast dwóch, zapowiada teraz trzy tomy.

W obszernym wstępie, zawierającym wykład pojęcia historii i krytyki historycznej, uderza nas pogląd autora na kronikę Nestora, który od tak dawnego czasu używał ustalonej sławy najdawniejszego, a „prawdziwego” kronikarza w Słowiańszczyźnie.

Jako źródło „niesłychanej wagi” dla dziejów Polski, z którego, żeby korzystać, uczył się azbuki Jan Długosz w podeszłym już wieku, latopis Nestora został unieszczony przez Aug. Bielowskiego w „Monumenta Poloniae historica.” Poprzedzając tekst obszerną rozprawą i roztrząsając dwa przeciwne mniemania (Schlözera o autentyczności latopisu Nestora, oraz Ignacego Daniłowicza i komissyi archeograficznej petersburskiej) uczony wydawca dowodzi, że latopis rzeczony jest przez Nestora spisany; że na osobę autora rzuca dostateczne światło zgodność samego latopisu z żywotem jego, zamieszczonym w Pateryku, że Nestor zaczął pisać latopis niewczesniej, jak w ciągu jeszcze 1113 r. lub na początku 1114, umarł zaś prawdopodobnie około 1136; że pracę swą dociągnął nie do 1110, lecz do 1113 r.; że jakkolwiek w tekście może się w jednem lub drugim miejscu znajdować wtęret jaki, wszelako nie ma dostatecznego powodu, dla któregoibyśmy autorstwo jego Nestorowi zaprzeczali (I, 521, 526, 535).

Wbrew przeciwnego zdania jest p. Bestużew Rjumin. Jeszcze w 1868 r., wydał on dzieło „o składzie latopisów ruskich do końca XIV w.” (O sostawie ruskich letopisiej), gdzie gani p. Bielowskiego tak za przedmowę, jak za komentarze i za wprowadzone do tekstu poprawki szczególnie w pisowni. Uwzględniając wnioski krytyczne Solowjewa, Kostomarowa, Srezniewskiego, Suchomlinowa i innych, p. B. dowodzi, że to, co się zwykle nazywało latopisem Nestora, czyli, jak sam nazywa: „Powiest wremiannych let”, jest tylko zbiorem latopisów.. Materyałami dla „powieści” służyły osobne podania ustne (сказанія), a może nawet pieśni i zapiski kronikarskie (str. 44). Autor wylicza 13 ustępów

zaczepniętych z podań (46—48), co do piśmiennych zaś mniema, że w Nowogrodzie, Połocku, Tmutarakani, Przemyślu, Muromie, Perejasławiu i w samym Kijowie musiały być pisane notatki kronikarskie (58), że przechowały się nawet takie materyały piśmienne, które do zbiorowego latopisu nie weszły (65—69). Obecnie w Historji p. B. utrzymuje i uwydatnia jeszcze silniej mniemanie swoje. Opierając się na jednym ustępie rękopisu Lawrentjewskiego<sup>1)</sup> powiada: „Tak więc widocznem jest, że w początkach XII w. Sylwester, przeor klasztoru Wydubieckiego Ś. Michała w Kijowie, był autorem pierwszego zboru latopisów.” Całą kronikę przypisano Nestorowi z tego powodu, że w niektórych rękopisach znajdują się wyrazy „mnicha klasztoru Feodosijewskiego,” oraz że Tatiszczew miał widzieć samo imię Nestora na tytułach kilku, obecnie zaginionych rękopisów; dziś znajduje się ono tylko w tytule rękopisu Chlebnikowa (z XVI w.). O Nestorze wiadomo, że był autorem „Skazania o Borysie i Glebie” oraz „Żywotu Feodosija.” Otóż w pismach tych znajdują się sprzeczności z latopisem, np. autor latopisu powiada, że przyszedł do Ś. Feodosia (Teodozego), Nestor zaś powiada, że wstąpił do klasztoru przy następcy jego Stefanie. Ustęp znów o Borysie i Glebie wpisany został do latopisu z opowieści mnicha Jakóba. Na tej zasadzie, powiada autor, „wypada wyrzec się myśli, jakoby pierwszy zbiór latopisów, został przez Nestora wykonany; przypisać z pewnością autorstwo jego Sylwestrowi też niepodobna. Zresztą na imieniu autora nie wiele zależy; znacznie ważniejszą jest ta okoliczność, że zbiór ten jest zabytkiem z XII wieku, i że analizując go, napotykamy materyały jeszcze starożytniejsze”, mianowicie: dwa Żywoty, napisane przez mnicha Jakóba, kronikę grecką, Grzegorza Hamartola, tak zwane „Żywoty Pannońskie” (śś Cyrylla i Metodego). „Powieść ta (latopis), ma widocznie na celu związanie północy z południem: dlatego może sama nazwa Rusi została przeniesiona na północ, wiadomo zaś, że nazwa ta należała do Kijowa, a północy Russowie znani są nam tylko z tego źródła.” Było jeszcze jedno źródło: podania ludowe. Z tych wszystkich materyałów złożyła się jedna całość; obecnie trudno jest powiedzieć, o ile w tej całości miała udział praca jednego człowieka” (str. 20—24). Zdania te podziela i w pracach swoich wygłasza też p. Kostoszarow.

Nie wchodząc w szczegółowe rozpoznanie latopisu i sporu o Nestorze, winniśmy wszakże wyznać, że z przytoczonych dzieł p. Bestużewa nie mogliśmy się dowiedzieć, dlaczegoż tak starożytny pomnik, jak

<sup>1)</sup> „Igumen Seliwestr Świataho Michaiła napisach knigi si letopisico nudieja sia ot Boga miłost' prijati pri kniazie Wołodimire kniazaszcziu jemu Kyjwie, a mnie w to wremia igumeniaszczio u swiataho Michaiła w 6624, indikta 9 leta” (1116). Bielowski z innych rękopisów wnioskuje, że ustęp ten stosuje się nie do kroniki, ale do opisu jednego odu.

Pateryk Peczerski nazywa Nestora kronikarzem, nie zaś autorem Żywotów, dlaczego w rękopisie Chlebnikowa (z XVI w.), jest wpisane to imię, dlaczego odmawia wiary Tatiszczewowi, że widział toż imię w innych zaginionych rękopisach? Sam p. B. przecież mówi o Tatiszczewie z wysokim poważaniem i, wspominając o oskarżeniach, jakoby fałszował dokumenty historyczne, nazywa te oskarżenia bezzasadnymi (str. 212). Jeżeli znalazło wiare wydanie jego „Ruskiej prawdy” i „Sudebnika”, jeżeli inne dzieła tego znakomitego w XVIII w. pisarza nie noszą cech kłamstwa, dlaczegoż świadectwo jego o imieniu Nestora, ma być w wątpliwość podawane? Przypuszczając nawet, że latopis jest bardzo przez późniejszych przepisywaczy skażony, nie dostrzegamy żadnej przeszkody, żeby jeden człowiek nie mógł spisać wyszczególnionych przez uśną krytykę materyałów, nie widzimy dogodności w zastąpieniu imienia Nestora tytułem „Powieść wremiannych let”, jak to zwykle p. B. w cytatach swoich czyni. To też pomimo całej gwałtowności wytoczonej przeciwko niemu kampanii, Towarzystwo historyczne, świeżo założone w Kijowie, przybrało imię „Towarzystwa Nestora.”

W dalszym ciągu wstępu swojego autor wymienia wszelkie źródła historyczne i kreśli bogaty we wskazówki bibliograficzne zarys badań naukowych nad dziejami Rosyyi.

W samym układzie uwagę naszą zwraca nasamprzód ustęp o religii, świętach i obrzędach Słowian, oparty na znakomitych pracach filologów i badaczy utworów poezyi ludowej. (Afanasiew, Busłajew, Sacharow i wielu innych). Na czele panteonu pogańskiego wszystkich ludów Aryjskich, a więc i Słowian mieści p. B. bóstwo, nie mające ani dokładnych cech, ani postaci, ani świątyń, ale będące ziarnkiem całego rozwoju mytologii. Bóstwem tém był Swarog (niebo) u Słowian, Uranus u Greków, Waruna u Indusów. Obok niego mogło stać bóstwo żeńskie: Matka ziemia (Mat' syra ziemia); jak u Greków *gen.* Po Swarogu wystąpiły u Słowian: 1, Daźbog (słońce) 2, Chors i 3, Wołos czyli Weles, bóg „bydłęcy” — téż bóstwa słoneczne. Bydło może oznaczać bogactwo („skotnica” znaczyła skarbiec) lub chmury ustępujące przed promieniami słońca. Jako praojciec wieszczego Bojana musiał być źródłem natchnienia, jak Feb-Apollo. 4) Kupało i Jaryło (od *cup* (kip), kipieć, wrzéc oraz jar, jarzyć się) wyobrażały słońce letnie, najsilniej działające.

Z czasem bóstwa zaczęły się przeistaczać na bohaterów. Herkulesa przypomina „Jegoryj Chrabry”, który robi porządek na świecie; przed nim ustępuje las, rozsuwają się góry. Cechy słoneczne objawiają się w walce jego z wężem, (jak Apollo zwycięża Pytona) oraz w podaniu, że się urodził w złocie do kolan, z rękoma po łokcie srebrnymi.

Daléj idą Perun (piorun), Strybog (wiatr), Rusalki od pierwiastku „rus” jaśnieć.

Dobroczyenne te bóstwa toczą walkę ze złośliwemi (zmiana dnia i nocy, lata i zimy). W téj kategorii występują: Morena (śmierć), Koszczéj (mróz), Baba-Jaga, która jeździ w stępie, tłuczkiem poganian, a miotłą śnieg zamiata; jest ona obrazem zimowych zamieci. Zresztą

ponimo wzmianki Helmolda o Czernobohu, p. B. nie przypuszcza u Słowian takiego systematycznego dualizmu, jaki widzimy w religii Zoroastra.

Święta słowiańskie uzmysławiają walkę ciemności ze światłem i zimno z ciepłem. Kolęda, obchodzona po przesileniu dnia z nocą zimowóm, jest świętem wzrostu w przyrodzie siły użyźniającej. Maślanka czyli zapusty, jest powitaniem wiosny. Barwienie jaj, strzelanie, wzywanie wiosny w czasie Radunicy, odbywa się teraz po niedzieli Przewodniej. Potem następują Święta Zielone. W czasie przesilenia letniego jest obchód Kupala, a wtedy szukają ziół lekarskich i tajemniczego kwiatu paproci, gdyż działanie słońca w tym czasie jest najsilniejsze i najcudowniejsze. Potem następuje grzebanie jaryły, kostruba, kostromy, czyli (jak się to do dziś dnia praktykuje w gub. Saratowskiej) „pożegnanie wiosny.” Nareszcie jest jeszcze święto awsień, zapewne zostające w związku z wspomnianém u Długosza bóstwem „jessen).

Do bóstw domowych należą: „Dieduszka Domowej,” opiekun rodziny, zapewne dusza jakiegoś przodka, oraz „Ród” twórca dzieci (nie zaś uosobienie rodu, gens). Rzuca on kamienie, jak Pyrra, żona Deukaliona.

W ustępie o obrzędach pogrzebowych, jest umieszczony ciekawy opis Ibn-Fozlana, pisarza X w.

Nareszcie, co do pojęć o nieśmiertelności duszy, p. B. znajduje takowe w obrazach mniej więcej materyalnych: pod postacią dymu, ognia, motyla „dusz latających po drzewach.” Rajem była kraina gdzieś za morzem, lub w środku morza „Iryja Bujan”, gdzie panuje wiekiiste lato i zieloność, dokąd odlatują ptaki na zimę, gdzie przechowują się nasiona i mieszkają dusze zmarłych lub niemowląt. „Piekło” zatarło się pod wpływem wyobrażeń chrześcijańskich.

Ze względu na podniesioną obecnie przez p. Hofmana kwestyą podziału Polski przez Krzywoustego, z wielkiem zajęciem przejrzelśmy u p. Bestużewa zestawienie rozmaitych zdań o przyczynach podziału Rusi na księstwa udzielne. Przytoczymy kilka. Polewoj widział przyczynę podziału w dążności książąt do stłumienia rozwijającego się feudalizmu, Pogodin w spólném prawie rodu książęcego do posiadania ziemi, nabytą pracą ich ojców i dziadów<sup>1)</sup>. Zdanie to podziela Sołowjew, lecz opiera je na instytucyi rodu. Dlatego téż ukazują się podziały i w innych krajach słowiańskich. Przeciwno temu pogładowi wystąpił Passek, który upatruje ważniejszą przyczynę w dążeniu gmin miejskich do niezależności. Udzielnych książąt otrzymały najprzód miasta stare, a potem i pomniejsze (przygorody). Z tego powodu dawne

<sup>1)</sup> Jak grunta włościańskie znajdują się w posiadaniu całej wsi, tak cała ziemia raska, ziemia Rusi, uważana była za spólną posiadłość książęcą, do której wszyscy oni pozuwali się mieć prawo” (Izsl. lek u zam. IV, 353).

miasta, Rostow i Suzdal, toczyły walkę z nową stolicą Andrzeja Bogolubskiego, Włodzimierzem nad Kłazmą. Do tego mniemania przychyliła się po części i Kostomarów, który dowodzi nawet nadto, że księstwa lub systemata księstw odpowiadały ilości plemion słowiańskich, z których tworzyła się federacja pod książętami udziałem. Grup głównych było sześć: 1) Południowo-ruska, 2) Siewierska, 3) Wielko-rossyjska, 4) Białoruska, 5) Pskowska, 6) Nowogrodzka. P. B. zarzuca, że federacja wymaga pewnych urządzeń wspólnych, a przedewszystkiem jedynę władzy centralnej, prezydenta kongresu; tymczasem na Rusi urządzenia takie nie istniały, a władza wielkiego księcia opierała się tylko na zwyczaju. Nareszcie Siergiejewicz i Czyczeryn, widzą panowanie tylko pierwiastku osobistego, że trony były zdobywane, a prawomocność posiadania ich opierała się tylko na umowach. Zamykając rozprawę p. Bestużew, wynurza osobiste swe przekonanie, że żadna z pomienionych zasad wyłącznie zastosować się nie da, że różnobarwność samych wypadków dziejowych wskazuje na jednoczesne oddziaływanie rozmaitych zasad, a to właśnie zdaniem Guizota zdarza się zwykle w społeczeństwach urabiających się i niedojrzałych.

Poprzestając w historii politycznej na bardzo krótkim, prawie kronikarskim spisie faktów, p. B. poświęca całą swą uwagę na urządzenia społeczne, życie umysłowe i materialne: wiadomości jego na tém polu są bardzo bogate, wykład wielce treściwy i jasny. W tych urządzeniach wewnętrznych godnym jest uwagi rozwój stosunków gruntowych, przypominających poniekąd feudalizm Europy zachodniej. Jest to system posiadłości rządowych, lub raczej suzerenałnych, czyli system „pomiestij.” Oprócz posiadłości wiejskich, gminnych, do „obszczyń” należących, tudzież oprócz ojczewizn bojarских, p. Bestużew zaznacza w okresie tatarskim ukazanie się nowego systematu posiadania warunkowego dóbr, udzielanych przez książąt, a nawet przez klasztory. Wiadomo, że w okresie moskiewskim armia składała się właśnie z ludzi posiadających pomiestija. Ilość wyprowadzanych w pole ludzi zbrojnych („służących”) zależała od obszaru posiadanych gruntów, a te nie stanowiły bynajmniej własności posiadacza. L. Łakijer mniema, że przed XVIII w. własność osobista nie istniała wcale; Niewolin mniema, że istniała od najstarożytniejszych czasów, ale pod wpływem Tatarów utworzyło się pojęcie, że książę jest najwyższym właścicielem ziem i dóbr wszystkich. P. Bestużew odmawiając stanowczego znaczenia opinii Niewolina, mniema, że książęta przy rozdawnictwie dóbr swoich tytułem warunkowego posiadania szli za przykładem klasztorów i duchowieństwa.

Dla wyjaśnienia pojęć i urządzeń, p. B. zwraca częstokroć uwagę na sąsiadów Rusi. Tu nie zawsze widzimy w nim spokój sądu i dokładność informacji. Tak np. dotykając wpływów cesarstwa Bizantyńskiego, wspomina o przepychu dworu, (jak gdyby nie znał relacji Luitpranda, posła Ottona W-go), o niezależności i rozległej władzy duchowieństwa, powiada, że „cesarstwo Bizantyńskie zbliża się bardziej

do typu monarchij nowoczesnych, niżeli do państw średniowiecznych" (str. 137, 138). Posługuje się często pracami Czechów, Serbów Chorwatów, ale omija pisarzy polskich, owszem, przytoczywszy w kilku pomniejszych kwestjach Lelewela i Maciejowskiego, wygłasza wyraźnie przestrożę, że „Polakom w ogóle trzeba ufać z ostrożnością” (str. 83. przyp. 69). Zapewne ta nieufność do przytoczonych tamże Narbuta, Jaroszewicza i Kirkora była przyczyną, że szkic Litwy pogańskiej wyszedł z pod pióra autora blade. Ze zdaniem naszym powstrzymamy się zresztą do chwili ukazania się 2-go tomu, który ma się zacząć właśnie od obszernego rozdziału o W. X. Litewskim.

T. K.

### *Nowe wydanie Zbioru praw Andrzeja Zamojskiego.*

Wkrótce wyjdzie na widok publiczny nowa edycja Zbioru praw sądowych przygotowanych w r. 1778, przez ex-kanclerza Andrzeja Zamojskiego. Zbiór ten stanowił projekt do nowego prawodawstwa dla kraju naszego. Ogłoszony został nakładem Zamojskiego w drukarni Grölla pod tytułem: Zbiór praw sądowych na mocy konstytucyi roku 1776 przez J. W. Andrzeja Zamojskiego ex-kanclerza koronnego, kawalera orderu orła białego ułożony i na sejm r. 1778 podany. Wydanie to pierwotne jest rzadkie i kosztowne. Teraźniejsze wydanie upowszechni wiadomość o bardzo ważnym zjawisku w dziejach naszego prawodawstwa i przez cenę przystępną ułatwi nabycie dzieła. W r. 1776 uznał sejm niedokładność praw obowiązujących, szkody ztąd na kraj spadające i jednomyślnie zlecił Zamojskiemu przygotować projekt do nowej księgi praw, wskazując mu za główny przedmiot sprawiedliwość naturalną i upoważniając aby się niekoniecznie przywiązywał do jakichbądź dawnych prawodawstw, lecz żeby zważając naturę okoliczności w których się naród nasz znajduje i obyczaje onego, to wszystko *in formando novo Codice* z dawnych praw zachował, cokolwiek zamierzonemu ulepszeniu sprawiedliwości nie znajdzie przeciwnym. Obywatel pełen zacności, światła i przywiązania do kraju, projekt do prawa wygotował w ciągu dwóch lat. W pracy téj byli mu pomocą: Chreptowicz podkanclerzy, Szembek kodyutor biskupstwa płockiego, Michał Węgrzecki, Antoni Rogalski i Józef Wybički.

W podaniu swém do króla i stanów przedstawiając projekt swój Zamojski wspomina: „że jeszcze przed Kazimierzem Wielkim przodkowie nasi mieli prawa, którym wiernie ulegali i doznawali ztąd szczęścia i sławy. Przyszły czasy zepsucia, osłabiła nam prawa pierwotnych, mnożyły się ustawy, ginęło szczęście. Zdrożne prawodawstwo jasność i wyraźność ustaw, ciemnym i dwuwykładnym zatłumiwszy wielomówstwem,

niezrozumiane dla ludu mnożyło księgi, jedne drugim przeciwne pokładło prawidła i w wszystkiem przemocy tylko z prawnictwem sprzyjało. Wynikło zatem że kraj mając prawa, nie miał sprawiedliwości, a własność najdroższa człowieka została bez obrony. Dodaje, że to samo niegdyś i w innych narodach się działo. Pomiędzy innemi przytacza „Rzym, gdy już dwa tysiące voluminów praw u siebie naliczył, był bez prawa, a niesprawiedliwość, najokropniejszy ludzkości nieprzyjaciel, pustoszyła śmiało i bezkarnie kraj cały.“

W projekcie swym Zamojski trzymał się układu prawa rzymskiego, lecz zarazem wyznaje, iż go nigdy nie odstępowała pamięć, że dla swych współrodaków a nie dla Rzymian pisał prawa. Z tego powodu cały projekt wysnuty jest z ówczesnego prawa krajowego, które autor ujął w pewien porządek i któremu starał się nadać kierunek bardziej ludzki i odpowiedniejszy wymaganiom czasu. Lecz czynił to nadzwyczaj ostrożnie, nadzwyczaj delikatnie, nie chcąc oburzać sejmujących panów, których uczucia i sposób myślenia znać musiał dokładnie i zapewne dlatego nawet projektu swego osobiście na sejmie nie bronił.

Zbiór przepisów projektowanych przez Zamojskiego podzielony jest na trzy części. Najciekawsze ze wszystkich są projektowane przepisy co do włościan. W artykule XXXI pod napisem „O chłopach“ napróżno autor pragnął dla nich tylko opieki, tylko sprawiedliwości i możności usamowolnienia w pewnych wypadkach. Deputacya szlachty z lubelskiego odpierając projekt napisała, że każdy poddany *reputatur pro particula funoli* (uważany jest za część gruntu). Przepis Zamojskiego projektował możność uwalniania włościanina z poddaństwa przez pisno prywatne dziedzica. Delegacya lubelska nie dozwala takiego prywatnego uwolnienia i przeznacza na uwolnienie chłopu jedynie transakcyą grodową, t. j. akt urzędowy a nie prywatny, a uważając uwolnienie chłopu z poddaństwa za coś nadzwyczajnego, żąda aby sądowi za leconém było zważać na to, ażali szlachcic co chłopu uwalnia nie jest waryatem.

Projekt swój Zamojski kazał wydrukować, jak to mówi w tym celu:

„Aby dzieło moje jako tylko jest projektem, a wielkiej dla całego narodu wagi i konsekwencyi, tak, aby nietylko sejmującym Stanom, ale i pozostałym w domu współ-braci naszym komunikowane i do delibera-cyi oddane było.“

Całkowity projekt praw Zamojskiego podany w takim sposobie na sejm 1780, nietylko nie był wzięty do dyskusyi, nietylko nie był przyjęty do odczytania, lecz przez konstytucyą z tegoż roku został skusowany z tym warunkiem, aby na żadnym sejmie nie był ożywiony, t. j. nie był wskrzeszany i przedstawiany.

Tak w samym zarodzie zgasła nadzieja polepszenia bytu najliczniejszej masy ludu naszego, chociaż Zamojski w podaniu do króla i sejmowi otwarciu i publicznie mówi o włościanach:

„Nie zrozumiałbym, abyśmy im w tym wieku odmówić chcieli bezpieczeństwa i sprawiedliwości za to, że nas wyrobkiem rąk swoich żywią.“

Taki pomnik prawodawstwa naszej przeszłości, dowód rozumu praktycznego i uczuć szlachetnych, a głos potężny napróżno wołający do sumienia obłąkanego, pozostał w książce wówczas wydrukowanej, która już prawie z obiegu znikła.

Powtórnem teraz wydaniem zajął się Walenty Dutkiewicz R. Rd. St. b. członek senatu i b. professor prawa, w szczupłym gronie naszych prawników przez lat tyle odznaczający się przez prace wyższej wartości, jak: Prawo hipoteczne, Program, Spostrzeżenia nad historią prawodawstw słowiańskich Maciejowskiego, Uwagi nad prawem prywatnem polskiem Barzyńskiego, Rzecz o projudykatakach w Polsce, Rozprawa o procentach i inne. Długi praktyczny zawód sądowy, zuakomity zasób nauki, kierunek ściśle loiczny każdej pracy Dutkiewicza, nadaje szczególną wartość użytku praktycznego tak pożądaną w piśmiennictwie naszym. Wydanie Dutkiewicza nie jest prostym przedrukiem tekstu projektu Zamojskiego. Wydawca opatrzył prawie wszystkie artykuły Zbioru praw przypisami i wyjaśnieniami, wskazującymi w cytatach źródła naszego prawa dawnego, z którego każdy przepis projektowany utworzony został. Odsłania myśl prawa dawnego w rozmaitych epokach, prostuje błędy innych autorów piszących o prawie polskiem, porównywa rozporządzenia projektu z niektórymi dziś obowiązującymi i przez taką pracę utworzył dodatek tak obszerny jak sam tekst projektu, który stanowi szanowny przyczynek do dawnego prawa polskiego. O ile nam wiadomo, praca ta Dutkiewicza ma wyjść pod tytułem: *Zbiór praw sądowych wydany przez ex-kanclerza Andrzeja Zamojskiego w r. 1780, a teraz przedrukowany z domieszczeniem źródeł i uwag tak prawoznawczych jak prawodawczych*. Obejmie jeden tom znacznej grubości (1000 str.) w ósemce większej. Zdaje się, że jeszcze przed Nowym Rokiem dzieło to opuści prassę drukarską.

A. J. S.



## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

### WARSZAWA.

— *Warszawa. Listopad 1873 r.* Do wydawnictw dzieł poważnej treści przybywa nam nowa publikacja: *Biblioteki najcenniejszych utworów literatury europejskiej* na którą wydawca *Kłosów* S. Lewental ogłosił prospekt, wyborem zaś dzieł odpowiednich i prowadzeniem rzeczy całej zajmuje się redakcja pomienionego pisma. Biblioteka ta mieć będzie z kolei najznakomitsze plody poetyckie, dramatyczne, powieściowe, historyczne i moralno-filozoficzne wszystkich narodów Europy: „między którymi nasza ojczyzna nie tylko dla nas najsympatyczniejsze, lecz w ogóle wewnątrz wartości należących do niej i uznanych już przez tę Europę arcydzieł, bynajmniej niepoślednie zajmują miejsce.“ Mamy w niej więc mieć literatury: grecką, rzymską, francuską, włoską, hiszpańską i portugalską, angielską, niemiecką, duńską, szwedzką i niderlandzką: polską, rosyjską, czesko i południowo-słowiańską, węgierską i fińską; w ogóle grup dwanaście.

W spisie utworów których dzieła częściowo lub całkowite wejdą w skład tej *Biblioteki*, znajdujemy z górą trzysta imion, a pomiędzy temi 88-iu Polaków. Wychodzić zacznie od 1 stycznia 1874 roku przy *Kłosach* i *Tygodniku Romansów*: tom co miesiąc, obejmujący 10–12 arkuszy ścisłego druku w formacie i na takimże papierze jak dzieła Józefa Korzeniowskiego. Cena roczna za XII tomów rs. 4 kop. 80 (złp. 32), prenumeratorowie mogą odbierać w arkuszach, lub w tomach zbroszurowanych co miesiąc. Przy końcu pomienionego prospektu czytamy:

„Redakcja *Kłosów* podejmując pracę tej rozległości i jak mamy nadzieję, takiej doniosłości dla naszej literatury, sumienną starannością w wyborze wszystkich pomieścić się w niej mających pisarzy, pragnie dać dowód ważności jaką sama do publikacyi swęj przywiązuje i zarazem życzliwego współuczucia, jakiego się w zamian od czytającej publiczności spodziewa. Publiczność bowiem w Bibliotece tej ma podaną sobie sposobność do uczestniczenia w rozkoszach, jakimi wielcy geniusze i niepospolite talenta wszystkich krajów i epok napawali ludzkość w najrozmaitszych przejściach jęj postępowego rozwoju; obznajmiać się dziś z ich plodami, jestto zatem zespolić się myślą z tém wszystkiém, co w tém po-

stępie ludzkości mieści się najzacniejszego i najszlachetniejszego. Jako wzniosły nabytek dla przebiegających tę metę, pod przewodem wielkich pisarzy dawniejszej i współczesnej nam literatury, jaśnieje podniesienie umysłu i serca, pokrzepienie godności i zacności moralnej, odciąganie od nędz powszedniego żywota.“

— Z litografii W. Walkiewicza wyszły dwa portrety braci Śniadeckich, Jana i Jędrzeja, w wielkim formacie arkuszowym artystycznie wykonane i nadzwyczaj starannie odbite. Wydawca, który w poczuciu obywatelskiem koszt łożył dla przypomnienia wizerunków wielkich mężów naszego stulecia, przypisał portret *Jana* ks. J. T. Lubomirskiemu, a *Jędrzeja* D-rom: Chałubińskiemu i Girsztowtowi.

— Zygmunt Komarnicki po ogłoszeniu przekładu kroniki *Marcina Galla*, pracuje obecnie nad drugim wydaniem *Dytmara* wraz z *Widukindem*. Co do Dytmara, skorzystał z rozbiorów swego tłumaczenia i nabytków badań jakie przybyły w ciągu 12 lat. *Widukind* względnie nazywa się niekiedy przewodnikiem i jakby mistrzem Dytmara. Saska jego i na wskroś przesiąkła niemczyzną dusza, maluje się w małej jego kronice. Współczesny naszego pierwszego króla chrześcianina, wynalazł nam *Cydebura*, brata Mieszkowego.

— Nakładem księgarni Stanisława Arcta w Lublinie wyszła *Geografia*, jako ciąg dalszy *systematycznego kursu nauk*: przez Augusta Jeske'go. Wyborny nowy sposób wykładania téj nauki, nadaje téj małej książeczce nieocenioną wartość, a autorowi wdzięczną pamięć rodziców i nauczycieli, za tak doskonałego przewodnika.

— Nakładem Gebethnera i Wolffa z datą już roku 1874 wyszła rozprawa p. n. „*Fryderyk Szopen przez F. Liszta, przekład Fel. Faleńskiego*“ z portretem Szopena (Warszawa, w 8-ce, str. 138).

— Księgarz warszawski Michał Glücksberg z początkiem r. b. rozpoczął publikacją w przepysznój edycji: „Pismo Święte Starego i Nowego testamentu“ w przekładzie Jakóba Wujka dla katolików, z ilustracyami Gustawa Doró'go. Publikacja ta doznała tak świetnego powodzenia, że odbite pierwsze dwa tysiące egzemplarzy wkrótce wyczerpane zostały i wydawca zmuszonym został do drugiej edycji. Obecnie tenże księgarz dla chrześcian ewangelików nowe wydanie robi, z tą samą ilustracją Doró'go, ale z tekstem podług znanej Biblii gdańskiej. Nakładem Glücksberga wyszła prócz tego powieść Jaksy Bykowskiego „*Skarby prababki*“ drukowana w czasopiśmie *Wiek*, i *Księga wynalazków, przemysłu i rękodziel. Historyczny rozwój ludzkości i środki oświaty*. Tom I (w 8-ce, str. 520).

— Jużśmy wspomnieli o wydawnictwie „*Dziejów literatury w Polsce*“ Ludwika Kondratowicza (Wład. Syrokomli), które wychodzą w nowém wydaniu, nakładem J. Ungra, którego pomocy w znacznej części zawdzięczamy przedsięwzięcie i dokonanie dziesięciotomowej edycji *Poezyi* tegoż autora. O téj publikacji Wincenty Korotyński najbliższy przyjaciel zgasłego poety, pisze w *Gazecie Warszawskiej*: „*Dzieje literatury* Kondratowicza, rozpoczęte około r. 1850 w Załuczu

nad Niemnem, a drukowane nakładem Teofila Glücksberga w Wilnie (nawiasem mówiąc placono autorowi po pięćdziesiąt złotych za arkusz drukowany), nie były doprowadzone do zamierzonego końca. Według pierwotnego prospektu miały w trzech tomach zawrzeć całość rozwoju piśmiennictwa krajowego; tymczasem zaś w dwóch wyszłych tomach ledwo wkroczyły w epokę Wazów, t. j. w wiek XVII: pozostawałoby tedy dla objęcia literatury makaronicznej, Stanisławowskiej, klasycznej, romantycznej i współczesnej napisać jeszcze przynajmniej trzy tomy. Atoli urwanie się źródeł drukowanych mniej więcej na r. 1650, trudność poszukiwań bibliotecznych dla autora mieszkającego w oddalonej guszy wiejskiej i nieposiadającego środków na długie podróże naukowe, wreszcie przeniesienie się do Wilna w wir owoczesnego życia ruchliwego i zgiekliweo. arcy nieprzyjaznego dla prac głęboko refleksyjnych, zwłaszcza kiedy się od młodości do takiego życia nie nawykło; wszystko to sprawiło, że lubo Kondratowicz po wyjściu ostatniego zeszytu tomu drugiego *Dziejów literatury* żył jeszcze lat dziesięć, już do dalszego ciągu tój pracy nie wracał, i ledwo ku końcowi życia napisał mały jój nowy ułamek na prośbę p. Aleksandra Grozy, przedstawiciela byłej spółki księgarskiej żytomierskiej, na którą nakłady i prawa Glücksberga podówczas przechodziły. W takim stanie po zupełném wyczerpaniu pierwszój edycji, nabył od rodziny poety prawo powtórnego wydania tego dzieła p. Unger. Z początku, o ile nam wiadomo, był zamiar dokończenia pracy Kondratowicza według założonego przezeń planu; napotkane jednak trudności zniewoliły do zaniechania tój myśli, pod pewnym względem szczęśliwej, pod inuemi zaś względami niefortunnój. Dla pragnących zapoznać się jako tako z całością dziejów piśmiennictwa, rzeczywiście korzystniejby było otrzymać dzieło doprowadzone do końca, choć na takie powierchowne zapoznanie się nie brak u nas powierchownych podręczników; lecz dla człowieka głębiej wnukającego w istotę rzeczy, choćby się kontynuator nie wiedzieć jak przejął myślą autora, zawsze taka składana robota sprawiałaby wrażenie przykrego widoku nosa dosztukowanego za pomocą ryuoplastyki. Cóżkolwiek bądź stanęło na tóm, że p. F. M. Sobieszczański, którego rozległe wiadomości o piśmiennictwie krajowóm podziwialiśmy w wielkiej *Encyklopedyi powszechnej* Orgelbranda, uzupełnił jedynie dzieło Kondratowicza przypisami, mającemi zawrzeć wszystko ważniejsze, cokolwiek w ciągu lat dwudziestu od wyjścia *Dziejów literatury* odkryto lub rozjaśniono w zakresie dziejowym, objętym przez autora. Tym sposobem praca Kondratowicza pozostanie jego pracą, grzeszącą niekiedy powolném dawaniem ucha temu lub owemu mylnemu zapatrywaniu się Wiszniewskiego na dzieje krajowe, ale nieoszacowaną i jedyną w podniosłóm a zarazem głębokiém ocenieniu złotych epoki piśmiennictwa Zyguntowskiego, zwłaszcza zaś poetów polsko-łacińskich, których Kondratowicz rzec można z jasnyru łaciny, jak trynitarz krajowi przywrócił. Pod tym względem dzieło jego stanowi zupełną całość, boć niepodobna liczyć tego do poezyi, co po znakomitych Jezuitach Inosie i Sarbiewskim, gryzmołili jeszcze łaciń-

skiem i pentametrami penegirycy duchowni i świeccy. Tak więc podług naszego zdania dobrze się stało co się stało. Wydanie (nowe *Dziejów literatury*, o ileśmy słyszeli, z druku, papieru, formatu i objętości tomów podobne do kompletnego wydania *Poezyi*, będzie jego pożądanym dalszym ciągiem.“

— Maksymilian Fajans podczas swęj bytności w Wiedniu, dowiedziawszy się, iż cesarz Austriacki zwrócił uwagę na chromolitografię (*Wzory Sztuki Średniowiecznej w dawnęj Polsce*, wydane przez hr. Przeddzieckiego i bar. Rastawieckiego), ofiarował dzieło powyższe cesarzowi, za pośrednictwem księżnej Hohenloe, która sama oświadczyła się z tém pośrednictwem p. Fajansowi. Obecnie, Cesarz austriacki raczył dzieło to przyjąć dla swęj prywatnej biblioteki, a pana Fajansa za wykwintne i artystyczne wykończenie, nagrodzić dużym *złotym medalem* „Za sztuki i nauki“ (Für Kunst und Wissenschaft). Jestto już trzecia z kolei nagroda, jaka p. Fajansowi z Wiednia dostaje się w tym roku, gdyż jak poprzednio donieśliśmy, otrzymał z wystawy dwa: Fortschritts Medaille za litografię i fotografię, medal zaś ostatni jak nas napis przekonywa „Literis et Artibus,“ dostaje się tylko artystom i literatom.

— *Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego*, opracowane przez J. I. Kraszewskiego, najprzód ogłoszone w Gazecie Warszawskiej, a następnie wydane oddzielnie w 4-ch tomach w Wilnie 1857 r. wychodzą teraz w Moskwie w przekładzie rossyjskim p. n. „*Razkazy o polskiej starinie, zapiski XVIII wieku, Iwana Duklana Ochotskawo*.“

— Na posiedzeniu komissyi bibliograficznej w Akademii umiejętności w Krakowie d. 4 listopada, Dr. Estreicher jako przewodniczący zdał sprawę z dotychczasowych czynności komissyi, oświadczając, że wyszedł 6-ty zeszyt „Bibliografii XIX wieku,“ a siódmy obejmujący literę K, ukończony będzie w połowie grudnia. Nadto, wydano na żądanie komissyi wystawowęj wiedeńskiej zeszyt „Bibliografii polskiej“ obejmujący lata 1871—72; wreszcie wielkie dzieło Jochera „*Obraz literatury polskiej*“ doczekało się dokładnego rejestru. Co do dalszych prac bibliograficznych, uchwalono prowadzić dalej pracę rozpoczętą przez ś. p. Z. Helcla „*Spis prac historyczno-prawniczych rozsianych po czasopismach*.“

Dnia 10 t. m. odbyło się posiedzenie wydziału filozoficznego akademii pod przewodnictwem D-ra Kremera. Prof. A. Walewski czytał dalszy ciąg pracy swęj p. t. „*Dzieje bezkrólewia po śmierci Jana III-go*.“ Sekretarz przedstawił wydziałowi obszerną pracę hr. Maurycego Dzieduszyckiego, członka akademii, p. t. „*Rys dziejów kościoła katolickiego w Szwecyi*,“ przeznaczoną do pism akademickich, następnie zaś „*Uchwały sejmu piotrkowskiego 1406 r.*“ przez M. Babrzyńskiego członka komissyi historycznej, i „*Uchwały zjazdu radomskiego r. 1384 p.* Szujskiego. Komissya dla filozofii przedstawiła wydziałowi referat D-ra Ziembę nad nadesłaną pracą „*O pozytywizmie i materyalizmie*.“

— Nowy zbiór dokumentów do konfederacji, pozyskała *Akademia Umiejętności* w Krakowie, zgromadzony przez Szczęsnego Morawskiego, który przed dwudziestu blisko laty ogłosił drukiem tom pierwszy materyałów do tego epizodu dziejowego, reszta pozostała w rękopiśmie, i ten się teraz do Akademii Umiejętności dostał. Spodziewać się należy, że ujrzymy go w wydawnictwie historycznych pomników. Szczęsny Morawski jako pisarz mało jest u nas znany, który jednakże wysokiej wartości pracami dobrze się już zasłużył literaturze ojczyźnej. Dość nam przypomnieć wielkie jego dzieło *Sandeczczyzna* w dwóch wielkich tomach.

— Matejko, Łuszczkiewicz, Szynalewski, Gryglewski, Kotsis, Jabłoński, Pawłowicz i Cynk, założyli w Krakowie *Stowarzyszenie wzajemnej pomocy artystów*. Zarząd wykonywanym będzie przez komitet z dwunastu członków złożony, z których siedmiu przynajmniej winno być artystami; zgromadzenie ogólne raz w rok tylko odbywać się będzie; zapomogi i zaliczki służyć będą dla członków, dla wdów i sierot po artystach, i młodzieży kształcącej się w zawodzie artystycznym. Ustawa Towarzystwa uzyskała już zatwierdzenie władzy.

— Reskrypt austriackiego ministra oświaty nakazuje Historją Polską Henryka Szmita natychmiast usunąć ze szkół, i poleca, aby naukę historii professorowie wykładali według własnych notatek, aż do wydania stosownego podręcznika. Reskrypt przepisuje, w jaki sposób Historia Polska tak w wyższych jak w niższych klassach ma być wykładana, i poleca wpajać w uczniów uczucia lojalności dla domu panującego.

— Dom Matejki, dyrektora szkoły sztuk pięknych w Krakowie, będący w trzecim pokoleniu w rękach jego rodziny, prześlicznie jest ozdobiony i znajduje się przy ulicy Floryańskiej. Miał on już dawniej cechę stylu baroko, ale przy obecnym przerobieniu pod kierunkiem budowniczego Prylińskiego, dom ten wygląda jak cacko. Nad środkowym oknem pierwszego piętra, roztoczony płaszczy królewski, pod którym leżą insygnia artysty: paleta, pędzle i księgi dziejów. Wieńcowe arabeski obramiają okna i wiążą się w całość harmonijną, spływającą ze szczytu domu ozdobnego muszlowym ornamentem. Gdy dom ukończony zostanie i otrzyma właściwą barwę, przedstawią się wyraźniej na nim wszystkie szczegóły obecnie jeszcze szarzące, a po części jeszcze zasłonięte rusztowaniem.

— W dniu 11 października r. b. odbyła się doroczna uroczystość otwarcia zakładu Imienia Ossolińskich we Lwowie. Zagoił obchód tymczasowy kurator hr. Krasicki. Następnie odczytał sprawozdanie za rok ubiegły D-r. Wisłocki. Ze sprawozdania jego wyjmujemy następnę szczegóły: Zakład z powodu licznych trudności, nie mógł przyjąć udziału w wystawie wiedeńskiej. Muzeum zostało w r. z. ostatecznie urządzone przez p. Edwarda Pawłowicza i teraz wszystkie zbiory tworzą nieustanną wystawę. Bibliotokę Przeworską wcielono do ogólnego księgozbioru, i oprócz tego zrobiono ważne nabytki, szczególniej

w rękopismach. Zawiązano stosunki z Towarzystwem Historycznym w Warmii i przez hr. Broela Platera z Petersburgiem. Co do urzędników. p. Edw. Pawłowicza mianowano stałym konserwatorem muzeum, a na miejsce p. Wł. Łozińskiego mianowano sekretarzem naukowym p. Wojciecha Kętrzyńskiego. Inwentarz książkowy dochodzi do 65,000 tomów, rękopismów 1,917, rycin 14,661. Czytelnie były licznie nawiedzane. W czytelni dla młodzieży przypadało na dzień czytających po 36 osób. Po odczytaniu sprawozdania, p. August Bielowski w pięknej przemowie przypomniał, jakie to były ciężkie czasy, gdy powstał Zakład, zapowiedział wydanie kodexu dyplomatycznego Tynieckiego, opracowanego przez p. Kętrzyńskiego i Pamiętnika Jakóba Pszonki, syna głośnego założyciela Rzeczypospolitej Babińskiej, oraz podał szczegółową wiadomość o tym pamiętniku, który obejmuje czasy od śmierci Zygmunta Augusta do wojny chocimskiej.

— Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, wydała prospekt na publikację dzieła: „*Estetyka* D-r Karola Lenckiego w przekładzie Bronisława Zawadzkiego”, które ma ukazać się przed końcem r. b. w przepysznym wydaniu w dwóch tomach z 58 ilustracjami najcenniejszych dzieł sztuki. Przy tym prospekcie, jako próba, dołączone są dwa drzeworyty, przedstawiające rzeźbę Wita Stwosza, *Zaśnięcie N. P. Maryi* i kopia z obrazu Leonarda da Vinci: *Wieczerza Pańska*. Wykończenie artystyczne i staranne odbicie dają rękojmią, że i reszta drzeworytów równiej będzie wartości.

— *Z pozostałych* po śmierci s. p. *Józefa Łukaszewicza papierów* są przygotowane do druku: „*Obwód Borecki*” i nieukończony „*Obwód Krotoszyński i Koźmiński*”, jako drugi tom dzieła pod tytułem. „*Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie Krotoszyńskim od najdawniejszych czasów aż po rok 1794*”, wyszłego 1869 r. Druk dzieła tego w r. b. ukończony będzie, wydaniem jego zajmuje się p. Żupański w Poznaniu. Tom ten obszerności 30 arkuszy druku, kosztować będzie tal. 3. Do drugiego tomu dołączoną będzie biografia autora z portretem jego na miedzi rysowanym.

— We Lwowie w d. 12 odbył się odczyt na korzyść Towarzystwa pomocy naukowej na austriackim Szlązku. Na ten cel zapowiedzianych jest kilka odczytów. Pierwszy miał p. Bolesław Limanowski o losach narodowości polskiej na Szlązku. Skreślił dzieje rozszerzenia się Niemczyzny w tej ziemi, a następnie opisał prace patriotów, mające na celu odzyskanie jej dla Słowiańszczyzny. Przedmiot nowy i bardzo zajmujący, słuchaczy jednak zebrało się mało. Prelegent wzywał o popieranie usiłowań Szlązaków, mianowicie o utworzenie stypendyów na uniwersytetach krakowskim, lwowskim i w instytucie technicznym krakowskim, oraz o zapisywanie się na członków Towarzystwa pomocy naukowej w księstwie cieszyńskim. Warunki są bardzo przystępne, składka roczna wynosi tylko 1 złr.

— Czytamy w Gazecie Warszawskiej. Od czasu do czasu dochodzą wiadomości od braci Szlązaków, a treścią ich przedewszystkiem,

iż naród ten, położony na kresach Słowiańszczyzny, dźwiga się powoli po długiej apatii. Czy to donoszą o wzmagającym się ruchu w tamecznej literaturze ludowej, czy o założeniu Towarzystwa Naukowego, jako pomocy kształcenia się biedaków, lub o powstałej czytelnicy ludowej ze składek, czy o wyborze jakiego deputowanego narodowca do sejmu, który żarliwie broni praw i języka ludu szlązkiego, czy wreszcie o prześladowaniu jakiego redaktora, który dla wyższych celów, odtrąca pokusy Bismarcka, uśmiechające się we wcale poważnej summie sta tysięcy talarów i idzie do więzienia na pokutę za przestępstwo prasowe, jak to kilkakrotnie stało się z Miarką, wszystko to świadczy o żywotności ludu szlązkiego, którego zgermanizowanie niedawno jeszcze uważane za dokonane prawie, teraz iuny bierze obrót. I obecnie mamy do zanotowania nowy objaw: *Gwiazdka Cieszyńska* donosi o założeniu nowej spółki handlowej pod firmą „Bazar Cieszyński” na czele której stanęli pp. Głajcar, Folwarczny, Klebinder, Żółkowski i inni. „Kiedy w Cieszynie utworzyło się, pisze *Gwiazdka*, niemieckie stowarzyszenie „Deutscher Verein” dla bronienia niemieckich interesów, oraz utworzył się tutaj niemiecki bank ludowy „Volksbank”, z kierownikami niemieckimi, aby prawdziwą korzyść mieli Niemcy; tym sposobem dali Niemcy przykład, że i ludność słowiańska powinna starać się o swoje interesa, dbać o swoją korzyść dla zapewnienia sobie lepszego bytu. Otóż Bazar Cieszyński, choć pod jednym względem, pod względem handlowym, może przynieść znaczne korzyści naszej ludności. Widzimy jak w Czechach i na Morawie nawet przez spółki zakładają browary, cukrownie i inne fabryki, lub handlowe przedsiębiorstwa, dla lepszego spieniężenia swoich produktów, albo tworzą kassy pożyczkowe dla bronienia się od lichwy i w ten sposób wzmaga się między nimi za- możność i lepszy byt. U nas pierwszym przykładem podobnej spółki, podobnego przedsiębiorstwa korzyść materyjalną niosącego dla wspólników jest właśnie Bazar Cieszyński. Współka ta nowa jest wszakże dopiero w zawiązku, kierownicy chcą jednak interesa bazaru szeroko rozwinąć i w tym celu w zakupionym na własność hotelu „Pod złotym wołem,” pobudować sklepy, oficyny i t. p., na co atoli potrzeba dłuższego czasu i fundusów znacznych. Przed 10-u już laty powstała myśl założenia podobnego bazaru w Cieszynie, projekt jednak nie przyszedł do skutku, z powodu niedojrzałości umysłów i dopiero urzeczywistnia się teraz.“

— Dla młodzieży *na gwiazdkę* zjawiają się nowe książki; i tak księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała: *Historja naturalna dla młodzieży z niemieckiego H. Wagnera, przekład Karola Jurkiewicza Prof. C W. uniwersytetu, z 15 tablicami rycin i 20 drzeworytami.* W przedmowie autora pomiędzy innymi są następujące szczegóły. Znamy obecnie około pół miliona gatunków rozmaitych jostestw organicznych, mianowicie zwierząt kręgowych gatunków 21,000, zestawnych 300,000, mięczaków 20,000, promieniaków 10,000 i wreszcie roślin 100,000. Niepodobna jednemu człowiekowi znać je wszystkie. Wyciągi mniejsze,

dotyczące wszystkich trzech państw przyrody dla upowszechnienia wiadomości są koniecznymi. Streszczenie więc tej nauki, przeznaczone jest dla młodzieży. Książeczka ta obejmuje opisy najciekawszych przedstawicieli grup najważniejszych, a mianowicie takich, które w codziennym życiu, w ogrodach zoologicznych, gabinetach, menażeryach, na wystawach i t. p. żywo młodzież zajmują. Jeżeli który z młodych czytelników książeczką tą zaciekawiony, zechce z wielkiego państwa przyrody wybrać, jaki oddział za przedmiot dalszych studyów, to nie trudno mu będzie znaleźć ku temu potrzebne specjalne dzieła. Książka ta jest wstępem dla młodzieży do badań przyrody, do tego źródła zdrowego napoju, odświeżającego i posilnego, wzmacniającego i wznoszącego serce. Czerpanie z niego nie sprzykrzy się nigdy. *Powiatki dla małych czytelników Jana Mace* przekład J. Chęcińskiego z rycinami. Jest to zbiór piętnastu powiastek czarodziejskich. Wszystkie dla bardzo małych czytelników, przedstawiają poprawę rozmaitych wad i karę za przekroczenia; książeczka użyteczna dla dziatwy rozpoczynającej naukę czytania. Księgarnia Gebethnera i Wolffa, oprócz tych książek, wyda w tych dniach dla młodzieży dwie jeszcze książeczki z rycinami Androego pod tytułem: *Fantazyja i Prawda* kilka nowych powieści, poświęconych dla młodocianego wieku przez Emilią Leja. *Listki i Ziarnka*, powiatki, opowiadania i rozmówki, zawierające najpotrzebniejsze wiadomości do pojęcia dzieci, zastosowane przez autora wieczorów Czwartkowych.

— Dr. M. Joel w rozprawie „*O proroku Danielu*“ (Ueber den Propheten Daniel) dowodzi silnemi argumentami, że prorocstwo Danielaowe pochodzi nie od Daniela i nie z Babilonu, lecz jest dziełem późniejszego pisarza z czasów panowania Seleucydów w Syryi; napisaném na dwa wieki przed Chrystusem w celu zagrzania Żydów do walki z Antyochem.

— P. *Angelo de Gubernatis*, redaktor wydawanego we Florencyi Przeglądu Europejskiego (La Rivista Europea), zawiadomił redakcyą Biblioteki Warszawskiej, że w piśmie swoim stale zamieszczać ma zamiar wiadomości bieżące z literatur słowiańskich, p. t. „Le Notizie slave“ i że autorowie polscy, jeśliby chcieli mieć wzmiankę o swych pracach, są proszeni o nadsyłanie swych dzieł panu Ludwikowi Léger, który zechciał przyjąć obowiązek układania rzeczonych notatek. Donosząc o tém literatom naszym, dołączamy adres, pod którym przesyłki mają być wyprawiane: Mr. le Docteur Louis Léger. Paris, rue d'Orléans.

† W Peru, w Ameryce południowej umarł w początku października r. b. *Aleksander Miecznikowski*, zdolny inżynier dróg żelaznych. Przed paru laty, Tygodnik Ilustrowany kilka jęgo z Peru korespondencyj wydrukował.

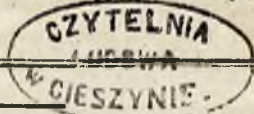


† Dnia 30 października r. b. umarł w Mitawie **Ignacy Buszyński**, b. marszałek powiatu Rosieńskiego. Urodzony w roku 1806, wyższe nauki pobierał w uniwersytecie wileńskim. W literaturze znany jest jako autor prac następujących: 1) Opisanie historyczne kościoła Szydłowskiego na Żmudzi, Wilno 1869 r.; 2) Dubisa główna rzeka w dawném księstwie Żmudzkiem, Wilno 1871 r. Pod prassą nakładem J. Zawadzkiego; 3) Opisanie historyczne powiatu Rosieńskiego, z dodaniem krytycznie opracowanej listy generalnych starostw księstwa Żmudzkiego; 4) Opisanie brzegów Niewiaży. Pozostało w rękopiśmie do druku gotowe: „Opisanie dawnego starostwa Żmudzkiego“ i jego pamiętniki.

† Dnia 2 listopada r. b. we Lwowie na cmentarzu miejscowym stanął grobowiec dla genialnego malarza **Artura Grottgera**, w wiosnie życia zmarłego. Statua nagrobkowa wykonaną została według p. Filipiego rzeźbiarza, pani zaś Młodnicka uzdolniona amatorka na polu sztuki rzeźbiarskiej, wykonała z marmuru medalion Grottgera, który stanowi jednę całość wraz z pomnikiem.

† W pierwszych dniach listopada r. b. zakończył życie we Lwowie **Tomasz Kulczycki** krawiec, redaktor-literat. Gdy przed rokiem 1848 żaden z literatów nie mógł uzyskać pozwolenia na wydawanie literackiego pisma, któreby współzawodniczyć mogło z *Rozmaitościami* przy *Gazecie Lwowskiej* wychodzącymi, udało się Kulczyckiemu wyjednać konsens na wydawnictwo: *Dziennika Młod.* Wszyscy młodzi w owe czasy pisarze, wsparli tę publikacyę. Tu występowali: August Bielowski, dwaj Borkowscy, Szajnocha, Józef Dzierzkowski, Z. Kaczkowski, Kornel Ujejski i wielu innych, którzy zaszczytne następnie zajęli miejsce w literaturze krajowej. Dziennik ten jako wymowne świadectwo obudzonego ruchu literackiego, ma niemałe znaczenie w dziejach piśmiennictwa naszego.

† Dnia 25 listopada r. b. umarł **Cyprian Walewski**, współredaktor naszego pisma. W następnym zeszytcie Biblioteki podamy jego życiorys.



*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójoicki.

Wydawca Józef Berger.

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM.

Z R. 1873.

## *Historya.*

stron.

Serbia. Zarysy historyczno-etnograficzne. Przez Adolfa Pawińskiego . . . . . 241

## *Dzieje współczesne.*

Posiadłości angielskie w Indyach. Przez L. . . . . 396

## *Ekonomia polityczna.*

O dzisiejszym kierunku w nauce ekonomii politycznej. Przez Dra Karola Strasburgera . . . . . 27

## *Literatura polska.*

Poczyo Wincentego Pola. Przez Aleksandra Tyszyńskiego . . . . . 1, 311

Stosunki i wzajemna korespondencya Wespazjana Koohowskiego z Janem Gawińskim, z współczesnych rękopismów zebrana przez Adama Rządewskiego . . . . . 445

## *Dawne prawo polskie.*

Kilka aktów oryginalnych sądowych z w. XIV i XV. Przez Romulda Hubego . . . . . 219

## Biografia.

stron.

Wojciech Jakubowski marszałek polny wojsk francuzkich. Przez Józefa Łoskiego . . . . .	256
Wincenty Pol. Wspomnienie A. E. Odyńca. . . . .	418

## Etnografia.

Studyum nad wierzeniami i wyobrażeniami ludu. Przez Władysława Nowickiego, mag. nauk hist. filolol. . . . .	84
---	----

## Sztuki piękne.

Wystawa międzynarodowa sztuk pięknych w Wiedniu. Przez Al. Lessora. . . . .	427
---	-----

## Powieść.

Hrabina Kosel. Powieść historyczna. Przez J. I. Kraszewskiego. . . . .	41, 177, 357
--	--------------

## KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dzieło p. Gerard: <i>Les Artistes de l'Alsace pendant le moyen age.</i> — Herrada z Landsbergu. — Dzieła Grillparzera w dziesięciu tomach. — Dramat, Żydówka z Toledo. — Pieśni liryczne. — Rozprawa Leo Quesnel o Danii. — Poeta Ibsen. — Konferencya profesora Fischera ze Sztuttgardu: wojna w stosunku do sztuk pięknych. — Dzieło p. Ludwika Leger: <i>Le monde Slave.</i> . . . . .	110
Kongres orientalistów w Paryżu. — Wystawa archeologiczna przedmiotów wschodnich w pałacu przemysłowym. — Sully, studyum historyczne p. Léguvé członka akademii. — Poeta hiszpańsko-amerykański Don Garcia de Quevedo. — Pieśni liryczne, poemat <i>El Proscrito.</i> — Przedmowa Aleksandra Dumasa do nowego przekładu Fausta p. Bacharach. — P. Caraguel następcą Juliusza Janin w Debatach. — Nagrody rozdane przez Akademię francuzką. — Wyliczenie dzieł uwiecznionych. — Nostalgia, przez Dra. Bonoist de la Grandière. — W ślad drugich, podróż po Nubii i Egipcie p. Wiktora Meignant. — Panna de Scuderi, studyum biograficzne p. Rathery. . . . .	277
Początki państwa niemieckiego, przez profesora Zeller, tom drugi; <i>Karol Wielki i Otton.</i> — Zmarły poeta włoski Aleksander Manzoni. — Pamiętniki Paul de Kocka. — Książka zbiorowa p. t. <i>Le tombeau de Théophile Gautier.</i> — Ostatni poemat Wiktora Hugo: <i>La liberation du sol.</i> Przedstawienie w teatrze <i>Maryi Tudor.</i> — Jan król suski, tłumacz Boskiej komedyi Dantego. —	

Skarbico Pryama w Troi, odkryty przez archeologa Schliemana. —  
 Pożar Wielkiej opery francuzkiej. — *Uczeń Kleomena*, obrazek  
 dramatyczny p. Franciszka Mons. — Camorra, melodrama p.  
 Nuss. — Zmarli powieściopisarze: Gaboriau i Ernest Feydeau. —  
*A propos posagu*, scena z życia domowego, przez akademika Lé-  
 gouvé, odczytana na posiedzeniu pięciu połączonych akademij. . . . . 453

### *Wystawa powszechna w Wiedniu.*

Wyroby przemysłowe . . . . . 322

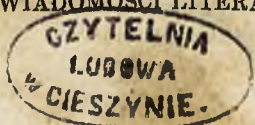
### *Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.*

- Chrobaoya, rozbiór starożytności słowiańskich. Napisał Tadeusz Woj-  
 ciechowski Dr. fil. T. I. Kraków, 1873. Przez F. Z. . . . . 156
- Z pedagogiki estetycznej. Sześć odczytów Bruno Meyer'a (Aus der  
 ästhetischen Pedagogik. Berl. Paetel, 1873, str. 256 in 8-vo  
 min.). Przez T. K. . . . . 164
- Rossyanie w Azji środkowej. Przez Fryderyka Hellwalda. (Die Rus-  
 sen in Centralasien. Augsburg, Butsch. 1873, str. 233, w 8-cc).  
 Przez T. K. . . . . 166
- Egipt w czasach nowożytnych, przyczynek do historii cywilizacji obec-  
 nego stulecia, oraz do charakterystyki Wschodu i Islamu przez  
 Maurycego Lüttke (Aegyptens neue Zeit etc. Leipzig. Brock-  
 haus 1873, dwa tomy). Przez T. K. . . . . 332
- Jędrzej Śniadecki. Teorya jestestw organicznych w obec dzisiejszych  
 pojęć o życiu, przez Zygmunta Kramsztyka. Przez Dr. W. Szyszło. . . . . 335
- Homo versus Darwin, czyli sprawa o pochodzenie człowieka; z angielskiego  
 przełożył Dr. Bonifacyusz Nemo. Warsz. 74. Przez X. . . . . 340
- Sztuka, zarys jej dziejów, zarazem podręcznik dla uczących się i prze-  
 wodnik dla podróżujących. 104 drzeworytów. W Krakowie 1872.  
 Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych. (W 8-cc str. IV, 401  
 i CL. XXIX). Zabytki sztuk pięknych Krakowa: I, pomniki archi-  
 tektury od XI—XVIII wieku ze stanowiska historii sztuki, ob-  
 jaśnił Władysław Łuszczkiewicz. W Krakowie, 1872 r. (w 8-cc,  
 s. 96). Przez R. . . . . 343
- De typografia in Claro Monte Czenstochoviensi Librisque in ejusdem of-  
 ficiina ab anno MDCXXVIII usque ad MDCCCLXIV impressis.  
 Autore Stanislaw Josepho Siennicki. Varsaviae MDCCCLXXIII.  
 1873, (w 18-cc, s. 83). Przez R. . . . . 347
- Przewodniki rzemieślnicze. Przez A. J. S. . . . . 347
- Początki Unii Lubelskiej przez D-ra Augusta Mosbacha. Poznań 1872.  
 Przez K. P. . . . . 505

- Wi. L. Anczyca „Obrazki dramatyczne ludowe“: Chłopi arystokracji.—Łobzowianie. — Błązek opętany.—Flisacy. (W Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa, 1873—W Krakowie w drukarni Leona Paszkowskiego (w 8-ce, str. 289).
- Lud.—Pieśni.—Podania.—Baśnie.—Zwyczaje i przysłady ludu z Mazowsza Czarskiego, wraz z tańcami i melodyjami, zebrał Kornel Kozłowski. Warszawa, w drukarni Karola Kowalewskiego 1867 (w 8-ce, str. 388). O Huoułach, rys historyczny napisał X. Sofron Witwicki, wydanie wznowione, we Lwowie u Karola Wilda 1873 r. (w 12-ce, str. 134). Przez R. . . . . 511
- O najdawniejszych grobowcach królów polskich, przez Karola Boromeusza Hoffmana. Poznań. Czoionkami N. Kamińskiego i S-ki, 1872 (w 8-ce, str. 33). Przez R. . . . . 514
- Historja Rossyi przez K. Bestozewa Rjumina tom I, 1872 r. str. 246 i 480. K. Biestużew Rjumin, Russkaja Istorya. Izdanije Kożan-czykowa, S. Petersburg. Przez T. K. . . . . 516
- Nowe wydanie Zbioru praw Andrzeja Zamojskiego. Przez A. J. S. . . . . 521

### Korrespondencya.

- Listy z Ameryki do przyjaciół w Europie. Przez J. Horaina. . . . . 141, 493
- Zo Lwowa. . . . . 314
- Z Paryża p. L. Leger. . . . . 504
- WIADOMOŚCI LITERACKIE. . . . . 167, 349, 524



### SPROSTOWANIE.

W zeszytoie listopadowym Biblioteki Warszawskiej, w dziale o Wystawie wieidońskiej, na karcie 331, umieszczoną jest lekka wzmianka o głęboko matematycznych pracach i wynalazkach pana *Drzewickiego*, czytaj *Stefana Drzewickiego*, o którego wynalazkach Kurjer Codzienny w N. 259 umieścił artykuł. Możemy dodać, że młody ten inżynier jest synem znanego w literaturze naszej Karola Drzewickiego, a wnukiem zmarłego *szefa*, którego pamiętniki, przed laty kilkunastu czytaliśmy z takim zajęciem.

W artykule Wincenty Pol: str. 418 wiersz 11 dotąd, czytaj odtąd; s. 418, w. 13 chociaż my się, czytaj chociażmy się; s. 420, w. 18 prozą, czytaj prócz; s. 422, w. 1 przecie, czytaj prawie; s. 425, w. 12 inteligontna, czytaj integralną.

